

Guy Gavriel Kay

Lwy Al-Rassanu

(The Lions of Al-Rassan)

Przełożyła Agnieszka Sylwanowicz

Dla Harryego Karlinskiego i Mayera Hoffera, po trzydziestu pięciu latach

PODZIĘKOWANIA

Ci z nas na tyle zuchwali, by stąpać po linii oddzielającej historię od tego, co stworzyła wyobraźnia – lub taką linię tworzyć – mają ogromny dług wobec historyków, którzy, zagłębiając się we fragmentaryczne zapiski z naszej przeszłości, podejmują się tym bardziej twórczej pracy, im dalej się cofają.

Jeśli chodzi o prace przygotowawcze oraz natchnienie do stworzenia mojego wymyślanego Al-Rassanu, jestem dłużnikiem wielu osób. Wśród nich chciałbym szczególnie wyróżnić Richarda Fletchera, Davida Wassersteina, T. F. Glicka, Nancy G. Siraisi i Manfreda Ullmanna (w kwestiach medycznych), S.D. Goiteina, Bernarda Reillyego, Pierre'a Riche'a, a także poruszające, płomienne piarstwo Reinharta Dozy'ego.

Osoby dobrze znające okres, który posłużył mi za punkt wyjścia, znajdują w wierszach i piosenkach pojawiających się na kartach tej książki echa najbardziej elokwentnych głosów półwyspu. Wypada mi w tym miejscu złożyć hołd sztuce – między innymi – al-Mutamida, ar-Rundiego, ibn' Ammara oraz ibn Bassama.

Z zawilosciami i potęgą Półwyspu Iberyjskiego zaznajomiło mnie dwoje ludzi, którzy od dawna ucieleśniają w moim życiu pojęcie cywilizowanego istnienia: Gladys i David Bruser. To, że mogę im tu podziękować, sprawia mi wielką przyjemność.

Nieustannie korzystam z talentu i doświadczenia wielu osób. Dr Rex Kay, który zawsze służy mi pomocą, jak nigdy pomógł mi zebrać informacje na temat poruszanych w tej książce zagadnień medycznych oraz na bieżąco starannie przeglądał maszynopis. Sue Reynolds sporządziła kolejną przejrzystą, niezbędną mapę. We Francji wspierali mnie swą przyjaźnią i zachętami Stan Robdell i Cynthia Foster oraz Mary i Bruno Grawitzowie. W Toronto mój stary przyjaciel Andy Patton nieustannie pozwala mi korzystać ze swej inteligencji i równie niesłabnącego wsparcia. A w domu i za granicą dodają mi sił trzy osoby, które darzą miłością: moja matka, syn i żona.

*Wieczór na zawsze jest głęboko we mnie.
Niejeden platynowy, północny wschód księżyca,
Niczym stłumione odbicie, miękko,
Po wielekroć mi przypomina.
Będzie moją oblubienicą, moim alter ego.
Bodźcem, bym się odnalazł.
Ja sam Jestem południowym wschodem księżyca.*

Paul Klee „Dzienniki tunezyjskie”

GLÓWNE POSTACIE

WAL-RASSANIE

(Wszyscy są aszarytami, czcicielami gwiazd Aszara, chyba że podano inaczej)

Król Almalik z Cartady („Lew z Cartady”) Almalik, jego najstarszy syn i dziedzic Hazem, jego drugi syn Zabira, jego ulubiona kurtyzana Ammar ibn Khairan z Aldzais, jego główny doradca, opiekun królewskiego dziedzica Król Badir z Ragosy Masur ben Avren, jego kanclerz, wiary kindathijskiej Tarif ibn Hassan z Arbastro, człowiek wyjęty spod prawa Idar i Abir, jego synowie Husari ibn Musa z Fezany, kupiec handlujący jedwabiem Dżehana bet Iszak, lekarka w Fezanie, wiary kindathijskiej Iszak ben Jonannon, jej ojciec Eliana bet Danel, jej matka Velaz, ich służący

W TRZECH KRÓLESTWACH ESPERANII

(Wszyscy są dzadytami, czcicielami boga-słońca, Dżada)

Król Sanczo Otyły z Esperanii, zmarły Król Raimundo z Valledo, najstarszy syn Sancza, zmarły

W królestwie Valledo (stolica: Esteren)

Król Ramiro, syn Sancza Otyłego Królowa Ines, jego żona, córka króla Ferrieres Hrabia Gonzalez de Rada, konetabl Valledo Garcia de Rada, jego brat Rodrigo Belmonte („Komendant”), żołnierz i hacjender, były konetabl Valledo Miranda Belmonte d’Alveda, jego żona Fernan i Diego, jego synowie Ibero, duchowny, nauczyciel synów Rodriga Belmontego Lain Nunez, Martin, Ludus, Alvar de Pellino, członkowie oddziału don Rodriga

W królestwie Dżalonii

Król Bermudo, brat Sancza Otyłego Królowa Fruela, jego żona Hrabia Nino di Carrera, ulubiony dworzanin króla (oraz królowej)

W królestwie Ruendy

Król Sanczez, najmłodszy syn Sancza Otyłego, brat Ramira z Valledo Królowa Bearte, jego żona

NA PUSTYNI MADŻRITU

(Za południową cieśniną; ojczyzna plemion muwardyjskich)

Jazir ibn Q'arif, z plemienia Zuhritów, władca Madżritu-Ghalib, jego brat, wojenny przywódca plemion

W KRAJACH NA WSCHODZIE

Geraud de Chervalles, najwyższy duchowny Dżada, z Ferrieres Rezzoni ben Cordi, kindathijski lekarz i nauczyciel; z miasta Sorenika w Bachiarze

PROLOG

Kiedy Ammar ibn Khairan przekroczył Bramę Dzwonów i wszedł do pałacu Al-Fontina w Silvenes, by zabić ostatniego z kalifów Al-Rassanu, minęło właśnie południe i niedługo miało rozbrzmieć trzecie wezwanie do modlitwy.

Znalazł się na Dziedzińcu Lwów i stanął przed jednymi z trojga podwójnych drzwi prowadzących do ogrodów. Wrót strzegli eunuchowie. Znał ich z imienia. Zostali przygotowani na jego przybycie. Jeden z nich skinął mu lekko głową; drugi miał odwrócony wzrok. Ten drugi bardziej mu odpowiadał. Otworzyli ciężkie drzwi, a kiedy przez nie przeszedł, usłyszał, jak się za nim zamykają.

W środku upalnego dnia ogrody były wyludnione. Wszyscy, którzy jeszcze nie opuścili rozpadającej się wspaniałości Al-Fontiny, szukali zapewne cienia w pomieszczeniach leżących w samym jej środku. Sączyli chłodne słodkie wina lub wymyślnie długimi łyżeczkami, zaprojektowanymi przez Ziryaniego, nabierali sorbetów, utrzymywanych w stanie zamrożenia w głębokich piwnicach dzięki śniegowi sprowadzanemu z gór. Luksusy z innej epoki, przeznaczone dla mężczyzn i kobiet bardzo różniących się od tych, którzy mieszkali tu teraz.

Pochłonięty takimi myślami ibn Khairan przeciął bezszelestnie Ogród Pomarańczy i przeszedłszy pod łukiem w kształcie podkowy, znalazł się w Ogrodzie Migdałowym, a potem za następnym łukiem, w Ogrodzie Cyprysowym z jego jednym wysokim, idealnym drzewem odbijającym się w trzech sadzawkach. Każdy następny ogród był mniejszy od poprzedniego, każdy przesywał serce swoim urokiem. Pewien poeta powiedział kiedyś, że Al-Fontina została zbudowana, by przesywać serce.

Po długiej wędrówce dotarł wreszcie do Ogrodu Pożądania, najmniejszego i najbardziej ze wszystkich podobnego do klejnotu. I tam, jak zostało wcześniej ustalone, na szerokim obramowaniu fontanny siedział spokojnie i samotnie odziany w biel Muzafar.

Powodowany głęboko zakorzenionym nawykiem ibn Khairan skłonił się w łukowatym wejściu. Niewidomy starzec nie mógł widzieć jego ukłonu. Po chwili przybysz wszedł na ścieżkę prowadzącą ku fontannie.

– Ammar? – zapytał Muzafar, usłyszawszy odgłos kroków. – Powiedziano mi, że tu przybędziesz. To ty? Przyszedłeś, by mnie stąd wyprowadzić? To ty, Ammarze?

Można było odpowiedzieć na wiele sposobów.

– Tak – odparł ibn Khairan, zbliżając się. Wyciągnął sztylet z pochwy. Wtedy starzec uniósł nagle głowę, jakby poznał ten dźwięk. – Zaiste, przyszedłem, by cię wyzwolić z tego miejsca pełnego duchów i ech.

Z tymi słowy gładko wbił sztylet po rękojęć w serce starego. Muzafar nie wydał dźwięku. Śmierć została zadana szybko i pewnie. Jeśli to będzie konieczne, ibn Khairan powie wadżim

w ich świątyniach, że koniec był łatwy.

Ułożył ciało spowite w białą szatę na krawędzi fontanny, tak by martwy mężczyzna wyglądał jak najgodniej. Umył klingę w fontannie, patrząc na wirującą wodę zabarwiającą się na chwilę czerwienią. Nauki jego ludu, wywodzące się z dalekich pustyń na wschodzie, gdzie powstała wiara aszarytów, głosiły od stuleci, że zabicie jednego z namaszczonych kalifów boga jest zbrodnią nie do zmazania. Popatrzył na Muzafara, na krągłą, pomarszczoną twarz, niezdecydowaną nawet w chwili śmierci.

„Nie został prawdziwie namaszczony”, powiedział dawno temu w Cartadzie Almalik. „Wszyscy to wiedzą”.

Ledwie w tym jednym roku było czterech marionetkowych kalifów – jeden tu, w Silvenes, przed Muzafarem, jeden w Tudesce, i to biedne dziecko w Salos. Nie można było pozwolić, by taka sytuacja trwała nadal. Pozostali trzej już zginęli. Muzafar był ostatni.

Ostatni. Niegdyś w Al-Rassanie mieszkały lwy, lwy zasiadały na podwyższeniu w tym pałacu, zbudowanym po to, by ludzie padali na kolana na posadzki z marmuru i alabastru przed oszałamiającym dowodem na istnienie chwały, której nie mogli pojąć.

Muzafar rzeczywiście nie został prawidłowo namaszczony, tak jak mówił Almalik z Cartady. Lecz kiedy dwudziestoletni Ammar ibn Khairan stał tak w Ogrodzie Pożądania Al-Fontiny w Silvenes i czyścił nóż splamiony czerwoną ludzką krwią, przyszło mu na myśl, że cokolwiek zrobi ze swoim życiem w ciągu dni i nocy, jakie Aszar i bóg uznają za stosowne mu przydzielić pod świętymi obrotami ich gwiazd, on sam już na zawsze może być znany jako człowiek, który zabił ostatniego kalifa Al-Rassanu.

– Najlepiej ci będzie z bogiem wśród gwiazd. Teraz nastanie czas wilków – rzekł do martwego człowieka leżącego na krawędzi fontanny.

Potem osuszył szeptem, schował go do pochwy i wrócił przez cztery idealnie utrzymane, puste ogrody do drzwi, przy których czekali przekupieni eunuchowie, by go wypuścić. Po drodze usłyszał, jak jakiś niemądry ptak śpiewa w białym skwarze południa, a potem, jak biją dzwony, wzywające wszystkich dobrych ludzi do świętej modlitwy.

CZĘŚĆ I

ROZDZIAŁ 1

Zawsze pamiętaj, że oni pochodzą z pustyni.

W czasach, kiedy Dżehana nie rozwinęła jeszcze własnej praktyki, a ojciec wciąż mógł do niej mówić i ją uczyć, ciągle powtarzał jej te słowa, mając na myśli rządzących aszarytów, wśród których ledwie ich tolerowano i wśród których pracowali – jak wszędzie czyniły to rozrzucone plemiona Kindathów – by stworzyć sobie bezpieczną niszę i odrobinę spokoju.

Pamiętała, że raz zapytała wyzywającym tonem:

– Ale my też mamy pustynię w naszej historii, prawda?

Nigdy nie była potulną uczennicą ani dla niego, ani dla nikogo innego.

– Przemierzyliśmy ją – odparł wtedy Iszak pięknie modulowanym głosem. – Zabawiliśmy tam jakiś czas po drodze. Nigdy nie byliśmy naprawdę ludem wydm. Oni nim są. Nawet tu, w Al-Rassanie, wśród ogrodów, wody i drzew, Zrodzeni z Gwiazd nie są pewni trwałości takich rzeczy. W głębi serca pozostali tym, kim byli, gdy po raz pierwszy przyjęli wśród piasków nauki Aszara. Kiedy nie będziesz umiała zrozumieć któregoś z nich, przypomnij sobie o tym, a zapewne ujrzysz przed sobą wyraźną drogę.

W owych czasach, mimo jej kapryśności, słowa ojca Dżehany były dla niej niczym słowo pisane i święty przewodnik. Kiedy indziej, gdy podczas męczącego poranka po raz trzeci zaczęła narzekać przy preparowaniu proszków i naparów, Iszak łagodnie ją upomniął, że życie lekarza często może być nudne, lecz że nie zawsze tak jest i że jeszcze doczeka czasów, gdy będzie tęsknić za spokojną rutyną.

Obie te nauki miała sobie przypomnieć bardzo wyraźnie, nim wreszcie zasnęła pod koniec dnia, który jeszcze długo potem był wspominany w Fezanie – z przekleństwami i paleniem czarnych świec na znak pamięci – jako Dzień Fosy.

Lekarka Dżehana bet Iszak miała pamiętać ów dzień przez całe życie z powodów znacznie ważniejszych niż te, które mieli współmieszkańcy tego dumnego, znanego z buntowniczego ducha miasta: owego popołudnia zgubiła flaszkę na mocz, a nim zaszły księżyce, zgubiła na zawsze kawałek serca.

Biorąc pod uwagę rodzinną historię, flaszką wcale nie była błahostką.

Dzień się rozpoczął cotygodniowym targiem przy Bramie Cartadzkiej. Tuż po wschodzie słońca Dżehana znalazła się w budce przy fontannie, należącej przedtem do jej ojca, akurat na czas, by zobaczyć, jak ze wsi ciągną ostatni rolnicy z obładowanymi mułami. Ubrana w białą lnianą szatę, usiadła ze skrzyżowanymi nogami na poduszce pod zielono-białym płóciennym daszkiem, oznaczającym lekarza, gotowa spędzić ranek na badaniu pacjentów. Velaz jak zwykle czekał za nią, by odmierzać i wydawać leki według jej wskazówek oraz stawić czoło wszelkim kłopotom, jakie mogą spotkać młodą kobietę w miejscu tak ruchliwym, jak targowisko. Kłopoty

były jednak mało prawdopodobne; Dzehana dała się już dobrze poznać.

Poranek spędzony przy Bramie Cartadzkiej wiązał się z przepisywaniem leków dla rolników przybywających zza murów, przy budce pojawiali się też jednak miejscy służący, rzemieślnicy, kobiety targujące się o żywność na bazarze. Dość często przychodzili do niej ludzie wysoko urodzeni, lecz zbyt oszczędni, by płacić za prywatną wizytę, lub zbyt dumni, by dać się leczyć w domu przez kogoś z Kindathów. Tacy pacjenci nigdy nie przychodzili osobiście; przysyłali służącą z flaszką moczu do badania i czasami z listem sporządzonym przez skrybę, opisującym objawy i dolegliwości.

Własna flaszka Dzehany na mocz, która przedtem należała do jej ojca, stała wyeksponowana na kontuarze pod daszkiem. Był to rodzinny znak, ogłoszenie. Flaszka stanowiła wspaniały przykład kunsztu dmuchacza szkła; były na niej wytrawione wyobrażenia dwóch księżyców, czczonych przez Kindathów, i wróżebne Wyższe Gwiazdy.

Pod pewnymi względami był to przedmiot zbyt piękny do codziennego użytku, wzięwszy pod uwagę mało wytworną funkcję, jaką spełniał. Flaszkę wykonał przed sześciu laty rzemieślnik w Lonzie na zamówienie króla Almalika z Cartady po tym, jak Iszak pokierował akuszerkami – zza parawanu porodowego – podczas trudnych, lecz udanych narodzin trzeciego syna Almalika.

Kiedy nadszedł czas urodzenia czwartego syna, a poród był jeszcze trudniejszy, Iszak z Fezany, słynny kindathijski lekarz, otrzymał od króla Cartady inny, kontrowersyjny prezent. Na swój sposób był to dar bardziej szczodry, lecz świadomość tego faktu wcale nie łagodziła ukrytej głęboko goryczy, którą Dzehana wciąż odczuwała, chociaż minęły cztery lata. Nie była to jakaś przemijająca gorycz; co do tego miała całkowitą pewność.

Dała receptę na bezsenność, a potem na dolegliwości żołądkowe. Kilka osób się zatrzymało, by kupić lek jej ojca na ból głowy. Był to prosty, choć, jak wszystkie własnej roboty mikstury lekarzy, pilnie strzeżony specyfik: mieszanka goździków, mirry i aloesu. Matka Dzehany przez cały tydzień przygotowywała go we frontowych pomieszczeniach ich domu, służących do przyjmowania pacjentów.

Poranek mijał. Na tyłach straganu Velaz spokojnie i systematycznie napełniał gliniane garnczki wedle wskazówek Dzehany. Flaszka moczu przejrzystego na dnie i jasnego u góry świadczyła o przekrwieniu płuc. Dzehana przepisała fenkuł i kazała kobiecie wrócić w następnym tygodniu z jeszcze jedną próbką.

Don Rezzoni z Soreniki, człowiek sardoniczny, nauczał, że istota udanej praktyki lekarskiej leży w nakłanianiu pacjentów do powrotu. Zauważył, że martwi pacjenci rzadko to robią. Dzehana pamiętała, że się wtedy roześmiała; często się wówczas śmiała, podczas studiów w odległej Bachiarze, zanim urodził się czwarty syn króla Cartady.

Velaz zajmował się wszystkimi płatnościami, najczęściej w drobnych monetach, lecz nie zawsze. Kobieta z pobliskiej osady, nękana rozmaitymi powracającymi dolegliwościami,

przynosiła co tydzień dwanaście brązowych jaj.

Targowisko było wyjątkowo zatłoczone. Dzehana podniosła na krótko wzrok znad monotonnej roboty i przeciągnęła się, z zadowoleniem zauważając stojącą przed nią sporą kolejkę pacjentów. W pierwszych miesiącach po objęciu cotygodniowej praktyki tu, na targowisku, oraz codziennych obowiązków w pomieszczeniach dla pacjentów w domu, ruch był niewielki; teraz chyba Dzehanie wiodło się niemal tak dobrze, jak Iszakowi.

Tego ranka hałas był naprawdę niezwykły. Musiał istnieć jakiś powód zaaferowania i podniecenia, panujących wśród ludzi, ale Dzehana nie potrafiła go określić. Przypomniała sobie dopiero wtedy, gdy ujrzała trzech jasnowłosych, brodatych cudzoziemskich najemników, którzy arogancko torowali sobie drogę przez tłum. Tego dnia wadzi mieli poświęcić nowe skrzydło zamku i młody księżę Cartady, noszący imię ojca, najstarszy syn Almalika, miał tu przyjąć wybranych dygnitarzy z ujarzmionej Fezany. Status społeczny miał znaczenie nawet w mieście znanym ze swoich buntowników; ci jego mieszkańcy, którzy otrzymali upragnione zaproszenie na uroczystość, szykowali się na nią od wielu tygodni.

Dzehana zwykle nie zwracała uwagi na takie sprawy ani na żadne inne niuanse dyplomacji czy wojny. Wśród jej ludu krążyło powiedzenie: „Nieważne, w którą stronę wieje wiatr; deszcz spadnie na Kindathów”. To dość dobrze oddawało jej uczucia.

Od czasu głośnego upadku kalifatu w Silvenes przed piętnastu laty lojalność i sojusze w Al-Rassanie były bardzo niestabilne i zmieniały się nawet kilka razy w roku wraz z królewiami, które powstawały i upadały w miastach z otepiającą regularnością. Sytuacja nie była ani trochę jaśniejsza także na północy, za ziemią niczyją, gdzie dzядyccy królowie Valledo, Ruendy i Dżalonii – dwaj ocalali synowie oraz brat Sancza Otyłego – knuli przeciwko sobie i prowadzili ze sobą wojny. Dzehana już dawno uznała, że stratą czasu jest próba śledzenia, który był niewolnik zyskał władzę tu albo który król otruł swego brata tam.

Słońce wznosiło się coraz wyżej i na placu targowym robiło się coraz cieplej. Nic dziwnego, środek lata w Fezanie zawsze był gorący. Dzehana osuszyła czoło muślinową chusteczką i wróciła myślami do swoich obowiązków. Medycyna była jej wykształceniem i miłością, ucieczką przed chaosem, a także stanowiła więź z ojcem, teraz i do końca jej życia.

Na początku kolejki stanął nieśmiało jakiś nieznajomy rymarz. Zamiast flaszki miał wyszczerbiony ceramiczny kubek, który z przeprasającym uśmiechem postawił przed lekarką, a na kontuarze położył brudną monetę.

– Przepraszam – wyszeptał ledwie słyszalnie w panującym gwarze. – Więcej nie mamy. To od mojego syna. Ma osiem lat. Nie czuje się dobrze.

Velaz sięgnął zza niej i dyskretnie wziął do ręki monetę; don Rezzoni nauczał, że nie uchodzi, by lekarze dotykali swego wynagrodzenia. Po to, zauważył uszczypliwie, są służący. Oprócz tego, że ją uczył, był też jej pierwszym kochankiem, kiedy mieszkała i studiowała za

granicą, w Bachiarze. Sypiał prawie ze wszystkimi swoimi uczennicami, a plotka głosiła, że i z niektórymi uczniami. Miał żonę i trzy młode córki, które go uwielbiały. Skomplikowany, błyskotliwy, gniewny człowiek, ten don Rezzoni. Dla niej był jednak na swój sposób dość uprzejmy ze względu na szacunek, jakim darzył Iszaka.

Dzehana podniosła wzrok na rymarza i uśmiechnęła się do niego uspokajająco.

– Nie ma znaczenia, w jakim pojemniku przynosi się próbkę. Nie przepraszaaj.

Sądząc po jego karnacji, był dzadytą z północy, a mieszkał tu, ponieważ wykwalifikowani rzemieślnicy znajdowali w Al-Rassanie lepszą pracę; zapewne był konwertytą. Aszaryci nie wymagali nawracania się, lecz obciążenia podatkowe nakładane na Kindathów i dzadytów stanowiły dobrą zachętę do przyjmowania pustynnych wizji Aszara Mędrca.

Dzehana przelała próbkę moczu z wyszczerbionego kubka do wspaniałej flaszki jej ojca, daru od wdzięcznego króla, którego imiennik i dziedzic miał tu dziś uczcić wydarzenie jeszcze bardziej poddające dumną Fezanę pod cartadzkie panowanie. W targowy poranek Dzehana miała mało czasu na zastanawianie się nad ironią losu, lecz ona i tak pojawiała się w jej myślach; umysł lekarki pracował właśnie w taki sposób.

Kiedy płyn ustał się, ujrzała, że mocz syna rymarza ma wyraźne różowe zabarwienie. Przechyliła flaszkę kilka razy, ustawiając ją pod światło; w gruncie rzeczy kolor był zbyt zbliżony do czerwieni, by przyjąć to ze spokojem. Dziecko miało gorączkę; trudno było ocenić, na co jeszcze cierpi.

– Velazie – mruknęła – rozcieńcz piołunówkę kwartą mięty. Kropla syropu dla smaku.

Usłyszała, jak służący cofa się w głąb budki, by przygotować lek.

– Syn jest ciepły w dotyku? – zapytała rymarza.

Skinał pośpiesznie głową.

– I suchy. Jest bardzo suchy, lekarko. Z trudnością przetyka jedzenie.

– To zrozumiałe – odparła energicznie. – Podaj mu lekarstwo, które przygotowujemy. Połowę, kiedy przyjdiesz do domu, połowę o zachodzie słońca. Rozumiesz?

Mężczyzna kiwnął głową. Trzeba było pytać; niektórzy, zwłaszcza dzadyci ze wsi na północy, nie pojmowali koncepcji ułamków. Velaz robił dla nich dwie oddzielne fiołki.

– Dzisiaj dawaj mu tylko gorącą zupę, małą porcję na raz, i, jeśli możesz, sok z jabłek. Zmuś go, by to zjadł, nawet jeżeli nie zechce. Później może wymiotować. Nie będzie w tym nic niepokojącego, chyba że pojawi się krew. Jeśli ją zobaczysz, natychmiast poślij kogoś do mojego domu. W innym wypadku dawaj mu zupę i sok aż do zapadnięcia nocy. Skoro jest suchy i rozpalony, potrzebuje tego, rozumiesz? – Mężczyzna znów kiwnął w skupieniu głową. – Zanim odejdziesz, powiedz Velazowi, gdzie mieszkasz. Przyjdę obejrzyć chłopca jutro rano.

Mężczyzna przyjął to z wyraźną ulgą, lecz po chwili pojawiło się znajome wahanie.

– Wybacz mi, lekarko. Nie mamy pieniędzy na prywatną wizytę.

Dżehana skrzywiła się. A zatem prawdopodobnie nie konwertyta, człowiek mocno obciążony podatkami, lecz niechcący porzucać kultu boga-słońca, Dżada. Kimże jednak jest ona sama, by kwestionować skrupuły religijne? Niemal trzecia część jej własnych zarobków szła na kindathijski podatek, a przecież nigdy nie nazwałaby się osobą religijną. Bardzo mało lekarzy mogło to zrobić. Z drugiej strony, duma to zupełnie oddzielna kwestia. Kindathowie byli wędrowcami, nazwanymi tak od dwóch księżyców przemierzających wśród gwiazd nocne niebo, i jeśli chodziło o Dżehanę, to przez te wszystkie wieki nie zawędrowali tak daleko tylko po to, by odżegnać się od swojej długiej historii tu, w Al-Rassanie. Jeśli jakiś dżadyta czuł to samo wobec swego boga, potrafiła to zrozumieć.

– Sprawą zapłaty zajmiemy się we właściwym czasie. Na razie chodzi o to, że być może dziecku trzeba będzie upuścić krwi, a nie bardzo mogę to zrobić tu, na targowisku.

Usłyszała śmiech jakiegoś mężczyzny stojącego obok straganu. Zignorowała go i złagodziała ton. Kindathijscy lekarze byli znani jako najdrożsi na całym półwyspie. I tacy powinniśmy być, pomyślała Dżehana. Tylko my mamy o czymkolwiek pojęcie. Co prawda nie powinna besztać ludzi za niepokój o koszta.

– Nie bój się – rzekła z uśmiechem do rymarza. – Nie utoczę krwi wam obu.

Tym razem roześmiało się więcej osób. Jej ojciec zawsze mówił, że połową zadania lekarza jest sprawienie, by pacjent w niego uwierzył. Dżehana przekonała się, że pewien rodzaj śmiechu pomaga, budząc zaufanie.

– Dowiedz się o księżyce i Wyższe Gwiazdy godziny jego narodzin. Jeśli mam upuścić krew, to muszę obliczyć czas.

– Moja żona będzie to wiedziała – szepnął mężczyzna. – Dziękuję. Dziękuję, lekarko.

– Jutro – odrzekła lakonicznie.

Pojawił się Velaz z lekarstwem. Podał je mężczyźnie i zabrał flaszkę, by opróżnić ją do wiadra stojącego obok lady. Rymarz zatrzymał się obok służącego i nerwowo tłumaczył mu, jak trafić do jego domu.

– Kto jest następny? – zapytała Dżehana, znów podnosząc wzrok.

Na targowisku było już pełno najemników króla Almalika. Jasnowłosi olbrzymi z północy, z odległego Karchu czy Waleski, oraz, co sprawiało jeszcze groźniejsze wrażenie, Muwardycjycy z na wpół zasłoniętymi twarzami i z nieodgadnionymi, czarnymi oczyma – chyba że wyzierała z nich wyraźna pogarda – przewiezieni przez cieśninę z piasków Madżritu.

Niemal na pewno była to celowa demonstracja ze strony Cartady. Zapewne po całym mieście krążyli żołnierze, którzy otrzymali rozkazy, by byli widoczni. Dżehana przypomniała sobie poniewczasie pogłoski, że książę przybył przed dwoma dniami z pięciuset ludźmi. To o wiele za dużo żołnierzy jak na uroczystą wizytę. Mając pięciuset dobrych ludzi, można by zdobyć niewielkie miasto albo poprowadzić spory wypad poprzez *tagrę* – ziemię niczyją.

Żołnierze są tutaj potrzebni. Obecny gubernator Fezany był marionetką Almalika, wspieraną przez stałe wojsko. Oddziały najemne znalazły się w mieście pozornie dla ochrony przed atakami ze strony królestw dzadyckich albo zbójców grasujących poza miastem. W rzeczywistości tylko obecność najemników powstrzymywała miasto przed kolejną rewoltą. A teraz, wobec nowo wzniesionego skrzydła zamku, będzie ich jeszcze więcej.

Wolność, którą Fezana cieszyła się od upadku kalifatu, skończyła się przed siedmiu laty. Była wspomnieniem, a rzeczywistość stanowił teraz gniew; miasto zagarnęła druga fala ekspansji Cartady. Oblężenie trwało pół roku, a potem siłą rzeczy się skończyło, kiedy pewnej nocy u schyłku jesieni ktoś otworzył czekającej na zewnątrz armii Bramę Salos. Nigdy nie wyszło na jaw, kto zdradził. Dzehana pamiętała, jak wraz z matką skryły się w głębi ich domu w Dzielnicy Kindathów, a zewsząd dobiegały krzyki walczących i trzask płomieni. Jej ojciec znajdował się po drugiej stronie murów, wynajęty rok wcześniej przez Cartadan jako lekarz w armii Almalika; takie było życie lekarza. Znowu ironia losu.

Przez pięć tygodni po zajęciu miasta na murach nad tą bramą i pozostałymi pięcioma wisiąły ludzkie trupy, oblepione rojami much. Nad straganami z owocami i warzywami unosił się straszliwy smród.

Fezana stała się częścią gwałtownie rosnącego królestwa Cartady. Podzieliła w ten sposób los Lonzy, Aldzais, a nawet samego Silvenes ze smutnymi, splądrowanymi ruinami Al-Fontiny. Później dołączyły do nich Seria i Ardeno. Teraz zagrożenie wisiało nawet nad dumną Ragosą nad brzegiem Jeziora Serrana, podobnie jak nad leżącymi na południu i południowym zachodzie Elvirą i Tudeską. W podzielonym Al-Rassanie królewiatek dworscy poeci Almalika z Cartady nazywali go Lwem.

Ze wszystkich podbitych miast najgwałtowniej buntowała się Fezana – trzykrotnie w ciągu siedmiu lat. Za każdym razem wracali najemnicy Almalika, ci jasnowłosi i ci z zakrytymi twarzami, i za każdym razem na trupach rozpostartych na miejskich murach ucztowały muchy i padlinożerne ptaki.

Ostatnio jednak doszła do głosu inna ironia losu, i to bardziej zjadliwa. Groźny Lew z Cartady musiał uznać obecność równie niebezpiecznych stworów. Dzadyci z północy mogli być mniej liczni i skłóceni ze sobą, lecz potrafili wykorzystać okazję. Fezana od dwóch lat płaciła daninę królowi Ramirowi z Valledo. Almalik nie mógł jej odmówić, jeśli chciał uniknąć ryzyka wojny z najsilniejszym spośród dzadyckich królów, a musiał jeszcze pilnować porządku w miastach swego skłóconego królestwa, zajmować się bandami wyjętych spod prawa, przemierzających południowe wzgórza, i królem Badirem z Ragosy, który był na tyle bogaty, by opłacać własnych najemników.

Ramiro z Valledo może i rządził nieokrzesanym społeczeństwem pastuchów i prymitywnych wieśniaków, lecz było to także społeczeństwo zorganizowane do wojny, a z Jeźdźcami Dzada nie

było żartów. Jedynie potężnym kalifom Al-Rassanu, rządzącym w Silvenes przez trzysta lat, udało się podbić większość półwyspu i zapędzić dzadytów na północ – choć zapędzenie to wymagało nieustannych wypraw przez płaskowyże ziemi niczyjej, i nie każda z tych wypraw kończyła się powodzeniem.

Dzehana pomyślała, że jeśli trzech dzadyccy królowie – dwaj bracia i wuj – kiedykolwiek przestaną wojować między sobą, to Lew-zdobywca z Cartady – wraz ze wszystkimi królewiami Al-Rassanu – może wkrótce zostać wytrzebiony i poznać, czym jest kaganiec.

Co wcale nie musiało się okazać dobrym posunięciem.

Kolejna ironia losu, zaprawiona goryczą. Wydawało się, że Dzehana musi mieć nadzieję na przeżycie człowieka, którego nienawidziła jak nikogo innego. Być może wszystkie wiatry przynoszą deszcz Kindathom, ale tu, wśród aszarytów Al-Rassanu, byli oni akceptowani i mieli swoje miejsce. Po całych wiekach wędrowania po ziemi, jak ich księżyce na nieboskłonie, znaczyło to bardzo wiele. Przygniecenie podatkami i ograniczeni przepisami prawa, mogli jednak żyć w swobodzie, szukać szczęścia, oddawać cześć i bogu, i jego siostrze. A niektórzy Kindathowie uzyskali naprawdę wysokie stanowiska na dworach królewiatek.

Żaden Kindath na tym półwyspie nie zasiadał wysoko w radach Dzieci Dżada. Na północy zostało ich niewiele. Historia – a mieli długą historię – nauczyła Kindathów, że mogą być tolerowani, a nawet mile widziani wśród dzadytów, kiedy czasy są pomyślne i spokojne. Jednakże, gdy tylko nadciągały chmury, kiedy nadchodziły deszcze pędzone wiatrem, Kindathowie znów stawali się Wędrowcami. W krajach, gdzie władzę dzierżył bóg-słońce, byli wyganiani, nawracani siłą albo umierali.

Daninę – *parias* – odbierał oddział północnych Jeźdźców dwa razy do roku. Fezana płaciła dużą cenę za zbyt bliskie sąsiedztwo z *tagrą*.

Poeci nazywali teraz trzysta lat kalifatu złotym wiekiem. Dzehana słyszała pieśni i wiersze. W owych dawnych czasach – bez względu na to, jak bardzo ludzie mogli sarkać na absolutną władzę czy ekstrawaganckie wspaniałości dworu w Silvenes, a wadzi lamentowali w swoich świątyniach nad dekadencją i świętokradztwem – w porze roku sprzyjającej łupieżczym wyprawom, starożytnie drogi wiodące na północ były świadkami przemarszu zmasowanych wojsk Al-Rassanu, a potem ich powrotu z łupami i niewolnikami.

Teraz żadna jednolita armia nie podążała na północ na ziemię niczyją, a jeśli tamtejsze puste stepy miały w niedalekiej przyszłości ujrzeć jakieś liczniejsze oddziały żołnierzy, to najprawdopodobniej będą to Jeźdźcy słonecznego Dżada. Dzehana niemal umiała przekonać siebie samą, że nawet ci ostatni, bezsilni kalifowie jej dzieciństwa byli symbolami złotych czasów.

Pokręciła głową i odwróciła wzrok od najemników. Następny w kolejce był robotnik z kamieniołomów; domyśliła się tego, widząc kredowobiały pył pokrywający jego ubranie i ręce.

Domyśliła się także, że cierpi na podagrę – z jego ściągniętych rysów i skrzywionej postawy, zanim jeszcze zerknęła na mleczną próbkę moczu, którą jej podał. Podagra u robotnika była czymś dziwnym; w kamieniołomach zapadano zwykle na choroby gardła i płuc. Z niekłamaną ciekawością popatrzyła na mężczyznę.

Tak się składało, że Dzehana jeszcze nie leczyła tego pacjenta. Podobnie zresztą jak dziecka tamtego rymarza.

Na kontuar przed nią spadła spora sakiewka.

– Wybacz, proszę, że przeszkadzam, lekarko – rozległ się czyjś głos. – Czy mogę zająć ci nieco czasu?

Lekki ton i dworska wymowa nie pasowały do targowiska. Dzehana podniosła wzrok. Poznała, że to ten mężczyzna się wtedy roześmiał.

Wschodzące słońce znajdowało się za nim, więc ujrzała go po raz pierwszy pod światło i niedokładnie: twarz gładko ogolona wedle obecnej dworskiej mody, kasztanowe włosy. Nie widziała wyraźnie jego oczu. Pachniał perfumami i miał przypasany miecz. Znaczyło to, że jest z Cartady. Miecze dla mieszkańców Fezany były zakazane, nawet w murach ich własnego miasta.

Z drugiej strony, Dzehana była wolną kobietą zajmującą się zgodnie z prawem swoimi sprawami w przeznaczonym do tego miejscu, a dzięki darom Almalika dla jej ojca nie musiała pośpiesznie chwytać sakiewki, nawet tak pękatej, jak ta.

Zirytowana, złamała zasady na tyle, by ją podnieść i odrzucić mężczyźnie.

– Jeśli potrzebujesz pomocy lekarza, nie przeszkadzasz. Po to tu jestem. Jednakże, jak zapewne zauważyłeś, są przed tobą inni. Kiedy przyjdzie twoja kolej, z przyjemnością ci pomogę, jeśli będę umiała.

Gdyby była mniej rozdrażniona, mógłby ją rozbawić oficjalny ton, jaki przybrała. Nadal nie widziała mężczyzny wyraźnie. Kamieniarz odsunął się nerwowo na bok.

– Obawiam się, że nie mam czasu na tę alternatywę – mruknął Cartadanin. – Będę musiał cię stąd zabrać, dlatego jako rekompensatę proponuję sakiewkę.

– Zabrać mnie? – warknęła Dzehana.

Wstała. Jej rozdrażnienie zmieniło się w gniew. Uświadomiła sobie, że do straganu zbliża się powoli kilku Muwardyjczyków. Wiedziała, że tuż za nią stoi Velaz. Będzie musiała uważać; dla niej był w stanie stawić czoło każdemu.

Dworzanin uśmiechnął się uspokajająco i szybkim gestem uniósł dłoń w rękawicze.

– Powinienem raczej powiedzieć: odprowadzić cię. Błagam, wybacz mi. Niemal zapomniałem, że jestem w Fezanie, gdzie takie subtelności mają znaczenie.

Wyglądał na rozbawionego, co złościło ją jeszcze bardziej.

Teraz, kiedy stała, widziała go wyraźniej. Oczy miał niebieskie, jak ona – co było równie

niezwykle wśród aszarytów, jak u Kindathów – i gęste kręcone włosy. Był odziany niezwykle kosztownie; na kilku palcach dłoni obleczonych w rękawiczki nosił pierścionek, a w uchu kolczyk z perłą, który z pewnością miał wartość większą od doczesnego dobytku wszystkich stojących w kolejce pacjentów Dzehany. Jego pas i rękojeść miecza, a nawet skórzane pantofle też zdobiły klejnoty. Elegant, pomyślała Dzehana, afektowany dworski elegant z Cartady.

Miecz był jednak prawdziwy, nie ozdobny, a oczy mężczyzny, w które teraz patrzyła, spoglądały wprost na nią.

Rodzice Dzehany wychowali ją tak, by okazywała szacunek ludziom, którzy nań zasługiwali – i tylko w takim wypadku.

– Takie „subtelności”, jak wolisz nazywać zwykłą uprzejmość, powinny mieć znaczenie tak samo w Cartadzie, jak tutaj – odparła spokojnie. Wierzchem dłoni odgarnęła z oczu kosmyk włosów. – Jestem tu, na targowisku, dopóki nie odezwą się dzwony w południe. Jeśli naprawdę jest ci potrzebna prywatna wizyta, sprawdzę moje popołudniowe plany i zobaczę, kiedy będę wolna.

Mężczyzna pokręcił głową. Podeszło do niego dwóch zawaalowanych żołnierzy.

– Jak już chyba wspomniałem, nie mamy na to czasu. – Wydawało się, że wciąż coś go bawi. – Może powinienem powiedzieć, że nie jestem tu z powodu jakiejś własnej dolegliwości, chociaż szukanie u ciebie pomocy mogłoby wprawić w zachwyt każdego mężczyznę.

Stojący wokół roześmieli się.

Dzehanie nie było do śmiechu. Wiedziała, jak sobie radzić w takiej sytuacji, i właśnie miała to uczynić, lecz Cartadanin mówił dalej:

– Przybywam z domu jednego z twoich pacjentów. To Husari ibn Musa jest chory. Usilnie prosi, byś przyszła do niego tego ranka, jeszcze przed rozpoczęciem uroczystości poświęcenia zamku, żeby mógł zostać przedstawiony księciu.

– Och – rzekła Dzehana.

Ibn Musa miał nawracające bóle związane z kamieniami nerkowymi. Był pacjentem jej ojca i jednym z pierwszych, którzy przyjęli ją jako następczynię Iszaka. Był bogaty, gładki jak jedwab, którym handlował, i zbytnio lubił tuczące jedzenie. Był także uprzejmy, zaskakująco bezpretensjonalny, inteligentny, a jego wczesne poparcie miało wielki wpływ na koleje jej praktyki. Dzehana lubiła ibn Musę i martwiła się o niego.

Ze względu na swoje bogactwo Husari miał zapewnione miejsce na liście mieszkańców uhonorowanych zaproszeniem na spotkanie z księciem Cartady. Niektóre sprawy stawały się jasne. Choć nie wszystkie.

– Dlaczego wysłał ciebie? Znam większość jego służących.

– Ależ on mnie nie wysłał – zaprzeczył obcy. – Sam zaproponowałem, że pójdę. Ostrzegł mnie, że co tydzień pracujesz na targu. Czy opuściłabyś tę budkę na prośbę służącego? Nawet

kogoś ci znanego?

Dzehana pokręciła głową.

– Tylko do porodu albo wypadku.

Cartadanin uśmiechnął się, ukazując białe zęby na tle opalonej, gładkiej twarzy.

– Ibn Musa, dzięki niech będą Aszarowi i świętym gwiazdom, nie jest obecnie przy nadziei. Nie przydarzył mu się też żaden niefortunny wypadek. Dolega mu to, na co, jak rozumiem, już go leczyłaś. Przysięga, że nikt w Fezanie nie wie, jak złagodzić jego cierpienia. A dzisiaj, oczywiście, jest wyjątkowy dzień. Nie zechcesz ten jeden raz odstąpić od swych zwyczajów i udzielić mi zaszczytu odprowadzenia cię do niego?

Gdyby ponownie wyciągnął do niej sakiewkę, odmówiłaby. Gdyby nie czekał na jej odpowiedź ze spokojem i powagą, odmówiłaby. Gdyby o wizytę błagał ktoś inny niż Husari ibn Musa...

Wspominając to później, Dzehana miała dojmującą świadomość, że w tej chwili najmniejszy gest mógłby wszystko zmienić. Mogła z taką łatwością powiedzieć temu gładkiemu, wytwornemu Cartadaninowi, że przyjdzie do ibn Musy później. Gdyby tak się stało – trudno było uniknąć tej myśli – wszystko w jej życiu potoczyłoby się inaczej.

Lepiej czy gorzej? Na to pytanie nie mógł odpowiedzieć żaden mężczyzna ani kobieta. Wiatry przynosiły deszcze, owszem, ale czasami przeganiały też niskie, gęste chmury, pozwalając dostrzec błyski wschodzącego albo zachodzącego słońca, lub odsłaniając niebo w te jasne, przejrzyste noce, kiedy błękitny i biały księżyc płynęły po lśniącym kobiercu gwiazd.

Dzehana poleciła Velazowi zamknąć stragan i pójść za nią. Nakazała, by wszyscy czekający w kolejce podali mu swoje imiona, i obiecała, że przyjmie ich za darmo u siebie w domu albo na targowisku w przyszłym tygodniu. Potem wzięła swoją flaszkę na mocz i pozwoliła obcemu zaprowadzić się do domu ibn Musy.

Obcemu.

Tym obcym był Ammar ibn Khairan z Aldzais. Poeta, dyplomata, żołnierz. Człowiek, który zabił ostatniego kalifa Al-Rassanu. Poznała jego imię po przybyciu do domu Husariego. Przeżyła wtedy pierwszy wielki wstrząs owego dnia. Nie ostatni. Nie potrafiła powiedzieć, czy bez wahania posłuchałaby obcego, gdyby знаła jego imię.

Życie ułożyłoby się inaczej, gdyby nie posłuchała. Mniej wiatru, mniej deszczu. Może żadnej z wizji danych tym, co stoją w wysokich, wietrznych miejscach świata.

Zarządca, ibn Musy szybko wpuścił Dzehanę do środka, a potem przywitał służalczo jej towarzysza, niemal szorując w ukłonie czołem po podłodze i rozsypując słowa wdzięczności niczym płatki róż. Cartadaninowi udało się wtrącić krótkie przeprosiny za to, że się nie przedstawił, a potem sam lekko, po dworsku ukłonił się Dzehanie. Nie było w zwyczaju kłaniać

się kindathijskim niewiernym. Właściwie, według wadżich, było to aszarytom zakazane pod groźbą publicznej chłosty.

Kłaniającemu się Džehanie, obwieszonemu klejnotami mężczyźnie raczej nie groziła w najbliższym czasie chłosta. Poznała, kim jest, gdy tylko usłyszała jego imię. Zależnie od poglądów danej osoby, Ammar ibn Khairan był jednym z najślynniejszych lub jednym z najniesławniejszych ludzi na półwyspie.

Opowiadano i śpiewano, że ledwie osiągnął wiek męski, w pojedynkę wspiał się na mury Al-Fontiny w Silvenes, zabił kilkunastu strażników, utorował sobie bronią drogę do Ogrodu Cyprysowego, by zabić kalifa, a potem wrócił tą samą drogą, wszędzie zostawiając martwe ciała. Wdzięczny za ten czyn, nowo wyniesiony na tron król Cartady natychmiast nagroził ibn Khairana bogactwem i stopniowo obdarzał coraz większą władzą, a ostatnio oficjalną rolę opiekuna i doradcy księcia.

Pozycja ta dawała inny rodzaj władzy. Niektórzy szeptali, że to zbyt wiele. Almalik z Cartady był porywczym, wyrafinowanym i zazdrosnym człowiekiem. Szczerze mówiąc, podobno niezbyt przepadał za swoim najstarszym potomkiem. Księżę też nie cieszył się reputacją kochającego syna. Składało się to na nieprzewidywalną sytuację. Plotki otaczające rozpustnego, ekstrawaganckiego Ammara ibn Khairana – a plotki otaczały go zawsze – były minionego roku nieco odmiennej natury.

Jednakże żadna z nich ani trochę nie wyjaśniała, dlaczego ten człowiek miałby osobiście wezwać lekarkę do fezańskiego handlarza jedwabiem tylko po to, by ów handlarz mógł przyjść na dworskie przyjęcie. Jeśli o to chodzi, jedyną wskazówkę dla Džehany stanowiło ledwie skrywane rozbawienie widoczne na twarzy ibn Khairana – lecz niewielka to była wskazówka. Tak czy owak, kiedy weszła do sypialni i ujrzała swego pacjenta, przestała się zastanawiać nad takimi sprawami, włącznie z niepokojącą obecnością Cartadanina. Wystarczyło jej jedno spojrzenie.

Husari ibn Musa leżał w łóżku, oparty na licznych poduszkach. Jeden z jego niewolników energicznie poruszał wachlarzem, usiłując ochłodzić pokój i chorego. Ibn Musy nie można by nazwać odważnym człowiekiem. Miał bladą twarz, na policzkach lśniły mu łzy, pojękiwał z bólu i strachu, że będzie bolało bardziej.

Ojciec nauczył ją, że na współczucie lekarza zasługują nie tylko ludzie odważni czy stanowczy. Cierpienie nadchodzi i jest prawdziwe bez względu na to, jak na nie reaguje organizm i charakter człowieka. Rzut oka na cierpiącego pacjenta pozwolił Džehanie natychmiast się skupić i uspokoić wzburzenie.

Podeszła żwawo do łóżka i przybrała swój najbardziej stanowczy ton.

– Husari ibn Musa, nigdzie dzisiaj nie pójdziesz. Znasz już te objawy równie dobrze, jak ja. Co ty sobie myślałeś? Że wyskoczysz z łóżka, wsiądziesz na muła i pojedziesz na przyjęcie?

Korpulentny mężczyzna leżący na łóżku jęknął żałośnie na samą myśl o takim wysiłku i sięgnął do ręki Dzehany. Zнали się od dawna i pozwalała mu na takie gesty.

– Ależ, Dzehano, ja po prostu muszę tam iść! To w Fezanie wydarzenie roku. Jak może mnie tam nie być? Co mam zrobić?

– Możesz wysłać wyrazy najgłębszego ubolewania i poinformować, że twoja lekarka kazała ci zostać w łóżku. Jeśli z jakichś przewrotnych powodów zechcesz wyjawic szczegóły, możesz kazać zarządcy powiedzieć, że tego popołudnia lub wieczoru wydalisz kamień w wielkim bólu, dającym się stłumić tylko takimi lekami, które nie pozwolą ci stać prosto czy też składnie się wypowiadać. Jeśli, świadom swego stanu zdrowia, nadal pragniesz stawić się na tej cartadzkiej uroczystości, mogę jedynie założyć, że cierpienie już ci zmaćiło umysł. Jeżeli chcesz być pierwszą osobą, która zemdleje i umrze w nowym skrzydle zamku, będziesz musiał to zrobić wbrew moim zaleceniom.

Tego tonu używała wobec niego prawie zawsze. W gruncie rzeczy robiła to wobec wielu pacjentów. Mężczyźni, nawet ci potężni, często chcieli odnaleźć w lekarce swoją matkę, wydającą im polecenia. Iszak skłaniał pacjentów do posłuszeństwa powagą zachowania i brzmieniem swego dźwięcznego, pięknego głosu. Dzehana – kobieta, i to wciąż młoda kobieta – musiała opracować własne metody.

Ibn Musa zwrócił zrozpaczoną twarz w stronę cartadzkiego dworzanina.

– Widzisz? – poskarżył się płacząco. – Cóż mogę zrobić z taką lekarką?

Ammar ibn Khairan znów sprawiał wrażenie rozbawionego. Dzehana stwierdziła, że irytacja pomaga jej uporać się z wcześniejszym uczuciem oszołomienia po tym, jak poznała jego tożsamość. Wciąż nie miała pojęcia, co go tak bawi, chyba że była to po prostu zwykła poza i zachowanie cynicznego dworaka. Może nudziła go dworska rutyna; jedne siostry boga wiedziały, że ją by nudziła.

– Mógłbyś zasięgnąć porady innego lekarza – odezwał się ibn Khairan, z namysłem gładząc się po brodzie. – Sądzę jednak, opierając się na zbyt krótkim doświadczeniu, że ta wyjątkowa młoda kobieta doskonale wie, co robi. – Obdarzył ją kolejnym olśniewającym uśmiechem. – Kiedy znajdziemy więcej czasu, będziesz musiała mi powiedzieć, gdzie się uczyłaś.

Występując w roli lekarki, Dzehana nie lubiła być traktowana jak kobieta.

– Nie ma co opowiadać – odparła krótko. – Za granicą na uniwersytecie w Sorenice w Bachiarze, u don Rezzoniego, przez dwa lata. Potem tutaj u mojego ojca.

– Twojego ojca? – zapytał.

– Iszaka ben Jonannona – rzekła i z wielką przyjemnością zobaczyła, że te słowa wzbudziły jego reakcję. Dworzanin na służbie Almalika z Cartady musiał zareagować na imię Iszaka. Historia była ogólnie znana.

– Ach – powiedział cicho Ammar ibn Khairan, unosząc brwi. Przyglądał się Dzehanie przez

chwile. – Teraz dostrzegam podobieństwo. Masz oczy i usta ojca. Powinienem to skojarzyć wcześniej. Tutaj zapewne otrzymałaś nawet lepsze wykształcenie niż w Sorenice.

– Cieszę się, że najwyraźniej spełniam twoje wymagania – rzekła oschle Dżehana.

Mężczyzna znów się uśmiechnął, w sposób zbyt oczywisty bawiąc się jej ciętymi uwagami. Stojący za nim zarządca wpatrywał się w Dżehanę z otwartymi ustami, zdumiony jej zuchwałością. Oczywiście Cartadanin budził w nich grozę. Dżehana przypuszczała, że w niej też powinien wywoływać to uczucie. Właściwie wywoływał. Nikt jednak nie musiał o tym wiedzieć.

– Pan ibn Khairan poświęcił mi wiele swego cennego czasu – mruknął słabo Husari. – Przyszedł rano na umówione spotkanie, by obejrzyć jedwabie, i zastał mnie... w takim stanie. Kiedy dowiedział się o moich obawach, iż nie będę mógł przybyć na dzisiejszą uroczystość, stanowczo stwierdził, że moja obecność jest ważna – w jego głosie zabrzmiała duma, wyraźnie przebijająca przez ból – i zaproponował, że zwabi do mnie moją upartą lekarzkę.

– I teraz ona tu jest i chciałaby uparcie poprosić, by wszyscy oprócz niewolnika i twego zarządcy zechcieli opuścić ten pokój. – Zwróciła się do Cartadanina: – Jestem pewna, że w kwestii jedwabiu może ci pomóc któryś z faktorów Musy.

– Niewątpliwie – odparł spokojnie mężczyzna. – Rozumiem zatem, że według ciebie pacjent nie powinien tego popołudnia służyć księciu?

– Mógłby tam umrzeć – odparła szczerze Dżehana.

Było to nieprawdopodobne, lecz z pewnością możliwe, a czasami ludźmi trzeba było wstrząsnąć, by zaakceptowali polecenia lekarza.

Cartadanin nie był wstrząśnięty. Raczej znów wydawał się ogarnięty falą rozbawienia. Dżehana usłyszała jakiś dźwięk dobiegający zza drzwi. To przybył Velaz z lekami.

Ammar ibn Khairan też go usłyszał.

– Masz pracę. Odejdę, jak prosiłaś. Obawiam się, że skoro nie cierpię na nic, co pozwoliłoby mi spędzić ten dzień pod twoją opieką, muszę się stawić na poświęceniu zamku. – Zwrócił się do Husariego: – Nie musisz posyłać gońca, ibn Muso. Osobiście przekażę twoje wyrazy ubolewania wraz z informacją o twym stanie. Nikt się nie obrazi, uwierz mi. Nikt, a już najmniej księżę Almalik, nie chciałby, żebyś umarł, wydalając kamień na nowym dziedzińcu.

Skłonił się ibn Musie, a potem po raz drugi Dżehanie – ku widocznej dezaprobach zarządcy – i wyszedł.

Nastąpiła chwila milczenia. Dżehana nagle przypomniała sobie, że na targowisku i w świątyni plotkowano, że wysoko urodzone kobiety z Cartady – a także niektórzy mężczyźni – zadawały sobie poważne obrażenia w trakcie kłótni o towarzystwo Ammara ibn Khairana. Dwie osoby zginęły. A może trzy?

Dżehana przygryzła wargę. Potrząsnęła głową, jakby chciała rozjaśnić myśli. To najczystsza, najbardziej jałowa plotka, jaką słyszała, gadanie, na jakie nigdy w życiu nie zwracała uwagi.

Chwilę później do pokoju wszedł pośpiesznie Velaz, więc Dzehana z ulgą zajęła się swoją pracą. Łagodzeniem bólu, przedłużaniem życia, dawaniem nadziei na ulgę, gdy nie mogła dać niczego więcej.

Tego popołudnia w najnowszym skrzydle zamku zebrało się stu trzydziestu dziewięciu mieszkańców Fezany. Niedługo potem to, co nastąpiło, zostało nazwane w całym Al-Rassanie Dniem Fosy. A było tak:

Nowo ukończona część fezańskiego zamku została zbudowana na bardzo niezwykłym i szczególnym planie. Duże dormitorium służące zakwaterowaniu nowych muwardyjskich oddziałów wychodziło na równie duży refektarz, w którym mieli jeść, oraz na świątynię, by mieli się gdzie modlić. Osławiony Ammar ibn Khairan, który towarzyszył gościom oglądającym te sale, był zbyt uprzejmy, by wspomnieć o powodzie przedłużającej się wojskowej obecności w Fezanie, lecz żadnemu z zebranych miejskich dygnitarzy nie mogło umknąć znaczenie takich rozległych pomieszczeń.

Ibn Khairan, wygłaszający niezaprzeczalnie dowcipne i nieskazitelnie uprzejme uwagi, był także zbyt dyskretny, żeby zwracać czyjąkolwiek uwagę, szczególnie podczas uroczystości, na oznaki niepokoju i działalności wywrotowej w mieście. Jednakże pewna liczba osób przemierzających zamek wymieniała między sobą ostrożne spojrzenia. To, co widzieli, miało wyraźnie służyć zastraszeniu.

W rzeczywistości służyło czemuś więcej.

Dziwny układ nowego skrzydła stał się jeszcze, wyraźniejszy, kiedy przeszli – wspaniale odziane stado zamożnych ludzi – przez refektarz i znaleźli się na początku długiego korytarza. Ten wąski tunel, jak wyjaśnił ibn Khairan, zaprojektowany w celach obronnych, prowadził na dziedziniec, gdzie wadzi mieli dokonać poświęcenia i gdzie czekał książę Almalik, dziedzic ambitnego królestwa Cartady.

Członków arystokracji i najzamożniejszych kupców Fezany prowadzili pojedynczo tym ciemnym korytarzem muwardyjscy żołnierze. Zbliżając się do jego końca, każdy z gości widział rozjarzoną plamę słonecznego blasku. Każdy z nich zatrzymywał się tam i mrużył oczy, niemal oślepiiony na granicy światła, a herold oznajmiał z mocą podawane przez nich imiona.

Kiedy goście, mrugając, wchodzili kolejno w oślepiający blask i ruszali do przodu, by pokłonić się zamazanej postaci w białych szatach, siedzącej na poduszce pośrodku dziedzińca, jeden z Muwardyjczyków, stojących po obu stronach łuku tunelu, zamasztyłym ruchem ścinał im głowy.

Muwardyjczycy, w gruncie rzeczy nawykli do czegoś takiego, bawili się swoją pracą trochę bardziej, niż powinni. Na dziedzińcu oczywiście nie czekali żadni wadzi; poświęcenie tego skrzydła zamku odbywało się w inny sposób.

Wraz z upływem upalnego letniego popołudnia elita fezańskiego towarzystwa przemierzała

ów ciemny, chłodny tunel, a potem, oślepią powrotem do słonecznego blasku, zapowiedziana dźwięcznym głosem herolda, wchodziła na biały dziedziniec, gdzie ginęła. Muwardyjczycy zostali starannie wybrani. Nie popełniono najmniejszego błędu. Nikt nie krzyknął.

Padające ciała szybko chwytały inni zawołani współplemieńcy i odciągali je na drugi koniec dziedzińca, gdzie okrągła wieża górowała nad nową fosą, stworzoną przez odwrócenie biegu pobliskiej rzeki Tavares. Trupy wrzucano do wody przez nisko położone okno wieży. Odcięte głowy rzucano niedbale na krwawą stertę opodal siedzącego księcia Cartady. Oczekiwał rzekomo najwybitniejszych obywateli najtrudniejszego z miast, którymi pewnego dnia miał rządzić, jeśli pożyje odpowiednio długo.

Tak się złożyło, że księżę, którego stosunki z ojcem nie do końca były serdeczne, nie został poinformowany o tym zasadniczym, długo planowanym punkcie popołudniowego programu. Temu, co król Almalik z Cartady robił tego dnia, przyświecało kilka celów. Księżę nawet zapytał, gdzie są wadzi. Nikt nie potrafił udzielić mu odpowiedzi. Kiedy pojawił się i został zabity pierwszy człowiek, a jego odcięta głowa spadła z przewracającego się ciała, księżę nie pytał o nic więcej.

W jakiś czas po rozpoczęciu tego morderczego popołudnia, kiedy w palącym słońcu krążyło nad wodą już dość dużo ptaków żywiących się padliną, niektórzy z żołnierzy przebywających na coraz bardziej zakrwawionym dziedzińcu zauważyli, że księciu zaczęła dziwnie drgać lewa powieka, co zniekształcało mu rysy twarzy. Dla Muwardyjczyków była to godna pogardy oznaka słabości. Widzieli jednak, że księżę pozostał na swojej poduszce. I przez cały czas nie poruszył się ani nie odezwał. Patrzył, jak stu trzydziestu dziewięciu ludzi umiera, składając mu oficjalny pokłon.

Nigdy się nie pozbył tego nerwowego tik. Wracał mu on w chwilach napięcia czy radości, bez względu na to, jak bardzo księżę usiłował ukryć ten fakt, stanowił dla dobrze go znających osób niezawodny sygnał, że Almalik przeżywa wielkie emocje. Pozostał także na stałe przypomnieniem – ponieważ wkrótce cały Al-Rassan miał poznać tę historię – skapanego we krwi letniego popołudnia w Fezanie.

Półwysep widział gwałtowną śmierć już wiele razy, od czasów aszaryckiego podboju i jeszcze wcześniej, lecz to było coś szczególnego, coś niezapomnianego. Dzień Fosy. Fragment spuścizny po Almaliku I, Lwie z Cartady. Część dziedzictwa jego syna.

Rzeź zakończyła się dopiero po tym, jak dzwony po raz piąty wezwały pobożnych do modlitwy. Wtedy już liczba ptaków nad rzeką i fosą świadczyła, że dzieje się coś niedobrego. Kilko ciekawskich dzieci wyszło za mury i obeszło je ku północy, by sprawdzić, co zwabia tak wiele ptaków. Zaniosły wieści do miasta. Na wodzie unosiły się bezgłowe ciała. Niedługo potem w domach i na ulicach Fezany rozległy się krzyki.

Takie drażniące uszy dźwięki oczywiście nie przenikały przez zamkowe mury, a z pięknego, ozdobionego arkadami refektarza nie było widać ptaków. Kiedy ostatni z przybyłych gości wyszedł z refektarza tunelem, Ammar ibn Khairan, człowiek, który zabił ostatniego kalifa Al-Rassanu, ruszył tym samym korytarzem na dziedziniec. Słońce chyliło się już wtedy ku zachodowi i światło, ku któremu szedł przez długą, chłodną ciemność ibn Khairan, było łagodne, zapraszające, niemal godne poetyckiego opisu.

ROZDZIAŁ 2

Kiedy Alvar ochłonał po fatalnym zajściu na samym początku konnej wyprawy na południe, podróż okazała się najbardziej emocjonującym i radosnym wydarzeniem jego życia. Nie było to zaskoczeniem; marzył o niej od lat, a rzeczywistość nie zawsze niszczy marzenia młodych ludzi. W każdym razie nie natychmiast.

Gdyby miał nieco mniej racjonalną naturę, mógłby nawet jeszcze bardziej popuścić cugli fantazji, kiedy zwijali obóz po inwokacji o wschodzie słońca piątego ranka, na południe od rzeki Duric. Wyobrażał sobie wtedy przez chwilę, że umarł, przybył z łaski Dżada do Raju Wojowników i że będzie mu wolno po wieczne czasy jeździć przez równiny i stepy za Rodrigiem Belmontem, Komendantem.

Rzeka była już daleko za nimi, podobnie jak mury Carcazji. Minęli otoczone drewnianą palisadą forty Baeza i Lobar, małe, nowo powstałe na pustkowiu placówki. Oddział jechał teraz przez dzikie, wysoko położone, nagie przestrzenie ziemi niczyjej, wzbijając kurz w palącym słońcu. Z rozkazu króla Valledo pięćdziesięciu Jeźdźców Dżada zmierzało do bajecznych miast aszarytów.

Młody Alvar de Pellino był jednym z tej pięćdziesiątki; zaledwie po rocznej służbie jako Jeździec z Esterenu został wybrany na towarzysza wielkiego Rodriga – samego Komendanta – w wyprawie do Al-Rassanu po odbiór daniny. Na świecie naprawdę zdarzały się cuda, chyba że bóg przebywający za słońcem odpowiedział na modlitwy matki Alvara podczas pielgrzymki na Wyspę Świętej Vaski.

Ponieważ istniała taka możliwość, Alvar zwracał się teraz co rano o świcie ku wschodowi i dziękował Dżadowi z całego serca, przysięgając od nowa na żelazo miecza otrzymanego od ojca, że będzie godny boskiego zaufania. Oraz, oczywiście, zaufania Komendanta.

W wojsku króla Ramira było wielu młodych jeźdźców. Konnych z całego Valledo, niektórych ze wspianymi zbrojami i prześwietnymi końmi, niektórych wywodzących się z Prastarych, którzy rządili całym półwyspem i nazwali go Esperanią, i którzy pierwsi poznali prawdy o słonecznym bogu i zbudowali proste drogi. I niemal każdy z nich zgodziłby się pościć przez tydzień, wyrzekłby się kobiet i wina, albo poważnie zastanawiał nad popełnieniem morderstwa, by otrzymać szansę szkolenia przez Komendanta i znalezienia się na całe trzy tygodnie pod baczny, chłodny spójrzaniem szarych oczu Rodriga Belmontego. Zaliczenia, choćby tylko na czas tej jednej misji, w poczet jego towarzyszy.

Bo człowiek może marzyć. Trzy tygodnie mogą się okazać jedynie początkiem, a potem świat może się otworzyć jak obrana i podzielona pomarańcza. Młody jeździec kładł się nocą na derce i patrzył w jasne gwiazdy, czczone przez wyznawców Aszara. Wyobrażał sobie, jak toruje sobie lśniąca drogę przez szeregi niewiernych, by ocalić samego Komendanta od

niebezpieczeństwa i śmierci, jak Rodrigo pozdrawia go i zapamiętuje w trakcie szalejącej bitwy. A potem, po zwycięstwie, widział siebie pijącego niez mieszane wino u boku Komendanta, wyróżniony i przyjęty z honorami do jego oddziału.

Młodzieniec może sobie pomarzyć, prawda?

Dla Alvara problem tkwił w tym, że w niemal zupełnej ciszy nocy lub w rytmie ostrej jazdy pod słońcem boga te wielce zadowalające obrazy ustępowały przed żywym, nieznośnym wspomnieniem tego, co się stało rano w dniu, w którym wyruszyli z Esterenu. Ustępowały szczególnie przed wspomnieniem chwili, kiedy młody Alvar de Pellino – duma i radość jego rodziców oraz trzech siostr – wybrał całkowicie niewłaściwe miejsce do rozpięcia spodni i ulżenia pęcherzowi, zanim jego oddział dosiadł koni i wyruszył w drogę.

Właściwie powinno to być zupełnie rozsądną czynnością.

Zebrał się o świcie na nowo wybudowanym bocznym dziedzińcu pałacu w Esterenie. Alvar, który niemal dostał zawrotów głowy z podekscytowania i jednoczesnych wysiłków ukrycia go, starał się nie rzucać w oczy. Nie był z natury nieśmiałym ani niepewnym siebie młodzieńcem, lecz jeszcze w chwili odjazdu jakaś część jego duszy straszliwie się bała, że jeśli ktoś go zauważy – na przykład Lain Nunez, szczupły towarzysz broni Komendanta – to może uznać obecność Alvara za oczywistą pomyłkę i kazać mu zostać. Gdyby stało się coś takiego, on sam nie miałby innego wyjścia, jak popełnić samobójstwo.

Łatwo było nie rzucać się w oczy wśród pięćdziesięciu mężczyzn i ich koni oraz obładowanych juczych mułów, stłoczonych na zamkniętym dziedzińcu. Było chłodno; mogło to zwieść kogoś nieznanego półwyspu, powiedzmy najemnika z Ferrieres albo Waleski. Alvar wiedział, że później zrobi się bardzo gorąco. Latem zawsze było gorąco. Panował hałas i wszędzie krzatali się ludzie z deskami, narzędziami, taczkami pełnymi cegieł – król Ramiro rozbudowywał pałac.

Alvar sprawdził swoje siodło i juki po raz dwudziesty i starannie unikał czyjegokolwiek wzroku. Usiłował wyglądać na starszego, niż był, dać do zrozumienia, że właściwie to taka rutynowa misja go nudzi. Był na tyle inteligentny, by wiedzieć, że nikogo nie oszuka.

Kiedy na dziedziniec wszedł niezapowiedziany hrabia Gonzalez de Rada, odziany w szkarłat i czern, rozgorączkowanie Alvara osiągnęło jeszcze wyższy poziom. Nigdy przedtem nie widział konetabla Valledo, nawet z daleka. Wśród ludzi Rodriga zapadło krótkie milczenie, a kiedy powrócili do przedodjazdowej krzątany, miała ona nieco odmienny charakter. Alvar poczuł przypływ nieodpartej ciekawości i stanowczo usiłował ją stłumić.

Spostrzegł, że Komendant i Lain Nunez zauważyli przybycie hrabiego i wymienili spojrzenia. Rodrigo odsunął się trochę od pozostałych i czekał na dostojnika, który zastąpił go jako konetabla, kiedy został koronowany król Ramiro. Świta hrabiego zatrzymała się na jedno jego słowo i Gonzalez de Rada szedł dalej sam. Uśmiechał się szeroko. Komendant, jak zauważył

Arvar, nie uśmiechał się wcale. Stojący za Rodrigiem Lain Nunez raptownie odwrócił głowę i z rozmysłem splunął na ziemię dziedzińca.

W tym momencie Alvar uznał, że dalsza obserwacja, nawet spod oka – co, jak zauważył, robili inni, udając zajętych końmi czy ekwipunkiem – będzie już niegrzeczna. Jeździec Dżada, napomniał się stanowczo, nie powinien zajmować się sprawami wielkich. Z poczuciem wyższości Alvar odwrócił się plecami i odszedł w róg dziedzińca, by zająć się na osobności, po drugiej stronie wozu z sianem, własną pilną sprawą.

Dlaczego hrabia Gonzalez de Rada i don Rodrigo Belmonte postanowili w chwilę później znaleźć się w cieniu tego samego wozu, na zawsze już pozostanie jedną z nierozwiązanych tajemnic świata stworzonego przez Dżada, przynajmniej jeśli chodzi o Alvara de Pellino.

We wszystkich trzech dżadyckich królestwach Esperanii wiedziano, że ci dwaj mężczyźni nie darzą się sympatią. Nawet najmłodszym żołnierzom, nowicjuszom w królewskim wojsku, udało się usłyszeć chociaż kilka historii na ich temat. Opowieść o tym, jak podczas koronacji króla Ramira Rodrigo Belmonte, przed złożeniem przyrzeczenia wierności, zażądał, by nowy król przysiągł, iż nie miał udziału w śmierci swego brata, znali wszyscy. Stanowiła część legendy Komendanta.

„Mogła nawet być prawdziwa”, mruknął cynicznie pewnego wieczoru Alvar do kilku towarzyszy od kielicha w żołnierskiej gospodzie. Był już znany z podobnych uwag. Dobrze, że umiał walczyć. Ojciec ostrzegał go wiele razy, że w wojsku Valledo szybki język może być raczej przeszkodą niż atutem.

Mimo bystrych uwag młodych żołnierzy prawda była taka, że chociaż Rodrigo Belmonte złożył przysięgę wierności, a król Ramiro przyjął go jako swego człowieka, to na konetabla – urząd, który Rodrigo sprawował dla zmarłego króla Raimunda – nowy król mianował Gonzaleza de Radę. Zatem to hrabia Gonzalez był formalnie odpowiedzialny za, między innymi, nadzór nad wyborem i awansami młodych ludzi z całego Valledo na stanowiska w królewskiej armii.

Co prawda nie zauważono, by wielu młodszych jeźdźców znacznie odstępowało od zbiorowego przekonania, że jeśli chciało się zostać należycie wyszkolonym, to robiło się wszystko, by jeździć z Komendantem. A jeśli chciało się zostać zaliczonym do elitarnych żołnierzy półwyspu, świata, proponowało się pieniądze, ziemię, własne siostry, a w razie potrzeby własne młode ciało komukolwiek, kto potrafił załatwić przydział do oddziału Rodriga.

Zresztą i tak nikt nie mógł kogokolwiek w nim za te łapówki umieścić. Komendant dokonywał własnych wyborów, często nieoczekiwanych, a doradzał mu wyłącznie stary i szczerbaty Lain Nunez. Lain wyraźnie nie był zainteresowany przyjemnościami, jakich rzekomo dostarczali chłopcy, a Komendant... cóż, sama myśl o tym stanowiła niemal świętokradztwo. Poza tym Miranda Belmonte d'Alveda była najpiękniejszą kobietą świata. Tak zgodnie twierdzili wszyscy młodzieńcy w Esterenie, choć prawie żaden z nich jej nigdy nie

widział.

Tego poranka Alvar de Pellino, sikając na koło wozu na bocznym dziedzińcu estereńskiego pałacu i podsłuchując pewne rzeczy, których nie powinien był usłyszeć, zaliczał się do tych, którzy nie poznali żony Komendanta. Tak naprawdę to nikogo nie poznał. Przybył z gospodarstwa na północnym zachodzie przed niecałym rokiem. Wciąż nie mógł uwierzyć, że pozwolą mu ze sobą pojechać.

Usłyszał kroki i głosy zbliżające się z drugiej strony wozu; nie stanowiło to powodu do niepokoju. Niektórzy mężczyźni muszą opróżnić pęcherz albo jelita w samotności; chociaż tacy nie utrzymywali się w wojsku długo. W chwili, kiedy Alvar o tym pomyślał, mięśnie krocza zacisnęły mu się w tak mocnym skurczu, że przerwały strumień moczu. Wstrzymał oddech, rozpoznawszy oschły ton Komendanta, a potem zdał sobie sprawę, że głos drugiego mężczyzny – brzmiący jak powoli wylewany miód – należy do hrabiego Gonzaleza.

Alvar de Pellino musiał szybko podjąć decyzję i podjął, jak się później okazało, niewłaściwą. Ogarnięty paniką, irracjonalnie pragnął pozostać niezauważony i niemal zrobił sobie krzywdę, wstrzymując resztki moczu. Żywił głęboką nadzieję, że obaj mężczyźni znaleźli się tu tylko po to, by wymienić uprzejmości.

– Jeśli będziesz sprawiał kłopoty, mogę kazać zabić twoich synów i spalić twoją hacjendę – rzekł dość przyjemnym tonem Gonzalez de Rada.

Alvar uznał, że najmądrzej będzie przez jakiś czas nie oddychać.

– Spróbuj – odparł energicznie Komendant. – Chłopcom przydałaby się jakaś praktyczna lekcja obrony przed atakiem, choćby i nieudolnym. Zanim jednak odejdiesz, wyjaśnij, proszę, w jaki sposób to ja miałbym robić kłopoty, a nie ta świnia, twój brat.

– Co cię obchodzi, Belmonte, że jakiś de Rada postanowi wybrać się do Al-Rassanu na wyprawę łupieżczą?

– Ach, tak. Jeśli o to chodzi, to po co prosisz mnie, bym przymknął oczy i udawał, że go nie widzę?

– Usiłuję jedynie zaoszczędzić ci krępującego...

– Nie zakładaj, że wszyscy są głupcami, de Rada. Odbieram daninę od Fezany dla króla. Jedyną podstawą jej ściągania jest to, że Ramiro oficjalnie zagwarantował miastu i jego okolicom bezpieczeństwo i ochronę. Nie tylko przed zbójcami, jego bratem z Ruendy czy przed innymi królewiatkami Al-Rassanu, ale i przed błaznami z jego własnego kraju. Jeśli twój brat chce się bawić w napaści dla samej zabawy, to lepiej niech tego nie robi, kiedy ja patroluję teren. Jeśli zobaczę go gdziekolwiek w okolicy Fezany, rozprawię się z nim w imieniu króla. Zrobisz bratu przysługę, wyjaśniając mu to.

Teraz w jego twardym jak żelazo głosie nie było kpiarskiej czy ironicznej nuty.

Zapadło milczenie. Alvar słyszał, jak Lain Nunez wykrzykuje przy koniach rozkazy.

Wyglądał na rozniewanego. Często sprawiał takie wrażenie. Mimo wszelkich wysiłków Alvar musiał odetchnąć. Zrobił to jak najciszej.

– Nie napawa cię najmniejszą troską – rzekł Gonzalez de Rada pozornie poważnym, niemal łagodnym tonem – że wyruszasz na tereny niewiernych po tak nierozważnej rozmowie z konetabłem Valledo, zostawiając twoją biedną żonę samą z dziećmi i parobkami?

– Jednym słowem – odrzekł Komendant – nie. Po pierwsze, zbyt cenisz własne życie, by uczynić sobie ze mnie prawdziwego wroga. Nie będę subtelny: jeśli w zasięgu pół dnia jazdy od mojej hacjendy pojawi się ktokolwiek, kogo da się powiązać z twoją osobą, będę wiedział, jak postąpić, i tak zrobię. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz. Mówię o zabiciu cię. Po drugie, mogę mieć własne zdanie na temat wstąpienia na tron naszego króla, ale uważam go za uczciwego człowieka. Jak myślisz, co zrobi król Ramiro, kiedy posłaniec powtórzy mu słowo w słowo tę rozmowę?

Gonzalez de Rada sprawiał wrażenie rozbawionego.

– Poważylbyś się przeciwstawić przed królem swoje słowo mojemu?

– Pomyśl, człowieku – rzekł Komendant ze zniecierpliwieniem. Alvar znał już ten ton. – On wcale nie musi mi uwierzyć. Kiedy jednak dotrze do niego wiadomość o twojej groźbie – a stanie się to publicznie, obiecuję ci – to co mógłby zrobić król, gdyby mojej rodzinie stała się jakaś krzywda?

Znów zapanowało milczenie. Kiedy de Rada odezwał się ponownie, rozbawienie zniknęło z jego głosu.

– Naprawdę byś mu o tym powiedział? To niemądre. Mógłbyś zmusić mnie do działania, Belmonte.

– Tak jak ty teraz zmusiłeś mnie. Usilnie cię proszę, byś rozważył alternatywę. Zachowaj się jak starszy, mądrzejszy brat. Powiedz temu brutalnemu dziecku w skórze mężczyzny, Garcii, że nie można pozwolić, by jego gierki skompromitowały królewskie prawa i dyplomację. Czy to doprawdy zbyt trudne dla konetabla Valledo?

Nastąpiła kolejna chwila ciszy, tym razem dłuższa.

– Zrobię, co mogę, by nie wszedł ci w drogę – rozległy się ostrożnie wypowiedziane słowa.

– A ja zrobię, co mogę, by pożałował, jeśli stanie się inaczej. Jeśli nie uszanuje zaleceń starszego brata. – Głos Rodriga nie brzmiał ani tryumfalnie, ani ustepliwie.

– Nie doniesiesz o tym królowi?

– Będę musiał się nad tym zastanowić. Na szczęście w razie potrzeby mam świadka. – Podniósł głos i bez żadnych ceregieli dorzucił: – Alvarze, skończ to, co robisz, w imię boga, trwa to już tak długo, że mógłbyś zatopić dziedziniec. Chodź, przedstawię cię konetablowi.

Alvar, czując, że serce ma znacznie wyżej, niż zwykle można było je znaleźć, stwierdził, że jego ciało zawiera tyle wilgoci, co pustynne piaski. Zapiął niezdarnie guziki spodni i wyszedł

ostrożnie zza wozu. Purpurowy ze wstydu i niepokoju, odkrył, że twarz hrabiego Gonzaleza poczerwieniała w równym stopniu – chociaż w głęboko osadzonych, piwnych oczach dostrzegł wściekłość.

Rodrigo mówił obojętnym tonem, jakby był nieświadom uczuć ich obu.

– Panie hrabio, przyjmij pozdrowienie od jednego z moich towarzyszy podczas tej misji, syna Pellina de Damona. Alvarze, ukłoń się konetablowi.

Zdezorientowany, roztrzęsiony Alvar wykonał polecenie. Gozalez de Rada skinął mu krótko głową. Minę miał ponurą jak zima na północy, kiedy zaczynają się wiatry.

– Chyba znam twojego ojca – rzekł. – Utrzymywał fort na południowym zachodzie dla króla Sancza, prawda?

– Straż Marana, tak, panie. Jestem zaszczycony, że zechciałeś go sobie przypomnieć.

Alvar był zdumiony, że głos mu dopisuje na tyle, by udało mu się to wszystko powiedzieć. Nie podnosił wzroku.

– A gdzie jest teraz twój ojciec?

Niewinne, uprzejme pytanie, lecz po tym, co usłyszał z drugiej strony wozu, Alvarowi wydało się, że wychwycił delikatny powiew groźby. Nie miał jednak wyboru. To był konetabl Valledo.

– Pozwolono mu opuścić wojsko, panie, po tym jak otrzymał ranę podczas ataku aszarytów. Teraz mamy na północy gospodarstwo.

Gonzalez de Rada milczał długą chwilę. W końcu odchrząknął.

– O ile pamięć mi dopisuje – odezwał się – twój ojciec słynął z dyskrecji.

– Oraz z lojalności wobec przełożonych – wtrącił energicznie Komendant. – Alvarze, wsiądź na konia, zanim Lain obedrze cię ze skóry za opóźnianie nas wszystkich.

Młodzieniec skłonił się z ulgą obu mężczyznom i pośpiesznie odszedł w drugi koniec dziedzińca, gdzie czekali żołnierze z końmi; był to o wiele prostszy świat od tego, w który wdepnął przy wozie.

Późnym rankiem tego samego dnia don Rodrigo Belmonte opuścił swoje miejsce blisko czoła kolumny i skinął Alvarowi głową, by do niego podjechał.

Z sercem walącym z niepokoju i przeczuwając katastrofę, młodzieniec zjechał za swoim Komendantem na bok. Przecinali Wzgórza Vargasu, jedną z najpiękniejszych krain Valledo.

– W wiosce za tym zachodnim grzbietem urodził się Lain – zaczął swobodnym tonem Komendant. – A przynajmniej tak twierdzi. Powiem mu, że to kłamstwo. Że wyklął się z jaja na bagnach i był wtedy równie łysy, jak teraz.

Alvar czuł zbyt wielkie zdenerwowanie, by się roześmiać. Udało mu się przywołać na wargi słaby uśmiech. Po raz pierwszy był z don Rodrigiem sam na sam. Spotwarzony Lain Nunez

jechał na przodzie, znów chrapliwie wydając rozkazy. Wkrótce mieli stanąć na południowy popas.

– Słyszałem o pewnym człowieku w Al-Rassanie, który dawno temu bał się wyjść z bankietu wydanego przez kalifa – ciągnął tym samym, łagodnym tonem Komendant. – Tak długo wstrzymywał mocz, aż pękł mu pęcherz, a on sam umarł, nim podano deser.

– Mogę w to uwierzyć – odparł żarliwie Alvar.

– Co powinieś tam wtedy zrobić? – zapytał Komendant. Ton jego głosu się zmienił, ale tylko nieznacznie.

Od wyjechania za mury Esterenu Alvar nie myślał o niczym innym.

– Powiniennem odchrząknąć albo zakaszleć – odparł cicho.

Rodrigo Belmonte skinął głową.

– Zagwizdać, zaśpiewać, splunąć na koło. Cokolwiek, co uświadomiłoby nam twoją obecność. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

Nie istniała dobra, inteligentna odpowiedź, więc Alvaro powiedział prawdę.

– Bałem się. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że zabierasz mnie na tę wyprawę. Nie chciałem zostać zauważony.

Komendant ponownie skinął głową. Popatrzył obok Alvara na falujące wzgórza i gęsty sosnowy las na zachodzie. A potem jego spojrzenie przesunęło się i Alvar poczuł się przygwożdżony spojrzeniem czystych, szarych i bystrych oczu.

– W porządku. Pierwsza lekcja. Nie wybieram ludzi do mojego oddziału, nawet na krótką wyprawę, przez niedopatrzenie. Jeśli zostałeś do niego przydzielony, to był po temu powód. Nie toleruję czegoś takiego u wojownika. Zrozumiano?

Alvar szarpnął głową w górę i w dół. Odetchnął głęboko. Zanim zdołał się odezwać, Komendant podjął temat na nowo.

– Druga lekcja. Powiedz mi, dlaczego twoim zdaniem wywołałem cię z za wozu? Stworzyłem ci wroga – drugiego co do potęgi człowieka w Valledo. To nie było szlachetne z mojej strony. Dlaczego to zrobiłem?

Alvar odwrócił wzrok od Komendanta i przez chwilę jechał w milczeniu, zastanawiając się. Nie wiedział tego, ale jego twarz przybrała wyraz, który zwykle wywoływał w jego rodzinie niepokój. Myśli Alvara czasami prowadziły go do nieoczekiwanych, niebezpiecznych wniosków. Tak się stało i teraz. Zerknął na don Rodriga, lecz zaraz odwrócił wzrok, powodowany niespotykaną u niego ostrożnością.

– Mów! – warknął Komendant.

Alvar nagle zapragnął znaleźć się z powrotem w rodzicielskim gospodarstwie, siać zboże z ojcem i parobkami, czekać, żeby jedna z siostr przyniosła na pole piwo, ser, chleb i plotki z domu. Przełknął ślinę. Wkrótce może się tam znaleźć. Nigdy jednak nie mówiono, że syn

Pellina de Damona jest tchórzem albo, jeśli już o to chodzi, że nazbyt starannie skrywa swoje myśli.

– Nie myślałeś o mnie – odezwał się tak stanowczo, jak umiał. Nie było sensu tego mówić, jeśli jego głos miałby brzmieć jak jęk drżącego dziecka. – Kazałeś mi wyjść, żeby postawić mnie między hrabią Gonzalezem i twoją rodziną. Sam mogę być nikim, lecz mój ojciec był znany i konetabl zdaje sobie teraz sprawę, że jestem świadkiem tego, co zaszło dziś rano. Stanowię ochronę dla twojej żony i synów.

Zamknął oczy. Kiedy je otworzył, zobaczył, że Rodrigo Belmonte pokazuje w uśmiechu zęby. Jakimś cudem Komendant nie wyglądał na rozgniewanego.

– Jak powiedziałem, był powód wyznaczenia cię do próby podczas tej misji. Nie mam nic przeciwko bystrym ludziom, Alvarze. Co prawda, w pewnych granicach. Być może masz nawet rację. Być może zachowałem się całkowicie samolubnie. To do mnie podobne, jeśli grozi się mojej rodzinie. Rzeczywiście, stworzyłem ci potencjalnego wroga. Nawet do pewnego stopnia naraziłem twoje życie. Przywódca, który robi coś takiego jednemu ze swoich ludzi, nie postępuje zbyt honorowo, prawda?

To była kolejna próba i Alvar o tym wiedział. Ojciec mówił mu wiele razy, że byłoby dla niego lepiej, gdyby trochę mniej myślał i o wiele mniej mówił. Lecz pytał go sam don Rodrigo Belmonte, Komendant, i to pytanie wręcz wymagało namysłu. Alvar uznał, że pewnie mógłby się jakoś wykręcić od odpowiedzi. Może tego się po nim spodziewano. Jechali jednak do Al-Rassanu przez porośnięte sosnami Wzgórza Vargasu, których nigdy przedtem nie widział, a znalazł się w tym oddziale z jakiegoś powodu. Komendant właśnie tak powiedział. Nie zamierzają go odesłać. Z każdą chwilą Alvar odzyskiwał kontenans.

– Czy to był postępek honorowy? – zapytał. – Nie bardzo, jeśli naprawdę chcesz poznać moje zdanie. W czasie wojny dowódca może oczywiście zrobić ze swoimi ludźmi wszystko, ale nie wiem, czy tak powinien uczynić w prywatnej zwadzie, panie.

Przez chwilę myślał, że posunął się za daleko. I wtedy don Rodrigo znów się uśmiechnął; w szarych oczach malowało się prawdziwe rozbawienie. Komendant pogładził wąsy dłonią w rękawicy.

– Wyobrażam sobie, że swoją szczerością przysparzałeś ojcu nieco trosk, chłopcze.

Alvar odważemnił uśmiech.

– Owszem, czasami mnie napominał, panie.

– Napominał?

Alvar kiwnął głową.

– No cóż, szczerze mówiąc, nie wiem, co więcej mógłby...

Alvar nie był drobnym człowiekiem, a życie w leżącym na północy gospodarstwie nie należało do łatwych; jeszcze mniej okazji do pielęgnowania słabości stwarzał mu rok służby

w królewskim wojsku w Esterenie. Alvar był silny i szybki, był także dobrym jeźdźcem. Niemniej jednak pięść, której nie zauważył, uderzyła go w głowę niczym młot i wysadziła z siodła, jakby był dzieckiem.

Alvar szybko usiadł w trawie, plując krwią. Jedną ręką pomacał się po szczęce, która prawdopodobnie była złamana. Stało się: ostrzeżenia ojca właśnie się sprawdziły. Przez swój kretyński zwyczaj mówienia wszystkiego, co myśli, zaprzepaścił szansę, za jaką każdy młody żołnierz oddałby życie. Rodrigo Belmonte otworzył przed nim drzwi, a Alvar butnie przez nie przeszedł i padł na twarz. Albo raczej na łokieć i siedzenie.

Podniósł wzrok na Komendanta, trzymając się za twarz. Oddział zatrzymał się nieopodal i jeźdźcy przyglądali się im obu.

– Musiałem też raz czy dwa tak samo postąpić z moimi synami – rzekł Rodrigo. To nieprawdopodobne, ale wciąż wyglądał na rozbawionego. – Niewątpliwie będę musiał to robić jeszcze przez kilka lat. A teraz lekcja trzecia, Alvarze de Pellino. Czasami źle jest się ukrywać, tak jak schowałeś się za wozem. Czasami równie źle jest wrywać się ze swoim zdaniem, zanim zostanie przemyślane do końca. Daj sobie trochę więcej czasu na nabranie takiej pewności siebie. Będiesz mógł się nad tym zastanowić po drodze. I może przy okazji rozważysz kwestię, czy bezprawny wypadek do Al-Rassanu bandy kumpli Garcii de Rady udających banitów mógłby przenieść tę sprawę z obszaru prywatnej zwady w zupełnie inną sferę. Jestem oficerem króla Valledo, podobnie jak ty, póki należysz do tego oddziału. Konetabl usiłował groźbą odwieść mnie od służby królowi. Czy to jest prywatna sprawa, mój młody filozofie?

– Na jaja boga, Rodrigo! – rozległ się charakterystyczny głos, zbliżający się od czoła kolumny. – Czym dzieciak Pellina zasłużył sobie na coś takiego?

Don Rodrigo odwrócił się do Laina Nuneza kłusującego w ich stronę.

– Powiedział, że jestem samolubny i nieuczciwy wobec moich ludzi. Oskarżył mnie o wykorzystywanie ich w moich prywatnych sprawach.

– To wszystko? – Lain splunął w trawę. – W naszych czasach jego ojciec mówił mi o wiele gorsze rzeczy.

– Naprawdę? – Komendant wydawał się zaskoczony. – De Rada niedawno powiedział, że sływał z dyskrecji.

– Końskie siki – stwierdził zwięźle Lain Nunez. – Dlaczego miałbyś wierzyć w cokolwiek, co mówi jakiś de Rada? Pellino de Damon miał zdanie na temat wszystkiego pod bożym słońcem. Doprowadzał mnie niemal do szału. Musiałem to znosić, dopóki nie załatwiłem mu awansu na komendanta fortu w pobliżu ziemi niczyjej. W życiu nie byłem tak szczęśliwy, jak wtedy, gdy zobaczyłem jego tyłek na oddalającym się ode mnie koniu.

Alvar wytrzeszczał oczy, patrząc na nich obu; gdyby szczęka nie bolała go tak bardzo, z pewnością by mu opadła. Był zbyt oszołomiony, żeby wstać z trawy. Przez większość życia

Alvara jego cichy, cierpliwy ojciec łagodnie przestrzegał go przed złem płynącym z wyjawiania swoich myśli bez ogródek.

– Ty sam jesteś tak pełen końskich sików, jak zaden de Rada, którego kiedykolwiek spotkałem – stwierdził don Rodrigo, szczerząc w uśmiechu zęby do starego żołnierza.

– To, pragnę zauważyć, stanowi śmiertelną obelgę – wychrypiał Lain Nunez, przywołując na pooraną zmarszczkami twarz wyraz wściekłego oburzenia.

Rodrigo się roześmiał.

– Kochałeś ojca tego człowieka jak brata. Powtarzasz mi to od lat. Sam wybrałeś jego syna na tę wyprawę. Chcesz zaprzeczyć?

– Zaprzeczę wszystkiemu, co trzeba – odparł z przekonaniem stary wyjadacz. – Ale jeśli chłopak Pellina już cię zmusił do wymierzenia mu ciosu, to być może popełniłem straszliwy błąd.

Obaj spojrzeli w dół na Alvara, kręcąc głowami.

– To całkiem możliwe – rzekł w końcu Komendant. Nie wyglądał na szczególnie zaniepokojonego. – Wkrótce się przekonamy. Wstań, chłopcze – dodał. – Przyłóż sobie do twarzy coś zimnego, bo inaczej przez jakiś czas będziesz miał trudności z wyrażaniem opinii na jakikolwiek temat.

Lain Nunez już zawrócił konia. Komendant zrobił teraz to samo. Alvar wstał.

– Komendancie! – zawołał z trudem.

Don Rodrigo obejrzał się przez ramię. Zaciekawione spojrzenie szarych oczu spoczęło na młodzieńcu. Alvar wiedział, że znów może przeholować. Trudno. Zdaje się, o dziwo, że jego ojciec też taki był. Będzie potrzebował trochę czasu, by się z tym uporać. I właściwie to chyba nie dzięki pielgrzymce jego matki na Wyspę Vaski trafił do tego oddziału.

– Mmm... pewne okoliczności nie pozwoliły mi dokończyć ostatniej myśli. Chciałem tylko powiedzieć, że z dumą zginąłbym w obronie twojej żony i synów.

Usta Komendanta drgnęły. Znów był rozbawiony.

– W gruncie rzeczy jest bardziej prawdopodobne, że zginąłbyś, broniąc się przed nimi. No, Alvarze, mówiłem poważnie, żebyś przyłożył sobie coś do szczęki. Jeśli nie zlikwidujesz opuchlizny, przestraszysz kobiety w Fezanie i zniweczysz swoje szanse wobec nich. A tymczasem pamiętaj, że powinieneś się zastanowić, nim odezwiesz się następnym razem.

– Ale ja myślałem...

Komendant uniósł dłoń w ostrzegawczym geście. Alvar zamilkł raptownie. Rodrigo pogalopował do oddziału i w chwilę później Alvar podprowadził własnego konia do miejsca, gdzie wszyscy zatrzymali się na południowy posiłek. Co dziwne, mimo bólu szczęki, na który szmatka namoczona w wodzie pomagała tylko w niewielkim stopniu, wcale nie czuł się źle.

I naprawdę już myślał. Nie mógł nic na to poradzić. Uznał, że Komendant miał rację,

twierdząc, że wypad Garcii de Rady przenosi sprawę z obszaru prywatnej zwady do obszaru spraw króla. Alvar szczylił się tym, że zawsze chętnie przyjmował mądre argumenty innych ludzi.

Wszystko to nastąpiło przed kilkoma dniami. Spuchnięta, ale nie złamana szczeka pomagała Alvarowi w trudnym zadaniu zachowywania dla siebie rozwijających się gwałtownie myśli.

Odbieranie *parias* od Fezany dwa razy do roku stało się już niemal czynnością rutynową, bardziej ćwiczeniem dyplomatycznym niż militarnym. Dla króla Ramira większą wagę miało wysłanie przywódcy na miarę don Rodriga niż ruszenie armii. W Fezanie wiedzieli, że Ramiro może wysłać armię. Danina nie była wstrzymywana, lecz zbierano ją powoli i zanim wrócą ze złotem z Al-Rassanu, będzie ich to kosztowało sporo wysiłku. Tego wszystkiego Alvar dowiedział się podczas patroli z Ludusem albo Martinem, najbardziej doświadczonymi wśród zwiadowców.

Nauczyli go też innych rzeczy. To mogła być rutynowa wyprawa, ale Komendant nigdy nie tolerował niedbalstwa, a szczególnie na ziemi niczyjej czy w samym Al-Rassanie. Nie jechali na południe, by wydać bitwę, lecz mieli do przekazania wyobrażenie, czy też wiadomość, że nikt nigdy nie chce stanąć do walki z Jeźdźcami z Valledo, a zwłaszcza dowodzonymi przez Rodriga Belmontego.

Ludus nauczył Alvara, jak z ruchów ptaków domyślić się obecności strumienia lub stawu na smaganym wiatrem płaskowyżu. Martin pokazał mu, jak czytać pogodę z chmur – tutaj, na południu, oznaki bardzo się różniły od tych, które Alvar znał z dalekiej północy, znad morza. A sam Komendant doradził mu skrócić strzemiona. Wtedy don Rodrigo odezwał się do Alvara po raz pierwszy od czasu, kiedy owego feralnego ranka powalił go ciosem pięści.

– Przez kilka dni będziesz się dziwnie czuł – rzekł – ale potem to wrażenie przejdzie. Wszyscy moi ludzie uczą się jechać do bitwy w ten sposób. Każdy z nich to potrafi. Podczas walki może zaistnieć potrzeba uniesienia się w strzemionach lub zeskoczenia z konia. Będzie ci łatwiej to zrobić z krótszymi strzemionami. Może ci to ocalić życie.

Wtedy przemierzali już ziemię niczyją i zbliżali się do dwóch niewielkich fortów, które król Ramiro zbudował, kiedy zaczął pobierać *parias* od Fezany. Garnizony stacjonujące w fortach szaleńczo się ucieszyły na ich widok, choć w każdym zatrzymywali się tylko na jedną noc, by zostawić listy, plotki i zaopatrzenie.

Alvar uświadomił sobie, że życie w Lobarze i Baezie jest zapewne pełne samotności i niepokoju. Wraz z upadkiem kalifatu w Al-Rassanie równowaga na półwyspie mogła zacząć się zmieniać. Był to jednak proces ewolucyjny, a nie spełniona rzeczywistość, i w umieszczeniu przez Valledan choćby małych garnizonów w *tagrze* tkwił więcej niż drobny element prowokacji. Była to garstka żołnierzy przebywająca w rozległej pustce, niebezpiecznie blisko aszaryckich

mieczy i strzał.

Na początku, przed dwoma laty, król Ramiro próbował zachęcać do osadnictwa wokół fortów. Nie mógł zmusić ludzi, by tam pojechali, ale zaproponował zwolnienie od podatków na dziesięć lat – zważywszy na koszt systematycznie rozrastającego się wojska, nie była to bagatela – oraz zwyczajowe wsparcie militarne. To nie wystarczyło. Tylko piętnaście czy dwadzieścia rodzin z północy, wyraźnie znajdujących się w beznadziejnym położeniu, było na tyle odważnych, nierozważnych czy zdesperowanych, by spróbować nowego życia tu, na progu Al-Rassanu.

Okoliczności mogły się zmieniać z każdym rokiem, lecz pamięć o wojskach kalifatu, przetaczających się z grzmiotem na północ przez te wysoko położone równiny, była jeszcze świeża. A wszyscy zorientowani w sytuacji wiedzieli, że król jest zbyt zajęty działaniami swego brata i wuja w Ruendzie i Dżalonii, by lekkomyślnie wspierać dwa niepewne garnizony stacjonujące w *tagrze* oraz przycupnięte wokół nich rodziny.

Równowaga była chwiejna, lecz istniała i można było ten fakt ignorować tylko na własne ryzyko. Rozmyślając w drodze na południe o zmrużonych oczach i pełnych niepokoju twarzach ludzi, których widział na polach przy obu fortach, Alvar uznał, że są dla gospodarza gorsze rzeczy niż cienka warstwa gleby i wczesne mrozy na północy przy granicy z Ruendą. Nawet same pola tutaj, na południu, wydawały się żałosne i mizerne, niczym drobne zadrapania na szerokich przestrzeniach pustej poza tym krainy.

Co prawda, Komendant chyba nie widział tego w ten sposób. Don Rodrigo zatrzymywał się przy każdym napotkanym rolniku i zsiadał z konia, by chwilę porozmawiać. Alvar był raz na tyle blisko, by go podsłuchać – mówili o płodozmianie i opadach deszczu w *tagrze*.

– To nie my jesteśmy prawdziwymi wojownikami Valledo – oznajmił swoim towarzyszom po jednej z takich rozmów. – Są nimi ci ludzie. Ci z was, którzy o tym zapomną, popełnią błąd.

Wypowiadając te słowa, miał niezwykle ponurą minę, jakby rzucał im wyzwanie, by się z nim nie zgodzili. Alvar nie miał ochoty w ogóle nic mówić. Pograżony w myślach, potarł posiniaczoną, porośniętą świeżą płową brodą szczękę.

Monotonny krajobraz płaskowyżu się nie zmienił, nie było też żadnych znaków granicznych, ale późnym popołudniem następnego dnia stary Lain Nunez oznajmił głośno:

– Jesteśmy już w Al-Rassanie.

Trzy dni później zwiadowcy dostrzegli przed zachodem słońca rzekę Tavares i niedługo potem Alvar po raz pierwszy w życiu ujrzał złociste w przedwieczornym świetle wieże i mury Fezany, wpasowanej w zakole skracającej na północ rzeki.

Coś dziwnego pierwszy zauważył Ludus. Nad rzeką przy północnym murze miasta krążyło i pikowało zdumiewająco wiele ścierwojadów. Alvar nigdy nie widział czegoś takiego. Były ich

tysiące.

– Coś takiego spotyka się na polu bitwy – rzekł cicho Martin. – To znaczy, kiedy skończy się walka.

Lain Nunez, który mrużył oczy, by lepiej widzieć, odwrócił się po chwili do Komendanta, obrzucając go pytającym spojrzeniem. Don Rodrigo nie zsiadł z konia, zatem i oni pozostali w siodłach. Długo patrzył na leżącą w oddali Fezanę.

– W wodzie są trupy – odezwał się w końcu. – Dzisiaj rozbijemy obóz tutaj. Nie chcę podjeżdżać bliżej ani wchodzić do miasta, dopóki nie będziemy wiedzieć, co tam zaszło.

– Mam wziąć kilku ludzi i spróbować się dowiedzieć? – zapytał Martin.

Komendant pokręcił głową.

– Wątpię, byśmy musieli to robić. Rozpalimy wieczorem duży ogień. Podwój strażę, Lainie, ale chcę, żeby wiedzieli, że tu jesteśmy.

W jakiś czas później, po wieczornym posiłku i modlitwie o zachodzie słońca o bezpieczną nocną podróż boga, zebrali się wokół ogniska; Martin grał na gitarze, a Ludus i Barano śpiewali pod lśniącymi gwiazdami.

Tuż po wschodzie białego księżyca, który był niemal w pełni, do obozu wjechały trzy osoby. Nie próbowały się ukrywać.

Przybysze zsiadli z mułów, a strażnicy przyprowadzili ich do ogniska. Muzyka i śpiew ustały i Rodrigo Belmonte oraz jego towarzysze dowiedzieli się, co zaszło tego dnia w Fezanie.

ROZDZIAŁ 3

Późnym popołudniem do sypialni Husariego ibn Musy dobiegły krzyki z ulicy. Wysłano niewolnika, by się dowiedział, o co chodzi. Wrócił z wieściami i twarzą szarą jak popiół.

Nie uwierzyli mu. Przyjęli do wiadomości rzeczywistość dopiero wtedy, gdy przyjaciel ibn Musy, inny, mniej zamożny kupiec – najwyraźniej ocaliwszy życie – przysłał gońca z tą samą wiadomością. Wszyscy, którzy tego ranka poszli do zamku, zginęli. Bezgłowe ciała pływały w fosie i rzece, stanowiąc pokarm dla skrzydlatych padlinożerców. Zdaje się, że bardzo skutecznie działający król Cartady uznał, iż tylko w ten sposób można całkowicie zażegnać groźbę powstania w Fezanie. W zasadzie wszystkie najpotężniejsze osobistości przebywające w mieście zostały wyeliminowane w ciągu jednego popołudnia.

Pacjent Dzehany, uwielbiający luksus handlarz jedwabiem, który miał się znaleźć – bez względu na to, jak bardzo było to nieprawdopodobne – wśród trupów unoszących się w fosie, leżał na łóżku z oczyma zakrytymi dłońią, drżący i wyczerpany po wydaleniu kamienia nerkowego. Usiłując niezbyt skutecznie uporać się z własnym wzburzeniem, Dzehana uważnie mu się przyglądała. Jej ucieczką, jak zawsze, był zawód, jaki wykonywała. Zadowolona z panowania nad swoim głosem, cicho poleciła Velazowi, by zmieszał kolejną dawkę środka nasennego.

– Już dosyć, Dzehano, proszę cię. – Ibn Musa opuścił dłoń i otworzył oczy. – Głos miał słaby, ale w miarę wyraźny. – Muszę mieć jasny umysł. Być może przyjdą po mnie. Powinnaś opuścić ten dom.

Dzehana nie pomyślała o tym. Oczywiście miał rację. Nie było szczególnego powodu, dla którego pustynni zabójcy Almalika mieliby pozwolić, żeby przypadkowa dolegliwość miała ich pozbawić głowy Husariego. A jeśli chodzi o lekarkę – kindathijską lekarkę – która tak niedogodnie zatrzymała go w domu...

Wzruszyła ramionami. „Nieważne, w którą stronę wieje wiatr; deszcz spadnie na Kindathów”. Spojrzała Husariemu w oczy. W twarzy miał coś strasznego, co stale narastało, grozę przybierającą kształt i nazwę. Dzehana zastanawiała się, jak ona sama wygląda, zmęczona i zmarnowana po spędzeniu większości dnia w tym ciepłym, dusznym pokoju, a teraz przytłoczona straszną wiadomością. Rzezią.

– Nie ma znaczenia, czy zostanę, czy wyjdę – stwierdziła, znów zaskoczona spokojem, z jakim to powiedziała. – Ibn Khairan wie, kim jestem, pamiętasz? To on mnie tu przyprowadził.

Co dziwne, jakaś jej część wciąż chciała zaprzeczyć, że to Ammar ibn Khairan zorganizował tę hurtową masakrę niewinnych ludzi. Dzehana nie umiała określić, dlaczego jest to dla niej ważne. O tym, że ibn Khairan był zabójcą, wiedział cały Al-Rassan. Czy ma jakiegokolwiek znaczenie to, że zabójca jest wyrafinowany i zabawny? Że wie, kim jest jej ojciec, i że dobrze

o nim mówił?

Usłyszała za plecami dyskretne kasznięcie Velaza, oznaczające, że służący ma coś pilnego do powiedzenia. Robił to zwykle wtedy, gdy nie zgadzał się z wyrażanymi przez nią poglądami.

– Wiem – rzekła Dżehana, nie oglądając się na niego. – Uważasz, że powinniśmy stąd wyjść.

– Według mnie wielce czcigodny ibn Musa mądrze radzi, pani – mruknął cicho siwowłosy służący, który przedtem służył jej ojcu. – Muwardyjczycy mogą się dowiedzieć od ibn Khairana, kim jesteś, lecz nie mają zbyt dużego powodu, by cię ścigać. Jeśli jednak przyjdą po pana ibn Musę i znajdą nas tutaj, poczują się sprowokowani. Jestem pewien, że pan ibn Musa powie ci to samo. To członkowie pustynnego plemienia, pani. Oni nie są... cywilizowani.

Wtedy Dżehana obróciła się w miejscu, świadoma, że kieruje strach i gniew na swego największego przyjaciela i że nie robi tego po raz pierwszy.

– A więc chciałbyś, żebym opuściła pacjenta? – warknęła. – To właśnie powinnam zrobić? Jakież to cywilizowane z naszej strony.

– Wracam do siebie, Dżehano.

Odwróciła się do Husariego, który siadł na łóżku.

– Zrobiłaś wszystko, o co można by prosić lekarza. Uratowałaś mi życie, chociaż nie w sposób, jakiego się spodziewaliśmy.

Ku jej zdumieniu udało mu się cierpko uśmiechnąć. Uśmiech nie ogarnął jego oczu.

Mówił już mocniejszym głosem, ostrzejszym niż kiedykolwiek dotąd. Pomyślała, że może groza sytuacji spowodowała rozchwianie umysłu kupca; że zmienione zachowanie ibn Musy stanowi jego reakcję. Ojciec umiałby to wytłumaczyć.

Ojciec, pomyślała, nigdy mi już niczego nie wytłumaczy.

Istniała spora szansa, że Muwardyjczycy przyjdą po Husariego, i że jeśli ją tu znajdą, to rzeczywiście zabiorą ją ze sobą. Członkowie plemion Madżritu wcale nie byli cywilizowani. Ammar ibn Khairan doskonale wiedział, kim ona jest. Tę rzeź zarządził Almalik z Cartady. Także Almalik z Cartady uczynił jej ojcu to, co uczynił. Przed czterema laty.

Bywają chwile w życiu, kiedy naprawdę można powiedzieć, że wszystko się obraca i zmienia; kiedy wyraźnie widać rozwidlenie dróg; kiedy człowiek dokonuje wyboru.

Dżehana bet Iszak odwróciła się do swego pacjenta.

– Nie zostawię cię tu, żebyś czekał na nich samotnie.

Husariemu udało się uśmiechnąć po raz drugi.

– Co chcesz zrobić, moja droga? Podać zawaalowanym miksturę nasenną, kiedy się tu pojawią?

– Mam im do podania coś gorszego – odparła ponuro Dżehana, lecz jego słowa zmusiły ją do zastanowienia. – A czego ty chcesz? – zapytała. – Wybiegam zbyt daleko, przepraszam. Możliwe, że są zaspokojeni. Może nikt tu nie przyjdzie.

Pokręcił głową. Znow zauważyła zmianę w jego zachowaniu. Znała ibn Musę od dawna. Nigdy go takim nie widziała.

– Sądzę, że to możliwe. Ale nie obchodzi mnie to i nie zamierzam się o tym przekonywać. Biorąc pod uwagę to, co muszę zrobić, i tak będę musiał opuścić Fezanę.

Dzehana zamrugła.

– A co takiego musisz zrobić?

– Zniszczyć Cartadę – odparł pulchny, leniwy, lubiący sobie dogadzać handlarz jedwabiem, Husari ibn Musa.

Dzehana wytrzeszczyła oczy. To był człowiek, który na kolację lubił dostawać dobrze upieczone mięso, żeby nie musiał oglądać krwi podczas jedzenia. Głos miał równie spokojny i rzeczowy jak wtedy, gdy słyszała jego rozmowę z faktorem o ubezpieczeniu ładunku jedwabiu wysyłanego drogą morską.

Dzehana znow usłyszała dyskretne kasznięcie Velaza. Odwróciła się.

– W takim wypadku – rzekł służący równie cicho jak poprzednio, lecz ze zmartwioną miną – nie możemy ci pomóc. Z pewnością lepiej będzie wyjść... żeby pan ibn Musa mógł rozpocząć przygotowania.

– Zgadzam się – powiedział Husari. – Wezwę eskortę i...

– Ja się nie zgadzam – oznajmiła bez ogródek Dzehana. – Po pierwsze, po wydaleniu kamienia grozi ci gorączka i muszę mieć na to baczenie. Po drugie, nie będziesz mógł opuścić miasta przed zapadnięciem zmroku, i z pewnością nie przez żadną z bram.

Husari splótł pulchne palce. Spokojnie patrzył jej w oczy.

– Co proponujesz?

Sprawa wydawała się Dzehanie oczywista.

– Żebyś do zapadnięcia nocy ukrył się z nami w Dzielnicy Kindathów. Ja pójdę pierwsza i umówię się ze strażnikami. Wrócę po ciebie o zachodzie słońca. Sądzę, że powinieneś się jakoś przebrać. Wybór zostawiam tobie. Po zapadnięciu ciemności możemy opuścić Fezanę pewną znaną mi drogą.

Velaz, nie mogąc się powstrzymać, wydał za plecami Dzehany zduszony dźwięk.

– My? – zapytał ostrożnie ibn Musa.

– Wziąwszy pod uwagę to, co muszę zrobić – odpowiedziała Dzehana z rozmysłem – ja też będę musiała opuścić Fezanę.

– Ach – rzekł chory.

Przez chwilę patrzył spokojnie na lekarkę. W jakiś nieoczekiwany sposób nie był już pacjentem. Nie był już człowiekiem, którego znała od tak dawna.

– To dla twego ojca?

Dzehana kiwnęła głową. Nie było sensu niczego ukrywać. Zawsze był bystry.

– Najwyższy czas – odparła.

Mieli do zrobienia mnóstwo rzeczy. Idąc z Velazem szybkim krokiem przez ogarnięte wrznięciem ulice, Dzehana uświadomiła sobie, że tylko wzmianka o jej ojcu skłoniła Husariego do przyjęcia jej planu. Właściwie to nie była tym zaskoczona. Jeśli istniało coś, co aszaryci rozumieli po całych stuleciach wzajemnego zabijania się w ich ojczyźnie daleko na wschodzie, oraz tu, w Al-Rassanie, to była tym nieprzemijająca potęga krwawej waśni rodowej, bez względu na to, jak długo odkładano zemstę.

Chociaż mogło się to wydawać absurdalne – Kindathijka oznajmiła, że zamierza wyrzucić zemstę na najpotężniejszym monarsze, jaki się pojawił od upadku kalifatu – mówiła językiem, który potrafił zrozumieć nawet łagodny i nieszkodliwy aszarycki kupiec.

Tyle że ten aszarycki kupiec nie był już taki łagodny.

Velaz, wykorzystując starodawny przywilej długoletnich służących, zalewał Dzehanę potokiem zastrzeżeń i napomnień. Głos jak zwykle miał mniej uniżony niż wtedy, gdy w pobliżu były inne osoby. Dzehana pamiętała, że robił to też jej ojcu, kiedy ten chciał nocą pośpieszyć na wezwanie pacjenta bez odpowiedniego ubrania chroniącego przed deszczem czy wiatrem, albo nie skończywszy posiłku, albo kiedy się przepracowywał, czytając do późna w nocy przy blasku świecy.

Robiła trochę więcej niż siedzenie do późnej nocy i gdyby pozwoliła Velazowi mówić dalej, pełna strachu troska w jego głosie podkopałaby jej pewność siebie. Poza tym w domu czekało ją trudniejsze starcie.

– To nie ma nic wspólnego z nami – tłumaczył gorączkowo Velaz. Szedł obok niej, a nie z tyłu, co było całkowicie nie w jego stylu i stanowiło najpewniejszą oznakę wzburzenia. – Chyba że znajdą jakiś sposób, by obwinić za to Kindathów, co by mnie wcale...

– Velazie. Dość już. Proszę cię. Jesteśmy kimś więcej niż Kindathami. Jesteśmy mieszkańcami Fezany, i to od wielu lat. To jest nasz dom. Płacimy podatki, płacimy naszą część obrzydliwego *parias* dla Valledo, chronimy się przed niebezpieczeństwem za tymi murami i cierpimy wraz z innymi, kiedy ręka Cartady – albo jakakolwiek inna ręka – przyciska to miasto zbyt mocno. To, co się tu dzisiaj stało, ma dla nas znaczenie.

– Będziemy cierpieć bez względu na to, co oni uczynią sobie nawzajem, Dzehano. – Był równie uparty jak ona i po latach obcowania z Iszakiem znał się równie dobrze na prowadzeniu dyskusji. W jego zwykle łagodnych błękitnych oczach było widoczne napięcie. – Aszaryci zabijają aszarytów. Nie pozwólmy, żeby to wywróciło do góry nogami nasze życie. Pomyśl, co robisz tym, którzy cię kochają. Pomyśl...

Znów musiała mu przerwać. Czowała się tak, jakby słyszała własną matkę, co wprawiało ją w zakłopotanie.

– Nie przesadzaj – napomniała go, choć tak naprawdę Velaz wcale nie przesadzał. – Jestem

lekarką. Zamierzam poszukać pracy gdzie indziej. Żeby poszerzyć wiedzę. Wyrobić sobie renomę. Mój ojciec czynił to całymi latami, jeżdżąc na niektóre kampanie z wojskami kalifa, a po upadku Silvenes podpisując umowy na różnych dworach. W ten sposób znalazł się w Cartadzie. Wiesz o tym. Byłeś z nim.

– I wiem, co się tam stało – odparował Velaz.

Džehana stanęła na ulicy jak wryta. Ktoś biegnący za nimi o mało na nią nie wpadł – kobieta z twarzą bez wyrazu, przypominającą maskę włożoną na wiosenną procesję. Była to jednak prawdziwa twarz, a za pozorami obojętności kryło się przerażenie.

Velaz też został zmuszony do zatrzymania się. Spojrzał na Džehanę z gniewem i obawą. Był mężczyzną o drobnej posturze; Džehana wiedziała, że zbliża się do sześćdziesiątki. Służył u jej rodziców jako niewolnik z Waleski na długo przed jej narodzinami. Kupili go jako młodzieńca na targu w Lonzie i, zgodnie z kindathijskim zwyczajem, po dziesięciu latach uwolnili.

Mógł wtedy pójść, gdzie chciał. Po wielu latach spędzonych za granicą z Iszakiem w Bachiarze i Ferrieres, oraz na dworach kalifów w samym Silvenes, biegle władał pięcioma językami i będąc doskonale wyszkolonym na pomocnika lekarza, miał wiedzę obszerniejszą od większości medyków. Dyskretny i niezwykle inteligentny Velaz znalazłby wiele możliwości pracy na całym półwyspie albo za górami na wschodzie. W owych czasach Al-Fontina kalifów funkcjonowała głównie dzięki byłym niewolnikom, z których nieliczni dorównywali bystrością czy znajomością niuansów dyplomacji, jakie przejawiał Velaz po dziesięciu latach służby u Iszaka ben Jonannona.

Najwyraźniej nigdy się nawet nie zastanawiał nad takim rozwiązaniem. Może zabrakło mu ambicji albo był po prostu szczęśliwy. Natychmiast po uwolnieniu przeszedł na wiarę Kindathów i dobrowolnie wziął na barki trudny ciężar ich historii. Odtąd nie modlił się do wyobrażeń Dżada ze swego dzieciństwa w Walesce ani do gwiazd Aszara, namalowanych na sklepionych sufitach świątyni Al-Rassanu, lecz do białego i błękitnego księżyca, dwóch sióstr boga.

Od owego dnia został u Iszaka i Eliany oraz ich dziecka i jeśli ktokolwiek na świecie oprócz jej rodziców prawdziwie ją kochał, to Džehana wiedziała, że jest nim ten człowiek.

Tym trudniej było jej patrzeć w jego pełne niepokoju oczy i zdawać sobie sprawę, że tak naprawdę nie umie jasno wytłumaczyć, dlaczego po wiadomości o masakrze droga jej życia skręciła tak ostro. Dlaczego to, co teraz ma zrobić, wydaje się tak oczywiste. Oczywiście, lecz niewytłumaczalne. Wyobrażała sobie, co w odpowiedzi na taki zbieg okoliczności powiedziałyby don Rezzoni z Soreniki. I niemal słyszała słowa swego ojca. „Oczywista nieumiejętność odpowiednio jasnego myślenia”, mruknąłby Iszak. „Zacznij od początku, Džehano. Nie śpiesz się”.

Nie miała czasu. Musiała jeszcze tego wieczoru umieścić Husariego w Dzielnicy Kindathów, a przedtem zrobić coś o wiele trudniejszego.

– Ja też wiem, co spotkało mojego ojca w Cartadzie, Velazie – powiedziała. – To nie jest jakaś debata. Nie potrafię wszystkiego wyjaśnić. Zrobiłabym to, gdybym potrafiła, wiesz o tym. Mogę tylko powiedzieć, że po dojeździe do pewnego punktu zgoda na to, co robi Almalik, zaczyna świadczyć, że się jest jego współnikiem. Że ponosi się za to odpowiedzialność. Gdybym tu została i po prostu przyjęła rano pacjentów, a potem uczyniła to samo następnego dnia i jeszcze następnego, wyglądałoby na to, że nic się nie stało... Tak się czuję.

Velaz miał pewną cechę, która jako jedna z kilku stanowiła miarę tego człowieka: wiedział, kiedy słyszy ostateczną decyzję.

Resztę drogi przebyli w milczeniu.

Przy ciężkiej, pozbawionej ozdób żelaznej bramie, która zamykała ogrodzoną Dzielnicę Kindathów w Fezanie, Džehana odetchnęła z ulgą. Znała obu strażników z tej zmiany. Jeden z nich był jej kochankiem, a drugi długoletnim przyjacielem.

Mówiła tak jasno, jak mogła sobie na to pozwolić. Miała bardzo mało czasu.

– Szimonie, Bakirze, potrzebuję waszej pomocy – powiedziała, zanim skończyli otwierać bramę.

– Masz ją – odparł zduszonym głosem Szimon – ale pośpiesz się i wejdź do środka. Wiesz, co się tam dzieje?

– Wiem, co się stało, dlatego jesteście mi potrzebni – Bakir pchnął skrzydło bramy i jęknął.

– Coś ty znowu zrobiła, Džehano?

Był roslym, niezaprzeczalnie przystojnym mężczyzną o szerokich barach. Zaczęli się wzajemnie nudzić po kilku tygodniach od rozpoczęcia romansu. Na szczęście rozstali się na tyle szybko, że ich wzajemna sympatia ocalała. Miał teraz żonę i dwoje dzieci. Džehana przyjęła oba porody.

– Nic, czego mogłabym uniknąć, wzięwszy pod uwagę złożoną przeze mnie przysięgę Galina.

– Spalić Galina! – zaproponował bez ogródek Szimon. – Tam giną ludzie.

– Dlatego musicie mi pomóc – rzekła szybko Džehana. – Mam w mieście pacjenta, którym muszę się zająć dziś wieczorem. Chyba nie będę bezpieczna poza Dzielnicą...

– Z całą pewnością nie będziesz! – wtrącił Bakir.

– Właśnie. Dlatego chcę, żebyście pozwolili mi go tu przyprowadzić. Zajmie łóżko w naszym domu i będę go leczyć tutaj.

Spojrzeli po sobie.

Bakir wzruszył ramionami.

– To wszystko?

Szimon wciąż miał podejrzliwą minę.

– To aszaryta?

– Nie, koń. Oczywiście, że jest aszarytą, idioto! Inaczej, dlaczego prosiłabym o zgodę najgłupszych mężczyzn w Dzielnicy?

Miała nadzieję, że obelga na tyle odwróci ich uwagę, że przestaną zadawać pytania. Stojący za nią Velaz na szczęście milczał.

– Kiedy go przyprowadzisz?

– Pójdę po niego natychmiast. Najpierw muszę zapytać matkę o pozwolenie. Dlatego przyszedłam wcześniej.

Ciemne oczy Bakira zwały się jeszcze bardziej.

– Strasznie jesteś skrupulatna. To do ciebie niepodobne, Dzehano.

– Nie bądź większym głupcem, niż musisz, Bakirze. Myślisz, że po tym, co się stało dziś po południu, zamierzam coś kręcić?

Znów spojrzeli po sobie.

– Chyba nie – przyznał niechętnie Szimon. – Dobrze, twój pacjent może wejść. Ale ty już nie opuścisz Dzielnicy. Może go przyprowadzić Velaz, chociaż na pewno nie ja mu każę to zrobić.

– Nie, w porządku – rzekł szybko służący. – Pójdę.

Dzehana już wcześniej pomyślała, że może do tego dojść, i ta decyzja nie pomieszała jej szyków. Odwróciła się do Velaza.

– A więc idź – mruknęła. – Jeśli moja matka zrobi awanturę – choć jestem pewna, że nie – umieścimy go w jednej z gospód. Idź szybko.

Odwróciła się z powrotem do strażników i obdarzyła ich swoim najlepszym uśmiechem.

– Dziękuję. Nie zapomnę wam tego.

– Wolałbym, żebyś zapomniała – rzekł szlachetnie Szimon. – Wiesz, że to wbrew przepisom.

Przesadzał. Było to niezgodne z przepisami, ale w niewielkim stopniu. Aszaryci często odwiedzali potajemnie Dzielnicę, czy to w interesach, czy szukając rozrywki. Należało jedynie – co nie było trudne – zadbać, by na zewnątrz nie wiedzieli o tym wadzi, a za bramą wysocy kapłani Kindathów. Dzehana uznała jednak, że nie jest to odpowiednia pora na wdawanie się w dysputę z Szimonem.

Im dłużej rozmawiali, tym większe stawało się ryzyko, że zapyta ją o tożsamość pacjenta. Gdyby to uczynił, a ona musiałaby mu odpowiedzieć, to mogłoby się okazać, że wie, iż Husari ibn Musa jest jednym z ludzi, którzy tego dnia mieli się pojawić na zamku. Co za tym idzie, gdyby Szimon i Bakir odkryli, że jest to człowiek, którego mogą poszukiwać muwardyjscy zabójcy, Husari za żadne skarby nie zostałby wpuszczony do Dzielnicy Kindathów.

Dzehana wiedziała, że naraża na niebezpieczeństwo własny naród. Była na tyle młoda, by uznać, że jest to ryzyko do przyjęcia. Ostatnie masakry Kindathów w Al-Rassanie odbyły się daleko na południu, w Tudesce i Ehdrze na długo przed jej urodzeniem.

Matka Dzehany, jak można się było spodziewać, nie miała zastrzeżeń. Jako żona i matka lekarzy, Eliana bet Danel już dawno temu nauczyła się przystosowywać swój dom do potrzeb pacjentów. Fakt, że teraz musiała to robić w najstraszniejszym dniu, jaki Fezana przeżyła na przestrzeni lat, nie robił na niej wrażenia, mimo że Dzehana poinformowała matkę, że pacjentem jest ibn Musa. Eliana rozpoznałaby go w chwili, w której stanąłby na progu. Husari kilka razy gościł iszaka na kolacji i sam parokrotnie przychodził do Dzielnicy, by zaszczyścić swoją obecnością dom lekarza – sprzeciwiając się i wadżim, i wysokim kapłanom. Fezana nie była szczególnie religijnym miastem.

Co, jak pomyślała Dzehana, zapewne jedynie zwiększyło u żarliwie pobożnych Muwardyczyków przyjemność z zabijania niewinnych ludzi. Stała na podeście schodów na piętrze, uniósłszy jedną rękę, by zapukać do drzwi, a w drugiej trzymając zapaloną świecę.

Pierwszy raz tego długiego dnia drżała, wahając się i myśląc o tym, co zamierza zrobić. Widziała chwiejący się płomyk. Na drugim końcu korytarza było wysokie okno, wychodzące na wewnętrzny dziedziniec domu. Wpadały przez nie ukośne promienie zachodzącego słońca, przypominając jej, że czas ma tu znaczenie. Powiedziała matce, że opuści miasto jeszcze tego samego wieczoru, i przygotowała się na burzę z piorunami, która nie nadeszła.

– To nie taka zła pora na znalezienie się poza tymi murami – rzekła spokojnie Eliana po chwili zastanowienia. – Znajdziesz pracę gdzie indziej. Twój ojciec zawsze mówił, że dla lekarza dobrze jest zdobywać doświadczenie w wielu miejscach. – Po chwili dodała: – Może wrócisz zamężna.

Dzehana skrzywiła się. To była stara kwestia. Zbliżając się do trzydziestki, miała już za sobą najlepszy wiek do zamążpójścia i zasadniczo się z tym pogodziła. Eliana przeciwnie.

– Dasz sobie radę? – zapytała Dzehana, puszczając mimo uszu ostatnią uwagę matki.

– Nie widzę powodu, dla którego miałoby być inaczej – odparła energicznie matka. A potem złagodziała szorstkość uśmiechem, który sprawił, że stała się piękna. Sama wyszła za mąż w wieku dwudziestu lat za najbardziej błyskotliwego młodzieńca w błyskotliwej społeczności Kindathów w Silvenes, w czasach ostatniej świetności kalifatu. – A co mam robić, Dzehano? Paść na kolana i chwycić cię za rękę z błaganiem, byś została i była mi pociechą na starość?

– Nie jesteś stara – zauważyła szybko jej córka.

– Ależ jestem. I na pewno nie będę cię zatrzymywać. Jeśli jeszcze nie bawisz moich wnuków w domu za rogiem, to za twoje wychowanie mogę winić tylko siebie i twój ojca.

– Za to, że potrafisz myśleć samodzielnie?

Między innymi. – I znów uśmiech, nieoczekiwany. – Obawiam się, że próbujesz też myśleć za niemal wszystkich innych. Spakuję ci kilka rzeczy i każę nakryć do stołu dla Husariego. Czy powinien zjeść dzisiaj – coś szczególnego?

Dzehana pokręciła głową. Czasami żałowała, że matka nie daje upustu emocjom, że nie przychodzi burza. Zasadniczo jednak była wdzięczna Elianie za niemal nieprzerwane opanowanie, jakie okazywała od owego strasznego dnia w Cartadzie przed czterema laty. Potrafiła się domyślić ceny tej powściągliwości. Potrafiła zmierzyć ją u siebie. Matka i córka nie różniły się tak bardzo. Dzehana nie znosiła płakać; uznawała płacz za porażkę.

– Lepiej idź na górę – powiedziała Eliana.

Poszła. Tak było zawsze. W rozmowach z matką rzadko pojawiał się ból, ale też nigdy nie mówiło się o sprawach, o których trzeba było powiedzieć. Jednakże tego popołudnia nie było czasu, by się nimi zajmować. Należało jeszcze załatwić coś bardzo trudnego.

Wiedziała, że jeśli będzie się wahała zbyt długo, może się zachwiać w postanowieniu opuszczenia miasta, co było najtrudniejszą decyzją tego dnia, wszystkich jej dni. Dzehana zastukała dwa razy, jak miała w zwyczaju, i wkroczyła w chronioną okiennicami ciemność gabinetu ojca.

Świeca użyczyła, koniecznego blasku księgom oprawnym w skórę i złoto, zwojom, przyborom i mapom nieba, przedmiotom, pamiątkom i prezentom zgromadzonym podczas całego życia spędzonego na nauce, podróżach i pracy. Światło płomyka, już niedrżącego w jej ręce, padło na biurko, proste drewniane krzesło w północnym stylu, poduszki leżące na podłodze, głęboki fotel – oraz na siwowłosego mężczyznę w ciemnej szacie, siedzącego w nim bez ruchu plecami do drzwi, córki i światła.

Dzehana patrzyła na niego, na sztywność jego postawy. Dostrzegła, jak dostrzegała każdego dnia, że nawet nie odwrócił głowy, by dać znać, że zauważył jej wejście. Równie dobrze mogła nie wchodzić z tym swoim światłem i opowieścią, którą miała do przekazania. Zawsze tak się to odbywało, lecz to popołudnie było inne. Przyszła się pożegnać i, patrząc na ojca, poczuła wbijający się w jej czaszkę długi miecz wspomnień, twardy, lśniący i straszny jak noże, którymi zapewne posłużyli się Muwardyjczycy.

Przed czterema laty czwarty syn króla Almalika z Cartady zaplątał się w pepowinę w łonie matki. Takie niemowlęta umierały, a ich matki też niemal zawsze traciły życie. Lekarze znali odpowiednie symptomy na tyle dobrze, by ostrzec wszystkich przed nieuchronnym. Takie przypadki zdarzały się dość często i nikt nikogo za to nie winił. Rodzenie było jedną z niebezpiecznych czynności na tym świecie. Lekarze nie potrafili sprawić cudów.

Lecz parająca się muzyką Zabira z Cartady była ulubioną kurtyzaną najpotężniejszego ze wszystkich królów w Al-Rassanie, a Iszak z Fezany był dzielnym i błyskotliwym człowiekiem. Zajrzawszy do swoich map nieba i zawiadomiwszy Almalika, że to, czego chce spróbować, daje tylko cień nadziei, Iszak przyjął jedyny zapisany w historii poród, polegający na nacięciu brzucha matki przy jednoczesnym zachowaniu jej przy życiu.

Ani sam Galinus, źródło i skarbnica wszelkiej wiedzy medycznej, ani Uzbet al-Maurus, ani

Avenal z Soriyyi w ojczyźnie aszarytów na wschodzie – żaden z nich ani ich następcy nie donieśli o powodzeniu podobnej operacji, chociaż ci trzej wiedzieli o istnieniu takiej możliwości i każdy z nich próbował ją wykorzystać.

Nie, pierwszy taki udany poród odebrał Kindath Iszak ben Jonannon w cartadzkim pałacu w Al-Rassanie w drugiej dekadzie po upadku kalifatu. Następnie uleczył matkę z jej rany i opiekował się nią, tak że pewnego ranka wstała z łóżka, bardzo blada, lecz piękna jak zawsze, ujęła cztero-strunową lutnię i zajęła swoje zwykłe miejsce w sali biesiadnej Almalika, w jego ogrodach i prywatnych komnatach.

Za ten akt odwagi i umiejętności na nieznaną dotychczas skalę Almalik z Cartady obdarował Iszaka taką ilością złota i ziemi, jaka zapewniłaby mu, oraz jego żonie i córce, dostatek do końca życia.

Następnie rozkazał wyłupić lekarzowi oczy i obciąć mu język u nasady jako pokutę za zakazany widok nagości aszaryckiej kobiety, by nikt nigdy nie usłyszał opisu mlecznej wspaniałości Zabiry od kindathijskiego doktora, który wystawił ją na swój zimny wzrok i skalpel.

Był to swego rodzaju akt łaski. Przepisaną karę dla dzadyty czy Kindatha, który napasł lubieżny wzrok widokiem nagiego ciała aszaryckiej kobiety będącej małżonką lub konkubiną innego mężczyzny, stanowiła, jak wszyscy wiedzieli, śmierć przez rozerwanie końmi. A ta kobieta należała do króla, następcy kalifów, Lwa Al-Rassanu, przed którym pierzchały inne królewiatka.

Wadzi zwietrzyli okazję i gdy tylko opowieść o narodzinach wydostała się z pałacu, zaczęli żądać po świątyniach i targowiskach śmierci lekarza. Almalik był jednak szczerze wdzięczny temu Kindathowi. Nigdy nie lubił wadżich i żądań, jakie wysuwali pod jego adresem, a był – w każdym razie wedle swojej oceny – hojnym człowiekiem.

Iszak żył, ślepy i niemy, pogrążony w otchłaniach własnego wnętrza, których nie mogły osiągnąć ani jego żona, ani jedyne dziecko. I ani w tych pierwszych dniach, ani potem nie można było wywołać najmniejszej jego reakcji.

Przywiozły go z Cartady do domu w Fezanie. Mieli aż nadto środków, by się utrzymać; właściwie według wszelkich miar byli bogaci. W Silvenes, w Cartadzie, w prywatnej praktyce w Fezanie Iszakowi doskonale się wiodło, podobnie jak we wspólnych przedsięwzięciach z kindathijskimi kupcami handlującymi na wschodzie skórą i przyprawami. Ostatni dar Almalika jedynie przypieczętował ich doczesny sukces. Można by powiedzieć, że księżyce pobłogosławiły ich ogromnym powodzeniem.

Dżehana bet Iszak, dziecko tego powodzenia, weszła do pokoju ojca, postawiła świecę na stole i otworzyła okiennice na wschodnim oknie. Okno też otworzyła, by wraz z miękkim światłem wpuścić do środka leciuteńki popołudniowy podmuch wiatru. Następnie, jak miała w zwyczaju, usiadła na drewnianym krześle przy stole.

Obok jej łokcia leżała otwarta książka – tekst Meroviusa o kataraktach – którą czytała Iszakowi. Każdego popołudnia po zakończeniu pracy przychodziła do tego pokoju i opowiadała o pacjentach, jakich miała tego dnia, a potem głośno czytała tekst, który akurat sama studiowała. Czasami przychodziły listy od kolegów i przyjaciół z innych miast i z innych krajów. Kilka razy w roku pisał don Rezzoni z Soreniki w Bachiarze czy z jakiegoś innego miejsca, gdzie uczył lub praktykował. Te listy też czytała ojcu Dzehana.

Nigdy nie reagował. Nigdy nawet nie odwracał ku niej głowy. Tak było od nocy, w której został okaleczony. Córka opowiadała mu tym, jak minął dzień, czytała listy i swoje teksty. Przed zejściem na dół na kolację całowała go w czoło. Na to też nie reagował.

Velaz przynosił Iszakowi posiłki do pokoju. Iszak nigdy z niego nie wychodził. Dzehana wiedziała, że ojciec nie opuści tego pokoju, chyba że zostanie do tego zmuszony. Niegdyś głos miał głęboki i piękny, a oczy czyste i niebieskie jak rzeka w blasku słońca; były jasnymi drzwiami do poważnej głębi myśli. Względami umysłu i umiejętnościami rąk obdarzał hojnie i bez wahania wszystkich, którzy o to prosili lub tego potrzebowali. Niegdyś był dumny bez próżności, mądry bez trywialnego dowcipkowania, odważny bez brawury. Teraz był skorupą, łupiną, ślepą, niemą nieobecnością tego wszystkiego w pokoju pozbawionym światła.

W pewien sposób, pomyślała Dzehana, patrząc na ojca i szykując się do pożegnania, szukanie tej zemsty, choćby bardzo spóźnionej, na Almaliku z Cartady jest najbardziej oczywistą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobiłam.

– Dzisiaj jest dzień targowy – zaczęła. – Nie miałam jakichś trudnych przypadków. Właśnie zamierzałam obejrzeć robotnika z kamieniołomu, który chyba cierpiał na podagrę – jeśli dasz temu wiarę – kiedy zostałam odwołana. Oczywiście nigdzie bym nie poszła, ale okazało się, że chodzi o Husariego ibn Musę, który wydał kolejny kamień, trzeci w tym roku.

W głębokim fotelu nic się nie poruszyło. Przystojny, siwobrody profil wyglądał jak rzeźba człowieka, a nie żywy człowiek.

– Kiedy się nim zajmowałam – ciągnęła Dzehana – dowiedzieliśmy się czegoś straszego. Jeśli się wsłuchasz, może uda ci się usłyszeć krzyki na ulicach znajdujących się poza Dzielnicą.

Często starała się zmusić go do posłuszenia się słuchem, usiłując doprowadzić do tego, żeby sięgnął zmysłami poza to pomieszczenie. Żadnego poruszenia, żadnego znaku, że wie o jej obecności.

– Wygląda na to – rzekła Dzehana niemal z gniewem – że Almalik z Cartady przysłał swego najstarszego syna i pana Ammara ibn Khairana, by poświęcili dziś nowe skrzydło zamku. Właśnie wymordowali wszystkich zaproszonych gości. Dlatego słychać te krzyki na ulicach. Stu czterdziestu ludzi, ojce. Almalik kazał ściąć im głowy, a ciała wrzucić do fosy.

To było zupełnie nieoczekiwane. Być może rolę odegrała gra światła, wpadającego ukośnie poprzez cienie, ale wydało jej się, że ojciec odwrócił nieco głowę w jej stronę. Chyba nigdy nie

wymawiała przy nim imienia Almalika, uświadomiła sobie nagle Dzehana.

– Husari też tam miał być, ojciec – kontynuowała. – Dlatego chciał, żebym tak prędko rano do niego przysłała. Miał nadzieję, że uda mu się pojawić na zamku. Teraz jest chyba jedynym, który ocalał. Możliwe, że Muwardyjczycy – w mieście jest dzisiaj pięciuset nowych żołnierzy – przyjdą po niego. Postanowiłam więc przenieść go tutaj. Właśnie go do nas prowadzi Velaz, w przebraniu. Poprosiłam matkę o pozwolenie.

Tym razem nie mogła się mylić. Iszak wyraźnie odwrócił ku niej głowę, jakby wbrew własnej woli chciał usłyszeć, o czym mówi. Dzehana uświadomiła sobie, że jest bliska łez. Przełknęła ślinę, walcząc z nimi.

– Husari wydaje się... jakiś inny, ojciec. Jakbym go nie znała. Jest spokojny, niemal zimny. Jest rozgniewany, ojciec. Zamierza dziś w nocy opuścić miasto. Wiesz, dlaczego? – Zaryzykowała pytanie i czekała z odpowiedzią, dopóki nie zobaczyła nieznacznego ruchu głowy. – Powiedział, że chce zniszczyć Cartadę.

Niecierpliwie starła dłonią zdradziecką łzę. Cztery lata monologów w tym pokoju i teraz, w przeddzień jej odejścia, w końcu zauważył obecność córki.

– Postanowiłam odejść razem z nim, ojciec – rzekła Dzehana. Obserwowała go. Żadnego ruchu, żadnego znaku. I wtedy powoli odwrócił od niej głowę, aż znów ujrzała profil, na który patrzyła przez ostatnie lata. Jeszcze raz przełknęła ślinę. Na swój sposób to też była jakaś reakcja z jego strony.

– Chyba z nim nie zostanę. Nawet nie wiem, dokąd się udaje i co planuje. Ale jakoś, po dzisiejszym popołudniu, nie mogę tak po prostu udawać, że nic się nie stało. Jeżeli Husari może postanowić walczyć z Almalikiem, mogę to zrobić i ja.

Proszę, powiedziała to. Słowa zostały wypowiedziane. I uczyniwszy to, Dzehana przekonała się, że nie potrafi powiedzieć już nic więcej. Tylko płakała i ocierała łzy.

Zamknęła oczy, do głębi poruszona. Aż do tej chwili mogła udawać, że nie zamierza zrobić nic poza tym, co wiele razy robił jej ojciec: opuścić Fezanę, by szukać kontraktów i doświadczenia w szerszym świecie. To był dla lekarza sposób na wyrobienie sobie reputacji. Deklaracja zemsty na królu stanowiła drogę do czegoś zupełnie innego. Poza tym była kobietą. Jej zawód mógł zapewnić jej nieco bezpieczeństwa i szacunku, ale Dzehana przecież kiedyś mieszkała i studiowała za granicą. Wiedziała, jaka jest różnica między wyprawą w świat Iszaka i jego córki. Miała dojmującą świadomość, że może już nigdy nie ujrzeć tego pokoju.

– Eś eoo eaa.

Dzehana szeroko otworzyła oczy. To, co zobaczyła, wprawiło ją w osłupienie. Iszak odwrócił się bokiem w fotelu, by mieć ją przed sobą. Twarz miał wykrzywioną z wysiłku powiedzenia czegoś, a puste oczodoły kierował ku miejscu, gdzie siedziała jego córka. Dzehana zakryła usta dłońmi.

– Co? Tato, nie...

– Eś eaa!

Okaleczone słowa były pełne bólu, rozkazujące.

Džehana zerwała się z krzesła i padła na kolana na dywan u stóp ojca. Chwyliła jego dłoń i kiedy mocno ujął jej palce, po raz pierwszy od wielu lat poczuła jego silny uścisk.

– Przepraszam. Przepraszam! Jeszcze raz, proszę cię. Nie rozumiem! Była rozgorączkowana, zrozpaczona. Iszak starał się mówić wyraźnie, cały drżał z wysiłku i frustracji.

– Eaa! Eaa!

Jego uścisk był gwałtowny, jakby chciał zmusić ją do zrozumienia, jakby samo jego przejęcie mogło sprawić, że tragicznie słowa staną się zrozumiałe.

– Mówi ci, żebyś wzięła ze sobą swego służącego, Velaza, Džehano. W tych okolicznościach jest to mądra sugestia.

Džehana obróciła się do okna jak ugodzona nożem, zrywając się na nogi. A potem zamarła. Czowała, jak krew odpływa z jej twarzy.

Na szerokim parapecie siedział bokiem i oplatając rękoma podciągnięte kolana, przyglądał się im spokojnie Ammar ibn Khairan. I oczywiście skoro się tu znalazł, oni sami byli już zgubieni, ponieważ na pewno przyprowadził ze sobą...

– Jestem sam, Džehano. Nie lubię Muwardyjczyków.

Usiłowała się opanować.

– Nie? Po prostu pozwoliłeś im zabijać za siebie? Co ma do tego lubienie? Jak się tu dostałeś? Gdzie jest...

Przerwała w ostatniej chwili. To przestało mieć znaczenie.

– Mniej więcej w tej chwili Husari ibn Musa powinien się zbliżyć do Bramy Kindathów. Jest ubrany jak wadzi, jeśli potrafisz to sobie wyobrazić. Powiedziałbym, że to ekscentryczne przebranie. Dobrze, że ma przy sobie Velaza, który może za niego zaświadczyć, bo inaczej nie zostałby wpuszczony. – Uśmiechnął się, lecz Džehanie wydawało się, że jakoś dziwnie na nią patrzy. – Trudno w to uwierzyć – dodał – ale nie miałem nic wspólnego z tym, co się stało dziś po południu. Podobnie jak książę.

– Ha! – rzekła Džehana. W tej chwili to słowo stanowiło najbardziej wyrafinowaną odpowiedź, na jaką było ją stać.

Znów się uśmiechnął. Tym razem jego twarz przybrała wyraz, jaki Džehana zapamiętała rano.

– Przypuszczam, że zostałem słusznie stłamszony. Mam teraz wypaść z okna?

I właśnie wtedy nastąpiło najbardziej nieoczekiwane wydarzenie tego strasznego dnia. Usłyszała za sobą charczący, zduszony głos i odwróciła się z przerażeniem.

Po chwili zdała sobie sprawę, że słyszy śmiech ojca.

Ammar ibn Khairan zeskoczył zwinnie z parapetu i wylądował miękko na dywanie. Minał Džehanę i zatrzymał się przed ciężkim fotelem jej ojca.

– Iszaku – odezwał się łagodnie.

– Ammarze – rzekł niemal wyraźnie jej ojciec.

Morderca ostatniego kalifa Al-Rassanu ukląkł przed nim.

– Miałem nadzieję, że może pamiętasz mój głos – powiedział. – Przyjmiesz moje przeprosiny, Iszaku? Powinienem tu przyjść dawno temu i z pewnością nie w taki sposób, zaskakując twoją córkę i bez pozwolenia twojej żony.

Zamiast odpowiedzi Iszak wyciągnął rękę, a ibn Khairan ją ujął. Nie miał na dłoniach ani rękawiczek, ani pierścieni. Džehana była zbyt oszołomiona, żeby pozbierać myśli.

– Muaaijjicy?

Głos ibn Khairana był poważny.

– Almalik to subtelny człowiek, co, jak sądzę, wiesz. Najwyraźniej chciał poskromić Fezanę. Wydaje się też, że miał jakąś wiadomość dla księcia. – Przerwał na chwilę. – A inną dla mnie.

Džehana odzyskała głos.

– Naprawdę nic o tym nie wiedziałeś?

– Nie zwracałbym sobie głowy okłamywaniem cię – odparł odmierzonego tonem Ammar ibn Khairan, nawet na nią nie patrząc.

Rumieniąc się, Džehana zdała sobie sprawę, że oczywiście była to prawda. Dlaczego miałoby go obchodzić, co ona myśli? W takim razie jednak nasuwało się inne oczywiste pytanie, a ona nie była szczególnie skłonna do przyjmowania napomnień od ludzi, którzy wchodzili do jej domu, wspinając się na okna.

– Co zatem tu robisz?

Tym razem się odwróciła.

– Dwa powody. Jednego powinnaś się sama domyślić.

Kątem oka zobaczyła, że ojciec powoli kiwa głową.

– Wybacz mi, ale w tej chwili nie mam ochoty na zgadywanki.

Starła się, by ta uwaga zabrzmiała uszczypliwie.

Ibn Khairan zachowywał niewzruszony wyraz twarzy.

– To nie zgadywanka, Džehano. Jestem tu po to, by Muwardyjczycy nie zabili dziś wieczorem Husariego ibn Musy i by lekarka, bardziej odważna niż inteligentna, która pomaga mu w ucieczce, również przeżyła dzisiejszą noc.

Džehanie zrobiło się nagle zimno.

– A więc przyjdą po niego?

– Oczywiście, że tak. Lista zaproszonych gości była znana, a przynajmniej niektórzy Muwardyjczycy umieją czytać. Dostali polecenie zgładzenia wszystkich ludzi z listy. Sądzisz, że

zrezygnują z przyjemności zabicia choćby jednego z nich albo że zaryzykują reakcję Almalika na niewykonanie zadania?

– Przyjdą do tego domu?

– O ile już tu nie zmierzają. Dlatego przyszedłem przed nimi. Husari wyszedł z Velazem. Służący i niewolnicy zostali odesłani do swoich pomieszczeń, poza zarządcą, najwyraźniej cieszącym się zaufaniem Husariego. To błąd. Zapytałem go, gdzie jest jego pan, a on powiedział, że właśnie wyszedł, przebrany za wadziego ze służącym kindathijskiej lekarki.

Już przedtem zrobiło jej się zimno; teraz była zlodowaciała.

– A więc powie Muwardyjczykom?

– Chyba nie – odrzekł Ammar ibn Khairan.

Zapadło milczenie. To nie była zabawa.

– Zabiłeś go – stwierdziła Dżehana.

– Nielojalny sługa – powiedział ibn Khairan, kręcąc głową. – Melancholijny znak czasów, w jakich żyjemy.

– Dlaczego, Ammarze?

Tym razem pytanie Iszaka było zdumiewająco wyraźne, lecz mogło mieć wiele znaczeń.

Ibn Khairan zawahał się. Dżehana, która bacznie mu się przyglądała, znów ujrzała na jego twarzy ten dziwny wyraz.

– Już noszę imię za coś, co zrobiłem w młodości dla Almalika z Cartady – powiedział, starannie dobierając słowa. – Mogę z tym żyć. Słusznie czy nie, zrobiłem to. Ale jestem... niechętny przyjęciu odpowiedzialności za tę ohydłą rzeź, którą Almalik wyraźnie chce mnie obarczyć. Ma swoje powody. Potrafię je zrozumieć, ale w tym momencie swojego życia nie chcę mu ulec. Przekonałem się, że Husari ibn Musa jest bystrym, skromnym człowiekiem, podziwiam też... kompetencję i charakter twojej córki. Powiedzmy, że... dla odmiany podoba mi się wziąć stronę cnoty.

Iszak kręcił głową.

– Więcej, Ammarze – powiedział z wysiłkiem, przeciągając nieco głoski.

Ammar ibn Khairan znów się zawahał.

– Zawsze jest więcej powodów ludzkiego działania, ben Jonannonie. Pozwolisz mi zachować to dla siebie? Sam opuszczę dziś w nocy Fezanę, własnym sposobem i we własnym kierunku. Być może z czasem moje motywy staną się jaśniejsze.

Odwrócił się do Dżehany; spostrzegła w blasku świecy i światła wpadającego przez okno, że oczy wciąż ma inne, zimne. Powiedział jednak dosyć i Dżehana pomyślała, że teraz już wie, o co tu chodzi.

– Skoro zarządca jest... nieosiągalny – rzekł – Muwardyjczycy prawdopodobnie się nie pojawiają, ale jeśli tu dotrą, to nie mogą niczego znaleźć. Radziłbym ci zrezygnować z posiłku

i odejść, gdy tylko się ściemni.

Džehana, ponura i przygaszona, mogła tylko kiwnąć głową. Z każdą mijającą chwilą coraz bardziej uświadamiała sobie niebezpieczeństwa i obcość świata, do którego postanowiła wejść. Poranne targowisko, pomieszczenia do przyjmowania pacjentów, wszystkie rutynowe czynności jej życia już się wydawały odległe i szybko znikające w przeszłości.

– Chcę też coś zaproponować, jeśli mogę. Nie wiem, co zamierza ibn Musa, ale oboje moglibyście na jakiś czas udać się do Valledo.

– Chciałbyś wysłać Kindathijkę do dżadytów? – zapytała ostro Džehana.

Wzruszył ramionami.

– Żyłas między nimi podczas studiów za granicą, podobnie jak kiedyś twój ojciec.

– To była Bachiara. I Ferrieres.

Skrzywił się.

– Znow zostałem stłamszony. Jeśli nie przestaniesz tego robić, naprawdę będę musiał wyskoczyć przez okno. – Wyraz jego twarzy uległ zmianie. – Sytuacja na półwyspie się zmienia, Džehano. Może to przybrać bardzo szybkie tempo. Warto pamiętać, że dzięki płaceni *parias* Valledo gwarantuje Fezanie bezpieczeństwo. Nie wiem, czy dotyczy to wewnętrznej... kontroli sprawowanej przez Cartadę, ale można by o tym podyskutować, gdyby ibn Musa chciał to zrobić. To mógłby być pretekst. Jeśli chodzi o ciebie, to gdybym był Kindathem, z pewnością unikałbym Ruendy i Dżalonii, ale król Ramiro z Valledo jest inteligentnym człowiekiem.

– A jego żołnierze?

– Niektórzy.

– Dodajesz mi otuchy.

Usłyszała za plecami pełen dezaprobaty odgłos, wydany przez ojca.

– Džehano, jeśli wyjdiesz poza te mury, nie możesz się spodziewać otuchy – rzekł ibn Khairan, patrząc jej prosto w oczy. – Musisz to zrozumieć, zanim to uczynisz. Jeśli nie masz żadnych planów i nie wiesz, w jakim kierunku się udać, to służba w charakterze lekarki pod ochroną Valledo stanowi równie dobre wyjście...

– Dlaczego zakładasz, że nie mam żadnych planów?

Dziwne, jak szybko potrafił wzbudzić w niej gniew.

– Wybacz mi.

– Dokąd?

Z wielu powodów nie odpowiedziałaby Ammarowi ibn Khairanowi, ale ojcu musiała. Od czterech lat nie odezwał się do niej słowem.

– Do Ragosy – odparła cicho.

Pomyślała o tym dopiero wtedy, gdy ibn Khairan zaczął swoją przemowę, ale kiedy tylko została wypowiedziana nazwa miasta, Džehanie wydało się, że zawsze zamierzała się tam udać,

na wschód ku brzegom Jeziora Serrana, ku rzece i górcom.

– Ach – rzekł z namysłem ibn Khairan. Potarł podbródek. – Owszem, mogłabyś trafić gorzej niż do króla Badira.

– Oraz Masura ben Avrena.

Powiedziała to zbyt wyzywającym tonem. Ammar uśmiechnął się szeroko, pokazując zęby.

– Księcia Kindathów. Oczywiście. Ja byłbym ostrożny, Dzehano.

– Dlaczego? Znasz go?

– Od wielu lat wymieniamy listy i wiersze. Książki do naszych bibliotek. Ben Avren jest nadzwyczaj subtelnym człowiekiem.

– I co? To zła cecha u głównego doradcy króla Ragosy?

Pokręcił głową.

– Dziś wieczorem zadajesz to pytanie niewłaściwej osobie. Po prostu uważaj, jeśli tam się wybierasz. Pamiętaj, że ci to mówiłem. – Na chwilę zamilkł, na wpół odwrócony do okna. – A jeśli w ogóle masz dokądkolwiek dotrzeć, nie mówiąc już o mnie, to musimy zakończyć nasze spotkanie. Chyba słyszę na dole jakieś głosy. Miejmy nadzieję, że Husariego i Velaza.

Teraz i ona je usłyszała i rozpoznała.

– Za twoim pozwoleniem, don Iszaku, wyjdę tą samą drogą, którą przyszedłem. – Ibn Khairan minął Dzehanę, by jeszcze raz ująć jej ojca za rękę. – Mam jednak pytanie, jeśli mogę. Od czterech lat się nad czymś zastanawiam.

Dzehana znieruchomiała. Jej ojciec powoli uniósł głowę ku ibn Khairanowi.

– Powiedz mi, jeśli łaska, czy wiedziałeś, co ryzykujesz, kiedy przyjąłeś poród ostatniego dziecka Almalika tak, jak go przyjąłeś?

W ciszy, jaka zapadła po tych słowach, Dzehana słyszała dochodzący z dziedzińca spokojny głos matki, zapraszającej ibn Musę do ich domu, jakby był gościem spodziewanym na kolacji w zwykły wieczór.

Zobaczyła, że ojciec kiwa głową, a z jego ust wydobył się dźwięk, jakby Iszak pozbywał się długo dźwiganego ciężaru. Dzehana nagle poczuła, że znów jest bliska łez.

– Zrobiłbyś to jeszcze raz? – zapytał ibn Khairan bardzo łagodnie.

Tym razem nie było wahania. Jeszcze jedno potaknięcie.

– Dlaczego? – zapytał Ammar ibn Khairan, a Dzehana spostrzegła, że naprawdę chce to zrozumieć.

Usta Iszaka otworzyły się i zamknęły.

– Galius – odpowiedział w końcu, a potem, sfrustrowany, pokręcił głową.

– Nie rozumiem – powiedział ibn Khairan.

– Galius – powtórzył Iszak i tym razem Dzehana zobaczyła, że ojciec kładzie rękę na sercu. Zrozumiała.

– Przysięga Galina – wyjaśniła. Trudno było jej mówić. – Przysięga lekarza. Że jeśli da się to zrobić, ocali życie.

Iszak kiwnął głową, a potem odchylił się na oparcie fotela, wyczerpany wysiłkiem komunikowania się po tak długiej przerwie. Ammar ibn Khairan wciąż trzymał go za rękę. Teraz ją wypuścił.

– Zanim ośmieliłbym się cokolwiek odpowiedzieć, potrzebowałbym czasu, żeby to przemyśleć, i to więcej niż go mamy – rzekł. – Jeśli moje gwiazdy i twój księżyc pozwolą, byłbym zaszczycony, mogąc się z tobą jeszcze spotkać, don Iszaku. Pozwolisz mi do siebie napisać?

Iszak ponownie kiwnął głową. Po chwili ibn Khairan zwrócił się do Dzehany:

– Powiedziałem, zdaje się, że miałem dwa powody, by tu przyjść – mruknął. – A może zapomniałaś? – Rzeczywiście, zapomniała. Spostrzegł to i uśmiechnął się. – Jednym było ostrzeżenie przed niebezpieczeństwem, a drugim przyniesienie ci czegoś.

Przeszedł obok niej, kierując się do okna. Podciągnął się na parapet i sięgnął do występu pod nim. Nie schodząc z parapetu, podał Dzehanie jakiś przedmiot.

– Ojej – powiedziała. – Ojej.

Była to, oczywiście, jej flaszka na mocz. Flaszka jej ojca.

– Od ibn Musy wyszłaś w jakimś pośpiechu – rzekł ibn Khairan łagodnym tonem – podobnie jak Velaz i Husari. Pomyślałem sobie, że może chciałabyś odzyskać tę flaszkę i wykorzystać ją lepiej niż Muwardyjczycy, kiedy się już pojawią.

Dzehana przełknęła ślinę i przygryzła wargę. Gdyby to znaleźli... Podeszła do ibn Khairana i wzięła od niego flaszkę. Ich palce się zetknęły.

– Dziękuję – powiedziała.

I pozostała nieruchoma, zdumiona, jako że mężczyzna pochylał się i pocałował ją w usta. Przez moment owionął ją zapach jego perfum. Dotknął jej włosów.

– Zapłata dla kuriera – oznajmił gładko, odchylając się. – Ragoza to dobry pomysł. Wspomnij jednak ibn Musie o Valledo, u króla Ramira może mu się powieść lepiej.

Dzehana czuła, że rumieniec powoli znika z jej twarzy. Zastąpił go, jak można się było spodziewać, wyraz zbliżony do gniewu. Jej ojciec i matka, Velaz, don Rezzoni – wszyscy, którzy dobrze ją znali – zawsze twierdzili, że jest zbyt dumna.

Postąpiła krok do przodu, wspięła się na palce i z kolei ona pocałowała Ammara ibn Khairana. Poczwała, jak, zaskoczony, wciąga powietrze. Tak lepiej: jak dotąd zachowywał się o wiele za swobodnie.

– Zapłata dla lekarki – rzekła słodko, odstępując. – Pobieramy nieco więcej niż kurierzy.

– Ja jednak wypadnę przez to okno – powiedział po chwili.

– Nie rób tego. Daleko do ziemi. Nie wspominałeś o tym, ale wydaje się dość oczywiste, że

masz do zrealizowania w Cartadzie własny plan zemsty. Wypadnięcie z okna byłoby kiepskim początkiem.

Z zadowoleniem spostrzegła, że na to też nie był przygotowany.

– Śmiem żywić nadzieję, że się jeszcze spotkamy – odezwał się po kolejnej chwili milczenia.

– To byłoby interesujące – odparła spokojnie, chociaż serce biło jej bardzo szybko.

Uśmiechnął się. Chwilę potem obserwowała, jak schodzi po nierównej ścianie na dziedziniec. Przeszedł pod łukiem prowadzącym do bramy, nie oglądając się za siebie.

Mogłaby sądzić, że wygrała ten ostatni pojedynek, ale uśmiech, jaki jej posłał, zanim się odwrócił i zszedł na dół, zasiał w niej jednak trochę wątpliwości co do tego.

– Ostrożnie, Dżehano. Ostrożnie – odezwał się z tyłu ojciec, powtarzając jej własne myśli.

Znów czując strach, Dżehana wróciła do fotela i uklękła przed nim. A potem położyła głowę na kolanach ojca. Po chwili poczuła, jak głaszcze jej włosy. Nie robił tego od dawna.

I tak ich zastał Velaz, kiedy przyszedł po nią, spakowawszy rzeczy na drogę – dla nich obojga. Oczywiście w tej sprawie sam podjął decyzję.

W jakiś czas potem, kiedy Dżehana, i Velaz, i Husari ben Musa, handlarz jedwabiami – który został, choć było to bardzo nieprawdopodobne, zdeklarowanym spiskowcem przeciwko Lwu z Cartady – opuścili dom, z gabinetu Iszaka ben Jonannona, lekarza, zaczęły dochodzić dziwne dźwięki.

Eliana stała na korytarzu przed zamkniętymi drzwiami i nasłuchiwała, jak jej mąż, milczący niczym śmierć od czterech długich lat, ćwiczy wymowę liter alfabetu, a potem zмага się z prostymi wyrazami jak dziecko, uczące się, co może wypowiedzieć, a czego nie. Na dworze zapadły już całkowite ciemności; ich córka, ich jedyne dziecko, była gdzieś poza murami cywilizacji i bezpieczeństwa, tam gdzie kobiety prawie nigdy się nie wyprawiały, w dziczy szerokiego świata. Eliana trzymała długą, zapaloną świecę, przy której blasku można by dostrzec, że jej wciąż piękne rysy są ściągnięte cierpieniem.

Stała tak długi czas, nim zapukała i weszła do pokoju. Okiennice wciąż były otwarte, podobnie jak okno, tak jak zostawiła je Dżehana. Za bramą Dzielnicy wciąż rozbrzmiewały okrzyki bólu, gwiazdy jak zawsze spokojnie świeciły na ciemniejącym niebie i niedługo miały wzejść księżycy – tej nocy najpierw biały, potem niebieski – a nocny wiatr wciąż przynosił ulgę i chłód spalonej letnim słońcem ziemi, po której chodzili mężczyźni i kobiety. Oraz mówili.

– Eyyia? – powiedział jej mąż, a dla Eliany det Danel jej zniekształcone imię zabrzmiało jak muzyka.

– Masz głos niczym bagienna żaba – stwierdziła, zatrzymując się przed jego fotelem.

W pełgającym świetle zobaczyła, że Iszak się uśmiecha.

– Gdzie byłeś? – zapytała. – Mój kochany. Tak bardzo cię potrzebowałam.

– Eyyła – spróbował ponownie i wstał. Zamiast oczu miał dwa czarne wgłębienia. Już zawsze tak będzie.

Otworzył ramiona i Eliana weszła w przestrzeń, którą wykrawały ze świata; oparła głowę na piersi Iszaka i pozwoliła sobie na prawie niewyobrażalny luksus żałości.

Mniej więcej w tym samym czasie ich córka, tuż za murami miasta, negocjowała z kilkoma dziewczynkami zakup trzech mułów.

Džehana знаła kilka tajnych przejść w miejskich murach. Niektóre z nich były zbyt wąskie dla mężczyzny tuszy Husariego, lecz w samej Dzielnicy, na jej północno-zachodnim skraju, znajdowało się drzewo, które skrywało niskie przejście wiodące przez kamienny mur. Okazało się, że Husari ledwie się w nim zmieścił, ale udało mu się przepchnąć z pomocą Velaza.

Kiedy wyszli na trawiasty brzeg rzeki, w ciemności rozległ się wesoły, znany Džehanie kobiecie głos:

– Witajcie, pielgrzymi. Mogę was zaprowadzić do Ogrodu Rozkoszy, jaki Aszar daje tylko zmarłym?

– Na pewno nie daje go Kindathom – odparła Džehana. – Dzisiaj mogłabyś mnie niemal skusić, Džasinto.

– Džehana? Lekarka? – Kobieta, uperfumowana i obwieszona krzykliwą biżuterią, podeszła bliżej. – Wybacz mi! Nie poznałam cię. Kto cię wezwał?

– Właściwie nikt. Dzisiaj to ja potrzebuję waszej pomocy. Być może ścigają mnie wadzi i Muwardyjczycy.

– Zaraza na nich wszystkich! – zawołała Džasinta. – Nie mają dość krwi jak na jeden dzień? – Oczy Džehany przywykły już do ciemności; teraz widziała stojącą przed nią szczupłą dziewczynę, mającą nie więcej niż czternaście lat i odzianą jedynie w cieniutkie, niewiele zakrywające skrawki materiału. – Czego potrzebujesz? – zapytała Džasinta.

– Trzech mułów i twojego milczenia.

– Dostaniesz je. Chodź, zaprowadzę cię do Nunayi.

Spodziewała się tego. Jeśli ktoś sprawował jakąkolwiek kontrolę nad tą społecznością kobiet i chłopców za murami miasta, to tym kimś była Nunaya.

Nie należała do osób marnujących czas albo słowa. Wiedzieli też o tym mężczyźni, którym było spieszno. Albo dość szybko się tego dowiadywali.

Odwiedzający ją klient wracał za mury Fezany bardzo szybko, uwolniony od pewnych popędów oraz pewnej kwoty pieniędzy.

Kupno mułów nie nastęczyło trudności. Džehana – jedyna lekarka w Fezanie – od kilku lat była zaufaną lekarką dla miejskich dziwek. Najpierw w ich dzielnicy przy wschodnim murze, a potem tu, na północy, po tym, jak wadzi wypchnęli je za bramy miasta, do jednego

z przedmieść szeroko rozłożonych nad rzeką.

Wydarzenie to plasowało się w łańcuchu sporadycznych wybuchów pobożnego oburzenia, które wyznaczały rytm stosunków miasta z osobami handlującymi fizyczną miłością. Kobiety spodziewały się wrócić za mury w ciągu roku – i prawdopodobnie znów się znaleźć na zewnątrz kilka lat później.

Biorąc jednak pod uwagę, że kobiety i chłopców do kupienia można było obecnie znaleźć głównie poza murami miasta, nie dziwiło, że pojawiły się ukryte wyjścia. Nigdy nie da się całkowicie zamknąć miasta, którego mieszkańcy – legalni czy też nie – mieszkają na zewnątrz jego murów.

Dzehana знаła dość dużo dziwek i już kilka razy wymykała się, by spędzić z nimi pełen śmiechu wieczór przy jedzeniu i piciu. Z poczucia uprzejmości wobec lekarki, która leczyła ich ciała z chorób albo ran i przyjmowała porody, klienci przy takich okazjach nie byli mile widziani. Dzehana czuła się wśród tych kobiet – oraz wśród mądrych, zgorzkniałych chłopców – lepiej niż w towarzystwie prawie wszystkich osób, jakie знаła w mieście, czy to w Dzielnicy Kindathów, czy poza nią. Czasami zastanawiała się, jak to o niej świadczy.

Zniszczone domy rozrzucone nad fosą i rzeką leżały daleko od spokojnego świata i Dzehanę często wzywano do rany od noża, którą zadała jedna kobieta drugiej. Chociaż jednak reprezentowano tu wszystkie trzy religie, było dla niej oczywiste, że kiedy wybuchały kłótnie, nie miały nic wspólnego z oddawaniem czci słońcu, księżycom czy gwiazdom. A wspólnym wrogiem byli wadzi, którzy wygnali te kobiety i chłopców z miasta. Dzehana wiedziała, że ci ludzie jej nie zdradzą.

Nunaya sprzedała im trzy muły bez cienia ciekawości w przykrytych ciężkimi powiekami, mocno umalowanych oczach. Nie było to miejsce, gdzie zadawało się osobiste pytania. Każdy miał tu swoje tajemnice i rany.

Dzehana wsiadła na muła, Velaz i Husari na pozostałe dwa. Dama powinna siedzieć w siodle po damsku, ale Dzehanie zawsze wydawało się to głupie i niezręczne. Lekarze mogli zachowywać się ekscentrycznie. Jechała tak jak mężczyźni.

Było lato, rzeka płynęła leniwie i powoli. Przeprowadzając się na drugą stronę i trzymając muła na krótkiej wodzy, Dzehana poczuła uderzenie jakiegoś ciężkiego obiektu unoszącego się na wodzie. Zadrżała, wiedząc, co to takiego. Muł odskoczył w bok i Dzehana niemal z niego spadła, usiłując opanować zwierzę.

Wyszli z wody i ruszyli na północ, w stronę drzew. Dzehana obejrzała się tylko raz. Za nimi w wieżach strażniczych wzdłuż murów, w zamku i w wysokich domach Fezany paliły się latarnie. Świece zapalone przez mężczyzn i kobiety, chroniących się przed niebezpieczeństwami mroku.

W zamkowej fosie oraz w rzece pływały bezgłowe ciała. Sto trzydzieści dziewięć

bezgłowych ciał.

Sto czterdziesty człowiek jechał tuż obok niej, cierpiąc zapewne ostry ból, lecz nie skarżąc się ani słowem.

– Spójrzcie przed siebie – powiedział cicho Velaz. Otaczała ich głęboka ciemność.

Dzehana podążyła wzrokiem za jego ręką i dostrzegła w oddali czerwony odblask ognia. Serce mocno jej zabiło. Nieosłonięte obozowe ognisko na trawiastej równinie mogło oczywiście oznaczać wiele rozmaitych rzeczy, ale Dzehana w żaden sposób nie mogła ocenić, co dokładnie. Teraz, na tej odsłoniętej, pogrążonej w mroku nocy równinie, przebywając tylko w towarzystwie starzejącego się sługi i pulchnego kupca, poczuła się bardzo samotna w obcym świecie. Wszystko, co znała i rozumiała, pozostało za nią. Nawet surowe przedmieście dziwek przylegające do miasta nagle wydało jej się bezpiecznym miejscem.

– Chyba wiem, co to za światło – stwierdził po chwili Husari. Głos miał spokojny; jego niezachwiana pewność siebie stanowiła bezustanną niespodziankę. – Właściwie jestem tego pewien – dodał. – Jedźmy tam.

Dzehana, na razie zmęczona myśleniem, zadowolona, że bezpiecznie wyprowadziła ich z miasta, nie oponowała. Co prawda przeszło jej przez myśl, że ta przygoda, to wspólne poszukiwanie zemsty, może się skończyć o wiele szybciej, niż przewidywało którekolwiek z nich. Ruszyła za Husarim w stronę ogniska płonącego na równinie.

O wschodzie białego księżyca cała trójka wjechała prosto do obozu Rodriga Belmontego, Komendanta z Valledo, oraz pięćdziesięciu ludzi, których wziął ze sobą, by odebrać letnie *parias*, i Dzehana uświadomiła sobie, że bardzo długi dzień i noc jeszcze się nie skończyły.

ROZDZIAŁ 4

Drobni gospodarze z Orvilli – dwunastu ludzi – przybyli do miasta razem z objuczonymi mułami, a kiedy w południe skończył się targ, razem wyjechali z Fezany. Kilku z nich może chciałoby zostać i pogapić się na żołnierzy paradujących z arogancją po mieście, lecz to oznaczałoby drogę powrotną do wioski bez ochrony, jaką dawała większa grupa. W niespokojnym kraju leżącym tak blisko ziemi niczyjej, w niespokojnych czasach, przyjemności wałęsania się po mieście – lub, w wypadku niektórych mężczyzn, odwiedzenia pewnego interesującego przedmieścia tuż za północnymi murami – nie mogły przeważać realnej potrzeby bezpieczeństwa, jaką dawała liczebność.

Na długo przed modłami o zachodzie słońca wszyscy znaleźli się bezpiecznie w Orvilli z towarami, które otrzymali na targu w zamian za swe cotygodniowe plony. Dlatego też nikt z nich nie wiedział, co się tego dnia zdarzyło w Fezanie. Mieli się o tym dowiedzieć później; wtedy będzie to już miało znacznie mniejszą wagę. Musieli się zająć ratowaniem własnego życia.

Najeźdźcy z północy – nawet ciemni wieśniacy umieli rozpoznać dzadyckich jeźdźców – runęli na Orvillę dokładnie w chwili, gdy niebieski księżyc dołączył na letnim niebie do białego. Zostało to zbyt dokładnie wyliczone, by mogło nie być zamierzone, chociaż potem nikt nie potrafił dociec, w jakim celu. Może to był kaprys. Natomiast nie było nic z kaprysu w tym, co się zdarzyło, kiedy jeźdźcy – co najmniej pięćdziesięciu – przedarli się lub przeskoczyli przez drewniany płot, okalający domy i zabudowania gospodarcze wsi. W Orvilli mieszkało około dwudziestu rodzin. Znalazłaby się w niej garść starych mieczy, kilka rdzewiejących włóczni. Kilka mułów. Jeden wół. Trzy konie. Aram ibn Dunasz, którego dom stał obok młyna nad strumieniem, miał ojcowski łuk.

Zginał jako pierwszy, usiłując trzęsącymi się rękami nałożyć strzałę na cięciwę, gdy pędził na niego wrzeszczący jeździec. Pika trafiła Arama w pierś i przygwoździła do ściany własnego domu. Jego żona zachowała się bardzo niemądrze i krzyknęła. Usłyszawszy to, jeździec zeskoczył z wierzchowca i wszedł do niewielkiego domu. Schylając się w niskich drzwiach, już rozpinał pas.

Kilka domów zostało szybko podpalonych, a wraz z nimi wspólna stodoła. W stodole była słoma, sucha w środku lata. Budynek błyskawicznie ogarnęły huczące płomienie. Ogień musiał być widoczny w samej Fezanie.

Ziri ibn Aram, który latem lubił spać na dachu stodoły, zeskoczył w ostatniej chwili. Stodoła znajdowała się po drugiej stronie wioski, z dala od młyna i strumienia, więc Ziri nie oglądał śmierci ojca. Nie widział też, jak do domu, w którym znajdowały się jego siostry i ciężarna matka, wchodzi jeździec. Ziri miał czternaście lat. Usiłowałby zabić tego człowieka gołymi rękami. Oczywiście by zginał. A tak, wylądował niezdarnie u stóp roześmianego dzadyty, który

płazem miecza zaganiał wszystkich, którzy nie zostali zabici na początku ataku. Rozpaczliwie wypatrując wśród dymu swojej rodziny, Ziri zdał sobie sprawę, że nie ocalało zbyt wielu mieszkańców wioski. Może dwadzieścioro z ponad dwukrotnie większej liczby. Trudno było mieć pewność przy szalejących płomieniach. Orville pochłaniało piekło ognia.

Dla najeźdźców stanowiło to pod pewnymi względami rozczarowujące ćwiczenie. Zgodnie z oczekiwaniami nie było tu nikogo wartego okupu, choćby wiejskiego wadziego, za którego można by otrzymać jakiś pieniądz. Nawet krótka walka była śmiechu warta. Żałośnie uzbrojeni rolnicy nie stawili przyzwoitego oporu ani nie mieli wyszkolenia bojowego. Były oczywiście kobiety, ale nikt nie musiał jechać aż tak daleko w letnim skwarze, by znaleźć sobie wieśniaczki do zabawy. Perspektywa niejakej rozrywki pojawiła się poniewczasie dopiero wtedy, gdy jeden z jeźdźców zaproponował ukrzyżować ocalałych mężczyzn; kobiety oczywiście miały zostać zabrane na północ. To przecież był Al-Rassan. Półnaczy nieszczęśnicy zgromadzeni razem jak bydło czy owce byli niewiernymi. Ten atak można by niemal uznać za akt pobożności.

– Słusznie! – zawołał inny jeździec. – Rozkrzyżować drani na ich własnych belkach, a potem trochę inaczej rozkrzyżować ich kobiety!

Rozległ się śmiech.

Z niejakim pośpiechem, a nawet pewną dozą sprawności wśród chaosu pożaru jeźdźcy zaczęli gromadzić i łączyć drewniane belki. Noc zaczynała się zapowiadać przyjemniej. Mieli mnóstwo gwoździ. Przeznaczone do podkuwania koni, które zagarnęliby podczas wyprawy, równie dobrze nadawały się do przybijania ludzi do drewna.

Właśnie wybrali pierwszego z wieśniaków – chłopca o pozbawionej wyrazu twarzy, który niewątpliwie wyrósłby na mordercę niewinnych mężczyzn i kobiet, mieszkających na północ od *tagry* – kiedy ktoś wywrzeszczał poważnie spóźnione ostrzeżenie.

Jak trąba powietrzna, z grzmiotem kopyt wpadli między nich ludzie na koniach, skracając między płonącymi domami i używając mieczy. Większość najeźdźców zsiadła już wtedy z wierzchowców, a wielu odłożyło broń, żeby przygotować ukośnie skrzyżowane belki, do których chcieli przybić aszarytów. Stanowili łatwy łup. Tak łatwy, jak wieśniacy dla nich.

Najeźdźcy byli jednak ludźmi dobrze wychowanymi, a nie zawszonymi bandytami wyjętymi spod prawa. Wiedzieli, jak się robi takie rzeczy, nawet w Al-Rassanie. Chłopi to jedno – po obu stronach ziemi niczyjej – lecz ludzie mający bogactwa i pozycję to co innego. W całej Orvilli dzadyci zaczęli unosić ręce w geście poddania i wykrzykiwać dobrze znane słowo: „Okup! Okup!”.

Ci, którzy zginęli w pierwszych chwilach ataku nowych jeźdźców, musieli umierać z pełnym zdumienia niedowierzaniem. Coś takiego nie powinno nastąpić. Jeśli przed wysłaniem na tamten świat zdali sobie sprawę, kto się pojawił, ich zdumienie zapewne wzrosło w dwójnasób, ale takich rzeczy nie da się powiedzieć o martwych, nawet z najmniejszą dozą pewności.

Alvar tak naprawdę się nad tym nie zastanawiał, ale na pewno nie wyobrażał sobie, że pierwszy człowiek, którego zabije w Al-Rassanie, będzie pochodził z Valledo. Nie siedział nawet wtedy w siodle. Alvar miał wrażenie, że w pewien sposób nie jest to właściwe, ale polecenie Laina Nuneza było wyraźne: zabijajcie ich, dopóki nie usłyszycie rozkazu, by przestać.

Można było polować na wszystkich oprócz przysadzistego, czarnowłosego mężczyzny, który nimi dowodził. Miał się dostać Komendantowi.

Komendant był w przerażającym stanie. Trwał w nim od chwili, gdy do obozu wjechało ze swoją opowieścią troje jeźdźców z Fezany. Tłusty kupiec – przedstawił się jako Abenmuza – powiedział im, co król Cartady rozkazał uczynić tego dnia w Fezanie. Szukając wskazówek co do tego, jak należy się zachować, Alvar chciał wziąć przykład ze swoich przełożonych. Jeśli Laina Nunez sprawiał wrażenie obojętnego na krwawą opowieść, zupełnie jakby tu, w Al-Rassanie spodziewał się takich podłych czynów, to wyraz twarzy don Rodriga mówił co innego. Jednakże, kiedy kupiec skończył, Komendant tylko zapytał lekarkę – miała na imię Dzehana – czy kiedykolwiek służyła w oddziale wojskowym.

– Nie – mruknęła – chociaż kiedy indziej bym się nad tym zastanowiła. Na razie mam do załatwienia własne sprawy. Chętnie zostawię Husariego ibn Musę – tak najwyraźniej należało wymawiać jego imię – w twoim oddziale, by mógł zająć się swoimi, a może i twoimi sprawami. Jeśli pozwolisz, rano was opuszczę.

Ta niespieszna, elegancka odpowiedź niemal złamała Alvarowi serce. Zanim kobieta się odezwała, już był w niej niemal zakochany. Uważał, że lekarka jest piękna. Włosy – o ile mógł je zobaczyć pod niebieskim szalem, którym owinięła ramiona i głowę – miała w intensywnym, ciemnokasztanowym kolorze. Jej oczy były ogromne, nieoczekiwanie błękitne w blasku ognia. Alvar pomyślał, że chciałby słyszeć jej głos w chwili śmierci albo przez resztę życia. Była kobietą światową, zdumiewająco opanowaną, nawet tu, w ciemności wśród pięćdziesięciu jeźdźców z północy. Alvar wiedział, że uzna go za dziecko, ale patrząc na nią, tak właśnie się czuł.

Nigdy się nie dowiedzieli, co odpowiedziałaby jej Komendant ani nawet, czy jego zaproszenie, by przyłączyła się do oddziału, było prawdziwe, ponieważ właśnie wtedy Martin odezwał się ostrym tonem:

– Ogień. Na zachodzie!

– Co tam jest? – zapytał Komendant troje fezan, gdy wszyscy się odwrócili, by popatrzeć. Płomienie już się rozprzestrzeniały, a nie były daleko.

Odpowiedziała lekarka, nie kupiec: – Wioska. Orvilla. Mam tam pacjentów.

– A zatem pojedziesz z nami – rzekł Komendant, z twarzą jeszcze bardziej ponurą niż przedtem. – Teraz będziesz miała ich więcej. Zostaw muła. Pojedziesz z Lainem – tym starszym.

Alvarze, weź jej służącego. Ludusie, Mauro, pilnujcie obozu z kupcem. Jedziemy! Ten pełzający robak Garcia de Rada jednak się tu pojawił.

Przynajmniej połowa dzadyckich jeźdźców zginęła w kilka chwil, zanim Dzehana, kryjąca się z Velazem za jednym z płonących domów, usłyszała, jak mężczyzna nazywany przez innych Komendantem mówi wyraźnie:

– Dosyc. Zebrać pozostałych.

Komendant. Oczywiście wiedziała, kto to jest. Wszyscy na półwyspie wiedzieli, kogo nazywano samym tylko tym tytułem jak imieniem.

Jego słowa szybko powtórzyli dwaj inni jeźdźcy, z których jeden ją tu przywiózł. Zabijanie ustało.

Najeźdźcy zostali zagonieni na otwarty, trawiasty placyk znajdujący się pośrodku wioski. Niektórzy ludzie Rodriga Belmontego napełniali w strumieniu wiadra, usiłując razem z garstką wieśniaków ugasić pożary. Było to jednak beznadziejne zadanie; nawet w niedoświadczonych oczach Dzehany wyglądało na próżny wysiłek.

– Lekarko! Och, dzięki świętym gwiazdom! Chodź tu szybko, proszę cię!

Dzehana odwróciła się i rozpoznała swoją pacjentkę, kobietę, która co tydzień przynosiła jej na targ jajka.

– Abirabo! Co się stało?

– Moja siostra została strasznie skrzywdzona. Przez jednego z mężczyzn. Krwawi, a jest w ciąży. Jej mąż nie żyje. Och, co my pocniemy, lekarko?

Twarz kobiety była czarna od sadzy i dymu, wykrzywiona z żalości, a oczy czerwone od płaczu. Dzehana, przez chwilę zmrożona brutalną rzeczywistością, zmówiła w duchu króciutką modlitwę do Galina – tylko jemu oddawała prawdziwą cześć – i rzekła:

– Zaprowadź mnie do niej. Zrobimy co się da.

Ziri ibn Aram, który stał po drugiej stronie kręgu, wciąż nie wiedział, co się stało z jego ojcem i matką. Zobaczył, jak jego ciotka podchodzi do kobiety, która przybyła z wybawcami. Już miał za nimi pójść, ale coś go zatrzymało w miejscu. Jeszcze przed chwilą miał umrzeć, przybity gwoździami do belki ze stodoły. Przygotował się na to, ofiarowując swoją duszę gwiazdom Aszara. Wyglądało na to, że mimo wszystko gwiazdy nie były jeszcze gotowe na przyjęcie jej.

Patrzył, jak dowódca nowo przybyłych zdejmuje rękawicę i gładzi wąż, przyglądając się ze swego karego konia przywódcy tych, którzy zniszczyli wioskę Ziriego. Mężczyzna stojący na ziemi był przysadzisty i czarnowłosy. Na Zirim wcale nie robił wrażenia kogoś, kto się boi nadchodzącej śmierci.

– Udało ci się sprowadzić zniszczenie na samego siebie – rzekł ze zdumiewającą arogancją do mężczyzny siedzącego na koniu. – Wiesz, kogo tu zabili twoi gamonie? – Jak na mężczyznę,

głos miał dość wysoki, niemal piskliwy. – Wiesz, co się stanie, kiedy opowiem o tym w Esterenie?

Siedzący na karym koniu mężczyzna o szerokich barach i kasztanowych włosach milczał. Towarzyszący mu niezwykle wysoki i szczupły starszy mężczyzna z siwymi włosami odezwał się ostrym tonem:

– Taki jesteś pewien, że tam wrócisz, de Rado?

Zapytany nawet na niego nie spojrział. Pierwszy jeździec, przywódca, powiedział jednak po chwili bardzo cicho:

– Odpowiedz mu, Garcia. Zadał ci pytanie.

Imię to zostało wypowiedziane tak, jakby dorosły napominał dziecko, ale chłodnym tonem.

Ziri po raz pierwszy dostrzegł na twarzy człowieka imieniem Garcia cień wątpliwości, który jednak zaraz zniknął.

– Nie jesteś kompletnym durniem, Belmonte. Nie igrzaj ze mną.

– Igrzaj?

W głosie jeźdźca zabrzmiał twardy, gwałtowny gniew. Zatoczył ręką łuk, pokazując całą Orville, która teraz płonęła już swobodnie. Nic nie ocaleje. Nic. Ziri zaczął się rozglądać za ojcem. Ogarniał go strach.

– Czyż igrabym z tobą pośrodku tego wszystkiego? – warknął Komendant. – Uważaj, Garcia. Nie obrażaj mnie. Nie tej nocy. Powiedziałem twojemu bratu, co się stanie, jeśli zbliżysz się do Fezany Zakładam, że ci to powtórzył. Muszę to zakładać.

Człowiek stojący na ziemi milczał.

– Czy to ma znaczenie? – odezwał się siwowłosy. Splunął na ziemię. – To śmieć. Gorzej niż śmieć.

– Zapamiętam cię – rzekł ostro czarnowłosy mężczyzna, odwracając się do mówiącego. Zacisnął pięści. – Mam dobrą pamięć.

– Ale zapomniałeś o braterskim ostrzeżeniu? – To znów mówił przywódca, ten, który został nazwany Belmontem. Głos miał na powrót spokojny, niebezpiecznie spokojny. – A może, powiedzmy, postanowiłeś o nim zapomnieć? Garcio de Rado, to, co robiłeś jako chłopiec w swoich rodzinnych posiadłościach, w ogóle mnie nie obchodziło. To, co robisz tutaj jako ktoś, kto uchodzi za mężczyznę, niestety, bardzo mnie obchodzi. Ta wioska znajduje się pod opieką króla Valledo, a ja jestem jego oficerem. *Parias*, po które tu przyjechałem, zostało częściowo zapłacone przez ludzi, których dopiero co zarząnałeś. Posłużyłeś się obietnicami króla Ramira i uczyniłeś go kłamcą w oczach świata. – Przerwał, by słowa dotarły do świadomości Garcii. – Biorąc pod uwagę ten fakt, co powinienem z tobą zrobić?

Wyraźnie nie było to pytanie, jakiego spodziewał się ten, któremu je zadano. Nie brakło mu jednak bystrości.

– Biorąc pod uwagę ten fakt – powtórzył szyderczo. – Powinieneś zostać prawnikiem, a nie żołnierzem, Belmonte. Sędzią na swoich wschodnich pastwiskach, wydającym orzeczenia w sprawie skradzionych owiec. Co to jest, twoja sala sądowa?.

– Tak – odparł jeździec. – Teraz zaczynasz rozumieć. Tak właśnie jest. Czekamy na twoją odpowiedź. Co powinienem z tobą zrobić? Mam cię oddać tym ludziom, by cię ukrzyżowali? Aszaryci też przybijają ludzi do drewna. Nauczylismy się tego od nich. Wiedziałeś? Wątpię, czy mielibyśmy kłopot ze znalezieniem cieśli.

– Nie przechwalaj się – rzekł Garcia de Rada.

Dzehana, która wracała do grupki mężczyzn skupionych pośrodku płonącej wioski, trzymając za ręczki dwie dziewczynki i mając w sercu czarną wściekłość, zobaczyła tylko rozmazany ruch prawego ramienia Rodriga Belmontego. Usłyszała odgłos przypominający trzaśnięcie z bicia, a potem krzyk.

Zdała sobie sprawę, że to jednak był bicz, i zobaczyła na policzku Garcii de Rady czarną kreskę krwi. Wiedziała, że blizna zostanie mu na całe życie. Wiedziała też, że chce, by jego życie skończyło się tej nocy. Z palącą ją wściekłością nie równało się nic, co czuła kiedykolwiek przedtem, była ogromna, przerażająca. Dzehana czuła, że sama może zabić tego człowieka. Musiała głęboko oddychać, starając się choć trochę zachować panowanie nad sobą.

Kiedy jej ojciec został okaleczony w Cartadzie, dowiedziały się o tym z matką najpierw z plotek, a potem ze sprawozdania; zanim pozwolono im zobaczyć, co mu zrobili, i go zabrać, żyły z tą świadomością przez dwa dni. To, co właśnie ujrzała w jednoizbowej chacie nad strumieniem, podziałało na nią jak sól na otwartą ranę. Dzehana chciała wtedy krzyczeć. Czym jest medycyna, czym jest całe jej wyszkolenie, jej przysięga w obliczu takiej potworności?

Gniew ją rozzuchwalił. Prowadząc dwoje dzieci, podeszła prosto do Rodriga Belmontego i stanęła między nim a przywódcą dzadyckich najeźdźców, człowiekiem, którego nazwał Garcia i którego właśnie naznaczył biczem.

– Który to był? – zapytała dziewczynkę podniesionym głosem, by wszyscy ją usłyszeli.

Wokół nagle zapadła cisza. Jakiś młodzieniec w wieku czternastu, może piętnastu lat ruszył do niej pośpiesznie. Dziewczynki powiedziały, że może żyje ich starszy brat. Siostra matki, Abiraba, która nieustannie prosiła na targu Dzehanę o balsamy i napary na bóle nóg, comiesięczne kurcze albo bezsenność, wciąż tkwiła w chacie i usiłowała zrobić coś niemożliwego – zażegnać grozę martwej, brutalnie okaleczonej kobiety i martwego noworodka, który z niej wypłynął.

Młodzieniec podbiegł do nich i przykląkł obok sióstr. Jedna z nich przytuliła mu się z płaczem do ramienia. Druga, starsza, stała wyprostowana z poważną i skupioną twarzą i przyglądała się najeźdźcom.

– Miał czerwoną koszulę – powiedziała bardzo wyraźnie – i czerwone wysokie buty.

– A więc to ten – stwierdził po chwili człowiek, który nazywał się Lain Nunez, i pokazał palcem. – Przyrowadź go, Alvarze.

Jeden z młodszych członków oddziału, ten z dziwnie skróconymi strzemionami, zeskoczył z konia i wyciągnął z szeregu któregoś z ocalałych napastników. Dzehana wciąż była zbyt ogarnięta wściekłością, by poświęcić więcej niż jedną myśl faktowi, że wszyscy przerwali dla niej to, co robili.

Nie chodziło o nią. Spojrzała na chłopca, który kłęczał ze szlochającą siostrą w ramionach.

– Masz na imię Ziri?

Kiwnął głową, unosząc wzrok. Patrzył na nią ogromnymi ciemnymi oczyma osadzonymi w bladej twarzy.

– Z przykrością muszę ci powiedzieć, że wasza matka i ojciec nie żyją. Dzisiejszej nocy nie ma łatwego sposobu, by to powiedzieć.

– Bardzo wielu ludzi tu nie żyje, lekarko. Dlaczego mi przerywasz? – odezwał się za nią Belmonte i na swój sposób było to uczciwe pytanie.

Ale gniew nie opuszczał Dzehany. Ten człowiek był dzadzą, a tej rzeczy dokonali dzadyci.

– Mam to powiedzieć w obecności dzieci?

Nawet się do niego nie odwróciła.

– Po dzisiejszej nocy nikt już nie jest tu dzieckiem.

Zdała sobie sprawę, że to prawda. Tak więc Dzehana wyciągnęła rękę w stronę mężczyzny w czerwonej koszuli i, chociaż później tego żałowała, rzekła:

– Ten człowiek zgwałcił matkę tych dzieci, mającą niedługo urodzić następne dziecko. Potem włożył w nią miecz, głęboko w ciało, rozciął ją i zostawił, by się wykrwawiła na śmierć. Kiedy tam przyszedłem, dziecko już wypłynęło z rany. Jego główka została niemal odcięta. Mieczem. Zanim się urodziło.

Zrobiło jej się niedobrze.

– Rozumiem. – W głosie Rodriga Belmontego zabrzmiało znużenie, które kazało jej się odwrócić i spojrzeć na jeźdźca. Nie potrafiła niczego wyczytać z jego twarzy.

Przez chwilę siedział w siodle bez słowa.

– Daj chłopcu swój miecz, Alvarze – przemówił w końcu. – Coś takiego jest nie do przyjęcia. Nie w wiosce, której Valledanie są zobowiązani bronić.

„A gdzie byłoby do przyjęcia?” – chciała zapytać Dzehana, ale zmilczała. Nagle ogarnął ją strach.

– Ten człowiek jest moim kuzynem – odezwał się ostrym tonem Garda de Rada, przyciskając do krwawiącej twarzy kawałek brudnej szmaty. – To Parazor de Rada. Kuzyn konetabla, Belmonte. Pamiętaj, kto...

– Milcz albo każę cię zabić!

Po raz pierwszy Rodrigo Belmonte podniósł głos i na to, co w nim zabrzmiało, wzdrygnął się nie tylko Garcia de Rada. Dzehana ponownie zajrzała w twarz Komendanta, a potem odwróciła wzrok. Jej wściekłość najwyraźniej minęła, zostawiając po sobie tylko żal i kolejne fale mdłości.

Młody żołnierz, Alvar, posłusznie podszedł do chłopca, który wciąż klęczał obok Dzehany, teraz obejmując już obie siostry, i wyciągnął do niego miecz rękojeścią do przodu. Chłopiec, Ziri, spojrzał obok Dzehany na Rodriga Belmontego, siedzącego nad nimi na swym karym koniu.

– Masz to prawo. Daję ci je przy świadkach.

Chłopiec powoli wstał i powoli ujął miecz. Dzehana spostrzegła, że mężczyzna nazwany Alvarem ma twarz tak samo poszarzałą, jak Ziri – i domyśliła się, że tego wieczoru po raz pierwszy zasmakował bitwy. Na klindze była krew.

– Pomyśl, co robisz, Belmonte! – zawołał chrapliwie mężczyzna w czerwonej koszuli i wysokich butach. – Takie rzeczy zdarzają się na wojnie, podczas wypadu. Nie udawaj, że twoi własni ludzie...

– Na wojnie? – Przerwał mu z pasją Rodrigo. – Na jakiej wojnie? Kto prowadzi wojnę? Kto rozkazał przeprowadzić wypad? Powiedz mi!

Mężczyzna przez długą chwilę stał bez ruchu.

– Mój kuzyn Garcia – rzekł w końcu.

– Jego stanowisko na dworze? Jego upoważnienie? Powód?

Żadnej odpowiedzi. Wokół rozlegał się trzask płomieni i huk zapadających się budynków. Światło było jaskrawe, straszne, przyćmiewało gwiazdy, a nawet księżycy. Spośród cieni czających się na krawędzi pożarów dobiegał teraz szloch, rozdzierające odgłosy rozpacz.

– Niech Dżad ci wybaczy i znajdzie w swoim świetle miejsce dla twojej duszy – rzekł zupełnie innym głosem Rodrigo Belmonte, patrząc na człowieka w czerwonej koszuli.

Słyszając to, Ziri ostatni raz podniósł na niego wzrok i najwyraźniej ujrzał to, czego potrzebował. Odwrócił się i postąpił krok do przodu, niezdarnie dzierżąc miecz.

Nigdy w życiu nie miał w ręku czegoś takiego, pomyślała Dzehana. Chciała zamknąć oczy, ale coś nie pozwalało jej tego zrobić. Mężczyzna w czerwonej koszuli nie odwrócił się ani nie próbował uciekać. Wtedy pomyślała, że to odwaga, ale później uznała, że mógł on być zbyt zdumiony rozwojem wypadków, by zareagować. Coś takiego po prostu nie zdarzało się szlachetnie urodzonym ludziom, bawiącym się po wsiach.

Ziri ibn Aram postąpił spokojnie dwa kroki do przodu i wbił pożyczoną klingę – niezręcznie, lecz zdecydowanie – prosto w serce człowieka, który zabił jego matkę i ojca. Kiedy ostrze ze strasznym dźwiękiem zagłębiło się w jego ciele, mężczyzna krzyknął.

Zbyt późno Dzehana przypomniała sobie o dwóch dziewczynkach. Powinna była odwrócić im twarzyczki, zasłonić uszy. Obie wszystko obserwowały. Żadna teraz nie płakała. Dzehana

ukłękła i przygarnęła je do siebie.

To ja spowodowałam tę śmierć, myślała. Nie władał nią już gniew i była to przerażająca myśl. Nagle uświadomiła sobie, że znajduje się tu, poza murami Fezany, po to, by spowodować jeszcze jedną śmierć.

– Odprowadzę je, lekarko.

Podniosła wzrok i zobaczyła obok siebie Ziriego. Oddał już miecz Alvarowi; w spojrzeniu miał coś posepnego. Zastanawiała się, czy, później, to wywarcie zemsty mu pomoże. Musiała sobie zadać to pytanie.

Puściła dziewczynki i patrzyła, jak brat wyprowadza je z placyku. Nie wiedziała, dokąd idą. Wątpiła, by wiedział to chłopiec. Nie wstawała z klęczek, wpatrzona w Gardę de Radę.

– Mój kuzyn był świnią – oznajmił spokojnie, odwracając się od zabitego, by spojrzeć na Rodriga Belmontego. – Jego postępek był obrzydliwy. Dobrze, że się go pozbyliśmy. Kiedy wszyscy wrócimy do domu, będę mówił to samo.

Lain Nunez parsknął pełnym niedowierzania śmiechem. Sama Dzehana ledwie wierzyła w te słowa. Gdzieś w głębi ducha musiała jednak przyznać, że ten człowiek ma jakąś odwagę. Był jednak potworem. Potworem z bajek, które matki opowiadały dzieciom, chcąc strachem wymusić na nich posłuszeństwo. Lecz tutaj, w Orvilli, potwór w końcu się pojawił, a dzieci umarły. Jedno zostało przeszyte mieczem, zanim się urodziło.

Znów obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że Rodrigo Belmonte patrzy na de Radę z dziwnym uśmiechem. Nikt na świecie nie mógłby nabrać otuchy, widząc taki wyraz twarzy.

– Wiesz co – rzekł spokojnym już, niemal gawędziarskim tonem Komendant – zawsze uważałem, że otrułeś króla Raimunda.

Dzehana dostrzegła na pobrużdżonej twarzy Laina Nuneza zaskoczenie i niepokój. Stary żołnierz odwrócił się szybkim ruchem do Rodriga. Najwyraźniej tego się nie spodziewał. Podjechał bliżej karego konia. Nie odwracając się, Rodrigo uniósł dłoń i Lain Nunez się zatrzymał. Dzehana zobaczyła, jak Garcia de Rada otwiera usta, ale zaraz je zamyka. Widać było, że intensywnie myśli, ale nie dostrzegała w nim strachu, nawet w tej chwili. Ze zranionego policzka kapłała krew.

– Nie ośmieliłbyś się powiedzieć czegoś takiego w Esterenie – odezwał się w końcu.

On też mówił bardziej miękkiem głosem. Wydawało się, że wszystkich dzadytów ogarnęło innego rodzaju napięcie. Dzehana wiedziała, że ostatni król Valledo miał na imię Raimundo. Był najstarszym z trzech braci, synów Sancza Otyłego. Wokół śmierci Raimunda powstały plotki, pojawiła się jakaś opowieść o Rodrigu Belmontem, coś o koronacji obecnego króla Valledo. Dzehana pomyślała nagle, że mógłby jej o tym opowiedzieć Ammar ibn Khairan, i pokręciła głową. Ten kierunek myśli prowadził donikąd.

– Może nie – odparł Rodrigo, wciąż łagodnym tonem. – Ale nie jesteśmy w Esterenie.

– Zatem uważasz, że możesz szkalować każdego, kogo chcesz?

– Nie każdego. Tylko ciebie. Rzuć mi wyzwanie.

Wciąż miał na twarzy ten dziwny uśmiech.

– Zrobię to w domu. Wierz mi.

– Nie wierzę. Walcz ze mną teraz albo przyznaj, że zabiłeś swego króla. – Kątem oka Dzehana spostrzegła, że Lain Nunez robi dziwnie bezradny gest. Komendant nie zwrócił nań uwagi. Coś się zmieniło w jego zachowaniu i Dzehana po raz pierwszy poczuła lęk przed nim. Wydawało się, że ta sprawa – śmierć króla Raimunda – stanowi jego własną otwartą ranę. Uświadomiła sobie, że obok niej stoi Velaz, który na wszelki wypadek cicho do niej podszedł.

– Nie. Nie tutaj. Ale powiedz to jeszcze raz na dworze i zobacz, co zrobię, Belmonte.

– Rodrigo! – wychrypiął Lain Nunez. – Przestań, w imię Dżada! Zabij go, jeśli chcesz, ale przestań w tej chwili.

– Ale w tym właśnie tkwi problem – rzekł Komendant z Valledo takim samym, pełnym napięcia głosem. – Chyba nie potrafię.

Dzehana, usiłując coś z tego zrozumieć w zamęcie własnych emocji, nie wiedziała, czy miał na myśli, że nie potrafi zabić, czy że nie może przestać mówić. Zaznała przelotnego uczucia, że zapewne chodziło mu o jedno i drugie.

Zawalił się z hukiem kolejny dom. Paliło się już wszystko. Do rana z Orvilli zostanie tylko żar i popiół.

– Zabierz swoich ludzi i wynoś się – rzekł Rodrigo Belmonte do człowieka, który do tego doprowadził.

– Oddaj nam nasze konie i broń, a natychmiast odjedziemy na północ – odparł Garcia de Rada.

Dzehana obejrzała się i zobaczyła, że zimny uśmiech Rodriga zniknął. Mężczyzna wyglądał na zmęczonego, jakby ta ostatnia wymiana zdań pozbawiła go sił witalnych.

– Prosiłście o wykup – rzekł. – Pamiętasz? Są świadkowie. Pełna cena zostanie ustalona w sądzie. Wasze wierzchowce i broń stanowią pierwszą ratę zapłaty. Zostajecie wypuszczeni pod przysięgą, że ją uiścicie.

– Chcesz, żebyśmy szli do Valledo piechotą?

– Chcę, żebyście byli martwi – odrzekł Rodrigo. – Jednakże nie zamorduję rodaka. Powinieneś być mi za to wdzięczny i jak najszybciej stąd odejść. Nawiasem mówiąc, tej nocy jest w Fezanie pięciuset nowych muwardyjskich najemników. Na pewno widzieli te pożary. Może lepiej się nie ociągajcie.

Zamierzał ich puścić. Przywileje stanowiska i władzy. Tak toczy się świat. Martwych i okaleczonych wieśniaków można spłacić końmi i złotem dla wybawicieli. Dzehana miała nagłą wizję – intensywną i dezorientującą – w której podnosi się miękkim ruchem z brązowej,

spieczonej trawy, podchodzi do tego młodego żołnierza, Alvara, i chwyta jego miecz. Niemal czuła w rękach ciężar broni. Z niesamowitą jasnością patrzyła, jak zbliża się do Garcii de Rady – nawet się nieco od niej odwrócił. Usłyszała w swojej wizji, jak Velaz krzyczy: „Dzehano!” w chwili, gdy ona sama zabija de Radę zamachem trzymanego oburącz dzadyckiego miecza. Klinga weszła między dwa zębra; Dzehana usłyszała krzyk ciemnowłosego mężczyzny i zobaczyła, jak bryzga z niego krew, a on pada na ziemię.

Nigdy by nie sądziła, że mogą ją nawiedzić takie obrazy, a co dopiero sprawiać wrażenie takich naglących, takich koniecznych. Była lekarką, która złożyła przysięgę Galina, że będzie chronić życie. Tę samą przysięgę, którą złożył jej ojciec, tę przysięgę, która kazała mu sprowadzić na świat dziecko, ze świadomością, że może go to kosztować własne życie. Powiedział to ibn Khairanowi wcześniej tego samego dnia. Trudno było, uwierzyć, że to naprawdę był ten sam dzień.

Przede wszystkim była lekarką, to była jej święta wyspa, jej sanktuarium. Już sprowadziła tej nocy śmierć na jednego człowieka. To wystarczyło. To wystarczyło aż nadto. Wstała i postąpiła krok w stronę Garcii de Rady. Zobaczyła, że spojrzał na nią, że zauważył zamotany po kindathijsku szal na jej głowie i ramionach. W oczach dzadyty dostrzegła pogardę, i szyderstwo. Przed wielu laty złożyła przysięgę.

– Obmyj tę ranę w rzece – odezwała się. – Potem przykryj ją czystym płótnem. Rób to codziennie. Zostanie ci blizna, ale może się nie zaogni. Będzie lepiej, jeśli niedługo jakiś lekarz da ci masć.

Nigdy by nie pomyślała, że wypowiedzenie takich słów będzie takie trudne. Na granicy placyku, wśród zniszczonych cieni, dostrzegła nagle swoją pacjentkę Abirabę z przytulonymi do niej dwiema dziewczynkami. Ich brat Ziri wysunął się nieco do przodu i wpatrywał w Dzehanę. Wytrzymując to spojrzenie, poczuła, że jej słowa są najbardziej brutalną formą zdrady.

Odwróciła się i nie oglądając się za siebie, nie czekając na nikogo, ruszyła między płonącymi domami, przeszła przez wyrwę w płocie. Szła dalej, czując na twarzy i w sercu gorąco płomieni, nie mając nadziei, że cokolwiek ochłodzi jej żal.

Wiedziała, że Velaz pójdzie za nią. Nie spodziewała się, że tak szybko usłyszy doganiającego ją konia.

– Obóz leży za daleko, żeby iść do niego piechotą – rozległ się czyjś głos. Tym razem nie był to Lain Nunez. Podniosła wzrok na Rodriga Belmontego, który zrównał się z nią i wstrzymał konia. – Myślę, że oboje zrobiliśmy tam coś, co było sprzeczne z naszym pragnieniem – stwierdził. – Pojedziemy razem?

Najpierw czuła wobec niego podziw ze względu na jego reputację, potem, przez chwilę, lęk, a na końcu gniew – chociaż może niesłusznie. Teraz była po prostu zmęczona i wdzięczna za możliwość pojechania dalej na koniu.

Rodrigo pochylił się w siodle i bez wysiłku ją podniósł, choć Dzehana nie była drobną kobietą. Ułożyła spódnicę i spodnią tunikę tak, żeby móc przerzucić nogę nad końskim grzbietem za Rodrigiem. Objęła go w pasie – nie miał na sobie zbroi. Kiedy tak w ciszy nocy oddalali się od ognia, Dzehana słyszała bicie jego serca.

Jechali jakiś czas; spokój i ciemność zlały się z miarowymi uderzeniami końskich kopyt i pozwoliły Dzehanie odzyskać pozory równowagi.

To mój dzień poznawania sławnych ludzi, pomyślała nagle.

Mogłoby to być niemal zabawne, gdyby tego dnia nie zaszło tyle tragicznych wydarzeń. Ta myśl jednak była nieunikniona. Mężczyzna, za którym siedziała na koniu, był od prawie dwudziestu lat – od czasów schyłku kalifatu – znany jako Bicz Al-Rassanu. Wadzi wciąż przeklinali jego imię podczas wieczornych modlitw w świątyniach. Dzehana zastanawiała się, czy on o tym wie i czy jest z tego dumny.

– Problemy stwarza mój charakter – rzekł cicho w całkowicie pozbawionym akcentu aszaryckim. – Naprawdę nie powinienem być zdzielić go biczem.

– Ależ powinieneś – sprzeciwiła się Dzehana.

Pokręcił głową.

– Takich ludzi się zabija albo zostawia w spokoju.

– A zatem powinieneś go zabić.

– Zapewne. Mogłem to zrobić podczas pierwszego ataku, kiedy tylko przybyliśmy na miejsce, ale nie po tym, jak się poddali i obiecali okup.

– Ach, tak – rzekła Dzehana, świadoma, że w jej głosie słychać gorycz. – Kodeks wojowników. Chciałbyś może wrócić i popatrzeć na tę matkę i dziecko?

– Widziałem już takie rzeczy, lekarko. Uwierz mi.

Uwierzyła. Prawdopodobnie też je robił.

– A tak nawiasem mówiąc, znałem twego ojca – odezwał się Rodrigo Belmonte po chwili milczenia. Dzehana zeszywniała. – Kindatha Iszaka. Z przykrością dowiedziałem się, co go spotkało.

– Skąd... skąd wiesz, kim jest mój ojciec? Skąd wiesz, kim jestem ja? – wyjąkała.

Prychnął stłumionym śmiechem. I, wprawiając ją w zdumienie, odpowiedział płynnym kindathijskim:

– Nie było to szczególnie trudne do odgadnięcia. Ile jest w Fezanie błękitnookich kindathijskich lekarek? Masz oczy swego ojca.

– Mój ojciec nie ma oczu – odparła z goryczą Dzehana. – Jak z pewnością wiesz, jeśli znasz jego losy. Gdzie się nauczyłeś naszego języka?

– Żołnierze zazwyczaj chwytają podstawy wielu języków.

– Nie tak dobrze i nie kindathijskiego. Jak się go nauczyłeś?

– Kiedyś, dawno temu, zakochałem się. Tak naprawdę to najlepsza droga, by nauczyć się języka.

Dżehaną znów ogarnął gniew.

– A kiedy nauczyłeś się aszaryckiego? – zapytała ostro.

Z łatwością przeszedł na ten język.

– Przez jakiś czas mieszkałem w Al-Rassanie. Kiedy ojciec księcia Raimunda wygnął go za liczne, w większości wymaginowane przewinienia, Raimundo spędził rok w Silvenes i Fezanie, a ja udałem się na południe razem z nim.

– Mieszkałeś w Fezanie?

– Nie cały czas. Dlaczego jesteś taka zaskoczona?

Nie odpowiedziała. W gruncie rzeczy nie było to aż tak niezwykle. Od dekad, jeśli nie wieków, właśnie dzядyckich monarchów Esperanii z ich rodzinami często prowadziły do tego, że rozmaici wielmoże oraz członkowie ich świty spędzali jakiś czas na wygnaniu wśród rozkoszy Al-Rassanu. Podobnie za kalifatu, wielu wiedzionych rozważą aszaryckich dygnitarzy decydowało się na wyjście spod zasięgu Silvenes i osiedlało się wśród Jeźdźców północy.

– Nie wiem – odparła Dżehana. – Chyba dlatego że sądziłam, iż powinnam cię pamiętać.

– Siedemnaście lat temu? Byłaś wtedy małą dziewczynką. Chyba nawet kiedyś raz cię widziałem na targowisku, w budce twojego ojca. Nie ma żadnego powodu, dla którego miałabyś mnie pamiętać. Byłem prawie w tym samym wieku, co młody Alvar. I miałem mniej więcej tyle samo doświadczenia.

Wzmianka o młodym żołnierzu o czymś Dżehanie przypomniała.

– Alvar? Ten, który wziął na siodło Velaza? Kiedy mu zdradzisz, że te krótkie strzemiona to żart?

Przez chwilę Rodrigo nic nie mówił, a potem się roześmiał.

– Zauważyłaś? Bystra jesteś. Ale skąd wiesz, że to żart?

– Nie było to szczególnie trudne do odgadnięcia – powiedziała, rozmyślnie powtarzając jego słowa. – Jedzie z kolanami na wysokości pasa. Takie same figle płała się nowym rekrutom w Bachiarze. Chcesz chłopca okaleczyć?

– Oczywiście, że nie. Ale on jest trochę bardziej pewny siebie, niż sądzisz. Przyda się go trochę utemperować. Zamierzałem pozwolić mu wyprostować nogi jutro, zanim wjedziemy do miasta. Jeśli chcesz, możesz zostać jego wybawicielką jeszcze tej nocy. Już się w tobie zadurzył, jak zapewne zauważyłaś?

Nie zauważyła. Dżehana nigdy nie zwracała uwagi na takie sprawy. Rodrigo Belmonte zmienił temat.

– W Bachiarze, powiadasz? Studiowałaś tam? U don Rezzoniego w Sorenice?

Znowu wprawił ją w zakłopotanie..

– A potem przez pół roku na uniwersytecie w Padrino. Znasz wszystkich lekarzy?

– Większość dobrych – stwierdził rzeczowo. – Między innymi na tym polega mój zawód. Zastanów się nad tym, lekarko. Nie mamy na północy wystarczającej liczby wyszkolonych lekarzy. Wiemy, jak zabijać, ale niewiele wiemy o uzdrawianiu. Jakiś czas temu złożyłem ci poważną, a nie pustą propozycję.

– W chwili, kiedy przybyłam? Nie mogłeś wiedzieć, czy jestem dobrą lekarką.

– Córka Iszaka z Fezany? Chyba mogę sobie pozwolić na postawienie uzasadnionej hipotezy?

– Jestem pewna, że sławny Komendant z Valledo może sobie pozwolić na wszystko, czego zapragnie – odrzekła cierpko Dzehana.

Czuła, że jest w bardzo niekorzystnej sytuacji; ten człowiek wiedział o niej o wiele za dużo. Był zanadto bystry; dżadyccy żołnierze wcale nie mieli tacy być.

– Nie na wszystko – powiedział z przesadnym smutkiem. – Moja kochana żona... znasz moją kochaną żonę?

– Oczywiście, że nie – warknęła Dzehana. Igrał z nią.

– Moja kochana żona nałożyła surowe ograniczenia na moje zachowanie poza domem.

Jego ton oddawał znaczenie słów aż nadto wyraźnie, chociaż sama sugestia – z tego co Dzehana wiedziała o ludziach północy – była nadzwyczaj nieprawdopodobna.

– Jakież to trudne dla żołnierza. To musi być przerażająca kobieta.

– O, tak – rzekł z czułością Rodrigo Belmonte.

Coś się jednak pojawiło – jakiś drobiazg, nowy odcień znaczenia w mroku nocy – i chociaż stało się to w żartobliwej atmosferze, Dzehana nagle uświadomiła sobie, że są sami w ciemności z ludźmi Rodriga, Velaz został daleko w tyle, a do obozu jest jeszcze bardzo daleko. Siedziała tuż za Komendantem, dotykając udami jego ud i obejmując go mocno rękami w pasie. Z wysiłkiem opanowała chęć rozluźnienia zaciśniętych dłoni i zmiany pozycji.

– Przepraszam – przerwał po chwili ciszę. – To nie jest noc odpowiednia do żartów, a na dodatek sprawiłem, że poczułaś się skępowana.

Dzehana nie odpowiedziała. Wyglądało na to, że ten człowiek czyta w jej myślach, jakby były iluminowanym zwojem. Coś jej przyszło do głowy.

– Powiedz mi – odezwała się stanowczym tonem, zbywając jego uwagę. – Skoro mieszkałeś tu jakiś czas, to dlaczego musiałeś zapytać w obozie, co się pali? Orvilla leży w tym samym miejscu od co najmniej pięćdziesięciu lat.

Oczywiście nie widziała jego twarzy, ale w jakiś sposób wiedziała, że Rodrigo się uśmiecha.

– Dobrze – powiedział w końcu. – Bardzo dobrze, lekarko. Jeśli odrzucisz moją propozycję, będzie mi teraz jeszcze bardziej przykro.

– Ja już ją odrzuciłam, przypominasz sobie? – Nie mogła pozwolić, by zmienił temat. –

Dlaczego musiałeś zapytać, co się pali?

– Nie musiałem. Chciałem. Żeby zobaczyć, kto odpowie. Zadając pytanie, oprócz odpowiedzi można uzyskać wiele innych informacji.

Zastanowiła się nad tym.

– I czego się dowiedziałeś?

– Że jesteś szybsza od swojego przyjaciela.

– Nie lekceważ ibn Musy – rzekła szybko Džehana. – Zaskoczył mnie dzisiaj kilka razy, a znam go od dawna.

– Co ja powinienem z nim zrobić? – zapytał Rodrigo Belmonte.

Zdała sobie sprawę, że to poważne pytanie. Przez chwilę jechała pogrążona w myślach. Oba księżycy stały już wysoko na niebie; weszły w odległości około trzydziestu stopni od siebie. Tak się składało, że na jej wykresie urodzin był to kąt podróży. Przed sobą widziała już ognisko, przy którym czekał Husari z dwoma ludźmi pozostawionymi na straży obozu.

– Jesteś świadom, że tego popołudnia miał zginąć w zamku wraz z innymi?

– Tyle zrozumiałem. Dlaczego przeżył?

– Nie pozwoliłam mu tam iść. Wydała kamień nerkowy.

Rodrigo roześmiał się.

– Założę się, że pierwszy raz w życiu był z tego zadowolony. – Zmienił ton. – Tak więc Almalik przeznaczył go śmierci. Co powinienem zrobić?

– Weź go ze sobą na północ – powiedziała w końcu, dokładnie to przemyślawszy. – Myślę, że on tego chce. Jeśli król Ramiro w ogóle zamierza kiedyś zająć Fezanę...

– Chwileczkę! Czekaj, kobieto! O czym ty mówisz?

– O czymś chyba oczywistym – odparła niecierpliwie. – W pewnej chwili musi zacząć się zastanawiać, dlaczego tylko ściąga *parias*, a nie rządzi miastem.

Rodrigo Belmonte znów się roześmiał i pokręcił głową.

– Wiesz co, nie wszystkie oczywiste myśli należy wypowiadać na głos.

– Zadałeś mi pytanie – powiedziała słodkim głosem. – Potraktowałam je poważnie. Jeśli Ramiro ma takie myśli – oczywiście odległe i niesprecyzowane – to obecność jedyne go człowieka ocalałego z dzisiejszej masakry może mu tylko pomóc.

– Szczególnie, jeśli dopilnuje, by wszyscy się dowiedzieli, że ten człowiek przybył po rzezi prosto do niego i poprosił o interwencję.

Rodrigo mówił w zamyśleniu; nie zadał sobie trudu, by zareagować na sarkazm Džehany.

Ona sama poczuła się nagle zmęczona rozmową. Ten dzień rozpoczął się w najzwyczajniejszy sposób o świcie na targowisku, a teraz po rzezi w mieście i ataku na Orville ona omawia w ciemności politykę półwyspu z Rodrigiem Belmontem, Biczem Al-Rassanu. Džehanie zaczęło się wydawać, że to trochę za wiele. Rankiem, który już się zbliżał, wyruszy własną drogą.

– Chyba masz rację. Właściwie jestem lekarką, a nie dyplomatką – mruknęła. Właściwie miło byłoby zasnąć, pomyślała.

– Czasami to prawie to samo – odparł. Rozzłościły ją te słowa na tyle, że się rozbudziła. Głównie dlatego, że don Rezzoni wiele razy mówił jej dokładnie to samo. – Dokąd jedziesz? – zapytał swobodnym tonem Rodrigo.

– Do Ragosy – odparła i zaraz sobie przypomniała, że nie zamierzała nikomu o tym mówić.

– Dlaczego?

Chyba założył, że ma prawo do odpowiedzi. Dzehana uznała, że musi się to wiązać z tak długim dowodzeniem ludźmi.

– Bo słyszałam, że tamtejsi dworzanie i żołnierze są wspaniałymi kochankami – mruknęła swoim najbardziej gardłowym głosem. Dla większego efektu rozplotła dłonie, przesunęła je z jęgo pasa na uda i na chwilę je tam zatrzymała.

Odetchnął głęboko. Siedziała jednak bardzo blisko; choć starał się ukryć swoją reakcję, poczuła, jak serce zaczyna mu żywiej bić. Mniej więcej w tej samej chwili przyszło jej na myśl, że prowadzi bezwstydną flirt z niebezpiecznym człowiekiem.

– To – odezwał się żalonym tonem Rodrigo Belmonte z Valledo – jest przygnębiająco znajome. Kobieta pokazuje mi, gdzie jest moje miejsce. Jesteś pewna, że nie znasz mojej żony?

W chwilę później, wbrew woli i jakimkolwiek rozsądnym oczekiwaniom, Dzehana się roześmiała. A potem, może właśnie dlatego że, szczerze rozbawiona, się śmiała, znowu przypomniała sobie, co widziała w tamtej chatce w Orvilli, i że tego wieczoru jej ojciec przemówił po raz pierwszy od czterech lat, i że może na zawsze rozstała się z nim i z matką.

Nie znośiła płakać. Iszak zwykł mawiać, że śmiech i łzy są najbliższymi krewniakami. Nie była to uwaga lekarza. Powiedziała mu to jego matka, a sama usłyszała to od swojej. Kindathowie przetrwali tysiąc lat; znali mnóstwo takich ludowych mądrości i nosili je ze sobą jak bagaż, dobrze wysłużony, zawsze pod ręką.

Tak więc Dzehana powstrzymywała łzy, siedząc na karym koniu Rodriga Belmontego i jadąc na wschód w świetle księżyców wróżących jej podróż. Mężczyzna, z którym jechała, milczał. Kiedy wjechali do obozu, zobaczyli, że Muwardycjczycy dotarli tam wcześniej.

Dla Alvara spora część znacznego napięcia związanego z tą nocą brała się z poczucia beznadziejnego zagubienia w jej wydarzeniach. Zawsze uważał się za bystrego. W gruncie rzeczy wiedział, że jest inteligentny. Problem w tym, że wypadki rozgrywające się tej nocy w Al-Rassanie leżały tak daleko poza zasięgiem jego doświadczenia, że inteligencja w najmniejszym stopniu nie wystarczała, by dać sobie z nimi radę. Rozumiał dosyć, by wiedzieć, że dzięki swojej części okupu, który zostanie wynegocjowany za Garcię de Radę i jego ocalałych ludzi, jest już bogatszy, niż to sobie kiedykolwiek wyobrażał jako żołnierz w pierwszym roku służby u króla

w Esterenie. Już teraz, zanim nastąpiły dalsze negocjacje, Lain Nunez przydzielił mu nowego konia i zbroję, lepsze od jego własnych.

Tak właśnie żołnierze zdobywali znaczenie w świecie – dzięki łupom i okupom. Tyle że Alvar naprawdę nie spodziewał się, że bogactwo to zdobędzie na współziomkach.

– Zawsze tak jest – stwierdził szorstko Lain Nunez, kiedy dzielili się w wiosce łupami. – Przypomnij mi, żebym ci opowiedział o czasach, kiedy razem z Rodrigiem służyliśmy jako najemnicy aszarytów z Salos u ujścia rzeki. Wiele razy wyprawialiśmy się dla nich do Ruendy.

– Ale nie do Valledo – powiedział z niepokojem Alvar.

– Wtedy był to jeden kraj, pamiętasz? Na tronie zjednoczonej Esperanii wciąż jeszcze zasiadał król Sanczo. Trzy prowincje jednego kraju, chłopcze. Nie ten podział, który mamy teraz.

Alvar rozmyślał o tym w drodze powrotnej do obozu. Zmagał się z tak wieloma trudnymi sprawami – łącznie z pierwszym zabitym przez siebie człowiekiem – że nie miał nawet okazji nacieszyć się swoimi łupami. Zauważył jednak, że Lain Nunez skrupulatnie przydzielił znaczną część zdobytej broni i wierzchowców ocalałym wieśniakom. Nie spodziewał się tego.

A potem, w obozie, gdzie czekali na nich Komendant i ta kindathijska lekarka, Alvar ujrzał skrzynie, worki i beczułki, i zrozumiał, że to letnie *parias* z Fezany, dostarczone nocą tu, na równinę, przez Muwardyjczyków – Zawoalowanych.

– Kupiec? – zapytał nagłym tonem Lain Nunez, zeskakując z konia. – Przyszli po niego?

Alvar nagle przypomniał sobie, że pulchny aszaryta miał tego dnia umrzeć w fezańskim zamku.

Komendant powoli kręcił głową.

– Kupca już nie ma – odpowiedział.

– Zaraza na ich dusze! – zaklął gwałtownie Lain Nunez. – Na palce u rąk i nóg Dżada, nie znoszę Muwardyjczyków!

– Zamiast kupca – ciągnął spokojnie Komendant – najwyraźniej mamy nowego zwiadowcę, który przyłączy się do Martina i Ludusa. Zważ jednak, że zanim się na coś przyda, będziemy musieli pomóc mu zrzucić nieco wagi.

Na widok potężnej sylwetki podnoszącej się z przeciwnej strony ogniska, odzianej – z trudem – w strój dżadyckiego jeźdźca Lain Nunez szczechnął po swojemu ostrym śmiechem. Co nieprawdopodobne, Husari ibn Musa sprawiał wrażenie, że czuje się zupełnie swobodnie.

– Byłem już dzisiaj wadżim – rzekł spokojnie dość znośnym esparańskim. – To chyba nie jest bardziej naciągane.

– Nieprawda – mruknął Komendant. – Patrząc na ubranie Ramona, które masz na sobie, nazwałbym to wielkim naciąganiem.

Rozległ się śmiech. Kupiec również się uśmiechnął i poklepał po brzuchu.

Alvar, który przyłączył się niepewnie do ogólnej wesołości, zobaczył tę kindathijską lekarzkę

Dzehanę, siedzącą na derce przy ognisku, z rękoma splecionymi na kolanach. Patrzyła w płomienie.

– Ilu tu było tych psów pustyni? – zapytał Lain Nunez.

– Martin mówi, że tylko dziesięciu. Dlatego nie przyjechali do Orvilli.

– Powiedział, że my się tym zajmujemy?

– Tak. Najwyraźniej mieli rozkaz oddać nam nasze złoto, licząc na to, że szybko się wyniesiemy.

Lain Nunez zdjął kapelusz i przesunął ręką po rzednących, siwych włosach.

– I co? Wynosimy się?

– Chyba tak – odparł Komendant. – Nie mam pojęcia, czego mielibyśmy tu dowieść. W tej chwili w Fezanie są tylko kłopoty.

– Kłopoty też zmierzają do domu.

– Ściśle mówiąc, idą do domu pieszo.

– W końcu tam dotrą.

Rodrigo skrzywił się.

– A co według ciebie miałem zrobić?

Jego pomocnik wzruszył ramionami, a potem z namaszczeniem splunął w trawę.

– Odjeżdżamy zatem z pierwszym brzaskiem? – zapytał, nie odpowiedziawszy na pytanie.

Komendant przyglądał mu się uważnie jeszcze przez chwilę. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale w końcu tylko pokręcił głową.

– Muwardyjczycy na pewno będą nas obserwować. Ale odjeżdżamy, tyle że bez pośpiechu. Zwiniemy obóz powoli. Możesz wybrać tuzin ludzi i wrócić rano do Orvilli. Będziecie pracować cały dzień, a później nas dogonicie. Trzeba tam też pochować ludzi.

Alvar zsiadł z konia i podszedł do siedzącej przy ognisku lekarki.

– Czy jest... mogę ci w czymś pomóc?

Wyglądała na bardzo zmęczoną, a jednak obdarzyła go przelotnym uśmiechem.

– Raczej nie, dziękuję. – Zawahała się. – Jesteś pierwszy raz w Al-Rassanie?

Alvar kiwnął głową i przykucnął obok kobiety.

– Miałem nadzieję, że jutro zobaczę Fezanę – wyznał. Żałował, że nie zna lepiej aszaryckiego, ale brnął dalej. – Powiadają, że to miasto cudów.

– Raczej nie – powtórzyła niedbale. – Ragosa, Cartada... oczywiście Silvenes. To co z niego zostało. To są wspaniałe miasta. Seria jest piękna. W Fezanie nie ma nic cudownego. Zawsze leżała zbyt blisko *tagry*, by pozwolić sobie na luksus popisywania się bogactwem. Nie zobaczysz jej jutro?

– Wyruszamy rano. – Alvar znów zaznał nieprzyjemnego uczucia, że stara się utrzymać na powierzchni zamykającej mu się nad głową wody. – Komendant właśnie nam powiedział. Nie

wiem dlaczego. Chyba dlatego że byli tu Muwardyjczycy.

– Ależ oczywiście. Rozejrzyj się. Złoto już tu jest. Nie chcą jutro otwierać bram, a już na pewno nie będą chcieli wpuścić do miasta dzadyckich żołnierzy. Nie po dzisiejszych wydarzeniach.

– A zatem po prostu zawrócimy i...

– Obawiam się, że tak, chłopcze – zabrzmiał głos Komendanta. – Tym razem nie zaznasz smaku dekadentckiego Al-Rassanu. – Alvar poczuł, że się rumieni.

– No cóż, w tym roku kobiety przebywają głównie poza murami miasta – rzekła lekarka. Patrzyła na don Rodriga, nie na Alvara.

Komendant zaklął.

– Nie mów tego moim ludziom! Alvarze, jesteś związany tajemnicą. Nie chcę, by ktokolwiek przekroczył rzekę. Każdy, kto opuści obóz, wróci do domu pieszo.

– Tak jest – odparł pośpiesznie Alvar.

– O, właśnie – zwrócił się do niego Komendant, posyłając lekarce spojrzenie z ukosa – możesz już przedłużyć strzemiona. Na drogę powrotną.

Przy tych słowach Alvar po raz pierwszy od dłuższego czasu poczuł się bardziej sobą. Cekał na tę chwilę od opuszczenia Valledo.

– Muszę, Komendancie? – zapytał z niewinną miną. – Już się zacząłem do nich przyzwyczajać. Pomyślałem nawet, że gdybyś się zgodził, mógłbym spróbować podciągnąć je jeszcze wyżej.

Komendant znów zerknął na lekarkę. Odchrząknął.

– Raczej nie, Alvarze. Tak naprawdę to nie jest... Nie sądzę...

– Pomyślałem, że gdybym trzymał kolana wystarczająco wysoko, naprawdę wysoko, mógłbym opierać na nich w czasie jazdy podbródek i w ten sposób mniej się męczyć na długiej trasie. Jeśli to wydaje ci się sensowne, Komendancie?

Wtedy Alvar de Pellino otrzymał nagrodę za nietypowe dla siebie milczenie i czekanie na właściwy moment. Zobaczył, jak lekarka się do niego uśmiecha, a potem patrzy z uniesionymi brwiami na Komendanta.

Rodrigo Belmonte nie należał jednak do ludzi, których coś takiego na dłużej wytrąca z równowagi. Przez chwilę spoglądał na Alvara, a potem też się uśmiechnął.

– Twój ojciec? – zapytał.

Alvar kiwnął głową.

– Ostrzegł mnie przed pewnymi rzeczami, z którymi mogę się zetknąć jako żołnierz.

– I mimo to postanowiłeś pogodzić się z tymi strzemionami? Nic nie mówić?

– To było twoje polecenie. A ja chcę pozostać w twoim oddziale.

Kindathijska lekarka była wyraźnie rozbawiona.

Don Rodrigo ściągnął brwi.

– W imię Dżada, chłopcze, czy ty robiłeś to dla mnie?

– Tak jest – odparł radośnie Alvar.

Kobieta, którą postanowił kochać dozgonną miłością, odrzuciła głowę do tyłu i głośno się roześmiała. W chwilę później Komendant, któremu chciał służyć do końca swoich dni, zrobił dokładnie to samo.

Alvar uznał, że mimo wszystko nie jest to taka straszna noc.

– Widzisz, jacy bystrzy są moi ludzie? – zwrócił się Rodrigo do lekarki, gdy się uspokoił. – Jesteś zupełnie pewna, że nie zmienisz zdania i nie przystaniesz do nas?

– Kusisz mnie – odparła lekarka, wciąż uśmiechnięta. – Lubię bystrych ludzi. – Wyraz jej twarzy się zmienił. – Ale Esperania to nie miejsce dla Kindathów, don Rodrigo. Wiesz o tym tak samo dobrze, jak ja.

– Dla nas nie będzie to miało żadnego znaczenia – stwierdził Komendant. – Jeśli potrafisz zszyc ranę od miecza i uśmierzyć kolkę, będziesz w moim oddziale mile widziana.

– Potrafię obie te rzeczy, ale twój oddział, chociaż składa się z bystrych ludzi, nie jest szerokim światem. – W jej oczach nie było już rozbawienia. – Pamiętasz, co powiedziała o nas wasza królowa Vasca, kiedy Esperania obejmowała cały półwysep, zanim przybyli aszaryci i zapędzili was na północ?

– To było przed ponad trzystu laty, lekarko.

– Wiem o tym. Pamiętasz?

– Oczywiście, ale...

– Pamiętasz?

Odwróciła się do Alvara. Teraz była już zła. Młodzieniec pokręcił głową.

– Stwierdziła, że Kindathowie to zwierzęta, które trzeba wytropić i wypalić z oblicza ziemi.

Alvar nie wiedział co powiedzieć.

– Dżehano – rzekł Komendant – mogę jedynie powtórzyć, że to było trzysta lat temu. Ona od dawna nie żyje, nie istnieje.

– Nie istnieje! Śmiesz to mówić? Gdzie ona jest? – Popatrzyła gniewnie na Alvara, jakby jakimś sposobem to była jego wina. – Gdzie jest miejsce spoczynku królowej Vaski?

Alvar przełknął ślinę.

– Na wyspie – szepnął. – Na Wyspie Vaski.

– Która jest sanktuarium! Celem pielgrzymek, gdzie przybywają na kolanach dżadyci ze wszystkich trzech waszych królestw i krain spoza gór, by błagać o cuda ducha kobiety, która powiedziała te słowa. Założę się, że połowa tego tak bystrego oddziału ma krewnych, którzy odbyli tę podróż, by prosić błogosławioną Vascę o wstawiennictwo.

Alvar nie otwierał ust. Komendant tym razem też.

– I chcesz mi powiedzieć – ciągnęła z goryczą Kindathijka Dzehana – że jeśli będę dobrze wykonywać moje obowiązki, bez znaczenia pozostanie wiara, jaką będę wyznawać na esparańskiej ziemi?

Don Rodrigo długo nie odpowiadał. Alvar spostrzegł, że podszedł do nich kupiec, ibn Musa. Stał z drugiej strony ogniska i słuchał. Alvar słyszał teraz dochodzące zewsząd odgłosy i widział ludzi szykujących się do snu. Było bardzo późno.

– Żyjemy w upadłym i niedoskonałym świecie, Dzehano betizak – mruknął w końcu Komendant. – Ja utrzymuję się głównie z zabijania. Nie ośmieliłbym się dać ci żadnych odpowiedzi. Mam jednak pytanie. Jak sądzisz, co się stanie z Kindathami w Al-Rassanie, kiedy przybędą Muwardyjczycy?

– Muwardyjczycy już tu są. Byli dziś w Fezanie, a w nocy w tym obozie. To najemnicy, Dzehano. Na całym półwyspie jest ich może pięć tysięcy. Teraz ona zamilkła. Kupiec podszedł bliżej. Alvar zobaczył, że kobieta zerka na niego, a potem na Komendanta.

– Co chcesz powiedzieć? – zapytała.

Rodrigo przykucnął obok Alvara i zerwał kilka źdźbeł trawy.

– Niedawno bardzo otwarcie mówiłaś o naszym przybyciu na południe i zajęciu Fezany – odrzekł. – Co twoim zdaniem zrobi Almalik z Cartady i inni królowie, kiedy zobaczą, że przekraczamy *tagrę* i oblegamy aszaryckie miasta?

I znów lekarka nic nie powiedziała. Zastanawiała się, ściągając brwi.

– Najpierw wykonaliby ruch wadzi – odezwał się cicho Husari ibn Musa. – Oni by to zaczęli. Nie królowie.

Rodrigo przytaknął mu ruchem głowy.

– Też tak sądzę.

– Co by zaczęli? – spytał Alvar.

– Proces wzywania plemion z Madżritu – wyjaśnił Komendant. Spojrzał z powagą na Dzehanę. – Co się stanie z Kindathami, jeśli zostaną pokonani królowie miast Al-Rassanu? Jeśli Jazir i Ghalib przybędą na północ, przekrocząwszy cieśninę z dwudziestoma tysiącami ludzi? Czy pustynni wojownicy stoczą z nami walkę, a potem spokojnie wrócą do domu?

Długo nie odpowiadała, pogrążona w myślach, a mężczyźni zgromadzeni wokół ognia czekali na jej słowa. Za nią, na zachodzie, Alvar widział nisko na niebie biały księżyc, jakby spoczywał nad rozległą równiną. Była to dla młodzieńca dziwna chwila; wspominając ją później, mawiał, że w ciągu tej długiej nocy pod Fezaną postarzał się, że otworzyły się dla niego drzwi i okna nieskomplikowanego życia i że po raz pierwszy zetknął się z jego mroczną złożonością. Nie były to oczywiście odpowiedzi, tylko trudność pytań.

– Takie są zatem możliwości? – spytała lekarka Dzehana, przerywając milczenie. – Zawołowani albo Jeźdźcy Dżada? To właśnie świat ma w zanadrzu?

– Nie ujrzymy już chwały kalifatu – odezwał się cicho Husari ibn Musa, stanowiący cień na tle nieba. – Przeminięły czasy Rahmana Złotego i jego synów czy nawet ibn Zaira wśród fontann Al-Fontiny.

Alvar de Pellino nie potrafiłby powiedzieć, czemu go to zasmuciło. Dzieciństwo spędził na zabawach w pokonywanie złych aszarytów, marząc o zdobyciu Silvenes i drżąc ze strachu przed mieczami oraz krótkimi łukami Al-Rassanu. Kiedy ojciec Alvara był chłopcem, a potem żołnierzem, Raszyd ibn Zair, ostatni z wielkich kalifów, pustoszył w kolejnych kampaniach hiszpańskie prowincje Valledo i Ruendy ogniem i mieczem. Lecz tutaj, pod księżycami i gwiazdami późnej nocy, smutny, przyjemny głos handlarza jedwabiem jakby wyczarowywał wspomnienia niewyobrażalnej straty.

– Czy Almalik z Cartady byłby dość silny?

Lekarka patrzyła na kupca i nawet Alvar, który nie znał podłoża ich znajomości, widział, z jakim trudem przyszło jej zadać to szczególne pytanie.

Ibn Musa pokręcił głową.

– Nie dojdzie do tego. – Wskazał na skrzynie ze złotem i muły, które przyniosły je do obozu. – Nawet mając tych swoich najemników, na których ledwie może sobie pozwolić, nie uniknie płacenia *parias*. W gruncie rzeczy żaden z niego Lew. Jest jedynie najsilniejszym z królewiatek. I już potrzebuje Muwardyczyków, by utrzymać tę pozycję.

– A zatem to, co zamierzasz zrobić, co ja mam nadzieję osiągnąć... to po prostu przyspieszenie końca Al-Rassanu?

Husari ibn Musa przysiadł obok nich. Uśmiechnął się łagodnie.

– Aszar uczył, że czyny ludzi są niczym ślady stóp na pustyni. Wiesz o tym.

Spróbowała bezskutecznie odpowiedzieć mu uśmiechem.

– A Kindathowie mówią, że nic pod drogą księżyców nie jest trwałe. Że my, którzy nazywamy samych siebie Wędrowcami, jesteśmy symbolami życia całej ludzkości. – Po chwili odwróciła się do Komendanta. – A ty? – zapytała.

– Nawet słońce zachodzi, pani – odpowiedział miękko Rodrigo Belmonte. – I dodał: – Nie zechcesz przystać do nas?

Z dziwnym, niespodziewanym smutkiem Alvar patrzył, jak kobieta powoli kręci głową. Zauważył, że spod szala wymknęło się kilka pasemek jej kasztanowych włosów. Pokonał odruch, by jak najdelikatniej schować je z powrotem.

– Nie potrafię powiedzieć dlaczego, ale czuję, że powinnam udać się na wschód – powiedziała. – Chciałabym ujrzeć dwór króla Badira i rozmawiać z Masurem ben Avrenem, i chodzić pod łukami pałacu w Ragosie. Zanim te łuki się zapadną, jak te w Silvenes.

– To dlatego wyjechałaś z Fezany? – zapytał don Rodrigo. Znow pokręciła głową.

– Jeśli tak, to tego nie wiedziałam. Jestem tu z powodu przysięgi, którą złożyłam sama sobie

i nikomu więcej, kiedy dowiedziałam się, co dzisiaj uczynił Almalik. – Wyraz jej twarzy zmienił się. – I założę się z moim starym przyjacielem ibn Husarim, że rozprawię się z Almalikiem z Cartady przed nim.

– Jeśli ktoś nie ubiegnie nas obojga – zauważył trzeźwo ibn Musa.

– Kto? – spytał don Rodrigo.

Było to pytanie żołnierza, wrywające ich z nastroju stworzonego przez smutek i światło gwiazd. Kupiec jednak tylko pokręcił głową i nic nie rzekł.

– Muszę się przespać – powiedziała wtedy lekarka – choćby tylko po to, by przespał się Velaz.

Poruszyła dłonią i Alvar spostrzegł jej znużonego, starego sługę, stojącego w pewnym oddaleniu, gdzie blask ognia ustępował ciemności.

Żołnierze ułożyli się na spoczynek i obóz wokół nich ucichł. Lekarka spojrzała na Rodriga.

– Powiedziałeś, że rano wyślesz ludzi, by zajęli się zabitymi w Orvilli. Pojadę z nimi, żeby zrobić co się da dla żywych, a potem ruszymy z Velazem w swoją stronę.

Alvar dostrzegł, że Velaz daje znak Dzehanie, a następnie ujrzał, gdzie służący przygotował posłanie dla niej. Po chwili Alvar złożył niezgrabny ukłon, którego nie zauważyła, i oddalił się w przeciwną stronę, by jak zwykle ułożyć się obok zwiadowców, Martina i Ludusa. Spali zawinięci w koce.

Rozłożył derkę i się położył. Sen nie nadchodził. Zbyt wiele spraw wirowało mu w głowie. Pamiętał dumę w głosie matki w dniu, kiedy opowiadała o swojej pierwszej pielgrzymce do grobu błogosławionej Vaski, by uprosić ją o wstawiennictwo dla swego dzielnego syna, który wyjeżdżał z domu w świat wojowników. Pamiętał, jak opowiadała, że ostatnią część podróży odbyła po kamieniach na czworakach, by ucałować stopy figury królowej, stojącej przed jej grobowcem.

„Zwierzęta, które trzeba wytropić i wypalić z oblicza ziemi”.

Tej nocy po raz pierwszy zabił człowieka. Dobry cios mieczem z konia, cięcie przez obojczyk uciekającego mężczyzny. Ruch, który ćwiczył tyle razy, z przyjaciółmi czy pod okiem ojca jako dziecko, a potem pod kierunkiem królewskich sierżantów o niewyparzonych językach w szrankach w Esterenie. Dokładnie taki sam ruch, bez żadnej różnicy. I na letnią ziemię padł człowiek, wykrwawiając się na śmierć.

„Czyny ludzi są niczym ślady stóp na pustyni”.

Tej nocy zdobył wspaniałego konia i zbroję lepszą od swojej własnej, a będą jeszcze inne zdobycze. Załóżki bogactwa, żołnierski honor, może stałe miejsce w oddziale Rodriga Belmontego. Zasłużył na śmiech i aprobatę człowieka, który teraz naprawdę może się stać jego Komendantem.

„Nic pod drogą księżyców nie jest trwałe”.

Kucał przy ogniu na tej ciemnej równinie i słyszał, jak aszaryta, i piękna Kindathijka o inteligencji znacznie przekraczającej jego doświadczenie oraz sam don Rodrigo rozmawiają w jego obecności o przeszłości i przyszłości półwyspu.

I wtedy Alvar de Pellino podjął decyzję, co przyszło mu o wiele łatwiej, niż mógłby sobie kiedykolwiek wyobrazić. Wiedział także, leżąc tak pod gwiazdami i będąc człowiekiem bardziej spostrzegawczym, niż był jeszcze tego ranka, że otrzyma na to pozwolenie. Dopiero wtedy, jakby to postanowienie było kluczem do drzwi snu, myśli Alvara na tyle zwolniły szaleńczy bieg, że młody jeździec mógł odpocząć. Ale i tak śniło mu się Silvenes, choć nigdy go nie widział, i Al-Fontina za czasów wspaniałości kalifatu, które skończyły się przed jego narodzeniem.

Alvar ujrzał siebie, jak chodzi w tym pałacu; ujrzał wieże i kopuły z błyszczącego złota, marmurowe kolumny i łuki lśniące w słońcu. Ujrzał ogrody z klombami, fontannami tryskającymi wodą i z posągami w cieniu, słyszał odległą, nieziemską muzykę, widział wysokie, zielone drzewa, szumiące na wietrze i dające schronienie od słońca. Czuł zapach cytryn, migdałów i jakichś ulotnych wschodnich perfum, których nazwy nawet nie znał.

Był jednak w tym pałacu sam. Wszystkie ścieżki, po których chodził, mijając fontanny, drzewa i chłodne kamienne arkady, były ciche, całkowicie opustoszałe. Przechodząc przez wysokie komnaty, gdzie na wykładanych mozaiką posadzkach leżały wielobarwne poduszki, widział jedwabne makaty i rzeźby z alabastru oraz drzewa oliwnego. Widział złote i srebrne szkatułki wysadzone drogimi kamieniami i kryształowe kielichy z ciemnoczerwonym winem, niektóre pełne, inne częściowo opróżnione – jakby ktoś je przed chwilą odstawił. Nikogo jednak tam nie było, nie rozlegały się żadne głosy. O obecności innych mężczyzn i kobiet w Al-Fontinie w Silvenes świadczył tylko ten ślad perfum w powietrzu, kiedy Alvar przechodził z komnaty do komnaty, oraz muzyka – słyszalna przed nim i za nim, kusząca swoją czystością – lecz on nikogo nie widział. Ani we śnie, ani nigdy w życiu.

„Nawet słońce zachodzi”.

CZEŚĆ II

ROZDZIAŁ 5

– Będą kłopoty – stwierdził Diego.

Właśnie przebiegał obok stajni i zjrzał do otwartego boksu. Na dworze padał ciepły deszcz.

– O co chodzi? – zapytała matka, zerkając przez ramię. Wstała.

– Nie wiem. Dużo ludzi.

– Gdzie jest Pernan?

– Wyjechał im na spotkanie z kilkoma osobami. Już mu powiedziałem. – Zrelacjonowawszy to, co wydawało się konieczne, Diego odwrócił się i chciał odejść.

– Zaczekaj! – zawołała matka. – Gdzie jest twój ojciec?

Diego przeszył ją miazdzącym wzrokiem.

– Skąd mam wiedzieć? Pewnie jedzie do Esterenu, jeśli już tam nie dotarł. Do tej pory na pewno odebrali *parias*.

– Nie mów do mnie takim tonem – skarciła go matka, czując się głupio i z tego powodu poirytowana. – Przecież czasami wiesz takie rzeczy, Diego.

– A kiedy wiem, to ci mówię – odparł. – Muszę pędzić, matko. Będę potrzebny Fernanowi. Kazał mi zamknąć bramę i ustawić wszystkich na palisadzie.

I Diego zniknął z przelotnym, zabójczym uśmiechem swego ojca, niemal rozbrajając Mirandę Belmonte d'Alveda.

Teraz rozkazują mi moi synowie, pomyślała. Kolejna modyfikacja życia, kolejna miara upływającego czasu. To było dziwne; wcale nie czuła się na tyle staro, żeby miało się dzieć coś takiego. Spojrzała na wystraszonego stajennego, który pomagał jej przy kłaczy.

– Ja tu skończę. Słyszałeś go. Powiedz Dariowi, żeby ustawił wszystkich na palisadzie. Łącznie z kobietami. Niech wezmą każdą broń, jaką zdołają znaleźć. Podsyć ogień w kuchni, bo jeśli to atak, będzie nam potrzebny wrzątek.

Stary stajenny kiwnął z niepokojem głową i odszedł tak szybko, jak mu na to pozwalała chroma noga.

Miranda przeciągnęła grzbietem ubłoconej dłoni po czole, zostawiając na nim smugę brudu. Odwróciła się, mrużąc coś do rodzącej kłaczy. Narodziny źrebięcia w valledańskiej hacjendzie miały pierwszeństwo przed wszelkimi innymi wydarzeniami. Był to kamień węgielny dobrobytu Valledan i ich dalszego życia, a właściwie ich całego społeczeństwa. Nie bez kozery byli nazywani Jeźdźcami Dzada. W chwilę później kobieta uważana za największą piękność Valledo znów klęczała w słomie z dłońmi na brzuchu kłaczy i pomagała sprowadzić na świat kolejnego ogiera hodowli Belmontego.

Była jednak zdenerwowana i zmartwiona. Nic dziwnego. Diego rzadko się mylił w swoich ostrzeżeniach, a prawie nigdy, kiedy wizja dotyczyła kłopotów grożących domowi. Nauczyli się

tego z biegiem czasu.

Wizje te zaczęły się pojawiać, kiedy był jeszcze małym chłopcem, i nawet jemu trudno było je odróżnić od nocnych koszmarów czy dziecięcych strachów.

Wszyscy pamiętali, jak pewnego razu obudził się z krzykiem w środku nocy, wołając, że ojciec znajduje się w strasznym niebezpieczeństwie, że grozi mu wpadnięcie w zasadzkę. Owego roku – podczas zażartej Wojny Braci – Rodrigo prowadził kampanię w Ruendzie i wszyscy przesiedzieli resztę długiej nocy, obserwując drżącego chłopca o otepiałym spojrzeniu i czekając na dalsze wizje. Przed samym świtem rysy Diega się wygładziły.

– Myliłem się – rzekł wtedy, patrząc na matkę. – Jeszcze nie walczą. Nic mu nie jest. To chyba mi się śniło. Przepraszam.

I przy tym ostatnim słowie zapadł w głęboki sen.

Coś takiego nigdy się już nie powtórzyło. Kiedy Diego mówił, że coś widzi, jego słowa traktowali jak bezwzględna prawdę. Lata spędzone z chłopcem dotkniętym przez boga zdusiłyby sceptycyzm u każdego. Nie mieli pojęcia, w jaki sposób pojawiały się te wizje i nigdy o nich nie rozmawiali z kimś spoza rodziny czy hacjendy. Ani jego rodzice, ani bracia nie mieli choćby śladów tego... tego czego? Daru czy brzemienia? Miranda do tej pory nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie.

Istniały opowieści o takich ludziach. Słyszał o nich Ibero, duchowny rodziny, prowadzący obrzędy w nowej kaplicy, którą Rodrigo wznosił, zanim jeszcze odbudował i rozbudował hacjendę. Ludzi mających takie wizje nazywał „wędrowcami w czasie”. Twierdził, że Diego został pobłogosławiony przez Dżada, lecz oboje rodzice chłopca wiedzieli, że w innych czasach i w innych miejscach tacy wizjonerzy byli paleni albo przybijani żywcem do drewnianych bali jako czarnoksiężnicy.

Miranda usiłowała się skupić na klaczy, lecz przez kilka następnych chwil jej uspokajające słowa składały się z wielokroć powtarzanych dobitnych przekleństw pod adresem nieobecnego męża. Nie miała pojęcia, w jaki sposób tym razem sprowadził zagrożenie na hacjendę, skoro dowodzony przez niego oddział stacjonował w Esterenie, a jego najlepsi członkowie byli na południu, w Al-Rassanie.

„Chłopcy potrafią poradzić sobie z kłopotami”, napisał nonszalancko w ostatnim liście pod opisem ponurej, pożegnalnej wymiany słów z hrabią Gonzalezem de Radą. Ani słowa o przysłaniu jej kilku żołnierzy do pomocy. Oczywiście, że nie. Miranda, uczennica Ibera w pierwszych latach swojego małżeństwa, szczyciła się umiejętnością samodzielnego czytania. Potrafiła też kląć jak żołnierz. I klęła, czytając ten list – ku niejkiej konsternacji posłańca. Klęła też teraz, ale hamując się, by nie zdenerwować klaczy.

Jej chłopcy wciąż byli chłopcami, a ich beztroski, bezmyślny ojciec i jego ludzie znajdowali się bardzo daleko.

Z łaski Dżada żreback urodził się zdrów niedługo potem. Miranda zaczęła, żeby zobaczyć, czy klacz go zaakceptuje, po czym wyszła z boksu, chwyciła starą włócznię stojącą w kącie stajni i wybiegła na deszcz, by dołączyć do kobiet i kilku parobków już czekających na podeście za drewnianą palisadą.

Jak się okazało, na podeście stały tylko kobiety, duchowny Ibero i stary kulawy stajenny Rebeno. Fernan już wyprowadził parobków na zewnątrz. Jedna z kobiet wyjaśniła z wahaniem, że chcą urządzić zasadzkę. Miranda, nie mając pod ręką żadnego cennego konia, pozwoliła sobie na potok niczym niehamowanych przekleństw. Następnie znów przetarła czoło i weszła po wilgotnych stopniach na wysoki podest, ciągnący się wzdłuż zachodniego odcinka palisady, by wypatrywać i czekać. Ktoś podał jej kapelusz, którym osłoniła oczy przed deszczem.

Po chwili uznała, że włócznia to strata czasu, i wymieniła ją na łuk i kołczan strzał, wzięte z jednej z sześciu budek dla strażników rozmieszczonych przy palisadzie. W budkach nie było strażników. Wszyscy żołnierze pojechali do Esterenu albo z Rodrigiem.

„Chłopcy potrafią poradzić sobie z kłopotami”, napisał. Nonszalancko.

Wyobraziła sobie wtedy, jak jej mąż wylania się spośród drzew i wjeżdża na szeroką, trawiastą przestrzeń przed zabudowaniami hacjendy. Wyobraziła sobie, jak do niego strzela.

Teren wokół posiadłości Belmontego był równinny i otwarty ze wszystkich stron, oprócz zachodu i południowego zachodu, gdzie ojciec i dziadek Rodriga zostawili nienaruszoną kępę dębów i cedrów. Rodrigo też nie tknął tych drzew, choć z innego powodu.

Lasek ten oraz leżący w jego głębi staw budziły święte skojarzenia, jednakże młody Fernan Belmonte wiele lat temu, kiedy po raz pierwszy dosiadł prawdziwego konia, dowiedział się od swego ojca, że wbrew pozorom zagajnik służy również do obrony.

– Zastanów się – powiedział wtedy ojciec. – Gdybyś chciał niepostrzeżenie zaatakować to miejsce, skąd byś nadszedł?

Fernan rozejrzał się wówczas po odsłoniętej równinie rozciągającej się we wszystkich kierunkach.

– Żeby się zbliżyć, trzeba przejść przez zagajnik – odrzekł. Łatwa odpowiedź.

– A zatem możemy być niemal pewni, że atak nadejdzie z tej strony, bo inaczej, jeśli nasi zwiadowcy nie będą spali, zobaczymy każdą zbliżającą się osobę, prawda?

– Albo Diego coś zobaczy – dodał Fernan – nawet jeśli nadejdą przez las.

– Słusznie – zgodził się wtedy ojciec lakonicznie, aczkolwiek niechętnie. W tamtych czasach ojciec i matka wciąż jeszcze usiłowali pogodzić się z tym, co potrafi widzieć i robić Diego. Fernan nie miał takich problemów, ale on oczywiście znał Diega najlepiej ze wszystkich.

Wiele lat później w niespodziewanie deszczowy letni poranek zajmował z dwoma przyjaciółmi i sześcioma parobkami dwa bliźniacze rowy, biegnące po obu stronach naturalnego

wyjścia z lasu. Rowy oczywiście nie były dziełem przyrody. Wykopali je na trawiastej równinie żołnierze Rodriga, żeby mieć się gdzie położyć i, niezauważeni, obserwować teren pod lasem.

Fernan ustawił czterech innych chłopców z łukami w połowie drogi między zabudowaniami hacjendy i południowymi pastwiskami, gdzie tego ranka przebywały kłacze ze źrebiętami. Z tą czwórką było dwóch posłańców, mających dać znać, gdyby ktokolwiek pojawił się z południa. Ostatni jeździec został wysłany samotnie na wschód od hacjendy, tak na wszelki wypadek.

Zdyszany Diego nadjechał przed paroma chwilami i zameldował, że przekazał polecenia matce, która powinna już być na palisadzie z innymi kobietami. Wiedziała co robić. Lepiej się przygotować już nie mogli. Fernan postawił kołnierz i siedział w rowie, osłonięty od deszczu szerokim rondem kapelusza. Czekał.

Istniały dwie możliwości. Jeśli ktoś zbliżał się do Hacjendy Belmonte w złych zamiarach, mógł mieć na celu same zabudowania i chroniących się w nich ludzi lub, co bardziej prawdopodobne, przybywał po konie. Albo z obu tych powodów, poprawił się Fernan. To jednak oznaczałoby sporą liczbę ludzi i w takim wypadku obrońcy mogliby znaleźć się w prawdziwej opresji. Nie sądził, by tak było teraz. W gruncie rzeczy nie bardzo się martwił. Miał trzynaście lat.

– Mam ich – odezwał się cicho Diego. – Właśnie weszli między drzewa. Wiem, kto to jest.

– De Rada? – zapytał spokojnie Fernan. – Ten młodszy?

Diego skinął głową. Obaj czytali ostatni list ojca.

Fernan zaklął.

– To oznacza, że nie możemy go zabić.

– Nie wiem dlaczego – stwierdził rzeczowo jego brat.

– Krwiożercze dziecię – orzekł Fernan, szczerząc zęby w uśmiechu. W miękko padającym deszczu odpowiedział mu identyczny uśmiech na identycznej twarzy. Fernan był starszy o piętnaście minut. Lubił bratu o tym przypominać, chociaż trudno było Diega wyprowadzić z równowagi. Prawie niczym się nie przejmował.

– Około dwudziestu ludzi – powiedział. – Są teraz na ścieżce w lesie.

– To oczywiste – odparł Fernan. – Po to jest ta ścieżka.

Gdzieś zgubił kapelusz, a w drodze na północ jeden z butów Garcii de Rady pękł przy obcasie. W związku z tym dworak jechał przez leżący na zachód od Hacjendy Belmonte zagajnik, mając mokrą głowę i stopę. Przez lasek prowadził zaniedbany szlak, ale konie jakoś sobie na nim radziły.

Mimo niewygód Garcia de Rada odczuwał płomienną, przesywającą radość, dzięki której ta długa podróż wydawała mu się teraz błahostką. Jego nieżyjący, odżałowanej pamięci kuzyn Parazor był świnią i błaznem, i nazbyt ochoczo mówił co myśli w rozmaitych sprawach. A jego

myśli zbyt często różniły się od poglądów Garcii. Niemniej podczas tej wędrówki na północ z Al-Rassanu Garcie podtrzymywało na duchu poczucie wdzięczności dla jego zabitego kuzyna. Śmierć Parazora z rąk zawszonego małego aszaryckiego wieśniaka w osadzie pod Fezaną wydawała Mirandę Belmonte d'Alvedę w ręce Garcii. I nie tylko w jego ręce.

W chwili, gdy wbrew wszelkim kodeksom zachowania wyznawanym przez dobrze urodzonych panów w trzech dządyckich królestwach Esperanii Rodrigo Belmonte lekkomyślnie skazał wysoko postawionego de Radę na śmierć z ręki chłopskiego dziecka, naraził on siebie – i swoją rodzinę – na reakcję, jakiej za taką zniewagę wymaga honor.

Garcia był pewien, że jeśli rodzina de Rada wyrwie sprawiedliwą zemstę za to, co zrobił Rodrigo, król nie będzie mógł i nie zechce nic zrobić. Sprawiedliwą zemstę łatwo było określić – konie za wzięte od nich wierzchowce oraz jedna kobieta wzięta, w raczej odmienny sposób, za egzekucję członka rodziny de Rada po tym, jak obiecał okup. Było to całkowicie sprawiedliwe. W gruncie rzeczy historia Esperanii znała precedensy wymierzania o wiele okrutniejszej zemsty.

Garcia ustalił tok postępowania jeszcze kiedy potykał się w ciemności, idąc pieszo na północ po ataku na Orville. Z policzka kapłała mu krew, a on trzymał się tylko dlatego, że wyobrażał sobie wijące się pod nim nagie ciało Mirandy Belmonte, i stojące obok jej dzieci, zmuszone patrzeć na hańbę matki. Garcia był dobry w wyobrażaniu sobie takich rzeczy.

Z Orvilli ocalało dwudziestu czterech jego ludzi. Wspólnie mieli do dyspozycji tuzin noży i trochę lekkiej broni. Pod koniec następnego dnia wzięli sobie z innej osady sześć mułów, a rolnikowi z nierozważnie odosobnionej zagrody odebrali szkapę z wklęsłym grzbietem. Chociaż koń był nędzny, Garcia zagarnął go dla siebie. Aszaryckiego rolnika, jego żonę i córkę zostawił swoim towarzyszom. Myślami był już daleko na północnym wschodzie, za granicą, w Valledo, na ziemiach leżących między źródłami rzeki Duric i pogórzem dżalońskich gór.

Rozpościerały się tam rozległe, żyzne stepy, na których przez wieki żyły tabuny dzikich koni Esperanii; potem pojawili się pierwsi hacjenderzy i zaczęli je oswajać, hodować i ujeżdżać. Wśród tych hacjenderów z arogancji słynął najbardziej ród Belmonte, choć nie był ani największy, ani najbogatszy. Garda bardzo dobrze wiedział, dokąd zmierza. Tak się też składało, że wiedział od brata, że tego roku latem oddziały Komendanta stacjonują w Esterenie, daleko od hacjendy.

Pozostawienie niestrzeżonego domu nie powinno się wiązać dla Belmontego z żadnym niebezpieczeństwem. Aszaryci od dwudziestu pięciu lat, czyli od ostatniego krótkiego rozkwitu kalifatu, nie zapuszczali się na północ. Armia króla Bermuda z Dżalonii została przed trzema laty odepchnięta przez Valledan za góry i wciąż jeszcze lizała rany. A żaden człowiek wyjęty spod prawa, bez względu na to, jak byłby nierozważny czy zdesperowany, nie śmiałyby prowokować gniewu słynnego Komendanta z Valledo.

Budynki powinny być zupełnie bezpieczne za drewnianą palisadą, nawet jeśli strzegli ich

chłopcy, którzy nie przeszli jeszcze mutacji, i garstka parobków uznanych za niegodnych lub za starych, by przyjąć ich do oddziału. Z drugiej strony, Rodrigo Belmonte nie powinien był wydać rozkazu uśmiercenia członka rodziny de Rada. Nie powinien był smagnąć biczem brata konetabla. Takie działania zmieniały sytuację.

Kiedy Garcia i jego ludzie weszli w końcu, potykając się, do Lobaru, pierwszego z fortów rozmieszczonych w *tagrze*, zażądał wierzchowców i mieczy dla wszystkich. Wydano mu je, choć z obraźliwą dlań niechęcią. Spotniały komendant garnizonu przedstawił jakąś marną wymówkę, że zostanie bez wystarczającego zapasu broni i wierzchowców do pełnienia służby czy choćby dla własnego bezpieczeństwa, ale Garcia nie chciał tego słuchać. Powiedział beztrąsko, że konetabl Valledo przyśle do fortu miecze i konie lepsze od tych łękowatych stworzeń, które właśnie zabiera. Nie miał nastroju do dyskusji z jakimś żołnierzem z pogranicza.

– To może zająć dużo czasu – mruknął wtedy komendant. – Do Esterenu jest bardzo daleko.

– Zaiste – odparł Garcia lodowatym tonem. – No to co?

Żołnierz przygryzł wargę i nic już nie powiedział. Cóż mógł zrobić? Miał do czynienia z de Radą, bratem konetabla królestwa.

Lekarz garnizonowy, paskudny cham o chrapliwym głosie i z niepokojącym czyrakiem na szyi, zbadał ranę Garcii i gwizdnął cicho.

– Bicz? – zapytał. – Masz szczęście, panie, albo ktoś niezwykle zręczny chciał cię tylko naznaczyć. To czyste cięcie, z dala od oka. Kto to zrobił?

Garcia tylko zgromił go w milczeniu wzrokiem. Rozmowa z pewnymi ludźmi nie miała sensu.

Lekarz przepisał mu śmierdzącą maść, która piekła jak po użądleniu szerszenia, ale dzięki niej opuchlizna zeszła z twarzy Garcii w ciągu kilku dni. Kiedy po raz pierwszy spojrział w lustro, uznał, że odpowiednia zemsta wymaga także śmierci dzieci Belmontego. Po tym, jak zostaną zmuszone do oglądania go z ich matką.

Niecierpliwa myśl o rychłej zemście kazała mu opuścić fort w *tagrze* po zaledwie jednym dniu odpoczynku. Wysłał do Esterenu czterech ludzi z meldunkiem dla brata i formalną skargą do króla. To było ważne. Jeśli to, co zamierzał zrobić, miało być prawnie usankcjonowane, trzeba było złożyć taką skargę przeciwko Rodrigowi. Garcia chciał przeprowadzić to właściwie.

Dwa dni po rozstaniu z czterema posłańcami przypomniał sobie, że nie powiedział im, by kazali przysłać garnizonowi w Lobarze broń i konie. Zastanawiał się krótko, czyby nie wysłać na północ jeszcze dwóch ludzi, ale pomyślał o bezczelności Komendanta i postanowił nie zawracać sobie głowy. Będzie dość czasu na przekazanie tej wiadomości, kiedy sam stanie w Esterenie. Rozpieszczonym żołnierzom dobrze zrobi, jak przez pewien czas będą mieli za mało broni i wierzchowców. Może komuś innemu pęknie but przy obcasie.

Dziesięć dni później w lesie leżącym na terenie Hacjendy Belmonte padał deszcz. Pończocha

Garcii całkiem przemokła, podobnie jak jego włosy i szorstka młoda broda. Hodował ją od opuszczenia Orvilli. Wiedział już, że musi ją nosić do końca życia, bo inaczej będzie wyglądał jak napiętnowany złodziej. Nie miał wątpliwości, że taki właśnie był zamiar Belmontego.

Pamiętał, że, jak wszystkie kobiety d'Alvedów, Miranda Belmonte jest bardzo piękna. Rodrigo, ten zwykły najemnik, ożenił się o wiele lepiej, niż na to zasługiwał. Garcia zamierzał niedługo zesłać na niego dokładnie to, na co zasługiwał.

Myśl o nadchodzącej zemście sprawiła, że serce Garcii zabiło mocniej. Już niedługo. Haczendy pilnowali chłopcy i stajenni. Rodrigo Belmonte był zaledwie napuszonym wojownikiem, który po objęciu tronu przez króla Ramka został z powrotem odesłany na swoje miejsce. Stracił pozycję konetabla na rzecz brata Garcii. To był zaledwie początek. Teraz dowie się, jakie są koszty waśni z de Radami. Dowie się, czym grozi naznaczenie Garcii de Rady jak zwykłego przestępcy. Garcia dotknął policzka. Wciąż stosował maść, jak zalecił mu lekarz. Choć czuł zdecydowanie przykry zapach, to opuchlizna zesza, a rana była czysta.

W lesie drzewa rosły blisko siebie, ale dziwnie gładka ścieżka wiła się swobodnie między nimi; miejscami była na tyle szeroka, że mogło nią jechać trzech ludzi obok siebie. Minęli z lewej strony staw. W szarym popołudniowym świetle deszcz padał łagodnie przez liście, znacząc spokojną powierzchnię wody kropelkami i rozchodzącymi się kręgami. Z jakichś powodów uważano to miejsce za święte. Kilku ludzi uczyniło boski znak słonecznego dysku, przejeżdżając obok stawu.

Kiedy pierwszy koń padł, kwicząc, na ziemię ze złamaną nogą, wydawało się to złośliwym przypadkiem. Po dwóch kolejnych takich przypadkach, w jednym z których jeździec wywichnął sobie bark, taka interpretacja stała się mniej trafna.

Ścieżka skręciła na północ między zmokniętymi, ociekającymi wodą drzewami, a niedługo potem znów zawróciła na wschód. Garcia pomyślał, że w szarej, bladej oddali widzi skraj lasu.

Poczuł, że spada, wciąż siedząc w siodle..

Miał czas spojrzeć w górę i zobaczyć brzuchy dwóch koni, które jeszcze przed chwilą szły stępem po obu stronach jego wierzchowca. Koń Garcii de Rady runął na dno dołu ukrytego na środku ścieżki i jeździec zaczął się miotać, by uniknąć wierzgających kopyt rannego, przerażonego zwierzęcia. Jeden z towarzyszących mu ludzi, szybszy od innych, zeskoczył na ziemię i przechylił się nad krawędzią dołu. Wyciągnął rękę, a Garcia ją chwycił i wygramolił się na górę.

Przez chwilę patrzyli na wierzgającego konia, a potem któryś z łuczników wypuścił dwie strzały i kopyta znieruchomiały.

– To nie jest naturalna ścieżka – odezwał się po chwili łucznik.

– Jakiś ty bystry – odparł Garcia. Minał żołnierza, rozpryskując z chlupotem błoto.

Zanim dotarli do wschodniego krańca lasku, drut rozciągnięty nisko nad ziemią

wyeliminował jeszcze dwa konie i jednego jeźdźca, który rozbił głowę, spadając na ziemię, a kolejny dół pozbawił ich trzeciego ogiera. Przedarli się jednak, a przecież podczas takiej wyprawy trzeba się spodziewać jakichś ofiar.

Przed nimi rozpościerał się otwarty step. Widzieli nieodległą palisadę, otaczającą zabudowania hacjendy. Garcia spostrzegł, że jest dość wysoka, lecz nie dla nich. Mógłby się na nią wspiąć dobry jeździec, gdyby stanął na grzbiecie wierzchowca, albo żołnierz piechoty, podsadzony przez towarzysza. Hacjenda mogłaby się obronić przed umiejętnie przeprowadzonym atakiem tylko dzięki odpowiedniemu garnizonowi. Kiedy zatrzymali się na skraju drzew, deszcz ustał. Garcia uśmiechnął się, rozkoszując się tą chwilą.

– Zupełnie nieźle jak na znak od boga – zauważył.

Podniósł wymownie wzrok na jeźdźca stojącego obok niego. Po chwili mężczyzna zrozumiał, o co mu chodzi, i zsiadł z konia. Garcia wskoczył na siodło.

– Prosto do zabudowań – rozkazał. – Kto pierwszy znajdzie się po drugiej stronie palisady, będzie miał pierwszeństwo w wyborze kobiet. Konie weźmiemy później. Są nam winni coś więcej niż koninę.

I na podobieństwo pędzących z grzotem kopyt bohaterskich przodków swego rodu Garcia de Rada dobył pożyczonego miecza, zamachnął się nim wysoko nad głową i zmusił konia z Lobaru do galopu. Jego towarzysze, wydali okrzyk i wypadli za nim z lasu w szarość popołudnia.

Sześciu zginęło od pierwszej serii strzał, a czterech od drugiej. Żaden z pocisków nie zabłądził w pobliże samego Garcii, ale zanim znalazł się on w połowie drogi do ogrodzonych palisadą budynków, miał już za plecami tylko pięciu jeźdźców, a pięciu innych pędziło rozpaczliwie na własnych nogach po wilgotnej trawie.

Biorąc pod uwagę taki otrzeźwiający rozwój wypadków, wściekły galop w pojedynkę ku palisadzie zaczął się wydawać coraz mniej rozważnym pomysłem. Garcia zwolnił, a kiedy zobaczył, jak jeden z biegnących został trafiony strzałą w pierś, zatrzymał konia, zbyt osłupiały, by wyrazić głosem wściekłość szalejącą mu w sercu.

Z jego prawej strony, z południa, zaczęło się teraz szybko zbliżać sześciu jeźdźców. Obejrzał się do tyłu i zobaczył, jak z dwóch zagłębień w płaskiej równinie, których poprzednio nie zauważył, podnosi się niczym upiory inna grupka ludzi. Uzbrojeni w łuki i miecze, ruszyli niespiesznym krokiem ku niemu. Na podeście za palisadą pojawiło się kilkunastu także uzbrojonych ludzi.

Wydawało się, że nadeszła pora schować miecz. Czterej jeźdźcy, jacy zostali Garcii, zrobili to samo. Jego spieszeni towarzysze przywlekli się powoli; jeden trzymał się za ramię.

Łucznicy z zagłębienia otoczyli ich w chwili, kiedy zbliżyło się sześciu jeźdźców, i Garcia spostrzegł wtedy z niesmakiem, że są to w większości chłopcy. Dało mu to jednak promyk

nadziei.

– Z konia – odezwał się masywnie zbudowany chłopiec.

– Najpierw powiesz mi, dlaczego właśnie zabiliście bez powodu gości – odrzekł surowym tonem Garcia, grając na zwłokę. – Cóż to za zachowanie?

Chłopiec, do którego zwrócił się w ten sposób, zamrugał, jakby zaskoczony, a potem nieznacznie skinął głową. Trzej łucznicy ustrzelili pod Garcia jego konia. De Rada wyrzucił nogi ze strzemion i odskoczył od padającego wierzchowca, by nie zostać przygniecionym. Potknął się na wilgotnej trawie i padł na kolano.

– Nie podoba mi się, że muszę zabijać konie – powiedział spokojnie chłopiec. – Nie pamiętam jednak, kiedy ostatnio goście pędzili na nas bez zapowiedzi pełnym galopem z dobytymi mieczami. – Uśmiechnął się blado. Uśmiech był dziwnie znajomy. – Cóż to za zachowanie?

Garcia de Rada nie wiedział co odpowiedzieć. Rozejrzał się. Jego oddział pokonały dzieci i stajenni, i to nawet nie w walce.

Chłopiec, który był tu najwyraźniej przywódcą, zerknął na jeźdźców Garcii. Z niestosowną szybkością rzucili broń i zeskokczyli z koni.

– Chodźmy – odezwał się drugi chłopiec.

Garcia spojrział na niego, a potem przeniósł wzrok z powrotem na przywódcę. Dokładnie taka sama twarz. Teraz już wiedział, gdzie widział ten uśmiech.

– Jesteście synami Belmontego? – zapytał, usiłując panować nad głosem.

– Na twoim miejscu nie zawracałbym sobie głowy pytaniami – rzekł drugi chłopiec. – Wolałbym raczej przygotować sobie odpowiedzi. Moja matka będzie chciała z tobą porozmawiać.

Co oczywiście stanowiło odpowiedź na jego pytanie, ale Garcia uznał, że niemądrze byłoby zwrócić na to uwagę. Ktoś poruszył mieczem i Garcia ruszył ku zabudowaniom. Kiedy się do nich zbliżył, zdał sobie poniewczasie sprawę, że postacie z łukami i włóczniami, stojące na podeście za palisadą, to kobiety. Jedna z nich, ubrana w męską wierzchnią tunikę i spodnie, z plamami błota na policzkach i czole, ruszyła wzdłuż podestu, po czym stanęła, patrząc na nich z góry. Spod jej skórzanego kapelusza wymykały się długie, kasztanowe włosy. Trzymała łuk ze strzałą nałożoną na cięciwę.

– Fernanie, powiedz mi, proszę, kim jest ta żalсна osoba.

W szarej ciszy jej głos brzmiał wyraźnie i rzeczowo.

– Sądzę, matko, że to don Garcia de Rada. Brat konetabla – odpowiedział pierwszy chłopiec, przywódca.

– Czy tak? – spytała lodowato kobieta. – Jeśli rzeczywiście ma jakąś pozycję, zgodzę się z nim porozmawiać.

Spojrzała na Garcie.

To była kobieta, którą od opuszczenia Orvilli wyobrażał sobie nagą, przyciśniętą przez niego do ziemi. Teraz stał w mokrej trawie, z wodą wsiąkającą w pęknięty but, i patrzył na nią, zadarłszy głowę. Przełknął ślinę. Rzeczywiście była – niezwykle urodziwa, nawet w męskim ubraniu i ubłocona. W tej chwili jednak było to najmniejsze z jego zmartwień.

– Don Garcio, wytłumaczysz się – zwróciła się do niego. – W paru słowach i bardzo dokładnie.

Jej arogancja była irytująca, bolesna niczym rana. Ale Garcia de Rada zawsze potrafił szybko myśleć, a poza tym nie był tchórzem. Sytuacja przedstawiała się źle, choć na swój sposób nie gorzej niż w Orvilli, a on znajdował się już w granicach Valledo, wśród cywilizowanych ludzi.

– Mam żal do twojego męża – rzekł spokojnie. – Zabrał w Al-Rassanie konie należące do mnie i do moich ludzi. Przybyliśmy, by wyrównać te rachunki.

– Co robiliście w Al-Rassanie? – zapytała.

Tego się nie spodziewał. Odchrząknął.

– To był wypad. Na niewiernych.

– Jeśli spotkaliście Rodriga, musieliście zatem znajdować się w okolicach Fezany.

Skąd kobieta wie takie rzeczy?

– Niedaleko – zgodził się Garcia. Zaczynało mu się robić trochę nieswojo.

– A zatem Rodrigo postąpił z wami jak królewski oficer odpowiedzialny za ochronę tego terytorium w zamian za *parias*. Na jakiej podstawie twierdzisz, że macie prawo ukraść nasze konie?

Garcii na chwilę odjęło mowę.

– Co więcej, jeśli zostaliście schwytni i wypuszczeni bez wierzchowców, to na pewno daliście mu słowo honoru w zamian za okup, który zostanie określony przez heroldów na dworze. Czyż nie tak?

Miło byłoby temu zaprzeczyć, ale Garcia mógł jedynie kiwnąć głową.

– A więc przybywając tu, złamałeś przysięgę, prawda?

Głos kobiety był beznamiętny, a spojrzenie nieustępliwe.

To się stawało śmieszne. Garcia wpadł w złość.

– Twój mąż rozkazał zabić mojego kuzyna, po tym jak się poddaliśmy i obiecaliśmy okup!

– Ach. Zatem chodzi o coś więcej niż konie i zbroję, tak? – Kobieta stojąca na palisadzie uśmiechnęła się ponuro. – Nie byłoby raczej zadaniem króla osądzić, czy jego oficer nadużył władzy, don Garcio? – Zważywszy okoliczności, jej oficjalny ton brzmiał jak szyderstwo. Nigdy w życiu nie mówiła tak do niego żadna kobieta.

– Człowiek, który zabija de Radę, musi za to odpowiedzieć – stwierdził swoim najzimniejszym głosem, podnosząc na nią wściekły wzrok.

– Rozumiem – odparła z niezmaconym spokojem kobieta. – Zatem przybyłeś tutaj, żeby go do tego zmusić. W jaki sposób?

Zawahał się.

– Konie – odpowiedział w końcu.

– Tylko konie? – De Rada nagle zdał sobie sprawę, w jakim kierunku zmierza to przesłuchanie. – Dlaczego więc jechałeś w stronę palisady, don Garcio? Konie są na pastwisku na południe od nas; nietrudno je zauważyć.

– Jestem zmęczony odpowiadaniem na pytania – oznajmił Garcia de Rada z największą godnością, jaką zdołał przywołać. – Podałem się, podobnie jak moi ludzie. Z chęcią pozostawię określenie uczciwego okupu królewskim heroldom w Esterenie.

– Już się na to zgodziliście w Al-Rassanie przy Rodrigu, a mimo to przybyliście tu z dobytymi mieczami i w złych zamiarach. Z żalem stwierdzam, że nie mogę przyjąć twego słowa. I bez względu na to, czy jesteś zmęczony, czy nie, odpowiesz na moje pytanie. Dlaczego jechaliście na tę palisadę, młody człowieku?

Była to zamierzona obelga. Upokorzony, kipiący z wściekłości Garcia de Rada podniósł wzrok na kobietę stojącą ponad nim na palisadzie i odparł:

– Twój mąż musi się nauczyć, że za pewne działania trzeba zapłacić. Wśród chłopców i parobków rozległ się szmer. Po chwili rozpląnął się w ciszy. Kobieta jedynie skinęła głową, jakby to właśnie chciała usłyszeć.

– A zapłatę miałaś wygzekwować ty? – spytała spokojnie.

Garcia milczał.

– Mogę się domyślać, że miałam zapłacić ja i moi synowie?

Przed palisadą zapadła cisza. Na niebie wiatr zaczął przeganiać chmury.

– Należała mu się nauczka – odparł ponuro Garcia.

Wtedy go zastrzeliła. Unosząc płynnym ruchem męski łuk, naciągając cięciwę i zwalniając ją z wielkim wdziękiem. Strzała przeszła gardło de Rady.

– Nauczka – rzekła z namysłem Miranda Belmonte d'Alveda, patrząc w dół na zabitego przez siebie człowieka.

– Wy możecie odejść – zwróciła się do ludzi Garcii. – Ruszajcie. Nie stanie się wam nic złego. Możecie zameldować w Esterenie, że straciłam krzywoprzysięzcę i zwykłego zbójcę, który groził Valledance i jej dzieciom. Jeśli król sobie tego zażyczy, odpowiem za to bezpośrednio przed nim. Powiedzcie to w Esterenie. Diego, Fernanie, zbierzcie ich wierzchowce i broń. Niektóre z koni wyglądają dość porządnie.

– Ojciec chybaby nie chciał, żebyś go zastrzeliła – odważył się powiedzieć z wahaniem Fernan.

– Zamilcz. Kiedy zechcę wysłuchać zdania mojego dziecka, zwrócę się do niego

z odpowiednim pytaniem – odparła lodowato Miranda. – Twój ojciec będzie mógł się uznać za szczęściarza, jeśli nie poczęstuję go podobną strzałą, kiedy odważy się wrócić. A teraz róbcie, co mówię.

– Tak, matko – odrzekli jej synowie chórem.

Kiedy chłopcy i parobkowie pośpieszyli wykonać polecenie, a ocalali towarzysze Garcii de Rady ruszyli chwiejnym krokiem na zachód, przez chmury przedarło się popołudniowe słońce i rozjaśniło smugami światła mokrą od deszczu zieloną trawę.

ROZDZIAŁ 6

W Esterenie kłębiły się tłumy cieśli, kamieniarzy, murarzy i robotników, paraliżując miasto. Trudno było się poruszać ulicami, a przebycie ich konno graniczyło z niemożliwością. Pałac i rozpościerający się przed nim plac rozbrzmiewały uderzeniami młotków, jękiem pił i stukotem dłut, wykrzykiwanymi przekleństwami i gorączkowo wydawanymi poleceniami. Nad głowami ludzi huśtały się skomplikowane, niebezpiecznie wyglądające urządzenia, inne przenosili w różne miejsca tragarze. Wszyscy mówili, że tego lata zginęło już pięciu robotników, a nawet najmniej spostrzegawczy zauważyli, że przynajmniej połowę nadzorców stanowią aszaryci z Al-Rassanu sprowadzeni na północ znacznym kosztem.

Król Ramiro rozbudowywał swoją stolicę i pałac.

Istniały czasy, w gruncie rzeczy nie tak odległe, kiedy niepewni swej korony królowie Esperanii – władający krajem zarówno wtedy, gdy stanowił całość, jak i podzielonym, co znowu nastąpiło – przenosili się z miejsca na miejsce. Nie było miast, a co najwyżej osady; budowle noszące miano „pałaców” urągały tej nazwie. Oprawę monarchii stanowiły konie, muły i ciężkie wozy na co lepiej zachowanych starożytnych drogach, a jak rok długi, dwory osiadały w kolejnych miasteczkach czy zamkach. Królowie, po pierwsze, nieustannie tłumili zarzewia rebelii albo śpieszyli przynajmniej ograniczyć drapieżne ataki Al-Rassanu. Po drugie, w czasach chwały kalifatu w Silvenes mierne zasoby przyciśniętych do muru dzadyckich królestw nie pozwalały monarchom na wyżywienie samych siebie i ich dworów bez rozkładania ciężaru związanego z ich obecnością.

Wiele się zmieniło w ciągu dwudziestu lat i najwyraźniej wciąż wiele się zmieniało w Valledo, najbogatszym i najżyźniejszym z trzech królestw, wykrojonych z Esperanii przez króla Sancza Otyłego dla swoich synów. Obecna gorączka budowlana panująca w królewskiej stolicy, opłacana dzięki zastrzykowi pieniędzy z parias oraz, co nie mniej ważne, wygaśnięciu ataków z południa, stanowiła tylko część tych zmian. Wydawało się, że król Ramiro wciela w życie zupełnie nową definicję monarchii. Przede wszystkim w ciągu minionego roku dał jasno do zrozumienia, że spodziewa się, iż cała elita szlachty i duchowieństwa będzie się stawiać w Esterenie dwa razy do roku na posiedzenie trybunału, kiedy to miały zapadać decyzje dotyczące prawa i polityki. W miarę, jak nowe mury miasta rosły, stawało się jasne, że Esteren będzie czymś więcej niż tylko najlepiej urządzoną z siedzib królewskiego dworu.

Kwestia trybunału – to obce słowo, najwyraźniej waleskańskie – była bardziej niż tylko trochę irytująca. Bez stałej armii król Ramiro prawie na pewno nie byłby w stanie zmusić do przybycia swojej szlachty osiadłej na wsi. Armia jednak istniała, była dobrze opłacana i wyszkolona, i akurat tego lata prawie każda ważna osobistość w Valledo postanowiła pójść za głosem rozważli i pojawić się w Esterenie.

Do podróży może nakłonić człowieka między innymi ciekawość. Podobnie obietnica wina i uczyty na dworze oraz kobiet do wynajęcia w coraz bardziej zurbanizowanym Esterenie. Cenę stanowił kurz, hałas i symbole publicznego poddania się woli Ramira. Biorąc pod uwagę burzliwe i zwykle krótkie rządy królów Esperanii, istniały niejaki podstawy do przypuszczeń, że ambicje najbardziej skomplikowanego syna króla Sancza nie będą zbyt długo dokuczały światu.

Tymczasem trzeba było mu przyznać, że dostarcza on zupełnie przyzwoitej rozrywki. Tego dnia Ramiro wraz ze swoim dworem i przyjezdnymi wielmożami polował w królewskim lesie na południowy wschód od Esterenu, skąd było widać Wzgórze Vargasu. Nazajutrz wszyscy mieli wziąć udział w posiedzeniu królewskiego trybunału, lecz tego dnia uganiali się konno po letnich polach i lasach, zabijając dla zabawy jelenie i dziki.

Nie istniało nic – może oprócz prawdziwej wojny – co szlachta Esperanii przedkładała nad dobre polowanie w piękny dzień. Nie dało się też pominąć faktu, że mimo wszystkich swoich nowoczesnych i niepokojących pomysłów król był jednym z najlepszych jeźdźców w tym prześwietnym towarzystwie.

– Jest przecież synem Sancza – szeptali między sobą ludzie w porannym słońcu. – To chyba zrozumiałe.

Gdy największy podczas tego polowania dzik wypadł z zagajnika, w którym został wytopiony, i król Ramiro zsiadł z konia, by wbić w ciało zwierzęcia pierwszą włócznię, widziano, jak nawet najbardziej samodzielnie myślący i niezadowoleni ziemianie wymachują z uznaniem mieczami czy włóczniami.

Kiedy dzik został uśmiercony, umazany krwią król Valledo uniósł wzrok, powiódł nim po obecnych i się uśmiechnął.

– Skoro wszyscy się tu zgromadziliśmy – stwierdził – to jest pewna drobna sprawa, którą równie dobrze moglibyśmy się zająć teraz i nie rozważać jej jutro przed trybunałem.

Dworacy i wielmoże ze wsi zamilkli, popatrując na siebie z ukosa. Można było być pewnym, że Ramiro zrobi coś właśnie tak pokretnego. Nie mógł dać im spokoju nawet na polowaniu! Rozglądając się, niektórzy z obecnych zdali sobie poniewczasie sprawę, że ta polana wygląda na starannie wybraną, a nie na przypadkowy zakątek, w którym schronił się dzik. Było tu dość miejsca dla wszystkich i znalazła się nawet dogodna kłoda, do której podszedł teraz król, zdejmując zakrwawione skórzane rękawice, i na której usiadł swobodnie, zupełnie jak na tronie. Zwiadowcy zaczęli odciągać dzika, zostawiając na zgniecionej trawie rozmazaną krew.

– Czy hrabia Gonzalez de Rada i don Rodrigo Belmonte zechcą mi służyć swoimi osobami?

Król Ramiro użył oficjalnego języka dworu, a nie polowania, i w ten sposób zmienił wydźwięk i charakter poranka.

Obaj wymienieni zsiadli z koni. Żaden z nich nawet drgnieniem powieki nie zdradził, czy oczekiwał takiego rozwoju wypadków, czy też stanowi on dla nich taką samą niespodziankę, jak

dla reszty zgromadzonych.

– Są tu wszyscy świadkowie, jakich nam trzeba – mruknął król – a ja nie mam ochoty poddawać ludzi takich jak wy sądowemu przesłuchaniu w pałacu. Wydaje mi się stosownym rozpatrzenie tej sprawy tutaj. Czy ktokolwiek zgłasza sprzeciw? Jeśli tak, niech przemówi.

Do kłody, na której się usadowił, podeszli dwaj oficjele dworscy. Z toreb przewieszonych przez ramiona wyjęli pergaminy i zwoje i złożyli je obok króla.

– Nie zgłaszam sprzeciwu, panie mój – rzekł hrabia Gonzalez de Rada. Jego spokojny, piękny głos wypełnił polanę. Kręcili się po niej służący, nalewając z butelek wino do kielichów zrobionych najwyraźniej ze szczerego srebra. Myśliwi znów wymienili spojrzenia. Cokolwiek można by o nim powiedzieć, Ramiro wykazywał się hojnością godną królewskiego gospodarza. Niektórzy zsiadli z koni i oddali wodze stajennym. Inni woleli pozostać w siodłach i tylko schylali się po kielichy.

– Nie odważyłbym się zaprząć tyłu dworzan do tak wielkich przygotowań – odezwał się Rodrigo Belmonte – nie przystaję na wszelkie zamierzenia króla.

Wyglądał na rozbawionego, ale to był u niego częsty widok, o niczym więc nie świadczył.

– Zarzuty są poważne – stwierdził król Valledo, nie zwracając uwagi na ton don Rodriga.

Król Ramiro, mężczyzna wysoki, barczysty, przedwcześnie siwiejący, przybrał wyraz twarzy odpowiedni dla monarchy mającego do czynienia ze śmiertelną wrogością dwóch najważniejszych ludzi w swoim królestwie. Świąteczna, beztroska atmosfera poranka zniknęła. Zgromadzeni arystokraci zaczęli się stopniowo godzić z rozwojem sytuacji i byli ogromnie zaintrygowani; taki potencjalnie śmiertelny konflikt stanowił najlepszą rozrywkę na świecie.

Belmonte i de Rada znaleźli się obok siebie na wolnej przestrzeni przed zwałonym drzewem, na którym zasiadł król. Byłego konetabla królestwa i człowieka, który nastąpił po nim, kiedy Ramiro objął tron, dzieliła starannie odmierzona odległość. Żaden nie raczył spojrzeć na drugiego. Biorąc pod uwagę to, co słyszało się o wydarzeniach z początku lata, istniała dość realna groźba rozlewu krwi, bez względu na wysiłki, jakie mógł podjąć król w celu uniknięcia takiego zatargu.

Wielu z obecnych, szczególnie ci przybyli ze wsi, miało nadzieję, że królowi Ramirowi nie uda się rozwiązać konfliktu. Rozstrzygnięcie go poprzez walkę uczyniłoby z tego zebrania pamiętne wydarzenie. Może, myśleli niektórzy optymistycznie, właśnie dlatego rozgrywa się to z dala od miejskich murów.

– Nie trzeba mówić, że don Rodrigo jest wedle prawa odpowiedzialny za działania swojej żony i dzieci, jako że nie mają one zdolności prawnej – stwierdził poważnie król. – Zarazem zaprzysiężone i niezakwestionowane zeznania don Rodriga wskazują, że konetabl został oficjalnie poinformowany tu, w Esterenie, iż jego brat nie otrzyma pozwolenia na wyrządzanie szkód na ziemiach płacących nam *parias*. Przekazując tę informację – dodał król – don Rodrigo

działał właściwie oraz jako nasz oficer..

Dla niejednego hacjendera czy barona obecnego na tej leśnej polanie wszystko to było zdecydowanie zbyt legalistyczne. Woleliby, żeby Ramiro pozwolił im po prostu dowieść swoich racji w walce tu, pod słońcem Dżada na otwartej przestrzeni, która najbardziej przystoi mężczyźnie, i skończył z tym suchym, prawniczym słownictwem.

Taka miła perspektywa wydawała się z każdą chwilą coraz mniej prawdopodobna. Wskazywały na to zadowolone miny trzech odzianych na żółto duchownych, którzy ustawili się za królem. Ramiro nie był znany z bliskich związków z duchownymi Dżada, lecz ta trójka zdecydowanie wyglądała na usatysfakcjonowaną.

Oto, do czego dochodzi, pomyślało kilku panów z Valledo, kiedy król staje się zbyt zarozumiały, kiedy zaczyna wprowadzać zmiany. Nawet ta nowa sala tronowa w pałacu z kolumnami z żyłkowanego marmuru – czyż nie wyglądała na zaprojektowaną bardziej dla dekadentckiego dworu w Al-Rassanie niż jako sala wojowników Dżada? Co się dzieje tu, w Valledo? To pytanie stawało się coraz bardziej palące.

– Rozważywszy słowa obu stron oraz złożone pod przysięgą zeznania, łącznie z zeznaniem aszaryckiego handlarza jedwabiem, Husariego ibn Musy z Fezany, wydamy krótki osąd.

Wyraz twarzy króla nadal odpowiadał jego surowym słowom. Brutalnym faktem było to, że jeśli Belmonte i de Rada postanowią kontynuować krwawą waśń, Valledo prawdopodobnie podzieli się na ich zwolenników i wielkie zmiany Ramira przeпадną jak echo wrzasków ludzi mordowanych w lesie.

– Uznajemy, że Garcia de Rada – niech jego dusza spoczywa w świetle u Dżada – swoim atakiem na wieś Orville pod Fezaną pogwałcił tak nasze prawa, jak i zobowiązania. Przerwanie tego ataku przez don Rodriga było całkowicie właściwe. Był to jego obowiązek, biorąc pod uwagę *parias* płacone nam za ochronę. Orzekamy też, że rozkaz wykonania egzekucji Parazora de Rady, choć niefortunny, był uzasadniony, zważywszy na konieczność zademonstrowania i naszej sprawiedliwości, i władzy w Fezanie. W tych kwestiach na don Rodriga nie spada żadna wina ani krytyka.

Hrabia Gonzalez poruszył się niespokojnie, lecz znieruchomiał pod beznamiętnym spojrzeniem króla. Między drzewami przesączało się światło, pokrywając polanę pasmami blasku i cienia.

– Zarazem – ciągnął król Ramiro – don Rodrigo nie miał prawa zranić Garcii de Rady po przyjęciu jego kapitulacji. Nie był to czyn godny wysoko postawionego człowieka. – Król się zawahał i lekko przesunął na pniu drzewa. Rodrigo Belmonte patrzył wprost na niego i czekał. Ramiro spojrział mu w oczy. – Co więcej – powiedział cicho, lecz bardzo wyraźnie – publiczne oskarżenie, które wygłosił w związku ze śmiercią mojego nieodżałowanej pamięci brata, króla Raimunda, jest oszczerstwem poniżej godności zarówno szlachcica, jak i królewskiego oficera.

W tym momencie kilku obecnych na polanie wstrzymało oddech. Została poruszona kwestia dotycząca niebezpiecznie blisko pozycji Ramira na tronie. Nadzwyczaj gwałtowna śmierć jego brata do tej pory nie została wyjaśniona.

Don Rodrigo nie poruszył się ani nie odezwał. W ukośnych promieniach słońca nie dawało się wyczytać z jego twarzy nic oprócz wyrazu skupienia, z jakim słuchał. Ramiro podniósł pergamin leżący obok niego na kłodzie.

– Pozostaje nam wobec tego atak na kobiety i dzieci w Hacjendzie Belmonte oraz zabicie człowieka, który schował miecz. – Król Ramiro zerknął na pergamin. – Garcia de Rada oficjalnie poddał się w Orvilli i przyjął warunki okupu do późniejszego ustalenia. Zobowiązał się pod przysięgą, że uda się prosto do Esterenu i zaczeka na królewskie orzeczenie. Zamiast tego lekkomyślnie osłabił naszą obronę w *tagrze*, by dokonać osobistego ataku w Hacjendzie Belmonte. Za to – oznajmił król Valledo, mówiąc powoli i starannie dobierając słowa – rozkazałbym go publicznie stracić.

Wśród drzew rozległa się szybko rosnąca fala protestów. To było coś nowego, ogromna manifestacja władzy.

– Donia Miranda Belmonte d'Alveda – mówił dalej niewzruszony Ramiro – jako słaba kobieta, niemająca do obrony żadnych mężczyzn, w obliczu ataku przeprowadzonego przez uzbrojonych żołnierzy bała się o życie swoich małych dzieci. – Król wziął kolejny dokument leżący obok niego na kłodzie i zerknął nań. – Przyjmujemy złożone pod przysięgą zeznanie duchownego Ibera, że don Garcia wyraźnie dał do zrozumienia donii Mirandzie, iż jego celem jest wywarcie zemsty na niej i jej synach, a nie tylko zabranie koni z Hacjendy Belmonte.

– Ten człowiek jest sługą Belmontego! – odezwał się ostro konetabl. Jego wspaniały głos był odrobinę mniej opanowany niż poprzednio.

Król spojrział na niego i obecni na polanie, którzy zauważyli to spojrzenie, przypomnieli sobie nagle, że Ramiro w gruncie rzeczy jest wojownikiem – kiedy uzna to za stosowne. Kielichy z winem powędrowały w górę i wielmoże napili się w zamyśleniu.

– Nie zostałeś poproszony o zabranie głosu, hrabio Gonzalezie. Zauważyliśmy że żaden z ocalałych ludzi twego brata nie zaprzeczył temu zeznaniu. Właściwie wygląda na to, że je potwierdzają. Zauważyliśmy też, że z tego co wszyscy mówią wynika, że atak został przypuszczony na samą hacjendę, a nie na pastwiska, gdzie się pasły konie. Potrafimy wyciągać wnioski, zwłaszcza mając wsparcie zaprzysiężonego słowa sługi boga. Zważywszy, że atakując hacjendę, twój brat już złamał słowo honoru, orzekamy, że donia Miranda, przestraszona, bezbronna kobieta, ma nie być potępiona za zabicie go, w ten bowiem sposób chroniła dzieci i własność swego męża.

– Sprowadzasz tym na nas hańbę – odezwał się rozgoryczony konetabl. Kiedy Ramiro z Valledo wpadał w gniew, bladła mu twarz. Teraz też zbladł. Wstał, a był wyższy od niemal

wszystkich mężczyzn na polanie. Wokół niego rozsypały się dokumenty; jeden z duchownych pośpieszył je pozbierać.

– Hańbę na ciebie sprowadził twój brat – rzekł lodowatym tonem król – odrzucając twoją oraz naszą władzę. My jedynie osądzamy jego działania. Wysłuchaj nas, Gonzalezie. – Zebrani zorientowali się, że nie padł żaden tytuł, i na całej polanie kielichy z winem powędrowały w dół. – Nie wywiąże się z tego żadna waśń. Zakazujemy tego. Przed obecnymi tu wysoko urodzonymi Valledanami wydajemy następujący wyrok: hrabia Gonzalez de Rada, nasz konetabl, przez dwa lata będzie gwarantował własnym życiem bezpieczeństwo rodziny don Rodriga Belmontego. Jeśli w tym czasie którykolwiek z jej członków poniesie śmierć lub stanie się mu poważna krzywda, to bez względu na źródło zagrożenia hrabia Gonzalez de Rada zostanie stracony.

Znów rozległ się szmer głosów. Nigdy wcześniej nie słyszano czegoś choćby odrobinę podobnego.

– Dlaczego przez dwa lata? – odezwał się Rodrigo.

Komendant zrobił to po raz pierwszy od rozpoczęcia rozprawy. Promienie słońca padały już pod innym kątem i twarz Rodriga znalazła się w cieniu. Po tym pytaniu zapadła cisza, a królewski wzrok padł na Belmontego.

– Bo ty nie będziesz mógł ich bronić – powiedział spokojnie Ramiro, wciąż stojąc. – Królewscy oficerowie mają obowiązek panować i nad swoją bronią, i nad słowami. Zawiodłeś nas dwakroć. To, co zrobiłeś don Garcii i co mu powiedziałeś, stanowi bezpośredni powód jego śmierci i obecnych kłopotów w naszym królestwie. Rodrigo Belmonte, zostajesz skazany na dwa lata wygnania z Valledo. Pod koniec tego okresu możesz stawić się przed nami, a my wydamy osąd w twojej sprawie.

– Rozumiem, że odchodzi sam? – zareagował szybko hrabia Gonzalez. – Bez swojego oddziału?

Wszyscy słuchacze wiedzieli, że to ma znaczenie. Oddział Rodriga Belmontego składał się ze stu pięćdziesięciu najlepszych wojowników na półwyspie.

Rodrigo roześmiał się w głos, co, zważywszy na napięcie panujące na polanie, było niemal szokujące.

– Serdecznie zapraszam – powiedział – by ktoś spróbował ich powstrzymać przed pójściem ze mną.

Król Ramiro pokręcił głową.

– Nie zrobię tego. Twój ludzie należą do ciebie i są w tej sprawie zupełnie niewinni. Mogą odejść albo zostać wedle swojej woli. Poproszę cię tylko o jedną rzecz, don Rodrigo.

– Po wygnaniu mnie z mojego domu? – zapytał sarkastycznie Rodrigo. Na twarz nadal padał mu cień.

– Mimo wszystko. – To ciekawe, jak spokojny był król. Kilku wielmożów doszło

jednocześnie do takiego samego wniosku: Ramiro przewidział niemal każde zdanie tej rozmowy. – Nie sądzę, byś tak naprawdę mógł zakwestionować nasz wyrok, don Rodrigo. Zabierz ze sobą swój oddział, jeśli zechcesz. Prosimy tylko, by nie został użyty w działaniach wojennych przeciwko nam.

Znów zapadła cisza; wszyscy zastanawiali się nad implikacjami tej prośby. Widzieli, że Rodrigo Belmonte patrzy na trawę pod nogami, zmarszczywszy czoło. Król obserwował go spokojnie i czekał.

Kiedy Rodrigo podniósł wzrok, czoło miał już wygładzone. Uniósł prawą dłoń ku niebu, a kciuk i pozostałe palce ułożył w słoneczny znak boga.

– Przysięgam na świętego Dżada – rzekł oficjalnie – że nigdy nie poprowadzę mojego oddziału do działań wojennych na ziemiach Valledo.

Było to prawie to, o co prosił król. Prawie, ale niedokładnie, i Ramiro zdawał sobie z tego sprawę.

– A jeśli natkniesz się na valledańskie wojsko poza naszymi granicami? – zapytał.

– Nie mogę złożyć takiej przysięgi – powiedział cicho Rodrigo. – Byłoby to nieuczciwe, szczególnie jeśli zostanę zmuszony do wstąpienia na służbę gdzie indziej, by zarobić na utrzymanie moje i mojego oddziału. – Panie mój – dodał, patrząc królowi prosto w oczy – nie odchodzę z własnego wyboru.

Zapadło długie milczenie.

– Nie idź na służbę do Cartady – odezwał się w końcu król niezwykle cichym głosem.

Rodrigo stał bez ruchu, wyraźnie coś rozważając.

– Naprawdę, panie mój? Chcesz zacząć tak szybko? W ciągu dwóch lat? – zapytał zagadkowo.

– Być może – odpowiedział Ramiro równie niejasno.

Wielmoże usiłowali zrozumieć o co chodzi, ale wyglądało na to, że ci dwaj prowadzą prywatną rozmowę. Rodrigo kiwał głową.

– No tak. Będę żałował, jeśli znajdę się gdzie indziej, kiedy w końcu do tego dojdzie. – Przerwał na chwilę. – Nie będę służył Almalikowi z Cartady. Nie podoba mi się to, co zrobił w Fezanie. Nie będę służył mu tam ani nigdzie indziej.

Fezana.

Na wzmiankę o tym mieście kilku ludzi pokiwało głowami, patrząc na swego wysokiego, dumnego króla. Zaczęły do nich docierać przebłyski tego, o co tu mogło chodzić, przebłyski podobne do strzał boskiego światła padającego na polanę. Ramiro nie był w końcu jurystą ani duchownym i być może przyszłość przyniesie coś więcej niż polowania.

– Przyjmuję twoją przysięgę – rzekł spokojnie król Valledo. – Nigdy nie brakło ci honoru, don Rodrigo. Nie widzimy powodu, by wątpić w to teraz.

– Cóż, jestem ci za to wdzięczny – odparł Komendant. Nie można było stwierdzić, czy w jego głosie kryje się szyderstwo. Postąpił krok do przodu, stając w pełnym świetle. – Mam jednak prośbę.

– Mianowicie?

– Chcę prosić hrabiego Gonzaleza, by przysiągł przed bogiem, że podczas mojej nieobecności będzie strzegł mojej rodziny i własności, jakby należały do niego. To mi wystarczy. Nie potrzebuję związania go groźbą śmierci. Świat jest niebezpiecznym miejscem, a nadchodzące czasy mogą to niebezpieczeństwo jeszcze zwiększyć. Gdyby ktoś z rodziny Belmonte miał jakiś wypadek, Valledo nie bardzo mogłoby sobie pozwolić także na stratę swego konetabla. Zadowolę mnie jego przysięgą, jeśli król się na to zgodzi.

Mówiąc to, patrzył na konetabla. Widać było, że de Rada jest zaskoczony.

– Dlaczego? – zapytał cicho, zadając intymne pytanie w bardzo publicznym miejscu. Po raz pierwszy obaj mężczyźni patrzyli sobie w oczy.

– Chyba właśnie ci powiedziałem – odparł Rodrigo. – To nie takie trudne. Valledo jest zewsząd otoczone wrogami. Jeśli twoje życie będzie stanowić gwarancję, ktoś mógłby uderzyć w to królestwo poprzez moją rodzinę. Nie chciałbym, żeby król musiał zadać ci śmierć z takiego powodu. Sądzę, że zamiast zmniejszać, to raczej zwiększa ryzyko dla mojej rodziny. Nie muszę cię lubić, de Rada, by ufać twemu słowu.

– Mimo mojego brata?

Komendant wzruszył ramionami.

– Jego sądzi już Dżad.

To nie była odpowiedź, a zarazem była. Po chwili milczenia, w której wyraźnie rozległ się śpiew ptaków, konetabl uniósł prawą rękę w tym samym geście, co poprzednio Rodrigo.

– Przed Dżadem oraz przed moim panem, królem Valledo, i przed wszystkimi tu zgromadzonymi składam przysięgę, że od tego dnia aż do powrotu Rodriga Belmontego z wygnania jego rodzina będzie dla mnie jak moja własna. Ręczę za to moim honorem i pochodzeniem.

Dźwięczny głos wypełnił leśną przestrzeń.

Obaj mężczyźni odwrócili się z powrotem do króla. Patrzył na nich z góry, wyprostowany, bez uśmiechu.

– Nie jestem przyzwyczajony, by moje wyroki były obalane przez zainteresowane strony – mruknął.

– Możesz to zrobić tylko ty – stwierdził Rodrigo. – My jedynie proponujemy alternatywę, którą król może przyjąć lub odrzucić.

Teraz wszyscy zobaczyli, jak król Ramiro uśmiecha się do człowieka, którego właśnie skazał na wygnanie.

– A zatem niech tak będzie – rzekł. – Przyjmujemy te przysięgi.

Obaj mężczyźni się skłonili.

– A zatem, z twoim pozwoleniem, panie mój – powiedział Rodrigo – poczynię natychmiastowe przygotowania do odjazdu, choć z przyjemnością kontynuowałbym polowanie w twoim towarzystwie.

– Chwileczkę – zatrzymał go król. – Dokąd się udasz?

W jego głosie po raz pierwszy zabrzmiała nuta zwątpienia. Uśmiech Rodriga Belmontego, schwytyany w blask zachodzącego słońca, był szeroki i wyraźnie szczery.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Chociaż po drodze najpierw będę musiał się zająć słabą i przerażoną kobietą. – Jego uśmiech zniknął. – Wszyscy możecie się za mnie modlić – dodał Komendant z Valledo.

Następnie odwrócił się, wziął od stajennego wodze swojego konia, dosiadł go i odjechał samotnie z polany tą samą drogą, którą wszyscy tu przybyli.

Kiedy królewski posłaniec oznajmił, że niebawem pojawi się król, Ines, królowa Valledo, ścisnęła w dłoniach wytarty słoneczny dysk i słuchała z pobożnie zamkniętymi oczyma swego ulubionego duchownego, czytającego głośno Księgę Synów Dżada – akurat wybrał fragment o końcu świata.

Przepraszającym tonem poprosiła religijnego doradcę, by przerwał czytanie. Duchowny, przyzwyczajony do takich sytuacji, założył księgę i zamknął ją. Westchnął, spojrzawszy znacząco na królową, skłonił się jej i wyszedł z komnaty przez wewnętrzne drzwi. Wszyscy dobrze wiedzieli, że król Ramiro czuje się nieswojo w obliczu oznak pobożności, a wieloletnie wysiłki królowej w najmniejszym stopniu nie zmieniły tego niefortunnego stanu rzeczy.

Ines dawno temu uznała, że ma to wiele wspólnego z okresem, kiedy jej mąż mieszkał wśród niewiernych. Cała trójka trudnych, ambitnych synów króla Sancza spędziła jakiś czas na wygnaniu wśród aszarytów, lecz tylko Ramiro nabrał upodobania do stylu życia mieszkańców Al-Rassanu oraz podejrzanego umiarkowania w kwestiach wiary. Być może zakrawało na ironię – a może nie – że jego ojciec przeznaczył mu na żonę pobożną młodszą córkę króla Ferrieres, kraju za leżącymi na wschodzie górami.

Ines, która już w dzieciństwie marzyła o zostaniu jedną z Cór Dżada w którejś z wielkich samotni, przyjęła zaręczyny tylko za namową swoich doradców duchowych, w tym najwyższych duchownych Ferrieres. Powiedzieli jej, że to wielka szansa. Szansa służby bogu i jej krajowi zarazem. Młodzieniec, za którego wychodziła, prawdopodobnie będzie pewnego dnia rządził przynajmniej częścią Esperanii i Ines będzie mogła wykorzystać swoją pozycję do wyprostowania ścieżek wiary w tej targanej konfliktami krainie.

Kiedy ostatni testament króla Sancza, dzielący Esperanię na trzy części, wyznaczył Ramira

na władcę górzystej Dżalonii, duchowni ci okazali się niemal prorokami. Wrażenie to jeszcze wzrosło po tajemniczej śmierci jego brata Raimunda, kiedy mąż Ines pośpieszył na zachód i zażądał również korony Valledo. Nie był w stanie utrzymać obu królestw – przynajmniej jeszcze nie wtedy – bo jego wuj Bermudo natychmiast zdobył wpływy w Dżalonii i zagarnął jej tron, lecz wszyscy wiedzieli, że Valledo jest większą zdobyczą.

Duchowni nie powiedzieli jednak Ines – bo sami nie mieli o tym pojęcia – że młodzieniec, za którego wychodzi, jest niezwykle inteligentny, ambitny, lubieżnie pomysłowy w kwestii cielesnych zbliżeń i tak pragmatyczny, jeśli chodzi o sztywne zasady świętej wiary, że równie dobrze mógłby być niewiernym.

Jakby przywołany tym niepokojącym tokiem myśli, w drzwiach stanął król z jeszcze wilgotnymi włosami, co stanowiło kolejny dowód ostatnich refleksji Ines: jaki szanujący się człowiek kąpie się tak często, jak król Ramiro? Tak się nie zachowywali nawet aszaryci na swoich odległych, wschodnich ziemiach ojczystych. Rytuałami kąpielowymi delectowano się tylko na sybaryckich dworach Al-Rassanu, którego mieszkańcy nie mieli nawet na tyle przyzwoitości, by przestrzegać ascetycznych ograniczeń własnej wiary.

Zbyt wiele czasu spędził na dworach południa, znów pomyślała królowa Ines, i to w wieku, kiedy był młody i łatwo ulegał wpływom. Zerknęła z ukosa na męża, nie chcąc zachęcać go wnikliwszym spojrzeniem. Nikt nie mógł zaprzeczyć, że w drzwiach stał bardzo przystojny mężczyzna. Wysoki, dobrze zbudowany, o silnie zarysowanej szczęce. Choć włosy siewiały mu przedwcześnie, to jego wąsy były jeszcze czarne. Nie było również oznak, że jest gorszym strategiem czy politykiem.

Ani że gorzej sobie poczyna w bardziej prywatnych sferach.

Krótkim, lecz uprzejmym gestem król odprawił pokojówki, niewolników i dwóch strażników stojących przy drzwiach. Ramiro zaczekał, aż wszyscy wyjdą, po czym przeszedł po nowym dywanie i zatrzymał się przed niskim siedziskiem Ines. Uśmiechał się. Znała ten uśmiech.

– Pójdź, moja żono – powiedział. – Wydarzenia tego poranka rozpały we mnie miłosny ogień.

Ines nie patrzyła mu w oczy. Nauczyła się, że miłosny ogień rozpala w nim niemal wszystko.

– Jestem pewna, że zabiłeś pięknego dzika – mruknęła, ściskając słoneczny dysk niczym małą tarczę. – Czy nie było jednak żadnej konkubiny mego pana, która mogłaby zaspokoić jego apetyty, zanim przyszedł, by mnie niepokoić?

Ramiro się roześmiał.

– Nie dzisiaj. Dzisiaj pragnę oglądać i dotykać ciała towarzyszkę mego życia, uświęconej przez naszego przenajświętszego boga. Pójdź, Ines, zabawmy się, a potem opowiem ci, co się wydarzyło w lesie.

– Opowiedz mi teraz.

Jej problemem, do czego nazbyt często była zmuszona się przyznawać swoim zaufanym doradcom, było to, że Ramirovi trudno było odmawiać. Zachęcali ją do wykorzystywania pożądania męża, by przyciągnąć go do prawdziwszej wiary, lecz, ku nieustannemu rozczarowaniu królowej, spotkania te przynosiły efekty wręcz odwrotne: czy to dzięki wrodzonemu zapałowi, czy umiejętnościom – których najprawdopodobniej nabrał wśród kurtyzan Al-Rassanu – Ramiro z niepokojącym mistrzostwem umiał przeinaczyć najlepsze zamiary królowej.

Nawet teraz, w środku gorącego letniego dnia, otoczona dobiegającym z dworu stukiem młotków cieśli i kakofonią okrzyków, wciąż mając w uszach surowe słowa o końcu świata, królowa Ines oddychała nieco szybciej. Sprawily to obrazy, jakie wywołała w jej myślach obecność męża. Wciąż się to zdarzało mimo upływu niemal dwudziestu lat i pełnej świadomości bezbożnego zła, które tkwiło w jego postępowaniu. A Ramiro potrafił odczytać to w jej oczach z taką samą łatwością, z jaką jej duchowni umieli czytać przenajświętsze księgi Dżada. Sięgnął powoli ręką i wyjął z dłoni żony boski dysk.

– Obejmij mnie tak samo – mruknął, odkładając dysk na bok i stawiając Ines na nogi silnymi rękoma. – Kochaj mnie tak samo, jak kochasz boga.

Objął ją i przyciągnął do siebie, a królowa nabrała nieuniknionej pewności, że król Valledo poza białą jedwabną szatą nie ma na sobie nic. I ta natarczywa świadomość przywołała w pamięci Ines wszystkie dziko niepokojące wrażenia, jakich zawsze doznawała w takiej sytuacji. Ramiro odchylił głowę żony, by ją ucałować.

Będę musiała za to odpokutować, powiedziała sobie w duchu, gdy spotkały się ich usta.

Zaczął rozwijać tkaninę przytrzymującą pukle jej rudych włosów. Poszuka świętej porady i wsparcia później. Dłonie Ines opornie, jakby czymś obciążone, powędrowały w górę po jego szacie, czując pod nią twarde ciało. Ramiro odsunął się, a potem znów zachłannie pochylił głowę. Ugryzł Ines w kącik ust.

Królowa powiedziała sobie w duchu, że później na pewno wysłucha od swoich doradców w sprawach duszy mądrych, pocieszających myśli. Jej palce splotły się za jego głowę. Pociągnęła go za włosy, bynajmniej nie delikatnie. Król się roześmiał. Pachniał jakąś wschodnią przyprawą. To także było niepokojące. niesprawiedliwe. Będzie potrzebowała wielkiej pomocy, by znów wrócić do czystego królestwa ducha. W tej jednak chwili, kiedy jej mąż płynnie ją podniósł i zaniósł do szerokiego łóża, które kazał ustawić w jej nowym apartamencie, królowa Valledo była raczej zajęta, ku swemu wielkiemu i trwałemu zmieszaniu, coraz wyraźniej dającymi o sobie znać sprawami ciała.

W pewnej chwili głośno wykrzyknęła jego imię, a później, przepelniona stale ją dręczącą mieszaniną pożądania i wstydu, zaczęła się kołysać nad leżącym na wznak mężem, wiedząc, że takie zbliżenie jest kolejnym dekadencją Al-Rassanu, lecz nie umiejac

powstrzymać się od głośnych westchnień z rozkoszy, jaką jej ono dawało. Rozkoszy świata, napomniała się nieco rozpaczliwie, poruszając się w górę i w dół, podczas gdy jego palce drażniły i obwodziły jej piersi. Świata. Tylko świata. Królestwo boga jest czymś innym. Jest wieczne, święte, złociste, transcendentne, lśniące, niezwiązane ze śmiertelnymi ciałami, słabych...

– Och! – westchnęła królowa Valledo, jakby w wielkim zaskoczeniu, i znieruchomiała.

Drugi okrzyk, który jej się wyrwał chwilę później, był w pewnym sensie przyznaniem się.

– Opowiedz mi, co się wydarzyło – poprosiła jakiś czas potem.

Po zbliżeniu lubił leżeć nieprzyzwoicie z nią splełtany. Tego przynajmniej Ines potrafiła mu dzisiaj odmówić. Włożyła obszerną szatę i jego też zmusiła do ubrania się, a następnie wezwała jedną ze swoich służących, by przyniosła napoje. Rozbawiony, zaspokojony Ramiro posłuchał żony.

Służąca przyniosła piwo dla niego i napar z gruszki dla niej, po czym wycofała się z komnaty. Teraz Ramiro leżał rozciągnięty leniwie na łożu, a Ines siedziała nieopodal na ławie, trzymając w ręku robótkę. Robiła nową sakiewkę na swój słoneczny dysk, żeby móc nosić go u paska.

– Poszło nadspodziewanie dobrze – stwierdził Ramiro, odwracając się na bok i podpierając głowę ręką. Patrzył na żonę z tak szczerym uwielbieniem, że znów zarumieniły się jej policzki. – A tak przy okazji, dziękuję. Naprawdę wolę, kiedy masz rozpuszczone włosy.

Nie zamierzała ich rozpuszczać. To było przeoczenie. Wiedziała, że to źle, że jest dumna ze swoich włosów, i za karę niemal cały czas nosiła je mocno ściągnięte do tyłu. Z zażenowaniem odgarnęła kosmyk z oczu. Gdyby teraz zaczęła je wiązać, Ramiro śmiałyby się z niej.

– Dzisiejszy ranek – rzekła stanowczo. – Rozmawiamy o dzisiejszym ranku.

Pokazał w uśmiechu zęby. Łyknął ze swego dzbana. Hałas dochodzący z zewnątrz i spod schodów nie cichł. Ramiro rozbudowywał między innymi pałacową łaźnię, dodając jej na modłę Al-Rassanu gorące i zimne baseny oraz pokój do masażu. To był skandal.

– Obaj przyjęli mój wyrok – zaczął. – Kiedy powiedziałem, że sam straciłbym Gardę, zrobiło się trochę szumu, ale nikt się nie odezwał. Hrabia Gonzalez jest teraz związany przysięgą do obrony rodziny Belmontego przez dwa lata. Nie będzie krwawej waśni. Przyrzekł to publicznie.

– Ogłosiłeś, że zginie, jeśli oni zginą?

Omawiał to z nią przed kilkoma dniami. Musiała uczciwie przyznać, że zawsze chętnie się jej zwierzał. Rozmawiali nawet, przed wielu laty, o jego przenosinach z Dżalonii do Valledo. Ramiro spędzał sporo czasu w jej komnatach, dzieląc się z Ines myślami. Z całą pewnością w o wiele większym stopniu niż jej ojciec z jej matką.

W gruncie rzeczy, co nagle uświadomiła sobie Ines, patrząc na mężczyznę spoczywającego na jej łożu, gdyby w najważniejszych sprawach nie okazywał się tak wielkim zaprzańcem, to

może nawet mogłaby nazwać swego męża wcielonym ideałem.

Chyba jej twarz złagodniała. Ramiro znów wyglądał na rozbawionego.

– Chciałem ci powiedzieć już wcześniej. Uwielbiam patrzeć z dołu na twoje piersi. Wiesz, że zmieniają się wtedy z gruszek w melony?

– Doprawdy nie zauważyłam – odparła cierpko. – Czy musimy o tym rozprawiać? Czy konetabl ma ponieść śmierć, jeśli zginie ktoś z rodziny Belmontego?

Ramiro pokręcił głową.

– Tak orzekłem i hrabia chybaby się na to zgodził, ale wtedy Rodrigo poprosił mnie o wycofanie tej sankcji. Powiedział, że wystarczy mu, jeśli Gonzalez przysięgnie ich bronić. Zastanawiam się... Jak myślisz, czy żona mogła mu się znudzić? Są małżeństwem od dawna.

– Nie od tak dawna jak my – odparła Ines. – A jeśli sądzisz, że mu się znudziła, to jesteś wielkim głupcem. Chodzi po prostu o to, że Rodrigo Belmonte jest człowiekiem pobożnym, wierzącym w potęgę boga, i chciał zawierzyć woli Dżada oraz publicznej przysiędze Gonzaleza. Wcale nie wydaje mi się to zaskakujące.

Ramko przez chwilę nic nie mówił.

– Właściwie powiedział, że nie chce, by przez wyrządzenie krzywdy jego rodzinie nasi wrogowie mogli zmusić mnie do stracenia konetabla. Nie pomyślałem o tym.

Ines też nie. Takie rozmowy prowadziła jednak od wielu lat.

– Powiedział tak tylko dlatego, że gdyby podał powód mający coś wspólnego z wiarą, tobyś go nie słuchał.

– Zapewne nie – zgodził się Ramiro o wiele za łatwo. Spojrzał wesoło na Ines. – Nadal uważam, że mógł się znudzić żoną. Poprosił nas, żebyśmy się za niego modlili, bo musi jechać do domu.

– Widzisz? – rzekła słodkim głosem Ines. – Wierzy w potęgę modlitwy.

Król zakłócił jej poczucie tryumfu śmiechem.

Z zewnątrz dochodziły niesłabnące odgłosy budowy. Zamek w Esterenie zmieniał się w prawdziwy pałac, jawnie wzorowany na dworach południa. W pewien sposób była to obraza boga. Mimo wszystko Ines podobały się plany rozbudowy jej komnat.

– Jeszcze raz, moja pani? – zapytał żonę król Valledo.

Przygryzła wargę.

– Jeśli potem pójdziesz ze mną do kaplicy.

– Zgoda – odpowiedział, wstając z łoża.

– I będziesz się głośno ze mną modlił – dodała szybko.

– Zgoda.

Stał nad jej siedziskiem, ale zaraz padł przed żoną na kolana i uniósł rękę do jej włosów.

– I nie będziesz robił żadnych dowcipnych uwag na temat liturgii.

– Zgoda. Zgoda. Zgoda, Ines.

Umowa wydawała się uczciwa. Królowa odłożyła robótkę. Nawet obdarowała męża uśmiechem. Prowadzenie dzieła Dżada tu, w Esperanii, okazało się pracą długą i niespodziewanie złożoną. Zawiodło ją na ścieżki, których istnienia nie mogła przewidzieć przed dwudziestu laty u siebie w domu, w Ferrieres, gdzie jako dziewczynka marzyła po nocach nie o mężczyźnie, lecz o bogu. Zsunęła się z ławy na nowy dywan, w ramiona męża. Dywan też jej się podobał. Został przywieziony na północ aż z Serii w Al-Rassanie.

Biorąc pod uwagę wszystkie okoliczności, być może Rodrigo Belmonte nieco pochopnie postanowił ostatniej nocy jechać dalej w pojedynkę, by przybyć do domu o świcie, przed oddziałem, który wyruszył z Esterenu w drogę wraz z nim.

Uznawano go za jednego z największych wojowników na półwyspie, a tutejsza okolica była mniej więcej tak samo bezpieczna, jak każda otwarta przestrzeń w słabo zaludnionym Valledo, co znaczy, że w rzeczywistości nie była bezpieczna ani trochę.

Na niebie wisały oba wędrownie księżyce Kindathów, nazywane siostrami boga, i oba zbliżały się do pełni. Daleko za hacjendami i przedgórzem widniał słaby zarys gór Dżalonii. Zważywszy na jasne światło księżyców i czyste niebo, Rodrigo jadący samotnie przez równinę, gdzie wciąż pasły się dzikie konie Valledo, byłby widoczny z daleka.

Oczywiście znaczyło to, że on również powinien w miarę wcześniej zauważyć zbliżające się kłopoty, a jego kary koń był na tej równinie najszybszy. Oczywiście, jeśli ktokolwiek okazałby się na tyle głupi, by poznawszy, z kim ma do czynienia, nadal chciał go atakować.

Zatem ktoś musiałby być niemal szaleńczo lekkomyślny, a Komendant wyjątkowo zatopiony w nocnych rozmyślaniach, by udało się go schwytać w zasadzkę w świetle księżyców tak blisko domu.

Zaczekali, aż jego koń dotrze na środek strumienia Carriano, stanowiącego zachodnią granicę Hacjendy Belmonte. Rodrigo znajdował się właściwie na swojej ziemi.

Pod koniec lata strumień stawał się płytki i w najgłębszym miejscu nie sięgał karemu koniowi nawet do kłębu. Przechodzili go, a nie przepływali. Kiedy jednak z szuwarów na brzegu wody podnieśli się niczym duchy zmarłych łucznicy, Rodrigo poznał, że ktoś ruszył głową. Mimo że jego koń był szybki, przez pierwsze kilka sekund woda by go spowolniła. Łucznikom to wystarczy.

Słowa, które usłyszał, potwierdziły jego domysły.

– Zastrzelimy konia, don Rodrigo. Nie próbuj uciekać.

Nie chciał, żeby zastrzelili konia.

Rozejrzał się. Kilkunastu ludzi, wszyscy z chustami podciągniętymi na twarze i opuszczonymi rondami kapeluszy. Nie widział wierzchowców. Zapewne znajdowały się gdzieś

dalej w dole strumienia.

– Zsiadaj. W wodzie – odezwał się ten sam człowiek; miał głos stłumiony przez chustę.

– Jeżeli wiecie, kim jestem, to wiecie także, że spotka was śmierć, jeśli nie przerwiecie tych bzdur – rzekł cicho Rodrigo. Jeszcze nie zsiadł z konia, ale i nie pozwolił mu ruszyć z miejsca.

– Jeśli zostaniesz w siodle, twój koń zginie. Zsiadaj. – Posłuchał, zeskakując z rozmysłem do przodu, w płytszą wodę. Sięgała mu do pasa.

– Rzuć miecz na brzeg.

Zawahał się.

– Nie zastrzelimy ciebie, don Rodrigo. Zabijemy konia. Rzuć miecz.

– Za mną jedzie prawie stu pięćdziesięciu ludzi – oznajmił spokojnie Komendant, ale jednocześnie odpinał pas.

– Są w odległości pół nocy jazdy.

Mówiący te słowa był zdumiewająco dobrze poinformowany. Rodrigo rzucił miecz i pas w trawę, daleko od strumienia. Zapamiętał, gdzie upadły, lecz ktoś i tak je podniósł, więc nie miało to znaczenia.

– A teraz ruszaj. W naszą stronę. Zostaw konia. Ktoś go weźmie.

– Nie podda się łatwo cudzej ręce – ostrzegł Rodrigo.

– A zatem to nasz kłopot – stwierdził napastnik. – Potrafimy obchodzić się z końmi. Chodź.

Wyszedł z pluskiem z wody i rozgarniając szuwały, stanął na trawie. Powiedli go, co było dość obraźliwe, ku wschodowi, głębiej na jego własne ziemie. Nikogo jednak nie było w pobliżu – nie na samej granicy posiadłości i nie w środku nocy. Prowadzili go kilkaset kroków, ze strzałami wymierzonymi nie w niego, lecz w konia. Ktoś tu wykazywał się sprytem.

Doszli do jednego z pasterskich szałasów. Jak wszystkie szałas, był mały, pozbawiony sprzętów i stanowił prymitywne schronienie dla pastuchów przed burzą czy śniegami, które czasami nadchodziły w zimie.

Ktoś zapalił pochodnię. Wepchnięto go do środka. Sześciu napastników weszło za nim; oprócz przywódcy żaden się nie odzywał. Odebrali mu oba noże: ten, który nosił za pasem i drugi, zza cholewy buta. Związali mu z przodu ręce, a ktoś wbił w klepisko palik; zmusili go, by się położył, wyprostowali mu ręce, układając je za głową, i przewlekli rzemień przez otwór w paliku. Ściągnęli mu buty i związali nogi w kostkach, po czym przewlekli rzemień przez drugi palik. Rozciągnięty na ziemi, z rękoma daleko za głową i związanymi nogami, nie mógł się nawet poruszyć.

– Jak myślicie, co się stanie, kiedy mój oddział przybędzie jutro do hacjendy i dowie się, że mnie nie ma? – zapytał Rodrigo, przerywając ciszę.

Przywódca, który stał w wejściu i wszystko obserwował, pokręcił głową, a następnie wykonał gest ręką. Długą pochodnię wbito w ziemię i Rodrigo został sam w szałasie, związany,

jakby miał być złożony w ofierze.

Usłyszał oddalające się kroki, a potem zbliżające się i znów oddalające uderzenia kopyt. Bezsilny i przygwożdżony do ziemi Rodrigo Belmonte przez kilka chwil leżał w milczeniu, słuchając oddalającego się tętentu. A potem, roześmiał się. Trudno mu było złapać oddech z tak daleko wyciągniętymi rękami; kaszłał, krztusił się, a z oczu ciekły mu łzy.

– Niech cię bóg spali, Rodrigo! – rzekła jego żona, wpadając do szałas. – Skąd wiedziałeś?

Śmiał się dalej. Nie mógł przestać. To dziwne, ale Miranda trzymała w jednej ręce strzałę. Była ubrana na czarno w męski strój, który zwykle nosiła w hacjendzie. Przez chwilę patrzyła z wściekłością na ryczącego ze śmiechu męża, a potem podeszła bliżej i ugodziła go strzałą w udo.

– Au! – zawołał Komendant z Valledo. Spojrzał w dół i zobaczył krew wypływającą z rozdarcia w spodniach.

– Nie znoszę, jak się ze mnie śmiejesz – rzekła Miranda. – Skąd wiedziałeś? Mów, bo znów cię dźgnę.

– W to nie wątpię – mruknął Rodrigo, usiłując się opanować.

Nie widział jej niemal pół roku. Wyglądała nieprzyzwoicie wspaniale. Była też, zupełnie wyraźnie, porządnie wściekła. Dla własnego bezpieczeństwa skupił się na jej pytaniu.

– W gruncie rzeczy chłopcy spisali się nieźle. Kiedy podjeżdżaliśmy do strumienia, Corrado usłyszał inne konie. Ja nie, zostawili wierzchowce na tyle daleko, żeby tego uniknąć, ale można wyszkolić konia bojowego, by ostrzegał swego jeźdźca.

– Co dalej?

– W wodzie odbiły się cienie dwóch ludzi. Przy blasku obu księżyców trzeba uważać.

– Coś jeszcze? – Jej głos stał się zimniejszy.

Zastanowił się i uznał, że to wystarczy. Wciąż był związany, a ona wciąż trzymała strzałę. Inne sprawy mogą zaczekać.

– Nic, Mirando. Powiedziałem ci, że spisali się bardzo dobrze.

Znów go ugodziła, mocno, w drugą nogę.

– Na światło Dżada! – wykrztusił. – Mirando, mogłabyś...

– Mów prawdę. Co jeszcze?

Zaczerpnął tchu.

– Poznałem rzenie konia Fernana, kiedy został przyprawiony pod szałas. Poza tym wiedzieli, gdzie trzymam drugi nóż. Byli zbyt delikatni, kiedy mnie wiązali. I zasadzka została urządzona w zbyt dokładnie wyliczonym miejscu, żeby wyglądać na improwizację. Diego pewnie mnie zobaczył i wiedział, którędy jadę. Czy to wystarczy, Mirando? Mogę już wstać? Mogę cię ucałować?

– Tak, nie, i może później – odparła jego żona. – Masz pojęcie, jaka jestem zła, Rodrigo?

Leżąc na ziemi, skrepowany i krwawiący Rodrigo Belmonte mógł odpowiedzieć dość szczerze:

– Owszem, niejakie.

Wyraz jego twarzy musiał być zabawny, ponieważ Miranda po raz pierwszy leciutko się uśmiechnęła. Szybko zdusiła ten uśmiech.

– Przyszli po nas uzbrojeni ludzie, ty nieczuły draniu. Zostawiłeś mnie z dziećmi i parobkami nienadającymi się do niczego od trzydziestu lat.

– To niesprawiedliwe – zaprotestował. – Naprawdę mi przykro, że się wystraszyliście. Sądziłem, że nawet Garcia de Rada nie mógłby zrobić czegoś tak głupiego, jak atak na moją hacjendę, a naprawdę uważałem, że razem z chłopcami potrafisz sprostać wszystkiemu. Mówiłem ci.

– „Mówiłem ci” – powtórzyła, przedrzeźniając go. – Jakiś ty troskliwy.

– Jeśli chłopcy mają pójść w moje ślady – rzekł spokojnie – to będą musieli nauczyć się radzić sobie w takich sytuacjach, Mirando. Wiesz o tym. W chwili, w której wstąpią do jakiegoś oddziału – mojego albo czyjś innego – zostaną naznaczeni jako moi synowie. Znajdą się pod presją, będą im stawiane wyzwania. Nie mogę na to nic poradzić oprócz przygotowania ich do stawiania czoła tym wyzwaniom. Chyba że chcesz, by obaj złożyli śluby i wstąpili w szeregi duchownych?

– Zaatakowało nas dwudziestu czterech jeźdźców, Rodrigo. A gdyby Diego ich nie zobaczył?

Nic nie odpowiedział. Prawda była taka, że miał koszmary od chwili, w której usłyszał w Esterenie o ataku. Nie chciał tego mówić, ale z jego twarzy można było chyba wyczytać więcej, niż myślał, bo Miranda raptownie odrzuciła strzałę i ukłękła na ziemi obok niego.

– Rozumiem – rzekła cicho. – Ty też byłeś przerażony. W porządku. W połowie błąd, w połowie próba dla chłopców. Mogę się z tym pogodzić.

– Nie wiem, czy ja mogę – powiedział po chwili. – Gdyby coś się stało...

– Dlatego go zastrzeliłam. Wiem, że ty byś tego nie zrobił. Wiem, że nie było to zbyt honorowe, ale człowiek, który robił to, co on... On by się nie zawahał, Rodrigo. Wróciłby. Lepiej, że ja go zabiłam, niż musiałbyś to zrobić ty po tym, jak on wyrządziłby nam jakąś krzywdę.

Kiwnął głową, co nie było łatwe, wzięwszy pod uwagę więzy.

– Przykro mi, że musiałas kogoś zabić.

Wzruszyła ramionami.

– To było łatwiejsze, niż sądziłam. Gorzej, że chłopcy też musieli zabijać.

– W świecie, do którego dorastają, to musiało się zdarzyć.

– Wolałabym, żeby to nie nastąpiło tak szybko, Rodrigo.

Milczał. Odsunęła się nieco i patrzyła na niego, nie robiąc nic, by go rozwiązać.

– Król nazwał cię słabą kobietą.

Uśmiechnęła się.

– Nie zaprzeczyłeś?

– Właściwie zaprzeczyłem. Poprosiłem o modlitwę za mnie, bo musiałem jechać do domu i powiedzieć ci, co się stało.

– Słyszeliśmy. Wysłałeś posłańca, żebym miała czas się uspokoić, czy tak?

Skrzywił się.

– Chyba nie zadziało. Rozwiąż mnie, Mirando. Zesztywniałem i krwawię z obu nóg.

Nie poruszyła się.

– Dwa lata wygnania? Chyba mogło być gorzej. Dokąd się udasz?

– Czy to miejsce i pora na omawianie takich spraw?

– Nie jest złe. Dokąd się udasz, Rodrigo?

Westchnął.

– Nie do Dżalonii, to oczywiste. I wciąż nie byłbym mile widziany w Ruendzie. Mógłbym wyprowadzić oddział z półwyspu i pojechać do Ferrieres albo Bachinary, ale tego nie zrobię. Tu się może zacząć coś dziać i nie chcę być wtedy za daleko. A zatem na południe. Z powrotem do Al-Rassanu.

– Dokąd? – zapytała ze skupieniem na twarzy.

Rodrigo czuł uwierający go pod łędźwiami kamień.

– Może do Ragosy. Możemy się przydać królowi Badirowi. Ledwie zipie, przyciśnięty przez Cartadę, Dżalonię i zbójców zapuszczających się na jego ziemię z południa. Można tam zarobić.

– Czy do Ragosy nie pojechała twoja lekarka?

Zamrugął.

– Brawo. Ona nie jest moją lekarką, ale tak, pojechała tam. Nadal chcę ją zwerbować.

– Nie wątpię. Mówiłeś, że jest bardzo ładna.

– Nie mówiłem nic podobnego. Czy jestem idiotą?

– Tak. Jest?

– Co?

– Ładna?

Rodrigo jeszcze raz ostrożnie, z trudem zaczerpnął tchu.

– Mirando, jestem żonaty z najpiękniejszą kobietą, jaką znam. Nie potrafię uczciwie oceniać takich rzeczy u innych. Jest dość urodziwa. Ma niebieskie oczy, co u Kindathów stanowi rzadkość.

– Ach tak. Zauważyłeś je?

– Mirando..

– No przecież zauważyłeś.

Wyraz jej twarzy był niebezpiecznie łagodny. Nauczył się mu nie dowierzać. Rodrigowi wydało się, że, co nieprawdopodobne, kamień pod jego plecami jeszcze urósł.

– Zostałem wyszkolony, by zauważać różne rzeczy, Mirando. U mężczyzn i u kobiet. Gdybym był lepiej wyszkolony piętnaście lat temu, zauważyłbym, że jesteś kobietą okrutną i małoduszną.

– Być może – odparła spokojnie. – Już za późno. Powiedz mi, co zawsze mówię, kiedy wyjeżdżasz?

– Och, na Dżada! Nie zaczynaj od nowa. Wiem, co zawsze...

– Powiedz to. Albo poszukam strzały. W dniu, kiedy zastrzeliłam Garcję de Radę, obiecałam sobie, że przeszyję cię strzałą. Dwa ukłucia się nie liczą.

– Owszem, liczą – odparł. – I to nie były ukłucia. – Umilkł, widząc jej minę, a potem rzekł cicho: – Wiem, co mi mówisz. Że jeśli prześpię się z inną kobietą, to ty albo prześpisz się z innym mężczyzną, albo mnie zabijesz.

Uśmiechała się, jakby zachęcała dziecko do wysilenia pamięci.

– Dobrze. A ponieważ nie chcę się przespać z innym mężczyzną...? Rodrigo westchnął.

– Zabijesz mnie. Mirando, ja o tym wiem. Pozwolisz mi wstać? – Wyglądało na to, że przynajmniej się nad tym zastanawia, co było pozytywnym objawem.

– Nie – powiedziała w końcu. – Jeszcze nie. Chyba tak mi się podobaś.

– Co to znaczy? – zapytał z niepokojem.

Lecz ona przysunęła się do niego na kolanach. Obrzuciła go taksującym spojrzeniem, a potem spokojnie rozerwała na nim koszulę. Otworzył szeroko oczy. Jej dłonie najwyraźniej były zajęte troczkami u jego spodni. Oddychanie zaczęło mu sprawiać trudność.

– Mirando – rzekł – mam pod plecami kamień.

– Ojej – mruknęła z przesadną troską – musimy coś na to poradzić, prawda?

Sięgnęła jednak pod niego i wyciągnęła śmiesznie mały kamyczek.

– Rozwiąż mnie, najdroższa. Pójdzie nam lepiej, jeśli będę wolny.

– Nie, nie pójdzie – odparła jego radość, jego udręka, jego żona, płonąca światłość jego dni.
– Pójdzie nam bardzo dobrze dokładnie tak, jak jesteś.

Skończyła z jego ubraniem. Zaczęła zdejmować swoje.

– Widzisz? – powiedziała, patrząc z uśmiechem na jego przyrodzenie. Mówiąc to, zrzuciła czarną tunikę. Pod spodem nie miała nic. W blasku pochodni jej małe piersi były gładkie i twarde.

– Widzisz? – zapytała ponownie.

Oczywiście widział.

W końcu zamknął oczy, ale nim to uczynił, minęło trochę czasu, a Miranda, nie tracąc go, wykonywała pewne ruchy, doprowadzające Rodriga do stanu, w którym nie potrafiłby ocenić ani

upływu czasu, ani niczego innego.

Wiedział tyle, że pochodnia zdążyła się wypalić. Wokół nich panowała ciemność. Rodrigo, nic nie widząc, skupił się na dotyku. Usta i palce. Jej zęby w nieoczekiwanych miejscach. Ciasne, doskonale schronienie jej kobiecości po tak długim czasie.

– Mam cię oswobodzić? – tchnęła mu w końcu do ucha.

– Nigdy – odparł Rodrigo, nie otwierając oczu.

Jakiś czas potem blask zachodzącego białego księżyca wpadł do szałasów przez szeroką szparę w deskach i oświetlił oboje promieniem światła. Rodrigo leżał z Mirandą na jego torsie; głowę złożyła mu na ramieniu, a długimi rozpuszczonymi włosami okryła i siebie, i męża. Czuł jej oddech, napawał się jej zapachem i dotykiem – oszalamiającymi jak niez mieszane wino.

– No dobrze – mruknęła. – Chyba przydałby się nam dobry lekarz.

– Mnie na pewno – odparł cicho Rodrigo.

To ją rozśmieszyło. W pewnej chwili, chociaż trudno było zauważyć zmianę, śmiech zamienił się w łzy. Rodrigo czuł, jak kapią mu na pierś.

– Dwa lata to długo – powiedziała. – Czy jestem dla ciebie niesprawiedliwa?

– Nie zakładam, że spędzę dwa lata bez ciebie – rzekł. – Tak czy inaczej.

Milczała. Jej łzy spływały w ciszy. Zawahał się, a potem w końcu opuścił ręce – uwolnił się z więzów w kilka chwil po tym, jak zostały zaciągnięte – i objął żonę.

– Och, niech cię, Rodrigo – szepnęła, kiedy uświadomiła sobie, co zrobił, ale tym razem nie powiedziała tego surowym tonem. Po chwili, walcząc z najtrudniejszym smutkiem mijającego czasu, szepnęła: – Oni są tacy młodzi.

Gładził ją po włosach, po plecach.

– Wiem – odparł, również szeptem. – Wiem, najdroższa.

On sam zabił pierwszego człowieka, kiedy miał dwanaście lat. Nie powiedział jej tego. Nie w tej chwili.

– Wciąż są w szałasie? – zapytał Fernan.

– Aha – przytaknął Diego.

– Jak myślisz, co robią?

– No, no – wtrącił się pośpiesznie Ibero. – To nie jest odpowiednie pytanie!

– I tak nie mógłbym na nie odpowiedzieć – rzekł Diego, śmiejąc się. – A tak nawiasem mówiąc, wyglądasz naprawdę groźnie, Ibero.

Przez chwilę ich długoletni duchowny miał niepewną, a potem stopniowo coraz bardziej zadowoloną minę. Ibero rzeczywiście nadzwyczajnie się zmienił – twarz miał powalaną błotem, włożył czarny kapelusz i strój upodabniający go do zbrojcy, a wkładki w nowych butach do konnej jazdy czyniły go wyższym.

Fernan przez wiele dni zmuszał Ibero do mówienia głębkim głosem i chodzenia w tych butach, żeby się przyzwyczał do nowego tonu i ruchów. Ich duchowny był przywódcą bandy, która schwytała Rodriga. Chłopcy się nie pokazali, zostali z końmi w dole strumienia. Pozostali bandyci byli parobkami, przebranymi podobnie jak Ibero i niemającymi się odzywać ani słowem. Już wrócili do hacjendy. Teraz trójka przebierańców, dwaj chłopcy i święty mąż, siedziała na trawie pod dwoma księżycami i gwiazdami letniej nocy.

– Naprawdę sądzicie, że go zwiedliśmy? – zapytał duchowny.

– Co? Tę? Nie bądź niemądry – odpowiedział Fernan, posyłając mu rozbawione spojrzenie.

– Domyślił się co najmniej kilku rzeczy, które przegapiliśmy – dodał wesoło Diego. Chłopcy uśmiechnęli się do siebie.

Duchownemu wydłużyła się mina.

– Poznał nas? To po co mieliśmy go oszukiwać?

– Powie nam o tych kilku rzeczach. Następnym razem będziemy wiedzieli lepiej – wyjaśnił Fernan.

– Poza tym matka chciała go ugodzić strzałą – dodał Diego.

– Ach, tak – rzekł Ibero. – Zapomniałem.

Mieszkał z tą rodziną od dawna.

Postanowili wrócić do domu. Nie było wiadomo, jak długo Rodrigo i Miranda zostaną w szafasie. Po drodze, jak można się było spodziewać, Fernan zaczął śpiewać. Miał okropny głos, co zwykle sprawiało, że był zdecydowanie uciszany, lecz tej nocy nikt nań nie narzekał. Ogromna ciemność panująca pod księżycami stawała się w ten sposób ciepła i przyjemna. W oddali widzieli góry, a ku północy, południowi i pofalowanemu zachodowi za nimi rozciągała się rozległa równina; niedługo potem ujrzeli blask pochodni zatkniętych na palisadzie otaczającej budynki, blask, który sprowadził ich wszystkich z nocy do domu.

CZEŚĆ III

ROZDZIAŁ 7

– Więc gdzież on jest? – zapytał Almalik z Cartady, Lew Al-Rassanu.

Król był zły. Obecni w ogromnej, sklepionej komnacie doskonale znali oznaki królewskiego gniewu. Ludzie stojący pod łukami w kształcie podkowy, zbudowanymi z naprzemiennie ułożonych czerwonych i bursztynowych kamieni, wymieniali niespokojne spojrzenia. Dworacy i artyści służący monarsze znanemu ze zmiennych nastrojów szybko się uczyli jak odgadywać owe zmiany. Patrzyli, jak król porywa pomarańczę z koszyka trzymanego przez niewolnika i zaczyna ją gwałtownie obierać dużymi, sprawnymi rękoma. Niecałe trzy miesiące wcześniej te same ręce zadały cios mieczem, od którego w tej sali padł poeta Iszlik ibn Raal, bryzgając krwią na płytki mozaiki, marmurowe filary i ubranie osób stojących tego dnia zbyt blisko.

Młody, cieszący się coraz większym uznaniem tudeskański poeta popełnił błąd, polegający na umieszczeniu w swoim wierszu dwóch wersów z cudzego utworu, a następnie na wypieraniu się, że zrobił to z rozmysłem. Almalik z Cartady znał się jednak na poezji i szczycił się tym. W Al-Rassanie królewiatek po upadku kalifatu wybitny poeta mógł dodać monarsze niecierpliwie poszukiwanej wiarygodności.

A od piętnastu lat głównym doradcą Almalika, a następnie oficjalnie ogłoszonym opiekunem jego najstarszego syna i spadkobiercy, był ów mistrz wielu sztuk, Ammar ibn Khairan z Aldżais. Który napisał, bardzo nieszczęśliwie dla Iszlika ibn Raala, te dwa skradzione wersy. I o którym w trzy miesiące później mówił w tej niebezpiecznej chwili król.

– Gdzież on jest? – zapytał ponownie Almalik.

Towarzyszący monarsze dworzanie, a tego ranka było ich około trzydziestu, byli ogromnie zainteresowani wzorami zdobiaczymi sufit lub też mozaikami na posadzce. Nikt w sali nie patrzył wprost na króla ani na człowieka, do którego się zwrócił. Niezmałony spokój zachowała tylko jedyna obecna tam kobieta, siedząca wśród jaskrawo ubarwionych poduszek, ułożonych w pobliżu zasłanego podobnymi poduszkami królewskiego podwyższenia, i delikatnie brzdąkająca na lutni.

Przysadzisty, siwowłosy dowódca cartadzkiej armii, człowiek, który był świadkiem niemal czterdziestu lat wojen pod rządami kalifów i po ich upadku, klęczał przed podwyższeniem i wbijał wzrok w dywan.

Tak się składało, że dywan był wspianały, utkany i ufarbowany przed kilkoma wiekami przez rzemieślników na soriyyańskiej ziemi, a uratowany przed piętnastu laty przez Almalika z grabieży Al-Fontiny w Silvenes. Tu, w Cartadzie, imperialną świetność kalifów naśladowano celowo.

Mimo że klęczący generał bardzo starał się ukryć ten fakt, było widać, że się boi. Plagiator nie był jedynym człowiekiem zabitym przez króla w sali audiencyjnej, lecz tylko ostatnim.

Almalik najpierw był przywódcą wojskowym, a dopiero potem gubernatorem i monarchą, i nie pozwalał swojemu ludowi o tym zapomnieć. Klinga spoczywająca w pochwie obok podwyższenia nie służyła ozdobie.

– Nie ma go w Fezanie, o Prześwietny – mruknął ka'id, nie unosząc głowy. – Nikt go nie widział od czasu... lekcji dyscypliny w tym mieście.

– Właśnie mi to powiedziałaś – rzekł Almalik z Cartady głosem bardzo zbliżonym do szeptu. To był zły znak, jeden z najgorszych. Żaden z dworzan stojących blisko podwyższenia lub między filarami nie śmiał nawet zerknąć na sąsiadów. – Zadałem ci inne pytanie, ibn Ruhalo. Zapytałem najwyższego ka'ida wszystkich moich wojsk, gdzie się w tej chwili znajduje pewna nadzwyczaj znana osoba. A nie: gdzie jej nie ma. Czy może ostatnio wyrażam się nieprecyzyjnie?

– Nie, o Prześwietny! Bynajmniej. Nigdy. Braku precyzji jestem winien ja. Rozesłałem po całym kraju moją osobistą straż i najlepszych Muwardyjczyków, o Prześwietny. Wszyscy, którzy mogli coś wiedzieć o miejscu pobytu ibn Khairana, zostali poddani surowemu przesłuchaniu. Przesłuchujący byli tak gorliwi, że niektórzy z tych ludzi zmarli. Nikt jednak nic nie wiedział, nikt nic nie wie. Ammar ibn Khairan zniknął...

z powierzchni ziemi. Zapadło milczenie.

– Cóż za straszliwie oklepane wyrażenie – rzekł Lew Al-Rassanu. Poranne słońce wpadało do sali przez wysokie okna i w roztańczonych pyłkach kurzu spływało z górnych galerii. Obecni zauważyli, że kobieta na poduszkach uśmiechnęła się, słysząc uwagę króla, i że Almalikowi sprawiło to przyjemność. Kilku dworzan odetchnęło nieco głębiej. Kilku innych zaryzykowało uśmiechy i kiwnęło z aprobatą głowami.

– Wybacz mi, o Prześwietny – mruknął ka'id, wciąż nie unosząc głowy. – Jestem tylko starym żołnierzem. Lojalnym, zwykłym wojakiem, a nie artystą obracającym miódopłynnymi słowami. Potrafię powiedzieć tylko o tym, co udało mi się potwierdzić, i to w najprostszy sposób, jaki znam.

– Powiedz mi – rzekł król, wbijając zęby w cząstkę pomarańczy – czy surowemu przesłuchaniu, o którym wspomniałaś, został poddany książę Almalik?

Siwa głowa ka'ida opadła ku samej podłodze. Było widać, że zaczęły mu drżeć dłonie. Kobieta siedząca na poduszkach spojrzała na podwyższenie. Jej palce zawahały się na strunach lutni, lecz po chwili podjęły melodię, choć już mniej precyzyjnie.

W sali nie było nikogo, kto by nie wiedział, że gdyby książę Almalik nie był dziedzicem króla, to warunki życia dwojga małych dzieci tej kobiety znacznie by się polepszyły. Hazem ibn Almalik, drugi syn króla, wpadł w religijną skrajność i był skompromitowany, więc w przyszłości nikt nie stanąłby między starszym z dwóch chłopców i królewskim tronem.

– Poprosiliśmy... księcia o pomoc – wyjąkał do dywanu generał. – Oczywiście został

potraktowany z najwyższym szacunkiem i... powiedział nam, co mógł. Wyraził wielką nadzieję, że pan Ammar ibn Khairan wkrótce zostanie odnaleziony i sprowadzony z powrotem, że znów się pojawi wśród nas. Tak jak był... wśród nas w przeszłości.

Bełkot ka'ida był zdecydowanie niestosowny dla człowieka o jego pozycji. To nie był zwykły żołnierz liniowy, lecz dowódca armii Cartady. Jednakże nikt z obecnych w sali nie wyobrażał sobie, że w takich samych warunkach zachowałby większą pewność siebie. Nie w tej chwili. Nie, odpowiadając na to szczególne pytanie. Ci, którzy się poprzednio uśmiechnęli, gorąco się teraz modlili do gwiazd swych narodzin, by te oznaki braku powagi pozostały niezauważone.

Jedynie czterej Muwardyjczycy, dwaj przy drzwiach wejściowych i dwaj za podwyższeniem, okazywali niezmacony spokój; do połowy ukryci za swymi zasłonami, obserwowali wszystko i wszystkich nieprzyjaznym wzrokiem, jawnie nimi gardząc.

Król ugryzł następną część pomarańczy.

– Powiniennem kazać wezwać księcia – rzekł z namysłem. – Jestem jednak pewien, że on nic nie wie. Ibn Khairan nie zadałby sobie trudu, by zdradzać swoje plany takiemu głupcowi. A przy okazji, czy powieka nadal mu opada jak u trędowatego?

Znowu cisza. Najwyraźniej ka'id ibn Ruala żywił próżną nadzieję, że na to pytanie mógłby odpowiedzieć ktoś inny. Tak mocno przyciskał twarz do dywanu, że król ze swojego podwyższenia widział tylko jego potylicę. Kiedy milczenie się przedłużało, generał wyjąkał:

– Twój szlachetny syn, o Prześwietny, nadal cierpi na tę dolegliwość. Modlimy się za niego.

Almalik się skrzywił. Upuścił resztę pomarańczy obok poduszek i delikatnym gestem uniósł palce. Szybki i pełen wdzięku niewolnik pojawił się przed podwyższeniem z muślinową ściereczką do wytarcia soku z królewskich palców i ust.

– Wygląda idiotycznie – stwierdził Almalik, kiedy niewolnik się oddalił. – Jak trędowaty – powtórzył. – Jego słabość napędza mnie obrzydzeniem.

Kobieta już nawet nie udawała, że gra na lutni, i z wielką uwagą przyglądała się królowi.

– Wstań, ibn Ruhalo – rzekł Almalik. – Tylko się kompromitujesz. Odejdź.

Stary generał zerwał się na nogi z niestosowną skwapliwością. Twarz miał szkarłatną od tak długiego pochylania głowy. Wykonał poczwórny ukłon i, wciąż bijąc pokłony, zaczął pośpiesznie się wycofywać tyłem w kierunku drzwi.

– Stój – rzekł w zamyśleniu Almalik. Ibn Ruhala zamarł, na wpół zgięty, niczym groteskowy posąg. – Rozpytywałeś w Ragosie?

– Oczywiście, o Prześwietny. Od chwili rozpoczęcia poszukiwań w lecie. Najpierw przyszedł nam na myśl król Badir z Ragosy.

– A na południu? W Arbastro?

– To była nasza druga myśl, o Prześwietny! Wiesz, jak trudno jest uzyskać informacje od

mieszkańców ziem zagrożonych przez tego żywiącego się odchodami zbója, Tarifa ibn Hassana. Byliśmy jednak sumienni i nieustępliwi. Nie wygląda na to, by ktokolwiek w tych miejscach widział ibn Khairana albo o nim słyszał.

Znów zapanowała cisza. Kobieta siedząca na poduszkach obok podwyższenia trzymała lutnię, lecz nie grała na niej. W sali panował bezruch. Gładkiej powierzchni zabarwionej wody w wielkiej alabastrowej misie, stojącej w środkowym przejściu, nie zakłócała ani jedna zmarszczka. Tylko tam, gdzie padały ukośne promienie słońca, tańczył kurz.

– Sumienni i nieustępliwi – powtórzył z namysłem król. Pokręcił głową, jakby ze smutkiem.

– Masz trzydzieści dni na znalezienie go, ibn Ruhalo, albo każę cię wykastrować i wypatroszyć, a twoją głowę nadziać na pikę i ustawić pośrodku placu targowego.

Wszyscy wstrzymali oddech, ale tego można się było spodziewać; był to nieodzowny finał właśnie rozegranej sceny.

– Trzydzieści dni. Trzydzieści. Tak. Dziękuję, o Prześwietny. Dziękuję – wyrzekł ka'id. Jego słowa brzmiały absurdalnie, bezmyślnie, ale nikt nie wiedział, co innego mógłby powiedzieć.

W milczeniu, jak zawsze, dwaj Muwardyjczycy otworzyli podwójne drzwi i generał wycofał się tyłem, wciąż bijąc pokłony. Drzwi się zamknęły. Stuknięcie ich skrzydeł rozbrzmiało echem w ciszy.

– Wiersz, Serafi. Chcemy usłyszeć go jeszcze raz.

Almalik wziął od niewolnika następną pomarańczę i zaczął ją z roztargnieniem obierać.

Mężczyzna, do którego się zwrócił, był pomniejszym poetą, już niemłodym, poważanym bardziej za recytacje i śpiewny głos niż za cokolwiek, co sam napisał. Wystąpił z wahaniem do przodu zza jednego z pięćdziesięciu sześciu filarów, za którym był dotąd na wpół ukryty. Nie była to chwila, w której chciałoby się zwracać na siebie uwagę. Na dodatek „ten wiersz”, jak wszyscy już wiedzieli, stanowił ostatnią wiadomość dla króla od osławionego i słynnego człowieka, którego kaid tak bezskutecznie szukał w całym Al-Rassanie. W tej sytuacji Serafi ibn Dunasz o wiele bardziej wolałby się znaleźć gdzie indziej.

Na szczęście ibn Dunasz był trzeźwy, choć nie sływał z takiego stanu. Alkohol był rzecz jasna wśród aszarytów zakazany, podobnie jak dżadyckie i kindathijskie kobiety, chłopcy, taniec, niereligijna muzyka i rozmaite wspaniałe potrawy. Serafi ibn Dunasz już nie tańczył. Ufał, że bardzo mu się to przyda na wypadek, gdyby któryś z wadźich ganił go za rozwiążłość obyczajów.

Jednakże to nie wadźich obawiał się w tej chwili. W Cartadzie króla Almalika należało się bardziej bać świeckiej broni władzy. W tej chwili świecka broń władzy spoczywała lekko na kolanach króla, czekającego na deklamację. Wiersz nie był pochlebny, a król znajdował się w paskudnym nastroju. Wszystko to nie wróżyło nic dobrego. Poeta odchrząknął nerwowo i przygotował się do występu.

Z jakiegoś powodu niewolnik z koszykiem pomarańczy postanowił w tej chwili jeszcze raz

podejść do podwyższenia. Stał między Serafim i królem, a potem ukląkł przed Almalikiem. Zasłonił Serafiemu widok, ale inni obecni zauważyli teraz coś, co niewolnik najwyraźniej dostrzegł jako pierwszy: króla najwyraźniej trawiło nagłe, wielkie cierpienie.

Kobieta – miała na imię Zabira – szybko odłożyła instrument i wstała. Postąpiła krok w stronę podwyższenia i znieruchomiała. Król w tej samej chwili osunął się bokiem na poduszki i podparł jedną ręką. Dłonią drugiej chwycił się i ścisnął za serce. Oczy miał szeroko rozwarte, niewidzące. Niewolnik, który znalazł się najbliżej niego, wyglądał jak sparalizowany, skamieniały na wprost Almalika. Odłożył koszyk z pomarańczami, ale poza tym się nie poruszył. Król otworzył usta; nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

W gruncie rzeczy dobrze znaną cechą trucizny *o nazwie fidżana* jest to, że zanim dotrze do serca, paraliżuje gardło. W rezultacie nikt w sali oprócz mężczyzny klęczącego tuż przed królem nie mógł potem powiedzieć, czy umierający monarcha był świadom, zanim stracił przytomność, a potem życie i dołączył do Aszara wśród gwiazd, że niewolnik, który przez cały ranek podawał mu pomarańcze, ma niesamowicie błękitne, bardzo charakterystyczne oczy.

Ręka króla nagle się pod nim ugięła i Almalik padł bez głosu, choć z szeroko otwartymi ustami, na rozrzucone kolorowe poduszki. Między kolumnami poniósł się wtedy echem czyjś wrzask. Rozległ się szmer przerażonych głosów.

– Aszar i bóg są miłosierni – rzekł niewolnik, wstając z kolan i odwracając się do dworaków oraz osłupiałego poety. – Naprawdę nie chciałem jeszcze raz wysłuchiwać tego wiersza. – Machnął przepaszającą ręką. – Pisałem go w wielkim pośpiechu i pojawiły się w nim pewne niezręczności.

– Ammar ibn Khairan! – wyjąkał cokolwiek niepotrzebnie Serafi.

Niegdyśejszy niewolnik spokojnie rozwijał szafranowożółty turban. Miał przyciemnioną skórę, ale poza rym nie skorzystał z żadnego przebrania – niewolnikom nikt się nigdy pilnie nie przygląda.

– Mam wielką nadzieję, że mnie rozpoznał – zwierzył się ibn Khairan w zadumie. – Chyba tak było.

Upuścił na poduszki rozwinięty turban. Stojąc tak przed podwyższeniem, na którym był rozciągnięty najpotężniejszy w Al-Rassanie, lecz niechlujnie martwy monarcha, sprawiał wrażenie całkowicie odprężonego.

W tej chwili dworacy jak jeden mąż spojrzeli na stojących przy drzwiach Muwardyjczyków, jedynych ludzi w sali, którzy mieli broń. Z niewyjaśnionych powodów zawoalowani mężczyźni przez cały czas tkwili w bezruchu. Ibn Khairan zauważył spojrzenia zebranych.

– Najemnicy – stwierdził z powagą – są najemnikami.

Nie dodał, choć mógł to zrobić, że członkowie pustynnych plemion nie zechcą stracić ani chwili modlitwy na świeckiego, zdegenerowanego niewiernego śmiecia, który właśnie zginął.

Jeśli chodziło o Muwardyjczyków, to wszyscy królowie Al-Rassanu zasługiwali na mniej więcej taki sam los. Gdyby wszyscy się pozabijali, może jeszcze spełniłyby się w tej krainie pełne gwiazdne blasku wizje Aszara.

Wtedy jednak jeden z zawołanych wystąpił do przodu i ruszył w stronę podwyższenia. Minał Zabirę, która nadal stała bez ruchu. Ręce trzymała przy ustach.

– Niezupełnie – powiedział cicho, lecz słowa te rozniosły się po sali i zostały zapamiętane.

Następnie wszedł na podwyższenie i zdjął muwardyjską zasłonę zakrywającą mu dolną część twarzy; wszyscy zgromadzeni ujrzeli, że w istocie jest to dziedzic królestwa Cartady, Almalik ibn Almalik, ten z nerwowym tikiem powieki, który wedle słów ojca wyglądał jak trędowaty.

W tej chwili wygląda raczej jak pustynny wojownik. Jest też od tej samej chwili królem Cartady.

Pozostali trzej Muwardyjczycy dobywają mieczy, lecz nie ruszają się z miejsca przy drzwiach. Można by się spodziewać wybuchu oburzenia na dworze, lecz osłupienie i strach narzucają ludziom powściągliwość. Przez zastygłą chwilę jedynym dźwiękiem w sali audiencyjnej jest szmer oddechów przerażonych dworaków.

– A tak przy okazji, strażnicy po drugiej stronie drzwi też są moi – mówi łagodnie Almalik. Widać, że jego chora powieka w tej chwili ani nie opada, ani nie drga.

Spogląda w dół na leżące ciało ojca. Po chwili szybkim, zdecydowanym ruchem stopy strąca martwego króla z podwyższenia. Ciało nieruchomieje u stóp kobiety imieniem Zabira. Syn płynnym ruchem siada wśród poduszek.

Ammar ibn Khairan klęka przed nim.

– Niech święty Aszar uprosi ci u boga wśród gwiazd – mówi – długie życie, o wielki królu. Bądź miłosierny w swym dostojństwie dla twoich lojalnych sług, o Prześwietny. Niech twe panowanie wieńczy nieustająca chwała w imię Aszara.

Zaczyna składać poczwórny ukłon.

Stojący za nim poeta Serafi nagle odzyskuje przytomność umysłu. Pada na płytki mozaiki, jak uderzony pod kolanami, i robi to samo. A potem, jakby wdzięczni za tę wskazówkę co do dalszego zachowania, wszyscy mężczyźni zebrani w sali audiencyjnej składają nowemu królowi Cartady pełen ukłon.

Wszyscy widzą, że jedyna wśród nich kobieta, piękna Zabira, robi to samo, dotykając czołem podłogi obok ciała swego martwego kochanka; składa hołd jego synowi, pełna gracji i ponętna.

Widzą także, że Ammar ibn Khairan, którego poszukiwano w całym Al-Rassanie, wstaje z klęczek bez pozwolenia króla.

Uwięzieni w sali przez Muwardyjczyków, nie potrafią wyjść ze spóźnionego, druzgocącego zdumienia, jak mogli go przedtem nie rozpoznać.

Przez te niewiarygodnie błękitne oczy nikt nie wygląda tak jak ibn Khairan. Nikt nie porusza

się jak on. Nikt nie dorównuje mu arogancją. Odslonięty charakterystyczny kolczyk lśni – można by zaryzykować stwierdzenie, że z rozbawieniem. Staje się teraz jasne, że był tu w Cartadzie od dłuższego czasu. Może w tej właśnie sali. Kilku mężczyzn zaczyna gwałtownie szukać w pamięci nieroztropnych uwag, jakie mogli poczynić o skompromitowanym faworycie podczas jego domniemanej nieobecności.

Ibn Khairan uśmiecha się i odwraca, by się im przyjrzeć. Jego uśmiech, choć nie bardziej uspokajający niż zwykle, zostaje zapamiętany.

– Dzień Fosi – mówi, nie zwracając się do nikogo konkretnego – stanowił pod bardzo wieloma względami błąd. Pozostawienie człowieka bez rzeczywistej alternatywy nigdy nie jest dobrym pomysłem.

Dla poety Serafiego jest to niezrozumiałe, lecz między kolumnami i pod łukami stoją ludzie mądrzejsi od niego. Uwaga ibn Khairana zostanie zapamiętana i przywoływana w rozmowach. Ludzie będą śpieszyć z wyjaśnieniem jej znaczenia.

„Za egzekucje w Fezanie”, będą szeptać w łaźniach albo na dziedzińcach, albo w dzadyckich gospodach w mieście, „miał ponieść odpowiedzialność ibn Khairan. Stał się w oczach króla zbyt potężny. Miało go to okiełznać. Nikt by mu już nie dowierzał”. Nad sorbetem albo zakazanym winem będzie się mądrze kiwało głowami.

To jedno zagadkowe zdanie zapoczątkowało rozmowy, jakie zostaną przeprowadzone w następnych dniach, a przynajmniej na to wygląda.

Jest jednak starą prawdą, że wydarzenia, czy to wielkie, czy małe, nie zawsze toczą się zgodnie z zamysłami nawet najbardziej subtelnych ludzi.

Nowy król Cartady kończy układanie poduszek na podwyższeniu, tak by było mu wygodnie, i mówi cicho, lecz bardzo wyraźnie:

– Przyjmujemy wszystkie wasze pokłony. Żaden z was nie musi się niczego obawiać, jeśli tylko będzie wobec nas lojalny.

Parę osób zauważa, że nie wspomina o kobiecie. Król mówi dalej, a ibn Khairan odwraca się do niego.

– Na początku naszego panowania oznajmimy kilka spraw. Po pierwsze, ku czci naszego tragicznie zabitego króla i ojca będą przez siedem dni sprawowane wszystkie oficjalne obrzędy żałobne.

Cartadzcy dworacy są mistrzami w odczytywaniu najmniejszych niuansów przekazywanych informacji. Żaden z nich nie dostrzeża w wyrazie twarzy czy zachowaniu ibn Khairana, który właśnie zabił króla, jakiegokolwiek śladu zaskoczenia.

Dochodzą do wniosku, że to też zaplanował. Książę nie byłby taki sprytny.

Tak się składa, że są w błędzie.

W najbliższym czasie bardzo wielu ludzi się przekona, że mylili się co do Almalika ibn

Almalika. Pierwszy i najważniejszy z nich stoi teraz tuż przed młodym królem i słyszy, jak nowy monarcha, jego podopieczny i uczeń, mówi tym samym cichym, wyraźnym głosem:

– Drugie oświadczenie musi, niestety, dotyczyć wyroku wygnania naszego niegdyś zaufanego i najmilszego naszemu sercu sługi, Ammara ibn Khairana.

Żadnej reakcji, poruszenia, najmniejszej oznaki konsternacji u wymienionego. Tylko uniesiona brew – charakterystyczna mina, mogąca oznaczać wiele rzeczy – i spokojnie zadane pytanie:

– Dlaczego, o Prześwietny?

W ustach kogoś, kto właśnie zabił króla, którego jeszcze ciepłe ciało leży nieopodal, pytanie to wydaje się zdumiewająco bezczelne. Zważywszy, że zabójstwo niewątpliwie zostało dokonane za przyzwoleniem i przy udziale księcia, jest to także pytanie niebezpieczne. Almalik II z Cartady patrzy w bok i widzi obok podwyższenia miecz ojca. Sięga, niemal z roztargnieniem, i zamyka dłoń na jego rękojeści. Widać, że wróciła mu niefortunna dolegliwość oka.

– Za grzechy przeciwko moralności – mówi w końcu młody król. I rumieni się.

W pełnej napięcia ciszy, która zapada po tych słowach, śmiech Ammara ibn Khairana odbija się echem między kolumnami, łukami i wysoko sklepionym sufitem. Brzmi w nim jednak nuta nerwowości – wytrawni dworacy ją słyszą. Są pewni, że to nie zostało wcześniej uzgodnione. A najbystrzejsi uświadamiają sobie, że tkwi w tym nadzwyczajna subtelność. Nowy król musi się szybko zdystansować od królobójstwa. Gdyby za powód wygnania podał morderstwo, zniweczyłby ten dystans – bowiem jego obecność w przebraniu w tej sali mówi wszystko co trzeba o tym, jak doszło do śmierci jego ojca.

– Ach. – Głos ibn Khairana przerywa ciszę, która zapadła, gdy umilkły echa jego śmiechu. – Znów niedostatki moralne. Tylko tyle? – Uśmiecha się, po czym mówi bez ogródek: – Bałem się, że możesz wspomnieć o zabiciu króla. O tym straszliwym kłamstwie, które ktoś już może roznosić po mieście. Cóż za ulga. Mogę zatem żyć z nadzieją, że któregoś dnia król złoży na moim niegodnym czole pocałunek przebaczenia?

Król oblewa się ciemniejszym odcieniem szkarłatu. Poeta Serafi przypomina sobie gwałtownie, że ich nowy monarcha wciąż jest młodym człowiekiem. A Ammar ibn Khairan był jego najbliższym doradcą i przyjacielem, a na dodatek od paru lat krążą pewne plotki... Uznaje, że teraz lepiej rozumie sytuację. „Pocałunek przebaczenia”. Dobra! Dobra!

– O takich sprawach decyduje czas, gwiazdy i wola Aszara – mówi młody król ze zdecydowaną, formalną pobożnością. – Darzymy cię szacunkiem i jesteśmy ci wdzięczni za twoje minione służby. Ta kara... nie przychodzi nam łatwo. – Przerywa, po czym kontynuuje zmienionym głosem: – Niemniej jest ona konieczna. Zanim ujrzymy światło gwiazd, masz opuścić mury Cartady, a zanim minie siedem nocy, opuścisz nasze ziemie. Potem każdy, kto cię dostrzeże, może odebrać ci życie z naszego rozkazu jako wykonawca woli króla.

Słowa brzmią wyraźnie, są precyzyjne i wcale nie wypowiada ich zdenerwowany i niepewny siebie młodzieniec.

– Ścigany? Znowu? – mówi Ammar ibn Khairan z sarkazmem. – Doprawdy jestem już tak znużony noszeniem szafranowego turbanu.

Tik królewskiego oka jest rzeczywiście rozpraszający.

– Powinieneś odejść – mówi surowym tonem młody Almalik. – Teraz mamy coś do powiedzenia naszym lojalnym poddanym. Będziemy się modlić, by Aszar prowadził cię ku cnocie i oświeceniu.

Potencjalnie lojalni poddani zgromadzeni w sali nie zauważają najmniejszego wahania. Nawet w obliczu ironii i tego, co można by uznać za groźbę rzuconą przez najsubtelniejszego człowieka w królestwie, młody król nie daje za wygraną. Teraz uświadamiają sobie, że robi coś więcej. Nieznacznym ruchem dłoni daje znak dwóm Muwardyjczykom stojącym przy podwójnych drzwiach na końcu sali, by się zbliżyli.

Podchodzą z obnażonymi mieczami do ibn Khairana i stają po obu jego stronach. Rzuca im jedynie krótkie, rozbawione spojrzenie.

– Powinienem być pozostać poetą – mówi, ze smutkiem potrząsając głową. – W takich sprawach całkowicie się gubię. Żegnaj, o Prześwietny. Będę prowadził wypełnione rozważaniami smutne, mroczne, spokojne życie w oczekiwaniu na wezwanie do twego świetlistego boku.

Jeszcze raz bije bezbłędnie poczwórny ukłon i się podnosi. Stoi przez chwilę, jakby chciał coś dodać. Młody król patrzy na niego wyczekująco, a powieka mu drga. Lecz Ammar ibn Khairan tylko się uśmiecha i kręci głową. Idzie przez salę, mijając smukłe kolumny, przechodzi po płytkach mozaiki pod ostatnim łukiem i wychodzi przez drzwi. Ani jeden mężczyzna nie wierzy jego ostatnim słowom.

Co myśli jedyna kobieta, która patrzy na to wszystko, wciąż stojąc obok ciała martwego króla – jej kochanka, ojca jej dzieci, nie wie nikt. Twarz zabitego monarchy już szarzeje, co jest znanym skutkiem zatrucia *fidżana*. Usta ma wciąż otwarte w ostatnim niemym grymasie. W koszyku postawionym przez ibn Khairana przed podwyższeniem tkwią pomarańcze.

Uświadomił sobie, że popełnił w wyliczeniach jeden z tych błędów, jakiego młodszy człowiek mógłby nigdy sobie nie wybaczyć. Nie był już młody i jego rozbawienie było niemal szczere, a ironia niemal w całości skierowana do wewnątrz.

W grę wchodziły tu jednak także inne czynniki i pod koniec dnia, oddalając się konno od Cartady na wschód, Ammar ibn Khairan czuł, jak jego sardoniczna obojętność zaczyna zanikać. Kiedy dotarł do swej wiejskiej posiadłości, oddalonej od murów miasta na odległość popołudniowej przejażdżki, na jego twarzy malował się wyraz powagi. Jednakże dwaj służący, którzy jechali na mułach w pewnej odległości za nim, wioząc rozmaite przedmioty – głównie

ubrania, klejnoty i rękopisy – nie byli wtajemniczeni w jego myśli i nie mogli widzieć jego oblicza. Ibn Khairan niechętnie się zwierzał.

Kiedy dotarł do domu, do wzejścia gwiazd pozostało jeszcze sporo czasu. Pośpieszny wyjazd z Cartady rankiem po ogłoszeniu wyroku byłby posunięciem pozbawionym godności, lecz także demonstracyjne pozostanie niemal do samego zmroku stanowiłoby prowokację – w mieście znajdowali się chętni do tego, by go zabić, a potem twierdzić, że widzieli gwiazdę wcześniej, niż pierwsza z nich pojawiła się naprawdę na niebie. Ammar ibn Khairan miał wrogów.

Gdy dotarł do posiadłości, przybiegło dwóch stajennych, by wziąć od niego konia. W drzwiach pojawili się służący, a w domu powstało zamieszanie towarzyszące zapalaniu lamp i świec i przygotowywaniu pokojów dla pana. Nie było go tu od wiosny. Nikt nie wiedział, gdzie do tej pory przebywał.

Jego zarządca nie żył. Ammar ibn Khairan dowiedział się o tym jakiś czas temu od księcia – był jednym z surowo przesłuchiwanym ludzi, o których wspominał tego ranka kaid.

Ammar pomyślał, że powinni przewidzieć, że nie zdradzi swojej kryjówki zarządcy wiejskiej posiadłości. Ibn Ruhala potrzebował jednak ciał, dowodów gorliwości w poszukiwaniach. Przyszło mu do głowy, że, o ironio, kaid prawdopodobnie zawdzięcza mu teraz życie, skoro ibn Khairan zabił króla. Kolejne potencjalne źródło rozbawienia. Niestety, trudno mu było tego dnia zachowywać się naturalnie.

Nie chodziło o niespodziewane wygnanie czy o zwrócenie się księcia przeciwko niemu. Istniały ku temu powody. Ibn Khairan wolałby sam zaplanować i wprowadzić w życie ten zwrot w wydarzeniach, jak zaplanował wszystkie inne. Lecz, bez względu na jego odczucia, prawda była taka, że nowy król nie zamierzał być marionetką ani Amrnara ibn Khairana, ani niczyją inną. Zsiadając z konia na dziedzińcu, pomyślał, że to zapewne dobrze. Hołd złożony mojemu własnemu szkoleniu – zostają wygnany z kraju przez człowieka, którego właśnie uczyniłem królem.

To też powinno być zabawne. Problem w tym, przyznał w końcu ibn Khairan, rozglądając się po dziedzińcu przed domem, który kochał najbardziej, że w najbliższej przyszłości będzie nieco trudno o zabawę i rozrywki. W tej chwili wspomnienia i związane z nimi skojarzenia były zbyt świeże.

Przed piętnastu laty zabił ostatniego kalifa Al-Rassanu dla człowieka, którego zabił tego dnia.

Czy to nie Dżarainidzi z najdalego wschodu, z ziem leżących za ojczyzną aszarytów, wierzyli, że życie człowieka jest powtarzającym się w nieskończoność kręgiem tych samych działań i czynów? Nie była to filozofia, która go przekonywała, ale miał świadomość, że po tym ranku jego życie może słusznie zostać uznane za ilustrację ich wiary. Nie bardzo mu się podobał pomysł bycia bezpośrednim przykładem czegokolwiek. Uznał to za rolę zbyt sztapową, bo

uważał się przede wszystkim za poetę.

Chociaż to też było w najlepszym wypadku półprawdą. Wszedł do niskiego, obszernego domu, który wybudował za hojne wypłaty, jakich mu nie szczędził Almalik. „Nie zostawiaj człowieka bez alternatywy”, powiedział z rozmysłem tego ranka w sali audiencyjnej, by mieć pewność, że najbystrzejsi z obecnych zaczną opowiadać tę historię wedle jego zamierzeń.

Ale alternatywa istniała. Istnieje prawie zawsze. W Dniu Fosy Almalik rzeczywiście udzielił nagany, a raczej wymierzył surowy, głęboko upokarzający cios w niezależność swego syna i dumę ibn Khairana. Książę stał się nieszczęsnym obserwatorem rzezi, zaledwie symbolem czujności swego ojca, a Ammar...?

Ammar ibn Khairan, który przed piętnastu laty w imieniu ambitnego gubernatora Cartady bez skrupułów zamordował człowieka nazwanego kalifem w świętej sukcesji po Aszarze – i który na zawsze został napiętnowany za ten czyn – został na nowo określony dla półwyspu i świata jako ordynarny, przesiąknięty krwią pomysłodawca ohydnej rzezi.

To, co widział w letnim skwarze na pałacowym dziedzińcu w Fezanie, wzbudziło w nim odrazę – a był człowiekiem, który widział i rozdawał śmierć w wielu wcieleniach w służbie Cartady. Nie znosił jednak przesady, a jej rozmiar na tamtym dziedzińcu był przerażający.

Oczywiście ponad tym wszystkim istniała duma. Duma istniała zawsze. Mogło napawać go wstrętem to, co uczyniono mieszkańcom Fezany, ale tak samo napawało go wstrętem to, co zrobiono z jego imieniem, z jego wizerunkiem i miejscem w świecie. Wiedział, że bez względu na to, jak wzniosłe nosi tytuły, jest sługą króla. Królowie mogą ganić swoich służących, mogą odebrać im doczesne dobra, zabić ich, wygnać. Nie mogą wziąć człowieka – jeśli tym człowiekiem jest Ammar ibn Khairan – i przedstawić go całemu Al-Rassanowi i światu leżącemu za górami i morzami jako agenta... szpetoty.

„Bez alternatywy”?

Oczywiście, że istniała alternatywa, gdyby tylko bardzo jej pragnął. Mógłby porzucić świat władzy i jej potworności. Mógłby nawet porzucić tę ukochaną, osłabioną ziemię Al-Rassanu i jej nadętą królewitka. Mógłby się udać prosto z Fezany za góry, do Ferrieres albo do któregoś z wielkich miast Bachiary. Były tam znane z dobrego smaku książęce dwory, na których aszarycki poeta byłby mile widziany jako ich lśniąca ozdoba. Mógłby do końca swoich dni pisać w zbytku, pozostając między najbardziej cywilizowanymi spośród Dżadytów.

Mógłby nawet udać się dalej na wschód, popłynąć statkiem aż do Soriyyi i odwiedzić kamienne grobowce przodków, których nigdy nie widział, a może nawet ponownie odkryć wiarę przy Skale Aszara, przedsięwziąć czuwanie na pustyni pod gwiazdami boga, dokonać życia daleko od Al-Rassanu.

Oczywiście, że była alternatywa.

Zamiast tego się zemścił. Przebrał się i wrócił do Cartady. Ujawnił się księciu, a potem

przekupił zarządcę pałacu, by przyjął go do dworskiej świty jako niewolnika. Była to największa łapówka, jaką dał w życiu. A dzisiaj zabił króla *fidżaną* rozsmarowaną na muślinowej ściereczce.

A zatem dwakroć. Dwakroć w ciągu piętnastu lat zamordował najpotężniejszego monarchę w kraju. Kalifa i króla.

Jest coraz mniej prawdopodobne, że najlepiej zostanę zapamiętany dzięki mojej poezji, pomyślał ze smutkiem ibn Khairan, wchodząc do domu.

– Masz gościa, o Doskonały – oznajmił wyczekujący w wejściu zastępca zarządcy. Ibn Khairan usiadł na niskiej ławie przy drzwiach, a sługa ukląkł i pomógł mu zdjąć wysokie buty, po czym włożył mu pantofle zdobione klejnotami.

– Pozwoliłeś kogoś wpuścić pod moją nieobecność?

Teraz ten człowiek był zarządcą. Nie znając dobrze swoich obowiązków w tak strasznym czasie, spuścił wzrok.

– Być może popełniłem błąd, o Doskonały. Ale była pewna, że zechcesz się z nią zobaczyć.

– Kobieta?

Już wiedział, kto to jest. Znowu pojawiło się rozbawienie, lecz zaraz ustąpiło przed innym uczuciem.

– Gdzie ją umieściłeś?

– Oczekuje cię na tarasie. Mam nadzieję, że postąpiłem słusznie, o Doskonały?

Wstał. Zarządca zrobił to samo.

– W taki sposób wpuszczaj do domu tylko kobietę. Każ przygotować wieczerzę dla dwóch osób i pokój dla gościa. Porozmawiamy później; jest wiele do zrobienia. Z rozkazu króla na jakiś czas opuszczam Cartadę.

– Tak, o Doskonały – rzekł z kamienną twarzą służący.

Ammar odwrócił się, by wejść w głąb domu, ale się zatrzymał.

– Nowego króla. Stary król nie żyje – dodał. – Zmarł dzisiejszego ranka.

– Niestety – powiedział jego zarządca bez jakichkolwiek oznak zaskoczenia.

Zdolny człowiek, uznał ibn Khairan. Rzuciwszy rękawice do konnej jazdy na marmurowy stolik, pokonał kilka korytarzy dzielących go od szerokiego tarasu, który wybudował po zachodniej stronie domu, gdzie mieściły się jego osobiste komnaty. Zawsze wolał zachód niż wschód słońca. Z komnat miał widok na czerwone wzgórza i błękitne zakole rzeki na południu. Cartada pozostawała niewidoczna, skryta tuż za wzgórzami.

Kobieta, jego gość, była odwrócona do niego plecami; podziwiała krajobraz. Stała, bosa, na chłodnych, płaskich kamieniach.

– Architekt nie chciał mi tego wybudować – powiedział, zatrzymując się obok niej. – Wciąż powtarzał, że miejsce otwartych przestrzeni jest wewnątrz budynku.

Podniosła na niego wzrok. Jadąc tu, na pewno okryła się zasłoną, lecz teraz materiał był

uniesiony. Spojrzenie ciemnych, podkreślonych makijażem oczu na chwilę utkwiała w jego oczach, a potem się odwróciła.

– Rzeczywiście, mam wrażenie, że jestem odsłonięta – potwierdziła cicho.

– Ale popatrz, gdzie jesteśmy. Zapytałem mojego architekta i samego siebie, przed czym chowam się tu, na wsi.

– I co sobie odpowiedziałeś? – spytała, patrząc na tarasowe zbocza, schodzące do rzeki, i na zachodzące słońce. – A twój architekt?

Miała przepiękny profil. Pamiętał dzień, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy.

– Nie przed tym – odparł po chwili, wskazując na rozpościerającą się przed nimi okolicę. Powinien pamiętać, że jest bystra. – Przyznam, że jestem zaskoczony, Zabiro. Nieczęsto tak bywa, ale nie spodziewałem się tego.

Pierwsza dama dworu króla Almalika, kurtyzana, która została matką dwojga jego najmłodszych dzieci, przez ostatnie osiem lat w zasadzie królowa Cartady, obejrzała się na niego i uśmiechnęła, błyskając białą małych, doskonałych zębów.

– Naprawdę? – zapytała. – W dniu, w którym zabijasz króla i zostajesz wygnany z domu przez własnego ucznia, wprawiają cię w zakłopotanie zwykle odwiedziny damy? Nie wiem, czy ma to mi pochlebiać.

Wydawało się, że źródłem jej cudownego głosu jest muzyka. Rzeczywiście tak było. Łamała serca i leczyła je śpiewem. Pachniała mirrą i różami, i miała starannie umalowane oczy i paznokcie. Zastanawiał się, od jak dawna tu przebywa. Powinien był zapytać o to zarządcę.

– Nie ma nic zwykłego ani w tej damie, ani w jej odwiedzinach – mruknął. – Zechcesz się czegoś napić?

Pojawił się służący z tacą, na której stały wysokie szklanice z sokiem z granatów i sorbetem. Ammar ibn Khairan podał jedną Zabirze.

– Czy obrażę cię, proponując także kielich wina? Na północ od nas leży dzadycka winnica, z którą mam umowę.

– Nie obrazisz mnie ani trochę – odparła Zabira.

Ammar uśmiechnął się. To była najsłynniejsza piękność w Al-Rassanie, kobieta wciąż młoda, choć może po poranku tego dnia nieco mniej młodzieńcza. Ibn Khairan był tylko jednym z niezliczonych poetów, którzy w ciągu tych lat ją wychwalali. Co prawda był pierwszym, i to się nigdy nie zmieni. Poznał ją razem z Amalikiem. Widział, jak to się zaczęło.

*Kobieta, którą zobaczyliśmy u Bramy Fontanny,
Gdy zmierzch osiadał ukradkiem na murach miasta
Niczym okryty płaszczem złodziej światła,
Miała pierwsze święte gwiazdy Aszara*

Jako ozdoby nad ciemnym wodospadem włosów.

Jakie imię powinno nosić ich piękno,

Jeśli nie jej imię?

To było oczywiście bluźnierstwo, ale po upadku kalifatu – i na długo przedtem – Al-Rassan nie był najbardziej pobożnym krajem w aszaryckim świecie.

Tego wieczoru, kiedy król i pan ibn Khairan, jego najbliższy przyjaciel i doradca, wjechali do Cartady po całodziennym polowaniu w zachodnich lasach, zobaczyli w resztkach jesiennego światła dziewczynę nabierającą wodę z fontanny; miała siedemnaście lat. Przed ośmiu laty.

– Doprawdy, Ammarze, dlaczego miałbyś być zaskoczony? – zapytała go teraz ta sama, nieskończenie wyrafinowana kobieta, patrząc nań uważnie znad krawędzi szklanicy. Ibn Khairan dał znak służącemu, który wycofał się, by przynieść wino. – Jak sądzisz, co teraz mogłoby mnie czekać w Cartadzie?

– Ten syn jest nieodrodnym synem swego ojca, Zabiro, i ma prawie tyle samo lat, co ty – powiedział ostrożnie, był bowiem świadom, że to, co zrobił rano, wywróciło jej świat na nice i wystawiło jej życie na niebezpieczeństwo.

Skrzywiła się.

– Słyszałeś, co mi powiedział rano.

Księżę mruknął wtedy „Niezupełnie”. Wszyscy to słyszeli. Zabira zawsze zachowywała ostrożność, ale nie było tajemnicą, że skoro Hazem, drugi syn, związał się beznadziejnie z najbardziej gorliwymi wadzi, jedyną prawdziwą alternatywę dla księcia Almalika stanowiło jej własne starsze dziecko – pod warunkiem, że król dożyje pełnoletności chłopca. Nie dożył. Ammar nagle zadał sobie pytanie, gdzie są te dzieci.

– Słyszałem, co powiedział. Mimo to Almalik ibn Almalik nie jest nieczuły na wdzięki – odparł.

Czynił pod pewnym względem przerażającą, chociaż bynajmniej nie bezprecedensową propozycję. Królewscy synowie zajmowali miejsce ojców na wiele sposobów.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Wdzięki kobiece czy męskie? Może mógłbyś mnie co do tego oświecić? – rzekła słodko i zanim zdążył odpowiedzieć, dodała: – Znam go. Od dawna kazałam go śledzić, Ammarze. Jest odporny na wszelki urok, jaki jeszcze zachowałam. Za bardzo się boi. Dla niego zawsze i wszędzie będzie mi towarzyszył cień jego ojca, w łóżku i na dworze, a on nie jest gotowy stawić temu czoła. – Upiła łyk ze szklanicy i spojrzała na lśniące zakole rzeki i czerwieniejące wzgórza. – Będzie chciał zabić moich synów.

Tak naprawdę Ammar myślał o tym samym.

Uznał, że w tych okolicznościach lepiej nie pytać, gdzie są chłopcy, chociaż ta wiedza byłaby

użyteczna w przyszłości. Służący wrócił z dwiema następnymi szklanicami oraz wodą i winem w zdobnej karafce. W ciągu wielu lat Ammar wydał na szkło małą fortunę. Kolejne rzeczy, które trzeba będzie zostawić.

Służący postawił tacę i się wycofał. Ibn Khairan zmieszał wino z wodą dla nich obojga. Wypili w milczeniu. Wino było znakomite.

Wydawało się, że w gęstniejącym zmroku unosi się w powietrzu obraz dwóch małych chłopców. Nagle, bez żadnego powodu, Ammar pomyślał o Iszaku z Fezany, kindathijskim lekarzu, który pomógł Zabirze ich urodzić – i po odebraniu drugiego stracił oczy i język. Patrzył oczyma niewiernego na zakazaną urodę kobiety, której życie uratował. Ta kobieta teraz tu stała; jej zapach był mocny i rozpraszający, a biała skóra bez skazy. Zastanawiał się, czy ona wie, co się przytrafiło Iszakowi ben Jonannonowi, czy Almalik jej kiedykolwiek o tym powiedział. To naprowadziło go na kolejną nieoczekiwaną myśl..

– Naprawdę kochałaś króla, prawda? – zapytał w końcu, z wyjątkowym jak na niego skrepowaniem. Nie czuł się w pełni panem sytuacji. Zamordowanie kogoś czyniło człowieka bezradnym wobec pewnych spraw; przez piętnaście lat niemal o tej nauczce zapomniał. Jak postępować z kochanką człowieka, którego się zabiło?

– Wiesz, że tak – odparła spokojnie. – To nie jest pytanie ani trudne, ani nawet prawdziwe, Ammarze. – Odwróciła się i po raz pierwszy stanęła twarzą do niego. – Trudną prawdą jest to, że ty też go kochałeś.

Tego się nie spodziewał.

Gwałtownie pokręcił głową.

– Nie. Szanowałem go, podziwiałem jego siłę, podobała mi się subtelność jego umysłu. Jego dalekowzroczość, spryt. Wiązałem też pewne nadzieje z jego synem. Do pewnego stopnia nadal je wiązę.

– Poza tym twoje nauki się zmarnowały?

– Poza tym moje nauki się zmarnowały.

– To prawda – rzekła spokojnie Zabira. – Wkrótce się przekonasz. Ale chociaż usłyszałam, że wyparłeś się miłości, chyba ci nie wierzę.

Odstawiła pustą szklanicę i, stojąc bardzo blisko Ammara, z namysłem podniosła na niego wzrok.

– Powiedz mi coś innego – poprosiła, zmieniawszy tembr głosu. – Wyraziłeś przypuszczenie, że nowy król nie jest nieczuły na wdzięki. A ty, Ammarze?

Być może jego było najtrudniej zaskoczyć spośród wszystkich ludzi w całym Al-Rassanie, lecz te słowa, szczególnie po ostatnich uwagach, okazały się całkowicie nieoczekiwane. Ogarnęła go wielka wesołość, ale opadła równie szybko, jak się pojawiła. Dziś rano zabił jej kochanka. Ojca jej dzieci. Jej nadzieję na przyszłość.

– Oskarżano mnie o wiele rzeczy, ale nigdy o to – odparł, chcąc zyskać na czasie.

Nie dała mu ani chwili.

– To dobrze – stwierdziła Zabira z Cartady i wspiawszy się na palce, pocałowała go w usta, powoli i ze znaczną wprawą.

Nie tak dawno temu ktoś inny zrobił to samo, pomyślał ibn Khairan, zanim wszelkie takie skojarzenia zostały odegnane. Kobieta znajdująca się razem z nim na tarasie cofnęła się, lecz tylko po to, by rozpuścić czarne włosy. Jedwabne rękawy opadły, ukazując białą skórę rąk.

Stał jak zahipnotyzowany, z kompletną pustką w głowie. Patrzył, jak jej dłonie zniżają się do perłowych guzików wierzchniej tuniki. Rozpięła tylko dwa z nich. To nie była wierzchnia tunika. Pod spodem nie miała na sobie nic. W niezwykle czystym, miękkim świetle dostrzegł blade krągłości jej piersi.

Nagle zaschło mu w gardle.

– Moje komnaty są tuż obok – powiedział głosem, który we własnych uszach zabrzmiał mu chropawo.

– Dobrze – powtórzyła. – Pokaż mi.

Wtedy przyszło mu do głowy, że być może przybyła tu, by go zabić.

Nie przyszło mu do głowy, by cokolwiek z tym zrobić. W istocie, nigdy nie został oskarżony, że jest nieczuły na wdzięki. Podniósł ją; była drobnokoścista i szczupła, prawie nic nie ważyła. Otoczyła go jej woń, oszałamiając na chwilę. Poczul jej usta przy płatku ucha, a na szyi palce. Wniósł ją do swojej sypialni; krew szumiała mu w żyłach.

Czy czuję się tak dlatego, że mogę umrzeć? – zadał sobie pytanie i przez jakiś czas była to jego pierwsza i ostatnia taka jasna myśl. Czy to mnie tak podnieca?

Jego niskie łoże, ustawione w dużej komnacie obwieszanej serijskimi gobelinami, było zarzucone mniejszymi i większymi poduszkami rozmaitych kształtów, dobranymi tak ze względu na ich przydatność w miłosnych igraszkach, jak również dla kolorów i faktury. Z miedzianych kółek na ścianie nad łóżkiem i osadzonych w rzeźbionej, drewnianej podłodze zwieszały się szkarłatne szale z jedwabiu. Ammar cenił sobie swobodę ruchów podczas uprawiania miłości, przemieszczanie się ciała, lecz wśród gości odwiedzających tę komnatę byli i tacy, którzy największą przyjemność czerpali z odmiennych doznań, a wraz z upływem lat Ammar zdobył sobie reputację gospodarza troszczącego się o spełnienie wszystkich zachcianek gości.

Mimo że miał za sobą niemal dwadzieścia lat zróżnicowanego doświadczenia w erotycznej grze, ibn Khairan szybko się zorientował – chociaż, szczerze mówiąc, bez specjalnego zaskoczenia – że kobieta wyszkolona tak jak Zabira wie pewne rzeczy nieznanne jemu. A nawet, co wyszło na jaw, pewne rzeczy o jego własnej naturze i reakcjach.

Leżąc jakiś czas potem nagi wśród poduszek, poczuł, jak jej palce drażnią go i odkrywają; skrzywił się, kiedy go ugryzła, a gdy wśród gęstniejących cieni komnaty usta Zabiry wróciły do

jego ucha i kochanka wyszeptała swoim cudownym, słynnym głosem coś zupełnie szokującego, poczuł, jak jego podniecenie osiąga apogeum. A potem rozwarł szeroko w ciemności oczy, bo Zabira jęła wprowadzać w czyn dokładnie to, co właśnie opisała.

Szkołące kochanki i kastraci przebywający na dworze Almalika przybyli zza morza z ziem ojczystych na wschodzie, gdzie takie umiejętności stanowiły część dworskiego życia na setki lat przed ascetycznym czuwaniem Aszara na pustyni. Możliwe, że podróż do Soriyyi byłaby bardziej obiecująca, niż sobie wyobrażam, pomyślał leniwie. Zaśmiał się.

Zabira zsunęła się w dół, ocierając się o niego uperfumowanym ciałem i akcentując ruch paznokciami, ilekroć go dotykały. Ibn Khairan usłyszał westchnienie wyrażające bezgraniczną przyjemność i uświadomił sobie, że, co nieprawdopodobne, to on je wydał. Spróbował wtedy się unieść, odwrócić, chcąc dzielić się miłością, ale poczuł, jak jej dłonie delikatnie, lecz stanowczo przyciskają go do łoża. Poddał się, zamknął oczy i pozwolił jej zaspokajać jego potrzeby, tak jak on sam zaspokajał potrzeby wielu osób w tej komnacie. Zabira co pewien czas wykrzykiwała słowa zachwytu albo mruzczała coś pod nosem.

Jej działania, a były zdumiewająco zróżnicowane i pomysłowe, trwały jakiś czas. Słońce zaszło. Kiedy komnata pogrążyła się w ciemności – nie przzerwali, by zapalić świece – uczucia Ammara, niczym pływaka wracającego z zielonych głębin morza, zaczęły krystalizować się na nowo. I powoli, czując się niemal otumaniony pożądaniem, ibn Khairan coś zrozumiał.

Leżała wtedy przy nim, obróciwszy go na bok. Jedną nogą oplotła jego ciało, wchłonęła go w siebie, a jej ruchy w uporczywym, niezachwianym rytmie wznoszenia się i opadania do złudzenia przypominały ruch morskich fal. Musnął sutek językiem, wypróbując swoją nową myśl. Utrzymując rytm – który intuicyjnie dopasowała do jego najgłębszego rytmu – pogłaskała go po głowie i delikatnie ją odsunęła.

– Zabirow – szepnął z trudem. Wydawało mu się, że jego głos dobiega z bardzo daleka.

– Cicho – mruknęła, znów dotykając jego ucha językiem. – Och, cicho. Pozwól się porwać.

– Zabirow – spróbował ponownie.

Przesunęła się wtedy, giętka i gładka, i znalazła się nad nim, jeszcze bardziej natarczywa, wciąż otulając go miękko swą kobiecością. Przykryła ustami wargi Ammara. Jej oddech pachniał miętą, a pocałunki zostawiały ognisty ślad. Nie pozwalała mu mówić; jej język był szybki jak koliber. Paznokciami orała mu bok. Wstrzymał oddech.

I odwrócił głowę.

Uniósł z niejakim wysiłkiem rękę i chwycił ją za ramiona, delikatnie, ale tak, że nie mogła się wymknąć. Próbował dojrzeć w ciemności jej oczy, lecz widział tylko trójkątny cień twarzy i zasłonę czarnych włosów.

– Zabirow – rzekł, czując całkowicie nieoczekiwany ból – nie musisz się karać albo powstrzymywać smutku. Możesz się pogrążyć w żałobie. Wolno ci.

Zesztywniała z zaskoczenia, jakby spoliczkowana. Jej ciało wygięło się w tył i był to pierwszy niekontrolowany ruch, jaki zrobiła w ciągu całego wieczoru. Trwała tak przez długą chwilę, sztywna, nieruchoma, a potem z prawdziwym bólem i zarazem ulgą Ammar usłyszał chrapliwy, nienaturalny dźwięk, jakby coś się jej rozdarło w gardle – albo w sercu.

Pociągnął ją powoli w dół, aż legła obok niego, lecz inaczej niż poprzednio. I tak w mroku tej komnaty, słynącej z tkanych w niej deseni pożądania, którego była świadkiem, Ammar ibn Khairan przytulał ukochaną kobietę mężczyzny, którego zabił, i dawał jej tę niewielką pociechę, jaką mógł jej dać. Obdarzył ją milczeniem, a ona w końcu pozwoliła sobie na rozpacz, oplakując głębię swej straty, przerażające zniknięcie w jednej chwili miłości w pełnym gorzycy świecie.

W świecie pełnym gorzycy i ironii, pomyślał. I wtedy, jakby rzeczywiście wyrwał się na powierzchnię świadomości, ibn Khairan uświadomił sobie i zaakceptował fakt, że w gruncie rzeczy kobieta powiedziała prawdę, stając na tarasie o zachodzie słońca.

Zabił dziś surowego, podejrzliwego, błyskotliwego, okrutnego i niebezpiecznie ambitnego człowieka. Człowieka, którego kochał.

*Kiedy Lew zapragnie przyjść się napić
Do wodopoju, ach, zobaczcie!
Pomniejsze zwierzęta Al-Rassanu
Pierzchają jak liście pędzone jesiennym wiatrem,
Jak unoszące się w powietrzu wiosną nasiona,
Jak szare chmury, co się rozstępują,
By pierwsza gwiazda Boga rzuciła blask na ziemię.*

Lwy umierały. Kochankowie umierali albo byli zabijani. Mężczyźni i kobiety dokonywali w swej dumie i szaleństwie czynów miłosierdzia i okrucieństwa, a gwiazdy Aszara patrzyły na to wszystko i albo się przejmowały, albo nie.

Nie wyszli tej nocy z komnaty. Ammar rozkazał przynieść tace z zimnymi mięsami, serami oraz figami i granatami ze swoich własnych gajów. Jedli przy świecach, siedząc ze skrzyżowanymi nogami na łożu, w milczeniu. Potem odłożyli tace, zdmuchnęli świece i znów się położyli, choć już wyzbyci pożądania.

Obudzili się przed świtem. W szarym półświatle, które z wolna nasycalo komnatę, sama mu powiedziała, że pod koniec lata zgodnie ze starym obyczajem jej dwaj synowie zostali potajemnie wysłani na wychowanie do króla Badira z Ragosy.

Ragosa. Powiedziała cicho, że podjęła tę decyzję sama, zaraz po tym, jak w Cartadzie pojawił się wiersz ibn Khairana, ośmieszający i zjadliwie krytykujący króla. Zawsze starała się uprzedzać wydarzenia, a ten wiersz zapowiadał zmiany.

– Dokąd pojedziesz? – zapytała.

Komnatę zalewało już poranne światło. Słyszeli dobiegający z dworu śpiew ptaków i kroki służby krzątającej się po domu. Zabira znów siedziała ze skrzyżowanymi nogami, otulona lekkim kocem niczym pasterskim płaszczem, z makijażem poznaczonym smugami wylanych w nocy łez i opadającymi w nieładzie włosami.

– Szczerze mówiąc, nie miałem czasu się nad tym zastanowić. Zostałem skazany na wygnanie dopiero wczoraj rano, pamiętasz? A kiedy wróciłem do domu, czekał na mnie dosyć wymagający gość.

Uśmiechnęła się słabo, lecz się nie poruszyła; czekała, utkwivszy spojrzenie ciemnych, obwiedzionych na czerwono oczu w jego twarzy.

Naprawdę o tym nie myślał. Spodziewał się, że od minionego poranka będzie tryumfował w Cartadzie i kierował polityką oraz pierwszymi krokami nowego króla i królestwa. Wyglądało na to, że można robić plany, ale że nie można zaplanować wszystkiego. W ciągu minionej nocy ibn Khairan nie pozwolił sobie na rozmyślenia o Almaliku ibn Almaliku, księciu – teraz królu – który tak zdecydowanie zwrócił się przeciwko niemu. Na to będzie czas później. Musi być czas.

A teraz miał przed sobą cały półwysep, a dalej świat pełen miejsc niebędących Cartadą. Mógł się udać niemal gdziekolwiek, robić tak wiele różnych rzeczy. Uświadomił to sobie zeszłego dnia, jadąc tutaj. Był poetą, żołnierzem, dworzaninem, dyplomata.

Spojrzał na kobietę siedzącą na jego łożu i domyślił się pytania, którego tak bardzo starała się nie zadać. W końcu uśmiechnął się, delektując się całą ironią, jaka rozwijała się niczym płatki kwiatu w blasku słońca, i przyjął ciężar zrodzony nie z morderstwa, lecz z pozwolenia, by ktoś zaznał u niego pociechy, kiedy na żadną pociechę nie liczył. Była matką. Oczywiście wiedział o tym, ale nigdy się nie zastanawiał, co to może dla niej znaczyć.

– Dokąd pojedę? Chyba do Ragosy – odparł niedbale, ale spokorniał w blasku jej uśmiechu, jasnego jak poranne promienie słońca, które wpadały do komnaty.

ROZDZIAŁ 8

Kość słoniowa i tłumy ludzi – głównie ten obraz wrył się w pamięć Alvara po trzech miesiącach pobytu w Ragosie.

Urodził się i wychował w gospodarstwie na dalekiej północy. Rok temu Esteren w Valledo olśnił go. Teraz już wiedział, że Esteren był wioską. Ragosa króla Badira była jednym z wielkich miast Al-Rassanu.

Nigdy nie przebywał w miejscu, gdzie mieszkało i zajmowało się swoimi sprawami tak wielu ludzi, a mimo to wśród zamętu i chaosu, kłębiącego się tłumy i różnych warstw zgiełku panowała atmosfera lekkości – to dobiegające z łukowato sklepionego wejścia dźwięki jakiegoś instrumentu strunowego, to woda spływająca z fontanny na wpół dostrzeżonej za parawanem kwitnących drzew. To, co mu mówiono, okazało się prawdą: Zrodzeni z Gwiazd mieszkańcy Al-Rassanu mieszkali w całkiem innym świecie niż Jeźdźcy Dżada.

Co drugi przedmiot w pałacu albo w bogatych domach, które widział, został wykonany z rzeźbionej i wypolerowanej kości słoniowej, przywożonej statkami ze wschodu. Nawet trzonki noży używanych przy niektórych stołach. Gałki na drzwiach pałacu. Mimo powolnego rozkładu Al-Rassanu po upadku Silvenes Ragosa była bogatym miastem. W gruncie rzeczy pod pewnymi względami przyczynił się do tego upadek kalifów.

Wyjaśniono to Alvarowi. Oprócz słynnych mistrzów rzeźbienia w kości słoniowej mieszkali tu poeci i śpiewacy, rymarze, snycerze, kamieniarze, dmuchacze szkła, rzeźbiarze w kamieniu – mistrzowie oszałamiającej liczby rzemiosł – którzy w czasach, gdy Silvenes stanowiło centrum zachodniego świata, nigdy by się nie wyprawili na wschód przez Góry Serrana. Teraz, po gromkim upadku kalifatu, każde z królestw miało swój przydział rzemieślników i artystów, chwalebnych i wysławiających jego cnoty. Gdyby wierzyć złotoustym poetom Al-Rassanu, wszystkie królestwa były lwami.

Ale oczywiście nie można było dawać im wiary. Poeci byli poetami, a poza tym musieli zarobić na życie. Królowie byli królami, a teraz były ich dziesiątki: jedni grzęzli w gruzach swoich miast, inni nabrzmiewali strachem lub chciwością i tylko bardzo nieliczni dałoby się ewentualnie uznać za spadkobierców dawnego Silvenes. Chociaż Alvar miał niewielkie doświadczenie, wydawało mu się, że króla Badira z Ragosy trzeba zaliczyć do tej ostatniej grupy.

Alvar z ulgą odkrył, że mimo tych wszystkich otaczających go osobliwości – nieznanymi, oszałamiającymi zapachów płynących z bram, dziedzińców i straganów z jedzeniem, dzwonów wzywających wiernych do modlitwy w odmierzonych odstępach czasu za dnia i w nocy, chaosu dźwięków i kolorów na targowisku – w Al-Rassanie nadal mierzy się bieg roku cyklami białego księżyca od pełni do pełni, jak na północy, w domu. Przynajmniej to się nie zmieniło. Umiał dokładnie powiedzieć, jak długo był tu, w innym świecie.

Z drugiej strony, kiedy zaczynał się nad tym zastanawiać, miał wrażenie, że minęło znacznie więcej czasu niż trzy miesiące. Rok spędzony w Esterenie wydawał się dziwnie odległy, a gospodarstwo niewyobrażalnie odległe. Zastanawiał się, co by powiedziała jego matka, gdyby mogła go zobaczyć minionego lata w powiewnym aszaryckim stroju, spiętym luźnym pasem. A tak naprawdę to się nie zastanawiał: był pewien, że wie. Udałaby się prosto na Wyspę Vaski, na kolanach odprawiając pokutę za jego grzechy.

W rzeczywistości lato było tu, na południu, gorące. Człowiek potrzebował nakrycia głowy w palącym blasku południowego słońca, nakrycia głowy mniej nieporęcznego od sztywnego skórzanego kapelusza, a jasne bawełniane tuniki i spodnie Al-Rassanu były o wiele wygodniejsze od stroju, w jakim tu przybył. Alvar miał ogorzałą od słońca twarz; wiedział, że wygląda prawie jak aszaryta. Dziwnie się czuł, widząc w lustrze mężczyznę, który odpowiadał mu spojrzeniem. Tu wszędzie były lustra; mieszkańcy Ragosy odznaczeni się próżnością.

Tymczasem nadeszła jesień; teraz Alvar wkładał na zwykłe odzienie lekki brązowy płaszcz. Wybrała go dla niego Dżehana, kiedy zaczęła się zmieniać pogoda. Prześlizgując się i przepychając – teraz już wprawnie – przez zatłoczony cotygodniowy targ, Alvar ledwie potrafił uwierzyć, jak mało czasu upłynęło, odkąd wraz z lekarką i Velazem przekroczyli przełęcz i po raz pierwszy ujrzeli błękitne wody jeziora oraz wieże Ragosy.

Owego dnia bardzo starał się ukryć swój podziw, choć wspominając ten moment, podejrzewał, że jego towarzysze po prostu wspaniałomyślnie udawali, że niczego nie zauważają. Budziła w nim lęk nawet widziana z odległości Fezana. Ragosa ją przyćmiewała. Teraz bardziej onieśmielającym miastem była tylko sama Cartada – oraz Silvenes kalifów, złupione i splądrowane przed wielu laty. Przy tej wspaniałości o wysokich murach i wielu wieżach Esteren można było porównać z wioską Orallą, którą zaatakował pewnej letniej nocy Garcia de Rada.

Tamtej nocy życie Alvara rozwidliło się jak gałąź i zamiast na północ do domu z Komendantem, jego ścieżka powiodła na wschód przez Al-Rassan i przez Góry Serrana do tych murów z Dżehaną bet Iszak.

Była to jego własna decyzja, zatwierdzona przez Rodriga i zaakceptowana, choć początkowo z niechęcią, przez Dżehanę. Rano po tej pamiętnej rozmowie przy ognisku Alvar oznajmił, że lekarka będzie potrzebowała w drodze strażnika. Żołnierza, dodał, nie zwykłego służącego, bez względu na to, jak bardzo ten służący mógłby być lojalny i odważny. Zamierzał dopilnować, by zadomowiła się w Ragosie, a potem wrócić do domu.

Nie powiedział im, że się w niej zakochał. Był pewien, że gdyby o tym wiedzieli, nie pozwoliliby mu z nią pojechać. Miał też smutną pewność, że Dżehana domyśliła się prawdy na początku wspólnej podróży. Niezbyt dobrze potrafił ukrywać uczucia.

Uważał, że ze swoimi ciemnymi włosami i bezpośrednim spojrzeniem nieoczekiwanie błękitnych oczu jest piękna. Wiedział, że jest inteligentna, a co więcej, starannie wykształcona,

pewna siebie, profesjonalna. Wśród pożarów Orvilli widział jej odwagę i gniew, kiedy trzymała w ramionach tamte dwie dziewczynki. Była kobietą całkowicie spoza jego sfery życia. Była też Kindathijką, członkinią ludu Wędrowców, heretyków umniejszających rolę boga, przeciwko którym duchowni grzmieli równie głośno, jak przeklinali aszarytów. Alvar usiłował nie przywiązywać do tego wagi, lecz w rzeczywistości czyniło to Kindathów tajemniczymi, egzotycznymi, a nawet nieco niebezpiecznymi ludźmi.

Ona była inna – bystra, praktyczna i bezpośrednia. Wzięła go do łóżka na jedną noc, niedługo po ich przybyciu do Ragosy. Zrobiła to z życzliwości i bez obietnic. Przez taki obojętny fizyczny kontakt niemal na pewno zamierzała wyleczyć go z młodzieńczych pragnień. Alvar, sam niepozbawiony inteligencji, był tego prawie pewien. Dzehana nie zostawiła mu żadnych romantycznych złudzeń co do znaczenia tej wspólnie spędzonej nocy. Alvar wiedział, że jest mu życzliwa. Chociaż podróż przebiegła spokojnie, była mu wdzięczna za towarzystwo, przekonała się, że jest odpowiedzialny i godny zaufania. Jako człowiek spostrzegawczy, on sam zrozumiał, że Dzehana także doświadcza czegoś nowego i nie wie jak postępować.

Wiedział także, że go nie kocha, że poza aktem fizycznym, nocną harmonią dwojga młodych ciał, ich związek nie ma perspektyw. Jednakże ta noc spędzona w jej pokoju nie tylko nie oczyściła go z miłości do Dzehany, ale przypieczętowała jego uczucia niczym rozgrzany wosk.

W starych opowieściach, które kucharki snuły wieczorami w gospodarstwie, siedząc przy kominku, dzielni Jeźdźcy boga zakochiwali się w nieszczęsnych pannach od pierwszego wejrzenia i na całe życie. W upadłym, podzielonym i rzeczywistym świecie coś takiego nie mogło się zdarzyć. Alvarowi de Pellino się przydarzyło.

Nie robił z tego wielkiego problemu. Kochał Dzehanę bet Iszak, kindathijską lekarkę. Był to fakt istnienia, tak samo jak poranne miejsce wschodu bożego słońca albo odpowiedni sposób sparowania ciosu zadanego lewą ręką w kolana. Idąc zatłoczonymi ulicami Ragosy, Alvar czuł się o wiele starszy niż wtedy, gdy ruszał na południe z Rodrigiem Belmontem po odbiór letniego *parias*.

Teraz była już jesień. Wiatr wiejący z północy, od Jeziora Serrana, był chłodny rankiem i czasami przejmująco zimny nocą. Wszyscy żołnierze nosili płaszcze, a jeśli odbywali służbę po zachodzie słońca, mieli pod spodem dwie warstwy ubrania. Nie tak dawno temu, o świcie po nocy spędzonej na północno-zachodnim murze, Alvar widział w blasku niebieskiego księżyca maszty i drzewca łodzi rybackich w zatoce pokryte szronem.

O brzasku następnego dnia liście dębów w rosnących na wschodzie lasach lśniły oślepiająco czerwienią i złotem. Góry Serrana, strzegące od zachodu Ragosy przed wojskami Cartady, a za czasów kalifatu osłaniające ją przed Silvenes, pokryły się w górnych partiach śniegiem. Będzie tam leżał do wiosny. Przełęcz, przez którą Alvar przybył tu razem z Dzehaną i Velazem, jako jedyna była dostępna przez cały rok. Wszystko to powiedzieli mu znajomi w dżadyckich

gospodach w mieście albo przy stoiskach z jedzeniem na targu.

Miał tu teraz znajomych. Nie spodziewał się tego, lecz wkrótce po przyjeździe okazało się, że bynajmniej nie jest jedynym dzadyckim żołnierzem w Ragosie. Najemnicy podążali za pieniędzmi i pracą, a Ragosa dawała i jedno, i drugie. Nikt nie wiedział, na jak długo, ale tego lata i jesieni miasto nad Jeziorem Serrana stało się domem dla najrozmaitszych wojowników z Dżalonii i Valledo, a także z dalszych krain – z Ferrieres, Bachiary, Karchu i Waleski. Jasnowłosi i brodaci karchiccycy olbrzymi z dalekiej północy przestawali – i często wdawali się w bójki – ze szczupłymi, gładko wygolonymi nożownikami z niebezpiecznych miast Bachiary. Rano na targu słyszało się kilkanaście języków. Alvar coraz płynniej mówił po aszarycku i umiał przeklinać w dwóch karchickich dialektach.

W dniu rozstania don Rodrigo wziął Alvara na stronę i powiedział mu, że nie musi się śpieszyć do domu. Pozwolił mu zostać w Ragosie, lecz przykazał wysyłać listy z raportami przez każdego kupca zmierzającego do Valledo.

Trzeciego dnia po przyjeździe Alvar został wezwany przez jednego z dowódców armii króla Badira. Mimo swej różnorodności armia była dobrze zorganizowana i ogromnie zdyscyplinowana. Zauważono go, gdy tylko przejechał przez bramę. Koń i zbroja, które zdobył w Orvilli, były zbyt dobre, by nie został zapamiętany. Został szczegółowo wypytany, zaciągnięty za pieniądze i przydzielony do oddziału. Po kilku dniach pozwolono mu opuścić koszary i zamieszkać z Dżehaną i Velazem w Dzielnicy Kindathów, co go zaskoczyło. W Esterenie coś takiego by nie nastąpiło.

Stało się tak dzięki pozycji Dżehany. Została natychmiast wprowadzona na dwór jako najmłodsza lekarka króla i jego niesławnego kindathijskiego kanclerza, Masura ben Avrena. Oficjalne stanowisko, jakie zajmowała w pałacu – w Ragosie, jak wszędzie indziej na świecie – niosło ze sobą pewne korzyści.

Niestety, w ciągu pierwszych dwóch tygodni po przenosinach z koszar Alvar wdał się nie z własnej woli w trzy bójki. Tak było wszędzie – bez względu na królewskie dekryty żołnierze mają swoje własne kodeksy i młodzi wojownicy obdarowani szczególnymi przywilejami muszą być gotowi dowieść, że mają do nich prawo.

Alvar walczył. Nie na śmierć, bo to było zakazane w mieście, które potrzebowało najemników, ale zranił dwóch ludzi i otrzymał cięcie po zewnętrznej stronie ręki dzierżącej miecz, co na krótko wzbudziło troskę Dżehany. Widok jej zmartwionej twarzy wart był rany i blizny, która po niej została. Alvar spodziewał się ran i blizn; był żołnierzem, a takie rzeczy idą w parze z wybranym przez niego życiem. Poza tym przebywał w Ragosie jako znany przedstawiciel oddziału Rodriga Belmontego i w trakcie bójki miał świadomość, że nie może przynieść ujmy dumie ludzi Komendanta oraz sławie, jaką się cieszyli. Rolę tę wziął na siebie w pojedynkę, zdając sobie sprawę ze spoczywającej na nim odpowiedzialności.

Do czasu, kiedy pod koniec lata sam don Rodrigo przebył na swoim karym koniu przełęcz i stawił się w Ragosie ze stu pięćdziesięcioma żołnierzami oraz handlarzem jedwabiem; stanowili wspaniały widok, jadąc ku murom miasta wzdłuż brzegu jeziora wśród trzepotu sztandarów rodu Belmonte i Valledo.

Wtedy sytuacja się zmieniła. Sytuacja zaczęła się zmieniać wszędzie.

– Na źrenice świętego boga! – zawołał z przerażeniem Lain Nunez, kiedy Alvar przyszedł się zameldować pierwszego dnia. – Tylko popatrz! Chłopak zmienił wiarę! Co ja powiem jego biednemu ojcu?

Komendant przyjrzał się z rozbawieniem ubrani Alvara i powiedział tylko:

– Otrzymałem trzy sprawozdania. Wygląda na to, że dobrze się nam przysłużyłeś. Powiedz mi dokładnie, jak zostałeś zraniony i co zrobiłbyś inaczej następnym razem.

Alvar powiedział mu, szczerząc w uśmiechu zęby i czując rozlewające się po całym ciele ciepło jak po wypiciu niezmieszanego wina.

Teraz, w jakiś czas później, biegł przez targowisko pod błękitnym niebem chłodnego jesiennego poranka, by znaleźć Džehanę i przekazać jej ważną wiadomość, i wiedział, że ludzie go rozpoznają, zazdroszczą mu, a nawet nieco się go obawiają.

Nikt już nie wyzywał go na pojedynki. Będący na wygnaniu słynny don Rodrigo z Valledo zawarł z królem Badirem niezwykle korzystny kontrakt i otrzymał z góry zapłatę za cały rok. Coś takiego nie zdarzyło się jeszcze nigdy.

Ludzie Rodriga byli teraz żołnierzami w Ragosie i stanowili kwiat sił zbrojnych, mających utrzymywać porządek w mieście i okolicy, dawać odpór Cartadzie, ambitnej ostatnio Dżalonii oraz co większym wypadom wyjętego spod prawa wodza, ibn Hassana, prowadzonym z jego leżącej na południu fortecy w Arabastrze. Przebywanie w Ragosie było niebezpieczne, a niebezpieczeństwa zróżnicowane.

Tego ranka życie wydawało się młodemu Alvarowi de Pellino wspaniałe, a olśniewająca, kulturalna Ragosa była najbardziej cywilizowanym miejscem na świecie.

Alvar był w pałacu z Džehaną, a także kilka razy z Rodrigiem. Przez środek kompleksu płynął strumień, który nawadniał niektóre z wewnętrznych ogrodów i dziedzińców, oraz, w jakiś niepojęty dla Alvara sposób, przepływał przez największą salę biesiadną.

Podczas najwystawniejszych uczt król Badir – człowiek zmysłowy, lubiący sobie dogadzać i niezaprzeczalnie sprytny – lubił, by dania płynęły wzdłuż tego strumienia na tacach, które zbierali z wody półnaczy niewolnicy i podawali królewskim gościom, spoczywającym na leżankach wedle dawnego obyczaju. Alvar wspomniał o tym w liście do rodziców; wiedział, że mu nie uwierzą.

Ostatnimi czasy zwykle starał się nie biegać ulicami – było to zachowanie dziecinne i pozbawione godności – lecz poranna wiadomość była nadzwyczajna i chciał, by Džehana

usłyszała ją od niego.

Zarzuciło go, kiedy skręcał przy straganie rymarza, więc chwycił się słupka markizy, by nie upaść. Słupek się zachwiał, a materiał niebezpiecznie przechylił. Rymarz, którego Alvar znał, skwitował jego rzucone przez ramię przeprosiny rutynowym przekleństwem.

Dzehanę i Velaza można było znaleźć w ich własnej budce na targu. Lekarka kontynuowała dzieło jej ojca i własne, rozpoczęte w Fezanie. Mimo sowitego wynagrodzenia otrzymywanego z pałacu, w poranek targowy zawsze pojawiała się w budce, a w pomieszczeniach dla pacjentów dwa razy w tygodniu po południu. Powiedziała Alvarowi, że lekarz powinien być znany także poza komnatami pałacu. Nauczył ją tego ojciec. Lekarz może wyjść z mody na dworze równie łatwo, jak w nią wejść. Odcięcie się od innych źródeł pacjentów nigdy nie było rozsądnym posunięciem.

To Velaz powiedział Alvarowi o losie ojca Dzehany.

Przed przybyciem Rodriga jadalili razem kolacje w te wieczory, kiedy Dzehana za dnia przebywała na dworze, a Alvar nie miał warty albo patrolu. Tej nocy, kiedy usłyszał historię Iszaka ben Jonannona i najmłodszego syna króla Almalika, Alvarowi śniło się, po raz pierwszy, lecz nie ostatni, że zabija króla Cartady i wraca przez górską przełęcz do Dzehany w Ragosie z wieściami, że jej ojciec został pomszczony za ból znoszony w ciemności i milczeniu.

Poranna wiadomość położyła kres temu szczególnemu snowi.

Nie zastał Dzehany w budce. Velaz był sam – chował leki i narzędzia, ponieważ zamykał wcześniej. Zapewne wyszła niedawno; przed budką wciąż kłębili się pacjenci. Prowadzone szeptem rozmowy ożywiały pomruk podniecenia i lęku.

– Velazie! Gdzie ona jest? Mam wieści! – wydyszał Alvar.

Biegł całą drogę od zachodniej bramy.

Velaz obejrzał się na niego przez ramię z trudnym do odczytania wyrazem twarzy.

– Alvarze. Mieliśmy wiadomość z pałacu. Almalik nie żyje. Jest tu Zabira z Cartady. Dzehana poszła na dwór.

– Po co? – zapytał ostro Alvar.

– Masur ją wezwał. Teraz, kiedy coś się dzieje, chce ją mieć przy sobie.

Alvar o tym wiedział i wcale go to nie cieszyło.

Z niezwykle rzadko zdarzających się jej miłosnych nocy Dzehana czerpała zdrowe zadowolenie.

Miała też równie zdrowe poczucie szacunku do samej siebie. Powszechnie przyjmowane prawdy, że Masur ben Avren, doradca króla Badira z Ragosy, jest najznamienitszym w Al-Rassanie, najroztropniejszym, najsubtelniejszym, a także najbardziej hojnym członkiem społeczności Kindathów, nie przeczyły równie fundamentalnemu faktowi, że jest najbardziej

nienasyconym seksualnie mężczyzną, jakiego kiedykolwiek spotkała, a nawet o jakim kiedykolwiek słyszała, oprócz królów mających haremy.

W pewnym sensie on też był królem i równie dobrze mógł mieć harem. Ben Avrena znano w całym Al-Rassanie jako księcia Kindathów i chociaż zdecydowanie wypierał się tego tytułu – było to rozsądne działanie, zważywszy na złowrogą czujność wadżich – tkwiło w nim ziarno prawdy.

Bez względu na to, czy był królewskiej krwi, czy nie, Dzehana nie chciała sypiać z człowiekiem, który wyraźnie spodziewał się, że ma do tego prawo.

Przekazała mu to jak najdobitniej pierwszego wieczoru, kiedy zaprosił ją na kolację do swoich prywatnych komnat w pałacu. W jednej z nich było dwóch muzyków. Stało się jasne, że mieli zostać po posiłku i grać, kiedy kanclerz będzie się zabawiał ze swoją towarzyszką.

Dzehana miała inne plany.

Masur ben Avren, który wydawał się bardziej rozbawiony niż rozczarowany czy zagniewany, zadowolił się zakończeniem kolacji słodkim winem i ciasteczkami, opowiadaniem anegdot o ojcu Dzehany, którego dobrze znał, i wyczerpującym sprostowaniem myśli swego gościa na temat prawdopodobnego rozwoju wydarzeń w Fezanie, tak wśród społeczności kindathijskiej, jak i w całym mieście. Przede wszystkim był kanclerzem Ragosy i dał to wyraźnie do zrozumienia.

Jednakże równie wyraźnie okazał, że spodziewa się, iż jej opór wobec niego jest tymczasowy i że uważa go raczej za pozę. Tego roku skończył pięćdziesiąt siedem lat, był szczupły i w dobrej formie, miał bujną grzywę siwych włosów przykrytych kindathijską czapeczką z miękkiej niebieskiej tkaniny, starannie przystrzyżoną, uperfumowaną brodę, modulowany, poważny głos i umysł, który bez wahania przeskakiwał z poezji na wojskowe plany. Poza tym spojrzenie jego piwnych oczu, przysłoniętych ciężkimi powiekami jednoznacznie zdradzało człowieka przyzwyczajonego do sprawiania przyjemności kobietom, a także tego, by kobiety sprawiały przyjemność jemu.

W nadchodzącym okresie zdarzały się dnie i noce, kiedy Dzehana zadawała sobie pytanie, czy jej opór wobec niego nie wynika w gruncie rzeczy tylko z dumy. Najczęściej odpowiadała sobie przecząco. Chociaż ben Avren był dla niej uprzejmy i budził jej pożądanie, obrzucał dokładnie takim samym taksującym spojrzeniem zbyt wiele innych kobiet. Właściwie wszystkie kobiety. Na pewno nie czekał na jej względy w stanie cnotliwego niespełnienia. W gruncie rzeczy nienasycony głód Masura był w pewien sposób godny podziwu. Niewielu mężczyzn w jego wieku potrafiło mieć taki apetyt, nie mówiąc już o jego zaspokajaniu.

Jego rozbawienie odmową Dzehany nie słabło, podobnie jak pełna dowcipu i elegancji uprzejmość czy zaproszenie, zawsze kryjące się tuż pod powierzchnią owej uprzejmości. Nigdy nie okazał cienia gniewu czy chęci użycia siły. Był to przecież jeden z najbardziej obytych ludzi w Al-Rassanie. Pytał Dzehanę o zdanie, czym bardzo jej pochlebiał. Musiała uważać na to, co

mówiła, i nie odpowiadać zbyt szybko.

W miarę upływu czasu zaczęła zauważać u siebie zmiany w sposobie myślenia. Zastanawiała się, o co może ją zapytać Masur, i z góry obmyślała odpowiedzi. Zawsze sprawiał wrażenie, że jej słucha, co w doświadczeniach Dzehany było rzadkością.

Przyjęło się, że nowa lekarka dworu stale towarzyszy kanclerzowi, czy to w sali audiencyjnej, czy gdzie indziej. Wszyscy na dworze, nawet król Badir, sprawiali wrażenie świadomych, że ben Avren uparcie się do niej zaleca. Najwyraźniej stanowiło to dla nich źródło rozrywki. Była przecież kobietą jego wiary, co tym bardziej czyniło ten nadzwyczaj publiczny taniec zabawniejszym. Tymczasem lato ustąpiło jesieni i pałacowe stroje zmieniały się wraz ze zmieniającymi barwy liśćmi w ogrodach oraz lasach za murami miasta.

Dzehana nie chciała stanowić źródła rozrywki dla kogokolwiek, lecz nie mogła zaprzeczyć, że przyjemnie jest uczestniczyć w życiu tak wyrafinowanego dworu. Nie mogła też narzekać na brak szacunku okazywanego jej jako lekarce. Zapewniło go na początku imię jej ojca, a ona sama ten szacunek utrwalała biegłością okazaną w wielu przypadkach chorób.

A potem przybył ze swoim oddziałem Rodrigo Belmonte, wygnany z Valledo w następstwie znanych jej wydarzeń. Wyglądało na to, że Dzień Fosi i spalenie Orvilli zmieniły nie tylko jej życie.

Sytuacja znów się zaczęła zmieniać. Alvar zamieszkał w koszarach z resztą oddziału Rodriga, zostawiając ją samą z Velazem. Odejście młodzieńca stanowiło dla Dzehany źródło i ulgi, i żalu. To drugie nieco ją zaskoczyło. Jego uczucia do niej były nadto oczywiste i nadto wyraźnie przerastały to, na co miała nadzieję – że są przemijającym afektem młodego człowieka dla swej pierwszej miłości.

Dzehana jednak dostrzegła w Alvarze de Pellino coś więcej i musiała przyznać, że podczas nieprzerwanego oblężenia kanclerza, kiedy duma nie pozwalała jej wejść do jego łóżka, myślała o tym, by znów się schronić u jej dżadyckiego żołnierza. Prawdę powiedziawszy, nie był jej żołnierzem i zasługiwał na lepsze traktowanie. Choć Alvar był młody, Dzehana widziała u niego wyraźnie cechy, które sprawiły, że Rodrigo Belmonte wziął go ze sobą na południe, a potem pozwolił samemu towarzyszyć jej do Ragosy. Ona jednak nie pragnęła życia domowego, gdyby chciała, mogłaby już je prowadzić w Fezanie z kilkoma Kindathami, a nie z dżadytą z północy.

Być może nadejdzie dzień, kiedy pożałuje powziętych i niepowziętych decyzji, ścieżek, którymi podążyła i przez co teraz była sama, dawno przekroczywszy najlepszy wiek do zamążpójścia; na razie jednak ten dzień był jeszcze odległy.

Po odejściu Alvara ich mały dom i pomieszczenia do przyjmowania pacjentów wydawały się ciche i puste. Dzehana nabrała zwyczaju omawiania z nim wydarzeń dnia. Jakież to domowe, myślała cierpko. Prawda jednak była taka, że wiele razy myśli, które później przekazywała kanclerzowi, były myślami Alvara, którymi dzielił się z nią późnym wieczorem nad kielichem

wina.

Młodego dzadyty brakowało chyba nawet Velazowi; Dzehana nie spodziewała się, że ci dwaj się zaprzyjaźnią. Śpiewając pieśni tryumfu słonecznego boga, dzadyci Esperanii wyrzynali Kindatliów przez długie stulecia albo, w pokoleniach nieco mniej krwiożerczych, zmuszali ich do zmiany wiary czy też czynili z nich niewolników. Z takiej historii przyjaźń nie wyrastała łatwo, może nawet trudniej niż miłość.

Trudno było jednak traktować z tą zadawnioną, zatwardziałą goryczą Alvara de Pellino. Albo Rodriga Belmontego, skoro już o tym mowa. Komendant wciąż chciał zwerbować Dzehanę jako lekarkę swego oddziału; dał jej to wyraźnie do zrozumienia zaraz po przybyciu. Powiedział, że to jeden z powodów, dla których się znalazł w Ragosie. Nie uwierzyła, ale i tak to powiedział, a ona sama wiedziała, jak ważny dla oddziału bojowego jest dobry lekarz i jak trudno go znaleźć.

Pamiętała tamtą nocną jazdę na jednym koniu przez tereny położone na północ od Fezany i przez rzekę, z płonąca za nimi Orvillą i trupami leżącymi na trawie. Pamiętała słowa wypowiedziane później przy obozowym ognisku. On też je pamiętał; widziała to w jego szarych oczach. Rodrigo nadal ją zaskakiwał.

Drażniła się z nim wtedy podczas tej samotnej jazdy pod dwoma księżycami, kładąc mu dłonie na udach. Była rozdrażniona, celowo prowokująca. Nie sądziła, że mogłaby zaryzykować podobne zachowanie jeszcze raz. Trudno jej było uwierzyć, że w ogóle zrobiła coś takiego. Alvar twierdził, że Komendant jest żonaty z najpiękniejszą kobietą w Valledo.

Rodrigo mówił o swojej żonie owej nocy pod Fezaną tak, jakby budziła powszechną grozę. Miał dziwne poczucie humoru. Alvar go uwielbiał. Cały oddział go uwielbiał. To było oczywiste, a wiele mówiące.

Od jego przybycia rzadko rozmawiali i nigdy na osobności. To właśnie przy innych, wśród których znajdował się kanclerz ben Avren, na przyjęciu odbywającym się na pałacowym dziedzińcu, Rodrigo ponownie wyraził zamiar zwerbowania Dzehany. Masur, obserwując ich, uniósł brwi, lecz później, gdy znaleźli się sam na sam, nie poruszył tej sprawy. Dzehana też tego nie zrobiła.

Na początku jesieni, gdy było jeszcze ciepło, Rodrigo zwykle przebywał poza murami, dowodząc swym oddziałem – lub jego częścią – podczas drobnych wypraw, mających na celu rozprawienie się z bandami wyjętych spod prawa grasującymi na północnym wschodzie, oraz demonstrację siły w niewielkim acz ważnym mieście Fibaz, leżącym niedaleko przełęczy, która prowadziła do Ferrieres. Ragosa kontrolowała Fibaz i ściągала zeń podatki, lecz król Bermudo z Dżalonii miał na nie coraz bardziej oczywiste zakusy.

Już wysunął pierwsze żądanie daniny, biorąc jako przykład *parias* ściągane w złości z Fezany przez swojego bratanka w Valledo. Dzadyci się rozzuchwalali. Mając w pamięci ową rozmowę odbytą w księżycowym blasku przy obozowym ognisku, Dzehana zapytała kiedyś

Masura, jak długo według niego królewiczka utrzymają się w Al-Rassanie. Nie odpowiedział jej.

Rodrigo dał wyraźnie do zrozumienia, że chce, by podczas tych wczesnych wypraw Dżehana towarzyszyła oddziałowi jako lekarka. Wiedziała, że mogłyby stanowić sprawdzian dla nich obojga. I w pewnym sensie nie tylko ona o tym decydowała. Mogła przyjąć propozycję lub ją odrzucić, ale tego nie zrobiła, czekając na rozwój wypadków. Król Badir obiecał swojemu najnowszemu dowódcy najemników, że zastanowi się nad tą sprawą, i natychmiast zwiększył obowiązki Dżehany na dworze. Wiedziała, że stoi za tym Masur. Nie była pewna, czy ma być zirytowana, czy rozbawiona. Według warunków umowy mogła odejść w każdej chwili, ale oni postanowili jej to utrudnić. Rodrigo, który przez całą jesień wciąż wyjeżdżał z miasta i do niego wracał, czekał na właściwy moment.

Na kilka z tych wypraw wybrał się z nim Husari ibn Musa. Były pacjent Dżehany zmienił się niemal nie do poznania. Nie był już korpulentnym, rozlazłym kupcem, ponieważ w parę miesięcy stracił sporo wagi. Wyglądał teraz na młodszego, bardziej twardego. Mówił, że kamienie nerkowe już mu nie dokuczają. Mógł cały dzień spędzić w siodle i uczył się władania mieczem i łukiem. Nosił, nawet w mieście, szerokoskrzydły dzadycki kapelusz ze skóry. Dżehana powiedziała żartobliwie, że wyglądają z Alvarem, jakby się zamienili kulturami. Kiedy ujrzeli się po raz pierwszy, wybuchnęli śmiechem, a potem wpadli w zadumę.

Dżehana uznała, że skórzany dzadycki kapelusz stanowi dla Husariego niejako symbol. Przypomnienie. On też poprzysiągł zemstę i pamięć o tym sprawiła, że zdumienie lekarki zmianami, jakie w nim zaszły, było mniejsze. Nadal prowadził interesy, co powiedział pewnego wieczoru, kiedy przyszedł do niej na kolację, jak niegdyś przychodził do domu jej ojca. Faktorzy Husariego byli zajęci w całym Al-Rassanie, nawet tu, w Ragosie, dodał, kiedy służący wynajęty przez Velaza nalewał im wina. Teraz, jak powiedział Husari, miał po prostu inne priorytety. Od Dnia Fosy. Zapytała ostrożnie, jakimi sprawami zajmuje się w Cartadzie, lecz zignorował to pytanie.

To interesujące, myślała Dżehana, leżąc tej nocy w łóżku; wszyscy ci mężczyźni, którzy jej ufali, nie chcieli odpowiadać na pewne pytania.

Oprócz Alvara. Była pewna, że odpowiedziałby na wszystko, o co by go spytała. W świecie zawołanych intryg wiele przemawiało za szczerością. Co prawda, jeśli chodzi o bezpośredniość, to miała Velaza. Zawsze miała Velaza. Było to większe błogosławieństwo, niż jej się należało. Pamiętała, że to ojciec zmusił ją do zabrania ze sobą Velaza, gdy opuszczała dom.

Przy tym wszystkim trzej pozostali dworscy lekarze króla aktywnie jej nienawidzili. Tego należało się spodziewać. Kobieta, do tego Kindathijka, i to protegowana kanclerza? Otwarcie namawiana do współpracy przez najslynniejszego dzadyckiego dowódcę? Ma szczęście, że jej nie otruli, napisała w liście do don Rezzoniego z Soreniki. Poprosiła go, by nadal pisał do jej

ojca. Stwierdziła, że są powody przypuszczać, że teraz może otrzymać odpowiedź. Sama pisała do domu dwa razy w tygodniu. Dostawała listy. Pochyłe kindathijskie litery były nakreślone starannym pismem matki, lecz czasami treść dyktował ojciec. Wyglądało na to, że na świecie zdarzają się jeszcze miłe drobiazgi.

Naturalnie, w liście do nich nie pozwoliła sobie na ten żart o otruciu. Rodzice z pewnością zaczęliby się o nią bać.

Owego jesiennego poranka, kiedy posłaniec Masura przyniósł jej wieści z Cartady i poprosił, by udała się z nim na dwór, potraktowała tę sprawę poważnie.

Wyglądało na to, że ktoś jednak został otruty.

Kiedy Dżehana przybyła do pałacu i skierowała się na Dziedziniec Strumieni, gdzie król oczekiwał gościa, nikt nie myślał ani nie szeptał o niczym innym.

Almalik z Cartady, samozwańczy Lew Al-Rassanu, nie żył, a pani Zabira – bardziej wdowa po nim niż była kurtyzana – przybyła niespodzianie tego ranka z pokorną prośbą do króla Badira. Ktoś szepnął, że w ucieczce przez góry towarzyszył jej tylko zarządca.

Na Dżehanie, która odbyła tę samą podróż tylko z dwoma towarzyszami, nie zrobiło to wrażenia. Ale też zupełnie nie potrafiła zidentyfikować uczuć, jakie wywołała w niej wiadomość o śmierci króla. Będzie na to potrzebowała dużo czasu. Na razie docierał do niej tylko fakt, że człowiek, którego przysięgła zabić, zginął z ręki Ammara ibn Khairana – jeszcze nie było wiadomo, w jaki dokładnie sposób – a kobieta, która urodziła dziecko i przeżyła to tylko dzięki ojcu Dżehany, miała wkrótce przejść pod łukami po przeciwnej stronie tego ogrodu.

Poza tymi dwoma wyraźnymi faktami, w myślach Dżehany panował całkowity zamęt, zmieszany z odczuciem bliskim bólowi. Opuściła Fezanę, przysięgłszy, że coś zrobi, a następnie spędziła wiele miesięcy w tym mieście, zadowolona z pracy na dworze, zadowolona – jeśli miała być uczciwa – ze schlebiających jej atencji niezwykle kulturalnego człowieka, zadowolona z potyczek o jej usługi jako lekarki. Ciesząc się życiem. I nic nie robiąc w sprawie Almalika z Cartady oraz obietnicy, którą złożyła samej sobie w Dniu Fosy.

A teraz było już za późno. Teraz już zawsze będzie za późno.

Zajęła swoje stałe miejsce na brzegu strumienia, niedaleko Masura, który stał po prawicy króla, na wysepce. Do wody wpadały niesione wiatrem liście i odpływały z prądem. Ilekroć Dżehana przebywała w tym ogrodzie, czy to za dnia, czy w nocy przy świetle pochodni, zawsze była świadoma jego piękna. Jesienią kwitły już tylko późne kwiaty, lecz liście spadające w blasku słońca, czy też jeszcze trzymające się drzew, olśniewały różnorodnością barw. Wiedziała, jakie wrażenie może wyrzucić ten ogród na osobie, która widzi go po raz pierwszy.

Dziedziniec Strumieni został zaprojektowany i stworzony przed wielu laty. Strumień płynący przez salę biesiadną został dalej skierowany do tego ogrodu i rozdzielony na dwa nurty, co

utworzyło wśród drzew, kwiatów i marmurowych rzeźbionych arkad wysepkę, na którą prowadziły dwa łukowate mostki. Na tej wysepce, na ławie z kości słoniowej siedział teraz król Badir, a obok niego zajęli miejsca jego najbardziej cenieni dworzanie. Pomniejsi dworacy czekali w jesiennym słońcu, na przybyłą do Ragosy kobietę, stojąc wzdłuż łagodnie wygiętej ścieżki, prowadzącej do jednego z mostków.

Wśród drzew śmigały ptaki. Na przeciwnym brzegu odgałęzienia strumienia płynącego za wysepką grało czterech muzyków. W wodzie pływały złote rybki. Było chłodno, ale gdy stanęło się na słońcu, jego promienie przyjemnie grzały.

Po drugiej stronie ogrodu Dzehana dostrzegła wśród wojskowych Rodriga Belmontego. Dwie noce wcześniej wrócił z Fibazu. Napotkał jej wzrok, a ona poczuła się obnażona pod jego zamyślonym spojrzeniem. Nie miał prawa, po ich dość krótkiej znajomości, patrzeć na nią tak szacujące. Przypomniała sobie nagle, jak przy ognisku na fezańskiej równinie powiedziała mu, że zamierza się rozprawić z Almalikiem z Cartady. To przywiodło jej na myśl Husariego – on także tam był owej nocy i wyraził ten sam zamiar – który zapewne podobnie jak ona doświadczał trudnego do uporządkowania natłoku myśli i emocji.

„Jeśli ktoś nie ubiegnie nas obojga”, powiedział wówczas. Ktoś ich ubiegł.

Husariego teraz tu nie było. Nie miał na dworze żadnej pozycji. Dzehana żywiła nadzieję, że będzie miała okazję porozmawiać z nim później. Pomyślała o ojcu w Fezanie i o tym, co mu uczynił właśnie uśmiercony król.

W dalekim końcu ogrodu między kolumnami koralowej barwy pojawił się herold odziany w zieleń i biel. Muzycy przestali grać. Na chwilę zapadła cisza, a potem odezwał się jakiś ptak szybkim trylem. Otworzyły się spiżowe drzwi i została zapowiedziana Zabira z Cartady.

Weszła pod łuki arkad i zaczekała między kolumnami, aż herold zrobi jej miejsce. Przybyła bez ceremonii, a jedyny jej towarzysz, zarządca, szedł dwa kroki za nią. W miarę, jak kobieta przybliżała się ścieżką, Dzehana spostrzegła, że w opisach jej urody nie było przesady.

W pewnym sensie wejście Zabiry z Cartady stanowiło swoją własną ceremonię. Była przepiękną błagalnicą w szkarłatnej szacie z czarnym obszyciem, pod którą włożyła złocistą cieńszą suknię. Jej nadgarstki, szyję i palce ozdobiła biżuteria, a na miękkiej czapeczce z czarnego jak noc jedwabiu lśniły w słońcu rubiny. Miała tylko jednego strażnika, a wyglądało na to, że przewiozła przez góry nadzwyczajny skarb. Była zatem albo lekkomyślna, albo zdesperowana. Była także olśniewająca. Jeśli ta kobieta zostanie tu dłużej, pomyślała Dzehana, w Ragosie zmieni się moda.

Zabira poruszała się bez wysiłku z wyćwiczonym wdziękiem, nie przejawiając w najmniejszym stopniu zachwyty czy zdumienia, po czym dotknęła czołem ziemi w pełnym ukłonie przed królem Badirem. Najwyraźniej nie była to kobieta, którą mógł zdumieć ogród czy dziedziniec, nawet taki jak ten. Dzehana uznała, że nawet by nie mrugnęła na widok strumienia

płynącego przez salę biesiadną. A potem jej myśli zajęło coś zupełnie innego.

Większość dworu wlepiła ze szczerym podziwem wzrok w Zabirę. Król Badir otrząsnął się jednak w chwili, gdy kobieta dotknęła czołem ziemi przed łukowatym mostkiem prowadzącym na wysepkę. Podobnie uczynił jego kanclerz.

Płynąca wysoko po niebie chmura przesłoniła słońce; powietrze na chwilę się ochłodziło, co przypomniało wszystkim, że jest jesień. W tej chwili najnowsza lekarka w Ragosie podażyła wzrokiem za spojrzeniem króla, omijającym klęczącą kobietę, i poczuła, że ma trudności z oddychaniem.

Tak się złożyło, że Zabira z Cartady już nie skupiała na sobie uwagi najnowszego i najbardziej znaczącego spośród dowódców najemników na dworze króla Badira.

Rodrigo Belmonte podziwiał u kobiet urodę i opanowanie, a także dowody odwagi; niemal od szesnastu lat był mężem kobiety o takich cechach. Jednakże teraz nawet on omijał wzrokiem Zabirę, patrząc na postać, która zbliżała się do mostka i wysepki o dwa kroki za kobietą.

Słońce wyszło zza chmury i ponownie załało wszystkich swoim światłem. Zabira z Cartady nie podnosiła się z ziemi i stanowiła wśród opadających liści wcielenie piękna i wdzięku. I nawet ona teraz ledwie się liczyła.

Towarzyszem kobiety, jej jedynym towarzyszem, mężczyzną zapowiedzianym jako jej zarządca, był Ammar ibn Khairan.

Garstce nadzwyczaj przenikliwych ludzi przebywających w tym ogrodzie jego obecność wyjaśniała okoliczności śmierci króla Almalika. I chociaż Zabira była najstojniejszą pięknoscią w Al-Rassanie, inteligentną i utalentowaną, oraz matką dwojga ogromnie ważnych dzieci, dla nich liczyło się teraz przybycie tego mężczyzny. Wiedzieli, kim jest i co uczynił – wyglądało na to, że uczynił to dwakroć.

Nie przybył w przebraniu, a w jego prawym uchu lśniła charakterystyczna perła. Rodrigo znał ją z opisów. Czarny strój zarządcy podkreślał jego opanowanie. Z uśmiechem – nie bardzo pełnym szacunku, nie bardzo pasującym do zarządcy – rozglądał się po zebranych dworzanach króla Badira. Rodrigo zauważył, że skinął głową któremuś z poetów.

Ibn Khairan złożył ukłon królowi Ragosy. Gdy się wyprostował, napotkał spojrzenie kanclerza, spojrzął na Dzehanę bet Iszak – uśmiechnął się – a potem uświadomił sobie, że wpatruje się w niego jeden z dzadyckich najemników, odwrócił się więc do niego, i go rozpoznał.

I tak pewnego pogodnego, jesiennego ranka stali na Dziedzińcu Strumieni w Ragosie i pierwszy raz patrzyli na siebie – don Rodrigo Belmonte, Komendant z Valledo, i pan Ammar ibn Khairan z Aldzais.

Dzehana, schwytna w wir własnych emocji, była tam i widziała tę pierwszą wymianę spojrzeń. Odwróciła się od jednego mężczyzny do drugiego i nagle zadrżała.

Alvar de Pellino, który właśnie wtedy wszedł drzwiami znajdującymi się na końcu arkady –

dzięki powiązaniom i z Komendantem, i z Džehaną, oraz pośpiesznemu kłamstwu o wiadomości dla Rodriga – też zdążył zobaczyć tę wymianę spojrzeń i chociaż nie miał pojęcia, kim jest odziany w czerń cartadzki zarządca z kolczykiem w uchu, dostrzegł, że Rodrigo jest poruszony.

Zmrużył oczy w blasku słońca, poszukał wzrokiem Džehany i zobaczył, jak lekarka przenosi spojrzenie z jednego mężczyzny na drugiego. Alvar poszedł w jej ślady, usiłując zrozumieć, co się dzieje. I wtedy zadrżał, chociaż tak naprawdę nie było zimno, a słońce stało wysoko.

W domu, w ich gospodarstwie w najdalszej części Valledo, pomoce kuchenne i służące, które tak daleko na dzikiej północy w większości wciąż były na wpół pogankami, mawiały, że taki dreszcz oznacza tylko jedno: z własnego świata boga, zaginionego Finaru, właśnie wkroczył do królestw śmiertelnych kobiet i mężczyzn posłaniec śmierci.

Nie wiadomo dlaczego zaniepokojony Alvar prześliznął się przez tłum zapelniający ogród i zajął swoje miejsce wśród najemników na bliższym brzegu strumienia, przed wysepką.

Rodrigo i ubrany na czarno cartadzki zarządca wciąż nie odrywali od siebie oczu.

Co zaczęli teraz zauważać i inni – sprawiło to coś w bezruchu obu wojowników. Kątem oka Alvar zobaczył, że Masur ben Avren odwraca się, by spojrzeć na Rodriga, a potem znów na zarządcę.

Wciąż usiłując się zorientować w sytuacji, Alvar szukał w tych dwóch twarzach gniewu, nienawiści, szacunku, ironii, oceny. Nie ujrzał żadnej z tych emocji wyraźnie, a tylko jakby ślady ich wszystkich. Na chwilę przedtem, jak przemówił król Ragosy, uznał, że widzi w oczach obu mężczyzn coś w rodzaju rozpoznania. Nie tylko siebie nawzajem, chociaż to też, ale i czegoś trudniejszego do określenia. Pomyślał, wciąż pamiętając o nocnych opowieściach z dzieciństwa, że można by uznać, że zarówno Rodrigo, jak i zarządca ujrzeli przyszłość.

Alvar, dorosły mężczyzna i żołnierz, stojący wśród innych ludzi w ten bardzo pogodny poranek, nagle poczuł strach, tak jak wtedy, gdy jako dziecko leżał w nocy w łóżku po wysłuchaniu opowieści kobiet w gospodarstwie i nasłuchiwał północnego wiatru, szarpiącego oknami domu.

– Serdecznie witam w Ragosie, pani – mruknął król.

Jeśli zdawał sobie sprawę z narastającego napięcia, to tego nie zdradził. Zachowaniem i tonem głosu okazywał szczerze uznanie. Król Badir był koneserem piękna we wszystkich jego przejawach.

Alvar, zmagający się ze swoim mrocznym nastrojem i chroniony przez prosty fakt bycia zakochanym, pomyślał, że cartadzka dama jest urocza, lecz nadmiernie wystrojona. Ale zachowywała się bez zarzutu. Zeszła z wdziękiem ze ścieżki i stanęła naprzeciwko królewskiej wysepki dopiero wtedy, gdy Badir przemówił.

– Czy to odwiedziny matki? – pytał król. – Przybyłaś, by ocenić naszą królewską opiekę, jaką otaczamy twoje dzieci?

Alvar wiele się nauczył w ciągu tych trzech miesięcy i teraz uświadomił sobie, że król wie, że chodzi o coś więcej. To był pierwszy ruch, otwarcie gry.

– To też, o Prześwietny. – odparła Zabira z Cartady – chociaż nie mam żadnych obaw, jeśli chodzi o twoją dbałość o moich chłopców. Moja wizyta ma jednak większą wagę niż troska i miłość matki.

Mówiła cicho, lecz wyraźnie; był to głos muzyka, głos szkolony.

– Przybyłam, by opowiedzieć o morderstwie. O morderstwie popełnionym na ojcu przez syna i o jego konsekwencjach.

W ogrodzie znów zapadła niemal całkowita cisza; tylko gdzieś na drzewie wciąż śpiewał jeden ptak, wiatr szeleścił wśród liści, dwa strumienie nieprzerwanie pluskały wokół wysepki.

– Wedle świętych nauk Aszara jest nam dane jako prawo, że morderca ojca pozostaje na wieczność nieczysty, ma zostać przez wszystkich odrzucony za życia, stracony albo wypędzony ze wszelkich zgromadzeń, przeklęty przez boga i gwiazdy. Pytam króla Ragosy: czy taki człowiek ma rządzić w Cartadzie?

– A rządzi?

Król Badir był lubiącym sobie dogadzać hedonistą, lecz nikt nigdy nie podawał w wątpliwość bystrości jego umysłu.

– Rządzi. Dwa tygodnie temu Lew z Cartady został podle zabity przez syna, który teraz dzierży berło i szklany pręt i tytułuje się Almalikiem II, Lwem z Cartady, Obrońcą Al-Rassanu. – W ogrodzie rozległ się szmer, gdyż wszystkie te szczegóły składały się na nowinę, która przebyła góry szybciej od posłańców. Zabira wyprostowała się i z rozmysłem podniosła głos. – Przybyłam tu, mój królu, błagać cię, byś uwolnił lud mojego ukochanego miasta od ojcobójcy i królobójcy. Byś wysłał swe wojska na zachód, wypełnił nakazy świętego Aszara i zniszczył tego złego człowieka.

Kolejna fala komentarzy, niczym szmer wiatru w liściach.

– A kto wtedy będzie rządził we wspaniałej Cartadzie?

Wyraz twarzy Badira niczego nie zdradzał.

Kobieta po raz pierwszy się zawahała.

– Miasto jest w niebezpieczeństwie. Dowiedzieliśmy się, że brat uzurpatora, Hazem, przebył cieśninę i zawędrował daleko na południe. Jest fanatykiem i szuka pomocy oraz sojuszu u plemion z pustyń Madżritu. Otwarcie sprzeciwiał się ojcu i wiele lat temu został oficjalnie wydziedziczony.

– O tym wiemy – rzekł cicho Badir. – Tyle wiedzą wszyscy. Któż więc powinien rządzić w Cartadzie? – zapytał ponownie. Teraz nawet Alvar widział, dokąd to wszystko zmierza.

Nie można było zaprzeczyć, że kobieta ma odwagę.

– Tu, w Ragosie, jesteś opiekunem jedynych dwojga lojalnych dzieci króla Almalika –

odparła, tym razem bez wahania. – Składam oficjalną prośbę, byś zajął to miasto w imieniu boga i umieścił tam jako króla Abadiego ibn Almalika. I żebyś aż do osiągnięcia przez niego pełnoletności udzielał mu pomocy i wsparcia.

A zatem zostało to wypowiedziane. Otwarcie. Zaproszenie do zajęcia Cartady oraz płaszcz prawa, którym można by się zasłonić.

Dzehana, słuchająca tej rozmowy z wielką uwagą, przeniosła wzrok za kobietę w szkarłacie i czerni i spostrzegła, że Alvarowi udało się dostać do ogrodu. Odwróciła się na powrót do króla.

Tym razem odezwał się po raz pierwszy kanclerz. Jego głęboki głos był pełen powagi.

– Chciałbym wiedzieć, jeśli mogę, czy jest to także zamysł i pragnienie zarządcy, którego przyprowadziłaś ze sobą?

Dzehana spojrzała szybko na Zabirę i zorientowała się, że kobieta nie zna odpowiedzi na to pytanie; że zagrała własną kartą i czeka, co z tego wyniknie.

Wyłożyła na stół następną kartę.

– To nie jest mój zarządca – rzekła Zabira. – Zapewne wiesz, kim jest ten człowiek. Był na tyle uprzejmy i mnie tu odprowadził, kobietę bezbronną i osamotnioną. Nie śmiem mówić w imieniu Ammara ibn Khairana, panie kanclerzu, mój królu. Nikt z żyjących by tego nie zrobił.

– A zatem może człowiek, który staje przed nami w fałszywym stroju zarządcy, zechce przemówić w swoim imieniu?

W głosie króla Badira pojawiło się ledwie zauważalne napięcie. Dzehana pomyślała, że trudno się temu dziwić, skoro kobieta tak wysoko podniosła stawkę w grze.

Ammar ibn Khairan, którego pocałowała – zdumiewające – w gabinecie jej ojca, spojrzał na króla Ragosy. W jego postawie było widać szacunek, lecz nie uległość. Dzehana po raz pierwszy uświadomiła sobie, jak bardzo hardy potrafiłby być ten człowiek, gdyby zechciał. Przypomniała też sobie, że zabił kalifa, a teraz króla.

– Najlaskawszy królu – odezwał się – znajduję się w kłopotliwych okolicznościach. Właśnie usłyszałem słowa jawnej zdrady wobec mojego królestwa Cartady. Moje dalsze postępowanie powinno być jasne, lecz jestem podwójnie ograniczony.

– Dlaczego? I dlaczego podwójnie? – zapytał z irytacją król Badir. Ibn Khairan wzruszył ramionami. Czekał. Jakby ta kwestia była próbą, ale nie dla niego, tylko dla zebranego w tym ogrodzie dworu Ragosy. Przemówił kanclerz Masur.

– Powinien ją zabić, ale nie może zaatakować kobiety i nie może dobyć broni w twojej obecności. – W jego głosie też brzmiała irytacja. – W gruncie rzeczy nie powinieneś nawet mieć tu broni.

– To prawda – odparł łagodnie ibn Khairan. – Twój strażnicy byli... uprzejmi. Być może zanadto.

– Może nie widzieli powodu, żeby się bać człowieka o twojej... reputacji – mruknął

przesłodzonym tonem kanclerz.

Jest w tym jakiś sztylet, pomyślała Dżehana, wyłapując niuanse tak szybko, jak tylko mogła. Na reputację ibn Khairana składało się wiele rzeczy, a po tym, co usłyszała tego poranka, widziała sprawę w innym świetle. Nie można było powiedzieć, że jest nieszkodliwym człowiekiem. Szczególnie dla królów.

Uśmiechnięty Ammar wyglądał, jakby się delektował tą insynuacją.

– Już dawno nie miałem przyjemności – rzekł pozornie bez związku – prowadzić rozmowy z szanownym kanclerzem Ragosy. Cokolwiek mogą mówić nasi zazdrośni wadzi, pozostaje on chlubą swego narodu i wielkiego króla, któremu służy. Moim wielce skromnym zdaniem.

Wtedy wspomniany król najwyraźniej stracił cierpliwość.

– Zadano ci pytanie – powiedział bez ogródek Badir, co gwałtownie uświadomiło zebranych w ogrodzie, że bez względu na okazywane opanowanie czy subtelność, rządzi tu jeden człowiek.
– Nie odpowiedziałeś na nie.

– Ach, tak – rzekł Ammar ibn Khairan. – To pytanie. – Splótł przed sobą luźno dłonie. Alvar de Pellino, który go bacznie obserwował, zaczął się zastanawiać, gdzie jest ukryta broń. Jeśli w ogóle była. – Wyznam, że pani Zabira mnie zaskoczyła – powiedział ibn Khairan. – I to nie po raz pierwszy.

Alvar zauważył, że kobieta zerka na pływającą wodę.

– Żywiłem niewinne przekonanie, że chciała, bym ją tu odprowadził, ponieważ pragnęła zobaczyć dzieci – rzekł Ammar – i ponieważ nie miała schronienia w Cartadzie. Będąc osobnikiem żałośnie krótkowzrocznym, nie zastanawiałem się więcej nad tymi sprawami.

– To są gierki – stwierdził król Ragosy. – Być może będziemy mieli na nie czas później. Jesteś najmniej krótkowzrocznym człowiekiem na tym półwyspie.

– Czynisz mi zaszczyt tymi słowami, mój królu. Nie zasługuję na nie i mogę jedynie powtórzyć, że nie spodziewałem się usłyszeć tego, co właśnie usłyszałem. W tej chwili moja sytuacja jest dość delikatna. Musisz to dostrzegać. Wciąż jestem związany przysięgą wierności królestwu Cartady. – W jego błękitnych oczach pojawił się błysk. – Jeśli wypowiadam się z niejaką ostrożnością, to może król tak czcigodny i mądry, jak Badir z Ragosy, mógłby mi na to pozwolić.

Mniej więcej w tej chwili Dżehanie przyszło na myśl, że ibn Khairan mógłby z łatwością zostać tu zabity. Król rzucił gniewne spojrzenie i poruszył się niecierpliwie na swojej ławie.

– Rozumiem. Już zostałeś wygnany przez nowego króla Cartady. Natychmiast po tym, jak dokonałeś dla niego tego zabójstwa. To nadzwyczaj sprytne posunięcie tego młodego człowieka – odezwał się Masur.

Badir zerknął na swego kanclerza, a potem znów na ibn Khairana.

Oczywiście, pomyślała Dżehana. To na pewno prawda. Dlaczego inaczej doradca

i powiernik księcia miałby być tutaj z Zabirą, zamiast nadzorować przekazanie władzy w Cartadzie? Czuję się głupio, że jej to umknęło. Co prawda nie jej jednej. Dzehana zobaczyła, jak w całym ogrodzie mężczyźni – oraz garstka kobiet – kiwiają głowami.

– Niestety, kanclerz w swojej mądrości mówi prawdę. Zostałem wygnany. Za wiele wad. – Ibn Khairan mówił to bardzo spokojnie. – Istnieje pewna nadzieja, że dostąpię przebaczenia, jeśli oczyszczę się z rozmaitych nieopisanych niegodziwości.

Uśmiechnął się, a w chwilę później zupełnie niespodziewanie rozległ się śmiech jednego człowieka, co wszystkich zaskoczyło.

Król, jego kanclerz i Ammar ibn Khairan odwrócili się, by spojrzeć na wciąż śmiejącego się Rodriga Belmontego.

– Król Ragosy – powiedział Rodrigo, wielce rozbawiony – powinien uważać, bo inaczej wszyscy wygnańcy na półwyspie będą walić do jego pałacu drzwiami i oknami.

Dzehana zauważyła, że ibn Khairan patrzy na niego już bez uśmiechu.

Rodrigo znów parsknął śmiechem.

– Proszę o wybaczenie, ale może żołnierz pomoże rozwiązać tę trudność? – Zaczekał, aż król skinie głową, i mówił dalej: – Pan ibn Khairan znajduje się w sytuacji dziwnie podobnej do mojej. Został wygnany, lecz nie zaproponowano mu złożenia przysięgi wierności, która zastąpiłaby tę, jaką jest winien Cartadzie. W obliczu braku takiej oferty żadną miarą nie może poprzeć ani nawet skomentować, nie narażając na szwank swojego honoru, propozycji pani Zabiry. W gruncie rzeczy powinien ją zabić nożem przymocowanym do wewnętrznej strony lewego przedramienia. Złóż mu ofertę – zakończył Rodrigo Belmonte.

Zapadła cisza. Dzień wydawał się teraz niemal zbyt jasny, jakby słońce nie pasowało do powagi wydarzeń rozgrywających się tu, na dole.

– Mam zostać najemnikiem?

Ibn Khairan wciąż patrzył na dzadyckiego dowódcę, jakby osoby znajdujące się na wysepce przestały dla niego istnieć. Dzehana znów poczuła dziwny, niesamowity chłód.

– Zgadza się, że mamy niską pozycję. Ale są tacy, co mają jeszcze niższą.

Rodrigo wciąż był rozbawiony albo tylko sprawiał takie wrażenie. Ibn Khairan przeciwnie.

– Nie miałem nic wspólnego z Dniem Fosy – rzekł powoli.

Dzehana wstrzymała oddech.

– Oczywiście – przytaknął Rodrigo Belmonte. – Dlatego zabiłeś króla.

– Dlatego musiałem zabić króla – poprawił go ibn Khairan.

Nad ogrodem przepełnęła i zanikła kolejna fala szeptów.

Tym razem to kanclerz odezwał się z irytacją w głosie, rozmyślnie zmieniając nastrój:

– I mamy zaproponować jakieś stanowisko człowiekowi, który zabija, ilekroć zostaje zraniona jego duma?

Dżehana uświadomiła sobie z niespodziewanym rozbawieniem, że jest rozdrażniony, ponieważ Rodrigo pierwszy złożył tę część układanki.

– Nie ilekroć – odparł cicho ibn Khairan. – Raz w życiu, z żalem i za coś wielkiego.

– Ach! – zawołał sardonicznie kanclerz. – Z żalem. Cóż, to wszystko zmienia.

Po raz pierwszy Dżehana zobaczyła, jak ibn Khairan zachował się niemal impulsywnie. Zanim odwrócił wzrok od twarzy ben Avrena, jego błękitne spojrzenie zlodowaciało. Zacerpnął tchu, rozplótł dłonie i opuścił je. Nie miał na palcach swoich pierścieni. Znów podniósł wzrok na kanclerza i czekał w milczeniu. Jak ktoś spodziewający się kolejnych ciosów. Nie padły żadne, ani słowne, ani innej natury, za to znów odezwał się król, odzyskawszy spokój.

– Gdybyśmy się zgodzili z naszym valledańskim przyjacielem, co mógłbyś nam zaoferować?

Zabira z Cartady, niemal w tym wszystkim zapomniana, odwróciła się i spojrzała na człowieka, który przybył tu jako jej zarządca. Spojrzenie jej ciemnych, starannie podkreślonych oczu było całkowicie nieodgadnione. Kolejne pasmo chmur przesunęło się przed słońcem, zabierając światło i na powrót je oddając.

– Siebie – rzekł Ammar ibn Khairan.

Wszyscy w tym pięknym ogrodzie skierowali wzrok na niego. Arogancja Ammara była oszałamiająca, ale ten człowiek był znany co najmniej od piętnastu lat nie tylko jako dyplomata i strateg, ale jako dowódca wojskowy i najlepszy szermierz w Al-Rassanie.

– To wystarczy – rzekł król Badir, wyraźnie rozbawiony. – Proponujemy ci służbę na naszym dworze oraz w zbrojnych oddziałach przez jeden rok. Zaręczysz honorem, że w tym czasie nie przyjmiesz bez naszego pozwolenia ani nie złożysz oferty służby gdzie indziej. Pozwolimy naszym doradcom zaproponować i omówić warunki. Zgadzasz się?

W odpowiedzi pojawił się uśmiech, taki sam, jaki Dżehana pamiętała z komnaty ojca.

– Zgadzam – odparł ibn Khairan. – Nawet podoba mi się to, że zostałem kupiony. A warunki będą łatwe. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Dokładnie takie, jakie zaproponowałeś naszemu valledańskiemu przyjacielowi.

– Don Rodrigo przybył tu ze stu pięćdziesięcioma konnymi! – wtrącił Masur ben Avren ze sprawiedliwym oburzeniem człowieka, którego zadaniem jest pilnowanie sakiewki w trudnych czasach.

– Nie szkodzi – rzekł ibn Khairan, wzruszając ramionami. Dżehana spostrzegła, że Rodrigo Belmonte się uśmiecha. Pozostali dowódcy przeciwnie. Ogarnęła ich wyczuwalna fala gniewu.

Jeden z mężczyzn wystąpił do przodu. Jasnowłosy olbrzym z Karchu.

– Niech stoczą walkę – powiedział po aszarycku z silnym obcym akcentem. – Mówi, że jest wiele wart. Zobaczmy to. Dobrzy żołnierze dostają tu znacznie mniej. Niech Belmonte i ten człowiek zmierzą się na miecze i udowodnią swoją wartość.

Dżehana spostrzegła, że pomysł ten niczym iskra rozpoczynająca pożar rozpalił wyobraźnię

obecnych w ogrodzie. Nowość, powiew niebezpieczeństwa. Próba.

Król spojrzął z namysłem na karchickiego żołnierza.

– Lepiej nie.

Dżehana bet Iszak zawsze będzie pamiętała tę chwilę. To, jak trzy głosy zlały się w jeden, jak te same słowa zostały wypowiedziane w tym samym momencie.

– Nie możemy sobie pozwolić na ryzykowanie takich ludzi w bezsensownych zabawach – rzekł kanclerz ben Avren.

Rodrigo Belmonte i Ammar ibn Khairan, pozostali dwaj, milczeli, wpatrując się w siebie nawzajem. Rodrigo już się nie uśmiechał.

Masur zamilkł. Cisza się przeciągała. Nawet dowódca z Karchu przeniósł wzrok z jednego niedoszłego przeciwnika na drugiego i cofnął się, mrużąc coś pod nosem.

– Sądzę – odezwał się w końcu ibn Khairan tak cicho, że Dżehana musiała się pochylić, by go słyszeć – że jeśli kiedykolwiek skrzyżujemy miecze, to nie uczynimy tego ku niczyjej rozrywce ani w celu ustalenia rocznej płacy. Wybaczcie, ale odrzucam tę propozycję.

Król Badir wyglądał, jakby chciał coś powiedzieć, ale zerknął na swego kanclerza i zmilczał.

– Przyszedł mi do głowy pewien pomysł – mruknął Rodrigo. – Chociaż nie mam najmniejszych wątpliwości, że pan ibn Khairan jest wart wszystkiego, co król Ragosy zechce mu zaproponować, potrafię zrozumieć, dlaczego niektórzy z naszych towarzyszy pragną zobaczyć, na co go stać. Byłbym zaszczycony, gdybym ku uciesze króla jeszcze tego popołudnia mógł stanąć u jego boku do walki z naszym przyjacielem z Karchu oraz czwórką ludzi, których zechciałby – poprosić o przyłączenie się do niego w szrankach.

– Nie! – zawołał Masur.

– Zgoda – rzekł król Badir z Ragosy. Kanclerz opanował się z trudem. Król mówił dalej: – Z przyjemnością obejrzę taki pokaz. Podobnie jak mieszkańcy mojego miasta. Niech nagrodzą oklaskami dzielnych ludzi, którzy bronią ich wolności. A jeśli chodzi o kontrakt, przyjmuję twoje warunki, ibn Khairanie. Ta sama płaca dla obu moich wygnanych dowódców. Szczerze mówiąc, bawi mnie to.

Naprawdę wyglądał na zadowolonego, jakby odnalazł ścieżkę w gąszczu niuansów, który został utkany w ogrodzie.

– Panie Ammarze ibn Khairanie, najwyższy czas, byś zaczął zarabiać swoje pieniądze. Za chwilę będziemy cię potrzebować do rozważenia pewnych spraw, podniesionych tu tego ranka. Po południu stoczysz walkę dla naszej rozrywki. A potem poprosimy cię o coś jeszcze. – Uśmiechnął się na samą myśl o tym. – O zadeklamowanie wiersza po biesiadzie, którą każemy wyprawić dziś wieczorem na cześć pani Zabiry i twoją. Szczerze mówiąc, zgodziłem się na twoje warunki, ponieważ zyskuję zarazem poetę.

Na początku tej przemowy ibn Khairan patrzył na Rodriga, lecz pod jej koniec całą uwagę

skierował na króla.

– Będę zaszczycony, mogąc ci się przysłużyć w jakikolwiek sposób, mój królu. Czy masz na dzisiejszy wieczór jakiś szczególny temat?

– Ja mam, za łaskawym pozwoleniem króla – wtrącił Masur ben Avren, gładząc palcem wskazującym brodę. Zrobił efektowną pauzę. – Lament na zabitego króla Cartady.

Dzehana nie wiedziała, że kanclerz potrafi być okrutny. Nagle przypomniała sobie, że to ibn Khairan ostrzegł ją w komnacie jej ojca, by uważała na Masura. Gdy tylko to pomyślała, spostrzegła, że Ammar na nią patrzy. Poczowała, że się rumieni, jakby ją na czymś przyłapano; on sam miał zamyśloną minę. Po chwili znów odwrócił się do kanclerza i rzekł:

– Jak sobie życzysz. To godny temat.

Wiersz, który zaprezentował im tego wieczoru po uprzątnięciu nakryć z biesiadnych stołów i po nadzwyczajnym popołudniowym spotkaniu w szrankach pod murami miasta, miał przemierzyć półwysep wzdłuż i wszerz, nawet po niesprzyjających podróżom zimowych drogach.

Jeszcze przed nadejściem wiosny wywołał łzy – najczęściej mimowolne – w dziesiątkach zamków, miast i miasteczek, chociaż Almalik z Cartady był człowiekiem, którego w całym Al-Rassanie bano się najbardziej. Jest starą prawdą, że mężczyźni i kobiety czasami tęsknią za tym, czego nienawidzą, tak samo jak za tym, co kochają.

Tego wieczoru, kiedy lament został zaprezentowany po raz pierwszy, w sali biesiadnej w Ragosie przez człowieka, który wciąż wolał nazywać siebie samego przede wszystkim poetą, zostało już ustalone, że wojna z Cartadą byłaby przedwczesna, bez względu na to, czego mogłaby pragnąć dla swoich synów kobieta nieżyjącego króla. W tej kwestii nie było rzeczywistej różnicy zdań. Zbliżała się zima; to nie był czas dla wojsk. Wiosna niewątpliwie otworzy przed nimi ścieżkę mądrości, tak jak w ogrodach i na łąkach otworzą się kwiaty.

Strzeżenie dwóch chłopców Zabiry stało się ważniejsze niż dotąd; wszyscy zgodzili się również co do tego. Książęta są użyteczni, szczególnie mali. Królewskich pionków nigdy nie ma się za wiele. To była inna stara prawda.

Na samym końcu tego nadzwyczaj długiego dnia i wieczoru – po spotkaniu, po zbrojnym starciu, po bankiecie, po wierszu, toastach i ostatnich kielichach wina wzniesionych we wspaniałej sali, środkiem której płynął strumień – dwóch ludzi wciąż nie spało; rozmawiali w prywatnej komnacie króla Ragosy, gdzie oprócz nich znajdowali się jedynie służdy zapalający świece.

– Wcale nie jestem spokojny – wyznał Masurben Avren swemu królowi.

Badir rozsiadł się wygodnie na niskim fotelu – był to przepiękny mebel, dżadycki w stylu, lecz wykonany z tudeskańskiego drewna, z nogami z kości słoniowej w kształcie lwich łap –

uśmiechnął się do swego kanclerza – i wyciągnął nogi na podnóżku.

Znali się od dawna. Badir na samym początku swego panowania podjął ogromne ryzyko, mianując kindathijskiego kanclerza. Pisma Aszara mówiły wyraźnie: żaden Kindath ani dżadyta nie może mieć jakiegokolwiek niezawisłej władzy nad Zrodzonymi z Gwiazd. Żaden aszaryta nie może nawet przez nikogo takiego zostać zatrudniony. Gdyby stosować kodeks pustyni, karą za coś takiego była śmierć przez ukamienowanie.

Oczywiście nikt, kto miał jakiegokolwiek znaczenie w Al-Rassanie, nie stosował kodeksu pustyni. Ani w czasach kalifatu, ani później. Najbardziej widocznym tego dowodem był kielich wina w ręce króla. Mimo to kindathijski kanclerz stanowił ważną kwestię – król liczył, że wadzi będą jak zwykle narzekać, ale że nie będą w stanie zrobić nic więcej. Istniała szansa, że gdyby lud powstał w słusznym gniewie, ten rzut kostką mógł kosztować Badira nowo objęty tron i życie. W zamian za podjęcie tego ryzyka Masur ben Avren, tak zwany książę Kindathów, uczynił z Ragosa w burzliwych latach po upadku kalifatu królestwo nie tylko niepodległe, ale i drugie co do potęgi w Al-Rassanie. Przeprowadził miasto i jego króla przez niebezpieczne płycizny szybko zmieniającego się świata, pomógł Ragosie zachować wolność, wypłacalność i dumę.

Przez pierwsze lata sam wyprawiał się z wojskiem podczas kampanii prowadzonych na południu i wschodzie i zwycięsko kierował nim w polu.

Jeździł na mule, a nie na zakazanym koniu; Masur wiedział dość, by okazywać wadżim wymagane oznaki szacunku. Niemniej jednak prosta prawda była taka, że Masur ben Avren był pierwszym od pięciuset lat Kindathem, który dowodził wojskiem w zachodnim świecie. Był poetą, uczone, dyplomata, prawnikiem. Oraz żołnierzem. To właśnie te wczesne zwycięstwa militarne zapewniły przeżycie jemu i Badirowi. Można wiele wybaczyć, jeśli wojna idzie dobrze, a armia wraca do domu ze złotem.

Jak dotąd, zostało wybaczone bardzo wiele. Badir rządził z ben Avrenem u boku, a dzielili jeszcze jedno marzenie: pragnienie, by Ragosa była nie tylko wolna, ale i piękna. Chcieli z niej uczynić miasto marmuru, kości słoniowej i ogrodów pełnych cudownych szczegółów. Jeśli leżąca na zachodzie Cartada rządzona przez zniechęconego i budzącego strach Almalika odziedziczyła większą część potęgi kalifów, to Ragosa leżąca nad Jeziorem Serrana była symbolem innych przymiotów, które niegdyś miało Silvenes w utraconych czasach chwały.

Król i jego kanclerz stanowili teraz zgrany zespół; znali się dogłębnie i nie żywili żadnych złudzeń. Obaj wiedzieli, że koniec może nadejść w każdej chwili, z każdej strony. Księżyców przybywa, a potem ubywa. Gwiazdy mogą zostać przesłonięte chmurami lub wypalone przez słońce.

Jeśli mogły upaść Silvenes i Al-Fontina, jeśli to miasto i pałac mogły zostać splądrowane, spalone i pozostawione jako niesiony wiatrem popiół chwały, to można było zniszczyć każde

miasto, każde królestwo. Była to lekcja dla wszystkich, którzy po śmierci ostatniego kalifa sięgnęli po jakąkolwiek władzę na półwyspie.

– Wiem, że jesteś niespokojny – rzekł król, podnosząc wzrok na kanclerza. – Po pierwsze, nie tknąłeś kielicha. Nawet nie wiesz, czego nam nalałem.

Masur uśmiechnął się. Uniósł kielich ze złocistym winem, spojrzawszy nań w blasku świec i upił łyk, zamknawszy oczy.

– Cudowne – mruknął. – Winnice Ardeno i z pewnością późny zbiór. Kiedy przyszło?

– A jak myślisz?

Kanclerz upił kolejny łyk z prawdziwą przyjemnością.

– Oczywiście. Dziś rano. Nie od tej kobiety, jak sądzę.

– Powiedzieli, że tak.

– Oczywiście.

Zapadło milczenie. – Usłyszeliśmy dziś nadzwyczajny wiersz – podjął król cichym głosem.

Ben Avren skinął głową.

– Też tak uważam.

Król Badir przez chwilę spoglądał na swego kanclerza.

– Swego czasu spisywałeś się równie dobrze.

Masur pokręcił głową.

– Dziękuję, panie, lecz znam swoje ograniczenia w tej dziedzinie. – Kolejna chwila ciszy.

Masur pogłaskał starannie przystrzyżoną brodę. – To niezwykle człowiek.

Król nie odrywał wzroku od jego twarzy.

– Zbyt niezwykle?

Ben Avren wzruszył ramionami.

– Sam w sobie może nie, ale nie jestem całkowicie pewien, czy mając tu ich obu, będę w stanie kontrolować przez zimę wydarzenia.

Badir kiwnął głową, upił łyk wina.

– Jak się czuje tych pięciu?

– Podobno dobrze. Dziś w nocy opiekuje się nimi Dżehana bet Iszak. Pozwoliłem sobie poprosić ją o to w twoim imieniu. Jedna złamana ręka. Jeden najwyraźniej nie jest pewien swego imienia ani gdzie się znajduje. – Kanclerz pokręcił ze smutkiem głową. – Złamaną rękę ma ten Karchita, który zaproponował walkę.

– Widziałem. Celowo?

Kanclerz wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia.

– Nadal nie wiem, jak to się stało.

– On też – rzekł ben Avren.

Król pokazał w uśmiechu zęby i po chwili jego kanclerz zrobił to samo. Dwaj służący skończyli już zapalać świece i rozniecać ogień. Stali przy drzwiach komnaty, nieruchomi jak posągi.

– Walczyli, jakby całe życie spędzili razem – stwierdził w zamyśleniu Badir, odstawiając kielich. Spojrzał na kanclerza. Masur nie odwrócił wzroku. – Myślisz o tym, jak ich najlepiej wykorzystać – powiedział król po chwili. – O Cartadzie?

Kanclerz skinął głową. Długo patrzyli sobie w oczy. Zupełnie jakby rozmawiali bez słów. Masur ponownie skinął głową. Blask świec kładł się na poważnej twarzy króla.

– Widziałeś, jak patrzyli na siebie rano w ogrodzie?

– Trudno było tego nie zauważyć.

– Uważasz, że Valledanin dorównuje ibn Khairanowi?

Masur znów pogłaskał palcem brodę.

– Są bardzo różni. Widziałeś ich, panie. Być może. Może nawet... szczerze mówiąc, nie wiem, co o tym myślę, panie. Wiem natomiast, że zgromadziła się tu zbyt wielka potęga i nie sądzę, by między innymi wadżim choć trochę się to spodobało. Dżadyccy żołnierze z Valledo mający współdziałać z tymi zza gór, księżęta zrodzeni z kurtyzany, kindathijska lekarka do pary z kindathijskim kanclerzem, a teraz najmniej religijny człowiek w Al-Rassanie...

– Myślałem, że to ja nim jestem – rzekł król Badir z cierpką miną.

Usta Masura drgnęły.

– Wybacz mi, panie. A zatem dwaj najmniej religijni ludzie.

Badir znów przybrał zamyślony wyraz twarzy. Wypił bardzo dużo wina, ale wcale nie było tego po nim widać.

– Zabira powiedziała, że drugi syn Almalika wyprawił się za cieśninę. Żeby porozmawiać z przywódcami Muwardyjczyków.

– Tak, Hazem ibn Almalik. Wiedziałem o tym. Wybrał się tam już jakiś czas temu. Zatrzymał się na trochę w Tudesce u tamtejszych wadżich.

Badir zastanowił się nad tym. Zakres i dogłębność informacji ben Avrena były legendarne. Nawet król nie znał wszystkich ich źródeł.

– Co o tym sądzisz?

– Prawdę mówiąc, nic dobrego, panie.

– Czy wysłaliśmy w tym roku dary na pustynię?

– Oczywiście.

Badir uniósł kielich i napił się. Usta znów mu drgnęły w tym samym co przedtem cierpkim grymasie rozbawienia.

– Od początku nie mieliśmy gwarancji niczego dobrego, prawda? Przebyliśmy długą drogę, przyjacielu.

– Jeszcze nie dobiegła końca.

– Dobiega? – Król mówił bardzo cicho.

Kanclerz pokręcił głową.

– Jeśli to będzie zależało ode mnie, na pewno nie.

Badir skinął głową i usiadł swobodniej, sącząc wino.

– Będzie tak, jak rozporządzą gwiazdy. Co tymczasem zrobimy z tymi... lwami, przebywającymi teraz w moim mieście?

– Chyba je gdzieś wyślemy.

– Zimą? Dokąd?

– Mam pewien pomysł.

Król się roześmiał.

– Czyż kiedykolwiek było inaczej?

Uśmiechnęli się do siebie. Badir uniósł kielich i w milczeniu pozdrowił gestem kanclerza. Masur wstał i się skłonił, swój kielich odstawivszy na stolik.

– Opuszczę cię – rzekł. – Dobranoc, panie. Niech gwiazdy i duch Aszara przeprowadzą cię bezpiecznie do świtu.

– A twoje księżyce niech ci rozjaśnią mrok, przyjacielu.

Kanclerz skłonił się powtórnie i wyszedł. Bliżej stojący sługa zamknął za nim drzwi. Król Ragosy nie położył się jednak od razu spać. Przez długi czas siedział bez ruchu w fotelu.

Myślał o tym, jak umierali królowie, jak rodziła się ich chwała, trwała przez chwilę i odchodziła. Jak smak tego dobrego wina, pomyślał. Tego daru od Ammara ibn Khairana, który niedawno zabił własnego króla. Co zostawia po sobie król? Co zostawia po sobie każdy? To kazało mu wrócić pamięcią do słów, które usłyszeli po kolacji, spoczywając wygodnie na leżankach w sali biesiadnej, przez którą płynął z cichym szemraniem obłaskawiony strumień, stanowiąc tło recytacji.

Niech dziś wieczorem przemawia tylko smutek.

Niech smutek da imiona księżycom.

Niech bladobłękitny blask zwie się „stratą”, A biały „pamięcią”.

Niech chmury przesłonią światłość Wysokich, świętych gwiazd

I spowiją wodopój, gdzie lubił gasić pragnienie.

Gdzie gromadzą się teraz pomniejszych zwierze, Bo Lew już doń nie przyjdzie...

Badir z Ragosy nalał sobie z rozmysłem resztkę słodkiego, bladego wina i wychylił kielich do dna.

W pałacu w Ragosie jeszcze ktoś położył się późno do łóżka, chociaż dzień i wieczór obfitowały w wydarzenia.

Zawieszony w niewygodnym położeniu między zmęczeniem fizycznym i niepokojem emocjonalnym, pan Ammar ibn Khairan opuścił oddane mu na tę noc eleganckie pomieszczenia, wychodząc na ulicę. Była głęboka noc.

Strażnicy przy tylnych drzwiach rozpoznali go. Wyglądało na to, że wszyscy już go znają. Nic dziwnego. Był człowiekiem, który musiał się przebierać, by w Al-Rassanie móc poruszać się niezauważonym. Zaniepokojeni i podekscytowani strażnicy zaproponowali mu pochodnię i eskortę. Uprzejmie odmówił przyjęcia obu. Dla ochrony miał przy sobie miecz, który im pokazał, po czym zażartował z siebie, a mężczyźni się roześmieli. Po południowej walce raczej nie mogli wątpić, że potrafi się obronić. Jeden z nich to powiedział, wykazując się wielką śmiałością. Ibn Khairan dał mu srebrną monetę i uśmiechnął się; tak samo obdarował pozostałych dwóch strażników. Omal nie wyskoczyli ze skóry, by mu otworzyć drzwi.

Wyszedł na zewnątrz. Owinął się płaszczem podbitym futrem. Znów miał na palcach pierścienie. Przebieranie się za zarządcę nie miało już sensu; spełniło swoją rolę w drodze, w gospodach między Cartadą i Ragosą. W dwóch szkatułach, które pozwolił wziąć Zabirze, wieźli klejnoty wartości królestwa. W ciągu tych wszystkich lat Almalik był bardzo hojny dla kobiety, którą kochał. Dlatego w trakcie podróży ibn Khairan musiał sprawiać wrażenie osobnika obojętnego i mało ważnego. Teraz nie było to już konieczne.

Zastanawiał się, gdzie Zabira spędza noc, po czym odrzucił tę myśl jako niegodną. Na pewno niedługo kogoś tu zauroczy – króla, kanclerza, może ich obu – ale jeszcze nie teraz. Tej nocy będzie ze swoimi synami. Młodzi książęta. Pionki na planszy w nowej, poważniejszej grze. Tyle zostało ustalone na spotkaniu przed występem w szrankach. W trakcie owej rzeczowej dyskusji zaczął pojmować, jak bardzo bystry jest Masur ben Avren. Dlatego Badir zaryzykował tak wiele, by zatrzymać przy sobie tego kindathijskiego kanclerza. Oczywiście miał on swoją reputację. Było jedno oficjalne spotkanie. Wymiana listów przez te lata, a także zręcznych wierszy. Teraz spotkał się z tym człowiekiem. Inny rodzaj wyzwania. Wiele do przemyślenia. Zaiste był to bardzo wypełniony zajęciami dzień.

Po zapadnięciu zmroku o tej porze roku i przy wiejącym wietrze robiło się w Ragosie zimno. Pragnął tego zimna. Pragnął samotności i blasku gwiazd, przenikliwości wiatru wiejącego od jeziora. Nogi same go tu zaprowadziły; minął zamknięte na głucho sklepy i potem magazyny, a potem szedł w ciszy do długiego pomostu nad brzegiem wody. Zatrzymał się tam, głęboko oddychając nocnym powietrzem.

Gwiazdy i księżycy były bardzo jasne. Zobaczył, jak miejskie mury sięgają nad wodę niczym dwoje ramion, jak się niemal spotykają, zamykając zatokę. Patrzył na oświetlone blaskiem księżyców jednomasztowe łódki rybackie oraz mniejsze i większe stateczki wycieczkowe,

kołyszące się na ciemnych, lekko wzburzonych wodach jeziora. Plusk i uderzenia fal. Woda. Co takiego ma w sobie woda?

Znał odpowiedź.

Jego lud pochodził z pustyni. Z przemieszczających się, nietrwałych wydm, burz piaskowych i surowych, ponurych, rzeźbionych wiatrem gór; z miejsca gdzie wiatr nie napotykał żadnych przeszkód. Gdzie słońce zabijało i gdzie to nocne gwiazdy dawały obietnicę życia, powietrze, którym można było oddychać, chłodny wiatr dający ochłodę po skwarze dnia. Gdzie woda była... czym była woda? Snem, modlitwą, najczystszy błogosławieństwem boga.

On sam nie pamiętał takich miejsc, chyba że była to pamięć, którą przyniósł ze sobą na świat. Pamięć plemienna wrodzona aszarytom i ich określająca. Ammuz i Soriyya, ziemie ojczyste, jako obecność w duszy. Tamtejsze pustynie. Piaski rozleglejsze niż te Madżritu. Madżritu też nigdy nie widział. Urodził się w Aldzais, tu, w Al-Rassanie, w domu z trzema szemrzącymi fontannami. Mimo to w chwilach cierpienia, kiedy musiał uśmierzać palący go ból, ciągnęło go do wody. Choć znajdował się daleko od pustyni, tkwiła ona w nim niczym rana albo brzemię, tak jak tkwiła w nich wszystkich.

Białe księżyc miał nad głową, sierp błękitnego właśnie wschodził. Zostawił za sobą światła miasta, więc gwiazdy nad jeziorem świeciły ostrym, zimnym światłem. Jasność – to właśnie dla niego znaczyły. Tego właśnie potrzebował tej nocy.

Słuchał szumu fal uderzających w pomost pod jego stopami. Raz, przerwa, drugi raz. Rozkołysany rytm świata. Myśli Ammara były rozproszone, podskakiwały jak łódki, nie chciały się połączyć. Odczuwał pewne dolegliwości, lecz nie było to ważne: głównie zmęczenie, kilka sińców, rozcięcie na łydce, które po prostu zignorował.

W gruncie rzeczy popołudniowe starcie w szrankach okazało się łatwe. To jedna z tych rzeczy, które go niepokoiły.

Było ich pięciu przeciwko nim dwóm, a Karchita wybrał sobie czterech najlepszych dowódców w Ragosie. Na ich twarzach było widać prawdziwy gniew, zaciętość, potrzebę dowiedzenia swoich racji, i to wcale nie tylko w kwestii płacy. Wszystko zostało pomyślane jako pokaz, rozrywka dla dworu i miasta, a nie walka na śmierć i życie. Mimo to oczy widoczne pod hełmami miały twarde i zimny wyraz.

Nie powinno się to odbyć tak szybko, być tak podobne do tańca czy snu. Zupełnie jakby gdzieś grała ledwie słyszalna muzyka. Walczył z tymi pięcioma, stojąc ramię w ramię z Rodrigiem Belmontem, a potem oparli się o siebie plecami; widział tego Valledanina pierwszy raz w życiu, a było tak jak nigdy przedtem – na polu walki czy gdziekolwiek indziej. Miał dziwaczne wrażenie podwojenia samego siebie. Jakby pod kontrolą jednego umysłu walczyły dwa doskonale wyćwiczone ciała. W trakcie walki nawet się do siebie nie odezwali. Żadnych ostrzeżeń, uzgadniania taktyki. To wszystko nie trwało wystarczająco długo.

Stojąc na pomoście nad zimnymi, lekko wzburzonymi wodami Jeziora Serrana, ibn Khairan pokręcił głową. Powinien być upojony takim zwycięstwem, może zaciekawiony, zaintrygowany. Zamiast tego był bardzo niespokojny. Zdenerwowany. Nawet lekko przestraszony, gdyby zechciał być wobec siebie szczery.

Stał zwrócony twarzą w kierunku, z którego wiał wiatr, i patrzył ku północnemu brzegowi jeziora. Leżała tam *tagra*, ziemia niczyja, gdzie nie mieszkał nikt, a jeszcze dalej Dżalonia i Valledo. Gdzie Jeźdźcy Dżada czcili złociste słońce, którego bali się aszaryci na rozpalonych pustyniach. Dżad. Aszar. Sztandary, pod którymi mogli się zbierać ludzie.

Życie spędził samotnie, czy to na zabawie, czy na wojnie. Nigdy nie zabiegał o oddział, którym mógłby dowodzić, o krąg podległych dowódców czy, prawdę mówiąc, o przyjaciela. Towarzysze, pieczeniarze, pochlebcy, kochanki zawsze stanowili część jego życia – lecz nie prawdziwa przyjaźń, chyba żeby wymienił człowieka, którego otruł w Cartadzie.

W ciągu wielu lat ibn Khairan zaczął postrzegać świat jako miejsce, w którym poruszał się samotnie, w razie konieczności prowadził innych do bitwy, układał plany i tok postępowania dla swego monarchy, komponował wiersze i pieśni, ilekroć bieg życia mu na to pozwalał, łączył się i rozstawał z kolejnymi kobietami, a także mężczyznami.

Nic z tego nie trwało długo, nic nie sięgało zbyt głęboko. Nie ożenił się. Nigdy tego nie pragnął ani nie był do tego namawiany. Jego bracia mieli dzieci. Ich ród nie wymrze.

Zmuszony, zapewne powiedziałby, że taki stan umysłu, ta stała potrzeba dystansu zrodziła się pewnego letniego dnia, gdy wszedł do Al-Fontiny w Silvenes i dla Almalika z Cartady zabił na brzegu fontanny ostatniego kalifa.

Niewidomy starzec chwalił jego młodzieńcze wiersze. Zaprosił go do Silvenes. Starzec, który nigdy nie chciał objąć władzy. Wszyscy o tym wiedzieli. W jaki sposób ślepy poeta miał rządzić Al-Rassanem? Muzafar był tylko jeszcze jednym pionkiem na planszy, narzędziem dworskich sił w zepsutym, przerażonym Silvenes. Mroczne to były dni w Al-Rassanie, kiedy młody ibn Khairan minął przekupionych eunuchów i wkroczył z zakazaniem ostrzem do Ogrodu Pożądania.

Nawet teraz nietrudno było uzasadnić to, co zrobił, co rozkazał zrobić Almalik z Cartady. Mimo wszystko. Tamten dzień w wewnętrznym ogrodzie Al-Fontiny naznaczył ibn Khairana. W oczach innych, w jego własnych oczach. Człowiek, który zabił ostatniego kalifa Al-Rassanu.

Był wtedy młody, wydawało mu się, że jest niezniszczalny, i miał świadomość skrzących się możliwości, które świat trzyma w zanadru. Teraz nie był już młody. Nawet zimno, ten przenikliwy wiatr znad wody siekł go dotkliwiej, niż działałoby się to przed piętnastu laty. Uśmiechnął się na tę myśl, po raz pierwszy tej nocy, i smutno pokręcił głową. Ckliwe, niegodne rozmyślenia. Starzec owinięty w koc przy kominku? Już niedługo, niedługo. Jeśli przeżyje. Bieg życia. To co jest dozwolone.

„Chodź, bracie”, powiedział tego dnia Rodrigo Belmonte z Valledo, kiedy na plac wystąpiło pięciu twardych mężczyzn z mieczami, by ich otoczyć. „Pokażemy im, jak to się robi?”

Pokazali im.

„Bracie”. Złocisty dysk Dżada na łańcuszku na szyi. Przywódca najbardziej niebezpiecznego oddziału na półwyspie. Stu pięćdziesięciu Jeźdźców boga. Piękna żona, dwóch synów. Dziedzice, których trzeba uczyć, może nawet kochać. Pobożny i lojalny, a także śmiertelnie groźny.

Teraz ibn Khairan poznał tę ostatnią cechę. Przedtem słyszał tylko opowieści o jego umiejętnościach. W ciągu całego życia spędzonego na walce nigdy nie doświadczył niczego podobnego. Pięciu przeciwko nim dwóm. Wyszkoleni, wspaniali wojownicy, najlepsi najemnicy w Ragosie. I w mgnieniu oka wszyscy powaleni, koniec. Taniec.

Zwykle pamiętał każdy ruch, każdą fintę, zasłonę i pchnięcie jeszcze długo po walce. Tak pracował jego umysł, rozkładając wydarzenie na poszczególne elementy. Lecz minione popołudnie już się zamazywało w jego pamięci. Po części dlatego był teraz tak niespokojny.

Spojrzał potem na Belmontego i zobaczył – z ulgą i niepokojem zarazem – lustrzane odbicie tej samej obcości. Jakby od każdego z nich coś się odłączyło i właśnie wracało. Valledanin miał szklisty wzrok, wydawał się rozkojarzony.

Przynajmniej, pomyślał wtedy Ammar, nie spotkało to tylko mnie.

Wtedy wzmógł się nieopanowany, szaleńczy, ogłuszający hałas. Krzyki dochodziły wysoko z murów i z królewskiej trybuny przy szrankach. W powietrzu fruwały kapelusze, szale, rękawiczki i bukłaki z winem, które lądowały u ich stóp. Wszystko to jakby dochodziło z bardzo daleka.

Z przyzwyczajenia usiłował powiedzieć coś sardonicznego.

– Mamy się teraz dla nich nawzajem zabić, by to wszystko przypieczętować? – zapytał wówczas.

Tym z pokonanych przez nich najemników, którzy mogli się podnieść, pomagano wstać. Jeden, ów Karchita, miał rękę złamaną od ciosu płazem miecza. Inny nie mógł stać; opuszczał szranki na noszach. Na jego ciało opadł w słonecznym blasku bladoniebieski kobiecy szal. Ammar bardzo mgliście pamiętał starcie z człowiekiem ze złamaną ręką. To się stało na samym początku. Nie mógł sobie jasno przypomnieć ciosu, kolejności ruchów. To było zbyt dziwne.

Rodrigo Belmonte, który stał obok Ammara pośród tego wielkiego, odległego gwaru, nie roześmiał się, usłyszawszy jego słowa, ani nie uśmiechnął.

– A chcemy to przypieczętować? – zapytał.

Ammar pokręcił wtedy głową. Stali sami pośrodku świata. Mała, spokojna przestrzeń. Jak we śnie. Części garderoby, teraz kwiaty i kolejne butelki wina lecące w jesiennym powietrzu. Tyle hałasu.

– Jeszcze nie – odparł. – Nie. Ale może do tego dojść. Czy tego chcemy, czy nie.

Rodrigo przez chwilę milczał; z jego szarych oczu, widocznych pod starym hełmem ozdobionym wizerunkiem orła, emanował spokój. Od strony królewskiej trybuny zbliżał się herold w oficjalnym stroju, pełen gracji i wielkiego szacunku.

Zanim do nich dotarł, Valledanin odezwał się cicho:

– Jeśli dojdzie, to dojdzie. O wszystkim decyduje bóg. Co prawda, nigdy w życiu nie przytrafiło mi się coś podobnego. Nie w sytuacji, kiedy walczyłem ramię w ramię z kimś innym.

W ciemność wzgórz na zachód od jeziora spadła gwiazda. Ibn Khairan usłyszał za plecami czyjeś kroki. Ktoś się zatrzymał, a potem cofnął. Jedna osoba. Strażnik. Nic groźnego. Tu na pewno nic mu nie może grozić.

Był bardzo zmęczony, lecz umysł nie pozwalał na odpoczynek. Wiszący wysoko na niebie biały księżyc zostawiał na wodzie lśniący, popalowany ślad; błękitny rąbek rzucał na jezioro słabe pasmo blasku od strony wschodu. Spotykały się w miejscu, gdzie stał Ammar. To była właściwość wody nocą. Światło płynęło po jej powierzchni do miejsca, w którym się przystań.

Zarobiłem dzisiaj sporą część mojej płacy, pomyślał. Płaca. Teraz był najemnikiem w służbie króla, który z radością widziałby Cartadę zrujnowaną. Który wiosną mógł wysłać armię na zachód, by to osiągnąć. Ammar, wedle kontraktu, należałby do tej armii, stałby się jej dowódcą. Nie był przyzwyczajony do takich zmian wierności.

Zabił Almalika. Swego towarzysza od dwudziestu lat. Powolne, a potem szybkie wspólne zdobywanie władzy. Ludzie zmieniają się z biegiem lat. Władza przychodzi i odchodzi i wpływa na ludzi. Czas i gwiazdy się obracają, a ludzie zmieniają.

Człowiek, którego zabił, był jedyną osobą na świecie, którą Ammar mógł nazwać swoim przyjacielem, chociaż nie używa się tego słowa na określenie królów. Tego wieczoru odśpiewał lament ku jego pamięci. Była to prośba Masura ben Avrena, mająca go zranić. To subtelny umysł. Ale Ammar już pracował nad wierszem podczas podróży z Zabirą na wschód. Zaprezentował go tego wieczoru w sali biesiadnej wrogów Cartady, w sali, przez środek której płynął strumień. Znów woda. Marzenie Aszara wśród pustynnych piasków. Ta sala biesiadna była pretensjonalna, ale robiła wrażenie i została urządzona ze smakiem. Mógłbym polubić Badira z Ragosy, pomyślał, mógłbym darzyć szacunkiem Masura ben Avrena. Poza Cartadą istnieje życie, które można czerpać pełną garścią.

„Gromadzą się teraz pomniejszych zwierze...”.

Pokręcił głową. Odwrócił się od jeziora i ruszył z powrotem, mając teraz wiatr i księżycy za plecami.

Stojąc w cieniu wzmocnionej dębowymi belkami ściany magazynu, zobaczyła, jak odchodzi od krawędzi wody i wyciągniętych ramion miejskich murów. Wycofała się tu niemal od samego

pomostu i czekała.

Kiedy się zbliżył, oczy miała już przyzwyczajone do księżycowego blasku; spostrzegła dziwny, zamyślony wyraz jego twarzy i właściwie postanowiła go przepuścić. Jednakże w chwili, kiedy o tym pomyślała, ku własnemu zaskoczeniu, mimo wszystko wystąpiła z cienia na ulicę.

Zatrzymał się. Zrobił ruch, jakby chciał chwycić za miecz, ale niemal od razu zauważyła, że ją rozpoznał. Spodziewała się ironii, żartu. Serce biło jej gwałtownie.

– Dżehana bet Iszak. Co robisz nocą na dworze?

– Wysłałam na spacer – odparła. – Tak samo jak ty.

– Wcale nie tak samo. Dla kobiety to niebezpieczne. Nie ma sensu zachowywać się głupio.

Poczuła rozbłysk gniewu.

– Doprawdy, zastanawiam się, w jaki sposób przeżyłam tak długo w Ragosie bez twoich rad.

Milczał. Wciąż miał ten dziwny wyraz twarzy. Ciekawiło ją, co go zaprowadziło nad jezioro. Nie zamierzała się kłócić, chociaż nie umiałaby powiedzieć, dlaczego w ogóle tu przyszła. Zmieniła ton.

– Znają mnie tu – mruknęła. – Nic mi nie grozi.

– Po ciemku? Na nadbrzeżu? – Uniósł brwi. – Mogłabyś zostać zabita dla płaszcza albo po prostu z powodu swojej religii. Gdzie twój służący?

– Velaz? Mam nadzieję, że śpi. Ma za sobą długi dzień i noc.

– A ty?

– Dość długi – rzekła. – Gdzie ty raniłeś, ja próbowałam leczyć. Przyszłam tu z infirmerii.

Zadała sobie w myślach pytanie, co takiego każe jej mu się sprzeciwić.

Spojrzał na nią. Spokojny, niczego niezdradzający wzrok. Perła w jego uchu lśniła blado w blasku księżyców.

– Za zimno, żeby tu stać – odezwał się w końcu. – Chodźmy.

Ruszył z powrotem w kierunku centrum miasta.

Zrównała się z nim. Wiatr wiał im w plecy, przenikał jej płaszczy. Rzeczywiście było zimno i mimo wszystko Dżehana nie była przyzwyczajona do tak długiego przebywania na dworze. Właściwie ostatnim razem przytrafiło jej się to w noc po dniu, w którym poznała tego człowieka. Po Dniu Fosy. Myślała, że ta rzeź niewinnych ludzi była jego okrutnym pomysłem. Cały Al-Rassan tak myślał.

– Pamiętam, co powiedziałeś w Fezanie – zaczęła. – Że nie miałeś z tym nic wspólnego.

– Nie uwierzyłaś mi.

– Owszem, uwierzyłam.

Zerknął na nią. Szli dalej.

Widziała go wcześniej, jak przechodzi. Stała wtedy w drzwiach infirmerii. Jej dwaj pacjenci spali, ten ze złamaną ręką odurzony środkami przeciwbólowymi, drugi wciąż nieprzytomny,

z guzem wielkości strusiego jaja z boku głowy. Dżehana wydała polecenie, by budzono go po każdym z nocnych dzwonów. Tej nocy zbyt głęboki sen niósł ze sobą ryzyko.

Stała, oddychając nocnym powietrzem i walcząc ze zmęczeniem, kiedy obok przeszedł ibn Khairan. Włożyła płaszcz i poszła bezmyślnie za nim, kierując się jedynie impulsem chwili.

Razem z Rodrigiem Belmontem zrobili tego dnia coś zdumiewającego. Dwóch mężczyzn stanęło przeciwko pięciu i gdyby nie wiedziała, jak było naprawdę, mogłaby pomyśleć, że ta piątka pozwoliła się powalić; tak szybko, czysto i elegancko się to odbyło. Ale Dżehana wiedziała. Tej nocy opiekowała się dwoma z tej piątki. Karchita ze złamaną ręką usiłował zrozumieć, co się stało. Był rozgoryczony, upokorzony. Nie zwykł przegrywać walk. W każdym razie nie w taki sposób.

Wychodząc na ulicę za ibn Khairanem, Dżehana miała niewygodną świadomość, że istnieją inne rodzaje kobiet, które robią coś takiego, szczególnie po tym, co się wydarzyło tego dnia. Nawet się spodziewała ujrzeć kilka z nich idących za nim krok w krok, wystrojonych i uperfumowanych, ścigających bohatera chwili, pragnących dotknąć chwały i również zostać przez nią dotkniętymi, oświetlonymi blaskiem, który idzie w parze ze sławą. Gardziła takimi kobietami.

Powiedziała sobie, że idzie za nim z zupełnie odmiennych powodów. Nie była młoda ani zaślepiona; włosy przykryła zwykłą białą czapeczką z materiału, by nie wpadały jej do oczu podczas pracy, nie miała na sobie biżuterii, za to pochłapane błotem wysokie buty. Była trzeźwo myślącą, spostrzegawczą lekarką.

– Nie zostałeś ranny tego popołudnia? – odezwała się, zerkając na niego. – Myślałam, że zostałeś trafiony mieczem w nogę.

Wyglądał na rozbawionego, choć spod tego rozbawienia przebijała ironia. Pamiętała tę jego minę.

– To tylko draśnięcie. Jeden z nich, upadając, zawadził mnie klingą. Dziękuję, że pytasz, lekarko. Jak się czują twoi pacjenci?

Wzruszyła ramionami.

– Złamana ręka się zrośnie. Dała się dość łatwo złożyć. Bachiarczyk powalony przez don Rodriga wciąż miał przed zaśnięciem kłopoty z przypomnieniem sobie imienia swojej matki.

Ibn Khairan błysnął w uśmiechu białymi zębami.

– A to jest poważna sprawa. Oczywiście, gdyby chodziło o imię jego ojca, to uznałbym to u Bachiarczyka za rzecz normalną.

– Proszę, żartuj sobie – powiedziała, zachowując powagę. – Nie ty musisz sobie z tym radzić. Głupio się zachowała.

– Tak mi przykro – mruknął głosem przepojonym troską. – Czy przysporzyłem ci dzisiaj zmartwień?

Skrzywiła się. Sama się o to prosiła. Trzeba uważać na to, co się mówi przy tym człowieku. Jest tak bystry, jak Masur. Co najmniej tak bystry.

– Jak się czuje twój ojciec? – zapytał, zmieniając ton.

Zerknęła na niego, zaskoczona. Idąc teraz ciemnymi ulicami, wyraźnie pamiętała, jak ten mężczyzna klęczał zeszłego lata przed Iszakiem, trzymając go za ręce.

– Dziękuję, moi rodzice czują się dość dobrze. Ojciec... od tamtej nocy w Fezanie podyktował do mnie kilka listów. Myślę, że... rozmowa z tobą mu pomogła.

– Jestem zaszczycony, że tak sądzisz.

W jego głosie nie było już ironii. Tego wieczoru wysłuchiwała jego lamentu. Zabił człowieka, którego ona sama przyrzekła zniszczyć. Ibn Khairan pozbawił jej próżną, dziecianną przysięgę znaczenia, jakiego i tak nigdy nie miała. Słyszac ten rytmicznie recytowany wiersz, była bliska łez. Smutek kryjący się za mieczem.

– Zamierzałam osobiście zabić Almalika – rzekła. – Za mojego ojca. Dlatego wyjechałam z Fezany.

Kiedy Dżehana wypowiedziała te słowa, zrozumiała, że właśnie dlatego wyszła na chłód nocy.

– Nie jestem zaskoczony – mruknął po chwili. To było szlachetne z jego strony. Potraktował ją poważnie. Kindathijkę. Pochopną przysięgę dziecka. – Jesteś zła, że cię uprzedziłem?

Tego też się nie spodziewała. Przez chwilę szła obok niego w milczeniu. Skręcili za róg.

– Trochę mi wstyd – wyznała. – Nic nie robiłam przez cztery lata, a potem przyjechałam tutaj i znów nic nie robiłam.

– Niektóre cele osiąga się dłużej niż inne. Przypadkiem było to dla mnie trochę łatwiejsze.

Przebrany za niewolnika. Usłyszała tę opowieść od Masura wieczorem, tuż przed ucztą. Truczna na muślinowej ściereczce. Królewski syn był w to zamieszany, a potem wygnał ibn Khairana. To musiało boleć.

Skręcili jeszcze raz. Na końcu ulicy, na zewnątrz infirmerii, paliły się dwa światełka. Nagle wbrew swojej woli przypomniała sobie coś jeszcze. Ta sama letnia noc w Fezanie, ten sam pokój. Ona i ten mężczyzna stoją przy oknie, Dżehana wspina się na palce, by go pocałować. Wyzwanie.

Chyba byłam wtedy szalona, pomyślała. Zatrzymała się przed wejściem do infirmerii.

– A tak nawiasem mówiąc, miałem rację co do kanclerza? – zapytał Ammar ibn Khairan, jakby rzeczywiście potrafił śledzić tok jej myśli. W jego głosie znów brzmiała ta rozwścieczająca nuta rozbawienia.

– W jakiej kwestii? – spytała, chcąc zyskać na czasie.

Na pewno zauważył, gdzie została posadzona wieczorem, na uczcie. Na pewno zauważył, że w ogóle się tam znalazła. Miała gorącą nadzieję, że Ammar nie widzi jej rumieńca. Teraz niemal

żałowała, że przysłała na ucztę.

Roześmiał się cicho.

– Rozumiem – rzekł. I dodał łagodnie: – Zajrzysz do pacjentów czy idziesz do domu?

Spojrzała na niego ze złością. Znowu gniew. To pożyteczne.

– A cóż to znaczy? – spytała zimno. W świetle pochodni wyraźnie widziała jego twarz. Patrzył na nią spokojnie, ale jej się wydało, że w jego oczach widzi ukryty uśmiech. – Co znaczy „rozumiem”?

Chwila milczenia.

– Wybacz mi – powiedział poważnie. – Czy cię uraziłem?

– Owszem, swoim tonem – odparła.

– A zatem będę musiał go skarcić. – Znany Dżehanie głos rozległ się za jej plecami.

Obróciła się błyskawicznie, ale jeszcze zdążyła zobaczyć, jak wzrok ibn Khairana wędruje poza nią i jak zmienia się mu wyraz twarzy.

W potoku blasku świec wylewającym się przez drzwi infirmerii stał Rodrigo Belmonte; miał na sobie tę samą kamizelę i tunikę, co na uczcie, a z boku przypasany miecz.

– Zawsze ktoś mnie karci – poskarżył się ibn Khairan.

Rodrigo prychnął z rozbawieniem.

– Wątpię – stwierdził. – Powinieneś jednak wiedzieć, jeżeli jeszcze tego nie wiesz, że od miesięcy tematem rozmów w Ragosie jest brak powodzenia Masura ben Avrena u naszej lekarki.

– Doprawdy? – spytał grzecznie Ammar.

– Doprawdy? – zapytała Dżehana zupełnie innym tonem.

– Obawiam się – odparł Rodrigo, patrząc na nią. Teraz i on był rozbawiony, lecz usta kryjące się pod obfitym wąsem miał nieco wykrzywione. – Muszę wyznać, że zarobiłem na tym pewną sumę pieniędzy.

– Robisz ze mnie przedmiot zakładów?

Dżehana usłyszała, jak jej głos wznosi się coraz wyżej.

– Pokładam wielkie zaufanie we wszystkich członkach mojego oddziału – odparł Rodrigo.

– Nie jestem członkiem twojego oddziału!

– Wciąż nie porzucam nadziei – mruknął.

Ibn Khairan stojący za jej plecami głośno się roześmiał. Odwróciła się do niego. Uniósł dłońe szybkim, obronnym gestem. Dżehana milczała, oniemiała. A potem, mimo całej siły woli, poczuła narastające rozbawienie. Zaczęła się bezradnie śmiać.

Oparta o framugę, ocierała oczy i patrzyła to na jednego, to na drugiego. Z wnętrza infirmerii patrzyli na ich z dezaprobatą dwaj nocni pomocnicy. Dżehana, która za chwilę miała im wydać stanowcze polecenia, opanowała się z wysiłkiem.

– Ona nie może się do nas przyłączyć – stwierdził Ammar ibn Khairan. Stanął w drzwiach,

chroniąc się przed przenikliwym wiatrem. – Ben Avren nigdy nie pozwoli jej opuścić tego miasta.

– Do nas? – spytał Rodrigo.

– Opuścić tego miasta? – rzekła w tej samej chwili Dżehana. Przystojna, gładko wygolona twarz odwróciła się najpierw ku Dżehanie, a potem ku Rodrigowi. Ammar nie śpieszył się z odpowiedzią.

– Pewne rzeczy naprawdę wydają się oczywiste – zaczął ibn Khairan, patrząc na Valledanina. – Król Badir będzie nadzwyczaj zdenerwowany perspektywą obecności nas obu w Ragosie tej zimy bez pożytecznego zajęcia. Zostaniemy gdzieś wysłani. Razem. Mogę się o to założyć. A biorąc pod uwagę to, co właśnie mi powiedziałeś o całkowicie zrozumiałym zainteresowaniu kanclerza naszą wspaniałą lekarką, na pewno nie pozwoli jej opuścić Fezany z dwoma tak nieodpowiedzialnymi ludźmi.

– Ja nie jestem nieodpowiedzialnym człowiekiem – stwierdził z oburzeniem Rodrigo Belmonte.

– Pozwolę sobie mieć odmienne zdanie – rzekł spokojnie Ammar. – Dżehana powiedziała mi, że przez ciebie pewien bachiański najemnik – wspaniały mężczyzna, nieustraszony żołnierz – zapomniał dzisiejszego popołudnia imienia swojej matki! Według mnie to wielce nieodpowiedzialne.

– Jego matki?! – zawołał Rodrigo. – Nie ojca? Gdyby to było imię jego ojca...

– Zrozumiałbyś. Wiem – wtrąciła Dżehana. – Pan ibn Khairan już popisał się tym marnym żartem. Wydaje się, że poza innymi rzeczami dzielicie takie samo dziecinne poczucie humoru.

– Poza innymi rzeczami? Jakimi rzeczami? Teraz ja mogę się obrazić.

Wyraz twarzy ibn Khairana przeczył jego słowom. Dżehana zauważyła, że już nie wygląda na zmęczonego ani rozkojarzonego. Jako lekarka była z tego zadowolona. Postanowiła zignorować to pytanie.

– To ja jestem obrażona, pamiętasz? I jeszcze mnie nie przeprosiłeś. Ani ty – dodała, odwracając się do Belmontego. – Obstawiać moje zachowanie! I jak śmiesz zakładać, że kanclerz Ragosy – albo ktokolwiek inny – może mi mówić, dokąd i kiedy mam podróżować?

– Świetnie! – rzekł Rodrigo. – Długo czekałem, aż to powiesz! Zimowa kampania będzie doskonałym sprawdzianem dla nas wszystkich.

– Nie powiedziałam...

– A nie pojedziesz z nami? – zapytał. – Żarty na bok, Dżehano, bardzo potrzebuję dobrego lekarza i wciąż pamiętam, co mówiłaś o pracy wśród Esperan. Dasz nam szansę, byśmy coś w tej sprawie udowodnili?

Dżehana też to pamiętała. Doskonale pamiętała tamtą noc. „Nawet słońce zachodzi, pani”. Odsunęła tę myśl.

– A co? – spytała sardonicznie. – Czy w tym roku na wyspę błogosławionej królowej Vaski nie wybierają się żadni pielgrzymi?

– Z mojego oddziału nie – rzekł cicho Rodrigo.

Zapadło milczenie. Pomyślała, że Belmonte potrafi uciszyć człowieka.

– Mogłabyś także wziąć pod uwagę, że kampania poza miastem dałaby ci wytchnienie od awansów ben Avrena – dorzucił ibn Khairan, nieco zbyt swobodnie.

Obróciła się błyskawicznie i zgromiła go wzrokiem. Znow uniósł ręce w obronnym geście.

– Oczywiście zakładając, że pragniesz wytchnienia – dodał szybko. – To nadzwyczajny człowiek. Poeta, kanclerz, prawdziwy uczonek. Książę Kindathów. Twoja matka byłaby dumna.

– Gdybym mu pozwoliła przespać się ze mną? – spytała słodkim tonem.

– No, nie, z tego chyba nie. Myślałem oczywiście o czymś bardziej oficjalnym. O czymś...

Przerwał, dostrzegłszy wyraz jej oczu. Po raz trzeci uniósł ręce, jakby chciał zablokować atak. Zalśniły jego pierścienie.

Džehana patrzyła na niego z gniewem, zacisnąwszy dłonie w pięści. Problem tkwił w tym, że wciąż chciało jej się śmiać, co utrudniało podtrzymywanie oburzenia.

– Jeśli przypadkiem zachorujesz podczas tej kampanii, będziesz miał poważne kłopoty – oznajmiła ponuro. – Czy nikt cię nigdy nie ostrzegał, byś nie obrażał swego lekarza?

– Wiele osób wiele razy – przyznał ze smutkiem Ammar. – Obawiam się, że po prostu nie jestem odpowiedzialnym człowiekiem.

– A ja tak – oznajmił radośnie Rodrigo. – Zapytaj kogokolwiek!

– Tylko dlatego – warknęła Džehana przez ramię – że boisz się żony. Sam mi powiedziałeś!

Ibn Khairan się roześmiał. Po chwili dołączył do niego Belmonte, mocno zaczerwieniony. Džehana skrzyżowała ramiona i patrzyła na obu ze zmarszczonymi brwiami.

Czuła się jednak dziwnie zadowolona.

Gdzieś za dachami na południu odezwały się świątynne dzwony, czyste i wyraźne w zimnym powietrzu, budząc pobożnych na modlitwę.

– Idźcie do domu – rzekła Džehana, zaglądając do infirmerii. – Muszę sprawdzić, co u moich pacjentów.

Zerknęli po sobie.

– I mamy zostawić cię tu samą? Czy twoja matka by to pochwałała? – zapytał ibn Khairan.

– Pochwalałby to mój ojciec – odparła zwięźle Džehana. – To jest szpital. Ja jestem lekarką.

To ich otrzeźwiło. Ibn Khairan skłonił się, Belmonte poszedł w jego ślady. Odeszli razem. Patrzyła za nimi, stojąc w wejściu, aż pochłoneła ich noc. Stała tam jeszcze przez chwilę, wpatrzona w ciemność, a potem weszła do infirmerii.

Karchita ze złamaną ręką wciąż spał. Potrzebował tego. Dała mu absynt na uśmierzenie bólu i mieszanek jej ojca, by lepiej odpoczął. Łagodnie obudziła drugiego mężczyznę, ustawivszy

pomocników z obu stron jego posłania. Czasami obudzeni zachowywali się gwałtownie. To byli wojownicy. Bachiarczyk jednak ją poznał, co było dobrym znakiem.

Kazała pomocnikom unieść pochodnię i zajrzała mu w oczy: wciąż były zmętniałe, ale wyglądały lepiej niż przedtem i ranny wodził nimi za jej palcem, który przesuwała mu przed twarzą. Wsunęła mężczyźnie rękę za głowę i pomogła mu się napić: goździki, mirra i aloes na zapewne potężny ból głowy.

Zmieniła mu opatrunek, a potem wycofała się na drugi koniec pomieszczenia, podczas gdy pomocnicy pomagali pacjentowi oddać mocz do naczynia, by mogła go zbadać. Wlała płyn do flaszki ojca i przyjrzała mu się w blasku świec. Górna warstwa, która świadczyła o stanie głowy, była teraz przejrzysta. Pacjent wyzdrowieje. Powiedziała mu to w jego własnym języku. Znow zapadł w drzemkę.

Postanowiła jednak chwilę odpocząć w infirmerii. Pościelono dla niej jedno z łóżek i postawiono przed nim parawan, by miała choć odrobinę prywatności. Zdjęła buty i położyła się w ubraniu. Czyniła tak wiele razy. Lekarz musiał się nauczyć spać gdziekolwiek, choćby w najkrótszych odcinkach czasu.

Zanim odpłynęła w sen, pomyślała, że chyba właśnie się zgodziła porzucić miejskie i dworskie wygody i wyruszyć na zimową kampanię – dokądkolwiek miałyby ją ona zawieść. Nawet o to nie zapytała. Nikt się nie wyprawia na zimowe kampanie.

– Ty idiotko – mruknęła na głos, świadoma, że uśmiecha się w ciemności.

Rano Bachiarczyk przypomniał sobie matkę, wiedział, gdzie sam się znajduje, znał dzień tygodnia i imię zastępcy dowódcy swego oddziału. Kiedy Dzehana nieco niemądrze zapytała go o imię ojca, twarz pacjenta powlekła się – szkarłatem.

Oczywiście postarała się, by niczego nie pokazać po sobie. Z miejsca złożyła w myślach przysięgę na Galina, ojca wszystkich lekarzy, że prędzej umrze, niż powie o tym Ammarowi ibn Khairanowi albo Rodrigowi Belmontemu.

I przynajmniej tej przysięgi dotrzymała.

ROZDZIAŁ 9

Wiatr wiał z północy. Jazir czuł w powietrzu sól, chociaż od morza dzieliło ich pół dnia jazdy przez piaski Madżritu. Było zimno.

Za plecami słyszał łopotanie szarpanych wiatrem namiotów. Przybyli tak daleko na północ i rozbili obóz, by spotkać się z gościem.

Na wybrzeżu, niewidoczny za wysokimi, przesuwającymi się wyspami, leżał nowy port Abeneven, którego mury dawały schronienie od wiatru. Jazir ibn Q'arif wolałby umrzeć i przebywać z Aszarem wśród gwiazd, niż spędzić zimę w mieście. Szczelniej otulił się płaszczem. Spojrzał w niebo. Słońce – blada tarcza na niebie pełnym pędzących chmur – na progu zimy i tak daleko na północy nie stanowiło już zagrożenia. Zostało trochę czasu do trzeciego wezwania na modlitwę. Mogli jeszcze kontynuować rozmowę.

Przez jakiś czas nikt jednak nie odezwał się słowem. Gość był wyraźnie tym zdenerwowany. Właściwie to dobrze; Jazir z doświadczenia wiedział, że zdenerwowani ludzie wyjawiają więcej o sobie.

Rozejrzał się i zauważył, że jego brat opuścił zasłonę zakrywającą dolną połowę twarzy. Rozrywał pancerzyki żuków i wysysał z nich sok. Stary nawyk. Miał od niego paskudnie poplamione zęby. Gość już odmówił tego dania. To oczywiście stanowiło obelgę, lecz Jazir zdobył nieco wiedzy na temat zachowania braci zza cieśniny w Al-Rassanie i nie był nadmiernie zaniepokojony. Ghalib, jego brat, miał bardziej porywczy charakter i Jazir widział, jak usiłuje stłumić gniew. Gość oczywiście nie zdawał sobie z tego sprawy. Przemarznięty do szpiku kości i wyraźnie cierpiący z powodu zapachu oraz dotyku płaszcza z wielbłądziej wełny, który mu podarowali, siedział w niewygodnej pozycji na Jazirowym kocu spotkań i pociągał nosem.

Powiedział im, że jest chory. Ich gość dużo mówił. Wyjaśnił, że długa podróż do Abirabu, a potem wzdłuż wybrzeża do tego zimowiska przywódców Muwardyjczyków przyprawiła go o dolegliwości klatki piersiowej i głowy. Trząsał się jak dziewczyna. Jazir wyraźnie widział pogardę Ghaliba, lecz ten człowiek zza cieśniny jej nie zauważył, mimo opuszczonej zasłony.

Jazir już dawno sobie uświadomił – i usiłował wytłumaczyć to bratu – że łatwe życie w Al-Rassanie nie tylko zmieniło jego mieszkańców w niewiernych, ale także uczyniło z nich niemal kobiety. Właściwie mniej niż kobiety. Żadna z żon Jazira nigdy nie byłaby ani w połowie tak żałosna, jak ten książę Hazem z Cartady, któremu na lekkim wiatyku kapalo z nosa jak dziecku.

I, co zenujące, ten młodzieniec był jednym z żarliwych wyznawców Aszara. Jednym z jego prawdziwych, pobożnych zwolenników w Al-Rassanie. Jazir musiał wciąż sobie o tym przypominać. Hazem od pewnego czasu prowadził z nimi korespondencję. Teraz osobiście odbył długą drogę do Madżritu w niesprzyjającej porze roku, by przedstawić swą prośbę dwóm przywódcom Muwardyjczyków, tu na kocu przed łopoczącymi namiotami na rozległych,

pustynnych piaskach.

Jazir pomyślał, że zapewne spodziewał się spotkania w Abirabie albo, w najgorszym wypadku, w Abenevenie. Wydelikaceni mieszkańcy Al-Rassanu znali tylko miasta i domy. Łóżka z wonną pościelą, poduszki, na których się opierali. Kwiaty, drzewa i zieloną trawę, i więcej wody, niż ktokolwiek zdołałby zużyć w ciągu całego życia. Zakazane wino, nagie tancerki i umalowane dzadyckie kobiety. Aroganckich kindathijskich kupców, wykorzystujących wiernych i oddających cześć swoim kobiecym księżycom zamiast świętym gwiazdom Aszara. Świat, w którym dzwony wzywające do modlitwy wywoływały pobieżne skinienie głowy w kierunku świątyni, jeśli nie mniej.

Jazirowi śnił się w nocy ogień. Wielki pożar w Al-Rassanie i dalej na północ, w królestwach Esperanii, gdzie urządzano sobie kpiny ze Zrodzonych z Gwiazd dzieci pustyni, czcząc zabójcze słońce. Śniło mu się oczyszczające piekło, które wypaliłoby tę zieloną, kuszącą ziemię do piachu, lecz uczyniłoby ją na nowo czystą, gotową do odrodzenia. Stałaby się miejscem, które święte gwiazdy mogłyby zalewać swoim czystym światłem i nie cofać go w przerażeniu wywołanym czynami ludzi w kloakach ich miast.

Mimo wszystko Jazir ibn Q'arif z plemienia Zuhritów był człowiekiem ostrożnym. Jeszcze przed ohydny morderstwem ostatniego kalifa w Silvenes rok w rok przybywali zza cieśniny do niego i do jego brata wadzi z błaganiem, by plemiona runęły na północ przez wodę i spaliły niewiernych.

Jazir nie lubił statków, nie lubił wody. Razem z Ghalibem byli dostatecznie zajęci kontrolą nad pustynnymi plemionami. Postanowił jedynie rzucić małą kostką – jak w ostrożnej rozgrywce pradawnej pustynnej gry w kości – i pozwolił niektórym swoim żołnierzom udać się na północ w roli najemników. I to nie na służbę do wadzich, lecz do królów, którym się przeciwstawiali. Królewiatka Al-Rassanu miały pieniądze i dobrze płaciły za dobrych żołnierzy. Pieniądze są użyteczne – dzięki nim można było w trudnym czasie kupować żywność z północy i wschodu, zatrudniać kamieniarzy i szkutników. Jazir z niechęcią zaczął sobie zdawać sprawę, że potrzebuje takich ludzi, jeśli Muwardyjczycy mają się okazać choć trochę bardziej trwali od wędrujących piasków.

Informacje też były użyteczne. Jego żołnierze wysyłali do domu całe swoje wynagrodzenie, a wraz z pieniędzmi nadchodziły wieści o wydarzeniach w Al-Rassanie. Jazir i Ghalib dużo wiedzieli. Jedne wydarzenia były zrozumiałe, inne nie. Dowiedzieli się, że w królewskich pałacach, a nawet na publicznych placach miast są dziedzińce, gdzie woda swobodnie tryska z rur umieszczonych w pyskach rzeźbionych zwierząt – a potem płynie gdzieś dalej, niewykorzystana. W coś takiego niemal nie dało się uwierzyć, lecz opowieści takie przynoszono zbyt wiele razy, by nie były prawdziwe.

Wedle jednej z nich – tym razem najwyraźniej była to bajka – w Ragosie, gdzie kindathijski

czarnoksiężnik rzucił czar na słabego króla, rzeka płynęła przez pałac. Podobno w sypialni czarnoksiężnika, gdzie ten kindathijski szatan brał do łóżka bezbronne aszarytki i pozbawiał je dziewictwa, śmiejąc się ze swej władzy nad Zrodzonymi z Gwiazd, był wodospad.

Jazir poruszył się niespokojnie; obraz ten wywołał u niego wściekłość. Ghalib skończył rozrywać żuki, odepchnął fajansowy talerz, naciągnął zasłonę i mruknął coś pod nosem.

– Słucham? – rzekł cartadzki książę, podskakując na ten dźwięk. Pociągnął nosem. – Moje uszy. Przepraszam. Nie usłyszałem. Doskonały?

Ghalib spojrział na Jazira. Było coraz bardziej oczywiste, że chce zabić tego człowieka. To zrozumiałe, lecz według Jazira nadal było złym pomysłem. To on jest starszym bratem. Ghalib będzie mu posłuszny – w większości wypadków. Zmrużył ostrzegawczo oczy. Gość oczywiście tego nie zauważył; on nie zauważał niczego.

Z drugiej strony, jak przypomniał sobie Jazir, Aszar uczył, że miłosierdzie wobec żarliwych wyznawców jest najwyższym aktem ziemskiej pobożności, niemal takim samym, jak śmierć w świętej wojnie, a tak żarliwego wyznawcy Aszara jak ten człowiek – ten Hazem ibn Almalik – nie było wśród książąt Al-Rassanu od dawna. Przecież tu siedział. Przybył do nich. Muszą to wziąć pod uwagę. Gdyby tylko nie był taką żalosną, zniewieściałą namiastką mężczyzny.

– Nic – burknął Jazir.

– Co? Proszę...

– Mój brat nic nie powiedział. Nie kłopotz się tym.

Starał się to powiedzieć życzliwie. Życzliwość nie przychodziła mu łatwo. Podobnie jak cierpliwość, chociaż przez te wszystkie lata bardzo starał się jej nauczyć.

Jego świat bardzo się zmienił od czasu, kiedy wraz z Ghalibem wyprowadził Zuhritów z zachodu i zmiotł stojące mu na drodze wszystkie inne plemiona, zostawiając za sobą piaski zbroczone krwią. Działo się to ponad dwadzieścia lat temu. Byli młodzi. Kalif z Silvenes przysyłał im podarki. A potem następny i jeszcze jeden, aż ostatni z nich został zabity.

Na piaski wciąż lała się krew, prawie co roku. Pustynne plemiona nigdy nie poddawały się łatwo władzy. Dwadzieścia lat jej dzierżenia było bardzo długim okresem. Na tyle długim, by wybudować na wybrzeżu dwa miasta, mające teraz stocznie i magazyny, oraz, trzy inne w głębi lądu, gdzie na targowiskach można było gromadzić złoto z południa i znów je rozsyłać długimi karawanami. Jazir nie znosił miast, ale miały one znaczenie. Stanowiły symbole trwałości na zmieniającej się powierzchni pustyni. Początek czegoś większego.

Co prawda następny etap trwałości Muwardyjczyków leżał poza piaskami. Stawało się to dla Jazira coraz jaśniejsze w miarę obrotu pór roku i gwiazd.

Ghalib stanowczo odrzucał myśl o porzuceniu pustynnego życia, które znał, lecz nie pomysł świętej wojny prowadzonej za cieśniną. Ten plan mu się podobał. Ghalib był dobry w zabijaniu ludzi. Nie był zbyt dobrze przygotowany do przewodzenia plemionom w czasie pokoju ani do

budowania czegoś, co mogłoby po nim pozostać dla jego synów i synów jego synów. Takim człowiekiem starał się zostać Jazir, który tak dawno temu nadszedł z zachodu z kilkoma wielbłędami, mieczem, pięcioma tysiącami wojowników i jasną, niezachwianą wizją Aszara.

I wiedział przynajmniej tyle, że asceta ibn Raszid, wadzi, który przybył z naukami Aszara do najdalej wysuniętych na zachód plemion Zuhritów z tak zwanych ziem ojczystych, których nie widział żaden z Muwardyjczyków, pochwaliłby jego postępowanie.

Wadzi, ten wychudły i wysoki, z rozczochraną siwą brodą i włosami, i z czarnymi oczyma czytającymi w duszach, osiadł wraz ze swymi sześcioma uczniami w kilku namiotach wśród najdzikszych ludzi pustyni. Jazir i jego brat, synowie wodza Zuhritów, przyszli pewnego dnia pośmiać się z tego nowego, nieszkodliwego szaleńca, głoszącego wizje innego szaleńca z innej pustyni w dalekim kraju zwanym Soriyyą.

Ich życie się odmieniło. Odmieniło się życie Madżritu.

Prawdy Aszara krążyły po pustyni już jakiś czas przed przybyciem ibn Raszida na zachód, lecz żadne z innych plemion nie przyjęło tych prawd i nie rozwijało ich tak zdecydowanie, jak Zuhrici, gdy Jazir i Ghalib poprowadzili ich na wschód – wszyscy już z twarzami zakrytymi jak ibn Raszid – w świętej, oczyszczającej wojnie.

Jazir przez niemal pół życia starał się zasłużyć na uznanie swego wadźiego, nawet po śmierci ibn Raszida, gdy Jazirowi i Ghalibowi towarzyszyły w podróżach tylko jego grzechoczące kości i czaszka. Jazir wciąż usiłował mierzyć swe czyny wedle tego, co ujrzałyby w nich oczy wadźiego. Przemiana z prostego wojownika, syna pustyni i gwiazd, w przywódcę obracającego się w śliskim świecie miast i pieniędzy, dyplomatów i wysłanników z za cieśniny lub z dalekiego wschodu była trudna. Bardzo trudna.

Teraz potrzebował skrybów, ludzi umiejących odczytać wiadomości przynoszone mu z tych dalekich krain. W zawijasach na pergaminie kryła się śmierć wielu osób oraz spełnienie lub odrzucenie gwiazdzistych wizji Aszara. Trudno to było przyjąć.

Jazir często zazdrościł bratu nieskomplikowanego podejścia do wszystkiego. Ghalib się nie zmienił, nie widział powodu, by się zmienić. Nadal był wojennym przywódcą Zuhritów, bezpośrednim i przenikliwym jak wiatr. Na przykład ten mężczyzna siedzący przed nimi. Dla Ghaliba był on mniej niż mężczyzną, siąkał nosem i obrażał ich, nie chcąc jeść tego, co mu proponowali. Powinien zatem ponieść śmierć. Wtedy dostarczyłby im przynajmniej jakiejś rozrywki. Ghalib znał wiele sposobów zabijania. Jazir pomyślał, że ten człowiek zostałby prawdopodobnie wykastrowany, a potem oddany do wykorzystania żołnierzom albo nawet kobietom. Ghalib uznałby taką śmierć za coś oczywistego.

Jazir, sam będąc synem surowej pustyni, właściwie mógłby się z nim zgodzić, lecz kontynuował swą długą walkę o uzyskanie innego poglądu na sytuację. Hazem ibn Almalik był księciem z za wody. Gdyby okoliczności tylko nieco się zmieniły, mógłby rządzić Cartadą.

Przybył tu, żeby prosić Jazira i Ghaliba, by zmienili te okoliczności. To by oznaczało, jak im powiedział, prawdziwego wyznawcę na podwyższeniu najpotężniejszego królestwa w Al-Rassanie. Powiedział im, że zaczęłyby nawet nosić zakrywającą pół twarzy zasłonę Muwardyjczyków.

Jazir nie wiedział, co to jest podwyższenie, ale doskonale rozumiał, o co się go prosi. Był pewien, że jego brat rozumie prośbę równie dobrze, lecz Ghalib miałby inne podejście. Ghaliba nie obchodziłoby, kto rządzi Cartadą w Al-Rassanie. To, czy ten człowiek nosiłby woal przypisany plemionom przez ibn Raszida – dla ochrony przed wszystkim co bezbożne – Ghalib traktowałby z najwyższą obojętnością. On po prostu chciałby mieć szansę znów pójść na wojnę w imieniu Aszara i boga. Wojna jest dobra, a święta wojna jest czymś najlepszym na świecie.

Czasami jednak człowiek usiłujący zlepić podzielony, plemienny lud w naród, w siłę liczącą się na świecie, w coś więcej niż pędzony wiatrem piasek, musi powściągnąć swe pragnienia albo się ponad nie wznieść.

Jazir, siedząc tak na swoim kocu na północnym wietrze, który zapowiadał zimą, czuł, jak wnętrzości szarpie mu wielka niepewność. Nikt go nigdy nie ostrzegł, że przywództwo, że taki rodzaj przywództwa szkodzi na żołądek.

Już dawno temu zaczął tracić włosy. Skóra na jego głowie, choć zwykle zakryta, na przestrzeni lat spaliła się na taki sam odcień, jak jego twarz. Ghalib, którego jedynym zmartwieniem było pilnowanie, by jego wojownicy zabijali wrogów, a nie siebie nawzajem, wciąż miał długą, ciemną grzywę. Związywał ją na karku, by nie wpadała mu do oczu, a na szyi wciąż nosił ten swój rzemień. Ludzie czasami pytali o niego. Ghalib uśmiechał się i nie odpowiadał, zachęcając do snucia domysłów. Jazir wiedział, co to za rzemień. Nie był bynajmniej delikatnym człowiekiem, ale nie lubił o nim myśleć.

Znów podniósł wzrok na blade słońce. Do modlitw pozostało już bardzo mało czasu. Ich gość nie znał najnowszej wiadomości. Podróż zajęła mu wiele dni; inni wyruszyli po nim i przybyli przed nim. Jazir wciąż nie wiedział jak to wykorzystać.

– A co z dzadytami? – zapytał na początek.

Hazem ibn Almalik szarpnął się na te słowa niczym schwywane zwierzę. Rzucił Jazirowi pełne zaskoczenia, wiele mówiące spojrzenie. Było to pierwsze konkretne pytanie zadane mu przez kogoś z braci.

– Z dzadytami? – powtórzył w osłupieniu.

Jazir doszedł do wniosku, że gość jest najprawdopodobniej ograniczony. Szkoda.

– Z dzadytami – powiedział jeszcze raz, jak do dziecka. Ghalib zerknął na niego, nic nie mówiąc. – Jak są silni? Słyszeliśmy, że Cartada płaci Jeźdźcom daninę. To jest zakazane przez Prawa. Musi istnieć powód ustanowienia tej daniny. Jaki to powód?

Hazem wytarł kapiący nos. Zrobił to prawą ręką, co było ordynarne. Odchrząknął.

– Ta danina jest jednym z powodów, dla których się tu znajduję, o Doskonały. Oczywiście, że jest zakazana. To kolejne bluźnierstwo wśród tak wielu innych. Aroganczy Jeźdźcy nie widzą żadnego zagrożenia ze strony słabych królów Al-Rassanu. Nawet mój ojciec płaszczy się przed dżadymi, choć sam siebie nazywa Lwem.

Roześmiał się z goryczą. Jazir nic nie mówił, słuchał, obserwował Hazema spod na wpół spuszczonej powiek. W powietrzu unosił się piasek, pędzony wiatrem, w obozie łopotwały połony namiotów. Zaszczekał pies.

Gość paplał dalej.

– Dżadyci stawiają żądania i mimo wyraźnego słowa Aszara dostają wszystko, czego chcą. Zabierają nasze złoto, zabierają nasze kobiety, jeżdżą konno naszymi ulicami, śmiejąc się, patrząc z góry na wiernych i szydząc z naszych słabych przywódców. Nie wiedzą, że prawdziwe zagrożenie stanowią nie bezbożni władcy, lecz prawdziwi spadkobiercy Aszara, czysti synowie pustyni. Przybądźcie i oczyśćcie Al-Rassan.

Ghalib chrząknął, zsunął zasłonę i splunął.

– Dlaczego? – zapytał.

Jazir był zaskoczony. Jego brat nie zwykł żądać uzasadnienia wszczęcia wojny. Nagle księżę z za wody wydał się bardziej pewny siebie; wyprostował się. Zupełnie jakby potrzebował ich pytań. Wszyscy, którzy w ciągu wielu lat przybywali do nich z Al-Rassanu, wadzi i wysłannicy, byli wielkimi mówcami. Nie nosili zasłon, może częściowo o to chodziło. Poeci, śpiewacy, heroldzi – w tamtej krainie słowa płynęły jak woda. Cisza ich niepokoiła. Teraz było już dość jasne, że gość nie wie o śmierci swego ojca.

– A któż tam jeszcze jest? – zapytał Hazem z Cartady i machnął przesadnie rękami, niemal dotykając kolana Jazira. – Jeśli nie przybędziecie, rządy obejmą Jeźdźcy Dzada. Za naszego życia. A Al-Rassan zostanie stracony dla Aszara i gwiazd.

– Już jest stracony – mruknął Ghalib, znowu zaskakując Jazira.

– A zatem go odzyskajcie! – rzekł szybko Hazem ibn Almalik. – Czeka na was. Na nas.

– Na nas? – zapytał cicho Jazir.

Księżę się opanował. Przez chwilę wyglądał na przestraszonego.

– Na nas, którzy boleją nad tym, co się dzieje – rzekł. – Którzy ponoszą wielki ciężar tego, co dżadyci, Kindathowie i fałszywi, upadli królowie wyrządzają krainie niegdyś silnej wola Aszara. – Zawahał się. – Jest tam woda, sady i zielona trawa. Na polach rośnie wysokie zboże, wiosną pada deszcz, a z dziko rosnących drzew można zrywać dojrzałe, słodkie owoce. Z pewnością twoi żołnierze mówili ci o tym.

– Mówili nam o wielu rzeczach – rzekł surowym tonem Jazir, poruszony mimo woli.

W rzeczywistości nie bardzo w to wierzył. Rzeki płynące przez pałace? Czy oni uważają go za głupca? Nawet nie umiał sobie wyobrazić, jakie owoce mogłyby rosnąć dziko,

niepielegnowane, żeby mógł je sobie zrywać każdy, kto zechce. Takie rzeczy były obiecane w Raju, a nie ludziom na piaskach ziemi.

– Wysłałeś żołnierzy na służbę do mojego ojca – powiedział piskliwie Hazem ibn Almalik. – Poprowadź ich w służbie Aszara!

To było obelżywe. Ludzie byli obdzierani ze skóry za mniejsze przewinienia. Wbijano ich żywcem na pal, w słońcu, ze skórą oddartą płatami.

– Twój ojciec został zabity – powiedział szybko Jazir, żeby Ghalib nie zdążył zrobić czegoś nieodwracalnego. – W Cartadzie rządzi twój brat.

– Co?! – Młodzieniec zerwał się na równe nogi. Na jego bladej, odsłoniętej twarzy malował się strach i zdumienie.

Ghalib sięgnął po wbity obok niego włócznię. Zamachnął się nią jedną ręką, niemal od niechcienia, i drzewcem uderzył księcia pod kolanami. Rozległ się trzask, pochłonięty przez otaczające ich pustkowia. Hazem ibn Almalik padł z jękiem na ziemię.

– Nie wstaje się, zanim nie uczyni tego mój brat – rzekł cicho Ghalib. – To obelga.

Mówił powoli, jak do kogoś nie w pełni władz umysłowych.

Wbił włócznię z powrotem w ziemię. Wojownicy, którzy przyszli tu razem z nimi z obozu, spojrzeli w ich kierunku, zaciekawieni nagłym poruszeniem. Teraz znów odwrócili wzrok. Takie gadanie ich nudziło; ostatnio wszystko było nudne. Jesień i zima były trudnym okresem, jeśli chodzi o dyscyplinę.

Jazir znów się zastanowił, czyby nie oddać Cartadanina swemu bratu i żołnierzom. Śmierć księcia stanowiłaby rozrywkę, a ludzie jej potrzebowali. Postanowił jednak tego nie robić. Stawka była tu wyższa od egzekucji dla uspokojenia wojowników. Miał wrażenie, że Ghalib o tym wie. Cios drzewcem włóczni pod kolana był jak na jego brata reakcją nadzwyczaj łagodną.

– Usiądź – rzekł zimno Jazir. Jęki księcia zaczynały go drażnić.

Zabawne, jak szybko ucichły. Hazem ibn Almalik podniósł się do pozycji siedzącej. Wytarł nos. Znowu prawą ręką. Niektórzy ludzie nie mają pojęcia o wychowaniu. Skoro jednak wyparli się boga i wizji Aszara, to dlaczego mieliby znać zasady grzeczności i właściwego zachowania? Po raz kolejny przypomniał sobie, że ten człowiek należy do ludzi pobożnych.

– Czas na modły – rzekł Jazir do cartadzkiego księcia. – Wrócimy do obozu. Potem zjemy. A potem powiesz mi wszystko, co wiesz o swoim bracie.

– Nie, nie. Nie! Teraz muszę wracać do domu, o Doskonały. Jak najszybciej. – Gość po raz pierwszy wykazał się zdumiewającą energią. – Śmierć mojego ojca stwarza dogodną okazję. Dla mnie, dla nas wszystkich, którzy służyliśmy Aszarowi i bogu. Muszę napisać do wadzich miasta! Muszę...

– Czas na modły – powtórzył Jazir i wstał.

Ghalib zrobił to samo. Książę zerwał się na nogi. Ruszyli do obozu. Hazem, kulejąc, usiłował

dotrzymać im kroku i wciąż mówił.

– Cudownie! – stwierdził. – Mój przeklęty ojciec nie żyje. Mój brat jest słaby i ma zepsutego, bezbożnego doradcę – złego człowieka, który zabił ostatniego kalifa! Możemy z łatwością zająć Cartadę, o Doskonały. Lud będzie z nami! Wrócę do Al-Rassanu i powiem, że przybędziecie za mną. Nie widzisz? Aszar zesłał nam podarunek z gwiazd!

Jazir zatrzymał się. Nie lubił, żeby go rozpraszano, kiedy przygotowywał się do modlitwy, a ten człowiek najwyraźniej zamierzał go irytująco rozpraszać. Istniała także duża szansa, że Ghalib rozzłości się na tyle, że z miejsca go zabije.

– Idziemy na modlitwę – rzekł Jazir. – Zamilcz. I zrozum mnie: w zimie nigdzie nie podróżujemy. Ty też nie. Zostaniesz z nami. Jesteś teraz naszym gościem. Na wiosnę znowu się naradzimy. Przez resztę zimy nie chcę cię słyszeć, chyba że zwróci się do ciebie jeden z nas. – Starał się przyjąć łagodny, uspokajający ton. – Mówię to dla twego bezpieczeństwa, rozumiesz? Nie jesteś w miejscu, gdzie sprawy mają się tak, jak do tego przywykłeś.

Młodzieńcowi opadła szczęka. Wyciągnął rękę – niestety, prawą – i chwycił Jazira za rękaw.

– Ale ja nie mogę zostać! – zawołał. – Ja muszę wracać, o Doskonały. Przed zimowymi sztormami. Muszę...

Nie powiedział nic więcej. Patrzył w dół z pełnym osłupienia niedowierzaniem. To było prawie zabawne. Ghalib odciął mu dłoń u nadgarstka. Już chował miecz do pochwy. Hazem ibn Almalik, księżę Cartady, popatrzył na krwawiący kikut, gdzie niegdyś miał prawą dłoń, po czym wydał zduszony jęk i zemdłał.

Ghalib patrzył na niego obojętnie.

– Mam mu wyciąć język? – zapytał. – Nie wytrzymamy zimy pełnej jego słów. On nie przeżyje, bracie. Ktoś go zabije.

Jazir się zamyślił. Ghalib niemal na pewno miał rację. Westchnął i potrząsnął głową.

– Nie – rzekł niechętnie. – Powinniśmy z nim porozmawiać. On może się nam przydać.

– On? – spytał Ghalib. Opuścił zasłonę i splunął.

Jazir wzruszył ramionami i się odwrócił.

– Chodź. Czas na modły.

Ruszył do obozu. Ghalib wyglądał, jakby chciał się sprzeciwić. Oczyma wyobraźni Jazir niemal widział, jak jego brat odcina młodzieńcowi język. Perspektywa ciszy była kusząca. Wyobraził sobie, jak Ghalib klęka z dobytym nożem, unosi głowę Cartadanina i opiera ją sobie na lewym kolanie, wyciąga jak najdalej jego język i... Ghalib robił to wiele razy. Był w tym dobry. Jazir nieomal zmienił zdanie. Nieomal, ale nie do końca.

Nie oglądał się. Po chwili usłyszał za plecami kroki brata. W większości wypadków Ghalib wciąż podążał za nim. Jazir machnął ręką i trzech wojowników podeszło do Cartadanina. Gdzie indziej mógłby umrzeć od tej rany, lecz tutaj było to mało prawdopodobne. Wiedzieli, jak leczyć

na pustyni takie obrażenia. Hazem ibn Almalik będzie żył. Nie zdając sobie sprawy, że jego życie i mowa są darem dla niego od Jazira. Niektórym ludziom po prostu nie da się pomóc bez względu na starania.

Dołączył do wadźiego i członków plemienia w obozowisku. Czekali na niego. Uderzono w dzwonek, którego dźwięk zabrzmiał na wietrze cicho i niepewnie. Opuścili zasłony i zaczęli się modlić do jedyne boga i jego ukochanego sługi Aszara, kierując odsłonięte twarze ku tak odległej Soriyyi. Następnie modlili się o siłę i miłosierdzie, o czystość serca i śmiertelnego ciała, o spełnienie wizji Aszara opromienionych blaskiem gwiazd i o przyjęcie, przy końcu ich dni wśród piasków ziemi, do Raju.

Został uprzedzony, ale niewystarczająco. Król Ramiro z Valledo, usadowiony na tronie stojącym przed potrójnymi łukami w świeżo ukończonej sali audiencyjnej, zdał sobie sprawę z szykujących się kłopotów, gdy tylko goście przestąpili jej próg.

Zerknął na żonę i zauważył jej rumieniec, co tylko potwierdziło jego przecucie. Tego ranka Ines wykazała się ogromną dbałością o swój wygląd. Nic dziwnego; to byli goście z Ferrieres, jej niegdysiejszego domu.

Stojący z drugiej strony króla, o krok za tronem, konetabl hrabia Gonzaleza de Rada okazywał gościom jedynie swoją zwykłą arogancję. Król nie miał nic przeciwko temu, lecz był niemal pewien, że de Rada jest nieświadomy, jakie ci ludzie mogą mieć znaczenie dla Valledo.

I to też właściwie nie było zaskakujące. Gonzalez miał bystry umysł oraz bezpośrednie sposoby osiągania celu, lecz jego wzrok nie sięgał dalej niż trzy królestwa Esperanii. Potrafił czynić trafne spostrzeżenia na temat możliwych zamiarów rządzącego Ruendą brata króla Ramira czy jego wuja w Dżalonii i sugerować sposoby zniweczenia tych zamiarów, lecz duchowni z krajów leżących za górami w ogóle go nie interesowali i nie zajmowali jego myśli.

Dlatego król nie został uprzedzony dość dobrze. Pięciu bożych mężów, jeden z nich, wysoko postawiony, zatrzyma się tutaj na zaproszenie królowej po drodze do sanktuarium na Wyspie Vaski. Co to mogło oznaczać? Gonzalez prawie wcale się nad tym nie zastanawiał. Podobnie jak król, ku jego szybko rosnącemu żalowi.

Nie zdradzając żadnych oznak tych rodzących się obaw, Ramiro z Valledo patrzył uprzejmie na mężczyznę, który zmierzał po dywanie do tronu, wyprzedzając swych towarzyszy o kilka znaczących kroków.

Niektórzy ludzie potrafią samą swoją obecnością dać do zrozumienia, że zanoszą się na coś ważnego. To był właśnie taki człowiek.

Geraud de Chervalles, najwyższy duchowny Ferrieres, był na tyle wysoki, by móc patrzeć z góry na wszystkich obecnych w sali, łącznie z królem. Wygoloną twarz miał gładką jak u noworodka, a szpakowate włosy zaczesane do tyłu, dzięki czemu wydawał się jeszcze wyższy.

Nawet w pewnej odległości od tronu było widać intensywny błękit jego oczu, osadzonych między prostymi brwiami, długi nos i cienkie, szerokie usta. Zachowywał się jak arystokrata, dworzanin, ambasador przy pomniejszym dworze, a nie jak sługa boga stojący przed monarchą. Odziany w błękitne szaty duchownych z Ferrieres, oblamowane i przepasane szarfą o barwie słońca, Geraud de Chervalles niewątpliwie wyglądał imponująco.

Król nie dostrzegł w jego arystokratycznej twarzy cienia szacunku. Nie znalazł go też w spojrzeniach czterech mniej znacznych duchownych, którzy teraz zatrzymali się za de Chervallesem i na których szybko zerknął. Nie było w nich wrogości czy agresji, niczego tak prostackiego, lecz duchowni nie muszą się zachowywać wrogo, by sprowadzić morze kłopotów, i Ramiro doznał poniewczasie uczucia, że tego zimnego, dżdżystego jesiennego poranka to właśnie kłopoty przeszły pod łukami jego pałacu i stanęły na świeżo położonych dywanach i mozaikach.

Wcale mu nie pomagała świadomość, że są tu na zaproszenie jego żony.

Otulił się szczelniej szatą z futrzanym kołnierzem. Kątem oka zobaczył dyskretny gest Gonzaleza, i służący pośpieszyli dołożyć do kominków. Jego konetabl okazywał nieskończoną troskę o wygodę króla w takich drobnych sprawach. Niestety, nie zauważył czegoś dużego. Co prawda nie zauważył tego i sam Ramiro, a nie był człowiekiem, który ganił innych za dzielone z nimi wady.

– Witaj w Valledo – odezwał się spokojnie, gdy wysoki duchowny zatrzymał się w stosownej odległości od tronu. – W święte imię Dżada.

Geraud de Chervalles skłonił się dopiero wtedy – nie wcześniej, jak zwrócił uwagę Ramiro. Ukłon złożył jednak właściwy, jako pełny, oficjalny wyraz szacunku.

– Jesteśmy zaszczytzeni, panie. – Głos najwyższego duchownego był głęboki, modulowany. Posługiwał się esperańskim bezbłędnie, aż po arystokratyczne seplenienie. – Zaszczytzeni zaproszeniem naszej ukochanej Ines, twojej wielce pobożnej królowej, oraz twoim królewskim powitaniem. Jedyne perspektywa zimowych wygod na słynnym estereńskim dworze mogła nas wywabić na drogi i górskie przełęcze o tak późnej porze roku.

A zatem niczego nie ukrywał. To były jego pierwsze słowa. Zostają. Nie było w tym nic zaskakującego, chociaż może rzeczywiście planowali udać się dalej, do Ruendy. To by było miłe. Ramiro wiedział, że obok niego Ines promienieje radością, elegancka i ponętna. Od dawna się na to cieszyła.

– Zaproponujemy wszelkie wygody, na jakie nas stać – rzekł król – chociaż obawiamy się, że pod względem rozkoszy cielesnych nie dorównamy sławie Ferrieres.

Uśmiechnął się, by podkreślić, że to był żart.

Najwyższy duchowny pokręcił głową. Na jego twarzy zagościł niemiły cień surowości.

– Prowadzimy proste życie, wasza miłość – mruknął. – Zadowolimy się jakimkolwiek

skromnym pomieszczeniem i sprzętami, jakimi możesz się z nami podzielić. Radość i siłę będziemy czerpać z obecności boga w tej potężnej fortecy Dżada na zachodzie.

Ramiro panował nad mimiką. Wiedział, że Ines już przeznaczyła dla duchownych z Ferrieres kilka połączonych pokoi w nowym skrzydle pałacu i urządziła je z przepychem, na wypadek gdyby postanowili zostać nieco dłużej. Dzięki jej naleganiom była tam nawet kaplica. Geraud de Chervalles nie będzie zmuszony radzić sobie z ciasnotą skromnych pomieszczeń. Król wiedział także o wymianie szczegółowych listów między jego królową i duchownymi z jej ojczyzny. Oczywiście ujawnienie tej wiedzy byłoby niestosowne. Miał ochotę zachować się niestosownie.

– Jesteśmy pewni, że nasza ukochana królowa dołożyła wszelkich starań, by wypełnić wszystkie wasze instrukcje co do zapewnienia wam pomieszczeń spełniających wymagania. W pokojach będzie gorąca woda, a codziennie po południu będzie przychodził wasz osobisty masażysta. Posiłki wedle wskazówek. Zamówione farleńskie wino.

Uśmiechnął się. Ines zeszywniała. Geraud de Chervalles przez chwilę sprawiał wrażenie skonsternowanego, a potem smutnego, na modłę wszystkich duchownych. Nie miał jednak żadnej gotowej odpowiedzi. Ramiro pomyślał, że dobrze jest osadzić ich na początku, jak ujeżdżanego konia, nim zaczną się bez końca przerzucać gładkimi, potoczystymi frazami. Wątpił jednak, by tego człowieka dało się powstrzymać. W chwilę później otrzymał potwierdzenie.

– Doprawdy żałuję, że mój zaawansowany wiek zmusza mnie do błagania o troskliwość ze strony tych, którzy czynią nam zaszczyt, zapraszając nas z wizytą. Szczególnie w zimie. Wasza wysokość jest jeszcze młody, w kwiecie danych od boga sił. Ci z nas, którzy już rozpoczęli wędrówkę ku śmierci, mogą jedynie liczyć na twoje silne, wspierające ramię pod świętym słońcem Dżada.

Zgodnie z oczekiwaniami. Nie jest to ktoś, kogo da się poskromić, tak jak Ramirowi udało się poskromić odzianych na żółto miejscowych duchownych. Byli to ludzie zmienni i ambitni, lecz nieposiadający przywódcy. Nawet nie patrząc, umiał sobie wyobrazić ich tryumfalne miny. Mieli teraz orędownika i być może nadzieję zmiany. Powinien był bardziej się nad tym zastanawiać. Mógł winić tylko siebie, że zgodził się na prośbę Ines, by dla ukojenia jej duszy zaprosić jednego z najwyższych duchownych jej kraju do zatrzymania się tu po drodze na wyspę.

Znał nazwisko de Chervalles, wiedział, że to człowiek mający władzę. Poza tym nie zwracał sobie nim głowy. To słabość. Nie lubił myśleć o duchownych. Jak przez mgłę pamiętał popołudnie, kiedy poprosiła, by pozwolił go jej zaprosić. Po miłosnym akcie miał osłabioną czujność i był senny. Jego królowa, pomyślał Ramiro z Valledo, patrząc prosto przed siebie, zna go zbyt dobrze.

Zmusił się do posłania kolejnego uśmiechu wysokiemu, szpakowatemu mężczyźnie w przepięknej błękitno-żółtej szacie.

– Jest mało prawdopodobne, że będziesz potrzebował tu w zimie obrony. Chyba że przed

zimnem i nudą. Zrobimy, co w naszej mocy, by podczas twej krótkiej wizyty było ci u nas wygodnie.

Brzmienie jego głosu pozwalało się domyślać, że to może być odprawa. Może uda się nie przedłużyć przynajmniej tego pierwszego spotkania. To da królowi czas na choćby pobieżne przemyślenie sytuacji.

De Chervalles przybrał ponury, zaniepokojony wyraz twarzy.

– Bóg jeden wie, że obawiamy się nie o nas czy własne wygody, miłosierny królu. Przybywamy tu trudno przejezdnymi drogami, przygniecenii ciężarem trosk o te z dzieci Dżada, które nie żyją pod łaskawym panowaniem królów na ziemiach Esperanii. Wyznaję, że właśnie to sprawi, że nadchodząca zima będzie dla mnie trudna.

Cóż, nadzieja, że uda się skrócić pierwsze spotkanie, okazała się płonna. Ponadto teraz było widać piętrzące się w przyszłości kłopoty, gęste jak las włóczy. Ramiro milczał. Wciąż istniała możliwość, że na razie uda mu się odeprzeć najgorsze. Naprawdę będzie potrzebował czasu do namysłu.

– Co możesz mieć na myśli, najświętszy sire? – zapytała ze szczerą powagą Ines.

W dłoniach złożonych na kolanach ścisnęła słoneczny dysk, a na jej twarzy malowała się pełna niepokoju troska. Król Valledo zaklął w duchu, lecz najmniejszym drgnieniem powieki nie zdradził swoich emocji.

– Jak mogę nie myśleć o wszystkich naszych pobożnych braciach boga, którzy muszą znieść jeszcze jedną zimę pośród okrutnych katuszy z rąk niewiernych Aszara – rzekł Geraud de Chervalles gładko, potoczyście, ze smutkiem. Na tyle głośno, by usłyszał cały dwór.

Stało się, pomyślał ponuro Ramiro. Pojawiło się wraz z tym pewnym siebie, niebezpiecznym człowiekiem z Ferrieres. De Chervalles przybył, by wypowiedzieć to jedno zdanie. Wypowiedzieć je tego ranka, a potem jeszcze raz, i jeszcze, aż królowie, jeźdźcy i rolnicy z pól będą tańczyć, jak im zagra, i zginą.

Mimo wcześniejszych postanowień, Ramiro poczuł ukłucie gniewu na swego konetabla. Gonzalez powinien był zdać sobie sprawę z tej sytuacji. Czy nie należało to do jego obowiązków? Czy Ramiro musi planować i przygotowywać się do wszystkich ważnych sytuacji? Właściwie znał odpowiedź na to pytanie.

Może winić tylko siebie. Król pomyślał o Rodrigu Belmontem, znajdującym się gdzieś daleko w Al-Rassanie. Wygnanym pomiędzy niewiernych. Jeszcze nawet nie mieli pewności, dokąd się udał. Obiecał, że z nikim nie zaatakuje Valledo; obiecał to i nic więcej. Był człowiekiem Raimunda – przyjacielem z dzieciństwa, a potem konetablem. Nie cieszył się całkowitym zaufaniem Ramira ani sam mu nie ufał, skoro już o tym mowa. Śmierć Raimunda. Otaczające ją cienie. Za wiele historii. A Belmonte był zbyt dumnym, zbyt niezależnym człowiekiem. Co prawda potrzebnym; w gruncie rzeczy bardzo potrzebnym.

– Ale, najświętszy sire, cóż my możemy uczynić? – spytała Ines, unosząc do piersi złożone dłonie. – Słuchamy twoich słów z ciężkim sercem.

Jej złocisty dysk lśnił w stłumionym świetle, wpadającym z góry przez nowe okna. Zaczęło padać; król słyszał uderzenia kropli w szkło.

Gdyby Ramiro nie był mądrzejszy, mógłby pomyśleć, że słowa te podsunał królowej de Chervalles, ponieważ tak gładko zapowiedziały następną przemowę najwyższego duchownego. Król chciał zamknąć oczy, zatkać uszy. Nagle zapragnął znaleźć się daleko od sali audiencyjnej, pędzić gdzieś konno w deszczu. Wtedy padły całkowicie przewidywalne, lecz dźwięczne i mimo wszystko ważne słowa.

– Możemy uczynić to, co mogą uczynić ci, którym Dżad powierzył swoją świętą misję. Właśnie to, nie więcej i nie mniej, czcigodna królowo. Przeklęty kalifat aszarytów już nie istnieje – rzekł Geraud z Ferrieres.

– A to dopiero wiadomość – odezwał się sarkastycznie Gonzalez de Rada. – Ma co najmniej piętnaście lat.

Zerknął na króla. Ramiro zrozumiał – hrabia wreszcie pojął, dokąd to wszystko zmierza, i próbował zmienić bieg rozmowy.

Było oczywiście za późno.

– Rozumiem jednak, że są świeższe wieści – rzekł wysoki duchowny z Ferrieres, wcale niezrażony. – Bezwzględny król Cartady też już nie żyje, wezwany na czarny sąd, zsyłany przez Dżada na wszystkich, którzy nie wierzą. Z pewnością jest to dla nas jakiś znak! Z pewnością nadszedł czas działania, gdy zabrakło przywódcy szakali!

Wzniósł głos, przez płynną modulację osiągając pierwsze apogeum jego natężenia. Ramiro słyszał już wcześniej coś takiego, lecz nie w tak mistrzowskim wykonaniu. Czekał z pełnym przerażenia podziwem.

– Działać? Teraz? – Gonzalez nie zadał sobie trudu, by ukryć ironię. – Nie jest troszkę za zimno?

Kolejna dzielna próba, jeśli chodzi o oschły ton i same słowa, lecz Geraud de Chervalles zapanował nad nią.

– Boży ogień ogrzewa tych, co służą jego woli!

Patrzył na konetabla z pogardą, nie spuszczać zeń wzroku. Król wiedział z doświadczenia, że Gonzalez de Rada raczej tego nie ścierpi, i zastanawiał się, czy nie powinien interweniować, zanim stanie się coś niedobrego.

Wtedy jednak duchowny niespodzianie się uśmiechnął i powiedział ściszonego głosem:

– Oczywiście nie mówię o zimowej wojnie. Nie jestem aż tak niemądry. Wiem, że te sprawy wymagają czasu, planowania, odpowiedniej pory roku. Są to kwestie do rozwiązania przez dzielnych ludzi miecza, takich jak waleczni królowie Hiszpanii i ich legendarni Jeźdźcy. Ja mogę

jedynie pomóc rozpalic ogien i przynieść wieści, które być może pobudzą was do działania i ułatwią podjęcie decyzji.

Zamilkł i czekał. Deszcz stukał o szyby. W jednym z kominków przesunęło się polano, a potem upadło z trzaskiem w chmurze iskier. Ramiro sądził, że to wyczekiwane pytanie zada Ines, lecz jego żona milczała. Spojrzał na nią. Opuściła słoneczny dysk na kolana i patrzyła na duchownego, zagryzając wargę. Z wyrazu jej twarzy teraz nic nie dało się wyczytać. Król wzruszył w duchu ramionami. Gra się zaczęła i trzeba ją będzie rozegrać.

– Jakie wieści? – zapytał uprzejmie.

Geraud de Chervalles rozpromienił się w uśmiechu.

– Tak sądziłem – rzekł. – Jeszcze nie słyście. – Podniósł głos. – Wysłuchajcie zatem wiadomości, która wzbudzi radość we wszystkich sercach i rozpali je chęcią dziękczynienia: król Ferrieres i obaj hrabiowie Waleski, najpotężniejsi panowie Nizin Karchickich i większość szlachetnie urodzonych Bachiary zeszli się, by prowadzić wojnę.

– Co? Gdzie? – Tym razem odezwał się Gonzalez, jakby te ostre słowa zostały mu wydarte.

Uśmiech duchownego stał się jeszcze bardziej tryumfalny. Jego błękitne oczy lśniły.

– W Soriyyi – szepnął. – W Ammuzie. Na pustynnych ziemiach ojczystych niewiernych, gdzie ludzie wypierają się Dżada i przeklinają jego życiodajne słońce. Wojsko boga już się zbiera. Przewiduje na południu nad morzem w Bachiary, a wiosną wsiądzie na statki. Pierwsza bitwa tej świętej wojny już się odbyła; usłyszeliśmy tę wiadomość, zanim wyruszyliśmy do ciebie.

– Gdzie stoczono tę bitwę? – znów zabrał głos Gonzalez.

– Pod miastem Sorenika. Znasz je?

– Tak – odparł cicho Ramiro. – To kindathijskie miasto na południu Bachiary, dawno temu dane Kindathom na własność za pomoc, jaką służyli książętom Bachiary w czasach pokoju i wojny. Mogę zapytać, jakie aszaryckie wojska się tam znajdowały?

Uśmiech Gerauda zniknął. Teraz w jego oczach pojawił się chłód. Spóźnione rozpoznanie ewentualnego wroga. Uważaj, napomniął się Ramiro.

– Sądzisz, że tak zwani Zrodzeni z Gwiazd ludzie pustyni to jedyni niewierni, jakim musimy stawić czoło? – zapytał duchowny. – Nie wiesz, jakie obrzędy celebrowają Kindathowie w noc dwóch księżyców?

– Znam większość tych obrzędów – odparł spokojnie Ramiro z Valledo. Wyglądało na to, że jednak nie będzie uważał. Zaczął go ogarniać charakterystyczny dla niego nieskory, potężny gniew. Bał się tego gniewu, lecz nie na tyle, by się mu opierać. Zdawał sobie sprawę, że żona teraz na niego patrzy. Utkwił spojrzenie w duchownym z Ferrieres. – Bo widzisz, zastanawiam się nad zaproszeniem Kindathów tu z powrotem. Potrzebujemy w Valledo ich pracowitości i wiedzy. Potrzebujemy tu rozmaitych ludzi. Przed przedsięwzięciem dalszych kroków chciałem

jak najwięcej się dowiedzieć o wierzeniach Kindathów. Nic, co kiedykolwiek słyszałem albo czytałem, nie pozwala przypuszczać, by krew czy bezczeszczenie stanowiły część ich wiary.

– Zaprosić ich z powrotem? – Geraud de Chervalles stracił panowanie nad głosem. – W chwili, kiedy wszyscy królowie i księżęta dżadyckiego świata łączą się, by oczyścić świat z herezji? – Zwrócił się do Ines: – Nic nam o tym nie mówiłaś, pani.

W tych ponurych słowach brzmiało oskarżenie. Ramiro się rozżłościł. Tego było za wiele.

Zanim jednak zdołał coś powiedzieć, odezwała się jego królowa, jego święta, pobożna królowa z Ferrieres:

– Dlaczego, duchowny, miałabym ci mówić o czymś takim? – Mówiła tonem uszczypliwym, królewskim, zaskakująco zimnym. Geraud de Chervalles, w ogóle na to nieprzygotowany, cofnął się mimowolnie o krok.

– Dlaczegoż plany mojego drogiego pana i męża związane z naszym krajem miałyby stanowić część jakichkolwiek wiadomości, krążących między tobą i mną w związku z twoją pielgrzymką? – kontynuowała Ines. – Myślę, że wymagasz zbyt wiele, duchowny. Czekam na twe przeprosiny.

Ramiro był wstrząśnięty w takim samym stopniu, jak Geraud de Chervalles. Nigdy nie spodziewałby się wsparcia od Ines w wystąpieniu przeciwko najwyższemu duchownemu. Nie śmiał nawet na nią spojrzeć. Doskonale znał ten jej lodowato zimny głos; najczęściej stosowała go wobec niego za taki czy inny grzech.

– Oczywiście błagam o wybaczenie – rzekł poczerwieniały Geraud de Chervalles – za jakiegokolwiek uchybienie dostrzeżone przez królową. Powiem jednak, że kiedy chodzi o niewiernych, aszarytów czy Kindathów, żadne dżadyckie królestwo nie ma wewnętrznych, prywatnych spraw. Są to sprawy bożych duchownych.

– A zatem palcie ich sami – rzekł ponuro Ramiro z Valledo. – Albo, jeśli szukasz mężczyzn, którzy mają umrzeć, i kobiet, które mają zostać narażone na ryzyko utraty wszystkiego, co mają, w twojej sprawie, mów nieco ciszej, szczególnie na królewskim dworze, gdzie jesteś gościem.

– Mam pytanie – wtrąciła się Ines. – Jeśli mogę? – Spojrzała na króla. Ramiro skinął głową. Wciąż nie mógł uwierzyć w to, co się z nią stało. – Kto rozpętał tę wojnę? – zapytała. – Kto wezwał wojska?

– Duchowni Dżada, oczywiście – odparł Geraud, wciąż zaczerwieniony i już bez swojego gładkiego uśmiechu. – Pod przewodem tych z nas, którzy byli w Ferrieres, oczywiście.

– Oczywiście – powtórzyła Ines. – A zatem powiedz mi, dlaczego jesteś tutaj, duchowny? Dlaczego nie ma cię z tą potężną armią w Bachiarze, dlaczego nie przygotowujesz się do długiej podróży do owych odległych, niebezpiecznych wschodnich krain?

Ramiro nigdy nie widział, by jego żona tak się zachowywała. Znow spojrzął na nią ze szczerym zdumieniem. Zauważył, że jego zaskoczenie jest niczym w porównaniu

z zaskoczeniem Gerauda.

– Istnieją niewierni żyjący bliżej domu – odparł złowrogo zapytany.

– Oczywiście – mruknęła Ines z niewinną miną. – A Soriyya jest tak daleko, morskie podróże są tak męczące, a wojna na pustyni tak ryzykowna. Chyba rzeczywiście zaczynam rozumieć.

– Chyba nie. Myślę...

– Jestem znużona – przerwała mu Ines i wstała. – Wybacz. Kobięca słabość. Może moglibyśmy to kontynuować kiedy indziej, mój panie?

Spojrzała na Ramira.

Wciąż nie wierząc własnym uszom, król również wstał.

– Oczywiście, pani – rzekł. – Jeśli źle się czujesz... – Wyciągnął rękę, a Ines ją ujęła. Poczul wyraźny uścisk jej palców. – Hrabio Gonzalezie, zechcesz zaopiekować się naszymi znakomitymi gośćmi...

– To wielki zaszczyt – odparł Gonzalez de Rada.

Pstryknął palcami. Do przodu wystąpiło ośmiu służących i otoczyło duchownych. Ramiro uprzejmie skinął głową i czekał. Geraud de Chervalles, wciąż z czerwoną twarzą, nie miał wyjścia i musiał złożyć ukłon. Ramiro się odwrócił, a Ines, wciąż trzymając go za rękę, obeszła małżonka zamaszystym krokiem jak w tańcu – choć nigdy nie tańczyła – po czym oboje wyszli z sali przez nowe drzwi ze spiżu umieszczone za tronem.

Znaleźli się w niewielkim, gustownie urządzonym pokoiku, ozdobionym dywanami i niedawno kupionymi gobelinami. Na stoliku pod ścianą czekało wino. Ramiro szybko do niego podszedł i nalał sobie do kielicha. Opróżnił go, nalał jeszcze raz i znów wypił do dna.

– Przekleństwo Dżada na tego nieznośnego człowieka! Mogłabym dostać trochę? – rzekła królowa.

Król obrócił się na pięcie. Służący już wyszli. Zostali sami. Nie pamiętał, by kiedykolwiek widział u Ines taki wyraz twarzy. Ukrywając zmieszanie, szybko nalał wino, dolał wody i podał kielich żonie.

Wzięła go i podniosła wzrok na Ramira.

– Przepraszam – rzekła. – Ja to na nas sprowadziłam, prawda?

– Nieprzyjemnego gościa? – Udało mu się uśmiechnąć. Patrząc na nią, czuł dziwny optymizm. – Już sobie radziliśmy z podobnymi ludźmi.

– Ale on jest kimś więcej niż nieprzyjemnym gościem, prawda? – Patrzył, jak pociągnęła łyk. Skrzywiła się, ale wypita jeszcze. Nagle dobry nastrój Ramira zniknął równie szybko, jak się pojawił.

– Tak – odparł – jest kimś więcej. A raczej nie on sam, tylko wiadomości, które przyniósł.

– Wiem. Święta wojna. Wszystkie te zgromadzone wojska. Będą chcieli, byśmy się przyłączyli do sprawy, tak? W Al-Rassanie?

– I będą tego chcieli moi żołnierze.

– Nie chcesz się wyprawić na południe – stwierdziła.

Rozległo się delikatne pukanie. Król na nie odpowiedział i do pokoiku wszedł Gonzalez de Rada. Był bardzo blady i ponury. Ramiro wrócił do stolika i nalał sobie jeszcze jeden kielich. Tym razem dolał do wina wody. To nie była pora na dogadzanie sobie.

– Czy chcę rozpętać w Al-Rassanie świętą wojnę? – sformułował pytanie Ines dla konetabla.

– Szczerze? – Pokręcił głową. – Nie chcę. Chcę wyruszyć na południe na moich własnych warunkach w swoim czasie. Chcę odebrać Ruendę mojemu nieudolnemu bratu, a Dżalonię wujowi Bermudowi – niech mu zgniją palce u rąk i nóg – oraz Fezanę tym rzeźnikom z Cartady, a dopiero potem rozejrzeć się dalej albo pozwolić moim synom rozejrzeć się dalej, kiedy ja sam będę już martwy i nie będę ci sprawiał kłopotów.

Uśmiechnął się przelotnie do Ines. Nie zrewanżowała się mu uśmiechem.

– Jeśli wojsko królów płynie do Ammuzu i Soriyyi – odezwał się Gonzalez – to trudno nam będzie nie wyruszyć wiosną na południe. Wszyscy duchowni w trzech królestwach Esperanii będą grzmieć ze swoich kaplic, że jeśli tego nie zrobimy, to narazimy swoje dusze.

– Wiem – mruknął Ramiro. – Nalej sobie wina. Uspokoi twoją duszę.

– To moja wina – rzekła Ines. – Ja go tu sprowadziłam.

Król odstawił kielich. Podszedł do żony, wziął kielich od niej i też go odstawił. Ujął Ines za rękę. Nie odsunęła się. Wszystko to było bardzo niespotykane.

– On i tak by tu przybył, moja droga. On i inni. Jeśli wszyscy panowie na wschód od gór tańczą tak, jak im zagrają duchowni, to dlaczego my mielibyśmy żyć wolni od tego jarzma? Możesz być pewna, że podobni jemu ludzie już są w Dżalonii oraz w drodze do Ruendy, jeżeli jeszcze tam nie dotarli. Załadają zimowego spotkania nas trzech. Tylko poczekaj. Rozkażą nam się spotkać pod groźbą zakazu wstępu do kaplic, utraty naszych nieśmiertelnych miejsc w boskim świetle. I będziemy musieli ich posłuchać. Spotkamy się, wuj Bermudo, brat Sanchez i ja, usiądziemy razem, będziemy polować. Będą obserwować każdy mój ruch, podobnie jak ja ich. Zaprzysięgniemy święty rozejm między nami trzema. Duchowni będą wyśpiewywać w zachwycie nasze pochwały. A my niemal na pewno wyruszymy wiosną na wojnę do Al-Rassanu.

Jego królowa była bezpośrednia. Bystra, zaskakująca i bezpośrednia. Ramiro wzruszył ramionami.

– Żaden trzeźwy człowiek nie wypowiada się z pewnością siebie o wojnie. Szczególnie o takiej wojnie, kiedy po jednej stronie są trzy nienawidzące się armie, a po drugiej dwadzieścia armii, które się boją siebie nawzajem.

– I Muwardycjczycy za cieśniną – powiedział cicho hrabia Gonzalez. – Nie zapominaj o nich.

Ramiro zamknął oczy. Wciąż słyszał deszcz. Ferrieres, Waleska, Karch, miasta Bachariy...

wszystko to zgromadzone na świętą wojnę. Wbrew sobie, wbrew wszystkim trzeźwym odruchom, Ramiro czuł, że obraz ten ma w sobie coś poruszającego. Niemal widział nagromadzone sztandary, zebranych wszystkich wielkich dowódców. Jak ktokolwiek niepozbowiony ducha mógłby nie chcieć się tam znaleźć, nie chcieć uczestniczyć w takim przedsięwzięciu?

– Świat jest innym miejscem, niż był jeszcze dziś rano – stwierdził poważnie Ramiro z Valledo. Uświadomił sobie, że wciąż trzyma żonę za rękę, że ona mu na to pozwala. – Wiesz, co chciałbym zrobić? – dodał nagle, niespodzianie dla samego siebie.

Podniosła na niego wzrok. Wiedział, co myśli. Kiedy tak do niej mówił, zawsze chciał jednego. Cóż, nie była tu jedyną osobą, która potrafiła zaskakiwać. A to nowe uczucie było silne.

– Chciałbym się pomodlić – oznajmił król Valledo. – Po tym, czego się właśnie dowiedzieliśmy, chyba chciałbym się pomodlić. Pójdziecie oboje ze mną?

Poszli razem do królewskiej kaplicy, król, jego królowa i ich konetabl. Był tam pałacowy duchowny, który właśnie przybył w wielkim pomieszeniu z sali audiencyjnej. Na widok króla zdumiał się tak, jak można się było spodziewać, czyli bardzo. Pośpiesznie zajął swoje miejsce przy ołtarzu, przed dyskiem.

Każde z nich uczyniło prawą ręką na sercu symbol bożego słońca i uklękło na kamiennej posadzce. W królewskiej kaplicy panował półmrok. Były tam okna, lecz stare i mniejsze, i padał na nie deszcz.

Modlili się w tej prostej, surowej przestrzeni do jedyne boga i życiodajnego światła słońca, zwróciwszy twarze w stronę symbolu tego słońca, umieszczonego na ścianie za kamieniem ołtarza. Modlili się o siłę i miłosierdzie, o czystość serca i śmiertelnego ciała, o spełnienie jasnych wizji Dżada i o przyjęcie, przy końcu ich dni wśród pól ziemi, do Raju.

CZEŚĆ IV

ROZDZIAŁ 10

Nino di Carrera, młody, przystojny i sprawny, ulubiony dworzanin króla Bermuda z Dżalonii i jednocześnie najnowszy z sekretnych kochanków wymagającej żony Bermuda, królowej Frueli, znajdował się w stanie pełnej niepokoju konsternacji.

Właściwie nie miał najmniejszego pojęcia co robić.

Zakłopotanie go złościło. Złość potęgowało coraz większe zażenowanie z powodu tego, co właśnie się działo. Nino zerwał z głowy żelazny hełm i potrząsnął płową grzywą włosów, stanowiącą obiekt zazdrości i pożądania większości kobiet na dworze Bermuda w Eschalou. Jego oddech oraz oddechy dwóch zwiadowców i trzech koni tworzyły w lodowatym porannym powietrzu białe obłoczki.

Oddział zatrzymał się za nim w tej wysoko położonej dolinie, otoczonej wzgórzami. To byli jego ludzie, dobrze wyszkoleni żołnierze. Konie zostały rozstawione na obrzeżach formacji, a muły ze skrzyniami ze złotem z Fibazu w jej środku. Sześć skrzyń. Roczne *parias* z miasta niewiernych w Al-Rassanie. Pierwsza taka danina zapłacona Dżalonii. Obietnica bogactwa, potęgi i wielu innych rzeczy. Nie tylko złodzieje koni z Valledo umieją przywołać aszarytów do nogi jak kundły, którymi są. A jemu, Nino di Carrerze, powierzono zadanie odebrania tego pierwszego skarbu i przywiezienie go do Eschalou, zanim spadną śniegi. Król obiecał mu wiele po powrocie; królowa... królowa już go wynagrodziła, w noc przed wyjazdem.

„Mój złocisty” – tak go nazwała, leżąc w łóżku po miłosnym szale. Określenie to było teraz jeszcze trafniejsze. Wiózł ze sobą złoto, sześć skrzyń złota, na większą chwałę Dżada i Dżalonii – oraz hrabiego Nino di Carrery, który teraz wznosił się niczym złocisty sokół. A kto wie, jak wysoko zajdzie, nim wszystko się dokona i zostanie rozliczone przed bogiem? Lecz wszystko – świetlana, wzniosła przyszłość – zależało od tego, czy uda mu się dowieźć te sześć skrzyń bezpiecznie do domu i, co w tej chwili było ważniejsze, czy uda mu się uciszyć kobiecy głos, odbijający się echem w tej nienaturalnie akustycznej wysokogórskiej dolinie. Żałował, że w ogóle do niej wjechali.

– Nino, Nino, Nino! Och, mój ukochany! To ja, Fruela, twoja królowa! Chodź do mnie, najdroższy!

Donośne wezwanie, dźwięczne i wyraźne, rozbrzmiewało jak dzwon, wciąż od nowa napełniając dolinę dźwiękiem. Nino di Carrera zdawał sobie sprawę, że się zaczerwienił; całe życie cierpiał na tę dolegliwość, idącą w parze z jasną cerą. Nie był to – oczywiście, że nie! – głos królowej Frueli, niemniej był to głos kobiety władającej płynnie esperanskim, przepojony pożądaniem.

– Chodź, Nino! Weź mnie. Weź mnie tu, na wzgórzach!

Tego rodzaju publicznie wyrażona prośba w żaden sposób nie mogła się przysłużyć wschodzącej gwiazdzie dworu króla Bermuda, bez względu na to, przez kogo i gdzie została wyrażona. A słowa te były tu bardzo publiczne. Ktoś się bawił kosztem Nino di Carrery. Ktoś za to zapłacił.

Unikał oglądania się na swój oddział, lecz kiedy głos kobiety, nabrzmiały tęsknotą, nie ustawał w jednoznacznych zaproszeniach, Nino wyraźnie usłyszał za sobą tłumiony śmiech.

– Och, mój szalejący ogierze, muszę cię mieć! Zmusz mnie, bym ci uległa, mój ukochany!

Dźwięk roznosił się w tym miejscu absurdalnie dobrze. To było nienaturalne, ot co! Słowa nie tylko się niosły, ale i odbijały echem, tak że każde tęskne wymówienie jego imienia, każda wyraziście opisana czynność rozbrzmiewała niczym wyśpiewana przez chór w kaplicy.

Dwaj zwiadowcy pobledli i nie patrzyli mu w oczy. Nie okazywali ani śladu rozbawienia. Tak czy owak, nie poważyliby się na to, lecz przyniesione przez nich wieści dodatkowo wykluczały wesołość. Kobieta jęcząca z pożądania stanowiła obelgę, i to śmiertelną; uzbrojeni ludzie czekający w zasadzce to było jednak coś innego.

Mimo że wygląd i młodość di Carrery mogły sugerować, że jest lekkomyślny, był on ostrożnym dowódcą dobrego oddziału, a szczególnym mistrzostwem wykazywali się jego zwiadowcy. Właściwie istniało duże prawdopodobieństwo, że niewiele oddziałów zostałoby zaalarmowanych z takim wyprzedzeniem. Większość dowódców czułaby się beztrudnie w towarzystwie niemal setki jeźdźców. Nino zbyt dobrze zdawał sobie sprawę, jak ważna jest ta misja dla Dżalonii i dla niego samego. Miał zwiadowców z przodu, z tyłu, a także po prawej i po lewej, ale wzgórze zmusiły tych ostatnich do powrotu. Dwaj wysłani przodem zauważyli pułapkę starannie zastawioną przy północnym krańcu doliny.

– Nino! Płonę z miłości! Och, mój ukochany, przede wszystkim jestem kobietą, a dopiero potem królową!

Głos wypełniał nieckę doliny i prawie całkowicie uniemożliwiał skupienie. A stało się ono teraz sprawą zasadniczą: ktokolwiek zastawił tę pułapkę, musiał dokładnie wiedzieć, jak liczni są dżadyci. Co oznaczało, że nie peszy go liczebność przeciwnika. Co oznaczało poważne kłopoty. Napastnicy nie mogli pochodzić z Fibazu: absurdem byłoby oddać złoto, a potem odebrać je siłą. A król Badir z Ragosy, który kontrolował małe, bogate miasto Fibaz, sam, choć niechętnie, zezwolił na ściąganie tego *parias*. Po co miałby wypuszczać je poza bronione mury, a potem atakować na otwartej przestrzeni? Po co w ogóle zgadzać się na płacenie, skoro się czuje na tyle bezpiecznie, by atakować?

To nie miało sensu. A zatem czekającą na nich zasadzkę najwyraźniej zastawili bandyci. Nino był zadowolony, że wciąż umie myśleć na tyle jasno – ta kobieta na wzgórzach dawała do zrozumienia, że w oczekiwaniu na niego pozbywa się ubrania – by to wszystko przeanalizować.

Co prawda, wciąż istniało kilka problemów; to, na co się tu natknęli, wciąż wydawało się

czymś nie do pomyslenia. Trudno było sobie wyobrazić bandę zbójców na tyle dużą i dobrze wyposażoną, by usiłowała napaść na stu wyszkolonych Jeźdźców Dżada.

Wtedy Nino di Carrera wpadł na pewien pomysł. Zmrużył oczy i podrapał się po szczęce. Chyba że, chyba że...

– Ja drzę, ja tęsknię, ja umieram. Och, Nino, przyjdź do mnie z mieczem swoich lędźwi! Mieczem?

Jeden ze zwiadowców nagle zakaszłał i odwrócił głowę. Z tyłu, stamtąd gdzie zatrzymał się oddział, dochodziły charakterystyczne dźwięki.

To go przekonało. To przeppełniło miarę.

– Edrique! Do mnie! Natychmiast! – wrzasnął di Carrera, nie oglądając się. Natychmiast rozległ się tętent galopującego konia.

– Panie?

Obok niego pojawił się przysadzisty, niezwykle zaczerwieniony zastępca.

– Ta kobieta ma zamilknąć. Weź pięciu ludzi.

Edriqueowi udało się zachować obojętny wyraz twarzy.

– Oczywiście, panie. Natychmiast.

– Przyjdź, mój ogierze! Chcę wjechać na tobie do Raju!

Teraz Edrique zakaszłał, odwracając szkarłatną twarz.

– Kiedy w wystarczającym stopniu odzyskasz panowanie nad sobą, zajmij się wykonaniem rozkazu. Być może zainteresuje cię wiadomość, że na końcu doliny zastawiono pułapkę.

– Sądzisz, że ta kobieta jest związana z...

– Skąd, na Dżada, mam wiedzieć? – warknął Nino. – Rozpraw się z nią, kimkolwiek jest, i szybko wracaj. Przywieź ją ze sobą. Ma być żywa. My tymczasem zawrócimy na południe i objedziemy tę dolinę, bez względu na to, ile nadłożymy drogi. Nie znoszę tego miejsca! – Powiedział to z większym uczuciem, niż zamierzał. – Nie wjadę w wąskie gardło, gdzie wróg zna teren.

Edrique kiwnął głową i ścisnął konia ostrogami. Nino usłyszał, jak jego zastępca błyskawicznie wyznacza swoich towarzyszy. Przez chwilę siedział w siodle bez ruchu, usiłując się skupić mimo gorączkowych nawoływań kobiety i odbijającego się echem w całej dolinie swego imienia.

Przed chwilą majaczyła mu ważna myśl. Teraz uciekła.

Zawrócenie było jednak właściwą decyzją; był tego pewien, choć dręczyło go, że cofa się przed aszaryckimi szumowinami. Jeśli ci bandyci są na tyle pewni siebie, by zastawić pułapkę, to wjeżdżanie w nią nie ma sensu, bez względu na siłę jego oddziału. W tej sytuacji dumę trzeba schować do kieszeni. Na chwilę. Zemsta, jak mawiał jego lud, jest winem, które trzeba smakować powoli.

Usłyszał zbliżające się konie. Zwiadowcy szybko zerknęli za jego plecy. Nino się odwrócił. Zobaczył nadjeżdżających galopem dwóch żołnierzy, którym zlecił osłaniać tyły. Osadzili konie w miejscu przed nim.

– Panie! Za nami jest oddział zbrojnych! Zamknęli południowy kraniec doliny!

– Mój szaleńcze, mój królu! Weź mnie! Płonę z miłości do ciebie!

– Co robi ta przeklęta kobieta? – warknął Nino.

Z trudem się opanował. Powinien myśleć, powinien być stanowczy, a nie rozzłoszczony i rozkojarzony. Patrzył przez chwilę na zwiadowców niewidzącym wzrokiem, a potem odwrócił się i spojrzał ku północnemu krańcowi doliny. Krył go mrok, jako że wzgórza schodziły się tam w długi przesmyk, do którego nie docierało słońce. Z przodu zasadzka, z tyłu zbliżający się ludzie. Czekając tu, zostaną wzięci w kleszcze. Jeśli wrogów jest wystarczająco wielu... Ale ilu ich może być? To nie ma sensu!

– Ilu jest z tyłu? – warknął przez ramię do drugiej pary zwiadowców.

– Trudno powiedzieć, panie. Pierwsza grupa liczy około dwudziestu pięciu ludzi. Wygląda na to, że za nimi są następni.

– Piesi?

– Oczywiście, panie. Bandyci nie mieliby...

– Jeśli będę chciał usłyszeć twoje zdanie, to o nie zapytam!

– Tak, panie!

– Poproś mnie o cokolwiek, mój jedyny królu! Jestem twoją niewolnicą. Czekam naga na twą męskość! Rozkazuj mi jak chcesz!

Nino zaklął i przesunął ręką po włosach. Są tu okrażeni! Nie do wiary. Jak w tym miejscu może być tylu bandytów? Zobaczył, że Edrique z pięcioma ludźmi wjeżdża na wschodni stok, by schwytać kobietę. Po pewnym czasie będą musieli zostawić konie i dalej wspinać się o własnych siłach. A ona cały czas będzie ich widziała.

Podjął decyzję. Nadszedł czas na stanowczość.

– Edrique! – ryknął. – Wracajcie!

Czekał na swego zastępcę; razem z nim czekali czterej zwiadowcy z zaniepokojonymi minami. Edrique ostrożnie zjechał na dół, a potem przygalopował do Nino.

– Zostawcie ją – polecił ochryple dowódca. – Jedziemy na północ. Za nami też są jacyś ludzie. Jeśli z obu stron mamy bandytów, to jedziemy dalej. Na pewno dobrze rozmieścili siły. Nie ma sensu teraz zawracać. Zmieniłem zdanie. Nie będę się cofał przed aszaryckimi bandytami.

Edrique uśmiechnął się posepnie.

– Zaiste, panie. Damy im nauczkę, której nie zapomną.

Zawrócił do oddziału, wykrzykując rozkazy.

Nino stanowczym ruchem włożył hełm. Edrique jest dobry, nie ma dwóch zdań. Jego pełne spokoju i pewności siebie zachowanie budziło zaufanie do dowódcy i dawało mu wsparcie. Ludzie to zauważą i odpowiednio zareagują. Nino di Carrera miał dobry oddział na doskonałych koniach, a każdy z jeźdźców był dumny, że został wybrany do tej misji. Kimkolwiek są te aszaryckie ścierwojady, pożałują swojej dzisiejszej bezczelności.

Nino uznał, że za taką prowokację trzeba będzie ich spalić. Tu, w tej dolinie. Niech krzyki rozniosą się echem. Wiadomość. Ostrzeżenie. Następne oddziały wybierające się na południe po *parias* będą mu za to dziękować.

– Nino, mój świetlisty, to ja, twoja Fruela! Umieram z pożądania!

A kobieta będzie musiała zaczekać. Jeśli płonie i umiera, cóż, dla niej też już niedługo znajdą się płomienie, podobnie jak dla tego, kto namówił ją do odgrywania tej upokarzającej komedii.

I tak, skupiony na gniewie, Nino di Carrera pokonał konsternację i wątpliwości. Dobył miecza. Jego oddział już się ustawił za nim w szyku. Obejrzał się, zobaczył, jak Edrique, sam z uniesionym mieczem, kiwa mu energicznie głową.

– Na chwałę Dżalonii! – zawołał wtedy Nino. – Naprzód! Naprzód w święte imię Dżada!

Ruszyli ku północy szybko, lecz w zwartym szyku, wciąż utrzymując muły ze złotem bezpiecznie w środku oddziału. Przemierzyli dolinę, krzycząc w zapale bitewnym, w oczekiwaniu walki. Nie bali się. Wiedzieli, kim są i na co ich stać. Przejechali po zmrożonej trawie skąpanej w jasnym blasku słońca i znaleźli się w cieniu zbiegających się wzgórz. Wpadli z grzmotem kopyt w ciemny wąwóz, wykrzykując imię boga. Stu dzielnych, wyćwiczonych Jeźdźców Dżada.

Idar ibn Tarif, który dowodził czterdziestką ludzi po zachodniej stronie parowu, kłął bez przerwy i ze znaczną pomysłowością od chwili, gdy na zboczu powyżej nich dostrzeżono dżadyckich zwiadowców. Ostrzelano ich i przez chwilę ścigano, lecz bezskutecznie.

Zostali odkryci! Zasadzka pójdzie na marne. Skończyło się długie polowanie. Kto mógłby sobie wyobrazić, że dżadycki dowódca będzie na tyle bojaźliwy, by wysyłać zwiadowców! On ma stu jeźdźców! Miał być arogancki i lekkomyślny. Na jasne niczym gwiazdy imię Aszara, dlaczego on jest taki ostrożny?

Po drugiej stronie wąskiego, ostro skręcającego kanionu u północnego krańca doliny wciąż czekali jego ojciec i brat, nieświadomi właśnie zaistniałej katastrofy, zajęci przygotowywaniem swoich łuczników do wypuszczenia pierzastej śmierci na niczego się niespodziewających ludzi. Zrozpaczony Idar właśnie miał przemknąć po zacienionym terenie, by powiedzieć im o zwiadowcach, kiedy usłyszał kobiecy głos, dochodzący gdzieś ze wschodniej krawędzi Emin ha'Nazar – rozbrzmiewającej echem doliny, w której zatrzymali się ci śmierzący jeźdźcy o psich twarzach.

Po tej stronie wąwozu wysoki głos było słycać wyraźnie. Idar bynajmniej nie posługiwał się płynnie esparańskim, lecz znał go na tyle, by się nagle zatrzymać. Zdumiony – i nawet mimo tej strasznej katastrofy rozbawiony – postanowił zaczekać na rozwój wypadków.

Dżadyci zamierzali zawrócić. To było jasne dla każdego. Jeśli zauważyli zasadzkę, to na pewno wyciągnęli oczywiste wnioski. Byli świniami i niewiernymi, ale wiedzieli, jak prowadzić wojnę. Zawrócą, okrążą Emin ha’Nazar i pojedą dłuższą, okrężną drogą.

A stąd do *tagry* nie było innego miejsca na zasadzkę, która dawałaby osiemdziesięciu niejednocznie wyposażonym ludziom – zbieraninie łuczników, rzezimieszków i kilku jeźdźców pod wodzą niesławnego ojca Idara i jego brata – jakąkolwiek nadzieję na pokonanie tak wielu żołnierzy. Złoto było warte wielkiego ryzyka, podobnie chwała, lecz ani jedno, ani drugie nie usprawiedliwiałoby, zdaniem Idara, śmierci. Gardził dżadytami, ale nie był na tyle głupi, by nie doceniać ich umiejętności jako wojowników. A jego ojciec oparł swoją długoletnią karierę na zasadzie, wedle której wydawał bitwę tylko na terenie, który sam wybrał.

Zatem ta wyjątkowa szansa, którą chwycili tak daleko na północy, o tak późnej porze roku, została zaprzepaszczona. Cóż, było to dość ryzykowne przedsięwzięcie. Zaczekają, aż dżadyci wyjadą z doliny i skierują się na zachód. Potem sami wyruszą na południe i rozpoczną długą podróż do domu. Gdyby zimowe deszcze i błoto nie czały się tak blisko, mogliby się nie śpieszyć i znaleźć pocieszenie w grabieży ragoskich ziem po drodze.

Idar pomyślał ponuro, że pocieszenie znajdą dopiero, kiedy wrócą do własnych kamiennych murów. Właściwie w tej chwili chciałby się napić, ale ojciec by mu tego zakazał. Oczywiście nie z pobudek religijnych, ale jako dowódca wyprawy łupieżczej. Zasada ta miała czterdzieści lat. Idar sprzeciwiłby się ograniczeniom starca, gdyby nie dwie kwestie: kochał go i bał się go bardziej niż kogokolwiek na świecie.

– Patrz! – szepnął jeden z łuczników obok niego. – W imię Raju Aszara, patrz!

Idar popatrzył. Wstrzymał oddech. Nadjeżdżali. Bóg doprowadził dżadytów do szaleństwa, a może uczynił to głos tej kobiety. Kto wie, co pcha ludzi do takich czynów? Idar wiedział tylko to, że on sam, jego brat, ojciec i ich ludzie za chwilę stoczą walkę, jakiej nie zaznali od lat. Ich zasadzka została odkryta, a wrogowie mimo to w nią wjeżdżali.

Dżadyci – setka jeźdźców otaczających zmęczone muły – zbliżyli się do wąwozu. Jechali zbyt szybko. Idar wiedział, że gdy tylko znajdą się w cieniu stromych zboczy, będą się poruszać po omacku. Robią straszliwy błąd. Czas zmusić ich do zapłaty za niego.

Strzała Idara była jedną z pierwszych. Wypuścił drugą i trzecią, a potem, ślizgając się, ruszył po zboczu w dół, gdzie w wykopanych dołach krzyczeli dżadyci i kwiczały ich konie w płątanie pogruchotanych kończyn i ostrych włóczni, wbitych w zimną ziemię, by niosły śmierć.

Mimo że poruszał się szybko, Idar zobaczył przed sobą swego ojca.

Początkowo sugestia Rodriga uraziła Dżehanę, potem rozbawiła, a w końcu natchnęła pomysłowością. W trakcie tego przedstawienia odkryła, że okazywanie na głos gorączkowego pożądanego tak, by słyszała ją cała leżąca poniżej dolina, jest niespodziewanie pobudzające.

Dwaj towarzyszący jej mężczyźni prawie się skręcili z niemej wesołości, wywołanej przez jej coraz bardziej wyraziste wariacje na temat bolesnej fizycznej tęsknoty rzekomej królowej Frueli z Dżalonii do złotowłosego hrabiego, który przybył po odbiór *parias* z Fibazu. Musiała się zgodzić, że do sypania coraz bardziej szalonymi i obrazowymi pomysłami zachęcało ją szczere uznanie dla jej występu.

Znajdowali się wysoko na wschodnich stokach wzgórz otaczających nieckę doliny Emin ha’Nazar, słynnego Miejsca Wielu Głosów. To znaczy słynnego, ale nie dla dżadytów, którzy tego ranka wjechali w dolinę. Nawet Rodrigo usłyszał o nim dopiero tego dnia, lecz ibn Khairan nie tylko o nim słyszał, ale spodziewał się, że tu może zostać urządzona zasadzka na złoto Fibazu.

Emin ha’Nazar było znane nie tylko z echa. Wśród upiornych głosów, które podobno rozbrzmiewały nocą w dolinie, rozlegały się tu głosy ludzi poległych w walkach stoczonych w niej przed wiekami.

W pierwszej takiej potyczce też brali udział dżadyci; odbyła się ona podczas wielkiej fali początkowej ekspansji kalifatu, kiedy to granica między Aszarem i Dżadem przebiegała najdalej na północy w całej historii. W gruncie rzeczy znajdowała się tam nadal; tuż na południe od rzeki Duric i gór osłaniających Dżalonie.

Tamta dawna, gwałtowna kampania rozpoczęła – w niekończącym się ciągu paradoksów – wielowiekową chwałę Al-Rassanu. Kolejni błyskotliwi kalifowie z rozrastającej się Al-Fontiny w Silvenes wybierali sobie przydomki świadczące o tym, czego dokonali podczas wojny: Zdobywca, Niszczyciel, Miecz Zrodzonych z Gwiazd, Bicz na Niewiernych.

I byli nimi, w przydomkach tych nie było nadmiernej pychy. Kalifowie ci oraz ich wojska po pierwszym zuchwałym, zdumiewająco udanym wypadzie z Madżritu przez cieśninę na północ, przed ponad trzystu laty, wycięli i wyrąbali sobie na półwyspie wspaniałe królestwo, wypędziwszy Esperan na najdalszy jego kraniec; najeżdżali ich dwa razy do roku dla złota, zboża i niewolników oraz czystej przyjemności i wielkiej chwały czynienia tego w świetliste imię Aszara.

Okres ten został nazwany Złotym Wiekiem.

Dżehana uznała, że wedle kryteriów takich ocen zapewne tak było. Kindathom, którzy zawsze stąpali na palcach, poszerzający się świat kalifów dawał nieco spokoju i kruche bezpieczeństwo. Tak jak mieszkający w Al-Rassanie dżadyci, płacili podatek heretyków; mogli po swojemu czcić boga i jego siostry tylko za zamkniętymi drzwiami; wolno im było nosić tylko

niebieskie i białe stroje. Nie mogli jeździć konno, utrzymywać intymnych stosunków z wiernymi, wznosić dachów swoich sanktuariów nad aszaryckie świątynie w tym samym miasteczku czy mieście... istniały ograniczające ich zasady i prawa, lecz dawało się z tym żyć, a egzekwowanie praw bardzo się zmieniało z biegiem czasu.

Złoty Wiek. Już przeminął. Księżyców przybywało i ubywało. Silvenes upadło; królewiatka straszły się i tarnosiły ze sobą. A teraz dzadyci znów pojawiali się na południu, dosiadając wspaniałych koni hodowanych na północy. Valledo żądało daniny od Fezany. Ruenda umizgiwała się do Salosu i nadbrzeżnych miast, leżących na północ od niego, a tutaj, w dolinie poniżej, znajdował się pierwszy oddział wiozący *parias* do Dżalonii, który także chciał się usadowić przy biesiadnym stole i dostarczyć królowi Bermudowi, mieszkającemu w pełnym przeciągów zamku w Eschalou, złoto Fibazu.

Jeśli mu się uda.

Wysoko na stoku górującym nad doliną Dżehana znów nabrała tchu i zawołała po esperañsku tonem, który, jak miała nadzieję, wyrażał nieopanowane pożądanie:

– Nino, mój złocisty królu, to ja, Fruela! Płonę z miłości do ciebie żywym ogniem!

Ukryci za cedrami i sosnami, zobaczyli, jak młody dzadycki dowódca znów podnosi wzrok. Zawahał się, a potem stanowczym ruchem włożył hełm.

– O to nam chodziło – odezwał się cicho Rodrigo. Przestał się śmiać. – Chyba ci się udało, Dżehano.

– Odwołuje ludzi, których tu wysłał – rzekł, także cicho, Ammar.

– Co mi się udało? – spytała Dżehana, znizywszy głos do szeptu.

Żaden z nich jak dotąd nie raczył jej tego wyjaśnić. Po prostu poprosili, by wspięła się na stok i udawała ogarniętą płomieniem pożądania. Wówczas wydało jej się to zabawne.

– Sprowokowałaś go – mruknął Rodrigo, nie odrywając wzroku od dna doliny. Jeźdźcy formowali szyk, by ruszyć ku jej północnemu krańcowi. – Nino di Carrera jest próżny, ale nie jest głupcem. Wysłał zwiadowców do przodu i do tyłu. Gdyby miał chwilę spokoju, przemyślałby sytuację i wykonał rozsądne posunięcie, czyli zawrócił. Ty mu ten spokój odbierałaś. Nie myśli rozsądnie, bo jest upokorzony i zły.

– Jest martwy – stwierdził beznamiętnie Ammar ibn Khairan. On też nie spuszczał wzroku z doliny. – Patrzcie, co robią.

Dżehana zobaczyła, że dzadyci ruszyli galopem. Ukryta wysoko wśród drzew, słyszała mimo wiatru groźne i pełne uniesienia okrzyki. Przerazał ją widok ich ciasnej formacji. Grzmot kopyt docierał do jej kryjówki. Zobaczyła, jak Nino di Carrera prowadzi swój oddział w mrok spowijający koniec doliny. Jeźdźcy zniknęły jej z oczu.

– Za szybko – ocenił Rodrigo.

– O wiele za szybko. Na zakręcie kanionu na pewno jest dół z włóczniami – rzekł ponurym

tonem Ammar.

– I łucznicy, czekający na wpadające na siebie konie.

– Oczywiście. Będzie paskudnie.

– Ale skutecznie – podsumował Rodrigo.

W chwilę później Dzehana usłyszała pierwsze wrzaski.

Mężczyźni wymienili spojrzenia. Dzehana rozumiała tylko tyle, że pokierowali wydarzeniami, by osiągnąć właśnie taki skutek. Nie wiedziała jeszcze, co jest ich celem. Wiązało się to jednak ze śmiercią; słyszała, że giną ludzie.

– Pierwsza część wykonana – powiedział spokojnie Ammar. – Powinniśmy zejść na dół.

Przeniosła wzrok z niego na Rodriga; to on zaproponował jej występ w roli królowej Frueli.

– Nie zamierzasz mi tego wyjaśnić, prawda?

– Później, Dzehano, obiecuję – odparł Rodrigo. – Teraz nie ma czasu. Potrzebne nam będą miecze, a potem, obawiam się, pomoc lekarska.

– Jest już Lain – zauważył ibn Khairan, pokazując na drugi koniec niecki.

Dzehana zobaczyła, jak ich własny oddział zmierza z południa ku mrocznemu przesmykowi, w którym zniknęli Dżalanie.

– Oczywiście – potwierdził Rodrigo. Dzehana wyczuła w jego głosie nutę samozadowolenia.

– Wie co robić. Myślisz, że kim jesteśmy?

Ammar błysnął na to w uśmiechu białymi zębami.

– Dzielnymi Jeźdźcami Dżada – odparł. – Takimi samymi jak ci, którzy są wyrzynani poniżej.

– Niezupełnie – rzekł Rodrigo, nie dając się sprowokować. – Niezupełnie. Zobaczysz. Chodź, Dzehano. Potrafisz się opanować na tyle, żeby zejść na dół?

Miała chęć go uderzyć, ale odgłosy dochodzące z ciemności u północnego krańca doliny, gdzie ginęli ludzie i konie, były tak przerażające, że w milczeniu ruszyła za swymi dwoma towarzyszami.

– Zabijamy każdego, kto pojawi się u wylotu wąwozu – rzekł beznamiętnie Lain Nunez do swego oddziału. – Nie bierzemy jeńców. Traktujemy obie strony jak wrogów. Mają nad nami poważną przewagę liczebną.

Ponura mina wydającego rozkazy starego wojownika przestraszyła Alvara, Nie było żadną tajemnicą, że Lain zawsze uważał ten skomplikowany, wielopoziomowy plan za głupi i niewykonalny. Lecz wszyscy trzej – Masur ben Avren w Ragosie, don Rodrigo i Ammar ibn Khairan tutaj – starali się przewyższyć pozostałych subtelnością i plan zyskał tyle niuansów, że stał się niemal niezrozumiały. Alvar już dawno przestał nawet próbować zrozumieć, – co się dzieje.

Rozumiał tylko podstawy: zadbali o to, by pewien niesławny przywódca bandytów dowiedział się o zlocie z Fibazu. Chcieli, by połakomił się na *parias*. Król Badir opóźnił wydanie zgody na wypłacenie złota Dżalonii, by dać bandycie czas na podjęcie działań, gdyby się na nie zdecydował.

A potem, kiedy pewnej nocy przybył z południa samotny posłaniec, następnego ranka w zimnym deszczu, u progu zimy, Rodrigo i ibn Khairan wyprowadzili z Ragosy pięćdziesięciu Valledan. Nie mieli żadnych sztandarów, żadnych identyfikujących ich emblematów, nawet własnych koni – jechali na niepozornych wierzchowcach z Ragosy. Skierowali się na wschód, przemierzając kraj niczym duchy, a cały czas dwudziestu z nich krążyło wokół oddziału, wypatrując przemierzających się grup ludzi.

Zgodnie z przewidywaniami bandę zbójców dążącą na północ wypatrzył Martin. Komendant i ibn Khairan uśmiechnęli się wtedy; stary Lain nie. Od tej chwili dowódca bandytów był starannie śledzony przez całą drogę aż do tej doliny. Miał około osiemdziesięciu ludzi.

Dżalonie pod wodzą hrabiego Nino di Carrery – nazwisko to było nieznane Alvarowi – już byli w Fibazie, leżącym na południowy wschód od miejsca, gdzie czekali na nich bandyci. Di Carrera miał podobno stu ludzi na wspaniałych koniach.

Kiedy nadeszła wiadomość o miejscu zastawienia pułapki, ibn Khairan znów się uśmiechnął. Tego dnia też padał deszcz, skapując z rond kapeluszy na kołnierze płaszczy i wierzchnich tunik. Polne drogi i same pola już zaczynały rozmiękać w gęste, zimowe błoto, zdradliwe dla koni.

– Emin ha’Nazar? Stary lis. – rzekł wtedy ibn Khairan. – To do niego podobne. Naprawdę będzie mi trochę przykro, jeśli zostaniemy zmuszeni go zabić.

Alvar wciąż nie był pewien, co myśli o panu Ammarze ibn Khairanie.

Miał niemal pewność, że Dżehana go lubi – co komplikowało sytuację. Komplikowała ją już wystarczająco obecność lekarki na tej wyprawie. Martwił się, że jest jej zimno i mokro, że śpi w namiocie na wilgotnej albo zamarznętej ziemi, lecz ona nic nie mówiła, nie skarżyła się i jeździła konno – co oczywiście było dla Kindathów zakazane – zdumiewająco dobrze. Odkrył, że nauczyła się tego w Bachiarze. Wyglądało na to, że tam pozwalano robić wszystko, co normalnie było zakazane.

– Co to za dolina? – zapytał Rodrigo ibn Khairana. – Powiedz mi wszystko, co o niej wiesz.

Odeszli w mgłę, cicho rozmawiając, więc Alvar nie usłyszał już nic więcej. Akurat obserwował twarz Laina Nuneza i z jego miny częściowo zrozumiał, dlaczego Lain jest podczas tej zimowej wyprawy taki niezadowolony. Nie tylko Alvar czuł się wysadzony z siodła przez ostatnie wydarzenia.

Jednakże niezadowolenie Laina okazało się w końcu najwyraźniej zupełnie nieuzasadnione. Mimo całej złożoności planowania i konieczności zachowania ruchów ich oddziału w całkowitej tajemnicy, wszystko się zbiegło tu, w tej dziwnej, wysoko położonej, rozbrzmiewającej echem

dolinie. Tego dnia nawet świeciło słońce, a powietrze było przejrzyste i bardzo zimne.

Alvar znajdował się w pierwszej grupce, która pobiegła – ibn Khairan rozkazał im zostawić konie – by zamknąć południowy kraniec doliny po przejechaniu Dżalonów. Rozumiał, że udają zbójców, należących do bandy, która zastawiła pułapkę na północy. I mieli ich zauważyć dżalońscy zwiadowcy.

Zauważyli ich. Martin dostrzegł dwóch jeźdźców na tyle wcześniej, że ludzie Rodriga, gdyby chcieli, mieli mnóstwo czasu, by ich zabić. Nie chcieli. Z jakiegoś powodu, stanowiącego część tego niezrozumiałego planu, mieli dać się dostrzec zwiadowcom, a potem wrócić biegiem w głąb doliny i zameldować się u dowódcy. Bardzo trudno było dociec, o co tu chodzi. Alvarowi sprawiło to tym większą trudność, że przez cały ranek ich pełnym napięcia ruchom towarzyszył głos ukrytej wysoko na zboczu Dżehany, jęczącej z pożądania, którego obiektem był żółtowołosy dżaloński dowódca. Ta część planu Alvarowi zupełnie się nie podobała, choć niemal wszystkim innym wydawała się nader śmieszna.

Kiedy Lain Nunez wydał rozkaz wyruszenia konno w głąb doliny – konie zostały przyprowadzone, gdy tylko obaj zwiadowcy odjechali – Alvar poczuł, że chętnie by kogoś rozszarpał. Galopując na północ w zimowym słońcu, pomyślał, że zaraz będzie zabijał dzadytów w aszaryckiej sprawie. Starał się tym nie trapić. Przecież jest najemnikiem.

Nino miał dobrą zbroję. Jedna strzała trafiła go w pierś i się odbiła, inna skaleczyła nieosłoniętą łydkę. A potem jego koń, który poruszał się zbyt szybko, nie znalazł oparcia pod nogami i wpadł do dołu.

Z kwikiem nabił się na las sterczących z dna palików. Koński kwik to straszny odgłos. Zdesperowany Nino di Carrera wyskoczył z siodła w chwili, gdy koń spadał. Rzucił się ku najbliższej ścianie dołu, chwycił się wystającego z niej korzenia, nie puścił i wydostał się na wierzch. Prawie pod kopyta konia jednego ze swoich ludzi, rozpaczliwie usiłującego ominąć zabójczy dół.

Został kopnięty w żebra i rozciągnął się na zamarzniętej ziemi. Zobaczył zbliżającego się następnego konia i mimo bólu odtoczył się i znalazł z dala od młócących kopyt. Z trudem łapał powietrze. Niemal stracił oddech i dzwoniło mu w uszach, lecz stwierdził, że ręce i nogi ma sprawne. Oddychał ciężko i chrapliwie, ale mógł się poruszać. Jakoś udało mu się wstać, odkrył jednak, że w dole zgubił miecz. Tuż obok leżał martwy człowiek ze strzałą w gardle. Nie zważając na ból żeber, Nino chwycił klingę żołnierza i rozejrzał się za kimś, kogo mógłby zabić.

Kandydatów było pod dostatkiem. Ze stoków po obu stronach wąwozu zbiegali bandyci. Przynajmniej trzydziestu ludzi Nino – a prawdopodobnie więcej – leżało na ziemi zabitych albo okaleczonych w zasadzce z włóczniami lub przez strzały. Mimo wszystko sporo Jeźdźców Dżada ocalało, a atakowali ich aszaryccy bandyci, szumowiny, psy, odpadki dla psów.

Trzymając się ręką za bok, Nino ryknął, rzucając im wyzwanie. Jego ludzie usłyszeli go i krzyknęli z radości. Rozejrzał się za Edriquem. Zobaczył, że jego zastępca walczy z trzema napastnikami, usiłując manewrować koniem w wąskiej przestrzeni. Na oczach Nino jeden z bandytów zanurkował pod koński brzuch i ugodził go sztyletem. Chłopski styl walki, dźganie koni od dołu. Był jednak skuteczny. Ogier Edrique'a wspiął się z kwikiem bólu, a bandyta z krótkim mieczem uciekł.

Nino zobaczył, jak jego zastępca zaczyna się zsuwać z siodła. Już ku niemu biegł. Drugi bandyta, który czekał, żeby Edrique spadł, nawet się nie zorientował, od czego zginął. Odkrytą głowę oddzielił mu od ramion cios miecza Nino, zadany z siłą wielokrotnioną przez wściekłość; wylądowała w trawie i odtoczyła się dalej jak piłka. Krew, która trysnęła z bezgłowego torsu, zbryzgała ich wszystkich.

Nino ryknął tryumfalnie. Edrique wyrzucił stopy ze strzemion, by zeskoczyć z okaleczonego konia. Dwaj towarzysze spojrzeli na siebie dziko i stanęli do walki w tym mrocznym wąwozie ramię w ramię – dwaj święci wojownicy Dżada przeciwko krociom niewiernych.

A właściwie przeciwko bandytom; wymachując mieczem, Nino nagle przypomniał sobie myśl, która mu wcześniej umknęła.

Zmroziła go nawet w przesyconym krwią i potem chaosie walki: ludzie, których zobaczyli jego zwiadowcy zbliżających się od południowego krańca doliny, nie mogli uczestniczyć w tej zasadzce. To było takie oczywiste. O czym on wtedy myślał? Nikt nie zastawia takiej śmiertelnej pułapki, by potem rozdzielić swoje siły.

Znów usiłując zrozumieć, o co tu chodzi, Nino starał się zorientować w sytuacji, lecz wąska przestrzeń między stromymi zboczami sprawiała, że walczone rozpaczliwie blisko siebie, w takim samym stopniu wręcz, na pięści i noże, jak mieczami. Nie było żadnych szans, by się cofnąć i cokolwiek ocenić. Teraz oszczędzano im przynajmniej strzał. Aszaryci byli tak przemieszani z dżadytami, że bandyci nie mogli strzelać.

Muły! Nino nagle przypomniał sobie o złocie. Jeśli je stracą, straci sens wszystko inne. Wbił osłonięte zbroją przedramię w twarz zbrojcy i poczuł, jak od uderzenia pękają kości przeciwnika. Zyskawszy chwilę wytechnienia, rozejrzał się szybko i dostrzegł grupkę swoich ludzi, otaczającą złoto. Dwa muły leżały na ziemi: ci tchórze znów zastrzelili zwierzęta.

– Tam! – krzyknął do Edrique'a i machnął ręką. – Przedzieraj się w tamtą stronę!

Edrique skinął głową i się odwrócił. A potem upadł. Ktoś wyszarpnął miecz spomiędzy jego żeber.

W miejscu, gdzie jeszcze przed chwilą stał jego zastępca, dzielny, sprawny, żywy człowiek, Nino ujrzał zjawę.

Mężczyzna, który zabił Edrique'a, musiał mieć co najmniej sześćdziesiąt lat. Mimo to był budowy wołu, potężny i mocno umięśniony, miał szerokie bary, niskie czoło i ogromną, ciężką

głowę. Ociekał krwią, która, spływając z tysej czaszki, zlepiała długą, skołtunioną siwą brodę i wsiąkła w jego ciemnobrązowe odzienie i skórzaną zbroję. Oczy płonęły mu bitewnym szałem. Wymierzył poczerwieniały miecz w Nino i ryknął łamanym esperañskim:

– Poddaj się albo zginiesz! Możesz zapłacić okup!

Nino zerknął za niego. Zobaczył, jak pierścień jego ludzi wciąż otacza muły. Wielu zginęło, lecz wokół nich leżało jeszcze więcej martwych wrogów – a jego oddział składał się z żołnierzy, najlepszych jakich ma Dżalonia. Starzec mylił się, biorąc Nino za tchórza i głupca.

– Niech Dżad ześle na ciebie zgniliznę! – wrzasnął Nino ochryple. Zamachnął się potężnie, odbił klingę zalanego krwią starca i zmusił go do cofnięcia się o krok samą siłą swej wściekłości. Z lewej strony podbiegł jeszcze jeden bandyta; Nino skręcił się pod jego zbyt wysoko wymierzonym ciosem i uderzył mieczem na ukos w dół. Poczul, jak zagłębia się w ciele. Wypełniła go szkarłatna radość. Jego ofiara wydała odgłos przypominający siorbnięcie i padła na pokrytą szronem ziemię.

Siwowłosy bandyta na chwilę zastygł, wywrzaskując jakieś imię, i Nino wykorzystał jego wahanie, by staranować starca, a kiedy ten ustąpił, runął na pomoc niedobitkom swego oddziału, zażarcie broniącym złota. Stał się chwiejnie w ich szeregu, witany pełnymi zadowolenia, dzikimi okrzykami, a potem odwrócił się z wykrzywioną twarzą, by dalej walczyć.

Poddać się? Im? Zostać wykupionym przez króla od aszaryckich bandytów po utracie *parias*. Są gorsze rzeczy od śmierci, o wiele gorsze.

Nie tak wyśniłem sobie wojnę, myślał Alvar.

Wspominał gospodarstwo, dzieciństwo, niecierpliwego chłopca, jedyne syna żołnierza, i drewniany miecz leżący co noc przy jego łóżku. Obrazy chwały i bohaterstwa, tańczące za oknem w gwiazdzistej ciemności po zdmuchnięciu świec. Dawno temu.

Czekali w bladym, zimnym blasku słońca u północnego krańca doliny.

„Zabijamy każdego, kto pojawi się u wylotu wąwozu”, powiedział Lain Nunez. Pojawiło się tylko dwóch ludzi. Mocowali się, stękając i parszcząc jak zwierzęta. W ferworze walki wytoczyli się z wąwozu; spleceni ze sobą, usiłowali wydrapać sobie nawzajem oczy. Ludus i Martin, skuteczni i dokładni, podjechali do nich i zabili ich z łuków. Teraz oba ciała, wciąż ze sobą splecione, leżały na zmrożonej trawie.

W tym, co robili, nie było nic choć odrobinę bohaterskiego ani nawet szczególnie niebezpiecznego. Nawet nocny wypad do płonącej Orvilli zeszłego lata był o wiele bardziej pełen napięcia, poczucia prawdziwych działań zbrojnych niż to nerwowe czekanie, kiedy inni, niewidoczni w mrokach wąwozu, zabijali się nawzajem.

Jakiś dźwięk sprawił, że Alvar obejrzał się przez ramię i zobaczył nadjeżdżającego Komendanta, a z nim Dżehanę i ibn Khairana. Wydało mu się, że lekarka jest zmartwiona. Obaj

mężczyźni sprawiali wrażenie spokojnych, obojętnych! Żaden nawet nie rzucił okiem na zabitych. Podjechali galopem do Laina Nuneza.

– Dobrze idzie? – zapytał Rodrigo.

Lain, jak można się było spodziewać, splunął i dopiero potem odpowiedział:

– Zabijają się wzajemnie dla nas, jeśli to masz na myśli.

Ammar ibn Khairan odstąpił zęby w uśmiechu, słysząc jego ton. Rodrigo spojrzał spokojnie na swego zastępcę.

– Wiesz, o co chodzi. Toczyliśmy prawdziwe bitwy i będziemy je jeszcze toczyć. Staramy się tu coś osiągnąć.

Lain otworzył usta, by odpowiedzieć, ale zaraz je zacisnął. Wyraz twarzy Komendanta nie zachęcał do oponowania. Rodrigo odwrócił się do Martina.

– Rozejrzyj się szybko. Muszę wiedzieć, ilu których jest. Oczywiście nie chcemy, by zwyciężali Dżalanie. Jeśli tak jest, to jednak będziemy musieli się włączyć do walki.

Alvar, który na próżno starał się coś z tego zrozumieć, zdenerwował się swoją niewiedzą. Jeden Lain być może wie, co się dzieje. Czy w czasie wojny zawsze tak się to odbywa? Czy zwykle nie jest tak, że nieprzyjaciela ma się przed sobą i że trzeba być jeszcze odważniejszym i silniejszym? Zabić, nim zostanie się zabitym? Miał wrażenie, że Lain czuje to samo.

– On już tam był – odparł cierpko Lain. – Wiem, co robię. Jest równowaga, po każdej stronie zostało około trzydziestu ludzi. Bandyci niedługo ulegną.

– A zatem musimy wkroczyć – odezwał się ibn Khairan, patrząc na Rodriga. – Dżalanie są dobrzy, tak jak mówiłeś. – Zerknął na Laina. – Jednak będziesz miał swoją bitwę.

Dżehana wciąż wyglądała na zmartwioną. Trudno było powiązać jej minę z upojnymi słowami, które wykrzykiwała spomiędzy drzew.

– Twoje rozkazy, Komendancie? – powiedział bardzo oficjalnym tonem Lain, patrząc na Rodriga.

Po raz pierwszy Rodrigo Belmonte sprawiał wrażenie niezadowolonego, jakby wołał usłyszeć inne wieści o wąwozie. Wzruszył jednak ramionami i dobył miecza.

– Nie mamy wielkiego wyboru, choć nie będzie to przyjemne. Jeśli di Carrera się wyrwie albo bandyci ulegną, to będzie znaczyło, że marnowaliśmy tu czas.

Podniósł głos, by mogło go usłyszeć pięćdziesięciu ludzi.

– Wkraczamy do walki. Mamy dokładny cel: przyłączamy się do bandytów. Żaden Dżalanie nie ma prawa wydostać się z wąwozu. Żadnego wykupywania. Kiedy nas zobaczą, nie będziemy mieli wyboru. Jeżeli choćby jeden z nich dotrze do Eschalou i zamelduje o naszej obecności, to wtedy całe nasze działanie pójdzie na marne, a nawet gorzej. Jeśli to może wam pomóc, przypomnijcie sobie, co zrobili pod Cabrizem podczas Wojny Trzech Królów.

Alvar pamiętał. Jak wszyscy w Valledo. Był wtedy dzieckiem i patrzył w oszołomieniu, jak

ojciec szłocha, kiedy wieści dotarły do gospodarstwa. Król Bermudo otoczył miasto Cabriz, obiecał amnestię po kapitulacji, a kiedy valledańscy wojownicy wyjechali z miasta pod flagą rozejmu, wszystkich zabił. Nie tylko aszaryci wiedzieli, co to okrucieństwo.

Jednakże wciąż nie była to wojna, jaką sobie wyobrażał. Alvar znów spojrzął na Dżehanę. Stała odwrócona do niego plecami. Najpierw pomyślał, że się czegoś przestraszyła, ale potem zauważył, że daje znak komuś z tylnych szeregów. Wyłonił się z nich Velaz, jak zawsze spokojny i energiczny, niosąc lekarskie narzędzia. Alvar się zawstydził: Dżehana nie reagowała emocjonalnie, jak kobieta; po prostu przygotowywała się jako lekarka oddziału idącego do bitwy. On powinien zrobić przynajmniej tyle samo. Nikt nie powiedział, że życie żołnierza ma spełnić dziecięce marzenia.

Alvar dobył miecza i zobaczył, że inni robią to samo. Niektórzy czynili znak słonecznego dysku, szepcząc słowa żołnierskiej modlitwy: „Niech Dżad ześle na nas Światło i niech Światło na nas czeka”. Łucznicy nałożyli strzały na cięciwy. Czekali. Rodrigo obejrzał się na nich, skinął z zadowoleniem głową. A potem uniósł i opuścił rękę. Wjechali ze słońca do wąwozu, gdzie w zimnie zabijali się ludzie.

Nino di Carrera wiedział, że wygrywa. W każdej bitwie nadchodzi chwila, w której wyczuwa się zmianę rytmu i on poczuł ją teraz. Bandyci musieli pokonać ich szybko, dzięki chaosowi wywołanemu przez dół z włóczyniami i łuczniczą zasadzkę. Kiedy mimo to nie wszyscy jego ludzie zginęli – choć przeżyło ich niewielu – bitwa przerodziła się w starcie mniej więcej równych sił i mogła się zakończyć tylko w jeden sposób. Kwestią czasu było, kiedy aszaryci ulegną i pierzchną; Nino był lekko zaskoczony, że jeszcze tego nie zrobili. Walcząc tak ramie w ramie ze swoimi ludźmi w kręgu wokół złota, Nino zaczynał planować następne działania.

Miło byłoby ruszyć za tymi uciekającymi szumowinami, a nadzwyczaj miło spalić ich żywcem za śmierć tak wielu ludzi i tak wielu rasowych koni. Była jeszcze ta kobieta, o ile udałoby się ją odnaleźć na stoku. Spalenie w dużym stopniu zadośćuczyniłoby krzywdom doznany tego ranka.

Z drugiej strony było całkiem prawdopodobne, że opuści to paskudne miejsce z ledwie dwudziestką ludzi, mając do przebycia długą drogę przez wrogi kraj, ze złotem stanowiącym o przyszłości Dżalonii. Po prostu nie mógł już sobie pozwolić na stratę kolejnych żołnierzy. Nino uświadomił sobie, że będą musieli jechać szybko, odpoczywając tylko wtedy, gdy stanie się to absolutnie konieczne, i podróżując też nocą. Będą mieli przynajmniej po dwa konie dla każdego, co oszczędzi siły wierzchowców, lecz nie jeźdźców.

Nie mają innego wyjścia, dopóki nie dotrą do *tagry*, gdzie będzie mógł założyć, że nie pojawią się żadne siły dość duże, by zaatakować dwudziestu jeźdźców. Wciąż walcząc, powiedział sobie, że przyjdzie czas na zemstę. Będzie miał na nią całe lata. Nino może był

młody, ale doskonale wiedział, co oznacza ta pierwsza płatność *parias*. Niemal z pogardą sparował cios bandyty i odrzucił go potężnym uderzeniem miecza.

Wszystko zaczynało się tutaj, od niego i tego niedużego oddziału. Działanie będą się potem wielokrotnie wyprawiać na południe. Po raz pierwszy od wielu wieków historia odwracała bieg i miała teraz przetoczyć się falą przez cały Al-Rassan aż do cieśniny na południu.

Najpierw jednak trzeba pokonać tych bandytów w wąwozie. Nino znów pomyślał, że aszaryci już powinni im ulec. Z ponurym zacięciem siekł i rąbał, mając coraz więcej miejsca, a nawet chwilami mogąc postąpić kilka kroków do przodu. Ci bandyci z południa są dość waleczni, ale zwycięży dżadyckie żelazo i dżadycka odwaga.

Ktoś upadł obok niego z jękiem; Nino okręcił się na pięcie i wbił miecz głęboko w trzewia człowieka, który właśnie zabił jednego z jego żołnierzy. Bandyta wrzasnął, oczy wyszły mu z orbit. Nino z rozmysłem przekręcił ostrze i dopiero potem je wyszarpnął. Aszaryta ścisnął dłońmi wylewające się, śliskie jelita, usiłując je przytrzymać, by nie wypłynęły dalej.

Kiedy Nino, śmiejąc się, patrzył na rannego wroga, do wąwozu wjechało z impetem pięćdziesięciu nowych jeźdźców.

Ze zdumieniem zobaczył, że to dżadyci. Potem zauważył – i rozpaczliwie usiłował zrozumieć – że ich wierzchowce to drobne, nijakie konie Al-Rassanu. A potem poczuł, jak serce oplata mu zimny mrok, bo zdał sobie sprawę, że ci jeźdźcy nie przybywają, by mu pomóc, lecz by go zabić.

I w tej chwili olśnienia Nino rozpoznał pierwszego z jeźdźców po wizerunku orła wieńczącego jego staroświecki hełm.

Znał ten emblemat. Każdy wojownik w Esperanii wiedział, kto nosi taki hełm. Nino poczuł w myślach paraliżujący ciężar niedowierzania. Doznał przerażającego uczucia niesprawiedliwości. Uniósł miecz na widok nacierającego wprost na niego jeźdźca w orlim hełmie. Wykonał fintę, po czym zamachnął się potężnie, celując w zębra jeźdźca. Cios został od niechcienia odparowany i zanim Nino zdołał się wyprostować, zobaczył zamach długiej, lśniącej, ostatecznej klingi i opuścił świat żywych, spadając w ciemność.

Idar walczył u boku ojca i usiłował zebrać się na odwagę, by zaproponować odwrót.

Nigdy przedtem ojciec nie podtrzymywał tak długo najwyraźniej nieudanego ataku. Zdobyli imię, bogactwa i zamek w Arbastro dzięki wiedzy kiedy walczyć, a kiedy – jak teraz! – wycofać się i zaplanować walkę w innym terminie.

Wymachując z trudem mieczem w panującym ścisku, Idar wiedział, że chodzi o ranę brata. Abir umierał za nimi na twardej ziemi, a ojciec oszalał z żalu. Jeden z ich ludzi klęczał przy Abirze, podtrzymując mu głowę, a dwaj inni stali w pobliżu, by go bronić, gdyby jacyś przekłęci dżadyci wyrwali się ze swego ciasnego kręgu.

Ich ojciec – dzika, przerażająca postać obok Idara – atakował wściekle krąg wrogów,

niepomny na zaistniałą sytuację i potrzeby, na druzgocący fakt, że zginęła więcej niż połowa jego ludzi. Teraz ledwie ich trzydziestka walczyła z niemal taką samą liczbą dzadyckich łajnojadów. Broń i zbroje mieli gorsze, a brutalna walka oko w oko nigdy nie była ich specjalnością.

Zasadzka niemal się powiodła, ale to nie wystarczyło. Nadeszła pora, by się wyrwać, uciec na południe, pogodzić się z faktem, że ogromne ryzyko niemal się opłaciło. Mieli przed sobą rozpaczliwie długą drogę do domu w Arbastro, prowadzącą niedobrymi zimowymi szlakami, przez błoto i w deszczu, a marsz będą opóźniać ranni. Najwyższy czas się wycofać, póki jeszcze mogą, dopóki niektórzy z nich jeszcze żyją.

Jakby na poświadczenie słuszności tej myśli, Idar musiał się w tej chwili błyskawicznie uchylić; krzepki dzadyta z maczugą nabijaną ćwiekami wystąpił do przodu i zamachnął się, chcąc go ugodzić w twarz. Od łydek do głowy chroniła go zbroja. A Idar miał skórzany hełm i lekką kolczugę na piersi. Dlaczego walczą wręcz?

Uchylając się przed zabójczą maczugą, Idar ciął dzadytę za kostką. Poczuł, jak miecz przecina but i zagłębia się w ciało. Mężczyzna wrzasnął i padł na kolano. Idar wiedział, że powiedzą, że tak walczy tchórz. Oni nosili zbroje i cięli żelazem. Ludzie z Arbastro mieli za sobą całe dziesięciolecie sprytu i urządzania zasadzek. Kiedy przychodziło do zabijania czy umierania, nie istniały żadne zasady; ojciec wbił im to do głów na samym początku.

Idar zabił leżącego na ziemi olbrzyma cięciem w szyję, w miejscu gdzie hełm nie stykał się ze zbroją. Pomyślał, czyby nie chwycić maczugi, ale uznał, że byłaby dla niego za ciężka, szczególnie, gdyby musieli uciekać.

A naprawdę muszą uciekać albo zginąć w tym wąwozie. Patrzył, jak ojciec, wciąż oszalały z wściekłości, wali mieczem w dzadycką tarczę. Dzadyta się cofnął, krok i jeszcze jeden, lecz rękę trzymającą tarczę miał spokojną, wytrwałą. Idar dostrzegł, jak tuż za ojcem dzadycki żółtowołosy dowódca zabija kolejnego ich człowieka. Oni tu zginą.

W tej chwili od tyłu nadjechała galopem druga fala niewiernych; tętent ich koni rozniósł się w wąwozie nagłym grzmotem.

Idar odwrócił się, przerażony. Już za późno, pomyślał, i zobaczył w myślach przelotny, lecz żywy obraz bladej, czarnowłosej panny sięgającej długimi paznokciami do jego serca. A potem, mgnienie oka później, Idar zdał sobie sprawę, że nie rozumie nic z tego, co się tu tego dnia dzieje.

Dowódca nowej fali Jeźdźców przeciął linię bandytów. Podjechał prosto do żółtowołosego mężczyzny wywijającego swoim ciężkim mieczem. Przechylił się w siodle, sparował cios, a potem przytrzymał konia i z mistrzostwem ciął długą klingą w dół, zabijając dzadytę na miejscu.

Idar uświadomił sobie, że ma otwarte usta. Zamknął je. Spojrzał z rozpaczą w stronę umazanej krwią, rozszalałej postaci ojca i ujrzał, jak nagle wraca mu pełnia świadomości, którą

pamiętał i której tak bardzo potrzebował.

– Zostaliśmy wykorzystani – rzekł mu wtedy ojciec; mówił cicho, otoczony chaosem nowych koni i umierających ludzi. Opuścił miecz. – Zdziecinniałem. Jestem za stary, by mi powierzać dowodzenie ludźmi. Powiniennem umrzeć, zanim nastął dzisiejszy dzień.

Ku zdumieniu Idara schował miecz i cofnął się, pozornie obojętny, a nowi dzadyci zabijali tych pierwszych bez litości ni wytechnienia, chociaż na ziemię wokół złota rzucano miecze, a zewsząd dochodziło wołanie o przyjęcie okupu.

Nie wzięto ani jednego jeńca. Idar, który w swoim życiu zabił wielu ludzi, patrzył na to w milczeniu; razem z ojcem wycofali się do umierającego Abira.

Jeźdźcy z Dżalonii, którzy przybyli na południe po fortunę w złocie zapłaconą jako *parias*, którzy wjechali niemądrze w zasadzkę, a potem ocaleli dzięki wielkiej odwadze i dyscyplinie, zginęli tego ranka w tym ciemnym miejscu co do jednego.

Potem nastąpiła cisza, maćona jedynie jękami rannych bandytów. Idar uświadomił sobie, że niektórzy spośród nowych dzadyckich łuczników strzelają do rannych koni, dlatego ucichł ich kwik. Rozlegał się on od tak dawna, że Idar niemal przestał go słyszeć. Patrzył, jak ocalałe konie są spędzane w jedno miejsce. Były to wspaniałe ogiery; żadne wierzchowce w Al-Rassanie nie mogły się równać z tymi hodowanymi w hacjendach Esperanii.

Idar, jego ojciec i pozostali złożyli broń, jak im rozkazano; nie było sensu się opierać. Zostało ich niewielu ponad dwudziestu. Byli wyczerpani, kilkudziesięciu odniosło rany i nie mieli dokąd uciekać, a naprzeciwko nich stało pięćdziesięciu konnych wojowników. Abir leżał obok na ziemi; głowę miał teraz ułożoną na czapraku. Oddychał chrapliwie, walcząc z bólem. Idar zobaczył, że rana w udzie jest zbyt głęboka i wciąż krwawi mimo założonej powyżej opaski. Widział już takie rany. Jego brat umrze. Idar miał pustkę w głowie, nie potrafił jasno myśleć. Raptem przypomniał sobie wizję, która go nawiedziła, kiedy pojawili się ci nowi Jeźdźcy: śmierć jako kobieta sięgająca szponiastymi palcami po jego życie.

A jednak nie było to jego życie. Ukląkł i dotknął policzka młodszego brata. Stwierdził, że nie może mówić. Abir spojrział na niego. Uniósł dłoń, tak że zetknęli się palcami. W jego oczach był strach, ale Abir milczał. Idar z trudem przełknął ślinę. Nie powinien płakać. Wciąż znajdują się na polu bitwy. Uścisnął dłoń Abira, wstał i wrócił do ojca. Patrząc na nowych Jeźdźców, starzec trzymał wysoko umazaną krwią głowę, a ramiona miał wyprostowane.

Tarif ibn Hassan z Arbastro, w końcu schwytyany po niemal czterdziestu latach.

Wyjęty spod prawa, który stał się królem w większym stopniu – i który zawsze był w większym stopniu Lwem – niż którykolwiek z niezliczonych pretendentów do królewskiego tytułu od upadku Silvenes. Pustka w głowie Idara obejmowała również to. W tym wąwozie kończył się ich świat. Do starych legend o nawiedzonym Emin ha’Nazar dołączy nowa. Z twarzy ojca Idara nie dawało się nic wyczytać. Przez ponad trzydzieści lat kolejni kalifowie, a potem

kilka królewiatek Al-Rassanu, przysięgali, że zanim pozwolą Tarifowi umrzeć, odetną mu po kolei palce u rąk i nóg.

Przywódcy nowego oddziału patrzyli nań z wysokości końskich grzbietów. Zachowując kamienny wyraz twarzy, wyglądali, jakby nie wydarzyło się nic ważnego. Schowali broń. Jeden z nich był aszarytą, a drugi dżadytą, podobnie jak wszyscy żołnierze. Dżadyta miał staroświecki hełm ze spiżowym orłem. Idar nie znał żadnego z nich.

– Jesteście najemnikami z Ragosy. Wszystko to zaplanował Kindath Masur – odezwał się ojciec Idara.

Mężczyźni wymienili spojrzenia. Idarowi wydało się, że po ich twarzach przebiegł cień rozbawienia. Był zbyt oszołomiony, żeby to go rozzłościło. Jego brat umierał. Był obolały, a w ciszy zapadłej po bitewnym zgiełku na dodatek rozboleła go głowa. Prawdziwy ból krył się jednak w jego sercu.

Odezwał się aszaryta. Mówił z manierą dworaka.

– Niejaka doza szacunku dla nas samych wymaga, byśmy nieco zasługi przypisali sobie, lecz masz rację w najważniejszym: jesteśmy z Ragosy.

– Postaraliście się, żeby dotarła do nas wieść o *parias*. Wyciągnęliście nas na północ. – Tarif mówił beznamiętnie.

Idar zamrugął.

– W tym także masz rację.

– A ta kobieta na zboczu? – wtrącił Idar. – Była z wami?

Ojciec spojrzał na niego.

– Podróżuje z nami – potwierdził mężczyzna o gładkich rysach. W jednym uchu miał perłę. – To nasza lekarka. I też jest Kindathijką. To bardzo subtelny naród, prawda?

Idar zmarszczył czoło.

– To nie był jej pomysł.

– Nie, to wymyśliliśmy my – odezwał się drugi mężczyzna, dżadyta. – Pomyślałem, że dobrze będzie odwrócić uwagę di Carrery. Słyszałem pewne plotki z Eschalou.

Idar w końcu zrozumiał.

– Zagnaliście ich na nas! Myśleli, że jesteście częścią naszego oddziału, bo inaczej nie wjechałoby w zasadzkę. Wysłałem zwiadowców, sam ich widziałem. Wiedzieli, że tu jesteśmy!

Dżadyta uniósł dłoń w rękawicy i dotknął wąsa.

– Znów masz rację. Urządziliście zasadzkę dobrze, ale di Carrera jest – był – doskonałym żołnierzem. Chcieli zawrócić i objechać dolinę. Sprowokowaliśmy ich, by tego nie robili. Daliśmy im okazję do popełnienia błędu.

– Mieliliśmy ich zabić dla was, prawda? – rzekł z goryczą ojciec Idara. – Przepraszam za naszą nieudolność.

Aszaryta uśmiechnął się i pokręcił głową.

– To nie jest nieudolność. Byli dobrze wyszkoleni i lepiej uzbrojeni. Prawie się wam udało, prawda? Musieliście znać ryzyko od chwili, kiedy wyruszyliście.

Zapadło milczenie.

– Kim jesteście? – zapytał wtedy ojciec Idara, patrząc zmrużonymi oczyma na nich obu. – Kim jesteście?

Wiatr się wzmógł. W wąwozie było bardzo zimno.

– Wybacz mi – rzekł ten z gładko wygoloną twarzą i zeskoczył z konia. – To zaszczyt w końcu cię spotkać. Sława Tarifa ibn Hassana obejmowała półwysep przez całe moje życie. Twoje imię jest synonimem odwagi i śmiałości. Nazywam się Ammar ibn Khairan, do niedawna z Cartady, obecnie w służbie króla Ragosy.

Skłonił się.

Idar poczuł, jak znów otwierają mu się usta. Zamknął je gwałtownie, nie spuszczać wzroku z wojownika. To był... to był człowiek, który zabił ostatniego kalifa! I który dopiero co zabił Almalika z Cartady!

– Rozumiem – rzekł cicho Tarif. – Niektóre zagadki się teraz wyjaśniły. – Miał zamysłoną minę. – Wiesz, że z twojego powodu w wioskach niedaleko Arbastro ginęli ludzie.

– Kiedy szukał mnie Almalik? Słyszałem o tym. Błagam o wybaczenie, chociaż zapewne rozumiesz, że nie miałem wtedy nad królem Cartady żadnej kontroli.

– A zatem go zabiłeś. Oczywiście. Mogę wiedzieć, kim jest twój towarzysz, który dowodzi tymi ludźmi?

Mężczyzna zdjął hełm i trzymał go pod pachą. Gęste kasztanowe włosy miał w nieładzie. Nie zsiadł z konia.

– Rodrigo Belmonte z Valledo – przedstawił się.

Idar naprawdę poczuł, jakby twarda ziemia nagle poruszyła się pod jego stopami, tak jak podczas wstrząsów. Tego człowieka, tego Rodriga, wadzi od lat każą przeklinać w świątyniach. Był nazywany Biczem na Al-Rassan. A jeśli to są jego ludzie...

– Wyjaśniają się kolejne zagadki – rzekł z powagą ojciec Idara. Mimo smug i plam krwi, pokrywających jego głowę i ubranie, były teraz od niego nadzwyczajna godność i opanowanie. – Jeden z was na pewno by wystarczył – mruknął. – Jeśli mam zostać w końcu pokonany i zabity, to przynajmniej całymi latami będzie się później opowiadało, że udało się to zrobić dopiero najlepszym ludziom z dwóch krajów.

– A żaden z nich nie twierdziłby, że jest lepszy od ciebie.

Idar pomyślał, że ten Ammar ibn Khairan potrafi używać słów. A potem przypomniał sobie, że do tego wszystkiego Cartadanin jest poetą.

– Nie zostaniesz zabity – dodał Rodrigo Belmonte. – Chyba że będziesz się tego domagał.

Idar patrzył na niego, mocno zaciskając usta.

– To mało prawdopodobne – warknął ojciec Idara. – Jestem stary i słaby, ale jeszcze nie zmęczony życiem. Zmęczyły mnie natomiast tajemnice. Jeśli nie zamierzacie nas zabić, powiedz, czego chcecie.

Jego słowa zabrzmiały niemal jak rozkaz.

Idar nigdy nie nadażał za ojcem, nie potrafił dorównać jego surowej sile czy nawet jej pojąć i dawno już przestał się starać. Naśladował go – z miłością, ze strachem, bardzo często z podziwem i szacunkiem. Nigdy nie rozmawiał z Abirem o tym, co się stanie, gdy zabraknie ich ojca. To było nie do pomyślenia. Za tą myślą rozpościerała się pustka. Błada, ciemnowłosa kobieta z długimi paznokciami.

Dwaj najemnicy, jeden stojący przed nimi, drugi wciąż w siodle, patrzyli na siebie przez dłuższy czas. Wydawało się, że doszli do porozumienia.

– Chcemy, żebyś wziął jednego muła ze złotem Fibazu i wrócił do domu – rzekł Rodrigo Belmonte. – W zamian za to, wasze życie i tę ilość złota, dopilnujesz, by świat usłyszał, jak to udało się wam urządzić zasadzkę na dżaloński oddział, wybić go do nogi i zabrać całe złoto do Arbastro.

Idar znów zamrugnął, oszołomiony. Splótł ręce na piersi i usiłował sprawiać wrażenie sprytnego. Po chwili jego ojciec się roześmiał.

– Wspaniale! – powiedział. – A komu należy się uznanie za tę część planu?

Dwaj najemnicy znów wymienili spojrzenia.

– Ta część – odezwał się z niejakim smutkiem ibn Khairan – zrodziła się, przykro mi to mówić, w głowie Masura ben Avrena. Szczerze żałuję, że o tym nie pomyślałem. Jestem pewien, że gdybym miał czas, też bym na to wpadł.

Valledański dowódca się roześmiał.

– Nie wątpię – rzekł oschle Tarif ibn Hassan. Idar obserwował, jak ojciec to wszystko analizuje. – To dlatego ich zabiliście?

– Dlatego musieliśmy ich zabić – zgodził się Rodrigo Belmonte, już bez cienia wesołości. – Skoro zobaczyli mój oddział, to gdyby ktokolwiek z ludzi di Carrery dotarł do domu, ta wersja wydarzeń by się nie utrzymała. Wiedzieliby, że złoto wróciło do Ragosy.

– Niestety, znów muszę prosić o wybaczenie – mruknął Tarif. – Mieliliśmy wybić ich za was i całkowicie zawiedliśmy. Co byście zrobili – zapytał spokojnie – gdybyśmy pozwolili im się wykupić?

– Zabilibyśmy ich – rzekł Ammar ibn Khairan. – Jesteś zaskoczony, ibn Hassanie? Czy ty walczysz wedle dworskich zasad wojny jak paladyni z dawnych opowieści? Czy zamek Arbastro został wzniesiony dzięki skarbowi zdobytym w bezkrwawych przygodach? – Po raz pierwszy jego głos zabrzmiał ostrzej.

Nie podoba mu się to, co zrobił, pomyślał Idar. Może udawać, że jest inaczej, ale nie podoba mu się to.

Ibn Hassan wydawał się zadowolony. Jego zachowanie też się zmieniło.

– Przez większość życia jestem wyjęty spod prawa, a za moją głowę wyznaczono cenę. Znasz odpowiedzi na swoje pytania. – Uśmiechnął się przelotnie, przypominając przez chwilę wilka. – Nie mam nic przeciwko zabraniu złota do domu i zgarnięciu chwały za udany napad. Z drugiej strony, kiedy już wrócę do Arbastro, być może sprawiłoby mi przyjemność postawienie cię w niezręcznej sytuacji przez wyjawienie prawdy.

Ammar ibn Khairan uśmiechnął się, lecz już nie tak życzliwie.

– W ciągu tych wielu lat wielu osobom sprawiało przyjemność stawianie mnie w niezręcznych sytuacjach w taki czy inny sposób. – Pokręcił ze smutkiem głową. – Miałem nadzieję, że troska kochającego ojca o synów przebywających w Ragosie będzie ważniejsza od przyjemności sprawienia nam kłopotów.

Idar postąpił szybko krok do przodu, ale jego ojciec, nawet nie zerknąwszy na niego, wyciągnął rękę i go powstrzymał.

– Śmiesz stać przed człowiekiem, którego najmłodsze dziecko właśnie umiera, i oświadczać, że zamierzasz mu zabrać drugiego syna?

– On bynajmniej nie umiera. Co umie twój lekarz?

Idar odwrócił się błyskawicznie. Obok Abira klęczała jakaś kobieta. Powiedzieli, że mają lekarkę. Był z nią służący; już rozwinęła płótno z narzędziami. Idar nawet nie zauważył, jak podeszła obok nich do Abira, tak bardzo się skupił na tych dwóch mężczyznach. Była zaskakująco młoda, ładna jak na Kindathijkę, i sprawiała wrażenie rzeczowej i dokładnej, niemal szorstkiej.

– Chyba uda mi się uratować mu życie – odezwała się, patrząc na Tarifa ibn Hassama – chociaż obawiam się, że będzie go to kosztować nogę. Trzeba ją będzie odjąć nad raną, im szybciej, tym lepiej. Muszę znać miejsce i czas jego narodzin, żebym mogła się zorientować, czy to odpowiednia pora na operację. Znasz je?

– Ja znam – usłyszał własny głos Idar.

Jego ojciec wytrzeszczał oczy na kobietę.

– Doskonale. Podaj je, proszę, mojemu pomocnikowi. Zapewnię twojemu bratu najlepszą opiekę, na jaką mnie tu stać, i z przyjemnością będę go doglądać, kiedy wróci z nami do Ragosy. Jeśli dopisze mu szczęście i jeśli będzie gorliwy, to wiosną zacnie się już poruszać o kulach. – Oczy miała niezwykle niebieskie; patrzyła spokojnie na ojca Idara. – Jestem też pewna, że dzięki obecności brata szybciej wróci do zdrowia.

Idar obserwował ojca. Ulgę malującą się na twarzy starego wojownika zastąpiła wściekłość, a potem stopniowo zaczęła spływać nań świadomość, że nie ma wyboru. Może się tylko zgodzić

na propozycję tych dwóch najemników. Nie była to rola, jaką kiedykolwiek w życiu odgrywał z zadowoleniem.

Udało mu się rozciągnąć usta w jeszcze jednym wilczym uśmiechu, a następnie odwrócił się od kindathijskiej lekarki.

– Pomóżcie staremu człowiekowi zrozumieć sytuację – rzekł do wojowników. – Czy ten skomplikowany plan naprawdę był wart opóźnienia o jedną porę roku? Przecież musicie wiedzieć, że król Bermudo na wiosnę znów wyśle ludzi do Fibazu, żądając wypłaty *parias*, i to prawie na pewno w podwójnej kwocie.

– Oczywiście, że ich wyśle – zgodził się ibn Khairan. – Tak się jednak składa, że jest to ważna pora roku, a złoto można wykorzystać lepiej niż na uzbrojenie Dżalonii na nadchodzący rok. – Perła w jego uchu lśniła. Mówił dalej: – Kiedy przybędzie następnym razem, Fibaz może odmówić zapłacenia daniny.

– Ach, tak! – rzekł ojciec Idara. Przeciągnął zakrwawioną ręką po brodzie, brudząc ją jeszcze bardziej. – Doznałem oświecenia! Duch Aszara w końcu obdarzył mnie widzeniem. – Skłonił się szyderczo obu mężczyznom. – Z wielką pokorą przyjmuję choćby drobną rolę w tak wielkim przedsięwzięciu. Oczywiście, że to ważna pora roku. Oczywiście, potrzebujecie tego złota. Wiosną wyprawiacie się na Cartadę.

– Bardzo dobrze! – pochwalił ibn Khairan z wyraźną aprobatą w głosie i błękitnych oczach. Uśmiechnął się. – Nie zechciałbyś wyprawić się z nami?

Niedługo potem, z powrotem w słonecznej dolinie, Dżehana bet Iszak przygotowywała się do odpilowania nogi Abira ibn Tarifa, wspomagana przez Velaza oraz mocne dłonie Martina i Ludusa, a także potężną dawkę najsilniejszego ojcowskiego środka nasennego, zaaplikowanego pacjentowi za pośrednictwem nasączonej nim gąbki.

Przeprowadzała już amputacje, lecz nigdy w polu jak teraz. Oczywiście nie powiedziała im tego. By znów zacytować don Rezzoniego: „Niech zawsze będą przekonani, że dzień w dzień nie robisz nic innego”.

Brat rannego krążył bezsilnie w pobliżu, błagając o włączenie go do pomocy. Dżehana szukała uprzejmych słów, by go odesłać, kiedy obok niego pojawił się Alvar de Pellino z otwartą flaszką.

– Obrażę cię, proponując ci wino? – zapytał pobladłego zbójcę.

Pełne wdzięczności, wyglodniałe spojrzenie Idara stanowiło wystarczającą odpowiedź. Alvar odprowadził go na drugi kraniec ich tymczasowego obozu. Ojciec, ibn Hassan, rozmawiał tam z Rodrigiem i Ammarem. Nie potrafił się skupić, co zdradzał ciągłym zerkaniem w stronę lekarki. Dżehana zauważyła to, a potem zamknęła się na wszelkie rozprasające ją myśli.

Amputacje przeprowadzane w polu nieczęsto się udawały. Z drugiej strony, większość lekarzy wojskowych tak naprawdę nie miała pojęcia, co robi. Rodrigo doskonale o tym wiedział

i dlatego zaangażował Dzehanę. I dlatego też ona sama się denerwowała. Mogłaby poprosić księżycowe siostry i boga o łatwiejszy pierwszy zabieg wykonany w tym oddziale. Szczerze mówiąc, o niemal cokolwiek innego.

Nie pokazała tego po sobie. Jeszcze raz sprawdziła narzędzia. Były czyste, ułożone przez Velaza na białym płótnie, na zielonej trawie. Zajrzała do swego almanachu i tabel księżyców: ich układ z godziny narodzin pacjenta znajdował się w dopuszczalnej harmonii z dzisiejszym. Odłożyłaby operację tylko w razie najgorszego z możliwych zestawień.

Było wino do zalania rany, a w ogniu czekał pręt do przyżegania, już rozpalony do czerwoności. Pacjent został oszołomiony lekami podanymi przez Velaza. Nic dziwnego – gąbkę nasączono mieszaniną sporządzoną ze zmiążdżonego maku, mandragory i cykuty. Ujęła go za rękę i mocno uszczypnęła. Nie poruszył się. Zajrzała mu w oczy – wszystko było tak, jak powinno. Abira przytrzymało dwóch silnych mężczyzn, przyzwyczajonych do operacji na polu bitwy. Velaz – przed którym nie miała tajemnic – dodał jej spojrzeniem otuchy, a potem wręczył ciężką piłę.

Naprawdę nie było powodu, by zwlekać.

– Przytrzymajcie go – poleciła i zaczęła odcinać ciało i kość.

ROZDZIAŁ 11

– Gdzie jest teraz tata?

Fernan Belmonte, który zadał to pytanie, leżał zagrzebany w czystej słomie na poddaszu obory. Widać było tylko jego twarz i kasztanowe zmierzwione włosy. Panował chłód.

Duchowny Ibero, który z niechęcią zgodził się, by poranne lekcje bliźniaków odbyły się tego dnia tu, na górze – musiał przyznać, że w oborze nad krowami jest cieplej – otworzył usta, by szybko się sprzeciwić, ale zaraz je zamknął i spojrzał z niepokojem na miejsce, gdzie leżał drugi chłopiec.

Diego był cały zagrzebany w słomie. Widzieli tylko, jak żdźbła wznoszą się i opadają wraz z jego oddechem.

– A dlaczego to ma znaczenie?

Głos wydawał się bezcielesny. Wiadomość ze świata duchów, pomyślał Ibero, a potem uczynił ukradkiem znak słonecznego dysku, besztając się za podobne bzdury.

– Tak naprawdę to nie ma – odparł Fernan. – Jestem po prostu ciekawy.

Zrobili sobie krótką przerwę przy zmianie przedmiotu nauki.

– Rozkapryszone dziecko. Wiesz, co Ibero mówi o ciekawości – odezwał się ponuro Diego ze swojej słomianej jaskini.

Jego brat rozejrzał się, szukając czegoś, czym mógłby w niego rzucić. Ibero, przyzwyczajony do tego, powstrzymał go wzrokiem.

– No i co, wolno mu być niegrzecznym? – zapytał Fernan zbolalym tonem. – Wykorzystuje cię jako usprawiedliwienie nieuprzejmego zachowania wobec starszego brata. Pozwolisz mu na to? Nie czyni cię to jego współnikiem?

– A co w tym niegrzecznego? – spytał niewidoczny Diego stłumionym głosem. – Czy muszę odpowiadać na każde pytanie, które mu przychodzi do pustej głowy, Ibero?

Drobny duchowny westchnął. Coraz trudniej mu było radzić sobie z jego dwoma podopiecznymi. Byli nie tylko niecierpliwi i często lekkomyślni, ale i wściekle inteligentni.

– Sądzę – odparł, rozważnie unikając odpowiedzi na oba pytania – że ta szczególna rozmowa dowodzi, że nadszedł koniec przerwy. Zajmiemy się zagadnieniem wag i miar?

Fernan wykrzywił się straszliwie, udał, że się dusi, a potem naciągnął sobie słomę na głowę w mało subtelnym proteście. Ibero sięgnął ręką, odszukał stopę chłopca i mocno ją przekreślił. Fernan wrzasnął i wychynął na powierzchnię.

– Wagi i miary – powtórzył duchowny. – Jeśli nie przyłożycie się odpowiednio tu, na górze, to będziemy musieli zejść i poinformować waszą matkę, co się dzieje, kiedy ulegam prośbom jej synów.

Fernan szybko usiadł. Niektóre groźby wciąż skutkowały. Czasami.

– Jest gdzieś na wschód od Ragosy – rzekł Diego. – Toczy się jakaś walka.

Ibero i Fernan spojrzeli szybko po sobie. Kwestia wag i miar została na razie zaniechana.

– Co to znaczy „gdzieś”? – spytał ostrym tonem Fernan. – No, Diego, postaraj się trochę lepiej.

– Blisko jakiegoś miasta na wschodzie. Jest tam dolina.

Fernan poszukał wzrokiem pomocy u Ibero. Słoma z drugiej strony duchownego poruszyła się i wyłonił się z niej mrugający trzynastolatek. Diego zaczął strzepywać suche źdźbła z włosów i karku.

– Cóż, dał nam kilka wskazówek. Co to za miasto na wschód od Ragosy? – Ibero, będąc nauczycielem, nie mógł się powstrzymać przed zadaniem tego pytania. – Powinniście to obaj wiedzieć.

Bracia wymienili spojrzenia.

– Ronizza? – spróbował Fernan.

– Ona leży na południu – rzekł Ibero, kręcąc głową. – A nad jaką rzeką?

– Larrios. No, Ibero, to ważne!

Kiedy rozmowa dotyczyła spraw wojskowych, Fernan potrafił sprawiać wrażenie starszego, niż był w rzeczywistości.

Ibero jednak podjął wyzwanie.

– Oczywiście, że to poważna sprawa. Jaki dowódca polega na pomocy swego duchownego w kwestii geografii? Twój ojciec zna nazwę i wielkość, i obszar otaczający każde miasto na półwyspie.

– To Fibaz – odezwał się nagle Diego. – Pod przełęczą prowadzącą do Ferrieres. Nie znam jednak tej doliny. Leży na północny zachód od miasta.

Zamilkł i znów odwrócił wzrok. Czekali.

– Tata kogoś zabił – powiedział Diego. – Walka chyba się kończy.

Ibero przełknął ślinę. Postępowanie z tym dzieckiem było trudne.

Niemal niemożliwie trudne. Przyjrzał się uważnie Diegowi. Chłopiec wydawał się spokojny; nieco rozproszony, ale z jego twarzy nie dało się wyczytać, że dostrzega wydarzenia rozgrywające się niewyobrażalnie daleko. A Ibero nie miał wątpliwości – nie po tylu próbach – że Diego przekazuje je zgodnie z prawdą.

Fernan nie czuł tego spokoju. Wstał z błyskiem w szarych oczach.

– Założę się o cokolwiek, że ma to coś wspólnego z Działonią – oznajmił. – Wysyłali ludzi po *parias*, pamiętacie?

– Twój ojciec nie zaatakowałby dla niewiernych innych dzadytów – rzekł szybko Ibero.

– Oczywiście, że by zaatakował! Jest najemnikiem opłacanym przez Ragosę. Obiecał jedynie, że nie wkroczy z żadnym wojskiem do Valledo, pamiętacie?

Fernan przeniósł pełen pewności siebie wzrok z Ibera na Diego. Cały był rozplamiony, naładowany energią.

A zadaniem Ibera – jako nauczyciela, opiekuna, doradcy duchowego – było jakoś opanować i ukierunkować tę siłę. Popatrzył na obu chłopców, z których jeden był rozgorączkowany, a drugi jakby nieco rozkojarzony, nie całkiem obecny, i po raz kolejny się poddał.

– Widzę, że przez resztę ranka obaj nie będziecie się do niczego nadawać. – Pokręcił ponuro głową. – Proszę bardzo, jesteście wolni.

Fernan zapał z radości – znów był dzieckiem, a nie przyszłym dowódcą. Diego pośpiesznie wstał. Ibero potrafił się rozmyślić.

– Pod jednym warunkiem – dodał surowo duchowny. – Po południu spędzicie nieco czasu w bibliotece z mapami. Jutro rano poproszę was o zaznaczenie dla mnie miast Al-Rassanu. Większych, mniejszych. To jest ważne. Chcę, byście je znali. Jesteście dziedzicami waszego ojca i jego dumą.

– Zgoda – rzekł Fernan, a Diego tylko pokazał zęby w uśmiechu.

– A więc idźcie – zakończył Ibero.

Patrzył, jak chłopcy przemknęli obok niego i błyskawicznie ześliznęli się po drabinie. Uśmiechnął się mimowolnie. To byli dobrzy chłopcy, a on był życzliwym człowiekiem.

Był także człowiekiem pobożnym i myślącym.

Wiedział – kto jeszcze w Valledo nie wiedział? – o świętej wojnie, która na pokładach armady okrętów miała nadchodzącej wiosny zostać zaniesiona z Bachiary na wschodnie ziemie ojczyste niewiernych. Wiedział, że w Esterenie przebywa jako gość króla i królowej jeden z najwyższych duchownych Ferrieres, który przybył do Valledo, by głosić wojnę trzech królestw Esperanii z Al-Rassanem. Odbicie ziem. Czy naprawdę miało zdarzyć się teraz, za ich życia, po tylu stuleciach?

Była to wojna, którą każdy pobożny mieszkaniec półwyspu miał obowiązek wspierać ze wszystkich sił. A w o ile większym stopniu dotyczyło to duchownych świętego Dżada?

Siedząc samotnie w słomie na poddaszu obory i słuchając porykiwań mlecznych krów, Ibero, duchowny Hacjendy Belmonte, rozpoczął trudne zapasy z własną duszą. Spędził z tą rodziną większość życia. Kochał ją mocną, trwałą miłością.

Kochał i bał się swego boga całym sercem.

Długo rozmyślał na tym stryszku, ale kiedy wreszcie zszedł z drabiny, twarz miał spokojną, a krok stanowczy.

Poszedł prosto do swego pokoju przy kaplicy, wziął pergamin i pióro i bardzo starannie ułożył list do najwyższego duchownego Gerauda de Chervallesa w królewskim pałacu w Esterenie, pisząc w imię Dżada i pokornie przedstawiając pewne niezwykle fakty tak, jak je rozumiał.

– Kiedy śpię – powiedział Abir ibn Tarif – wydaje mi się, że cały czas mam tę nogę. We śnie kładę dłoń na kolanie i wtedy budzę się, bo go tam nie ma.

Opisywał fakt, a nie uskarżał się. Nie był człowiekiem uskarżającym się na cokolwiek.

Dżehana, która zmieniała mu opatrunek, kiwnęła głową.

– Mówiłam ci, że tak może być. Czujesz mrowienie, ból, jakby noga wciąż była na swoim miejscu?

– Właśnie tak – potwierdził Abir i dodał mężnie: – Ból nie jest taki znowu wielki.

Uśmiechnęła się do niego, a potem do jego brata, stojącego po drugiej stronie łóżka. Idar zawsze był obecny podczas jej wizyt.

– Pomniejszy człowiek by tego nie powiedział – mruknęła.

Abir sprawiał wrażenie zadowolonego. Lubiła ich obu, tych synów wyjętego spod prawa przywódcy, zimujących w Ragosie jako zakładnicy. Byli łagodniejsi, niż mogłaby się spodziewać.

Idar, który się do niej bardzo przywiązał, przez całą zimę opowiadał o Arbastro oraz o odwadze i sprycie ich ojca. Dżehana umiała słuchać i czasami słyszała więcej, niż opowiadający zamierzał powiedzieć. Lekarze uczyli się jak to robić.

Już przedtem zastanawiała się nad ceną płaconą przez synów wielkich ludzi. Tej zimy, wciąż stykając się z Idarem i Abirem, wróciła do tej kwestii. Czy takie dzieci mogą wyjść spod ogromnego cienia ojców w swoją własną męskość? Pomyślała o Almaliku II z Cartady, synu Lwa; o trzech synach Sancza Otyłego z Esperanii; o dwóch małych synach Rodriga Belmontego.

Zadała sobie pytanie, czy przed takim samym wyzwaniem staje córka. Uznała, że nie, że nie w taki sposób. Nie konkurowała ze swoim ojcem, tylko jak najlepiej starała się okazać, że jest godna jego nauk i jego przykładu, że zasługuje na flaszkę, którą nosiła jako spadkobierczyni jego reputacji.

Skończyła opatrywać Abira. Rana goiła się dobrze. Dżehana była zadowolona i trochę dumna. Pomyślała, że ojciec by ją pochwalił. Napisała do niego wkrótce po powrocie do Ragosy. Zawsze nadarzali się jacyś odważni podróżni, którzy mogli przewieźć wiadomość zimą, pokonując przełęcz, chociaż trwało to długo. Matka przekazała swoim starannym charakterem pisma odpowiedź ojca: „Już za późno, by ci się to przydało, ale kiedy operujesz w polu, musisz jeszcze uważniej szukać zielonej wydzielin. Naciśnij skórę wokół rany i nasłuchuj trzeszczącego dźwięku”.

Wiedziała o tym. Taki dźwięk oznaczał śmierć, chyba żeby zrobiła nacięcie jeszcze raz, jeszcze wyżej – a coś takiego przeżywali nieliczni. Lecz rana Abira ibn Tarifa nie pozieleniała, a on sam był wytrzymały. Jego brat prawie go nie odstępował, a członkowie oddziału Rodriga jak jeden mąż najwyraźniej polubili synów ibn Hassana. Abir nie narzekał na brak odwiedzających.

Raz, kiedy Dzehana przyszła się nim zająć, wyczuła w powietrzu ślad perfum używanych przez kobiety z pewnej okolicy.

Demonstracyjnie wciągnęła powietrze nosem i cmoknęła z niezadowoleniem. Idar się roześmiał; Abir zrobił zawstydzoną minę. Wtedy zaczął już na dobre odzyskiwać siły i Dzehana była w duchu zadowolona. Don Rezzoni uczył, że pojawienie się fizycznego pożądanego jest jedną z najwyraźniejszych oznak powrotu do zdrowia po operacji.

Po raz ostatni sprawdziła dopasowanie świeżego opatrunku i cofnęła się.

– Ćwiczysz? – zapytała Idara.

– Niewystarczająco – odparł starszy z braci. – Mówiłem ci, że jest leniwy.

Abir szybko zaklął na znak protestu, po czym jeszcze szybciej za to przeprosił.

W rzeczywistości to była gra. Gdyby go nie pilnowano, Abir mógłby poważnie nadwerężyć swoje wątłe siły, starając się nauczyć poruszania o kulach, które mu zrobił Velaz.

Dzehana obdarzyła obu uśmiechem.

– Wygląda bardzo dobrze – powiedziała do swego pacjenta. – Spodziewam się, że będziesz mógł opuścić infirmerię i zamieszkać z bratem pod koniec przyszłego tygodnia. – Zrobiła efektowną pauzę. – Z pewnością zaoszczędzisz na łąpówkach, jeśli zechcesz mieć po zmroku towarzystwo.

Idar znów się roześmiał. Abir poczerwieniał. Dzehana poklepała go po ramieniu i odwróciła się do wyjścia.

Przy kominku po drugiej stronie pomieszczenia stał Rodrigo Belmon-te. Miał na sobie wysokie buty i płaszcz, a w ręce trzymał skórzany kapelusz. Po jego minie poznała, że coś się stało. Serce zabiło jej mocniej.

– Co się stało? – zapytała szybko. – Coś z moimi rodzicami?

Pokręcił głową.

– Nie, nie. To nie ma nic wspólnego z nimi, Dzehano. Nadeszły jednak wieści, które powinnaś poznać.

Podszedł do niej. Zza ekranu, gdzie przyrządzał swoje balsamy i nalewki, wyszedł Velaz.

Dzehana wyprostowała się i znieruchomiała.

– Pod pewnym względem zakładałam zbyt wiele, ale na razie wciąż jesteś lekarką mojego oddziału, i chciałem, byś usłyszała to ode mnie.

Zamrugnęła. „Na razie”?

– Właśnie przyszły wieści z południowego wybrzeża, przywiezione przez jeden z ostatnich statków, które przyplłynęły ze wschodu. Wygląda na to, że tej zimy zgromadziła się w Bachiarze ogromna armia z kilku dzadyczych krajów i przygotowuje się do wypłynięcia wiosną do Ammuzu i Soriyyi.

Dzehana zagryzła wargę. To rzeczywiście bardzo ważna wiadomość, ale...

– To święte wojska – rzekł Rodrigo. Miał ponurą minę. – A przynajmniej tak same siebie nazywają. Wydaje się, że na początku jesieni kilka oddziałów zaatakowało i zniszczyło Sorenikę. Podпалиły miasto i wycięły w pień mieszkańców. Podobno wszystkich. Dzehano, Velazie, bardzo mi przykro.

Sorenika. Łagodne, gwiazdziste noce zimą. Wiosenne wieczory dawno temu. Wino w oświetlonym blaskiem pochodni ogrodzie jej krewnych. Wszędzie kwiaty i bryza od morza. Sorenika. Najpiękniejsze sanktuarium boga i jego sióstr, jakie Dzehana widziała w życiu. Najwyższy kapłan Kindathów intonujący swoim przyjemnym, głębokim głosem liturgię podwójnej pełni. Białe i niebieskie świece palące się tej nocy we wszystkich niszach. Tylu zebranych ludzi, poczucie spokoju, ukojenia, domu dla Wędrowców. Śpiew chóru, a potem muzyka na krętych, oświetlonych pochodniami ulicach pod okągłymi, świętymi księżycami.

Sorenika. Piękne miasto nad oceanem i górujące nad nim winnice. Nadane Kindathom dawno temu za ich służbę władcom Bachinary. Miejsce, które we wrogim świecie mogli nazywać swoim.

„Wycięły w pień”. Koniec muzyki. Zdeptane kwiaty. Dzieci?

– Wszystkich? – zapytała słabym głosem.

– Tak nam powiedziano – rzekł Rodrigo. Zaczerpnął tchu. – Cóż mogę rzec, Dzehano? Powiedziałaś, że nie potrafisz zaufać Synom Dżada. Odparłem, że możesz. To czyni ze mnie kłamcę.

W jego szeroko rozstawionych, szarych oczach widziała prawdziwy ból. Pośpieszył do niej, gdy tylko usłyszał te wieści. W domu na pewno czekał na nią posłaniec z dworu, a może już tu idzie. Przysłał go zapewne Masur. Wspólna wiara, wspólna żałoba. Czy nie powinien jej o tym powiedzieć jakiś Kindath? Nie potrafiła udzielić na to odpowiedzi. Jakby coś się w niej zamknęło, otaczając ranę.

Sorenika. Gdzie ogrody były ogrodami Kindathów, gdzie błogosławieństwa były błogosławieństwami Kindathów, a mędrcy i mądre kobiety byli przepojeni nagromadzonymi przez wieki naukami i smutkiem Wędrowców.

„Wycięły w pień”.

Zamknęła oczy. Zobaczyła w myślach ogród i nie mogła na niego patrzeć. Otworzyła oczy. Odwróciła się do Velaza; on, który przyjął ich wiarę w dniu, kiedy jej ojciec go uwolnił, zakrył twarz dłońmi i szlochał.

– Nie mogę obarczać cię odpowiedzialnością za czyny wszystkich wyznawców twojej wiary – rzekła do Rodriga Belmontego z Valledo, starannie dobierając słowa. – Dziękuję, że tak szybko przyniosłeś tę wiadomość. Chyba pójdę do domu.

– Mogę cię odprowadzić? – zapytał.

– Velaz to zrobi – odparła. – Niewątpliwie zobaczymy się jeszcze dziś na dworze. Albo jutro. Tak naprawdę nie wiedziała, co mówi.

Widziała smutek malujący się na jego twarzy, lecz nie była w stanie nic mu z siebie dać. Nie potrafiła tego smutku złagodzić. Nie w tej chwili, nie teraz, Velaz otarł oczy i opuścił ręce. Nigdy przedtem nie widziała, żeby płakał, chyba że z radości, w dniu, kiedy wróciła do domu ze studiów w Bachiarze.

Z Bachiary, gdzie leżała Sorenika.

„Nieważne, w którą stronę wieje wiatr...”.

Tym razem spadł ogień, a nie deszcz. Rozejrzała się za swoim płaszczem. Podniósł go Idar ibn Tarif i trzymał w pogotowiu. Bez słowa pomógł go jej włożyć. Odwróciła się i ruszyła do drzwi za Velazem, mijając po drodze Rodriga.

W ostatniej chwili, będąc tym, kim była – córką swego ojca, nauczoną łagodzić ból, jeśli go zauważyła – dotknęła ręką jego ramienia.

Zima w Cartadzie rzadko bywała nadmiernie ostra. Miasto chroniły od najgorszych wiatrów lasy na północy i leżące za nimi góry. O śniegu w ogóle nie słyszano, a łagodne, słoneczne dni nie były niczym niezwykłym. Padały oczywiście deszcze, zmieniając place targowe i ulice w zbiorniki błota, lecz Almalik I, a teraz jego syn i dziedzic, przeznaczał poważne środki na oczyszczanie miasta, i handel zimowymi produktami kwitł.

Ta pora roku była zaledwie niewygodna, lecz nie stanowiła poważnej próby, co zdarzało się dalej na północ czy wschód, gdzie najwyraźniej cały czas padało. Zimowe kwiaty ożywiały kolorami słynne ogrody.

W Guadiarze pluskały się ryby, a statki wciąż kursowały między Tudeską, Silvenes i Cartadą.

Ponieważ po upadku kalifatu Cartada zbudowała własne królestwo, jej gospody i jadłodajnie nigdy nie narzekały na brak żywności, a do miasta zwożono z lasów mnóstwo drewna opałowego.

Istniały też bardziej ezoteryczne zimowe rozrywki, jak przystało na miasto i dwór, roszczące sobie pretensje do prymatu tak militarne, jak estetyczne.

Dzadyckie gospody były zimą zawsze zatłoczone mimo obelg wadźich. Na dworze, w gospodach, w lepszych domach poeci i muzycy rywalizowali o mecenat z żonglerami, akrobatami i treserami zwierząt, z kobietami utrzymującymi, że rozmawiają ze zmarłymi, z kindathijskimi wróżbitami czytającymi przyszłość z księżyców albo z wędrownymi rzemieślnikami, którzy osiedlali się na zimę na obrzeżu miasta. Tej zimy modnie było mieć własny miniaturowy portret wykonany przez artystę z Serii.

A w mniejszych, położonych na uboczu świątyniach albo na rogach ulic można było nawet znaleźć zabawnych wadźich, ostrzegających z płomienną elokwencją przed nieszczęściami i gniewem Aszara.

Wiele z lepiej urodzonych mieszkanki Cartady lubiło rano słuchać tych obdartych postaci o dzikich oczach, by dać się mile przestraszyć prorocztwami losu czekającego Wiernych, którzy zeszli z prawdziwej drogi wyznaczonej przez Aszara dla Zrodzonych z Gwiazd dzieci piasków. Kobiety te wracały z tych wycieczek do swoich pięknych domów, gdzie sączyły delikatnie przyprawione i podgrzane wino z miodem – oczywiście zakazane, co tylko dodawało pikanterii porannej przygodzie. Następnie oceniały najnowsze płomienne inwektywy tak samo, jak omawiały recytacje dworskich poetów czy pieśni muzyków. Rozmowa prowadzona przy trzaskającym ogniu zbaczała zwykle na oficerów zakwaterowanych na zimę w mieście, co niesło ze sobą interesujące konsekwencje.

Cartada wcale nie była takim złym miejscem w zimnej porze roku. Starsi i bardziej myślący dworzanie zgadzali się, że pozostawało to prawdą nawet w tym roku zmiany monarchów.

Almalik I był gubernatorem Cartady dla kalifów z Silvenes przez trzy lata, a potem rządził jako król przez piętnaście. To długi czas sprawowania władzy na niespokojnym półwyspie. Młodszy dworzanie nawet nie pamiętali czasu, kiedy rządził ktoś inny, a oczywiście w dumnej Cartadzie nigdy nie było innego króla.

Teraz istniał i najwyraźniej przeważał pogląd, że syn dobrze sobie poczyna. Okazał się rozważny, gdzie należało zachować rozwagę – w obronie i w minimalizowaniu zakłóceń w służbie cywilnej i na dworze; hojny, gdzie potężny monarcha powinien być hojny, łaskawy dla artystów i dworaków, którzy podejmowali dla niego ryzyko w czasach, kiedy jego sukcesja była... problematyczna, by ująć sprawę dyskretnie. Almalik II może był młody, lecz wyrastał na pełnym sprytu i cynizmu dworze i najwyraźniej wiele się na nim nauczył. Niektórzy dworzanie mówili, że miał nadzwyczaj subtelnego nauczyciela, lecz czynili to stłumionymi głosami i tylko wśród przyjaciół.

Sądząc po wszelkich oznakach, nowy król nie był też słabeuszem. Drganie jednego oka – dziedzictwo Dnia Fosy – nie ustąpiło, lecz wydawało się raczej jedynie oznaką królewskiego nastroju, przydatną wskazówką dla ostrożnego dworzanina. Z całą pewnością nie dało się u tego monarchy znaleźć oznak niezdecydowania.

Już się zajęto co wyraźniej skorumpowanymi oficjelami, ludźmi, którzy dozwolili, by ich długi związek z ostatnim królem... pokonał w nich uczciwość, i dopuścili się rozmaitych nieprawidłowości fiskalnych. Kilku z nich związało się z monopolem farbiarskim, stanowiącym podstawę bogactwa Cartady. W leżącej na południe od miasta dolinie żyły chruszczycze *cermas*, żerujące na białych kwiatach *illixia*, a następnie sumiennie wytwarzające szkarłatny barwnik wysyłany przez Cartadę w świat. Na nadzorowaniu tego handlu można było zbić fortunę, a gdzie

szło o wielkie bogactwo, pojawiała się żądza jeszcze większego, jak mówiło stare przysłowie.

Tacy ludzie istnieli na każdym dworze. To był powód, dla którego przychodziło się do dworu. Wiązało się z tym, oczywiście, także ryzyko.

Ci z zatrzymanych oficjeli, którzy nie byli jeszcze kastratami, zostali nimi przed egzekucją. Ich ciała zostały wywieszane na murach miasta z martwymi psami z obu stron. Dworscy kastraci, którzy naprawdę powinni byli być mądrzejsi, zostali żywcem obdarci ze skóry, a następnie rozciągnięci między palikami na oczyszczonej ziemi za Bramą Silveneską. Było za zimno na kąsające mrówki, ale zimą zwierzęta zawsze są głodne.

Zostali mianowani nowi oficjele, pochodzący z odpowiednich rodzin. Złożyli wszystkie konieczne przysięgi. Niektórzy poeci i śpiewacy wynieśli się na inne dwory, pojawili się inni. To wszystko stanowiło zwykły bieg wydarzeń. Można było zmęczyć się artystą, a nowy monarcha chciał odcisnąć ślad swego własnego gustu na bardzo wielu rzeczach.

Harem, od dawna zdominowany przez Zabirę, faworytę nieżyjącego króla, przeszedł, jak można się było spodziewać, okres niestabilności, kiedy kobiety ostro współzawodniczyły o względy nowego króla. Stawka była ogromna. Wszyscy wiedzieli, od czego zaczęła Zabira i jak wysoko zaszła. Zanim opiekunkom haremu i eunuchom udało się przywrócić niejaki porządek, kilka nałożnic zostało zasztyletowanych, a jedną niemal padła ofiarą trucizny.

Jedną z przyczyn zamętu było to, że tak niewiele wiedziano o upodobaniach nowego króla, chociaż plotka zawsze chętnie dostarczała domysłów. Istniały przecież opowieści, szczególnie te związane ze skompromitowanym Ammarem ibn Khairanem z Aldzais, byłym opiekunem i mentorem króla. Jednakże wkrótce po objęciu władzy przez Almalika II informacje pochodzące od pewnych mniej dyskretnych nadzorców haremu położyły kres co bardziej skandalicznemu z tych historii.

Chodziły słuchy, że kobiety są niezwykle zajęte. Młody król najwyraźniej miał całkowicie konwencjonalne podejście do spraw miłości oraz apetyt, który – wedle jednego z najstarszych omenów na początek panowania w aszaryckich krainach – dobrze wróżył jego sprawności w innych dziedzinach.

Wróżby były dobre pod wieloma względami. Fezana została podporządkowana, i to dość gwałtownie, co zawsze będzie się pamiętać. Silvenes było jak zwykle spokojne: w smutnych ruinach Al-Fontiny i wokół nich pozostali jedynie załamani, zniechęceni ludzie. Kiedy zmarł Almalik I, leżąca na wybrzeżu Elvira miała wyraźnie ochotę na okazanie przejawów niezwyklej niezależności, lecz te przebliski zostały szybko zdmuchnięte przez nowego ka'ida armii, który tuż przed nadejściem zimy odbył symboliczną podróż na południe z oddziałem Muwardyczyków.

Stary ka'id oczywiście nie żył. Zamiast publicznie go stracić, w wielce chwalonym geście uprzejmości król pozwolił mu samemu odebrać sobie życie. Ta śmierć także była normalna: nie

uważano, by nowi monarchowie mądrze robili, zostawiając generałów na ich stanowiskach albo nawet przy życiu. Było to jedno z niebezpieczeństw związanych z zajmowaniem wysokich stanowisk dowódczych w Al-Rassanie.

Nawet wyjęty spod prawa Tarif ibn Hassan, postrach kupców na południowych drogach i wszystkich legalnych poborców podatkowych, chyba postanowił tej zimy zwrócić swoje zainteresowania gdzie indziej. Wyrzekł się swoich regularnych, przynoszących wielkie szkody wypadów z niezdożytego Arbastro w głąb cartadzkich ziem na rzecz prawdziwie spektakularnego przedsięwzięcia na terytorium Ragosa.

Mówiło się o tej sprawie przez całą zimę, bo do miasta wciąż przybywali dzielni podróżnicy i kupcy z coraz to nowszymi wersjami tej historii. Wyglądało na to, że ibn Hassanowi udało się przejąć pierwszą daninę wiezioną z Fibazu do Dżalonii, wybijając przy tym cały dzadycki oddział. Wyczyn zdumiewający pod każdym względem. Kolejny wątek dodany do czterdziestoletniej legendy.

Sytuacja, w jakiej znalazła się Ragosa – ponieważ to król Badir zgodził się na wypłatę daniny – była nadzwyczaj kłopotliwa i pociągała za sobą ogromne konsekwencje ekonomiczne i wojskowe. Niektórzy z co bardziej wygadanych klientów, pijących tej zimy w cartadzkich gospodach, wyrażali pogląd, że wiosną Dżalonie mogą nawet licznie wyprawić się na południe, by dać Fibazowi nauczkę. Co oznaczało danie nauki Badirowi z Ragosa.

Pijący zgodzili się, że to nie ich problem. Chociaż raz ibn Hassan sprawiał prawdziwe kłopoty gdzie indziej. Czy nie byłoby miło, gdyby ten wiekowy szakal zechciał szybko umrzeć? Czy nie jest już wystarczająco stary? Wokół Arbastro była dobra ziemia, gdzie pewnego dnia lojalny dworzanin nowego króla Cartady mógłby się znaleźć z jakimś zameczkiem i otrzymaną od korony posiadłością do zarządzania i obrony.

Zima była między innymi czasem marzeń.

Nowy król Cartady nie miał ani czasu, ani ochoty na takie marzenia. Był nerwowym, dokładnym człowiekiem, nieodrodnym synem swego ojca – choć obaj by temu zaprzeczyli – i ponieważ wiedział zbyt wiele rzeczy, o których jego poddani nie mieli pojęcia, tej zimy nie podzielał ich optymizmu.

Dla królów nie było to nic niezwykłego.

Almalik II wiedział, że jego brat jest na pustyni u Muwardyjczyków z błogosławieństwami i nadziejami towarzyszącymi mu wadżich. I doskonale wiedział, co zaproponuje Hazem. Nie miał żadnego sposobu na dowiedzenie się, jak propozycję przyjmie Jazir ibn Q'arif. Okres przejmowania władzy po silnym królu przez jego następcę zawsze był niebezpieczny.

Dokładał wszelkich starań, by za każdym razem, kiedy w ciągu dnia rozlegały się dzwony, przerywać zajęcia i się modlić. Wezwał do Cartady najważniejszych wadżich i wysłuchał ich

skarg. Wraz z nimi ubolewał, że jego ukochany ojciec – oczywiście Wierny, lecz człowiek świecki – pozwolił, by ich wspaniałe miasto nieco odeszło od Praw Aszara. Obiecał odbywać z nimi regularne narady. Rozkazał, by natychmiast ewakuowano pewną niesławną ulicę dżadyckich prostytutek i wybudowano tam nową świątynię z ogrodami i domami dla wadzich.

Wysłał na pustynię cenne podarki do Jazira i jego brata. Na razie nie mógł zrobić nic więcej.

Na początku zimy, zanim niemal wysechł strumień wiadomości płynących z zagranicy, dowiedział się, że w Bachiarze szykuje się święta wojna i że gromadzą się tam wojska z czterech dżadyckich krain, by wiosną wypłynąć do Ammuzu i Soriyyi.

Ta wiadomość mogła być najdonioślejsza ze wszystkich, lecz nie dotyczyła Almalika II bezpośrednio, a trudno było sobie wyobrazić, że po spędzeniu nudnej, pełnej napięcia zimy taka niejednorodna siła rzeczywiście w końcu gdzieś wypłynie. Co prawda, bez względu na to, czy to wojsko się zaokrętuje, czy nie, już samo jego zgromadzenie przedstawiało trudne do wyobrażenia niebezpieczeństwo.

Król podyktował list ostrzegawczy do wielkiego kalifa w Soriyyi. Oczywiście nie dotrze do niego przed nastaniem wiosny, a zostaną też wysłane i inne wiadomości, lecz trzeba było dodać do chóru swój głos. Zostanie poproszony o żołnierzy i złoto, ale minie sporo czasu, zanim ta prośba do niego dotrze.

Tymczasem ważniejsze było dowiedzenie się, nad czym się zastanawiają dżadyci z północy półwyspu w związku z wieściami o wojnie, które na pewno też już do nich dotarły. Jeśli cztery dżadyckie armie koncentrują się po to, by wypłynąć na wschód, to co mogą rozważać Esperanie, mając aszarytów tak blisko siebie i przykład świętej wojny? Czy ich święci mężowie już nie głoszą ich królom kazań?

Czy trzej władcy Esperanii mogliby się zebrać w jednym miejscu i nie pozabijać się nawzajem? Almalik II w to wątpił, lecz spotkał się ze swymi doradcami, a następnie wysłał królowi Sanczewowi z Ruendy pewne dary i wiadomość.

Dary były książęce; wiadomość w starannie dobranych słowach zwracała uwagę na fakt, że Fezana, która znajduje się pod kontrolą Cartady i płaci *parias* aroganckiemu Valledo, a nie Ruendzie, leży co najmniej tak samo blisko tego ostatniego królestwa i mogłaby w co najmniej takim samym stopniu spodziewać się po nim ochrony. Almalik II z całym szacunkiem prosił usilnie króla Sanczeza o podzielenie się z nim przemyśleniami w tych drażliwych sprawach.

Trzeba było doprowadzić do podziałów na północy, a wśród następców Sancza Otyłego nie było o to szczególnie trudno.

Na razie leżąca na północnym wschodzie Dżalonia nie martwiła Almalika. Było bardziej prawdopodobne, że sprawi kłopoty Ragosie, a to będzie korzystne, jeśli tylko nie dojdzie do czegoś więcej. Almalikowi II przyszło kilka razy na myśl, że tak naprawdę powinien tej zimy naradzić się z królem Badirem, ale wzdragał się przed tym. Jakikolwiek kontakt z Badirem

oznaczał teraz także kontakt z Ammarem ibn Khairanem, który uciekł do głównego rywala Cartady w dzień po tym, jak został ogłoszony banitą.

Almalik uznał, że to było tchórzostwo. Graniczyło nawet ze zdradą. Wystarczyłoby, gdyby Ammar wycofał się gdzieś dyskretnie na rok, napisał kilka wierszy, może odbył pielgrzymkę na wschód, nawet powalczył za Wiarę w Soriyyi w nadchodzącym roku w imię Aszara... a potem Almalik mógłby powitać go z powrotem – skruszonego, oczyszczonego dworzanina, który odprawił uczciwą pokutę. To wydawało się takie oczywiste.

Ale nie, ibn Khairan, jak zawsze drażliwy i przekorny, wymknął się z Zabirą prosto do Badira i jego podstępного kindathijskiego kanclerza w niebezpiecznej Ragosie. Właściwie w bardzo niebezpiecznej Ragosie, bo wtedy źródła Almalika poinformowały go poniewczasie, że latem, natychmiast po Dniu Fosy, ta kobieta najwyraźniej wysłała do Badira swoich dwóch synów, a jego własnych braci przyrodnych.

Tę wiadomość powinien otrzymać wcześniej, zanim zginął jego ojciec. Musiał dla przykładu, skazać na śmierć dwóch swoich ludzi – otrzymywanie takich ważnych wieści tak późno było niebezpieczne. Ci chłopcy stanowili zagrożenie dla jego utrzymania się na tronie niemal tak wielkie, jak przebywający na pustyni Hazem.

Nowy król Cartady uznał, że zbyt wielu braci najlepiej pozbywać się szybko. Wystarczy na przykład popatrzeć na to, co się stało wśród dzadytów. Ramiro z Valledo, mimo całego swego męstwa, którym tak się szczycił, zaczął prosperować dopiero po gwałtownej śmierci jego brata Raimunda. I chociaż od chwili tej śmierci krążyły plotki, w zupełności nie przeszkodziły spokojnemu wznoszeniu się Ramira na szczyty władzy.

Była to lekcja, z której należało skorzystać. Almalik wezwał dwóch znanych sobie ludzi, wydał im skrupulatne polecenia, poczynił wyraźne obietnice i wysłał na wschód jako handlarzy przyprawami, by przeszli przez góry do Ragosy, póki przełęcz wciąż była otwarta dla prawdziwych kupców. Został otrzeźwiony i dość mocno wstrząśnięty otrzymaną po jakimś czasie wiadomością, że obaj zginęli w burdzie w gospodzie tego samego wieczoru, kiedy przybyli do miasta Badira.

Ojciec Almalika zawsze mówił, że Badir jest sprytny. Kindathijski kanclerz był nadzwyczaj sprytny. A teraz jest z nimi Ammar, kiedy powinien być tutaj albo przynajmniej czekać gdzieś spokojnie na pozwolenie powrotu.

Almalik II, który pewnej wietrznej nocy szukał przemijającej pociechy w haremie ojca, teraz należącym do niego, czuł się bardzo samotny. Masował z roztargnieniem swoją denerwującą powiekę i zastanawiał się nad pewnymi faktami, a niezwykle wysoka płowowłosa kobieta z Karchu gorliwie się nim zajmowała przy użyciu wonnych olejków i zręcznych dłoni.

Pierwszym faktem było to, że Ammar ibn Khairan nie ulegnie prośbom o szybki powrót do

Cartady, nawet za obietnicę przywrócenia honoru i otrzymania olbrzymiej władzy. Almalik był tego pewien. Jego starannie przemyślane wygnanie ibn Khairana w dniu śmierci Almalika I zaczęło się wydawać mniej rozsądnym pomysłem niż wówczas.

Ze złością pogodził się z tym, że naprawdę potrzebuje Ammara. Zbyt wiele działo się tej zimy, trzeba było zająć się wieloma różnorodnymi wydarzeniami, a otaczający go ludzie nie umieli temu sprostać. Potrzebował dobrej rady, a mógł mu jej udzielić tylko człowiek, który zawsze traktował go z pełną rozbawienia protekcjonalnością mistrza wobec ucznia, ale któremu ufał. Teraz królem Cartady był Almalik II; nie mogły wrócić dawne czasy, musiał jednak sprowadzić Ammara z powrotem.

Ustawił kobietę na czworakach i wszedł w nią. Była nadzwyczaj wysoka; przez chwilę trudno mu się było dopasować. Natychmiast zaczęła wydawać wyraźnie przesadne dźwięki zachwytu. Wszystkie te kobiety rozpaczliwie chciały zdobyć sobie jego przychyłność. I kiedy tak zaspokajał swoje żądze z Karchitką, zastanawiał się, jaka delikatna i subtelna była Zabira w tym samym łożu z jego ojcem. Kobieta wijąca się pod nim jęczała i chwyciła ustami powietrze, jakby umierała. Skończył szybko i ją odprawił.

A potem leżał samotnie wśród poduszek i zaczął się poważnie zastanawiać, jak ma odzyskać jedynego potrzebnego mu człowieka, zanim niebezpieczeństwa czyhające z tak wielu stron nie wybuchną płomieniami jak ogniska i go nie spalą.

O brzasku posłał po szpiega, którym już kiedyś się posługiwał. Młody król Cartady przyjął go w cztery oczy; w sypialni nie było nawet niewolników.

– Chcę wiedzieć wszystko – odezwał się bez przywitania ani wstępu – co uda ci się odkryć o poczynaniach pana Ammara ibn Khairana w Dniu Fosy.

Pewnego ranka w środku zimy Dzehana i Velaz zostali tak sprawnie porwani po drodze do ich budki na targowisku, że nikt z przechodniów nawet się nie zorientował.

Dzień był szary, po niebie przesuwały się jaśniejsze i ciemniejsze chmury. Wiał wiatr i padał drobny deszcz. Podeszło do nich dwóch mężczyzn; jeden poprosił o chwilę rozmowy. Jeszcze kiedy mówił, Dzehana poczuła przy żebrach nóż, który nieznamy zasłaniał ciałem i płaszczem podbitym futrem.

– Jeśli otworzysz usta, twój służący zginie – powiedział miłym głosem. – Ty zginiesz, jeśli odezwie się on.

Obejrzała się szybko i zobaczyła, że Velaz znajduje się w identycznej sytuacji. Gdyby ktoś przypadkiem na nich spojrział, pomyślałby, że po prostu rozmawiają.

– Dziękuję, lekarko – powiedział głośno mężczyzna u jej boku. – Tędy. Jesteśmy ci ogromnie wdzięczni.

Poszła, gdzie ją prowadził. Nóż zadrasnął jej skórę. Zobaczyła, że Velaz pobladł. Wiedziała,

że z wściekłości, a nie strachu. Było w tych mężczyznach coś, pewność siebie, co kazało jej wierzyć, że potrafią zabić, nawet w miejscu publicznym.

Podeszli do jakichś drzwi, otworzyli je ciężkim kluczem, weszli do środka. Jeden z mężczyzn zamknął je za nimi jedną ręką. Drugą trzymał nóż przy ciele Velaza. Dzehana spostrzegła, że wrzuca klucz do sakiewki przy pasie.

Znajdowali się na dziedzińcu. Okna stojącego za nim domu były zakryte okiennicami. Suchą misę fontanny wypełniały martwe liście. Stojąca w niej statua straciła głowę i jedną rękę. Dziedziniec wyglądał na opuszczony od dłuższego czasu. Dzehana mijała te drzwi dziesiątki razy. Jak takie miejsce stawało się sceną czegoś, co mogło zakończyć czyjeś życie?

– Igracie ze śmiercią i musicie o tym wiedzieć – powiedziała, starając się, by w jej głosie zabrzmiała pewność siebie. – Jestem lekarką na dworze króla Badira.

– Całe szczęście – odparł pierwszy mężczyzna. – Gdybyś nią nie była, moglibyśmy mieć problem.

Miał oschły, odmierzony głos bez akcentu, który mogłaby zidentyfikować. Był aszaryckim kupcem albo się za niego przebrał. Obaj wyglądali na kupców. Szaty mieli kosztowne, a dłonie i paznokcie czyste. Jeden z nich się uperfumował. Nie byli knajpianymi pijakami, a jeśli nawet, to uczyniono wszystko, by to zatuszować. Dzehana odetchnęła głęboko; zaschło jej w ustach. Czowała, że zaczynają jej drżeć nogi. Miała nadzieję, że tego nie widzą. Nic nie mówiła; czekała. A potem zauważyła krew na tunice Velaza, w miejscu odsłoniętym przez płaszcz, i drzenie nagle ustało.

– Zwiążemy i zakneblujemy twego służącego i tu go zostawimy – rzekł spokojnie drugi mężczyzna, wyższy i bardziej barczysty. – Zostanie pozbawiony ubrania. Nikt tu nigdy nie przychodzi. Jeśli chcesz się o tym przekonać, rozejrzyj się. Nikt nie wie, gdzie on jest. Umrze z zimna, jeśli nie wrócimy, by go uwolnić. Rozumiesz, co do ciebie mówię?

Dzehana patrzyła na niego, a pogarda wyzierająca jej z oczu maskowała strach. Nie odpowiedziała. Mężczyźni drgnęły w uśmiechu wargi; zobaczyła, jak napinają się mięśnie jego przedramienia, a potem poruszył się nóż. Velaz mimowolnie cicho stęknął. Teraz widziała prawdziwą ranę, a nie draśnięcie.

– Kiedy zadaje pytanie, lepiej na nie odpowiadaj – poradził jej łagodnie pierwszy mężczyzna. – Łatwo go urazić.

– Rozumiem cię – rzekła Dzehana przez zęby.

– Doskonale – mruknął ten roślejszy. Nagłym ruchem zdarł z Velaza błękitny płaszcz i rzucił go na ziemię. – Zdejmij ubranie – polecił. – Całe.

Velaz zawahał się, patrząc na Dzehanę.

– Mamy inne sposoby, by zrobić to, po co tu przybyliśmy – poinformował energicznie Velaza pierwszy napastnik – nawet gdybyśmy musieli zabić was oboje. Nie sprawi nam to

żadnego kłopotu. Uwierz mi. Rozbieraj się, ty obrzydliwe kindathijskie ścierwo. Już.

Ciężka obelga była tym bardziej mrożąca krew w żyłach, że została wypowiedziana ze spokojem.

Dzehana pomyślała wtedy o Sorenice. O tych, którzy zginęli tam pod koniec jesieni: spaleni, ścięci, dzieci przepołowione mieczami. Po pierwszym posłańcu przybywali następni, a każdy opowiadał straszniejsze rzeczy od poprzedniego. Czy dwa kolejne trupy miały jakiegokolwiek znaczenie? Czy boga i jego siostry mogło to w ogóle obchodzić?

Velaz zaczął zdejmować ubranie. Twarz miał pozbawioną wyrazu. Drugi mężczyzna obszedł misę fontanny i wyjął spod niej zwój liny i kawałek grubego płótna. Znow się rozpadało. Było bardzo zimno. Dzehana próbowała obliczyć, jak długo mógłby tu przeżyć nagi, związany człowiek.

– Czego chcecie ode mnie? – zapytała mimowolnie. Teraz się bała.

– Cierpliwości, lekarko. – Porywacz mówił bezbarwnym głosem; cały czas przytykał nóż do jej żeber. – Najpierw zajmiemy się twoim poręczeniem.

Tak zrobili. Nie pozwolili Velazowi zostawić nawet bielizny. Nagi, wyglądał na bardzo drobnego i starego w wilgotnym, chłodnym świetle szarego poranka. Związali mu ręce i nogi i mocno go zakneblowali. Następnie ten większy podniósł go i wrzucił do misy fontanny. Dzehana skrzywiła się. Wilgotny kamień będzie dla jego obnażonego ciała niczym lód. Do tej pory Velaz nie odezwał się ani słowem, czy to protestu, czy błagania. Teraz nie mógł już tego zrobić. Leżał bezradny na plecach, wzrok utkwiał jednak w Dzehanie, a ona ujrzała w jego oczach wciąż płonący gniew, a nie strach.

Zawsze był nieustraszony. Jego odwaga przywróciła jej ducha.

– Pytam jeszcze raz – rzekła, cofając się o krok od noża. – Czego chcecie?

Mężczyzna nie postąpił za nią. Wydawał się obojętny na jej nieposłuszeństwo.

– Rozumiemy, że jako lekarka na dworze wiesz, gdzie zostali umieszczeni dwaj synowie pani Zabiry – odpowiedział spokojnie. – Ta informacja okazała się trudna do zdobycia. Pójdziemy tam i wprowadzisz nas do środka. Pozostaniesz z nami przez pewien czas, a potem będziesz mogła tu wrócić i uwolnić swego służącego.

– Spodziewasz się, że po prostu was tam wprowadzę?

Drugi mężczyzna znow się odwrócił. Z innego dużego worka jął wyjmować części garderoby. Dwie białe tuniki, dwie niebieskie szaty oblamowane bielą, dwie miękkie niebieskie czapeczki..

Dzehana zaczynała pojmować, co zamierzają.

– Jesteśmy twoimi rodakami, miła pani. Lekarzami twojej wiary z Fezany, przybyłymi, by uczyć się u ciebie. Niestety, mamy zbyt małą wiedzę o chorobach dzieci, a ty jesteś z niej szeroko znana. Obaj chłopcy już dawno powinni zostać rutynowo zbadani. Zaprowadzisz nas

tam, przedstawisz jako znanych ci lekarzy i zostawisz z nimi. To wszystko.

– I co się stanie?

Drugi mężczyzna uśmiechnął się; stał obok fontanny i ubierał się w biało-niebieski strój Kindathów.

– Naprawdę chcesz poznać odpowiedź?

Te słowa, oczywiście, nią były.

– Nie – odparła. – Nie zrobię tego.

– Przykro mi to słyszeć – rzekł pierwszy porywacz, nieporuszony. – Osobiście nie lubię kastrować ludzi, nawet do tego sprowokowany. Niemniej zapewne zauważyłaś, że twój służący jest dobrze zakneblowany. Kiedy odetniemy mu organy płciowe, naturalnie będzie usiłował krzyczeć. Ale nikt go nie usłyszy.

Dzehana starała się oddychać normalnie. Sorenika. Na pewno robili takie rzeczy w Sorenice.

– A jeśli ja bym zaczęła krzyczeć? – spytała, głównie po to, by zyskać na czasie.

Najwyraźniej nic nie mogło wyprowadzić ich z równowagi. Mężczyzna przy fontannie był już ubrany jak Kindath, a drugi zdjął podbity futrem płaszcz, by też się przebrać.

– Są tu zamknięte drzwi i wysoki mur – rzekł. – Zapewne to zauważyłaś. Oboje bylibyście martwi, a my przeszlibyśmy przez ten dom, wyszli tylnym wejściem i zniknęli w mieście na długo przedtem, nim ktokolwiek wyłamałby te drzwi i znalazł wykastrowanego mężczyznę i martwą wypatroszoną kobietę. Doprawdy, lekarko, miałem nadzieję, że nie będziesz robiła głupich trudności.

Wtedy Dzehana zaczęła przeklinać w duchu i dość niesprawiedliwie wszystkich mężczyzn, których знаła w Ragosie. Masura. Ammara. Rodriga. Alvara i Husariego. Jak mogło do tego dojść, skoro otaczało ją tyle męstwa?

Odpowiedzią oczywiście była wywalczona przez nią niezależność oraz ich chęć dania jej tej niezależności – i dlatego to wyklinanie było niesprawiedliwe. Uznała, że w takiej sytuacji sprawiedliwość nie liczy się ani trochę – powinien być tu jeden z nich, obojętne jak, żeby temu zapobiec.

– Po co wam te dzieci? – zapytała.

– Naprawdę lepiej, żebyś nie zadawała zbyt wielu pytań, lekarko. Nie chcemy was po tym wszystkim zabić, ale przyznasz, że grozi nam niejakię ryzyko i nie możemy pozwolić, byś je powiększyła.

Dzehana już wszystko rozumiała. Mogła rzucić im tę wiedzę w twarz, lecz myślała na tyle jasno, że zdawała sobie sprawę, iż może to oznaczać dla niej i dla Velaza wyrok śmierci na tym opuszczonym dziedzińcu. Milczała.

Była pewna, że stoi za tym Almalik II z Cartady. Pragnął pozbyć się małych chłopców, własnych braci, którzy samym swoim istnieniem zagrażali jego tronowi. Królowie i ich bracia;

dawna opowieść, odgrzewana w każdym pokoleniu, łącznie z jej własnym.

Porywacze skończyli się przebierać. Każdy wziął mały worek i flaszkę na mocz, symbole ich udawanej profesji. Narzędzia i flaszkę Dzehany przyniósł Velaz. Roślejszy ze skrytobójców machnął w ich stronę ręką i Dzehana po chwili je podniosła.

– Przez całą drogę będę szedł obok ciebie – rzekł drobniejszy mężczyzna. – Oczywiście możesz krzyknąć. Zginiesz, jeśli to zrobisz, i oczywiście zginie twój służący, ponieważ nikt po niego nie przyjdzie. My też możemy zginąć, ale nie masz co do tego pewności, ponieważ mamy wprawę w naszym zawodzie. Nie radziłbym ci usiłować pokrzyżować naszych planów, lekarko. Dokąd idziemy?

Naprawdę nie miała wyjścia. Jeszcze nie teraz. Nie na tym dziedzińcu. Obejrzała się na Velaza, ale zasłaniała go krawędź misy. Wiatr się wzmógł i zaczął padać większy deszcz, zacinając zimnymi, piekącymi kroplami. Nie miała dużo czasu. Ponurym głosem podała nazwę domu. A potem nałożyła kaptur i wyszła ze skrytobójcami.

Dom, w którym mieszkały dzieci Zabiry z Cartady, czasami razem z matką, ale częściej bez niej, znajdował się w pobliżu pałacu. Była to zamożna i spokojna dzielnica.

Dzehana wkrótce porzuciła wszelką nadzieję, że może ją zobaczy ktoś znajomy. Jej porywacze dobrze znali Ragosę – albo z poprzednich wizyt, albo po prostu szybko się uczyli. Prowadzili ją krętą drogą, całkowicie omijając targowisko i pałacowe place. Już się nie śpieszyli.

Przeszli obok jednej z infirmerii, w której Dzehana miała pacjentów zbyt chorych, by zostawić ich w domu, ale skrytobójcy najwyraźniej wiedzieli i o tym – trzymali się przeciwnej strony ulicy i nie zmienili tempa marszu. Kiedy mijali drzwi, przypomniała sobie, jak pewnej nocy Rodrigo Belmonte i Ammar ibn Khairan zniknęli razem za tym samym rogiem, za który skręcała teraz z dwoma mężczyznami wykorzystującymi ją, by zabić dzieci.

Szli blisko siebie; idący po obu jej stronach porywacze udawali, że są pogrążeni w zajmującej rozmowie. Wszyscy widzieli troje kindathijskich lekarzy z narzędziami i flaszki, którzy idą do jakiegoś pacjenta na tyle zamożnego, by mógł sobie na nich pozwolić. W tej okolicy nie powodowało to zaciekawionych spojrzeń czy komentarzy. Tego wilgotnego, zimnego poranka i tak nie było na ulicy wielu ludzi, którzy mogliby ich zauważyć. Dzehana pomyślała, że nawet pogoda spiskuje przeciwko niej. Przed oczyma miała przerażający obraz Velaza, nagiego i drżącego pod igłami deszczu na pustym dziedzińcu.

Przybyli do domu, który wskazała.

Po raz pierwszy Dzehana pomyślała o dzieciach. Widziała je tylko dwa razy, wzywana do niegroźnych chorób. Przypomniała sobie, że nawet chciała odmówić. Młodszy z chłopców był w jakimś sensie sprawcą ślepoty i milczenia jej ojca. Jednakże myśl o Iszaku i świadomość tego, co on by zrobił, sprawiły, że spełniła prośbę. Nie można było winić dzieci. Należała im się jej

opieka wedle ściśle przestrzeganej przysięgi Galina, którą złożyła.

Rodziło to straszne pytanie o to, co robi teraz. Zastukała do drzwi.

– Zapytaj o matkę – mruknął szybko ten roślejszy.

Jego głos po raz pierwszy zdradził napięcie. Fakt ten uspokoił Džehaną. Nie byli tak nieporuszeni, jak się wydawało. Nazwał Velaza kindathijskim ścierwem. Życzyła im obu śmierci.

Drzwi się otworzyły. W wejściu stał zarządca, zasłaniając dobrze oświetlony korytarz i wewnętrzny dziedziniec. Pamiętała zarządcę z poprzednich wizyt; był to nieszkodliwy, poważny człowiek. Rozwarł oczy, zaskoczony.

– Lekarka? O co chodzi?

Džehana zaczerpnęła tchu. Niewidoczny pod płaszczami nóż uciskał ją w plecy.

– Czy pani Zabira czeka na mnie?

– Ależ nie, lekarko. – Zarządca zrobił przeproszącą i zaniepokojoną minę. – Dziś rano jest na dworze. Nic mi nie mówiła o twojej wizycie.

Drobniejszy z towarzyszy Džehany roześmiał się oschle.

– Typowa matka! Czekają na nas tylko wtedy, kiedy malcy są ciężko chorzy. Umówiliśmy się dwa dni temu. Džehana bet Iszak była na tyle uprzejma, że pozwoliła nam odwiedzać młodszych pacjentów razem z nią. Chcemy udoskonalić nasze umiejętności leczenia dzieci.

Przy tych słowach uniósł flaszkę.

Zarządca spojrzał niepewnie na Džehaną. Nacisk noża się wzmógł; Džehana poczuła, jak ostrze przenika przez ubranie do jej skóry.

– To prawda – potwierdziła, tracąc nadzieję. – Czy twoja pani nie zostawiła żadnej wiadomości?

– Mnie nie, lekarko.

Wciąż mówił przeproszającym tonem. Pomyślała, że gdyby był bardziej stanowczym człowiekiem, to zamknąłby im już drzwi przed nosem i kazał wrócić, kiedy Zabira będzie w domu.

– Dobrze więc – spróbowała Džehana. – Jeśli nie zostawiła żadnej...

– Ależ lekarko, ja cię przecież znam i wiem, że pani Zabira ci ufa. To zapewne jakieś przeoczenie. Wejdźcie, proszę.

Zarządca uśmiechnął się przymilnie. Jeden ze skrytobójców spojrzał na niego łaskawie i dał mu srebrną monetę. To było zbyt hojne wynagrodzenie i powinno ostrzec dobrego sługę, że coś jest nie w porządku. Zarządca zamknął dłoń i z ukłonem przepuścił całą trójkę do środka. Džehana z przyjemnością przeprowadziłaby jego sekcję.

– Idźcie prosto na górę, lekarko – mruknął do niej. – Mam kazać przygotować gorące napoje? Dzisiaj jest przejmująco zimno.

– Byłoby wspaniale – odezwał się drobniejszy skrytobójca.

Zdjął płaszcz, a potem uprzejmie pomógł zdjąć płaszcz Dzehanie. Przez chwilę nigdzie nie było widać noża, ale kiedy zarządca pośpiesznie zebrał okrycia, Dzehana znów poczuła nacisk klingi.

Z góry dochodził dziecięcy śmiech i protesty wyraźnie pokonanego służącego. Coś upadło z wielkim hukiem. Na chwilę zapanowała cisza, a potem znów rozległ się cienki piskliwy śmiech.

Zarządca sprawiał wrażenie zaniepokojonego.

– Być może będą potrzebne środki uspokajające – mruknął uprzejmie jeden z porywaczy i uśmiechnął się na znak, że to był żart.

Podeszli do schodów i zaczęli wspinać się na górę. Zarządca patrzył na nich przez chwilę, a potem odwrócił się, by wydać polecenia co do napojów.

– To tylko dzieci – rzekła cicho Dzehana.

Serce waliło jej w piersi; czuła coraz większy strach, zimniejszy niż poranne powietrze. Zaczynała sobie zdawać sprawę, że nie będzie w stanie tego zrobić.

U szczytu schodów, pomyślała. Ostatnia szansa. Modliła się, by ktoś tam był.

– Dzieci ciągle umierają – mruknął mężczyzna z nożem. – Jesteś lekarką, wiesz o tym. Jedno z nich nigdy nie powinno było się urodzić. O tym też wiesz. Nie będą cierpiały.

Dotarli do szczytu schodów.

Rozwidlający się korytarz, na wprost nich i w prawo, otaczający wewnętrzny dziedziniec domu. Ujrzała misternie zdobione drzwi ze szklanymi płytami, które prowadziły do galerii okrążającej ogród. Inne drzwi prowadziły do pokojów. Śmiech ustał. Było bardzo cicho. Dzehana nieco gorączkowo spojrzała w obie strony. W tym domu czaiła się śmierć, a ona nie była na nią gotowa.

Znikąd pomocy, żadnej nadziei. Widać było tylko jednego młodego służącego, prawie chłopca, który pośpiesznie zamiatał kawałki czegoś, co najwyraźniej jeszcze niedawno było dużą ozdobną urną.

Podniósł wzrok i zobaczył gości. Z przerażenia upuścił miotłę.

– Lekarze! Święty Aszarze, wybacz! Wypadek... dzieci. – Nerwowo podniósł miotłę i zaraz ją odłożył. Podbiegł z niepokojem do obcych. – Mogę w czymś pomóc? Zarządca...

– Przyszedliśmy zobaczyć dzieci – odezwał się roślejszy porywacz. Mówił stanowczo, lecz znów z nutą napięcia w głosie. – Zaprowadź nas do nich.

– Oczywiście!

Młody służący uśmiechnął się ochoczo. Dlaczego wszyscy są tu tak skorzy do pomocy? Serce waliło Dzehanie młotem. Mogła tu stać, pójść z nimi, niczemu nie przeszkodzić, prawdopodobnie żyć.

Nie mogła tego zrobić.

Chłopiec postąpił do przodu z wyciągniętą ręką.

– Mogę wziąć wasze torby?

– Nie, nie trzeba. Pokaż nam drogę.

Fałszywy lekarz stojący bliżej niego cofnął lekko rękę, w której trzymał torbę.

Odnalezienie chłopców zajmie im trochę czasu, pomyślała Dzehana. Jest tu wiele pokojów. Może zdąży przybyć pomoc. Nabrała tchu do krzyku, wiedząc, że oznacza to jej śmierć.

W tej samej chwili pomyślała, co absurdalne, że rozpoznaje tego służącego. Zanim jednak wspomnienie mogło ugruntować się w coś więcej, chłopiec, z nadal wyciągniętą ręką, potknął się lekko i wpadł na drobniejszego mężczyznę, który przytykał nóż do boku Dzehany. Skrytobójca stęknął zaskoczony. Chłopiec wyprostował się, chowając prawą rękę, a lewą mocno pchnął Dzehaną.

Lekarka potknęła się i upadła – i wtedy krzyknęła na cały głos:

– Ratunku! To są zabójcy! Pomóżcie nam!

Padła na kolana, usłyszała, jak coś się rozbija. Odwróciła się, oczekując klingi – swojej śmierci, miękkiej mrocznej obecności sióstr boga.

Poniewczasie ujrzała sztylet, który pojawił się w dłoni chłopca. Drobniejszy skrytobójca leżał na podłodze, obiema rękami trzymając się za brzuch. Spomiędzy palców płynęła mu krew. Dużo krwi. Roślejszy porywacz odwrócił się z wykrzywioną twarzą i ważył w dłoni nóż. Chłopiec cofnął się lekko, gotów do walki.

Dzehana znów wrzasnęła na całe gardło.

W korytarzu na wprost już się ktoś pojawił. Nie do wiary, ale trzymał hak. Skrytobójca to dostrzegł i odwrócił się szybko ku schodom.

Stał tam zarządca z mieczem w ręku i już się nie uśmiechał.

Skrytobójca odwrócił się błyskawicznie z powrotem, pochylił się i bez ostrzeżenia skoczył ku Dzehanie. Młody służący krzyknął i uniósł sztylet.

Zanim zwały się klingi, rozległ się czysty dźwięk, niemal muzyczna nuta, i Dzehana zobaczyła strzałę tkwiącą w szyi zabójcy. Oraz krew. Mężczyzna uniósł ręce, wypuszczając nóż. Runął na podłogę. Jego flaszka roztrzaskała się na płytkach.

Zapadła cisza.

Usiłując odzyskać panowanie nad sobą, Dzehana spojrzała w głąb korytarza. Człowiek z łukiem szedł w jej stronę. Był to Idar ibn Tarif, którego brata uratowała, a potem pielęgnowała. Uśmiechał się uspokajająco.

Dzehana, wciąż na kolanach, zaczęła drzeć. Spojrzała na stojącego obok niej chłopca. Schował już sztylet; nie umiałaby powiedzieć, gdzie. Pierwszy skrytobójca zacharczał nagle i osunął się bokiem na tego roślejszego. Znała ten dźwięk. Była lekarką. Właśnie umarł.

Wszędzie wokół leżało rozbite szkło, a kafelki barwy piasku, którymi wyłożono podłogę,

plamiła krew. Jej strumyczek płynął w stronę Dzehany. Wstała i odeszła na bok.

Rozbite szkło.

Dzehana odwróciła się i spojrzała za siebie. Na podłodze leżała roztrzaskana flaszka jej ojca. Z trudem przełknęła ślinę. Zamknęła oczy.

– Dobrze się czujesz, lekarko? – zapytał chłopiec.

Miał nie więcej niż piętnaście lat. Uratował jej życie.

Kiwnęła głową. Otworzyła oczy. I wtedy go poznała.

– Ziri? – rzekła z niedowierzaniem. – Ziri z Orvilli?

– Jestem zaszczycony, lekarko – odparł z ukłonem. – Jestem zaszczycony, że mnie pamiętasz.

– Co ty tu robisz?

Ostatnim razem widziała tego chłopca, jak w swojej płonącej wiosce zabija dzadytę mieczem Alvara de Pellino. Nic tu nie miało sensu.

– Strzeże cię – rozległ się znany jej głos.

Obejrzała się szybko. W otwartych drzwiach jednego z pokoiów stał Alvar z tym samym mieczem w ręce.

– Chodź – rzekł. – Może uda ci się uspokoić dwoje niezdolnych dzieci.

Schował miecz do pochwy, podszedł i ujął jej dłonie.

Otoczona spokojnymi, uśmiechniętymi mężczyznami Dzehana ruszyła korytarzem, jak w transie, i weszła do wskazanego pokoju.

Obaj chłopcy, z których jeden miał siedem lat, a drugi prawie pięć, o czym bardzo dobrze wiedziała, w gruncie rzeczy nie zachowywali się szczególnie hałaśliwie. Na kominku płonął ogień, lecz okna nad oboma łózkami zostały przesłonięte żaluzjami, więc w pokoju było ciemno. Po przeciwnej stronie ognia płonęły świece; Ammar ibn Khairan, odziany w czerń i złoto, i z blado połyskującym kolczykiem w uchu, wykorzystywał ich blask do rzucania cieni na przeciwległą ścianę ku uciechu chłopców. Dzehana zobaczyła, że na poduszce u jego boku leży nagi miecz.

– Jak sądzisz? – zapytał przez ramię. – Z mojego wilka jestem naprawdę dumny.

– Wspaniałe osiągnięcie – przytaknęła Dzehana.

Obaj chłopcy najwyraźniej też tak sądzili; obserwowali cienie jak urzeczeni. Na oczach Dzehany wilk podkradł się do czegoś, co zapewne miało być kurczęciem, i pożarł je.

– Ptak jest taki sobie – zauważyła Dzehana.

– To świnia! – obruszył się ibn Khairan. – Każdy powinien to dostrzec.

– Mogę usiąść? – spytała. Nogi odmawiały jej posłuszeństwa. Pojawił się skądś stołek. Idar ibn Tarif z uśmiechem zaprosił ją gestem, by usiadła.

Uczyniła to, po czym natychmiast zerwała się na nogi.

– Velaz! Musimy go uwolnić!

– Już to zrobiliśmy – odezwał się Alvar od drzwi. – Ziri powiedział nam, gdzie jest ten dziedziniec. Poszedł tam Husari z dwoma ludźmi.

Velaz na pewno jest bezpieczny, Džehano.

– Już po wszystkim – rzekł łagodnie Idar. – Usiądź, lekarko. Wszyscy jesteście bezpieczni.

Džehana usiadła. To dziwne, że najgorsze reakcje zdarzały się po minięciu niebezpieczeństwa.

– Jeszcze! – zawołał starszy syn Zabiry.

Młodszy siedział ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, wpatrując się szeroko rozwartymi oczyma w cienie na ścianie.

– Obawiam się, że to już wszystko – powiedział Ammar ibn Khairan. – Kiedy wilk zje świnie, albo ptaka, nieważne, nie ma już nic do oglądania.

– Później? – zapytało z niejakim szacunkiem drugie dziecko.

– Zaiste, później – odparł ibn Khairan. – Wróć. Muszę poćwiczyć świnie i będę potrzebował waszej pomocy. Lekarka myślała, że to kurczę, co jest złym znakiem. Na razie jednak idźcie z zarządcą. Chyba ma dla was czekoladę?

Zarządca stojący w wejściu za Alvarem skinął głową.

– Złe człowieki już sobie poszły? – zapytał mniejszy z chłopców, odzywając się po raz pierwszy. To jego wyjął ojciec Džehany z brzucha matki.

– Złe człowieki już sobie poszły – potwierdził z powagą Ammar ibn Khairan. Džehana czuła, że jest bliska łez. Nie chciała płakać. – Zupełnie jakby w ogóle ich tu nie było – dodał łagodnie ibn Khairan, wciąż zwracając się do młodszego chłopca. Spojrzał na Alvara i zarządcę pytającym wzrokiem.

– Nic tam nie ma – rzekł Alvar. – Kilka plam na podłodze. Rozbita urna.

– Oczywiście. Urna. Zapomniałem.

Ibn Khairan pokazał w uśmiechu zęby. Džehana знаła już ten uśmiech.

– Wątpię, by zapomniała właścicielka tego domu – powiedział Alvar z nutą wyższości. – Wybrałaś niszczycielski sposób oznajmienia ich przybycia.

– Chyba tak – zgodził się ibn Khairan. – Ale właścicielka tego domu będzie musiała odpowiedzieć przed królem za brak jakiegokolwiek ochrony, nie sądzisz?

Zachowanie Alvara zmieniło się. Džehana widziała, że młodzieniec rozwija tę myśl i zmienia bieg swoich. Podczas ich wschodniej kampanii ona sama wiele razy zmieniała swoje myślenie w ten sposób. Ammar ibn Khairan prawie nigdy nie robił niczego przypadkiem.

– Gdzie jest Rodrigo? – zapytała raptem.

– Teraz naprawdę czujemy się urażeni – rzekł Ammar, zwracając na nią spojrzenie niebieskich oczu. W pokoju zrobiło się jaśniej, Idar bowiem odstąpił żaluzje. Chłopcy wyszli

z zarządcą. – Tylu lojalnych ludzi śpieszy ci z pomocą, a ty pytasz tylko o tego, któremu twój los jest najwyraźniej obojętny.

Mówił to jednak z uśmiechem.

– Jest na patrolu za murami miasta – wyjaśnił Alvar. – A poza tym to don Rodrigo kazał Ziriemu od początku cię obserwować. Stąd wiedzieliśmy.

– Od początku? A cóż to znaczy?

Dżehana, szukając normalności, usiłowała rozbudzić w sobie oburzenie.

– Przybyłem tu jakiś czas temu – rzekł cicho Ziri. Dżehana bezskutecznie starała się zgromić go wzrokiem. – Kiedy miałem pewność, że moim siostrą jest dobrze u ciotki, poszedłem do twojej matki w Fezanie i dowiedziałem się, dokąd pojechałaś. Potem przeszedłem góry, podążając twoim śladem.

Wypowiedział te słowa z najwyższą prostotą, jakby to nie było nic szczególnego.

A jednak było. Opuścił dom, ocalałych członków rodziny, cały znany sobie świat, samotnie przemierzył kraj i...

– Poszedłeś do mojej... co takiego? Dlaczego, Ziri?

– Z powodu tego, co zrobiłaś w mojej wiosce – odparł z tą samą prostotą.

– Ależ ja tam nic nie zrobiłam.

– Owszem, zrobiłaś, lekarko. Dzięki tobie pozwolili mi stracić człowieka, który zabił mi matkę i ojca. – Oczy Ziriego były bardzo ciemne. – Nie doszłoby do tego bez ciebie. Żyłby dalej i wrócił na dzadyckie ziemie, by się tym przechwalać. Musiałbym pójść za nim i obawiam się, że nie byłbym w stanie go tam zabić.

Minę miał poważną. Jego opowieść była niemal druzgocąca.

– Poszedłbyś za nim do Valledo?

– Zabił moich rodziców. I nienarodzonego brata.

Jest taki młody, pomyślała Dżehana.

– I chodzisz za mną tu, w Ragosie?

– Od kiedy przybyłem. Znalazłem cię na targu. Twoja matka powiedziała, że będziesz miała tam budkę. A potem odszukałem Komendanta, don Rodriga. Pamiętał mnie i ucieszył się na mój widok. Dał mi miejsce do spania, razem z jego ludźmi, i polecił mi obserwować cię, ilekroć nie będziesz na dworze albo z nimi.

– Mówiłam wam, że nie chcę, by mnie ktoś obserwował albo za mną chodził – rzekła z oburzeniem Dżehana.

Idar ibn Tarif ścisnął ją za ramię. Nie był podobny do żadnego wyjętego spod prawa, o jakim słyszała.

– Rzeczywiście mówiłaś nam o tym – rzekł Ammar z powagą. Siedział na jednym z małych łóżek i uważnie się jej przypatrywał. Blask świec nadawał połysk jego włosom i odbijał się

w oczach. – Wszyscy w umiarkowanym stopniu przepraszamy, że cię nie posłuchaliśmy. Rodrigo czuł, a ja się z nim zgodziłem, że grozi ci niejakiemu ryzyko, ponieważ między innymi uratowałaś Husariego przed Muwardyjczykami.

– Ale skąd mogliście wiedzieć, że nie rozpoznam Ziriego? Powinnam była go rozpoznać.

– Tego oczywiście nie mogliśmy wiedzieć. Miał cię śledzić bardzo dyskretnie, a na wypadek gdybyś go jednak zobaczyła, przygotował sobie bajeczkę. A tak przy okazji, twoi rodzice to pochwalili.

– A skąd niby to wiesz?

– Obiecałem twojemu ojcu, że będę do niego pisał. Pamiętasz? Staram się dotrzymywać słowa.

Wyglądało na to, że cała rzecz została dość dokładnie obmyślona. Dzehana spojrzała na Ziriego.

– Gdzie się nauczyłeś tak używać noża?

Sprawił wrażenie zadowolonego i speszzonego zarazem.

– Mieszkam z ludźmi Komendanta, lekarko. Uczą mnie. Sam don Rodrigo dał mi ten nóż. Pan ibn Khairan pokazał mi, jak go ukrywać w rękawie i dobywać.

Dzehana spojrzała na Ammara.

– A Velaz? Co by było, gdyby go rozpoznał, nawet gdyby mnie się to nie udało?

– Velaz go rozpoznał, Dzehano. – Ibn Khairan mówił łagodnym tonem, bardzo podobnym do tego, którego użył wobec młodszego chłopca. – Zauważył Ziriego jakiś czas temu i udał się do Rodriga. Doszli do porozumienia. Velaz podzielał nasz pogląd, że Ziri to mądre zabezpieczenie.

– I był nim, moja droga. To Ziri siedział dziś rano na szczycie muru tego dziedzińca i słyszał, jak Cartadanie mówią ci o swoich zamiarach. Znalazł Alvara, który znalazł mnie. Mieliśmy dość czasu, by dotrzeć tu przed wami.

– Czuję się jak dziecko – stwierdziła Dzehana. Usłyszała cichy protest stojącego za nią Alvara.

– Nie – rzekł ibn Khairan, wstając z łóżka. – Nigdy, Dzehano. Ale tak jak być może będziesz musiała zaopiekować się nami, jeśli powali nas strzała, klinga czy choroba, tak przecież my musimy zaproponować opiekę tobie. Choćby tylko po to, by utrzymać sytuację w równowadze, tak jak wasze księżycy równoważą słońce i gwiazdy.

Podniosła na niego wzrok.

– Nie bądź takim poetą – rzekła cierpko. – Obrazy mnie nie rozpraszają. Zamierzam to przemyśleć, a potem dam wam wszystkim znać, co dokładnie czuję. Zwłaszcza Rodrigowi – dodała. – To on obiecał, że zostawicie mnie w spokoju.

– Bałem się, że będziesz o tym pamiętać – odezwał się ktoś z korytarza. Do pokoju wszedł Rodrigo Belmonte, w wysokich butach i zimowym płaszczu, z przypasanym mieczem i biczem

za pasem. Wyglądał dziwnie z kubkami czekolady w rękach. Podał jeden z nich Dżehanie.

– Wypij. Musiałem obiecać, że to dla ciebie i nikogo innego. Ten starszy na dole jest zachłanny i chciał dostać wszystko.

– A co ze mną? – zapytał płaczliwie ibn Khairan. – Uszkodziłem sobie nadgarstki i palce, robiąc dla nich wilki i świnię.

Rodrigo się roześmiał i pociągnął łyk z drugiego kubka.

– Cóż, jeśli musisz znać prawdę, ten kubek rzeczywiście miał być nagrodą dla ciebie. Tyle że niczego nie obiecałem, czekolada jest dobra, a ja zmarłem. Ty od jakiegoś czasu jesteś w pomieszczeniu i się rozgrzałeś.

Opuścił kubek i uśmiechnął się.

– Masz czekoladę na wąsach – stwierdziła Dżehana. – I powinieneś być za murami. Chronić miasto. Nie na wiele się przydałeś, przybywając tak późno.

– Właśnie – przytaknął Ammar, energicznie kiwając głową. – Daj mi moją czekoladę.

Rodrigo posłuchał i spojrzał na Dżehanę.

– Martin mnie sprowadził. Nie byliśmy daleko. Dżehano, będziesz musiała się zdecydować, czy jesteś na mnie zła, bo kazałem cię pilnować, czy dlatego że nie było mnie tu do twojej obrony.

– Dlaczego? – warknęła. – Dlaczego nie mogę być zła z obu tych powodów?

– Właśnie – powtórzył Ammar, sącząc czekoladę.

W jego głosie było tyle samozadowolenia, że niemal wybuchnęła śmiechem. On nic nie robi przypadkiem, napomniała się, usiłując odzyskać opanowanie. Ziri, Idar i Alvar się uśmiechali, choć ten ostatni z wahaniem.

Dżehana rozejrzała się i w końcu uwierzyła, że zagrożenie minęło. Ci mężczyźni uratowali życie jej i Velaza, a także dwojga dzieci. Chyba była odrobinę niewdzięczna.

– Przykro mi, że złamałem obietnicę – rzekł trzeźwo Rodrigo. – Nie chciałem się wtedy z tobą sprzeczać, a przybycie Ziriego wydało mi się uśmiechem losu. Wiesz, że przeżył przełęcz samotnie?

– Tak zrozumiałam. – Była jednak niewdzięczna. – Co się stanie z tamtymi dwoma? – zapytała. – Kim byli?

– Kimś, o kim akurat wiem – odezwał się Ammar. – Almalik posłużył się nimi kilka razy. Wygląda na to, że jego syn to zapamiętał. To byli jego najlepsi skrytobójcy.

– Czy to wywoła skandal?

Ammar pokręcił głową i spojrzał na Rodriga.

– Chyba nie musi. Myślę, że jest lepsze rozwiązanie.

– Tylko tutejsi służący wiedzą, że skrytobójcy dotarli tak daleko – rzekł Rodrigo w zamyśleniu. – Sądzę, że można im zaufać.

Ammar skinął głową.

– Też tak uważam. Chyba słyszałem – powiedział, starannie odmierzając słowa – że wkrótce po przybyciu do miasta, w kłótni w gospodzie zostało nieszczęśliwie zamordowanych dwóch kupców z Cartady. Myślę, że odpowiednia gildia powinna wysłać tam przeprosiny i kondolencje. Niech Almalik nabierze przekonania, że zostali rozpoznani, gdy tylko się tu pojawili. Niech się zaniepokoi.

– Znasz go – stwierdził Rodrigo.

– Owszem – zgodził się ibn Khairan. – Nie tak dobrze, jak niegdyś uważałem, ale wystarczająco.

– Co zrobi potem? – spytała nagle Dżehana.

Ammar ibn Khairan spojrzał na nią. Minę miał teraz bardzo poważną. Odstawił kubek z czekoladą.

– Sądę, że spróbuje mnie odzyskać – odparł.

Zapadła chwila milczenia.

– Uda mu się? – Rodrigo zawsze był bezpośredni.

Ammar wzruszył ramionami.

– Jestem teraz najemnikiem, pamiętasz? Tak jak ty. Jaka byłaby twoja odpowiedź? Gdyby król Ramiro jutro wezwał cię do powrotu, zerwałbyś umowę i pojechał do domu?

Kolejna chwila ciszy.

– Nie wiem – rzekł w końcu Rodrigo Belmonte. – Chociaż gdyby to usłyszała moja żona, toby mnie pchnęła nożem.

– A zatem chyba jestem w lepszej sytuacji od ciebie, bo jeśli udzielę takiej samej odpowiedzi, to nie zabije mnie żadna kobieta – powiedział ibn Khairan z uśmiechem.

– Nie bądź taki pewien – odezwała się Dżehana.

Spojrzeli na nią niepewnie, a ona się uśmiechnęła.

– A tak przy okazji, dziękuję – zwróciła się do wszystkich.

ROZDZIAŁ 12

Pod koniec zimy, kiedy na łąkach zaczęły się pojawiać pierwsze kwiaty, ale na wyżej położonych płaskowyżach i górskich przełęczach leżał jeszcze śnieg, pod Carcazją w Valledo zebrali się trzej królowie Esperanii, by zapolować na łosie i dziki w tamtejszych dąbrowach; pachniało w nich odrodzeniem życia, a wśród rozlanej krwi rozkwitała wiosna.

Mimo że nawet najlepsze ze starożytnych prostych dróg stanowiły jedynie błotniste przeszkody w podróży, na polowanie wybrały się też królowe w otoczeniu licznych orszaków, łowy bowiem – chociaż mogły się okazać całkiem przyjemne – były tylko pretekstem dla tego spotkania.

To Geraud de Chervailles, onieśmielający duchowny z Ferrieres, oraz jego koledzy zimujący w Eschalou i Orvedo, nakłonili trzech nienawidzących się i bojących wzajemnie ludzi do spotkania na początku roku, by po gonitwach na polach i w lesie spędzać popołudnia na rozmowach.

Na dworze każdego z tych królów duchowni oznajmili, że zbliża się większe polowanie, które przysporzy chwały Dżadowi, a każdej z trzech krain wykrojonych z tego, co zostało z Esperanii, przyniesie wielkie bogactwo, sławę i potęgę.

Chwała Dżada była oczywiście czymś dobrym. Zgodzili się co do tego wszyscy. Perspektywa bogactwa i potęgi, a z pewnością sławy, także była warta podróży. To natomiast, czy miała się okazać także warta zgromadzonego towarzystwa, pozostawało kwestią przyszłości.

Ruendanie przybyli do Carcazji jako ostatni przed dwoma dniami. Nie doszło jeszcze do żadnego niefortunnego wydarzenia – ani do niczego godnego uwagi, choć okazało się, że król Bermudo z Dżalonii wciąż dorównuje swoim bratankom na koniu i polując z włócznią na dzika. Jeśli chodzi o królowe, z najwyższym uznaniem spotkała się rudowłosa Ines z Valledo, córka zapalonego myśliwego panującego w Ferrieres, najlepsza amazonka wśród zgromadzonych kobiet – oraz lepsza od większości dworzan.

Jak na człowieka znanego ze sprytu i ambicji, jej mąż przez większość czasu sprawiał wrażenie zaabsorbowanego własnymi myślami i nieuważnego, nawet podczas popołudniowych i wieczornych dyskusji o polityce i wojnie. Stawianie pytań i zgłaszanie sprzeciwów zostawił swemu konetablowi.

Natomiast Bermudo z Dżalonii rankami zaciekle polował, a podczas spotkań mówił o zemście na Ragosie i Fibazie, które nie wywiązały się wobec niego z płatności pierwszej daniny. Przyjął wyrazy współczucia z powodu śmierci ulubionego dworzanina, młodego hrabiego Nino di Carrery, wciągniętego w zasadzkę przez bandytów w dolinie w Al-Rassanie. Nikt nie wiedział, w jaki sposób oddział stu wyćwiczonych Jeźdźców na dobrych koniach mógł zostać wycięty w pień przez bandę zbójców, ale też nikt nie był na tyle nieuprzejmy czy

niedyplomatyczny, by się bezpośrednio o to dopytywać. Widziano, jak królowej Frueli, wciąż będącej piękną kobietą, na wszelkie wzmianki o zabitym młodym galancie stawały łzy w oczach.

Król Sanczez z Ruendy ciągle popijał z flaszki przytroczonej do kuli siodła, a podczas popołudniowych spotkań czy w sali biesiadnej z pełnego kielicha. Wino nie miało na niego żadnego widocznego wpływu, nie odnosił też jednak godnych uwagi sukcesów podczas polowań. Jego poranne strzały były zaskakująco niecelne, chociaż pozostał znakomitym jeźdźcem. Cokolwiek można było powiedzieć o porywczym królu Ruendy, jeździć konno umiał.

Dwaj bracia ani razu nawet na siebie nie spojrzeli, a wuja traktowali z wyraźną pogardą. Wszyscy jednak najwyraźniej uświadamiali sobie znaczenie armii zebranej w Bachiarze, gotowej do wypłynięcia z pierwszymi sprzyjającymi wiatrami. Nie byłoby ich tu, gdyby się nad tym nie zastanawiali.

Zamiast królów dyskusję prowadzili trzej najwyżsi duchowni z Ferrieres, nauczeni postępowania z osobami królewskiej krwi i zaczynający pojmwować – może nieco poniewczasie – głębie nieufności, z jaką musieli się tu zmagać. Geraud z Ferrieres oznajmił dźwięcznie pierwszego popołudnia, że w świecie panuje poruszenie i że obecni w tej komnacie mają szczęście, będąc u władzy w takich czasach. Powiedział, że nadeszła pora zmieść żywiące się padliną psy Aszara z AL-Rassanu z powrotem za cieśninę. Trzeba odebrać im cały półwysep. Gdyby tylko zechcieli podjąć wspólne działanie, to wielcy królowie Valledo, Ruendy i Dżalonii mogliby pod koniec lata wjechać na swoich ogierach do południowego morza w świetlane imię Dżada.

– Jak byś go podzielił? – zapytał bez ogródek król Bermudo.

Ramiro z Valledo roześmiał się na to, ożywiając się tego dnia po raz pierwszy. Sanczez pił ze zmarszczonymi brwiami.

Geraud z Ferrieres, który był na to pytanie przygotowany i spędził w zimie sporo czasu nad mapami, wysunął propozycję. Żaden z królów nie zadał sobie trudu, by na nią odpowiedzieć. Zamiast tego wszyscy wstali bez słowa przeprosin – po raz pierwszy działając jednomyślnie – i szybko opuścili komnatę. Sanczez zabrał swoją flaszkę. Duchowni, którzy nie ruszyli się z miejsc, spojrzeli po sobie.

Trzeciego dnia polowali z sokołami i jastrzębiami na drobne ptaki i króliki w mokrej trawie ku uciesze dam ze wszystkich dworów. Królowa Ines miała niewielkiego orła, schwytanego i ułożonego w górach w pobliżu Dżalonii, i wypuściła go na polowanie ze znakomitym skutkiem.

Młodsza od Frueli, niezaprzeczalnie lepiej wykształcona od Bearty z Ruendy, królowa Valledo jechała między mężem i najwyższym duchownym ze swojej ojczyzny. Z rudymi włosami ujętymi w złocistą siatkę, błyszczącymi oczyma i zarumienionymi na chłodnym powietrzu policzkami, przyciągała tego dnia wszystkie męskie spojrzenia.

Dlatego tym bardziej było później niepokojące, że nikt nie potrafił określić z całą pewnością,

skąd nadleciała strzała, która ugodziła ją wkrótce potem, jak psy wypłoszyły dziką na skraju lasu. Wydawało się jednak oczywiste, że był to albo straszny wypadek, bo strzała musiała być przeznaczona dla znajdującego się za Ines dzika, albo została wymierzona w jednego z towarzyszących jej mężczyzn. Panowało ogólne przekonanie, że nie istniał żaden powód, by ktokolwiek mógł pragnąć śmierci królowej Valledo.

Początkowo rana nie wydawała się śmiertelna, strzała bowiem trafiła królową w ramię, lecz – mimo standardowego obłożenia zranionego miejsca grubą warstwą błota, a potem upuszczenia krwi – jeszcze przed zachodem słońca tego samego dnia stan Ines z Valledo znacznie się pogorszył. Królowa, dręczona bólem i gorączką, ścisnęła w dłoni słoneczny dysk.

To wtedy widziano, jak kanclerz Valledo wchodzi do królewskich komnat na zamku ze szczupłym mężczyzną o odpychającym wyglądem, przeprowadziwszy go obok ponurych strażników.

W całym swoim życiu Ines nigdy nie otrzymała takiej rany. Nie miała pojęcia, jak powinna się czuć.

A czuła się, jakby umierała. Ramię spuchło jej tak, że zrobiło się dwa razy większe – widziała to nawet przez warstwę błota. Kiedy upuszczano jej krew – dla przyzwoitości stojąc za parawanem – też ją bolało, niemal nie do wytrzymania. Dwaj lekarze z Esterehu i jej własny lekarz z Ferrieres pokłócili się. Wygrał medyk Ines: nie dali jej nic na złagodzenie bólu. Peire d'Allore był zdania, że środki uśmierzające ból zmniejszają zdolność ciała do walki z raną spowodowaną przez ostre krawędzie. Miał wykłady na ten temat na wszystkich uniwersytetach.

Nawet najmniejsze poruszenie ramieniem wywoływało nieznośny, palący ból głowy. Miała niejasną świadomość, że Ramiro prawie nie opuszczał jej boku; że mocno trzyma ją za zdrową rękę od chwili, gdy ona sama została tu przyniesiona, i że odszedł tylko wtedy, gdy zmusili go do tego lekarze, chcąc upuścić jej krew. Dziwne, że widziała, jak mąż trzyma ją za rękę, ale właściwie nie czuła jego dotyku.

Umierała. To było jasne dla niej, jeśli jeszcze nie dla nich. Poprosiła o przyniesienie słonecznego dysku. Usiłowała się modlić, lecz sprawiało jej to trudność.

Przez mgłę bólu dotarło do niej, że do pomieszczenia wszedł ktoś nowy. Hrabia Gonzalez i jeszcze jakiś mężczyzna. Kolejny lekarz. Przed jej oczyma zamajaczyła bardzo blisko pociągła, brzydka twarz. Mężczyzna przeprosił królową i króla, po czym położył dłoń bezpośrednio na jej czole. Uszczypnął ją w grzbiet zdrowej dłoni, którą wyjął z ręki Ramira. Zapytał, czy Ines to poczuła. Pokręciła głową. Nowy lekarz zmarszczył czoło.

Stojący za nim Peire d'Alorre powiedział coś kąśliwego. Lubił wygłaszać sardoniczne uwagi, szczególnie pod adresem Esperan. Zwyczaju tego nie pozbył się mimo wielu lat spędzonych na tej ziemi.

Przybysz zapytał:

– Czy mamy usuniętą strzałę? Czy ktoś wpadł na pomysł, by ją zbadać?

Jego chropawy głos przywodził na myśl pilnik.

Ines uwiadomiła sobie, że zapadło milczenie. Nie widziała zbyt dobrze, ale zobaczyła, jak trzech lekarze dworu wymieniają spojrzenia.

– Jest tutaj – odezwał się Gonzalez de Rada.

Zbliżył się do łóżka, wpływając w pole widzenia Ines, ze strzałą trzymaną ostrożnie przy piórach. Lekarz wziął ją do ręki, przybliżył grot do twarzy i powąchał go. Skrzywił się. Naprawdę miał okropną twarz, a na szyi duży czyrak. Podeszedł do królowej, ponownie przeprosił, uniósł koce w nogach i ujął ją za stopę.

– Czujesz mój dotyk, pani? – zapytał.

Znów pokręciła głową.

Na jego twarzy zagościł gniew.

– Wybacz mi, królu, jeśli będę mówił szczerze. Być może spędziłem zbyt wiele czasu w *tagrze*, jak na dworskie towarzystwo. Lecz ci trzej ludzie niemal zabili królową. Może już być za późno i będę musiał tknąć ją dłońmi, choć obawiam się, że nie tylko nimi, ale spróbuję, jeśli mi pozwolisz.

– Trucizna? – usłyszała pytanie Ramira.

– Tak, królu.

– Co możesz zrobić?

– Za twoim pozwoleniem, panie, muszę zebrać tę... obrzydliwą warstwę z jej ramienia, by ta substancja nie dostawała się do rany. Następnie podam sporządzoną przeze mnie miksturę. To będzie... trudne dla królowej, panie. Nadzwyczaj nieprzyjemne. Substancja ta, walcząc z trucizną w ciele królowej, może bardzo źle na nią wpływać. Musimy mieć nadzieję, że jednak zwalczy truciznę. Nie znam żadnego innego sposobu. Chcesz, bym kontynuował leczenie? Chcesz tu zostać?

Ramiro przytaknął. Dwukrotnie. Peire d'Alorre pozwolił sobie na zgryźliwy, niemądry sprzeciw. Gonzalez de Rada bezceremonialnie zaprowadził go i pozostałych dwóch lekarzy w przeciwny kąt pokoju. Ramiro poszedł za nimi i powiedział coś, czego Ines nie dosłyszała. Od tej chwili zachowywali się nadzwyczaj cicho.

Król z powrotem usiadł przy łóżku i ujął dłoń żony. Wciąż nie czuła jego dotyku. Grubo ciosane rysy nowego lekarza znów pojawiły się przed jej twarzą. Wyjaśnił, co zamierza zrobić, i z góry przeprosił. Kiedy mówił cicho, jego głos nie był właściwie nieprzyjemny. Z ust pachniało mu słodko jakimś ziołem.

To, co działo się potem, było gorsze od rodzenia. Krzyczała, kiedy ostrożnie, lecz dokładnie oczyszczał zranioną rękę z błota. W pewnej chwili bóg odebrał jej miłosiernie przytomność.

Ocucili ją jednak. Musieli to zrobić. Zmuszono ją do wypicia jakiegoś płynu. To, co nastąpiło potem, okazało się jeszcze gorsze. Królowa, wstrząsana skurczami żołądka i spocona z gorączki, nie mogła znieść nawet stłumionego blasku świec płonących w pomieszczeniu. Wszystkie dźwięki w zdumiewający sposób powodowały ból głowy. Ines straciła poczucie czasu, nie wiedziała, gdzie się znajduje, kto jest obok niej. W pewnej chwili usłyszała własny głos; mówiła coś bez składu, błagając o wyzwolenie. Nie mogła się nawet modlić ani utrzymać dysku w dłoni.

Kiedy powoli odzyskała świadomość, lekarz wymógł na niej, by wypiała jeszcze trochę tej samej substancji; znów pogrzyżała się w gorączce i bólu.

Trwało to niewyobrażalnie długo.

Wreszcie się skończyło. Nie miała pojęcia, kiedy. Wydawało jej się jednak, że wciąż żyje. Leżała w pościeli przesiąkniętej potem. Medyk delikatnie chłodził jej twarz wilgotnymi ręcznikami, mrużąc słowa otuchy. Poprosił o czystą pościel; przyniesiono ją i kiedy mężczyźni się odwrócili, damy dworu Ines przebrały ją i zmieniły pościel. Gdy skończyły, lekarz wrócił i bardzo delikatnie posmarował ramię królowej maścią, a potem je zabandażował. Ruchy miał spokojne i odmierzone. Król obserwował go z napięciem.

Kiedy medyk z fortów skończył, rozkazał, by z pokoju wyszli wszyscy oprócz dam dworu. Mówił teraz z pewnością siebie człowieka, który panuje nad sytuacją. Już bardziej nieśmiało poprosił o chwilę rozmowy na osobności z królem. Ines patrzyła, jak wychodzą do przyległego pokoju. Zamknęła oczy i zasnęła.

– Będzie żyła? – zapytał król Ramiro bez ogródek, gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi.

Lekarz był równie bezpośredni.

– Będę to wiedział dopiero za jakiś czas, panie. – Przeciągnął dłonią po rozwichrzonych, płowych włosach. – Antidotum powinno zostać podane natychmiast.

– Dlaczego podejrzewałeś truciznę?

– Z powodu wielkości opuchlizny, panie, i braku czucia w stopach i dłoniach. Rana od zwykłej strzały nie powinna powodować takich reakcji. Dział jeden wie, że widziałem ich dosyć. A potem wyczułem truciznę na grocie.

– Skąd wiedziałeś co robić?

Po raz pierwszy medyk się zawahał.

– Od kiedy otrzymałem szaczone zadanie służby w fortach *tagry*, panie, wykorzystuję... bliskość Al-Rassanu do zdobywania prac od niektórych tamtejszych lekarzy. Wiele się nauczyłem, panie.

– Aszaryccy lekarze wiedzą więcej od nas?

– W większości sytuacji, panie. A... w wielu sprawach Kindathowie wiedzą jeszcze więcej. W tym przypadku miałem wiedzę pochodzącą z pewnych pism kindathijskiego lekarza z Fezany.

– Umiesz czytać kindathijskie pismo?

– Nauczyłem się, panie.

– I ten tekst powiedział ci, jak zidentyfikować tę truciznę i jej przeciwdziałać? Co podać?

– Oraz jak to sporządzić. Tak, panie. – Znów się zawahał. – Jest jeszcze jedno, królu. Powód, dla którego chciałem rozmawiać z tobą sam na sam. O... źródle tego zła.

– Powiedz mi.

Medyk z fortów *tagry* powiedział. Zadano mu nadzwyczaj precyzyjne pytanie, na które udzielił odpowiedzi. Następnie król zezwolił mu wrócić do królowej, sam jednak został jeszcze jakiś czas w tym przyległym pomieszczeniu, usiłując poradzić sobie z rosnącą wściekłością. Po długim wahaniu dość szybko podjął decyzję.

Bardzo często w taki sposób kształtowały się bieg dziejów i przeznaczenie narodów zarówno mniejszych, jak i większych od Valledan.

Lekarz jeszcze raz podał Ines swoją miksturę. Wyjaśnił, że ciało wydała ją szybciej niż truciznę, z którą walczy. Chociaż to było bolesne, tylko ta substancja mogła uratować królową. Ines kiwnęła ze zrozumieniem głową i wypila lek.

Znów zaczęła odpływać w niebyt, lecz tym razem nie było to tak straszne. Cały czas wiedziała, gdzie się znajduje.

W środku nocy gorączka ustąpiła. Król drzemał w fotelu przy łóżku, dama dworu na posłaniu przy kominku. Doktor czuwał przy chorej. Kiedy otworzyła oczy, jego szorstkie rysy wydały się Ines piękne. Sięgnął do jej zdrowej ręki i uszczypnął ją.

– Tak – rzekła królowa.

Lekarz się uśmiechnął.

Gdy król Ramiro się obudził, zobaczył, że żona przygląda mu się w blasku kilku świec. Oczy miała czyste. Patrzyli na siebie przez długi czas.

– W pewnej chwili trzymałam słoneczny dysk – odezwała się w końcu ledwie słyszalnym szeptem – ale pamiętam też ciebie przy mnie.

Ramiro ukląkł przy łóżku. Spojrzał pytająco na lekarza, który był już wyraźnie znużony.

– Myślę, że mamy to za sobą – powiedział.

Jego pociągła, brzydka twarz marszczyła się w uśmiechu.

– Masz zapewnioną karierę, lekarzu – rzekł chropawym głosem Ramiro. – Nie znam nawet twego imienia, ale dzięki temu, czego tu dokonałeś, nie będziesz się o nic martwić do końca życia. Nie byłem gotów na jej odejście. – Spojrzał na swoją królową, swoją żonę, i powtórzył cicho: – Nie byłem gotów.

I wtedy król Valledo zapłakał. Królowa uniosła zdrową rękę, przez chwilę się wahała, a potem opuściła ją, by pogłaskać go po włosach.

Wcześniej, tej samej nocy, gdy król Ramiro został przy łóżku swojej królowej, między dworzanami z Valledo i tymi, którzy służyli królowi Sanchezowi z Ruendy, doszło podczas kolacji do ostrej wymiany zdań. Zostały rzucone ciężkie, wyraźne oskarżenia. W zamkowej sali zadźwięczały dobywane miecze.

W walce zginęło siedemnastu ludzi. Do większego rozlewu krwi nie doszło tylko dzięki odważnej interwencji trzech duchownych z Ferrieres, którzy bezbronni i z gołymi głowami wkroczyli w środek krwawej rozprawy, wysoko unosząc słoneczne dyski.

Później pamiętano, że tego wieczoru goście z Dżalonii jedli kolację sami, świecąc nieobecnością podczas burdy, jakby się czegoś spodziewali. Uznano zgodnie, że wzajemna rzeź dworzan pozostałych dwóch królów mogła przynieść korzyść jedynie królowi Bermudowi. Niektórzy Valledanie stawiali jeszcze mroczniejsze hipotezy, lecz nie było dowodów na ich potwierdzenie.

Rano król Bermudo z Dżalonii i jego królowa wysłali do króla Ramira herolda z oficjalnym pożegnaniem i modlitwami o zdrowie dla królowej – podobno nie odeszła jeszcze do boga. Następnie pojechali we wschodzące słońce z całym swoim dworem.

Król, królowa i ocalali dworzanie z Ruendy wyjechali już wcześniej – w środku nocy, po walce w sali. „Wymknęli się potajemnie, jak złodzieje koni”, mówili niektórzy dworacy Ramira, chociaż co bardziej pragmatyczni z nich stwierdzili, że znajdowali się na valledańskiej ziemi i ryzykowali życie. Niektórzy zaś z najbardziej trzeźwo myślących zauważyli, że wypadki na polowaniu to smutna rzeczywistość i że królowa Ines nie pierwsza została ranna w ten sposób.

Natomiast większość dworzan króla Valledo była gotowa ścigać Ruendan na zachód wzdłuż brzegów rzeki Duric na jedno słowo konetabla, który nie wydał jednak takiego rozkazu, a król wciąż przebywał ze swoją królową i nowym lekarzem.

Ci, którzy im usługiwali, opowiadali, że królowa wydaje się znacznie zdrowsza i że prawdopodobnie przeżyje. Doszła wszakże nowa wiadomość, że strzała została zatruta.

W efekcie zachowanie króla Ramira – wytknął nos z sypialni królowej lub przyległego pokoju, którego używał jako tymczasowej sali rady, dopiero po trzech dniach – uznano za nieodpowiedzialne, a nawet niegodne mężczyzny. Należało zarządzić pościg za gośćmi z Ruendy, zanim dotrą do najbliższego ze swoich fortów. Mimo obecności duchownych chyba istniało dość powodów wskazujących na to, że to ruendańskie palce naciągnęły cięciwę, a jeden święty Dżad wiedział, że w Esperanii wystarczyłoby pretekst do wywarcia zemsty.

Między innymi wyszło wtedy na jaw – nikt nie był pewien, w jaki sposób – że król Sanchez miał czelność napisać list, w którym oznajmiał swoje zwierzchnictwo nad Fezaną i domagał się od niej daniny. List ten najwyraźniej nie został jeszcze wysłany – przecież zima ledwie się skończyła – lecz po odjeździe Ruendan Carcazja huczała od plotek na ten temat. Fezana płaciła już *parias* Valledo i wszyscy na zamku wiedzieli, jakie konsekwencje może mieć takie żądanie.

Spostrzegawczy ludzie zauważyli także, iż sam król Sanchez – znany jako jeden z najlepszych łuczników w trzech królestwach – przez dwa dni przed polowaniem z sokołami zwracał na siebie uwagę wyjątkowym brakiem celności. Czy ta niezwykła nieudolność stanowiła przykrywkę? Podstęp na wypadek, gdyby ktoś powiązał tę zabójczą strzałę z jego osobą?

Czy miała ugodzić jego brata? Czy te dni słabego strzelania w końcu sprawiły, że strzała, która miała trafić do celu, chybiła? Co bardziej cynicznie nastawionym dworzanom przyszło do głowy, że synowie Sancza Otyłego nie zabijaliby się po raz pierwszy, ale nikt nie wypowiedział tej myśli na głos.

Przedwczesnej śmierci Raimunda, najstarszego syna, jeszcze nie zapomniano. Pamiętano, że owego dnia trudne pytania stawiane ponuro milczącym dworzanom przez młodego Rodriga Belmontego, konetabla Raimunda, były szczegółowe i szokujące.

Teraz don Rodrigo był daleko, wygnany między niewiernych. Jego dobrze urodzona żona i mali synowie otrzymali nawet zaproszenie do przyjazdu do Carcazji, lecz Miranda Belmonte d'Alveda nie skorzystała z niego, tłumacząc się odległością i obowiązkami, jakie na nią spadły pod nieobecność męża. De Chervalles, duchowny z Ferrieres, wyraził niejaki rozczarowanie tą wiadomością. Był uważany za znawcę kobiet, a żona don Rodriga słynęła z urody.

Dzad jeden wiedział, co powiedziałby i zrobił Komendant, gdyby tu był tego dnia. Mógłby powiedzieć królowi, że rana królowej jest boską karą za niegodziwość, której przed wielu laty dopuścił się Ramiro. Albo równie dobrze mógłby rzucić się w pogoń za królem Ruendy – w razie konieczności samotnie – i przywieźć jego głowę w worku. Nie było łatwo przewidzieć, co zrobi Rodrigo Belmonte.

Podobnie jak Ramiro z Valledo.

Kiedy król zakończył wreszcie spotkania z de Chervallesem, hrabią Gonzalezem i niektórymi dowódcami wojskowymi, Carcazja szalała z niecierpliwości. Może w końcu ruszą za tymi ruendańskimi szumowinami? Przecież doszło do prowokacji i do zrozumienia tego można było zmusić nawet duchownych. Valledo już dawno powinno ruszyć na zachód.

Nie nadeszły żadne rozkazy.

Ramiro wychodził z tych spotkań z surową, stanowczą miną. Podobnie osoby, z którymi rozmawiał. Nikt jednak ani słowem nie zdradzał, co się działo podczas owych rozmów. Zauważono, że de Chervalles, ten duchowny, chociaż wstrząśnięty i otrzeźwiony tym, co się stało, nie miał srogiej miny.

Krół Ramiro wyglądał na nieco zmienionego, a jego nowe zachowanie niepokoiło dworzan. Sprawiał wrażenie, jakby sięgał do swojego wnętrza w poszukiwaniu siły czy stanowczości. Ktoś wysunął przypuszczenie, że może żywi pragnienie rozlewu krwi. To by się dało zrozumieć. W każdym razie wiosna była porą odpowiednią do prowadzenia wojny, a właśnie na wojnie odważny człowiek może znaleźć prawdziwy sens życia.

Mimo to nikt nie wiedział, co wisi w powietrzu. Król nie zdradzał chęci wyjazdu z Carcazji do Esterenu. We wszystkie strony wysyłał posłańców. Na zachód został wysłany wzdłuż rzeki do Ruendy samotny herold. Tylko herold. Nie armia. W gospodach Carcazji ludzie kleli. Nikt nie wiedział, jaką niósł wiadomość. Na wschód wyruszył niewielki oddział. Jeden z jego członków powiedział znajomemu, że jadą na równiny, gdzie hoduje się konie Valledo. Nikt nie wiedział co o tym sądzić.

Przez następne dni, a potem tygodnie zamysły króla pozostawały nieprzeniknione. Ramiro polował prawie każdego ranka, ale nie wkładał w to serca. Mnóstwo czasu spędzał z królową, jakby jej otarcie się o śmierć zbliżyło ich ku sobie. Konetabl był ciągle zajęty i też nie zdradzał ni słowem, ni zachowaniem, co się dzieje. Tylko najwyższy duchowny Ferrieres uśmiechał się, kiedy myślał, że nikt go nie widzi, jakby nieoczekiwanie odnalazło się coś, co uważał za bezpowrotnie stracone.

A potem, kiedy nastawała pełnia wiosny, a na łąkach i leśnych polanach zakwitły kwiaty, do Carcazji zaczęli przybywać Jeźdźcy Valledo.

Byli to najlepsi jeźdźcy na świecie, mieli najlepsze konie, a przyjechali uzbrojeni i wyposażeni na wojnę. W miarę, jak pojawiała się ich coraz więcej, nawet najbardziej nierozgarnięci dworacy w Carcazji powoli zaczęli rozumieć, co się dzieje.

Żołnierze wciąż nadciągali, oddział za oddziałem, i miasto oraz zamek zaczęła opanowywać atmosfera niedowierzania zmieszana z rozedrganym podnieceniem. Mężczyźni i kobiety, którzy ostatnio, jeśli nie przez całe życie, wyraźnie zaniedbali praktyki religijne, zaczęli być widywani na obrzędach w carcazyjskiej prastarej kaplicy, wybudowanej w dawno minionych czasach, kiedy Esperania rządziła całym półwyspem, a nie tylko jego północnymi ziemiami.

Podczas tych obrzędów, często sprawowanych przez najwyższego duchownego Ferrieres, był obecny król, a potem, kiedy już mogła opuszczać swoją komnatę, także królowa; przychodzili rano i wieczorem i klękali obok siebie pogrążeni w modlitwie, ściskając w dłoniach słoneczne dyski boga.

Przez liczne wieki złoci, bajecznie bogaci kalifowie Al-Rassanu prowadzili swe wojska z grzmotem kopyt na północ, nieubłagani niczym morze, by najeżdżać i niewolić dżadytów, kulących się na surowych obrzeżach ziemi, która niegdyś należała do nich. Rok po roku, tak daleko, jak sięgała ludzka pamięć.

Lecz ostatni, słaby marionetkowy kalif został zabity w Silvenes przed niemal szesnastu laty. Nie było już kalifów. Nadszedł czas odwrócenia fali w drugą stronę w groźne, jasne, święte imię Dżada.

Eliana bet Danel, żona lekarza i matka lekarki, przyzwyczała się do tego, że na ulicy zagadują ją obcy. Była znana w mieście, a w ciągu lat spędzonych w Fezanie jej mąż i córka mieli bardzo wielu pacjentów. Jedni chcieli dać upust wdzięczności, inni znaleźć szybki lub

mniej kosztowny dostęp do leczenia. Eliana nauczyła się krótko rozmawiać i z jednym, i z drugimi. Kobieta, która zatrzymała ją w chłodny poranek targowy wczesną wiosną tego roku, nie zaliczała się do żadnej z tych kategorii. Właściwie, jak pomyślała później Eliana, wtedy po raz pierwszy w życiu zaczęła ją prostytutka.

– Pani – rzekła kobieta, nie wychodząc z cienia skrywającego jedną stronę uliczki. Odezwała się o wiele grzeczniej, niż mieli to w zwyczaju aszaryci zwracający się do Kindathów. – Zechcesz poświęcić mi chwilę czasu?

Eliana była zbyt zaskoczona, by zrobić coś więcej niż skinąć głową i wejść za kobietą – właściwie tak naprawdę to była dziewczyna – głębiej w cień. Od uliczki odchodził wąski zaułek. Eliana przechodziła tędy przez większość życia dwa razy w tygodniu i nigdy przedtem go nie zauważyła. Pachniało tu fekaliami, a trochę dalej pomykały nieduże koty. Zmarszczyła nos.

– Mam nadzieję, że nie tu prowadzisz interesy – rzekła swoim najbardziej rzeczowym tonem.

– Kiedyś tak, tam na górze – odparła lekceważąco dziewczyna – zanim kazali nam się wynieść za mury. Przepraszam za ten zapach. Nie zatrzymam cię długo.

– Na pewno – stwierdziła Eliana. – W czym mogę ci pomóc?

– Nie możesz. Natomiast twoja córka pomogła w taki czy inny sposób większości z nas. Dlatego tu jestem.

Eliana lubiła, kiedy wszystko było jasne.

– Chcesz powiedzieć, że Dżehana, moja córka, udziela ci pomocy medycznej?

– Tak. I jest dla nas dobra. Prawie jak przyjaciółka, jeśli nie przynosi ci to wstydu.

Powiedziała to z młodzieńczym wyzwaniem w głosie, co nieoczekiwanie wzruszyło Elianę.

– Nie przynosi mi to wstydu – stwierdziła. – Dżehana potrafi dobrać sobie przyjaciół.

Te słowa zaskoczyły dziewczynę. Kiedy oczy Eliany przyzwyczyły się do panującego wokół mroku, spostrzegła, że jej rozmówczyni jest drobnokoścista i nieduża, ma niewiele ponad piętnaście czy szesnaście lat i że na wyblakłą zieloną tunikę do kolan narzuciła tylko podarty szal. Nie był to wystarczający przyodziewek na tak zimny i wietrzny dzień. Eliana chciała coś powiedzieć na ten temat, ale zamilczała.

– Powinnaś wiedzieć, że szykują się kłopoty – rzekła nagle dziewczyna. – To znaczy dla Kindathów.

Eliana poczuła lodowaty dotyk.

– Co to znaczy? – zapytała, mimowolnie oglądając się przez ramię tam, gdzie padało słońce, gdzie chodzili i mogli słuchać ludzie.

– Poza murami słyszymy różne rzeczy. Od przychodzących do nas mężczyzn. Na murach wywieszono kartki papieru. Paskudny wiersz. O... jak to się nazywa... oszczerstwo. O Kindathach i Dniu Fosy. Nunaya uważa, że coś się szykuje. Że gubernator może mieć rozkazy.

– Kto to jest Nunaya?

Eliana uświadomiła sobie, że drży.

– Nasza przywódczyni. Za murami. Jest starsza. Dużo wie. – Dziewczyna się zawahała. – Jest przyjaciółką Dzehany. Sprzedała jej muły, kiedy Dzehana wyjeżdżała.

– Wiesz o tym?

– Tamtej nocy sama ją zaprowadziłam do Nunayi. Nie mogłybyśmy zawieść Dzehany.

I znów wyzwanie w głosie, nuta dumy.

– A zatem dziękuję ci. Jestem pewna, że nie zawiodłyście jej. Mówiłam ci, że ona wie, gdzie szukać przyjaciół.

– Zawsze była dla mnie dobra – rzekła dziewczyna, wzruszając ramionami i usiłując sprawiać wrażenie obojętnej. – Ja sama nie widzę nic złego w nazywaniu księżyców siostrami.

Mimo odczuwanego strachu Eliana stłumiła uśmiech. Piętnaście lat.

– Niestety, niektórzy się z tobą nie zgadzają – powiedziała.

– Wiem – odparła dziewczyna. – Z Dzehaną wszystko dobrze?

– Chyba tak. – Eliana zawahała się. – Pracuje w Ragosie.

Dziewczyna skinęła z zadowoleniem głową.

– Powiem Nunayi. No to tyle. Nunaya mówi, że powinnaś uważać.. Pomyśleć o wyjeździe. Mówi, że ludzie znów tu są nerwowi przez żądanie tego drugiego króla z północy... z Ruensy?

– Z Ruendy – poprawiła ją Eliana. – Chodzi o *parias*. Dlaczego miałyby to mieć wpływ na Kindathów?

– Chyba pytasz niewłaściwą osobę, nie? – Dziewczyna znów wzruszyła ramionami. – Słyszę różne rzeczy, ale nie wiem dużo. Nunaya uważa, że w tym wszystkim, jest coś dziwnego, to wszystko.

Eliana przez chwilę patrzyła w milczeniu na dziewczynę. Szal naprawdę nie był wystarczająco ciepły na tę porę roku. Pod wpływem impulsu, ponownie zaskakując samą siebie, zdjęła swój błękitny płaszcz i otuliła nim dziewczynę.

– Mam jeszcze jeden – rzekła. – Nie ukradną ci go?

Oczy obdarowanej rozwarły się szeroko. Dotknęła palcami ciepłej, tkanej materii.

– Chyba że ktoś zechce się obudzić martwy – odparła.

– Świetnie. Dziękuję za ostrzeżenie.

Eliana odwróciła się, chcąc odejść.

– Pani.

Zatrzymała się i obejrzała.

– Znasz sklep z zabawkami na końcu Ulicy Siedmiu Zakrętów?

– Widziałam go.

– Tuż za nim, przy miejskim murze, rośnie lipa. Za nią wzdłuż muru są krzaki. Jest tam wyjście. Zamknięta furka, ale klucz wisi na gwoździu na drzewie, z tyłu, na wysokości mojej

głowy. – Pokazała ręką. – Gdybyś kiedykolwiek musiała wydostać się z miasta, to tamtędy wyjdiesz prosto na nas.

Eliana milczała przez chwilę, a potem skinęła głową.

– Cieszę się, że moja córka ma takich przyjaciół – rzekła, po czym wyszła na zalaną słonecznym blaskiem ulicę.

Postanowiła nie iść na targ, chociaż zwykle sprawiało jej to przyjemność. Mógł pójść któryś ze służących. Było jej zimno. Zawróciła w stronę Dzielnicy Kindathów i budynku, który od trzydziestu lat był jej domem.

„Pomyśleć o wyjeździe”. Tak po prostu Wędrowcy. Zawsze myśleli o wyjeździe. Przemieszczali się jak księżycy na tle nieruchomych, lśniących gwiazd. Ale księżycy są jaśniejsze, jak lubił mawiać Iszak. Jaśniejsze od gwiazd i łagodniejsze od słońca. A on i ona mają dom w Fezanie od tak dawna.

Postanowiła nic mu o tym nie mówić.

Następnego dnia, kiedy wyszła rano z domu, by kupić nowy płaszcz – bo okazało się, że stary jest wyraźnie wystrzępiony – podszedł do niej dzadycki rymarz.

Czekał tuż za strzeżonymi bramami Dzielnicy. Podszedł do Eliany, gdy tylko skręciła za róg. Był pełen szacunku, lecz wyraźnie się bał. Nie tracił czasu, co jej odpowiadało. Miał do powiedzenia to samo, co poprzedniego dnia dziewczyna. On też był pacjentem Dzehany – albo raczej jego synek. Eliana zrozumiała, że rozcieńczona piołunówka Iszaka podana za nominalną opłatą przegnała zeszłego lata niebezpieczną gorączkę. Mężczyzna był wdzięczny, nie zapomniał. I powiedział jej, że opuszczenie Fezany na jakiś czas, zanim nastanie pełnia wiosny, mogłoby się okazać rozsądnym posunięciem. Powiedział, że w tawernach mówi się o sprawach, które nie wróżą nic dobrego.

Powiedział też, że narasta gniew. I że co bardziej płomienni wadzi z rogów ulic nie są już trzymani pod zwykłą kontrolą. Eliana zapytała wprost, czy rymarz wyjeżdża z rodziną i czy to samo niebezpieczeństwo grozi dzadytom. Odparł, że po wielu latach oporu postanowił się nawrócić. Na pierwszym rozwidleniu ulic odszedł, nie oglądając się na Elianę. Nie poznała jego imienia.

Kupiła sobie płaszcz w małym, solidnym sklepiku przy Ulicy Tkaczy, w którym zaopatrywała się od kilkunastu lat. Elianie wydawało się, że kupiec zachowywał się wobec niej chłodno, niemal szorstko.

Próbowała sobie to tłumaczyć tym, że może po prostu źle mu idą interesy. Przecież w ubiegłym roku Fezana zaznała wielkiego smutku, a potem prawdziwych trudności, jako że niemal wszyscy ludzie ważni dla życia miasta znaleźli się zeszłego lata martwi w fosie.

Ale wypędzić Kindathów z tego powodu?

To nie miało sensu. Podatki płacone przez niewierzących – tak Kindathów, jak i dzadytów –

w dużym stopniu szły na opłacanie wadźich i świątyń, umacnianie murów i na *parias* wysyłane przez Fezanę na północ do Valledo. Chyba rozumie to nowy młody król w Cartadzie albo jego doradcy? Chyba zdają sobie sprawę z ekonomicznych skutków, jakie pociągnęłyby za sobą wyludnienie fezańskiej Dzielnicy Kindathów, gdyby jej mieszkańcy przenieśli się do jakiegoś innego miasta?

Albo gdyby stało się coś gorszego.

Tym razem powiedziała Iszakowi o ostrzeżeniach. Myślała, że dokładnie wie, co powie jej mąż okaleczonymi dźwiękami, które nauczyła się rozumieć od ostatniego lata.

Zaskoczył ją jednak. Po tych wszystkich latach wciąż umiał ją zaskakiwać. Z trudem wyjaśnił jej, że sprawiły to wieści z Soreniki. Można było w nich coś odczytać: nowy nastrój świata, ruch w drugą stronę, jak wahadło. Zmianę w powietrzu, w wiatrach.

Razem z domownikami zaczęli po cichu przygotowywać się do wyjazdu do Ragosy i Dzehany.

Nie zdążyli tego zrobić.

W tym samym tygodniu, w którym Eliana otrzymała ostrzeżenia o niebezpieczeństwie, a Ines z Valledo omal nie umarła, Dzehana przygotowywała się do karnawału w Ragosie. Wyczekiwała go z większą niecierpliwością, niż chciała się do tego przyznać.

Alvar de Pellino, będąc tego ranka po służbie i idąc na spotkanie z Dzehaną na zatłoczonym rogu ulicy, pomyślał, że lekarka nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie. Obok niego szedł Husari, a śledził ich uważnie Ziri. Husari, któremu Alvar pod wpływem impulsu zwierzył się pewnego wieczoru ze swoich uczuć, ostrzegł go, że taki jest wpływ wiosny na młodych mężczyzn.

Alvar pomyślał, że jego to nie dotyczy. Od zeszłego lata wiele się zmieniło i wciąż zmieniało w jego życiu, lecz to, co poczuł do Dzehany, zanim skończyła się ta pierwsza noc przy ognisku na północ od Fezany, nie zmieniło się. I Alvar miał pewność, że tak pozostanie. Miał świadomość, że w takiej pewności jest coś dziwnego, lecz ona nie zniknęła.

Jako lekarka na dworze i w oddziale wojskowym Dzehana bet Iszak była otoczona błyskotliwymi i wykształconymi mężczyznami. Alvar umiał się z tym pogodzić. Nie miał wielu oczekiwań. Powiedział sobie, że będzie zadowolony, jeśli tylko uda mu się odegrać jakąś rolę, znajdować się w pobliżu.

Przez większość czasu to była prawda. Zdarzały się jednak noce, kiedy było inaczej i Alvar musiał przyznać – choć nie przed pragmatycznym Husarim – że powrót wiosennych kwiatów i złagodzenie wiatrów wiejących wieczorami nad jeziorem sprawiły, że noce takie zdarzały się coraz częściej. Teraz wieczorami mężczyźni śpiewali na ulicach pod oknami kobiet, których pragnęli. Alvar nie spał, słuchając tęsknych dźwięków muzyki. W takich chwilach uświadamiał

sobie, jak daleko zawędrował, opuściwszy gospodarstwo leżące na północy Valledo. Był też świadom – jak mogło być inaczej? – że pewnego dnia, kiedy skończy się wygnanie Komendanta, wróci na północ.

Starał się o tym nie myśleć.

Podeszli do Dzehany i przywitali się z nią, każdy na swój sposób – Husari z szerokim uśmiechem, a Alvar z coraz lepszym aszaryckim dworskim ukłonem. Ćwiczył go w wolnych chwilach.

– W imię księżyców, jak wy wyglądacie! – zawołała Dzehana. – Jakbyście już włożyli kostiumy. Co by powiedziały wasze biedne matki?

Mężczyźni spojrzeli po sobie z zadowoleniem. Alvar ubrał się w lnianą koszulę koloru kości słoniowej z szerokimi rękawami, luźno ściągniętą pasem i wyrzuconą na pończochy o nieco ciemniejszym odcieniu, oraz w aszaryckie pantofle, przetykane złotą nicią. Na głowie miał miękką czapkę ze szkarłatnego materiału, kupioną przed tygodniem na targu. Bardzo mu się podobała.

Husari ibn Musa, handlarz jedwabiem z Fezany, pod poplamioną i znoszoną skórzaną kamizelę włożył zwykłą, brązową koszulę dzadyckiego żołnierza. Za szeroki pas zatknął po obu stronach noże, a spodnie jeźdźca wsunął do wysokich czarnych butów. Na głowie miał jak zawsze szerokoskrzydły kapelusz z brązowej skóry.

– Mam nadzieję, że moja nieżyjąca już, niestety, matka byłaby zachwycona – rzekł Husari. – Miała dar śmiechu, niech Aszar strzeże jej ducha.

– Moja byłaby przerażona – stwierdził Alvar swoim najbardziej grzecznym tonem.

Husari się roześmiał.

Dzehana z trudem powstrzymała się, by nie pójść w jego ślady.

– Co by powiedziała na wasz widok jakakolwiek rozsądna osoba?

Ziri odszedł od nich; swoje zadanie wykonywał z oddalenia.

– Myślę, że taka osoba – mruknął Husari – gdyby udało nam się ją znaleźć w tym tygodniu w Ragosie, mogłaby powiedzieć, że my dwaj reprezentujemy to, co ten półwysep ma najlepszego. Dzielny Alvar i moja biedna osoba, jak tak stoimy pokornie przed tobą, stanowimy dowód, że ludzie z odmiennych światów mogą te światy mieszać ze sobą. Że z każdego możemy wziąć najlepsze rzeczy i stworzyć nową całość, lśniącą i nieprzemijającą.

– Szczerze powiedziawszy, nie jestem pewien, czy ta twoja kamizela jest najlepsza spośród tych, jakie może zaoferować Valledo – rzekł Alvar ze zmarszczonym czołem – ale pominiemy to.

– A ja nie jestem pewna, czy chciałam poważnej odpowiedzi na moje pytanie – powiedziała Dzehana.

Zmrużyła niebieskie oczy i przyglądała się uważnie Husariemu. Znów się szeroko uśmiechnęła.

– A dałem ci taką? Ojej. Wypróbowywałem nowy pedantyczny styl. Poproszono mnie, żebym tego lata wygłosił na uniwersytecie wykład na temat etyki handlu. Ćwiczę. Muszę dawać długie, rozbudowane odpowiedzi na wszystkie pytania.

– Nie dziś rano, bo inaczej nie zrobimy tego, co musimy – stwierdziła Džehana.

Ruszyła ulicą; obaj mężczyźni dostosowali się do jej kroku, idąc po obu jej stronach.

– Moim zdaniem to była dobra odpowiedź – odezwał się cicho Alvar.

Oboje zerknęli na niego. Zapadło chwilowe milczenie.

– Moim też – rzekła w końcu Džehana. – Ale nie powinniśmy go zachęcać.

– Zachęta nie ma żadnego znaczenia dla prawdziwego uczonego – stwierdził wielkopańskim tonem Husari – który, pełen gorliwości i wigoru, poszukuje samotnie prawdy i wiedzy na drogach, jakimi nie chadzają pomniejsi ludzie.

– Widzisz? – skwitowała Džehana.

– Spróbujmy znaleźć mu lepszą kamizelę – zaproponował Alvar. Skręcili za róg w ulicę, której polecono im szukać, i wszyscy troje stanęli jak wryci. Nawet Husari, choć w swoim czasie widział wiele miast.

Ragosa zawsze była kolorowa, zawsze tętniła życiem. Kiedy świeciło słońce, a niebo i jezioro miały niebieską barwę jak kindathijski płaszcz, można było niemal powiedzieć, że miasto lśni w świetle marmurem, kością słoniową, mozaikami i grawerunkami łuków i wejść. Mimo to nic w ciągu pół roku nie przygotowało Alvara na ten widok.

Wzdłuż wąskiej, krętej uliczki stały dziesiątki pośpiesznie skleconych prowizorycznych straganów, pełnych mieniących się wszystkimi kolorami najprzeróżniejszych masek prawdziwych oraz baśniowych zwierząt i ptaków.

Džehana roześmiała się zachwycona. Husari pokręcił z uśmiechem głową. Po drugiej stronie uliczki przystanął Ziri z otwartymi ustami; Alvar ledwie panował nad swoimi.

Zobaczył głowę wilka, ogiera, szafranowożółtego kolibra, nadzwyczaj przekonującą, przerażającą maskę kąsającej mrówki – a to były maski leżące tylko na pierwszym stoliku.

Zbliżyła się do nich przepięknie przystrojona kobieta. Niewolnik niósł za nią wspaniałe dzieło – maskę przedstawiającą głowę pumy, zrobioną ze skóry i futra, z obrozą wysadzaną klejnotami. Było też na niej kółko na smycz; Alvar zauważył, że wygląda na kute i obrobione złoto. Ten komplet musiał kosztować fortunę, a wykonanie go trwało zapewne pół roku. Podchodząc do nich, kobieta zwolniła, a kiedy ich mijiała, uśmiechnęła się do Alvara, patrząc mu w oczy. Alvar, odwrócił się, powiódłszy za nią wzrokiem. Ibn Musa się roześmiał, a Džehana uniosła brwi.

– Zapamiętaj tę maskę, przyjacielu! – poradził Husari, rechocząc z uciechy. – Wspomnisz ją jutro!

Alvar miał nadzieję, że się nie zaczerwienił.

Spotkali się tego ciepłego, wonnego poranka, by kupić sobie przebrania na noc, podczas której na ulicach Ragosy pochodnie będą płonęły do świtu. Tej nocy miasto powita wiosnę – i uczi urodziny króla Badira – muzyką, tańcem i winem oraz na inne sposoby, zdecydowanie odbiegające od ascetycznych ograniczeń Aszara. A także od nauk duchownych Dżada i najwyższych kapłanów Kindathów, jeśli już o to chodzi.

Pomimo jasno wyrażonych opinii duchowych przywódców, ludzie przybywali do Ragosy z daleka, czasami podróżując całymi tygodniami z Ferrieres czy Bachiary – choć na przełęczach na wschodzie wciąż leżały śniegi – by wziąć udział w karnawale. Powrót wiosny zawsze było warto uczi, a król Badir, który panował od upadku kalifatu, był powszechnie poważany, a nawet kochany, bez względu na to, co o nim i o jego kindathijskim kanclerzu mogli mówić wadzi.

Szli zatłoczoną uliczką, przeciskając się między ludźmi. Alvar trzymał rękę na sakiewce u pasa. Takie miejsce było rajem na ziemi dla rzezimieszków. Na pierwszym straganie, przy którym się zatrzymali, Alvar wybrał maskę orła, składając w ten sposób hołd Komendantowi. Włożył ją, a rzemieślnik uniósł zwierciadło, kiwając energicznie głową. Alvar nie poznał siebie. Wyglądał jak orzeł. Wyglądał niebezpiecznie.

– Doskonała – oznajmiła Dżehana. – Kup ją.

Skrzywił się pod maską, usłyszawszy kwotę, jakiej żądał sprzedawca, ale Husari wytargował dla niego cenę niższą o połowę. Husari, tego ranka rozbawiony i dowcipny, poprowadził ich dalej, rozpychając się w tłumie łokciami, i nieco dalej rzucił się z okrzykiem na spektakularną interpretację głowy i upierzenia pawia. Nie bez trudu włożył maskę. Ludzie musieli się cofnąć, by zrobić mu miejsce. Maską była wspaniała, oszałamiająca.

– Nikt nie będzie się mógł do ciebie zbliżyć – stwierdziła Dżehana, robiąc kilka kroków do tyłu, by mu się lepiej przyjrzeć.

– Mnie by się udało! – zawołała jakaś kobieta z tłumy gapiów, którzy wybuchnęli rubasznym śmiechem.

Husari ostrożnie skłonił się kobiecie.

– Takie dylematy można obejść, Dżehano – rzekł. Jego głos brzmiał dziwnie zza dopasowanej maski przypominającej raczej hełm i spektakularnych piór. – Biorąc pod uwagę to, co wiem o owym szczególnym święcie.

Alvar też słyszał te opowieści. Przez ostatnie tygodnie koszary, gospody i wieże nocnej straży aż się od nich trzęsły. Dżehana bezskutecznie usiłowała przywołać na twarz wyraz dezaprobaty. Alvar pomyślał, że trudno jest odnosić się z dezaprobatą do Husariego. Handlarz jedwabiem najwyraźniej był jednym z tych ludzi, których wszyscy lubią. Był także człowiekiem, który w ciągu minionego roku całkowicie zmienił swoje życie.

Niegdyś korpulentny i zasiedziały w jednym miejscu, a ponadto niemłody, ibn Musa został

całkowicie zaakceptowany w oddziale Rodriga. Komendant dołączył go do grona swoich doradców, a szorstki, stary Lain Nunez – który mimo wszystkich swoich bluźnierczych bezbożności był dżadytą od stóp do głów – przyjął go jako dość nieprawdopodobnego brata.

Husari zdjął maskę z pomocą rzemieślnika. Włosy miał w nieładzie, a twarz zaczerwienioną.

– Ile, przyjacielu? – zapytał. – Maską jest prawie znośna. – Rzemieślnik wymienił cenę, przypatrując mu się uważnie. Ibn Musa wrzasnął przeraźliwie, jakby został ciężko raniony.

– Myślę, że te szczególne negocjacje trochę potrważą – stwierdziła Dżehana. – Może pozwolicie, żebyśmy z Zirim poszli dalej sami? Jeśli mam się przebrać, to naprawdę nie ma sensu, żeby wszyscy wiedzieli, co będę miała na sobie.

– Nie jesteśmy wszystkimi – sprzeciwił się Husari, przerywając początkową rundę targów.

– A ty już znasz nasze maski – dodał Alvar.

– Prawda? – Dżehana błysnęła uśmiechem. – To może być przydatne. Jeśli podczas karnawału będę potrzebowała któregoś z was, poszukam w ptaszarni.

– Nie bądź taka pewna siebie – przestrzegł ją Husari, grożąc palcem. – Alvar może się znaleźć w legowisku pumy.

– Nie zrobiłby tego – rzekła Dżehana.

Husari się roześmiał. Po krótkim wahaniu i rzucie oka na Alvara Dżehana odwróciła się i odeszła. Alvar odprowadzał ją wzrokiem, ściskając swoją maskę orła, dopóki lekarka nie zniknęła z Zirim w tłumie.

Po przeprowadzeniu tak ożywionego ćwiczenia z negocjacji, że otoczył go wianuszek gapiów żądnych rozrywki, Husari kupił maskę pawia za kwotę stanowiącą większość rocznego dochodu zawodowego żołnierza. Rzemieślnik zgodził się dostarczyć ją później, kiedy przerzedzi się tłum.

– Chyba muszę się napić – oznajmił ibn Musa. – Niech święty Aszar wybaczy nam nasze grzechy, popełnione na tym świecie.

Alvar, dla którego to nie był grzech, uznał, że też potrzebuje alkoholu, chociaż jak na niego pora była jeszcze wczesna.

– Pumy – rzekł w pewnej chwili z zadumą Husari – podobno parzą się z wielką dzikością.

– Nie mów mi takich rzeczy! – jęknął Alvar.

Husari ibn Musa – handlarz jedwabiem, żołnierz, aszaryta, przyjaciel – roześmiał się i zamówił jeszcze trochę dobrego czerwonego wina. W końcu wyszli z gospody, opróżniwszy kilka dzbanów.

Mijając samotnie w tłumie stragany wytwórców masek, Dżehana powiedziała sobie surowo, że jej oszustwo było drobne i że ma prawo do prywatności. Nie lubiła jednak udawać, a obu swoich towarzyszy bardzo lubiła. Zaskoczyła nawet siebie samą ukłuciem niezaprzeczalnej

zazdrości, kiedy długonoga aszarycka istota z maską pumy uśmiechnęła się do Alvara w sposób, który zostawiał niewiele miejsca na domysły.

Mimo to ani Alvar, ani Husari nie musieli wiedzieć, że dzięki kanclerzowi Ragosy Dzehana ma już maskę na karnawał. Ciągłe spekulacje na temat ich związku irytowały ją i męczyły. Tym bardziej że po przybyciu ponętnej Zabiry z Cartady pogoń Masura za Dzehana stała się niemal wyłącznie pustym rytuałem.

Martwienie się zarzuconymi w znacznym stopniu próbami zdobycia jej, tak samo jak martwiła się wcześniejszym założeniem kanclerza, że prędzej czy później mu ulegnie, było niekonsekwentne, ale Dzehana zdawała sobie sprawę, że tak właśnie to odbiera.

Westchnęła. Wyobrażała sobie, co powiedziałyby o tym wszystkim don Rezzoni w Bachiarze. Coś o zasadniczej naturze kobiety. Jeden bóg i jego siostry wiedziały, że podczas lat spędzonych w Bachiarze często wiedli spory na ten temat. Napisała do niego po otrzymaniu wieści o Sorenice. Na razie nie odpowiedział. Przebywał tam przez większość czasu, ale nie stale. Kiedy wykladał na którymś z innych uniwersytetów, często zabierał ze sobą na północ rodzinę. Mógł jednak zginąć. Bardzo się starała o tym nie myśleć.

Rozejrzała się i zauważyła przesuwającego się nieopodal w tłumie Ziriego. Przez jakiś czas po tym, jak wraz z Velazem została uprowadzona przez niedoszłych zabójców dwojga dzieci, Dzehana musiała walczyć z falą niepokoju za każdym razem, kiedy wychodziła na ulicę. Dość szybko zdała sobie sprawę, że w pobliżu zawsze jest Ziri, jej cień, który uczył się – będąc na to o wiele za młodym – jak ukrywać przy sobie noże i posługiwać się nimi z zabójczym skutkiem. Zabił człowieka, by uratować jej życie.

Pewnego wieczoru została wezwana do koszar. Kiedy ujrzała Ziriego, wydawał się śmiertelnie chory; miał bladą twarz i wymiotował spazmatycznie. Było to jednak tylko wino. Ludzie Rodriga zabrali go pierwszy raz w jego życiu do gospody. Zbeształa ich za to, a oni nie protestowali, ale tak naprawdę Dzehana wiedziała, że wprowadzali go w życie oferujące mu więcej niż to, które prowadziłby w Orvilli. Czy byłby to lepszy los, szczęśliwszy? Jak śmiertelnik mógł odpowiedzieć na takie pytanie?

Człowiek dotyka przelotnie życia innych ludzi i przez to na zawsze je zmienia. Czasami trudno jest dojść z czymś takim do ładu.

Ziri wkrótce się domyśli, jeśli już tego nie zrobił, że tak naprawdę nie kupowała tego ranka maski. Nieważne. Dałby się rozerwać końmi, zanim pisnąłby choć słowo, zdradzając coś, co o niej wie.

Dzehana uczyła się godzić z faktem, że mogą ją kochać jacyś ludzie poza jej rodzicami i robić z tego powodu pewne rzeczy. Dziwne, ale była to kolejna trudna lekcja. Jako dziecko nie była ładna ani szczególnie ujmująca; bliższe prawdy były określenia „krnąbrna” i „prowokacyjna”. Pomyślała, że takie osoby nie odkrywają w młodości, jak sobie radzić

z miłością wobec siebie. Nie miały wystarczającej praktyki.

Zwolniła, podziwiając wystawione na sprzedaż dzieła. Zdumiewające, jak nawet najbardziej nieprawdopodobne maski – borsuk, dzik, wąsata głowa szarej myszy zrobiona z mięciutkiej skórki – zostały wykonane w taki sposób, że były zmysłowe i pociągające. Jak głowa dzika może być zmysłowa? Dzehana nie wiedziała, nie była też jednak rzemieślniczką. Pomyślała, że maski będą jeszcze bardziej urzekające jutrzejszego wieczoru w świetle pochodni i księżyców, kiedy na ulicach i uliczkach miasta poleje się wino, mieszając anonimowość z pożądaniem.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Masur zaprosił ją zeszłego wieczoru na kolację i pod koniec posiłku, jak zwykle uprzejmy i pewny siebie, dał jej prezent.

Otworzyła pudełko. Nawet ono było piękne, zrobione z kości słoniowej i drewna sandałowego, ze srebrnym zameczkiem i kluczykiem. W środku leżała na szkarłatnym jedwabiu maska białej sowy.

Dzehana wiedziała, że to sowa lekarza, poświęcona białemu księżycowi i poszukiwaniu wiedzy, blademu światłu spływającemu długimi ścieżkami mroku. Galinus, ojciec wszystkich lekarzy, kazał wyrzeźbić sowę na czubku swojej laski. Wiedziało o tym niewiele osób. Najwyraźniej Masur był jedną z nich.

Otrzymała hojny dar, świadczący o życzliwości ofiarodawcy. Masur zawsze był wobec niej hojny i życzliwy.

Spojrzała na niego. Uśmiechnął się. Doszła w tej chwili do wniosku, że problem z Masurem ben Avrenem polega na tym, iż kanclerz zawsze wie, że postępuje trafnie; gdy ofiarowuje prezent, jest to dokładnie taki prezent, jaki powinien zostać ofiarowany. Ten mężczyzna nie okazywał ani krzty niepewności, nie czekał na aprobatę.

– Dziękuję – powiedziała Dzehana. – Jest piękna. Będę zaszczycona, mogąc ją włożyć.

– Powinno ci być w niej dobrze – rzekł poważnie, rozsiadłszy się swobodnie na leżance naprzeciwko Dzehany.

W dłoni trzymał kielich wina. Byli sami; kiedy skończyli jeść, Masur odprawił służących.

– Powiedz mi – poprosiła Dzehana, zamykając szkatułę i przekręcając mały klucz w zameczku – co wybrałaś dla pani Zabiry? Jeśli to pytanie nie jest nadto zuchwałe?

Krnąbrna, prowokacyjna. Dlaczego człowiek ma się zmieniać? I zawsze odczuwała przyjemność – taką rzadką przyjemność – kiedy udało jej się sprawić, że ten mężczyzna mrugał i się wahał, choćby tylko przez chwilę. Wiedziała, że to niemal dziecinne, ale przecież nie wszystko co dziecinne jest złe.

– Byłoby nieuprzejmie z mojej strony wyjawić jej przebranie, prawda? Podobnie jak nieładnie byłoby powiedzieć jej, co dałem tobie.

Umiał sprawić, że człowiek czuł się głupio. Odpowiedziała jednak na to tak, jak robiła przez całe życie.

– Chyba tak – zgodziła się lekkim tonem. – Ilu z nas osobiście dobierzesz przebranie na karnawał, żebyś tylko ty wiedział, kim jesteśmy?

Znów się zawahał, lecz tym razem nie z powodu konsternacji.

– Dwóm, Dzehano. Tobie i Zabirze. – Blade wino w jego kielichu odbijało blask świecy. Uśmiechnął się ze smutkiem. – Nie jestem już tak młody jak kiedyś.

Potrafił w takiej sytuacji być obłudny, ale Dzehana odniosła wrażenie, że teraz mówi prawdę. Byłą poruszona i miała nawet lekkie poczucie winy.

– Przepraszam – rzekła.

Wzruszył ramionami.

– Nie trzeba. Pięć lat temu, nawet dwa, zasługiwałem na te słowa. – Znów się uśmiechnął. – Chociaż muszę powiedzieć, że takiego pytania nie zadałaby żadna inna kobieta.

– Moja matka byłaby przerażona, gdyby cię teraz słyszała.

Pokręcił nieznacznie głową.

– Myślę, że ją szkalujesz. I myślę, że byłaby zadowolona, że jej córka dorównuje każdemu mężczyźnie.

– Nie dorównuję, Masurze. Jestem po prostu drażliwa. Czasami to przeszkadza.

– Wiem – rzekł, krzywiąc się. – Wiem to bardzo dobrze.

Uśmiechnęła się i wstała.

– Już późno jak na pracującą lekarzkę – stwierdziła. – Mogę ci podziękować jeszcze raz i się pożegnać?

Także wstał, wciąż gibki, tyle że czasami, kiedy padało, dokuczało mu biodro. Wcale nie był taki stary i niedołężny, jak czasami sugerował. W słowach Masura zawsze krył się jakiś zamysł. Ammar ibn Khairan – który oczywiście był pod tym względem taki sam – ostrzegał ją przed tym.

Czasami nie chciało się śledzić wszystkich warstw znaczenia czy sugestii. Czasami chciało się po prostu pewną rzecz zrobić. Dzehana podeszła do Masura i po raz pierwszy pocałowała go miękko w usta.

I to go zaskoczyło. Nawet nie unióś rąk, by ją objąć. Kiedyś, w Fezanie, zrobiła to samo ibn Khairanowi. Była straszną kobietą.

– Dziękuję – rzekła do kanclerza Ragosa, cofając się. – Dziękuję ci za maskę.

Po drodze do domu, odprowadzana przez służącego, uświadomiła sobie, że zapomniała zapytać, jakie przebranie Masur wybrał dla siebie.

Wspominając ten wieczór w słoneczny poranek wśród tłumów, Dzehana dotarła do końca uliczki ze straganami. Skrzyła w lewo, w stronę jeziora, gdzie było spokojniej. Wiedząc, że Ziri podąży niepostrzeżenie za nią, szła powoli, bez specjalnego celu.

Mogłaby wrócić do infirmerii. Miała tam trzech pacjentów. Mogłaby zajrzeć do kobiety, która czekała w domu na rozwiązanie. Żadna z tych osób nie potrzebowała jednak tego ranka jej

usług, a przyjemnie było znaleźć się wiosną na dworze i nie mieć nic szczególnego do załatwienia.

Wtedy przyszło jej na myśl, że tak naprawdę brak jej w Ragosie przyjaciółki. Otaczała ją tak wielu wspaniałych, nawet błyskotliwych mężczyzn, ale w ten jasny poranek, rozbrzmiewający śpiewem ptaków, brakowało jej możliwości wyjścia poza mury i rozlokowania się z Nunaya i kilkoma innymi ulicznicami z czymś chłodnym do picia obok walącej się chałupy, gdzie mogłaby się pośmiać z ich sprośnych, zjadliwych opowieści. Dzehana pomyślała, że czasem trzeba się pośmiać z mężczyzn i ich świata.

Spędziła – ile to było? większość roku? – jako osoba poważna i odpowiedzialna w męskim świecie. Spała zimą w namiocie pośrodku wojskowego obozu. Szanowali ją za to, zaakceptowali jej umiejętności, ufali jej ocenie, a kilku z nich nawet ją pokochało, z czego Dzehana zdawała sobie sprawę. Nie było jednak żadnych kobiet, z którymi mogłaby się po prostu pośmiać albo pokiwać głową we wspólnym zdumieniu nad szaleństwami żołnierzy i dyplomatów. A może nawet którym mogłaby wyznać pewne nocne rozterki, niepozwalające jej zasnąć, kiedy na ciemnych ulicach na dole rozlegała się muzyka przeznaczona dla innych kobiet.

Mimo wszystkich przyjemności i sukcesów związanych z tym życiem z dala od domu zdarzały się też nieprzewidziane okresy napięcia. Może, pomyślała Dzehana, ten osławiony karnawał, podczas którego tylko Masur ben Avren będzie na pewno wiedział, jaką włożyła maskę, nie jest taki zły. Wraz z tą myślą pojawiła się nuta podniecenia i, nieuchronnie, pewien niepokój. Miło byłoby móc dzisiaj porozmawiać z Nunayą. Nunaya wiedziała o mężczyznach więcej, niż ktokolwiek inny, kogo znała Dzehana.

Nieświadoma, że to robi, wzruszyła po swojemu nieznacznie ramionami i poszła dalej. Nie umiała wałęsać się bez celu. Szła zbyt szybko, jakby czekało ją jakieś pilne spotkanie, na które już była spóźniona.

Miała dwadzieścia osiem lat i zbliżała się do momentu, który miał na zawsze naznaczyć jej życie.

Najpierw jednak, idąc spokojniejszą uliczką, zerknęła w otwarte drzwi i dostrzegła kogoś znajomego. Zawahała się, a potem, częściowo dlatego, że nie rozmawiała z nim na osobności od czasu pojawienia się wieści z Soreniki, Dzehana weszła do sklepu, w którym Rodrigo Belmonte przeglądał próbki pergaminów, stojąc plecami do wejścia.

Był skupiony na oglądaniu i jej nie zauważył; skryba wyszedł zza kontuaru, by przywitać klientkę. Dzehana gestem nakazała mu milczenie. Mężczyzna uśmiechnął się porozumiewawczo, mrugnął i wrócił na swój stołek.

Dlaczego, zadała sobie pytanie Dzehana, wszyscy mężczyźni mają taki sam uśmiech? Zirykowało ją przypuszczenie sprzedawcy i kiedy się odezwała, jej słowa były chłodniejsze, niż

zamierzała.

– A do czego ich użyjesz? – zapytała. – Do wypisywania żądań okupu? – Rodriga trudno było zaskoczyć. Obejrzał się przez ramię i uśmiechnął. – Witaj, Dzehano. Czyż nie jest piękny? Popatrz. Pergamin ze skóry gazeli i owcy. A widziałaś papier, który ma ten wspaniały człowiek?

Skryba się rozpromienił. Rodrigo zrobił dwa kroki w stronę innego pojemnika i ostrożnie uniósł kremowy zwój lnianego papieru.

– Ma też lniany. Chodź, zobacz. A część jest barwiona. Tu jest szkarłatny. Pasowałby do żądań okupu!

Pokazał w uśmiechu zęby. W jego głosie brzmiało niekłamane zadowolenie.

– Więcej pieniędzy dla Cartady – stwierdziła Dzehana. – Barwnik pochodzi z doliny na południe od miasta.

– Wiem – odparł Rodrigo. – Ale nie potrafię im mieć tego za złe, skoro robią coś tak pięknego.

– Czy zatem szanowny Komendant zechce nabyć nieco papieru lnianego? – zapytał kupiec, podnosząc się ze stołka.

– Komendant, niestety, nie może sobie pozwolić na coś tak kosztownego – rzekł Rodrigo. – Nawet na listy z żądaniem okupu. Wezmę pergamin. Dziesięć kart, atrament, kilka dobrych piór.

– Zechcesz może skorzystać z moich usług? – zapytał sprzedawca. – Możesz obejrzyć próbki mojego pisma.

– Dziękuję, nie. Sądząc po smaku, z jakim dobierasz materiały, jest zapewne nieskazitelne. Lubię pisać listy, kiedy mam na to czas, a ludzie potrafią potem odczytać moje pismo.

Uśmiechnął się.

Dzehana pomyślała, że jego aszarycki był zawsze w mowie doskonały. Rodrigo mógłby uchodzić za miejscowego, choć w przeciwieństwie do Alvara i kilku innych przybyszów z północy zachował swój ubiór. Nadal nosił bicz u pasa, nawet kiedy wychodził, tak jak teraz, bez miecza.

– Naprawdę będziesz pisał żądania okupu? – zapytała Dzehana.

– Do twojego ojca – mruknął. – Jestem zmęczony lekarką, która jest bardziej przenikliwa od Laina. Co mi za ciebie da?

– Lain?

– Twój ojciec.

– Obawiam się, że niewiele. On także sądzi, że jestem zbyt przenikliwa. – Rodrigo wyjął z sakiewki srebrną monetę i zapłacił za pergamin. Zaczekał, aż sprzedawca mu go poda, a potem przyjął resztę i ją przeliczył.

Dzehana wyszła razem z nim. Zobaczyła, jak instynktownie omiata wzrokiem ulicę, i zauważyła Ziriego w jakichś drzwiach w jej połowie. Pomyślała nagle, że dziwnie jest

postrzegać świat w sposób, który czyni takie środki ostrożności kwestią rutyny.

– Jak myślisz – zapytał, ruszając na wschód – dlaczego jesteś taka uszczypliwa wobec tych, którzy naprawdę cię lubią?

Nie spodziewała się takiej rozmowy, choć pasowała do jej poprzednich myśli.

Wzruszyła po swojemu ramionami.

– W ten sposób daję sobie radę. Wy wszyscy razem pijecie, wdajecie się w bójki, ćwiczycie, klniecie na siebie nawzajem. Ja mam tylko mój język i czasami pasujące do niego zachowanie.

– W porządku. Masz problemy z dawaniem sobie rady, Dzehano?

– Najmniejszych – zaprzeczyła szybko.

– Nie, naprawdę? Należysz do mojego oddziału. To jest pytanie dowódcy, lekarko. Chciałabyś mieć trochę wolnego czasu? Powinienem cię ostrzec, że kiedy pora roku zmieni się na dobre, nie będzie już do tego wielu okazji.

Dzehana stłumiła szybką odpowiedź. To było uczciwe pytanie.

– Jestem najszczęśliwsza kiedy pracuję – powiedziała w końcu. – Nie wiedziałabym co robić z wolnym czasem. Chyba nie byłoby bezpiecznie pojechać do domu.

– Do Fezany? Nie byłoby. Nie tej wiosny.

Wychwyciła jego intonację.

– Myślisz, że już niedługo? Czy Badir naprawdę wyśle wojsko na zachód?

Skrećili za róg, idąc teraz na północ. Zbliżało się południe i tłumy zmalowały. Przed sobą mieli jezioro i zakrzywione ramiona murów sięgające nad wodę. Dzehana widziała maszty łodzi rybackich.

– Sądzę, że wkrótce wyruszy kilka armii – rzekł Rodrigo. – Myślę, że nasza będzie jedną z nich.

– Jesteś ostrożny – stwierdziła.

Zerknął na nią i nagle się uśmiechnął pod gęstym wąsem.

– Z tobą zawsze jestem ostrożny, Dzehano.

Nie odpowiedziała.

– Powiedziałbym ci, gdybym wiedział coś więcej. Lain jest całkiem pewny, że to spotkanie wszystkich trzech królów z północy doprowadzi do tego, że na południe wyprawi się jedna armia. Ja w to wątpię, lecz to nie znaczy, że pewnego dnia wszyscy trzej dzadycy królowie nie wyruszą każdy na swoją małą świętą wojenkę.

Mówił oschłym tonem.

– A co wtedy zrobiłby Rodrigo Belmonte z Valledo? – zapytała, zatrzymując się przy ławce obok sporego magazynu. Taka już była: w razie niepewności stawiała się bardzo bezpośrednio. Przecinała wrzód, jak chirurg.

Komendant postawił nogę na kamiennej ławce i odłożył pakunek. Zaprosił gestem Dzehaną,

by usiadła. Rosnący nieopodal platan dawał cień. Słońce stało już wysoko i zrobiło się ciepło. Dżehana dostrzegła Ziriego; przycupnął na brzegu fontanny i bawił się nożem, zupełnie jakby był terminatorem mającym godzinę wolnego albo jakby ociągał się z powrotem po wykonaniu jakiegoś polecenia.

– Nie potrafię odpowiedzieć na to inaczej niż jak wtedy w zimie – rzekł Rodrigo. – Pamiętasz, ibn Khairan zapytał mnie o to samo.

Pamiętała – to było tego ranka, kiedy omal nie zginęła z dwoma chłopcami, których jedynym grzechem było to, że są przyrodnimi braćmi króla.

– Czy pieniądze, jakie tu zarabiasz, naprawdę zyskałyby pierwszeństwo przed lojalnością wobec Valledo?

– Jeśli ująć to w taki sposób, nie. Można tę myśl jednak sformułować inaczej, Dżehano.

– Jak?

Spojrzał na nią spokojnymi, szarymi oczyma. Mało co go poruszało. Niemal chciało się go sprowokować. Pomyślała jednak, że ten człowiek rozmawia z nią dokładnie tak, jak ze swoim zaufanym oficerem. Żadnych ustępstw, żadnej protekcjonalności. No, prawie żadnej. Nie miała pewności, czy tak samo drażni się z Lainem Nunezem.

– Czy lojalność wobec mojego pojmowania honoru bierze górę nad obowiązkiem wobec mojej żony i przyszłości mych synów.

Tu, bliżej wody, wiał lekki wiatr.

– Zechcesz to wyjaśnić? – poprosiła Dżehana.

– Lain i Martin boją się, że będąc wygnanymi w tym szczególnym roku, możemy stracić prawdziwą okazję. Namawiają mnie, żebym poprosił Ramira o pozwolenie na powrót, a kiedy się zgodzi, żebym zerwał kontrakt z Badirem. Postanowiłem tego nie robić. Pewnych rzeczy po prostu nie robię.

– Jakich? Nie zrywasz kontraktów czy nie prosisz o pozwolenie powrotu?

Uśmiechnął się.

– Ani jednego, ani drugiego. Szczególnie tego drugiego. Mógłbym zwrócić moje wynagrodzenie, przecież go nie wydałem. Ale pomyśl o tym, Dżehano. O tej większej sprawie. Jeśli Valledo ruszy na południe przez *tagrę* i obiegnie Fezanę, to w razie zwycięstwa, komu twoim zdaniem Ramiro nada ziemię? – Spojrzał na nią. – Rozumiesz?

Była bystra, a poza tym była córką swego ojca, więc rozumiała.

– Mógłbyś za pieniądze uganiać się wokół Ragosy za bandytami, podczas gdy do zdobycia byłyby całe królestwa.

– Może nie całkiem królestwa, ale z pewnością coś pokaźnego. Coś o wiele większego niż nawet bardzo hojna płaca. Powiedz mi więc, lekarko, czy jestem winien moim chłopcom okazję zostania dziedzicami, powiedzmy, gubernatora Fezany? Albo obszaru nowo zdobytej ziemi

między Ragosą i Carcazją, z pozwoleniem na postawienie zamku?

– Nie potrafię na to odpowiedzieć. Nie znam twoich chłopców.

– To nie ma znaczenia. Są chłopcami. Pytanie w tym, do czego powinien dążyć człowiek, Dzehano. Z honorem.

Jego spojrzenie było bezpośrednie, a nawet nieco onieśmielające. Czasami patrzył tak don Rezzoni. Zapominała, że Rodrigo, jeden z budzących największy postrach wojowników na półwyspie, jest także nauczycielem.

– Nadal nie potrafię odpowiedzieć – rzekła.

Pokręcił głową, po raz pierwszy ze zniecierpliwieniem.

– Myślisz, że idę na wojnę i zabijam, rozkazuję mordować poddających się wrogów, palić kobiety żywcem – robiłem takie rzeczy, Dzehano – z jakiejś prostej żądzy walki?

– Ty mi to powiedz.

W cieniu zrobiło się jej nieco chłodniej. Nie tego spodziewała się po porannym spacerze ulicami miasta.

– Owszem, można czerpać przyjemność z wojny. – Starannie odmierzał słowa. – Temu nie zaprzeczę. Na dobre czy na złe, najbardziej żywy czuję się w obecności śmierci. Potrzebuję niebezpieczeństwa, braterstwa, dumy z umiejętności. Szansy zdobycia honoru, chwały, nawet bogactw – z czego wszystko ma znaczenie na tym świecie, choć nie w Raju Dusz Dżada. Odciąga mnie to jednak od moich bliskich i naraża ich na niebezpieczeństwo pod moją nieobecność. I przecież na pewno, jeśli nie jesteśmy tylko zwierzętami, które żyją, by walczyć, musi istnieć jakiś powód rozlewu krwi.

– A jest nim? Dla ciebie?

– Władza, Dzehano. Bastion. Sposób na zapewnienie sobie takiego bezpieczeństwa, na jakie pozwala ten niepewny świat, oraz szansa zbudowania dla moich synów czegoś, co będą mogli zachować po mojej śmierci.

– I wszyscy tego chcecie? Tym się kierujecie?

Zastanowił się.

– Nie mogę mówić za wszystkich. Niektórym wystarczy słodkie podniecenie. Krew. Niektórzy zabijają, bo to lubią. Spotkałaś kilku takich w Orvilli. Ale założę się... założę się, że gdybyś zapytała Ammara ibn Khairana, powiedziałaby, że jest w tym mieście dlatego, że ma nadzieję, iż pod koniec lata będzie zarządzał Cartadą dla króla Badira.

Dzehana wstała gwałtownie i ruszyła przed siebie, pogrążona w myślach. Rodrigo podniósł swój niewielki pakunek i zrównał się z lekarką. Minęli w milczeniu wszystkie magazyny, aż doszli na koniec długiego pomostu i zatrzymali się nad błękitną wodą. Rybacy ozdabiali łodzie na karnawał. W takielunku i na masztach pojawiły się latarnie i proporce. Słońce stało w zenicie; w samym środku dnia niewiele osób wychodziło na dwór.

– Nie możecie obaj tego zdobyć, prawda? – odezwała się w końcu. – Ty i Ammar. Albo nie na długo. Ramiro nie może zdobyć Fezany i utrzymać jej, jeśli Badir zajmie Cartadę i ją utrzyma.

– Chyba mogłoby się tak stać. Ale nie, nie sędzę, że wydarzą się obie te rzeczy. A z pewnością do tego nie dojdzie, jeśli tu zostanę.

Nie był próżnym człowiekiem, lecz znał swoją wartość. Podniosła na niego wzrok. Patrzył na wodę.

– Rzeczywiście masz problem.

– Tak jak ci mówiłem – rzekł cicho. – Wkrótce rozpoczną się ruchy wojsk, a ja nie wiem, czym to się skończy. Poza tym może zapomniałaś, że są jeszcze inni gracze.

– Nie, nie zapomniałam. Nigdy o nich nie zapominam. – Na jeziorze robiła zwrot jedna zapóźniona łódź; z białymi żaglami jaśniejącymi w słońcu wracała do portu z porannym połowem. – Czy Muwardycjczycy pozwolą wam zacząć podbijać Al-Rassan?

– Odbijać, jak mówimy. Ale nie, wątpię, by pozwolili – rzekł Rodrigo Belmonte.

– A zatem, czy oni też tu przybędą? Tego lata?

– Możliwe. Jeśli ruszą się królowie z północy.

Patrzyli na mewy pikujące nad wodą. Wysoko nad nimi pędziły białe chmury, szybkie jak ptaki.

Džehana spojrzała na swego towarzysza.

– A więc tego lata coś się skończy, prawda?

– Można by powiedzieć, że co roku o każdej porze coś się kończy.

– Można. A czy ty to powiesz?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie. Od pewnego czasu czuję, że zbliżają się zmiany. Nie wiem jakie. Ale myślę, że nadchodzą. – Przerwał na chwilę. – Oczywiście już się w takich sprawach myliłem.

– Często?

Pokazał w uśmiechu zęby.

– Nie bardzo, Džehano.

– Dziękuję za szczerość.

Wciąż na nią patrzył.

– To czysta samoobrona, lekarko. Nie śmiem niczego przed tobą ukrywać. Pewnego dnia może będziesz musiała upuścić mi krwi. Albo obciąć nogę.

Stwierdziła, że nie podoba jej się taka myśl.

– Masz maskę na karnawał? – zapytała, zmieniając temat.

Uśmiechnął się, ale tym razem krzywo.

– Właściwie mam. Ludus i Martin, którzy uważają się za dowcipnych, kupili mi coś wyszukanego. Może ją włożę, żeby zrobić im przyjemność, i trochę pochodzę na początku po

mieście, ale chyba nie spędzę tak całej nocy.

– Dlaczego? Co będziesz robić? Siedzieć owinięty kocem przy kominku?

Uniósł swój pakunek.

– Pisać listy. Do domu. – Zawahał się. – Do żony.

– Ach. Wzywa surowy obowiązek – stwierdziła Dżehana. – Nawet podczas karnawału?

Rodrigo lekko się zarumienił, po raz pierwszy od kiedy go znała, i odwrócił wzrok. Ostatnia łódź już zawinęła do portu. Żeglarze wyladowywali ryby.

– To nie obowiązek – rzekł.

I wtedy Dżehana poniewczasie zrozumiała coś ważnego.

Odprowadził ją do domu. Zaprosiła go na południowy posiłek, ale uprzejmie odmówił. Zjadła sama rybę i owoce, przygotowane przez kucharkę, którą wynajął dla nich Velaz.

Później poszła w zamyśleniu zajrzeć do pacjentów i w zamyśleniu wróciła o zmroku do domu, by się wykapać i przebrać na ucztę w pałacu.

Masur przysłał jej biżuterię. Kolejny hojny gest. Dżehana dowiedziała się, że królewska uczta wyprawiana w wigilię karnawału to niezwykle elegancka okazja. Husari podarował jej szkarłatną suknię wykończoną w czerni. Stanowczo odmówił przyjęcia pieniędzy – to był jedyny spór, który przegrała, i to sromotnie. Popatrzyła na suknię leżącą w pokoju. Była przepiękna. W całym swoim życiu nie miała na sobie czegoś takiego.

Kindathowie mogli nosić tylko błękit i biel, a i to bez ostentacji. Wszyscy jednak wiedzieli, że tego wieczoru – a także następnej nocy – w Ragosie króla Badira takie zasady ulegają zawieszeniu. Dżehana zaczęła się ubierać.

Myśląc o Husarim, przypomniała sobie jego poranne przemówienie. Pompatyczny, wyniosły styl niby-uczonego. Powiedział, że żartuje.

Ale tak nie było, przynajmniej nie do końca.

W pewnych chwilach, pomyślała Dżehana, w obecności ludzi takich, jak Husari ibn Musa czy młody Alvar albo Rodrigo Belmonte, właściwie można było sobie wyobrazić przyszłość półwyspu, w której jest miejsce na nadzieję. Mężczyźni i kobiety mogliby się zmienić, mogliby przekraczać granice, dawać i brać od siebie nawzajem... mając wystarczająco wiele czasu, wystarczająco wiele dobrej woli oraz inteligencji.

W Esperanii, w Al-Rassanie można było stworzyć świat, jeden świat składający się z tych dwóch – albo, gdyby oddać się marzeniom, z trzech światów. Ze słońca, gwiazd i księżyców.

A potem w pamięci stawała Orvilla i Dzień Fosy. Patrzyło się w oczy Muwardyjczyków albo stawało na rogu ulicy i słyszało, jak jakiś wadzi żąda śmierci dla tego nikczemnego kindathijskiego czarnoksiężnika ben Avrena, który pije krew aszaryckich niemowląt, wydzieranych z ramion matek.

„Nawet słońce zachodzi, pani”.

To powiedział Rodrigo.

Nigdy nie знаła nikogo takiego, jak on. Albo nie, to nie całkiem tak. Był jeszcze ktoś, poznany tego samego straszego dnia zeszłego lata. Ci dwaj byli jak lśniąca złocista moneta, mająca z każdej strony inny wizerunek, ale jedną wartość.

Czy to prawda? A może to tylko brzmi jak prawda, niczym słowa jednego z pedagogów, których przedrzeźniał Husari, będące wyłącznie symetrią pozbawioną treści?

Nie знаła odpowiedzi na to pytanie. Tęskniła za Nunayą i kobietami spoza murów Fezany. Tęskniła za własnym pokojem w domu. Tęskniła za matką.

Bardzo tęskniła za ojcem. Wiedziała, że chciałby widzieć ją taką, jak wygląda teraz. Nigdy już jej nie zobaczy, nigdy nie zobaczy już niczego. Człowiek, który mu to zrobił, nie żyje. Zabił go Ammar ibn Khairan, a potem napisał na niego lament. Słyszac tę elegię w pałacu, w którym tego wieczoru znów miała zjeść kolację, w sali, przez którą płynął strumień, Dzehana była bliska łez.

Trudno znieść to, że bez względu na swoje starania nie można znaleźć odpowiedzi na tak wiele pytań.

Dzehana stanęła przed rzadko używanym zwierciadłem i przymierzyła biżuterię od Masura. Patrzyła na siebie przez długi czas.

W końcu usłyszała coraz bliższe dźwięki muzyki, a potem stukanie do drzwi na dole. Otworzył je Velaz. Masur przysłał po nią eskortę; wyglądało na to, że składa się z muzyków grających na instrumentach strunowych i dętych. Zdaje się, że zeszłej nocy przyprawiła go o poczucie winy. Powinno ją to rozbawić. Stała bez ruchu jeszcze chwilę, wpatrując się w swój obraz w zwierciadle.

Nie wyglądała jak lekarka służąca w oddziale wojskowym. Wyglądała jak kobieta – nie młoda pierwszą świeżością młodości, ale i nie stara; miała zupełnie ładne kości policzkowe i niebieskie oczy, podkreślone teraz makijażem oraz naszyjnikiem i kolczykami z lapis lazuli od Masura. Dama dworu, mająca za chwilę dołączyć do skrzącego się towarzystwa na pałacowej uczcie.

Patrzac na postać w zwierciadle, Dzehana wzruszyła ramionami. Przynajmniej ten gest rozpoznała.

Maska, jej prawdziwe przebranie, leżała na stole obok zwierciadła. Czekala jutrzejszego dnia. Tego wieczoru, w pałacu króla Badira, wszyscy będą wiedzieli, że choć może się wydawać bardzo zmieniona, wciąż jest Dzehaną. Cokolwiek to znaczy.

ROZDZIAŁ 13

– Podobało ci się? – zapytał król Ragosy swego kanclerza, przerywając kojącą ciszę.

Spoczywający wśród poduszek Masur ben Avren podniósł wzrok na Badira.

– To ja powinienem cię o to spytać – zauważył.

Badir uśmiechnął się ze swego głębokiego, niskiego fotela.

– Łatwo jest mnie zadowolić – mruknął. – Smakowało mi jedzenie, towarzystwo było dobre.

Muzycy dzisiaj grali wspaniale, szczególnie na instrumentach dętych. Ten twój nowy muzyk z Ronizy to odkrycie. Dobrze mu płacimy?

– Muszę z przykrością powiedzieć, że nadzwyczaj dobrze. Miał też inne propozycje.

Król upił łyk, przysunął kielich do świecy i przyjrzał się w zamyśleniu jego zawartości. Słodkie wino było blade – jak światło gwiazd, biały księżyc, jak dziewczyna z północy. Przez chwilę bezskutecznie usiłował wymyślić jakieś mniej wyświechtane porównanie. Było bardzo późno.

– Jak ci się podobały dzisiejsze wiersze?

Tak się składało, że wiersze stanowiły niejaki problem.

Kanclerz nie odpowiedział od razu. Znów byli sami w komnacie króla. Ben Avren zastanawiał się, ile razy w ciągu tych lat siedzieli tak we dwójkę pod koniec nocy.

Druga żona Badira zmarła zimą przed sześciu laty, rodząc jego trzeciego syna. Król nie ożenił się po raz trzeci. Miał już dziedziców, a nie pojawiła się żadna polityczna konieczność zawarcia jakiegoś oczywistego sojuszu. Czasami wolny stan był korzystny dla monarchy mocno osadzonego na tronie – pojawiały się propozycje, których negocjowanie można było długo przeciągać. Władcy aż trzech krajów mieli powody sądzić, że ich córka mogłaby pewnego dnia zostać królową bogatej Ragosy w Al-Rassanie.

– A co ty o nich myślisz, panie?

Kanclerz zwykle nie odpowiadał pytaniem na pytanie. Badir uniósł brew.

– Jesteś ostrożny, stary przyjacielu? Ze mną?

Masur pokręcił głową.

– To nie jest ostrożność. W gruncie rzeczy niepewność. Być może... jestem uprzedzony z powodu moich własnych aspiracji w królestwie poezji.

– To właściwie stanowi odpowiedź.

Masur się uśmiechnął.

– Wiem.

Król odchylił się i umieścił stopy na ulubionym podnóżku. Ustawił kielich na szerokiej poręczy fotela.

– Co ja myślę? Myślę, że większość utworów była przeciętna. Zwykły przegląd obrazów.

Myślę także – dodał – że nasz przyjaciel ibn Khairan odsłonił w swoim wierszu konflikt – albo celowo, albo to było coś, co raczej wolałby pozostawić w ukryciu.

Kanclerz skinął powoli głową.

– Ująłeś to chyba właściwie. Obawiam się, że uznasz mnie za pochlebcę. – Król Badir patrzył na niego przenikliwie. Czekał. Masur upił łyk wina. – Ibn Khairan jest zbyt uczciwym poetą, panie. Mógłby coś ukrywać w mowie i czynie, lecz raczej nie w wierszu.

– Co z tym zrobimy?

Masur poruszył delikatnie dłonią.

– Nie ma tu nic do zrobienia. Zaczekamy i zobaczymy, jaką podejmie decyzję.

– Czy powinniśmy na tę decyzję wpłynąć? Jeśli wiemy, jakie są nasze pragnienia?

Masur pokręcił głową.

– On wie, co może od ciebie dostać, panie.

– Doprawdy? – W głosie Badira pojawiły się ostrzejsze tony. – Bo ja nie wiem. Co takiego może on dostać ode mnie?

Kanclerz odstawił kielich i usiadł prosto. Pili całą noc – podczas uczyty i teraz we dwóch. Ben Avren był zmęczony, ale myśli miał jasne.

– Jak zwykle, decyzja należy do ciebie, panie mój, lecz ja uważam, że gdyby postanowił zostać z nami, może otrzymać, co tylko zechce.

Zapadło milczenie. To było niezwykle stwierdzenie. Wiedzieli o tym obaj.

– Tak bardzo go potrzebuję, Masurze?

– Nie, jeśli zdecydujemy się niczego nie zmieniać. Jeśli jednak pragniesz czegoś więcej, to tak, potrzebujesz go bardzo.

Następna chwila pełnej zadumy ciszy.

– Oczywiście pragnę czegoś więcej – rzekł król Badir z Ragosy.

– Wiem.

– Czy kiedy mnie zabraknie, moi synowie poradzą sobie z rozleglejszym królestwem, Masurze? Są do tego zdolni?

– Myślę, że przy pewnej pomocy tak.

– Będą mieli ciebie, mój przyjacielu, jak ja?

– Tak długo, jak tylko będę im mógł służyć. Jak wiesz, panie, jesteśmy w bardzo podobnym wieku. Właśnie to chcę ci powiedzieć – oznajmił kanclerz Ragosy.

Badir spojrział na niego. Uniósł swój niemal pusty kielich. Masur wstał płynnym ruchem i podszedł do kredensu. Nalał z karafki królowi, a potem, zachęcony gestem, sobie. Odstawił karafkę i wrócił na poduszki.

– To był nadzwyczaj krótki wiersz – rzekł król Ragosy.

– Owszem.

– Niemal... zdawkowy.

– Niemal. Niezupełnie. – Kanclerz na chwilę zamilkł. – Myślę, że obdarzył cię niezwykle komplementem, panie.

– Ach, tak?

– Pozwolił ci dostrzec, że się zмага. Nie ukrył tego faktu za jakimiś nijakimi, rozbudowanymi wyrazami hołdu.

Król znów nic nie powiedział.

– Chciałbym cię zrozumieć – odezwał się w końcu. W jego głosie pobrzmiwała teraz rzadko spotykana nuta irytacji. Był zmęczony. – Ammar ibn Khairan, poproszony o ułożenie wiersza na dzień moich urodzin, recytuje szybki kawałek o tym, jak to zawsze ma być woda w wodopoju albo wino w moim kielichu. To wszystko. Sześć wersów. A mój kanclerz, mój poeta, mówi, że mam to uznać za komplement?

Masur zachowywał niezmałony spokój.

– Ponieważ z łatwością mógłby zrobić coś więcej, panie, albo przynajmniej stwierdzić, że jego natchnienie nie dorównuje rozmiarom okazji.

– Jest zbyt doświadczony, żeby tego nie zrobić, gdyby odczuwał najmniejszą potrzebę odgrywania roli dworaka. Co oznacza, że chciał, abyś ty – i chyba ja też – zrozumiał, że jest i będzie wobec nas uczciwy. – I to jest komplement?

– Sądzę, że w ustach takiego człowieka tak. Mówi, że uważa nas za wystarczająco przenikliwych, byśmy odczytali to przesłanie w jego sześciu wersach i zaczęli na niego.

– I zaczekamy na niego, Masurze?

– Taka jest moja rada, panie.

Król wtedy wstał, więc kanclerz uczynił to samo. Badir podszedł do okna; na nogach miał pantofle wyszywane klejnotami. Otworzył oba skrzydła z przepięknie wytrawionego szkła i wyrzwał na dziedziniec, gdzie rosły drzewka migdałowe i cytrynowe oraz szemrała fontanna. Zapalone pochodnie oświetlały roztańczoną wodę.

Na ulicach miasta panowała cisza. Następnej nocy tak już nie będzie. W oddali rozległy się dźwięki jakiegoś instrumentu strunowego, a potem tęskny głos. Wysoko na niebie wisiał błękitny księżyc; jego blask muskał trawę i rozedrganą wodę, wpadał też przez otwarte okno do komnaty. Wokół niego i poprzez gałęzie wysokich drzew migotały gwiazdy.

– Masz o tym człowieku bardzo wysokie mniemanie – rzekł w końcu król Badir, spoglądając w noc.

– Jeśli pozwolisz mi na poetycką metaforę, wedle której ludzie są ciałami niebieskimi – odparł kanclerz – to powiedziałbym, iż tej wiosny mamy w Ragosie dwie najjaśniejsze komety nieba.

Badir odwrócił się do niego i po chwili się uśmiechnął. – A gdzie byś umieścił siebie, stary

przyjacielu, na tak lśniącym firmamencie?

Teraz uśmiechnął się i kanclerz.

– Szczerze mówiąc, to proste. Jestem księżycem u twego boku, panie mój.

Król się nad tym zastanowił. Pokręcił głową.

– To nie jest dokładne porównanie, Masurze. Księżyce wędrują. Bierze od tego swoją nazwę twój naród. Ty jednak tkwisz w miejscu. Jesteś niezłomny.

– Dziękuję ci, panie.

Król skrzyżował ręce na piersi, wciąż zadumany.

– Księżyc jest także jaśniejszy od komet – stwierdził. – Chociaż jako dobrze znany, może ściąga na siebie mniej uwagi.

Masur skłonił głowę, lecz nic nie powiedział.

– Wyjdiesz jutro nocą na ulice?

Ben Avren się uśmiechnął.

– Zawsze to robię, panie. Wychodzę na krótko. Karnawał jest pożyteczny, bo można chodzić nierozpoznanym i ocenić nastrój panujący w mieście.

– I robisz to wyłącznie z obowiązku, przyjacielu? Ta noc nie daje ci żadnej przyjemności?

– Tego bym nigdy nie powiedział, panie.

Tym razem obaj się uśmiechnęli.

Po chwili „Badir zapytał w zamyśleniu:

– Ale dlaczego czysta woda ze stawu, Masurze? W jego wierszu. Dlaczego nie samo mocne czerwone wino?

I to też jego kanclerz mu wyjaśnił.

Nieco później Masur ben Avren pożegnał się z królem. Kiedy w końcu dotarł do swoich komnat w pałacu, pani Zabira już czekała.

Oczywiście była bardzo widoczna na uczcie; zadawała wszystkie pytania, jakie mogła zadać osoba dobrze znająca królewskie dwory i pragnąca zdobyć pozycję na tym. Okazywała także z wdziękiem niesłabnące pragnienie zaspokojenia wszelkich potrzeb kanclerza Ragosa – w sposób, który mógłby przewyższyć wszystkie jej poprzedniczki.

Tak się złożyło, że przez całą zimę robiła właśnie to, ku zadowoleniu i zaskoczeniu Masura. Sądził, że jest za stary na coś takiego.

Później, kiedy dryfował ku wybrzeżom snu, czując obok swego ciała jej młodzieńczą nagość, miękką jak kot, ciepłą jak miły sen, usłyszał jej ostatnie pytanie:

– Czy król zrozumiał, co ibn Khairan chciał dziś przekazać w swoim wierszu? O wodzie w wodopoju?

Ta dama z Cartady była bystra, od razu trafiła w sedno. Powinien o tym pamiętać. Choć się starzeje, to nie może pozwolić, by to czyniło go bezbronnym. Widział, jak przytrafiało się to innym.

– Teraz rozumie – mruknął z zamkniętymi oczyma.

Usłyszał jej cichy śmiech. Wydawało się, że ten pieszczotliwy dźwięk przynosi mu cudowną ulgę. Przesunęła ręką po jego piersi i lekko się odwróciła, by ciałniej do niego przylgnąć.

– Obserwowałam dziś Ammara – rzekła. – Znam go od wielu lat. Myślę, że trapi go coś poza... podzieloną lojalnością. Nie sądzę, by sam to jeszcze rozumiał. Jeśli mam rację, to, szczerze mówiąc, byłoby to zabawne.

Otworzył oczy i spojrzał na nią. Czekał. I wtedy Zabira powiedziała mu coś, nad czym się w ogóle nie zastanawiał. Masur ben Avren od dawna myślał, że kobiety postrzegają świat w całkowicie odmienny sposób. Był to jeden z powodów, dla których tak bardzo lubił ich towarzystwo.

Wkrótce potem zasnęła. Natomiast kanclerz Ragosy jeszcze przez długi czas rozważał jej słowa, obracając je w myślach niczym kamyczek w dłoni lub zaskakujące zakończenia wiersza.

*Dla jaśniejszego władcy Ragosy,
Co od dawna zasiada na tronie,
Otoczony słuszną i wielką miłością,
Niech zawsze w przyszłości będzie
Chłodna woda w oświetlonym księżycem stawie
I wino w kielichu.*

Mógłbym może powiedzieć „samotnego przy stawie”, pomyślał Ammar ibn Khairan, ale miałoby to posmak pochlebstwa, chociaż bardzo subtelny, a on nie był jeszcze gotów – tak szybko po elegii dla Almalika – aż tyle dać w wierszu Badirowi z Ragosy. Prawie, ale jeszcze nie całkiem. W tym tkwił problem.

Oczywiście to lwy są samotne, kiedy przychodzą się napić do wodopoju.

Zastanawiał się, czy jego zwięzłość obraziła króla. Szkoda by było. Gwar przy stołach jeszcze nie ucichł, kiedy ibn Khairan, który jako pierwszy z występujących miał skupić na sobie uwagę wszystkich, już skończył recytować swój wiersz. Był on tak prosty, jak tylko udało mu się go ułożyć, i stanowił raczej życzenia niż wyraz hołdu. Oprócz tej aluzji... wody oświetlonej blaskiem księżyca. Jeśli Badir zrozumiał. Ammar nie był tego pewien.

Jestem za stary, pomyślał usprawiedliwiająco, żeby źle używać mojej sztuki.

Każdej twojej sztuki?

Wewnętrzny głos zawsze zadawał trudne pytania. Ammar był poetą, ale także żołnierzem

i dyplomata. To były prawdziwe dziedziny sztuki, składające się na jego życie w Ragosie, tak jak niegdyś w Cartadzie. Poezja? Jest na nią czas, kiedy przycichają wichry świata.

Co powinien zrobić człowiek honoru? Do czego dążyć? Czy do spokoju owego stawu – o którym się śni i pisze – do którego śmie wychodzić spośród ciemnych drzew tylko jeden zwierz, by z niego pić w blasku księżyca, pod gwiazdami?

Ten spokój, ten pojedynczy obraz był dla ibn Khairana probierzem poezji. Miejscem, do którego nie dociera wiatr, gdzie hałas świata i wszystkie jego jaskrawe barwy – hałas i barwy, które nadal kochał! – tracą swą natarczywość i gdzie można było wyczarować zwodniczo prostą sztukę.

Stojąc, jak już tu kiedyś stał pewnej nocy – zaraz po przybyciu do Ragosy – nad wodami Jeziora Serrana, ibn Khairan zrozumiał, że znajduje się jeszcze bardzo daleko od tego ciemnego stawu. Woda i woda. Marzenie aszarytów. Woda ożywiająca ciało i wody, których łaknie dusza. Jeśli nie będę uważał, napomniał samego siebie, skończę pod jakimś łukiem w Soriyyi, bełkotliwie głosząc zagadkowe nauki. Zapuszczę brodę i włosy, będę chodził na bosaka w podartej szacie, a za strawę będą mi służyły chleb i woda, przynoszone przez moich uczniów.

Woda, której potrzebuje ciało, wody, których pragnie dusza.

Zobaczył w blasku niebieskiego księżyca, że w takielunku wszystkich łodzi rybackich wiszą lampy. Nie zostały jeszcze zapalone. Na to przyjdzie czas jutro. Karnawał. Maski. Muzyka i wino. Przyjemności w blasku pochodni. Jasność do świtu.

Czasami trzeba odepchnąć ciemność.

Ukochany Al-Rassanie, przyszła mu w tej chwili do głowy myśl, ostra i nieoczekiwana niczym klinga dobyta spod płaszcza przyjaciela, czy dożyję chwili, w której ułożę też elegię dla ciebie?

W owym podobnym klejnotowi ogrodzie leżącym w samym środku Al-Fontiny ostatni niewidomy kalif Silvenes przywitał go tak dawno temu, jak miłego sercu gościa, a potem klinga – dobyta spod płaszcza przyjaciela – zakończyła jego życie.

Ammar ibn Khairan zaczerpnął tchu i pokręcił głową. Przydałoby się tej nocy mieć obok siebie przyjaciela, lecz Ammar nie tak ułożył sobie życie i rozpamiętywanie tego w tej chwili byłoby słabością. Almalik nie żył, co się przyczyniło do części, sporej części, obecnych trudności.

Dwie noce wcześniej została podjęta – choć jeszcze nie ogłoszona – decyzja, że o pełni białego księżyca najemna armia Ragosy wyruszy do Cartady, by wyrwać to miasto z rąk ojcobójcy. Wymaszeruje i wyjedzie konno w imię małego chłopca, starszego syna Zabiry, który wyblażał u króla Badira schronienie i wsparcie, a u świętych gwiazd wstawiennictwo.

Ibn Khairan stał bez ruchu jeszcze chwilę, a potem odwrócił się od wody i łodzi, by wrócić do domu. Kiedy ostatnio był nad jeziorem późną nocą, przy magazynach czekała Dzehana bet

Iszak; w infirmerii spotkali Rodriga Belmontego. Ammar i Rodrigo zostawili tam roześmianą lekarkę, a sami poszli, by niespodziewanie razem się upić. W noc po dniu, w którym tu przybył, w którym walczyli ramię w ramię.

Było w tym coś intymnego i głęboko niepokojącego.

Pomyślał bez związku, że tego wieczoru Dzehana wyglądała w sali biesiadnej nadzwyczaj pięknie. Szedł po deskach nabrzeża i jego kroki niosły się echem. Minał pierwsze magazyny. Ulice opustoszały. Był całkiem sam.

Ubrała się zbyt kownie w suknię ze szkarłatnego jedwabiu; jako ukłon w stronę praw narzucających Kindathom strój wybrała biżuterię z lapisu i biały szal. Ammar pomyślał, że suknię zapewne dostała od Husariego, a klejnoty prawdopodobnie od ben Avrena.

Kiedy lekarka weszła do sali biesiadnej, z włosami ozdobionymi drogimi kamieniami i lapisową biżuterią dodającą blasku jej oczom, wywołała wśród gości wyraźne poruszenie, mimo że od pierwszego dnia pobytu w Ragosie była stałym elementem dworu, kobietą pragmatyczną i bezpretensjonalną. Ammar pomyślał, że czasem ludzie osiągają punkt, w którym chcą powiedzieć o sobie coś odmiennego.

Droczył się z nią tego wieczoru, że próbuje zwrócić na siebie uwagę króla. Twierdził, że ma aspiracje, by zostać pierwszą kindathijską królową w Al-Rassanie. „Jeśli znów zaczną stawiać na mnie pieniądze”, odparła oschle – jak zwykle szybka – „to daj mi znać, tym razem nie miałabym nic przeciwko dodatkowemu zarobkowi”.

Szukał jej później, po uczcie, po występach muzycznych i poetyckich, łącznie z jego własnym, lecz ona już opuściła pałac. Przyszło mu teraz do głowy, że zniknął też Rodrigo Belmonte. Pojawiła się zbląkana myśl, ulotna jak chmura przesuwająca się przed księżycem.

Idąc tak w stronę centrum miasta, uświadomił sobie, że tych dwoje to jedyni ludzie w Ragosie, z którymi być może chciałby w tej chwili porozmawiać. Jakie to dziwne połączenie. Dżadycki żołnierz i kindathijską lekarka.

A potem poprawił sam siebie. Była przecież trzecia osoba. Ktoś jeszcze. Wątpił jednak, by kanclerz Ragosy był sam, a już bardzo wątpił, by tak późną nocą miał chęć omawiać niuanse poezji, mając w łóżku Zabirę, kobietę wykształconą i ponętą.

Tak się składało, że miał rację i jednocześnie się mylił. W każdym razie poszedł sam do domu, który wraz z ogrodem wynajmował na obrzeżu dzielnicy pałacowej za drobną część wielkiego bogactwa, jakie zdobył w służbie ostatniego króla Cartady.

Następnego dnia – był to ranek rozpoczynający karnawał w Ragosie – żołnierze przyjechali po Diega Belmontego do jego rodzinnej hacjendy, w której mieszkał przez całe swoje krótkie życie.

Jego matki nie było wówczas w domu; objeżdżała wschodnie granice Hacjendy Belmonte,

nadzorując wiosenny spęd nowych źrebiąt. Żołnierze nie zaplanowali nieobecności jej pani, niemniej uznali ją za wielce fortuną okoliczność. Dama słynęła z nieustępliwości, a nawet gwałtowności. Nie tak dawno temu zabiła tu człowieka. Zastrzeliła go z łuku. Ponadto ludzie, którzy przybyli tego dnia, obarczeni pewną szczególną i delikatną misją, nie spodziewali się, że Miranda Belmonte d'Alveda potraktuje ich oraz ich zadanie przychylnie.

W najlepszym wypadku matki były nieprzewidywalne.

Kiedy przyszła z zamku wiadomość, że trzeba sprowadzić na zachód jednego z synów don Rodriga Belmontego, by dołączył do armii gromadzącej się tuż na północ od *tagry*, w Carcazji nie było jakoś natłoku ochotników do wykonania tego zadania.

Entuzjazm opadł jeszcze bardziej, gdy okazało się, że prośba o sprowadzenie chłopca wyszła nie bezpośrednio od króla, lecz od tego duchownego z Ferrieres, Gerauda de Chervallesa. To jemu z jakichś powodów był potrzebny młody Belmonte. Żołnierze zgadzali się, że wplątywanie się w interesy cudzoziemskich duchownych to brudna sprawa. Mimo wszystko król zatwierdził prośbę, a rozkazy są rozkazami. Został sformowany dziesięcioosobowy oddział, który miał pojechać błotnistymi drogami na wschód do Hacjendy Belmonte i przywieźć chłopca.

Jak się okazało w rozmowach przy obozowych ogniskach po drodze, wielu wybranych żołnierzy po raz pierwszy zasmakowało wojny – w starciach z aszarytami albo tymi świniami z Dzalonii czy Ruendy – w wieku czternastu lub piętnastu lat. Chłopiec miał podobno prawie czternaście lat, a jako syn Rodriga Belmontego... cóż, Dżad jeden wie, że powinien umieć walczyć. Nikt nie miał pojęcia, dlaczego armii Valledo jest potrzebny jakiś chłopiec, lecz nikt nie zadawał tego pytania otwarcie.

Przybyli do Hacjendy Belmonte, jadąc pod sztandarem królów Valledo; na spotkanie na wolnej przestrzeni przed drewnianym ogrodzeniem zabudowań wyszło im kilku zarządców, drobny, zdenerwowany duchowny i dwóch chłopców. Po jednego z nich właśnie przyjechali.

Pani domu – która, dowiedziawszy się o ich misji, z radością by ich wszystkich wystrzelała – znajdowała się w innej części posiadłości, jak poinformował ich duchowny. Dowódca oddziału pokazał mu królewską pieczęć i rozkazy. Duchowny – miał na imię Ibero – przełamał pieczęć, przeczytał list, po czym zaskoczył ich, podając go chłopcom, którzy przeczytali go razem.

Synowie don Rodriga byli identyczni. Kilku jeźdźców już uczyniło dyskretnie znak Dżada. Powiadano, że takich identycznych bliźniaków trzymają się magia i czary.

– Ależ oczywiście – rzekł jeden z chłopców, podnosząc wzrok znad przeczytanego listu. – Jeśli król uważa, że mój... dar może się na coś przydać, jeśli pragnie mojego przybycia, to jestem zaszczycony i pojadę.

Dowódca oddziału nic nie wiedział o żadnym darze. Nie bardzo go to obchodziło; po prostu z ulgą przyjął gładki rozwój wypadków.

– Ja też – dodał szybko drugi brat. – Gdzie Diego, tam i ja.

To było nieoczekiwane, ale nie stanowiło chyba wielkiego problemu, więc dowódca się zgodził. Jeśli z jakiegoś powodu król nie życzyłby sobie w Carcazi tego drugiego brata, mógł go odesłać z powrotem. Z kimś innym. Chłopcy zerknęli na siebie i błysnęli identycznymi uśmiechami, a potem popędzili przygotować się do drogi. Niektórzy z żołnierzy wymienili ironiczne spojrzenia. Chłopcy zawsze niecierpliwie wyczekują wojny.

Ci byli bardzo młodzi, ale niezbyt ujmujący. Nie było jednak sprawą żołnierza rozmyślać nad rozkazami, szczególnie gdy chodziło o synów Rodriga Belmontego. Jeźdźcy przyjęli poczęstunek i uprzejmie odmówili noclegu. Ich dowódca uznał, że nierozważnie byłoby kusić los, który sprawił, że pani Hacjendy Belmonte nie było tego dnia w domu. Zjedli coś na zimno, nakarmili i napoiли konie, zaopatrzyli się w jedzenie na drogę.

Żołnierze eskortujący dwóch chłopców oraz tylko nieco od nich starszego giermka wyruszyli z hacjendy ku zachodowi wczesnym popołudniem tego samego dnia, mijając od południa zagajnik i przekraczając strumień w miejscu zaproponowanym przez synów Rodriga. Psy nie odprowadzały ich już dalej; zawróciły wielkimi susami do domu.

Biorąc pod uwagę burzliwe czasy, w których się urodził, Ibero di Vaquez prowadził nieciekawę, nawet stateczne życie. Miał pięćdziesiąt dwa lata. Wychowany w obecnej Dżalonii, we wczesnej młodości udał się na zachód do Esterenu, by uczyć się u tamtejszych duchownych. Miał wtedy trzynaście lat.

Był dobrym akolitą, uważnym i zdyscyplinowanym. Ledwie skończył dwudziestkę, został wysłany w składzie świętej misji, wiozącej relikwie królowej Vaski do najwyższych duchownych w Ferrieres, i uzyskawszy zgodę, został tam dwa lata, spędzając większość czasu we wspaniałych bibliotekach wielkich sanktuariów.

Po powrocie do Esperanii otrzymał – i ochoczo przyjął – krótkoterminową posadę duchownego u Belmontów, umiarkowanie ważnej rodziny hacjenderów z południowego wschodu, gdzie hodowano konie. Możliwości awansu z pewnością były większe w Esterenie czy jednym z większych sanktuariów, lecz Ibero nie był człowiekiem ambitnym i nigdy nie ciągnęło go do dworów czy w równym stopniu rozdzieranych frakcjami ustroni Dżada.

Był spokojnym człowiekiem, nieco przedwcześnie postarzałym, lecz niepozbawionym poczucia humoru czy świadomości, że surowe nakazy boga trzeba czasami dopasowywać do ludzkich ułomności i namiętności. Ta krótkoterminowa posada przekształciła się, jak czasami się to zdarza niepostrzeżenie dla zainteresowanej osoby, w posadę stałą. Mieszkał już z rodziną Belmonte od dwudziestu ośmiu lat, od czasu, gdy sam Komendant był jeszcze chłopcem. Wzniesli dla niego kaplicę i bibliotekę, a potem obie rozbudowali. Uczył pisać i czytać młodego Rodriga, potem jego żonę, a później jego synów.

To było dobre, spokojne życie. Przyjemności czerpał z książek, które zdobywał dzięki

otrzymywanym pieniądзом, a także ze swego ogrodu ziołowego i z korespondencji z licznymi znajomymi. Nauczył się nieco medycyny i cieszył się opinią skutecznego wrywacza zębów. Czasami w domu zjawiał się Komendant i jego oddział, wprowadzając znaczny zamęt. Ibero słuchał w jadalni przywożonych przez żołnierzy opowieści o wojnach i intrygach. Nawiązał nieprawdopodobną przyjaźń z szorstkim, starym Lainem Nunezem, którego bezbożność maskowała szczodrego ducha, jak uważał duchowny.

Dla Ibero di Vaqueza zasłyszane opowieści stanowiły wystarczające źródło niepokoju oraz namiastkę prawdziwego konfliktu. Podobał mu się rytm życia związany z porami roku, odmierzona monotonia dni i lat.

Jego pierwszym wystąpieniem na szerszej scenie świata był napisany przed siedmiu laty krótki, pełen szacunku esej na temat doktrynalnego starcia między duchownymi Ferrieres i Bachiary w kwestii zaćmień słońca. Starcie to i walka o zwierzchnictwo, którą oznaczało, były wciąż nierozwiązane. O ile Ibero się orientował, jego wkład najwyraźniej pozostał niezauważony.

Drugim jego wystąpieniem było napisanie późną jesienią zeszłego roku listu do świętej osoby Gerauda de Chervallesa, najwyższego duchownego Ferrieres, mieszkającego w Esteren.

W odpowiedzi na ów list przybył tego ranka oddział żołnierzy. Przyjechali i odjechali, zabierając ze sobą chłopców. A teraz Ibero stał z pochyloną głową, ścisnął przed sobą drżące dłonie i słyszał, że on też ma opuścić ten dom. Opuścić kaplicę, bibliotekę, ogród, dom. Po niemal trzydziestu latach.

Szlochał. Przez całe życie nikt nigdy się do niego nie zwracał tonem, jakim teraz mówiła do niego Miranda Belmonte w jej małym saloniku. Zachodziło słońce.

– Zrozum mnie bardzo dobrze – mówiła, chodząc przed płonącym kominkiem z pobladłą twarzą i łzami lśnącymi na policzkach. – To była zdrada naszej rodziny. Zdrada zaufania, którym obdarzyliśmy cię w kwestii Diega. Nie zabiję cię ani nie rozkażę zabić. Znam cię i kocham zbyt długo.

Zająknęła się. Zatrzymała się.

– Mógłby to zrobić Rodrigo – rzekła. – Mógłby cię znaleźć, gdziekolwiek się udasz, i zabić za to.

– Nie zrobi tego – szepnął duchowny.

Trudno mu było mówić. Trudno mu też było sobie teraz wyobrazić, jakiej spodziewał się reakcji po donii Belmonte, kiedy pisał jesienią list do Esterenu.

Zgromiła go wzrokiem. Nie potrafił wytrzymać tego spojrzenia. Nie chodziło o jej wściekłość, tylko o łzy.

– Nie – stwierdziła Miranda Belmonte – nie, masz rację, nie zrobi tego. Za bardzo cię kocha. Po prostu ci powie albo napisze, jak bardzo go zraniłeś.

A to złamałoby Iberowi serce. Wiedział, że by tak było. Jeszcze raz spróbował wyjaśnić.

– Najdroższa pani, to jest święty czas, czas wyruszenia pod sztandarem boga. Wkrótce z Bachiary wypłyną na wschód okręty. Jest nadzieja, że jeźdźcy pojawią się w imię Dżada tu, na południu. Za naszych czasów, pani. Może zacząć się odbijanie ziem!

– I mogłoby się zacząć i toczyć dalej bez moich dzieci! – Zacisnęła dłonie w pięści jak mężczyzna, ale Ibero spostrzegł, że drżą jej wargi. – Diego ma szczególny, przerażający dar. Utrzymywaliśmy go w tajemnicy przez całe jego życie. Ty wiesz – wiesz o tym, Ibero! – że duchowni takich ludzi palili. Coś ty mu zrobił?

Z trudem przełknął ślinę.

– Najwyższy duchowny Geraud de Chervalles jest oświeconym człowiekiem. Podobnie jak król Valledo. Jestem przekonany, że Diego i Fernan zostaną przyjęci do wojska z honorami. Jeśli Diego potrafi pomóc w tej świętej sprawie, zdobędzie sławę we własnym imieniu, a nie ze względu na ojca.

– I będzie nazywany czarnoksiężnikiem przez całe swoje życie? – Miranda starła łzy z twarzy. – Pomyślałeś o tym, Ibero? Pomyślałeś? Za jaką cenę zdobędzie tę sławę?

– To będzie święta wojna, pani. Jeśli Diego pomoże w sprawie Dżada...

– Och, Ibero, ty naiwny głupcze! Mogłabym cię zabić, przysięgam, że mogłabym! To nie jest święta wojna. Jeśli do niej dojdzie, to będzie to valledańska kampania o zajęcie Fezany i rozciągnięcie panowania na *tagrę*. To wszystko. Król Ramiro myśli o tym od lat. Twój ukochany najwyższy duchowny po prostu pojawił się we właściwym czasie, by przypieczetować sprawę. To nie jest odbicie ziem przez zjednoczoną Esperanię, Ibero. Nie ma już żadnej Esperanii! Chodzi o rozszerzenie granic Valledo. Bardzo prawdopodobne, że przed nadejściem jesieni Ramiro zwróci się na zachód i obiegnie swego brata w Orvedo. Co na to mówi twój święty bóg?

Błuźniła, a jej dusza znajdowała się pod jego opieką, lecz Ibero bał się złać swoją panią. Było też możliwe, że pod wieloma względami ma rację. Był naiwnym człowiekiem, nie chciał temu przeczyć, ale mimo to...

– Królowie mogą błędzić, Mirando, pani moja. Podobnie skromni duchowni. Robię to, co robię, zawsze w imię Dżada i jego świętego światła.

Usiadła raptownie, jakby opuściły ją resztki sił. Wyglądała, jakby odniosła jakąś fizyczną ranę, a w oczach miała pustkę. Była sama, bez don Rodriga, już od dawna. Iberowi krajało się serce.

„Nazywany czarnoksiężnikiem przez całe swoje życie”.

To mogła być prawda. Pomyślał tylko o tryumfie, o chwale, jaka mogłaby przypaść Diegowi w udziale, gdyby dzięki swojemu darowi widzenia pomógł królowi w walce.

– Znalazłeś się w Hacjendzie Belmonte, by służyć Dżadowi oraz tej rodzinie – rzekła

Miranda cichym, beznamiętnym głosem. – Przez te wszystkie lata nie było to źródłem żadnych konfliktów. Teraz wygląda na to, że konflikt się narodził. Dokonałeś wyboru. Wybrałeś, jak powiadasz, boga i jego światło ponad potrzeby i zaufanie rodziny Belmonte. Masz do tego prawo. Może nawet tego się od ciebie wymaga. Nie wiem. Wiem tylko, że nie możesz dokonać takiego wyboru i tu pozostać. Rano już cię tu nie będzie. Nie odprowadzę cię. Żegnaj, Ibero. Odejdź. Chcę w samotności oplakiwać synów.

Przybity, usiłował znaleźć odpowiedź. Nie potrafił. Nie chciała nawet na niego patrzeć. Poszedł do swoich komnat. Przez chwilę siedział w sypialni, pogrążony w smutku, zagubiony, a potem wszedł do znajdującej się tuż obok kaplicy. Ukląkł i się modlił, nie znajdując żadnej pociechy.

Rano spakował trochę rzeczy. W kuchni dostał prowiant i wino na początek podróży. Służący poprosili go o błogosławieństwo, którego im udzielił, czyniąc nad nimi znak bożego dysku. Szlochali, on też. Kiedy wyszedł na dwór, padało. Był to dobry, bardzo potrzebny wiosenny deszcz.

Przed stajniami czekał na niego osiodłany koń. Dano mu do zrozumienia, że z polecenia pani. Dotrzymała jednak słowa. Nie wyszła, by patrzeć, jak odjeżdża.

Z sercem bijącym jak podczas bitwy Alvar patrzył na powoli zbliżającego się doń szarego pająka *iguarra*. *Iguarra* był jadowity, czasami śmiertelnie. Od jego ukąszenia zmarł syn jednego z parobków w gospodarstwie.

Alvar usiłował się poruszyć, lecz nie był w stanie nic zrobić. Pająk podszedł bliżej i ucałował go w usta.

Alvarowi udało się obrócić w tłumie, uwolnić ręce i objąć pająka. Oddał pocałunek zza swojej orlej maski. Pomyślał, że idzie mu coraz lepiej. Wiele się nauczył od zachodu słońca.

Pająk się cofnął. Niektórym ludziom z łatwością przychodziło manewrowanie w tłumie. Tej sztuczki Alvar jeszcze nie opanował.

– Miło. Znajdź mnie później, orle – rzekła *iguarra*.

Sięgnęła w dół i ścisnęła go przelotnie w intymnym miejscu. Alvar miał nadzieję, że nikt tego nie zauważył. Niewielkie miał na to szansę. Kiedy pająk się oddalił, w żebra Alvara wbił się twardy, kościsty łokieć.

– Cóż bym dał – odezwał się Lain Nunez, rechocząc – żeby znów być młodym i barczystym! Zrobiła ci krzywdę, dziecko?

– Co to znaczy „znów”?! – ryknął Martin, idący z drugiej strony Alvara. Na karnawał stał się lisem; pasowała mu taka maska. – Nigdy nie byłeś zbudowany jak Alvar, chyba że w snach!

– Zakładam – odparł Lain z godnością – że mówisz o jego ramionach, a nie o innych częściach ciała?

Odpowiedział mu wybuch głośnego śmiechu. Alvar pomyślał, że hałas nie może już osiągnąć większego poziomu. Idący przodem – musiał iść przed nimi z uwagi na swoją spektakularną maskę – Husari ibn Musa ostrożnie się odwrócił i machnął do Laina. Zwykle posępny stary wojownik odmachnął mu raźnie. Był czerwono-zielonym kogutem.

Pili od wzejścia pierwszych gwiazd. Wszędzie było pełno jedzenia i kuchennych zapachów: piekących się kasztanów, jagnięciny, drobnościstych ryb z jeziora, serów, kiełbasek, wiosennych melonów. Wszystkie gospody, pękające w szwach, otworzyły swoje podwoje i sprzedawały wino i piwo ze straganów na ulicy. Ragosa zmieniła oblicze.

Alvara już ucałowało więcej kobiet, niż ich dotknął w życiu. Kilka zachęcało go, by odnalazł je później. Noc zaczynała mu się zlewać w jedną plamę. Mimo wszystko usiłował zachować przytomność umysłu. Szukał Dzehany, choć nie znał jej przebrania, oraz pewnej maski pumy, chociaż nikomu by się do tego nie przyznał. Był pewien, że ją rozpozna, nawet w blasku pochodni i w ścisku; przecież miała złotą smycz.

Dzehana zaczynała troszeczkę żałować, że uparła się pozostać incognito i chodzić po ulicach tej nocy samotnie.

Oczywiście fascynowało ją to, a przebywanie w masce w tłumie podobnie nierozpoznawalnych ludzi było niezaprzeczalnie podniecające. Tak naprawdę to nie lubiła dużo pić i nie była zachwycona liczbą mężczyzn – oraz kilku kobiet – którzy już wykorzystali karnawałową atmosferę rozwiązłości, by ją objąć i skraść pocałunek. Właściwie nikt nie nadużywał tego przywileju – było jeszcze wcześniej, a tłumy gęste – lecz Dzehana, która i tak starała się jak najpozytywniej reagować tej nocy, nie mogła powiedzieć, żeby on był przyjemny.

Powiedziała sobie, że to jej wina. Nie chodziła z ludźmi Rodriga z własnego wyboru. Chciała wyjść tylko na chwilę, a potem jak grzeczna dziewczynka wrócić do domu i samotnie położyć się do łóżka.

Z własnego wyboru, akurat. Nikt jej nie znał, chyba żeby w pełgającym świetle pochodni ktoś rozpoznał jej chód albo pochylenie głowy. Pomyślała, że mogłoby się to udać Martinowi albo Ludusowi – byli w takich rzeczach dobrzy. Na razie nie dostrzegła żadnych żołnierzy. Husariego poznałaby z daleka. Tej nocy w Ragosie będzie tylko jeden taki paw.

Do Dzehany podszedł i objął ją brązowy niedźwiedź. Poddała się po przyjacielsku żelaznemu uściskowi i pozwoliła się cmoknąć w usta.

– Chodź ze mną! – zaprosił niedźwiedź. – Bardzo lubię sowy!

– Lepiej nie – odparła Dzehana, chwytając oddech. – Za wcześniej na połamane żebra.

Niedźwiedź się roześmiał, poklepał ją po głowie dłonią w rękawicy i poczłapał dalej. Dzehana rozejrzała się, zadając sobie pytanie, czy w tłumie przepływającym obok niej pod chwiejnym światłem pochodni jest gdzieś Ziri. Nie wiedział, jaką Dzehana ma maskę, a ona wyszła z domu tylnymi drzwiami.

Nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego tak bardzo chciała być sama tej nocy. Albo nie, zapewne potrafiłaby, gdyby zażądała od siebie uczciwej odpowiedzi. Nie zamierzała tego robić. Uznała, że karnawał to nie pora na takie dociekania. To noc, w której można było robić wszystko, o czym przez resztę roku tylko się marzyło. Rozejrzała się. Nieopodal splełli się ze sobą szara wilczyca i koń.

Z tłumu przed nią wyłonił się jeleni o pięknym porożu. W ręku trzymał bukłak. Podał go Dżehanie z lekkim ukłonem. Gdyby bardziej pochylił głowę, mógłby ją nadziać na róg.

– Dziękuję – odparła grzecznie, wyciągając rękę po wino.

– Pocałunek?

Głos był stłumiony, miękki.

– Zgoda – rzekła córka Iszaka ben Jonannona.

To był karnawał. Postąpiła krok do przodu, pocałowała jelenia lekko, przyjęła bukłak i się napiła. Wydawało się, że w mężczyźnie jest coś znajomego, ale Dżehana nie zgłębiała tej myśli – coś znajomego było w połowie mężczyzn, którzy całowali ją tej nocy. To za sprawą masek, wyobraźni i nadmiaru wina.

Jeleń poszedł dalej bez słowa. Dżehana obserwowała go, a potem uświadomiła sobie, że zostawił jej bukłak. Zawołała za nim, ale się nie odwrócił. Wzruszyła ramionami, spojrzała na bukłak, napiła się. To wino było dobre i jeśli nawet zmieszane z wodą, to bardzo słabo.

– Muszę być bardziej uważna – powiedziała na głos.

– Dzisiaj? – zapytał ze śmiechem stojący obok niej brązowy królik. – To absurd. Chodź z nami. Idziemy do łodzi.

Było ich czworo, same króliki, trzy kobiety i mężczyzna obejmujący dwie z nich. Pomysł wydawał się rozsądny. Równie rozsądny jak cokolwiek innego. I tak naprawdę to lepszy od samotnego wałęsania się. Po drodze nad jezioro poczęstowała ich winem z bukłaka.

Oczy ukryte za maską obserwowały z mroku cofniętego wejścia, jak biała sowa pocałowała przelotnie jelenia, który następnie odszedł z wdziękiem, zostawiając jej wino.

Sowa wyraźnie się zawahała, znów pociągnęła z bukłaka, a potem odeszła w inną stronę z czwórką królików.

Króliki w ogóle się nie liczyły. Jelenia i sowę znał. Obserwator, przebrany pod wpływem impulsu za lwicę, wychynął z ukrycia i poszedł za jeleniem.

W krajach oddających teraz cześć albo Dżadowi, albo gwiazdom Aszara zachowały się pogańskie legendy o mężczyźnie zmienionym w jelenia. W krajach podbitych przez zwolenników słonecznego boga człowiek ten został przemieniony za to, że porzucił pole bitwy dla kobiecych ramion. Na wschodzie – w Ammuzie i Soriyyi, zanim Aszar zmienił swoimi wizjami świat – pradawna opowieść mówiła o myśliwym, który śledził boginię kąpiącą się

w leśnym jeziorku i stał się jeleniem.

W każdej z tych opowieści jelen – niegdyś człowiek – łatwo padał ofiarą psów i za swój grzech, za jeden niewybaczalny grzech był rozrywany na strzępy w sercu mrocznego lasu.

Od czasu pierwszych karnawałów w Ragosie pojawiło się kilka zwyczajów. Jednym z nich była oczywiście rozwiązłość i jej można się było spodziewać. Drugim było uprawianie sztuki, jej częstej towarzyski.

Między pałacem i leżącą na południu Bramą Rzeczną znajdowała się gospoda Ozry. Pod dobrotliwym spojrzeniem długoletniego właściciela zbierali się w niej poeci i muzycy Ragosy – oraz ci, którzy, zamaskowani, pragnęli zostać zaliczeni do ich grona, choćby tylko na jedną noc – i prezentowali się sobie nawzajem oraz wszystkim, którzy przerywali przy jej drzwiach chwiejny pochód ulicami miasta, anonimowe wiersze i pieśni.

Karnawał u Ozry był spokojniejszy, chociaż wcale nie mniej interesujący. Maski pozwalały ludziom występować w sposób, na jaki być może nigdy by się nie odważyli bez przebrania. Do tej skromnej gospody przychodzili w karnawałową noc niektórzy z najsłynniejszych artystów Ragosy, chcąc sprawdzić, jaką reakcję wywołują ich dzieła pozbawione otoczki sławy i mody.

Nie zawsze byli zadowoleni z rezultatów. Tej nocy publiczność była trudna i wyrafinowana – i też nosiła maski.

Czasami następowały zabawne wydarzenia. Wciąż pamiętano, jak przed dziesięciu laty na stołku wykonawcy usiadł pewien wadzi przebrany za wronę i wyrecytował paskudną satyrę na Masura ben Avrena. Wyraźnie była to próba przeniesienia kampanii przeciw kiridathijskiemu kanclerzowi na inny poziom.

Wadzi miał dobry głos i nawet znośnie grał na swoim instrumencie, ale bardzo niezręcznie odmówił zwyczajowego kielicha wina podawanego wykonawcom, zapomniał też zdjąć tradycyjne sandały noszone przez wadżich, a wzorowane na sandałach, które nosił na pustyni Aszar. Od chwili, gdy usiadł, wszyscy w gospodzie dokładnie wiedzieli, kim jest, a rozbawienie tą wiedzą całkowicie pozbawiło satyrę kąśliwości.

W następnym roku pojawiły się u Ozry trzy wrony i wszystkie miały na nogach sandały wadżich. Piły jednak bez skrępowań, a potem dały wspólny występ, w którym nie było nic pobożnego. Tym razem satyrę wymierzono w wadżich; odniosła wielki i pamiętny sukces.

W Ragosie ceniono pomysłowość.

Respektowano także rytuały tej nocy i wykonawca zajmujący teraz miejsce na stołku między czterema świecami w wysokich, czarnych świecznikach mógł liczyć na uprzejmą uwagę słuchaczy. Przebrał się bardzo skutecznie – miał zwyczajne ubranie, które niczego nie wyjawiało, oraz maskę charta, zakrywającą mu całą twarz. Nikt nie wiedział, kto to jest. O to, oczywiście, chodziło.

Usadowił się i rozejrzał po zatłoczonej sali. Nie miał instrumentu. Ozra di Cozari, niegdyś z Eschalou w Dżalonii, lecz od dawna czujący się w Al-Rassanie jak u siebie w domu, widział zza kontuaru, że mężczyzna na stolku kogoś zauważył. Chart zawahał się, a następnie skłonił głowę w geście pozdrowienia. Ozra powędrował wzrokiem za jego spojrzeniem. Pozdrowiony człowiek wszedł już jakiś czas temu, ale trzymał się blisko drzwi. Wchodząc, musiał pochylić głowę z powodu rozgałęzionych rogów. Piękna maska jelenia, która skrywała jego oczy i górną połowę twarzy, pozwalała dostrzec, że uśmiechnął się w odpowiedzi.

Ozra odwrócił się do charta siedzącego między świecami i słuchał. Tak się składało, że wiedział, kto to jest. Poeta zaczął swój występ bez tytułu czy jakichkolwiek wstępów.

*Mamyż się ociągać w Ragosie wśród wiosennych kwiatów,
Między białym diamentem jeziora
I błękitnym naszymnikiem rzeki
Odpęzającej na południe ku morzu,
Tak jak perły przesuwają się między kobiecymi palcami?
Mamyż się ociągać, by pieśnią chwalić to miasto?
I mamyż nie pamiętać Sihenes za czasów Lwów?
Powiadają, że w fontannach Al-Fontiny
Każdego dnia Karmiono ryby dwudziestoma tysiącami bochenków chleba.
W Sihenes kalifów, W fontannach Al-Fontiny.*

W gospodzie poniósł się szmer. To było coś nieoczekiwanego, tak w formie, jak i w nastroju. Poeta przerwał i napił się ze stojącego obok kielicha. Znow się rozejrzał, czekając, aż ludzie się uciszą, i deklamował dalej.

*Mamyż się ociągać wśród tego kruchego piękna,
Podziwiając grę światła na kości słoniowej?
Mamyż zapytać samych siebie,
Co się stanie z Al-Rassanem,
Ukochanym przez Aszara i gwiazdy?
Co się stało z Sihenes?
Gdzież się podziały ośrodki mądrości i nauczyciele?
Gdzież się podziały tancerki o szczupłych kostkach
I muzyka spod drzewek migdałowych?
Gdzież jest pałac, z którego przesławni kalifowie
Wypadali z grzmiotem kopyt wielkich armii?*

*Jakie dzikie zwierze przechadza się swobodnie
Między zniszczonymi filarami?
Widać tam wilki w białym świetle księżyca.*

Rozległ się kolejny szmer, lecz szybko ucichł, bo tym razem poeta nie przerwał.

*Zapytajcie w warownej Cartadzie o wieści z Sihenes,
Lecz zapytajcie tu, w Ragosie o Al-Rassan.
Zapytajcie samych siebie, między rzeką i jeziorem,
Czy zniesiemy, by gwiazdy były przesłonięte.
Zapytajcie rzeki, zapytajcie jeziora,
Zapytajcie wina płynącego tej nocy
Między pochodniami i gwiazdami.*

Poeta skończył. Wstał i zszedł z podwyższenia. Nie mógł jednak uniknąć oklasków, dowodu szczerzego uznania, ani zamyślonych spojrzeń odprowadzających go do kontuaru.

Zgodnie z tradycją Ozra postawił przed nim kielich swego najlepszego białego wina. Zwykle przy okazji żartował, lecz teraz nie wiedział co powiedzieć.

„Zapytajcie wina płynącego tej nocy”.

Ozre di Cozariego rzadko poruszały wiersze lub pieśni wykonywane w jego gospodzie, lecz to, co właśnie usłyszał, miało w sobie coś szczególnego. Mężczyzna w przebraniu charta uniósł kielich i pozdrowił Ozrę gestem, po czym wypił wino. Bez szczególnego zaskoczenia gospodarz zauważył, że jeleni wszedł do środka i stanął tuż obok.

Chart odwrócił się ku niemu. Byli równego wzrostu, chociaż rogi jelenia sprawiały, że wydawał się – wyższy.

Bardzo cicho, tak że Ozra di Cozari był niemal pewien, że oprócz charta usłyszał to tylko on, jeleni powiedział:

– „Ukochanym przez Aszara”?

Poeta zaśmiał się cicho.

– No cóż. Co miałem zrobić?

Ozra nie zrozumiał, ale też wcale się tego nie spodziewał.

– Chyba dokładnie to, co zrobiłeś – odparł jeleni. Maską całkowicie skrywała jego oczy. – Był bardzo dobry. Mroczne myśli na karnawał.

– Wiem. – Chart się zawahał. – Z mojego doświadczenia wynika, że karnawały mają swoją mroczną stronę.

– Z mojego podobnie.

– Usłyszemy jakiś twój wiersz?

– Chyba nie. To, co właśnie usłyszałem, nauczyło mnie pokory.

Chart pochylił głowę.

– Jesteś nadto szczodry. Podoba ci się ta noc?

– Miły początek. Rozumiem, że dopiero się zaczęła.

– Dla niektórych.

– Dla ciebie nie? Nie wyjdiesz na ulice? Ze mną?

Kolejna chwila wahania.

– Dziękuję, ale nie. Napiję się jeszcze trochę dobrego wina Ozry i posłucham wierszy i muzyki, a potem pójdę spać.

– Spodziewamy się dzisiaj jakichś wron?

Chart znów się roześmiał.

– Słyszałeś o tym? W czasie karnawału nigdy niczego się nie spodziewamy, dlatego mamy nadzieję, że nigdy nie będziemy rozczarowani ani wielce zaskoczeni.

Jeleń uniósł głowę.

– Przynajmniej w tym się różnimy. Ja zawsze mam nadzieję na zaskoczenie.

– A zatem tego ci życzę.

Wymienili spojrzenia, po czym jeleń się odwrócił, przecisnął do drzwi i wyszedł na ulicę. Podwyższenie zajął teraz czarny byk z niewielką harfą.

– Chyba napiję się jeszcze wina, Ozro, jeśli łaska – rzekł chart.

– Tak, panie – powiedział mimowolnie gospodarz. Mówił jednak dość cicho i nie sądził, by go ktoś usłyszał.

Kiedy nalewał wino, zobaczył, jak do stojącego przy barze poety podchodzi pierwsza kobieta. To też zawsze się zdarzało podczas karnawału.

– Moglibyśmy porozmawiać na osobności? – zapytała cicho lwica. Chart odwrócił się, by na nią spojrzeć. To samo zrobił Ozra. To nie był kobiecy głos.

– Dzisiejszej nocy trudno o rozmowę na osobności – zauważył poeta.

– Jestem pewien, że coś wymyślisz. Mam dla ciebie pewną informację.

– Doprawdy?

– Będę chciał czegoś w zamian.

– Wyobraź sobie moje zdumienie.

Chart upił łyk wina, uważnie przyglądając się nieznajomemu. Lwica roześmiała się; spod jej maski wydobył się głęboki dźwięk.

Ozra poczuł ukłucie niepokoju. Wyglądało na to, że ten mężczyzna przebrany za kobietę doskonale wie, kim jest poeta, co stwarzało poważne niebezpieczeństwo.

– Nie ufasz mi?

– Mógłbym ci zaufać, gdybym wiedział, kim jesteś. Dlaczego włożyłeś maskę, która zmienia twoją płęć?

Minimalne wahanie.

– Bawi mnie to. Według legend żadne zwierzę nie broni swoich młodych tak zajadle.

Chart ostrożnie odstawił kielich.

– Rozumiem – rzekł w końcu. – Jesteś bardzo zuchwały. Muszę powiedzieć, że jednak jestem zaskoczony. – Spojrzał na Ozrę. – Czy na górze jest jakiś pokój?

– Idźcie do mojego – zaproponował gospodarz.

Sięgnął pod kontuar i podał klucz. Chart i lwica przeszli przez salę i weszli po schodach na górę. Obserwowało ich kilka par oczu. Czarny byk na podwyższeniu skończył stroić instrument i zaczął grać.

– Jak mnie znalazłeś? – zapytał Masur ben Avren, zdejmując maskę w niewielkiej sypialni.

Drugi mężczyzna przez chwilę zmagął się z własną maską. Udało mu się ją zdjąć.

– Zostałem do ciebie doprowadzony – odparł. – Miałem do wyboru śledzenie dwojga ludzi i dobrze wybrałem. Przyproceedził mnie tu jeleń.

– Poznałeś go?

– Potrafię rozpoznać ludzi nie tylko po wyglądzie, ale i po ruchach. Tak, poznałem – przyznał Tarif ibn Hassan, drapiąc się po podbródku. Jego długa siwa broda została zgolona. Uśmiechnął się.

Kanclerz Ragosy po chwili zrobił to samo.

– Nigdy nie sądziłem, że cię poznam – powiedział. – Wiesz, że wyznaczono tu nagrodę za twoją głowę?

– Oczywiście. Jestem tym urażony, Cartada proponowała więcej.

– Cartada ucierpiała więcej.

– Zapewne. Mam to naprawić?

– Mam ci pozwolić opuścić miasto?

– Jak chciałbyś mnie zatrzymać, gdybym cię teraz zabił?

Wyglądało na to, że kanclerz się nad tym zastanawia. Po chwili podszedł do stolika i podniósł stojący na nim dzbanek z winem. Były tam też kielichy. Machnął ręką, w której trzymał wino.

– Jak być może się zorientowałeś, mam tu z gospodarzem umowę. Rozmawiamy na osobności, lecz nie jesteśmy zupełnie sami. Mam nadzieję, że nie będę musiał ci tego zademonstrować.

Zbójca rozejrzał się wtedy i zauważył uchylone wewnętrzne drzwi, a inne wychodzące na balkon.

– Rozumiem – rzekł. – Powinienem się tego spodziewać.

– Zapewne. Spoczywa na mnie pewna odpowiedzialność i nie mogę być całkiem lekkomyślny, nawet dzisiejszej nocy.

Ibn Hassan przyjął kielich, który podał mu kanclerz.

– Gdybym chciał cię zabić, i tak mógłbym to zrobić. Gdybyś chciał mnie pojmać, już byłbym w więzach.

– Wspomniałeś o jakichś wieściach. Oraz o cenie. Jestem ciekawy.

– Cenę powinienś znać.

Ibn Hassan spojrzał znacząco na swoją maskę.

– Ach – rzekł kanclerz. – Oczywiście. Twój synowie?

– Moi synowie. Okazuje się, że tęsknią za nimi na starość.

– Potrafię to zrozumieć. Dobrzy synowie to wielka pociecha. Twój to wspaniali mężczyźni; cieszy nas ich obecność wśród nas.

– Ludzie w Arbastro tęsknią za nimi.

– Smutne koleje wojny – powiedział spokojnie ben Avren. – Co takiego chcesz mi powiedzieć?

Tarif ibn Hassan wypił do dna i wyciągnął rękę z kielichem. Kanclerz napełnił go ponownie.

– Muwardyjczycy całą zimę budowali statki. W nowych stoczniach w Abeneven. Wśród nich wciąż przebywa Hazem ibn Almalik. Stracił dłoń. Nie wiem, w jaki sposób ani dlaczego.

Teraz Masur napił się w zamyśleniu.

– To wszystko?

– Bynajmniej. Kiedy o coś proszę, staram się płacić dobrą monetą. Almalik II z Cartady rozsiewa plotki o Kindathach z Fezany. Nie wiem w jakim celu, narasta tam jednak napięcie.

Kanclerz odstawił wino.

– Skąd o tym wiesz?

Tarif wzruszył ramionami.

– Sporo wiem o tym, co się dzieje na ziemiach kontrolowanych przez Cartadę. Wyznaczono tam za mnie wysoką cenę, pamiętasz?

Masur przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

– Almalik jest zaniepokojony – orzekł w końcu. – Czuje się odsłonięty. Jest jednak sprytny i nieprzewidywalny. Przyznam, że nie bardzo wiem, co robi.

– Ja też nie – zgodził się przywódca bandytów. – Czy ma to jakieś znaczenie? Jeśli przyjdzie do ruszenia wojsk?

– Może i nie. Masz coś jeszcze? Bardziej błyszczące monety?

– Myślę, że już dałem ci ich sporo. Jest jeszcze jedna rzecz. Co prawda, nie bardziej błyszcząca. Dżadycka armia w Bachiarze. Jednak wypływa do Soriyyi. Nie sądziłem, że do tego

dojdzie. Myślałem, że przez zimę wszyscy się tam nawzajem zjedzą.

– Ja też. Nie stało się tak?

– Nie stało.

Zapadło milczenie.

Tym razem to bandyta napełnił kielichy.

– Słyszałem twój wiersz – powiedział. – Kiedy go słuchałem, wydawało mi się, że już o tym wszystkim wiesz.

Ben Avren spojrział na niego.

– Nie. Może to było przecucie. Mój naród ma pewien zwyczaj – to w gruncie rzeczy zabobon. Wypowiadamy nasze obawy na głos jako talizman, mamy nadzieję, że ujawniając je, nie dopuszczamy do ich ziszczenia.

– Talizmany zwykle nie są skuteczne – zauważył Tarif ibn Hassan.

– Wiem – zgodził się kanclerz. – Jak obiecałeś, dałeś mi sporo monet. – Mówił teraz z werwą. – Szczerze mówiąc, już nie ma znaczenia, czy wyjawisz, co się stało w Emin ha’Nazar. Tak czy owak, nie bardzo sobie wyobrażam, byś to zrobił. Propozycja, którą ci tam złożono, nadal jest aktualna: chcesz wejść w skład armii, która zajmie Cartadę?

– Która spróbuje zająć Cartadę.

– Jeśli nam pomożesz, mam wielkie nadzieje, że wszystko się powiedzie.

Stary wódz pogładził szczecinę na brodzie.

– Obawiam się, że niewielki będę miał wybór. Moi synowie chcą wziąć w tym udział, a ja nie mam siły przekonać ich obu.

– W to nie wierzę – rzekł z uśmiechem Masur. – Jeśli jednak chcesz to ująć w ten sposób, to nie ma dla mnie znaczenia. Spotkaj się z nami na północ od Lonzy. Wyślę do ciebie heroldów, by ustalić dokładny czas, ale wyjeżdżamy stąd o pełni białego księżycy.

– Tak szybko?

– Biorąc pod uwagę to, co mi powiedziałeś, sprawa jest tym bardziej pilna. Jeśli inne armie wyruszają w pole, to chyba lepiej, żebyśmy się znaleźli tam przed nimi?

– Jesteście chronieni od zaplecza? W Fibazie?

– Na to właśnie wydałem pieniądze, które, według tego, co sądzi cały świat, ukradłeś Dżalonom wiozącym *parias*.

– Mury?

– Oraz żołnierze. Dwa tysiące z Karchu i Waleski.

– I będą lojalni w walce przeciwko dżadytom?

– Jeśli im zapłacę, to myślę, że tak.

– A co z Belmontem? Czy don Rodrigo jest z tobą?

Masur znów się zamyślił.

– Na razie tak. Jeśli Ramiro z Valledo stanie do walki, to nie powiem, że będę go pewien.

– Niebezpieczny człowiek.

– Większość użytecznych ludzi jest niebezpieczna. – Kanclerz uśmiechnął się cierpko. –

Łącznie z bezbrodymi bandytami, którzy chcą odzyskać synów. Poślę po nich. W gruncie rzeczy zrobię to zaraz. Być może najbezpieczniej będzie, jak wyjedziecie jeszcze tej nocy.

– Pomyślałem to samo. Na wszelki wypadek znalazłem ich, zanim poszukałem ciebie. Czekają na mnie za murami.

Masur po raz pierwszy sprawiał wrażenie zaskoczonego. Odstawił kielich.

– Już ich odzyskałeś? To dlaczego...?

– Chciałem cię poznać – wyjaśnił zbójca. Uśmiechał się posepnie. – Po tylu latach. Nie lubię także łamać danego słowa, chociaż to cię może zdziwić. Ibn Khairan i Belmonte darowali im życie w zamian za naszą przysięgę, że zostaną zakładnikami. Życie Abirowi zwróciła ich lekarka.

– Moja lekarka – poprawił pośpiesznie kanclerz.

Tarif uniósł brwi.

– Jak chcesz. W każdym razie nie chciałem po prostu ich wykraść. Mogłoby to potwierdzić twoje najgorsze obawy co do mnie.

– A zamiast tego?

Ibn Hassan się roześmiał.

– Prawdopodobnie potwierdziłem twoje najgorsze obawy co do mnie.

– W dużym stopniu – rzekł kanclerz Ragosa. Po chwili jednak wyciągnął dłoń. Ibn Hassan ją przyjął. – Cieszę się, że porozmawiałem z tobą – stwierdził Masur. – Żaden z nas nie jest już młody. Możemy więcej nie mieć do tego okazji.

– Nie planuję szybko zakończyć życia – rzekł ibn Hassan. – Może w przyszłym roku przedstawię tu podczas karnawału jakiś wiersz.

– To mogłaby być rewelacja – orzekł ben Avren, gładząc brodę.

Kiedy przywódca bandytów z Arbastro włożył maskę i wyszedł, kanclerz siedział samotnie przez jakiś czas. Nie miał zamiaru nikomu tego mówić, ale wiadomość o wypłynięciu armii na wschód uderzyła go jako niewyobrażalnie zła.

A plotki rozprzestrzeniane o jego kindathijskich braciach w Fezanie – to było przerażające. Nie miał pojęcia, co zamierza Almalik II z Cartady, ale było jasne, że czuje się przerażony i samotny, więc uderza na oślep. Czasami najtrudniej jest zrozumieć przestraszonych ludzi.

Ibn Hassan zapytał o Rodriga Belmontego, ale nie o tego drugiego. Ten drugi stanowił taki sam problem, a pod pewnym względem był nawet ważniejszy.

– Żałuję, że nie jestem czarnoksiężnikiem, cokolwiek to oznacza – mruknął cierpko Masur ben Avren.

Poczuł się zmęczony; znów dokuczało mu biodro. Wydawało mu się, że powinien wydać

jakieś rozkazy łucznikom na balkonie albo strażnikom w przyległym pokoju, ale nic nie przychodziło mu do głowy.

Był karnawał. Słyszał hałas dobiegający z ulicy. Zagłuszał harfę grającego na dole czarnego byka. Noc robiła się coraz głośniejsza i dziksza. Okrzyki i śmiech. Ostry, wysoki terkot kołatek, których tak nie znosił. Nagle nasunęło mu się pytanie, dokąd poszedł tamten jeleni.

A potem przypomniał sobie, co mu powiedziała Zabira zeszłej nocy w łóżku.

ROZDZIAŁ 14

To kocica znalazła Alvara, późno szaloną nocą, kiedy niebieski księżyc od dawna wędrował na niebie wśród gwiazd i rzucał na ziemię swoje światło.

Alvar już wcześniej odłączył się od pozostałych. Protestującego bez przekonania Laina odciągnęło stadko polnych myszy. Zdradził je ich chichot – to były dziewczęta usługujące do stołów w ulubionej gospodzie ludzi Rodriga. Droczyły się ze starym surowym Lainem już od pewnego czasu i ostrzegały przed losem, jaki miał go spotkać dzisiejszej nocy.

Ciekawy wszystkiego Ludus zabawił na rogu ulicy, obserwując wilka połykającego ogień i usiłując dociec, na czym polega ta sztuczka, i już ich nie dogonił. Alvar nie bardzo wiedział, gdzie i kiedy zgubił Martina ani jak udało się zniknąć pawim piórom, które stanowiły krzykliwe przebranie pewnego handlarza jedwabiem. Zrobiło się bardzo późno. Nie powinien był tyle pić.

Nigdzie nie widział Dzehany. Myślał wcześniej, że może pozna ją po chodzie, ale wraz z upływem nocy ulice ogarniał coraz większy szal i czasami nawet trudno było stwierdzić, czy osoba przechodząca w ciemności to mężczyzna, czy kobieta. Przypomniawszy sobie, że Dzehana wie, jaką on ma maskę; jeśli będzie krążył po ulicach, być może znajdzie go w tłumie, pozdrowi i rzuci jakiś żart. Może w tym zmienionym, pełgającym świetle dojdzie do pocałunku. Chociaż to był niebezpieczny kierunek dla myśli Alvara.

Otaczała go zbyt wielka rozwiąłość; na ulicach Ragosa panowała mocno naładowana, wyuzdana atmosfera. Alvar odczuwał przejmujące pożądanie – a także coś bardziej złożonego.

Samotny, z dala od domu w obcym kraju, błąkał się z bukłakiem przy biodrze ulicami, wśród masek czworonogów, ptaków i nigdy nieistniejących bajecznych stworów, mijając stoiska z jedzeniem, sprzedawców wina i muzyków, którzy grali w pomarańczowo-bursztynowym blasku świec i pochodni, pod niebieskim księżycem i wiosennymi gwiazdami. Marzył o pociesze, o dzieleniu się tym, co trudny, zmienny świat oferuje mężczyznom i kobietom.

Znalazł coś zupełnie innego.

Ścisłej mówiąc, smycz.

Ześliznęła się po jego orleń masce i oplotła mu szyję, kiedy obserwował tancerzy na placu nieopodal koszar. Tańczący cały czas dotykali dłońmi ciał partnerów, a kobiety były podnoszone i obracane w sposób, jakiego nigdy nie widział. Spróbował sobie wyobrazić, że się do nich przyłącza, ale porzucił tę myśl. To nie dla syna żołnierza z gospodarstwa na północy Valledo.

Właśnie wtedy z tyłu spadła na niego smycz i zacisnęła mu się na szyi. Alvar odwrócił się szybko. Na chwilę oślepiła go zbyt blisko niesiona pochodnia, ale zaraz odzyskał wzrok.

– Będę musiała się zastanowić, jak bardzo jestem urażona – rzekła gibka puma, którą widział na ulicy poprzedniego ranka. – Miałeś mnie znaleźć, Valledaninie. Zamiast tego...

Miała naszyjnik stanowiący komplet z maską i sporo innej biżuterii. Jakby dla równowagi,

była skąpo odziana, a to, co na siebie włożyła, opinało się na ciele. Głos dobywający się spod maski niesamowicie przypominał mruczenie kota.

– Szukałem! – wyjąkał Alvar, a potem się zaczerwienił.

– Dobrze – mruknęła. – To nieco zmniejsza twoją winę. Ale tylko trochę. To nie ja powinnam polować tej nocy.

– Jak mnie rozpoznałaś? – zapytał, usiłując odzyskać przytomność umysłu.

Usłyszał jej śmiech.

– Mężczyzna twojej budowy w aszaryckich pantoflach? To nie było trudne, mój północny żołnierzu. – Przerwała i lekko pociągnęła za złotą smycz. – Teraz naprawdę jesteś mój, rozumiesz? Bez względu na to, co postanowię robić tej nocy.

Alvar stwierdził, że zaschło mu w ustach. Nie odpowiedział. Tak naprawdę nie musiał. Zobaczył, że kobieta się uśmiecha pod maską. Ruszyła, a on poszedł za nią, dokądkolwiek go prowadziła.

Pod pewnym względem nie było to daleko – tuż za róg, do domu, który stał w pobliżu pałacu i wychodził na ten sam rozległy plac, co koszary. Przeszli przez imponujące podwójne drzwi, przecięli oświetlony pochodniami dziedziniec i wspięli się po schodach na piętro. Dom był elegancko urządzone. Ubrani na czarno służący mieli na twarzach maski drobnych leśnych zwierząt; w milczeniu patrzyli na mijających ich pumę i orła.

Natomiast w innym sensie to, co nastąpiło, kiedy kobieta wprowadziła go do pokoju z ogromnym kominkiem, z szerokim łóżem pod baldachimem i z balkonem wychodzącym na plac, stało się jedną z najdłuższych podróży w życiu Alvara.

Dzehana znów była sama. Opuściła czwórkę brązowych królików nad wodą, nawet nieco niechętnie, ponieważ towarzystwo było zabawne, ale nie miała zbytnej ochoty brać udziału w wyraźnie rosnącej zażyłości i w pewnej chwili po prostu wymknęła się z łodzi rybackiej i wróciła spokojnie na pomost, w tłum.

Wciąż miała przy sobie bukłak, który jej zostawił jelen, ale przestała pić. Czowała się zupełnie trzeźwa, niemal niepokojąco trzeźwa. Chodząc tak późną nocą po ulicach, odkrywała, że mimo całej tej maskarady trudno jest się ukryć przed samym sobą w noc karnawału.

W pewnym momencie spostrzegła Husariego w jego niezwyklej masce. Handlarz jedwabiem tańczył w grupie ludzi. Właściwie znajdował się w środku kręgu i obracał się zręcznie dookoła, drobiaz kroczy, a roześmiany tłum bił mu brawo. Dzehana przystanąła opodal, uśmiechając się pod swoją maską sowy. Niebawem zobaczyła, jak spośród widzów występuje kobieta przebrana za lisicę i, uważając na pióra, obejmuje pawia rękami za szyję. Zaczęli z wdziękiem poruszać się we wspólnym rytmie.

Dzehana patrzyła jeszcze przez chwilę, a potem poszła dalej.

Mogłoby się wydawać, że błąka się bez celu; poddawała się wirowaniu tłumy, który niósł ją obok występujących artystów i sprzedawców jedzenia, przystawała pod oknami gospód, by posłuchać płynącej z nich muzyki, albo przysiadła na kamiennej ławce przed którymś z większych domów, by przyjrzeć się ludziom płynącym ulicą, jak rzeka nocą.

Jednak jej ruchy nie okazały się w końcu przypadkowe. Będąc tej nocy – jak zresztą w większość nocy – uczciwa wobec samej siebie, Dzehana wiedziała, dokąd niosą ją nogi, choć działo się to powoli i bardzo krętą drogą. Nie mogłaby powiedzieć, że jest z tego zadowolona albo że nie czuje w głębi duszy niepokoju; serce biło jej coraz szybciej, a tkwiąca w niej lekarka przynajmniej to potrafiła zdiagnozować z łatwością.

Wstała z ostatniej ławki, skręciła za róg i ruszyła ulicą ładnych rezydencji w pobliżu pałacu. Mijając eleganckie fasady, zobaczyła, jak drzwi jednego z domów zamykają się za mężczyzną i kobietą. Kątem oka dostrzegła smycz. To przywołało jakieś wspomnienie, które jednak szybko odpłynęło.

I tak znalazła się przed okazałym budynkiem. W jego ścianę były zatknięte w równych odstępach pochodnie, lecz miał bardzo mało zdobień, a wysoko położone okna były wszystkie ciemne oprócz jednego. Znała ten pokój.

Dzehana opierała się o szorstką kamienną ścianę po drugiej stronie ulicy, nie zważając już na mijających ją ludzi, i patrzyła na najwyższe piętro tego budynku, na samotne światło.

Ktoś nie spał i był sam bardzo późną nocą.

Ktoś pisał na nowo zakupionym pergaminie. Nie były to żądania okupu, lecz listy do domu. Dzehana patrzyła ponad dymem z pochodni przepływających obok niej i tych umieszczonych na ścianach; usiłowała zaakceptować i zrozumieć to co ma w sercu. Błękitny księżyc zalewał swoim blaskiem ulicę i wszystkich ludzi zgromadzonych na placu. Niedawno wzeszedł sierp białego księżycyca. Widziała go nad wodą, ale tutaj nie był widoczny. Wedle nauk Kindathów biały księżyc oznaczał klarowność; błękitny był tajemnicą, sekretami duszy, złożonością potrzeby.

Obok Dzehany przeszedł chwiejnym krokiem drobny mężczyzna, w zabawnej jasnej peruce i z gęstą płową brodą Karchity, niosący długonogą kobietę zawołowaną niczym Muwardyjczyk z pustyni.

– Postaw mnie! – zawołała bez przekonania i wybuchnęła śmiechem.

Mężczyzna zniknął wraz z nią za rogiem, skąpany w blasku pochodni i księżycyca.

Przy drzwiach koszar na pewno stoi strażnik. Ktoś, kto wyciągnął jedną z krótkich słomek i został postawiony na warcie na część nocy. Bez względu na to, kto to był, pozwoli jej wejść. Wszyscy ją znali. Mogła wyjawić swoją tożsamość i zostać wpuszczona do środka. A potem pokonać dwa odcinki kręconych schodów, przejść ciemnym korytarzem i zastukać do ostatnich drzwi, za którymi płonie świeca.

Usłyszałaby jego głos bez cienia niepokoju. Przedstawiłaby się z imienia. Zapadłaby cisza.

Wstałby od biurka, od listu do domu, i otworzył drzwi. Patrząc w jego szare oczy, weszłaby do pokoju, zdjęła w końcu maskę i w spokojnym blasku owej świecy znalazłaby... co?

Azyl? Schronienie? Miejsce, w którym mogłaby się ukryć przed prawdą serca dotyczącą tej i wszystkich innych nocy?

Stojąc samotnie na ulicy, Dzehana pokręciła nieznacznie głową, a potem, zupełnie nieświadomie, wzruszyła ramionami; ten gest ci, którzy znali ją najlepiej, potrafili zawsze rozpoznać.

Wyprostowała się i zaczerpnęła tchu. Jest karnawał w Ragosie. Czas ukrywania się przed innymi, lecz nie przed sobą. Zrozumiała, że przyjście w to miejsce było ważne. Było ważne stanie ze wzrokiem skierowanym na to okno i wyobrażanie sobie, jak wchodzi po krętych schodach do mężczyzny znajdującego się w tym pokoju. Trzeba było uznać pewne prawdy bez względu na to, jak są trudne. A potem, kiedy już to zrobiła, równie ważne było odwrócenie się i pójście dalej. Teraz już naprawdę będzie się wałęsać po mieście. Samotna w szaleństwie nocnych ulic, znów poszuka – lub raczej zaczeka, by ktoś ją znalazł.

Jeśli to rzeczywiście miało się wydarzyć. Jeśli miało się spełnić gdzieś między księżycem, blaskiem pochodni i ciemnością.

Kiedy odeszła od kamiennej ściany i odwróciła się plecami do tego wysoko położonego pokoju i sączącej się zeń bladej poświaty, poruszyła się jakaś postać i oderwawszy się od cienia, podążyła za Dzehaną.

A za nią poszedł jeszcze ktoś trzeci, niezauważony na hałaśliwych ulicach Ragosy; ten taniec, jeden z tak wielu wśród wirującej nocy i smutnego, słodkiego świata, przybliżył się ku swemu początkowi i końcowi.

Stała przed pałacem, patrząc, jak dwaj żonglerzy przerzucają się płonącymi kołami, kiedy za jej plecami rozległ się głos:

– Chyba masz mój bukłak na wino. – Był cichy, stłumiony przez maskę. Dzehana odwróciła się. To nie był jelen.

Stał przed nią złocistogrzywy, królewski lew. Dzehana zamrugła i cofnęła się o krok, wpadając na kogoś. Sięgała ręką do biodra po bukłak, ale ją opuściła.

– Mylisz się – rzekła. – Rzeczywiście, mam czyjś bukłak, ale zostawił mi go jelen.

– Byłem jeleniem – stwierdził lew wieszczym głosem, który zaraz mu się zmienił. – Mogę cię zapewnić, że już nigdy nim nie będę.

Coś w modulacji. Nie do pomylenia. Nareszcie wiedziała. Puls bił jej mocno, szybko.

– A to dlaczego? – spytała, usiłując nie dopuścić, by zadrzał jej głos. Cieszyła się z ciemności, z niepewnego światła i z tego, że ma maskę.

– Są straszne kłopoty z przejściem przez drzwi – powiedział lew. – A już tylko chodząc,

zbierałem na rogach idiotyczne rzeczy. Kapelusz. Bukłak. Kiedyś nawet pochodnię. Prawie się podpaliłem.

Roześmiała się mimowolnie. Głos znów się zmienił.

– Już późno, Dzehano – rzekł mężczyzna, który chyba jednak ją odnalazł. – Być może jest już nawet za późno, ale czy przejdziemy się razem kawałek?

– Jak mnie poznałeś? – spytała, nie odpowiadając na pytanie, nie zadając tego trudniejszego, do którego zachęcał. Jeszcze nie. Jeszcze nie teraz. Serce biło jej głośno. Czuła je niczym uderzenia bębna w ciemności.

– Myślę – rzekł bardzo powoli Ammar ibn Khairan z Aldzais – że poznałbym cię w najciemniejszym pokoju. Myślę, że poznałbym cię, gdybyś się znalazła blisko mnie gdziekolwiek w świecie. – Przerwał. – Czy taka odpowiedź ci wystarczy, Dzehano? A może jest zbyt obszerna? Powiesz mi?

Po raz pierwszy w życiu usłyszała w jego głosie niepewność. I właśnie to, bardziej niż cokolwiek innego, sprawiło, że zadrżała.

– Dlaczego miałoby być za późno? – spytała. – Błękitny księżyc jest wysoko. Noc jeszcze się nie skończyła.

Pokręcił głową. Milczał. Usłyszała za sobą śmiech i brawa. Żonglerzy zrobili coś nowego.

– W swoim czasie w karnawale byłem nie tylko jeleniem, moja droga. – Zrozumiała. Mimo całego swego dowcipu, werwy i ironii nigdy nie tracił wdzięku, zawsze brał pod uwagę jej inteligencję.

– Oczywiście wiem o tym. Częściowo dlatego się boję – powiedziała szczerze.

– To właśnie miałem na myśli – potwierdził z prostotą. Wszystkie te opowieści. Przez wiele lat młoda dziewczyna słyszała, wbrew swej woli, plotki przy studni w Fezanie albo na płyciźnie w rzece, gdzie kobiety prały ubrania. A potem, kiedy stała się kobietą i wróciła do domu po studiach za granicą, znów słyszała te same opowieści. Nowe imiona, nowe okoliczności, ten sam mężczyzna. Ibn Khairan z Aldzais. Z Cartady.

Dzehana spojrzała na mężczyznę w masce lwa i poczuła, jak w miejscu, gdzie wali jej serce, pojawia się coś twardego i bolesnego.

Zabił ostatniego kalifa Al-Rassanu.

Pod maską, w pełgającym świetle przesuwających się wokół nich pochodni, widziała błysk jego oczu. Gdyby zdjął maskę, gdyby padło na nie jaśniejsze światło, okazałyby się niebieskie. Zdała sobie sprawę, że mężczyzna czeka, by się odezwała.

– A czy powinnam się bać? – zapytała w końcu.

– Nie bardziej niż ja, Dzehano – rzekł z powagą.

To chciała usłyszeć. Właśnie to chciała usłyszeć; wciąż ze zdumieniem, wciąż z niedowierzaniem wzięła go za rękę i powiedziała:

– Przejdźmy się.

– Dokąd chciałaś pójść? – zapytał ostrożnie, dopasowując swój krok do niej.

– Tam gdzie możemy być sami – odparła spokojnie, mocno ściskając jego dłoń, osiągnąwszy wreszcie to, na co czekała od pewnego letniego dnia w Fezanie. – Gdzie możemy odłożyć sowę i lwa, choć są bardzo trafnie dobrane, i być tym, kim jesteśmy.

– Mimo naszych wad? – spytał.

– A jakżeby inaczej? – odparła, odkrywając ku swemu zaskoczeniu, że w chwili, kiedy ujęła go za rękę, jej serce przestało tak szybko bić. Nieoczekiwanie przysła jej do głowy pewna myśl. Zawahała się, lecz ponieważ była sobą, zapytała: – Czy byłeś przy mnie wcześniej, kiedy zatrzymałam się przy koszarach?

Przez chwilę nie odpowiadał.

– O, najbystrzejsza z kobiet, każdym wypowiedzianym przez siebie słowem przynosisz swojemu ojcu i matce chlubę. Tak, byłem tam. Już wtedy uznałem, że nie mogę podejść do ciebie tej nocy, zanim sama nie dokonasz wyboru.

Pokręciła głową i mocniej uściśnęła jego dłoń. Cień strachu; tak łatwo mogłaby wejść po tamtych schodach.

– To nie był taki wybór, jak mogło ci się wydawać. To była kwestia ukrywania się albo ujawnienia.

– Wiem – rzekł. – Wybacz mi, moja droga, ale wiem.

Swoją uczciwością ryzykował urażenie dumy lekarki. Ona mu to jednak wybaczyła, ponieważ tej nocy masek skończyło się już ukrywanie i nie przeszkadzało jej, że Ammar to rozumie. Zbliżył się. Odnalazł ją.

Weszli do domu, który wynajmował. Znajdował się bliżej pałacu niż dom, który dzieliła z Velazem. Ammar otworzył drzwi wejściowe własnym kluczem; zarządca i służba dostali wolne, by mogli oddać się przyjemnościom tej nocy.

Obserwował ich z ulicy jakiś człowiek. Szedł za Džehaną i wiedział, kim jest lew. Zawahał się, ale uznał, że może ją już opuścić. Zastanawiał się, czyby nie zostać jeszcze chwilę, ale porzucił ten pomysł. Był zmęczony i zupełnie nie wiedział, co sądzić o rzekomych rozkoszach karnawału.

Ziri wrócił do koszar, chwilę porozmawiał z wartownikiem przy drzwiach, po czym wszedł do dormitorium i położył się do łóżka. Zasnął prawie natychmiast, sam w wielkiej sali. Jego towarzysze wciąż krążyli po ulicach.

Przedsiónek domu Ammara ibn Khairana rozjaśniały dwie zapalone pochodnie, zostawione tam przez służbę, a ponadto w kinkietach płonęły świece. Nim weszli na schody, zdjęli maski i Džehana zobaczyła jego oczy.

Tym razem to on podszedł do niej i kiedy się pocałowali, było inaczej – było zupełnie inaczej – niż wtedy w pokoju jej ojca, przy otwartym oknie zeszłego lata.

I przekonała się, że bicie jej serca, które uspokoiło się i zwolniło, kiedy tu szli, wcale nie jest już tak równe; znowu drżała.

Ruszyli na górę po schodach i znów się pocałowali, powoli, przed drzwiami jego sypialni, spod których wylewał się wąskim pasmem blask świec. Poczła na sobie jego silne i pewne ręce, przygarniające ją do niego. Płonęło w niej pożądanie, bolesna potrzeba, głęboka, rozległa i silna jak rzeka wzbierająca w ciemności.

Odsunął usta od warg Dzehany i przybliżył je do jej ucha.

– W moim pokoju ktoś jest – szepnął cicho. – Nikt nie zostawiłby tu palących się świec.

Serce uderzyło jej mocno raz i jakby zatrzymało się na chwilę, nim znów zaczęło bić.

Od początku zachowywali się cicho, ale ktoś, kto był w sypialni, na pewno usłyszał, że otwierają się frontowe drzwi, i już wiedział, że Ammar jest w domu, sam lub w towarzystwie. Zapytała samymi oczyma. Jego usta znów znalazły się przy jej uchu.

– Chcą, bym wiedział, że tu są. Nie mam pojęcia dlaczego. Ty lepiej idź do sąsiedniego pokoju. Jest tam wspólny balkon. Wyjdź na niego i słuchaj, ale bądź ostrożna.

Kiwnęła głową.

– Ty też – tchnęła. – Chcę, żebyś potem był zdrowy.

Poczła, jak hamuje śmiech.

Potem będzie pamiętała, jak całkowicie był pozbawiony strachu. Rozbawiony, zaintrygowany, może pobudzony. Ale zupełnie nie przestraszony ani nawet zaniepokojony. Zastanawiała się, jaka jego zdaniem czeka tam kobieta. Albo mężczyzna.

Ruszyła korytarzem. Otworzyła następne drzwi, cicho weszła do ciemnej sypialni. Zanim zamknęła je za sobą, usłyszała podniesiony głos Ammara:

– Kto tu jest?! Dlaczego jesteś w moim domu?

A potem usłyszała odpowiedź.

Drzwi od ulicy na pewno dały się łatwo otworzyć, a pod nieobecność służby i przy zapalonych świecach odnalezienie jego sypialni nie mogło sprawiać żadnych trudności.

Ibn Khairan, którego wszystkie zmysły wciąż były wyczulone na dotyk i zapach kobiety oddalającej się korytarzem, zawołał do intruza, usiłując przebiec w myślach rozmaite możliwości. Wyłuskał ich zbyt dużo. Zarówno tej nocy, jak i we wszystkie inne mogło na niego czekać w tym pokoju zbyt wiele osób.

Mimo to, mimo dwudziestu lat doświadczenia w takich tajemnicach, nie był w gruncie rzeczy przygotowany na swego gościa.

Drzwi się otworzyły niemal w chwili, kiedy zawołał. Stanął w nich mężczyzna bez maski,

zalanym blaskiem świec płonących w sypialni.

– Nareszcie – rzekł z uśmiechem król Almalik II z Cartady. – Zacząłem się już bać, że odbyłem podróż na darmo.

Choć wymagało to ogromnego wysiłku, całego jego słynnego opanowania, to ibn Khairanowi udało się uśmiechnąć, a następnie skłonić.

– Dobry wieczór, Maliku. Mój panie. Sprawiliś mi niespodziankę. To musiała być długa podróż.

– Prawie dwa tygodnie, Ammarze. Drogi wcale nie były dobre.

– Doświadczyłeś wielkich niewygód?

Uprzejmie pytania. Granie na zwłokę, by móc zacząć jakoś zbierać myśli. Gdyby Almalik z Cartady został pojmany w Ragosie, równowaga sił w Al-Rassanie zmieniłaby się za jednym pociągnięciem.

– Umiarkowanych. – Młodzieniec, który przez trzy lata był jego protegowanym, uśmiechnął się ponownie. – Nigdy nie pozwalałeś mi się rozleniwzić, a nie jestem królem dość długo, by zmienić ten stan rzeczy. – Przerwał i Ammar dostrzegł w tym wahaniu, że król nie jest tak spokojny, na jakiego chciałby wyglądać. – Rozumiesz, że mogłem to zrobić tylko dzisiejszej nocy.

– Nie przypuszczałem, że w ogóle możesz to zrobić – odparł szczerze ibn Khairan. – To ogromne ryzyko, Maliku.

Dziękował wszystkim możliwym bóstwom, że nie ma przy nim Dzehany, i modlił się, by zachowywała się cicho. Almalik żadną miarą nie mógł sobie pozwolić, by ktoś odkrył jego obecność. Każdy, kto go tu zobaczy, znajdzie się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Ibn Khairan na razie nie zajmował się kwestią, w jakiej sytuacji stawia to jego.

– Lepiej wejdę do środka – powiedział.

Król Cartady cofnął się i Ammar wszedł do własnego pokoju. Zauważył dwóch czekających tam Muwardyjczyków. Wszystko to stwarzało atmosferę nierzeczywistości. Wciąż usiłował przyswoić sobie zdumiewający fakt, że Almalik przybył tu osobiście. Nagle jednak, kiedy odwrócił się do króla, zrozumiał, o co tu musi chodzić, i poczucie dezorientacji się rozwiało, zastąpione czymś niemal równie niepokojącym.

– Tylko ty – rzekł cicho król Cartady – wciąż mnie nazywasz Malikiem.

– Wybacz mi. Stare zwyczaje. Oczywiście przestanę to robić. O, Prześwietny.

– Nie powiedziałem, że mnie to obraża.

– Nie, ale nawet w takim wypadku... jesteś jednak królem Cartady.

– Prawda – mruknął Almalik. Opadł na stojący przy łóżku fotel w północnym stylu; chociaż brakowało mu gracji, był wysoki i dobrze zbudowany. – I – dasz wiarę? – pierwszym, co uczyniłem, objąwszy panowanie, było wygnanie człowieka, którego potrzebowałem najbardziej.

To tym bardziej wyjaśniało sytuację.

Ibn Khairan zauważył, że pod jednym względem Almalik się nie zmienił. Zawsze potrafił być bezpośredni, nawet jako chłopiec. Ammar nigdy nie zdecydował, czy to oznaka siły, czy taktyka człowieka słabego – zmuszanie silniejszych przyjaciół do radzenia sobie z jego deklarowanymi niedoskonałościami. Powieka mu drgała, lecz po chwili przestawało się to zauważać.

– Nawet nie zostałeś koronowany – rzekł cicho ibn Khairan.

Naprawdę nie był przygotowany do tej rozmowy. Nie tej nocy. Przygotowywał się, w całkowicie odmienny sposób, do czegoś innego. Stał na ulicy, wstrzymując oddech jak chłopiec, i patrzył, jak Džehana bet Iszak podnosi wzrok na wysoko położone, oświetlone blaskiem świecy okno; znów zaczął normalnie oddychać dopiero wtedy, gdy wzruszyła ramionami i poszła dalej, jakby otulona spokojem wśród nocnej wrzawy.

Nigdy nie sądził, że podejście do kobiety może wymagać odwagi.

– Dziwię się, że jesteś sam – zauważył Almalik nieco zbyt lekkim tonem.

– Nie powinienes – mruknął ostrożnie ibn Khairan. – Dzisiejszym spotkaniom brak pewnego... wyrafinowania, nie sądzisz?

– Skąd miałbym to wiedzieć, Ammarze? Wydaje się, że atmosfera jest dość ożywiona. Spędziliśmy trochę czasu na poszukiwaniach, aż wreszcie uświadomiłem sobie, że są beznadziejne. Łatwiej było kupić informację o lokalizacji twojego domu i poczekać.

– Naprawdę przybyłeś do Ragosy, spodziewając się, że w noc karnawału znajdziesz mnie na ulicy?

– Przybyłem tu, ponieważ nie widziałem żadnego innego sposobu porozmawiania z tobą w najbliższej przyszłości. Kiedy wyruszyliśmy, miałem jedynie nadzieję i potrzebę. Nawiasem mówiąc, nie mam ze sobą żadnego oddziału. Tylko tych dwóch i sześciu innych dla bezpieczeństwa w podróży. Nikogo innego. Przybyłem, by powiedzieć pewne rzeczy. I poprosić cię, żebyś do mnie wrócił.

Ibn Khairan milczał. Cekał na to, a ostatnio się tego bał. Był niegdyś opiekunem i strażnikiem tego człowieka, wyznaczonego na następcę tronu Cartady. Włożył wiele wysiłku w uczynienie z Almalika ibn Almalika mężczyzny godnego władzy. Nie lubił przyznawać się do porażek. Nie miał nawet pewności, czy ją poniósł. To będzie straszliwie trudne.

Podszedł do kredensu, celowo ocierając się o jednego z Muwardyjczyków. Ten się nie poruszył ani nawet na niego nie spojrzął. Nienawidzili go; wszyscy oni go nienawidzili. Jego całe życie było nieustannym atakiem na ich posępną pobożność. Odwzajemniał to uczucie: ich styl życia – pełna determinacji wiara, pełna determinacji nienawiść – obraża jego wszystkie uczucia, jego pogląd na to, czym powinno być życie.

– Zechcesz napić się wina? – zapytał króla Cartady, rozmyślnie prowokując Muwardyjczyków. Być może było to niegodne, ale nie mógł się powstrzymać.

Almalik wzruszył ramionami i skinął głową. Ibn Khairan nalał im obu. Pozdrowili się nawzajem, najpierw dotykając obrzeżem jednego kielicha podstawy drugiego, a potem na odwrót.

– To wymagało odwagi – rzekł Ammar. Należało Almalikowi to przyznać.

Młodzieniec pokręcił głową, patrząc na niego z fotela. W blasku świec było widać, jak bardzo jest jeszcze młody. A stojąc teraz bliżej, ibn Khairan widział oznaki napięcia.

– Wymagało jedynie świadomości, że jeśli nie wrócisz, nie będę wiedział co robić. A w pewnych kwestiach rozumiem cię, Ammarze, bardzo dobrze. Co miałem uczynić? Pisać do ciebie błagalne listy? Nie przyjechałbyś. Wiesz, że nie.

– Chyba króla Cartady otaczają mądrzy i doświadczeni ludzie?

– A teraz żartujesz. Przestań.

Zaskoczył go przebłysk własnego gniewu. Zanim zdołał go stłumić, ibn Khairan warknął:

– To ty mnie wyгнаłeś. Zechciej o tym pamiętać, Maliku.

Otwarta rana – uczeń zwracający się przeciwko nauczycielowi w chwili wspólnego zwycięstwa. Po prawdzie stara historia, ale Ammar nigdy nie sądził, że przydarzy się jemu. Najpierw ojciec, potem syn.

– Pamiętam – rzekł cicho Almalik. – Popeliłem błąd, Ammarze. – Słabość czy siła, zawsze trudno mu było ocenić. W różnych sytuacjach ta cecha mogła nawet być oznaką albo jednego, albo drugiego. W ciągu spędzonych wspólnie dwudziestu lat jego ojciec nigdy nie przyznał się do popełnienia pomyłki.

– Nie wszystkie błędy można naprawić.

Grał na zwłokę, czekając na coś, co pozwoli mu się lepiej zorientować w sytuacji. Pod wszystkimi tymi słowami kryła się decyzja, którą trzeba będzie podjąć.

Almalik wstał.

– Oczywiście wiem o tym. Jestem tu w nadziei, że ten takim nie był. Czego pragniesz, Ammarze? Co muszę powiedzieć?

Zanim ibn Khairan się odezwał, przyglądał mu się przez chwilę.

– Czego pragnę? Mógłbym odpowiedzieć, że pisać w spokoju, ale to by było udawanie, prawda? Prowadzić życie z niejakim honorem i by świat to dostrzegał. To stanowiłoby dość szczerą odpowiedź i, przypadkiem, jest powodem, dla którego musiałem zabić twojego ojca.

– Wiem o tym. Wiem o tym lepiej niż ktokolwiek inny. – Król się zawahał. – Ammarze, myślę, że tego lata dzadyci wyprawią się na południe. Mój brat wciąż jest na pustyni u Jazira ibn Q'arifa. Dowiedzieliśmy się, że budują statki. W Abeneven. Nie wiem, co zamierza król Badir.

– Więc próbowałeś zabić chłopców?

Almalik zamruął. Było to nieczyste pchnięcie, lecz on był sprytnym człowiekiem, nieodrodnym synem swego ojca.

– A zatem ci dwaj nie zostali zabici w burdzie w gospodzie? Zastanawiałem się nad tym. – Król wzruszył ramionami. – Czy jestem pierwszym władcą w Al-Rassanie, który stara się wzmocnić swoją pozycję przez rozwiązanie kwestii rodzeństwa? Czyż nie byłeś moim nauczycielem historii, Ammarze?

Ibn Khairan się uśmiechnął.

– Czy to skrytykowałem?

Almalik nagle poczerwieniał.

– Ale ich powstrzymałeś. Ocaliłeś chłopców. Synów Zabiry.

– Zrobili to inni. Ja miałem w tym tylko drobny udział. Jestem tu na wygnaniu, pamiętasz, Almaliku? Podpisałem kontrakt w Ragosie i dotrzymuję jego warunków.

– Z moimi wrogami!

Teraz był to głos młodego człowieka tracącego opanowanie, słowa chłopca.

Ibn Khairan poczuł się tak, jakby coś się w nim przekręciło, niczym miękka klinga. Znał tę stronę swego gościa. Króla.

– Wygląda na to, że żyjemy w świecie, w którym granice wciąż się przesuwają – powiedział.

– To tym bardziej utrudnia czynienie tego co słuszne.

– Nie, Ammarze. Twoje miejsce jest w Cartadzie. Zawsze służyłeś Cartadzie, robiłeś wszystko dla niej. – Zawahał się, po czym odstawił kielich i dodał: – Dla mojego ojca zabiłeś kalifa. Nie możesz dla mnie przynajmniej wrócić do domu?

Wraz ze zrozumieniem tak często przychodził smutek. Almalik wciąż porównywał się z martwym człowiekiem, tak jak wtedy, kiedy jego ojciec żył. Będzie to zapewne robił całe życie, niezależnie od tego, jak długo ono potrwa. Będzie próbował. Porównywał porcje miłości. Żądał takiego samego, a nawet większego przywiązania.

Ibn Khairan po raz pierwszy zastanowił się, jak młody król zareagował „na lament, który Ammar napisał na śmierć jego ojca. „Gdzie gromadzą się teraz pomniejsze zwierze...”. W tej samej chwili uświadomił sobie, że Zabira miała rację: Malik nie pozwoliłby żyć konkubinie, która kochała jego ojca.

– Nie wiem – odpowiedział na pytanie. – Nie wiem, gdzie jest teraz moje miejsce.

Jednakże w myślach, kiedy jeszcze wymawiał te słowa, słyszał głos: „To kłamstwo, chociaż kiedyś mogła to być prawda. Jest coś nowego. Świat się może zmienić i możesz to zrobić ty. Świat się zmienił”. To zdumiewające, ale słyszał w głowie jej imię, jakby je wydzwaniały dzwony. Przez chwilę dziwił się, że nikt z obecnych w pokoju jakoś tego nie zauważa.

Mówił dalej, starając się skoncentrować.

– Mogę przyjąć, że niniejsza wizyta ma na celu uchylenie mego wygnania oraz zaproszenie mnie do powrotu na poprzednie stanowisko?

Celowo używał oficjalnych zwrotów, by wyrwać słowa z wrażliwego miejsca, do którego zaniósł je pytanie króla. „Nie możesz dla mnie wrócić do domu?”.

Młody monarcha otworzył i zamknął usta. W jego oczach malowała się uraza.

– Możesz to przyjąć – odparł sztywno.

– Dokładnie na jakie stanowisko?

Kolejne wahanie. Almalik nie był przygotowany do negocjacji. Dobrze. Ammar nie był przygotowany na jego wizytę.

– Kanclerza Cartady. Oczywiście.

Ibn Khairan skinął głową.

– I twojego oficjalnie ogłoszonego następcy, jeśli się nie ożenisz i nie będziesz miał prawowitych spadkobierców?

Ta monstualna myśl przyszła mu do głowy w tej chwili.

Jeden z Muwardyjczyków przy kominku się poruszył. Ibn Khairan odwrócił się i spojrzał na niego. Tym razem mężczyzna utkwiał w nim spojrzenie, poczerniałe z nienawiści. Ammar uśmiechnął się przyjaźnie i powoli napił się wina, nie odwracając wzroku.

– Czy to twój warunek, Ammarze? – zapytał cicho Almalik II z Cartady. – Czy to mądre?

Oczywiście, że nie było mądre. To było najczystsze szaleństwo.

– Wątpię – odparł lekceważąco ibn Khairan. – Zostaw to w rezerwie. Zaczęłeś negocjacje w sprawie małżeństwa?

– Poczyniono nam pewne propozycje, owszem – odparł Almalik z zakłopotaniem.

– Lepiej wkrótce którąś przyjmij. Zabijanie dzieci jest mniej pożyteczne niż ich poczynanie. Co zrobiłeś w sprawie Valledo?

Król znów uniósł kielich i go osuszył.

– Dostaję bezużyteczne rady, Ammarze. Moi doradcy lamentują i załamują ręce. Proponują podwojenie *parias*, potem opóźnianie płatności, a potem odmowę! Podjąłem własne kroki, by pobudzić Ruendę i... mamy tam człowieka, pamiętasz go?

– Centurę d'Arrose. Twój ojciec kupił go przed wielu laty. Co z nim?

– Poleciłem mu zrobić wszystko, by spowodować śmiertelny rozłam między Ruendą i Valledo. Wiesz, że tej wiosny wszyscy mieli się spotkać. Być może już to zrobili.

– Król Ramiro nie potrzebuje pomocy swego brata, by ci zagrozić – rzekł z namysłem ibn Khairan.

– Nie, ale co, jeśli zostanie sprowokowany do wyprawienia się na Ruendę zamiast na mnie?

Almalik miał minę ucznia, który myśli, że zdał egzamin.

– Co zrobiłeś?

Król Almalik się uśmiechnął.

– Czy pyta mój królewski kanclerz?

Po chwili ibn Khairan oddał mu uśmiech.

– W porządku. A więc co z Fezaną? Obrona?

– Jak najlepsza. Zapasy żywności na pół roku. Naprawa części murów, chociaż, jak zapewne wiesz, problem stanowią pieniądze. Dodatkowi żołnierze w nowym skrzydle zamku. Pozwoliłem wadżim wzniecić gniew przeciwko Kindathom.

Ammar poczuł chłód, jakby do pokoju wpadł podmuch wiatru. Te słowa słyszała kobieta stojąca na balkonie.

– Dlaczego? – zapytał bardzo cicho.

Almalik wzruszył ramionami.

– Mój ojciec robił to samo. Wadżich trzeba zadowalać. Oni mają wpływ na ludzi. Podczas oblężenia to będzie miało znaczenie. A jeśli rzeczywiście wypędzą niektórych Kindathów albo kilku zabiją, łatwiej będzie wytrzymać oblężenie. Wydaje mi się to oczywiste.

Ibn Khairan nic nie mówił. Król Cartady rzucił na niego uważne, podejrzliwe spojrzenie.

– Doniesiono mi, że w Dniu Fosy spędziłeś jakiś czas z kindathijską lekarką. Był po temu jakiś powód?

Wydawało się, że odpowiedzi na najtrudniejsze pytania niesione przez życie mogą się pojawiać w nieoczekiwany sposób. Co dziwne, to zimne spojrzenie zmrużonych oczu sprawiło ibn Khairanowi ulgę. Przypomniało mu, dlaczego nigdy nie mógł prawdziwie pokochać chłopca, który stał się tym mężczyzną, mimo że istniały po temu powody.

– Kazałeś mnie śledzić?

Król Cartady nie przejął się.

– To ty mnie nauczyłeś, że wszystkie informacje są pomocne. Chciałem cię odzyskać. Szukałem na to sposobów.

– I szpiegowanie moich posunięć wydało ci się dobrą metodą na uzyskanie mej entuzjastycznej pomocy?

– Pomoc – rzekł król Cartady – może przyjść z wielu powodów i pod wieloma postaciami. Mogłem to trzymać przed tobą w tajemnicy, Ammarze. Nie zrobiłem tego. Jestem tu, w Ragosie, i ufam ci. Teraz twoja kolej: czy był po temu jakiś powód, Ammarze?

Ibn Khairan prychnął.

– To znaczy, czy chciałem się z nią przespać? Daj spokój, Maliku. Szukałem tej lekarki, ponieważ leczyła kogoś zaproszonego na uroczystość. Człowieka, który powiedział, że jest zbyt chory, żeby tam iść. Dopiero potem dowiedziałem się, kim ona jest. Przypadkiem to córka Iszaka ben Jonannona. Już to zapewne wiesz. Mówi ci to coś?

Almalik skinął głową.

– Lekarz mojego ojca. Pamiętam go. Oślepieno go, kiedy urodziło się ostatnie dziecko Zabiry.

– Oraz obcięto mu język.

Król znów wzruszył ramionami.

– Musimy zadowalać wadzich, prawda? A jeśli nie zadowalać, to przynajmniej nie dopuszczać, by grzmieli przeciwko nam na ulicach. Chcieli, by ten kindathijski lekarz poniósł śmierć. Pamiętam, że ojciec mnie wtedy zaskoczył. – Almalik machnął nagle obiema rękami. – Ammarze, nie mam tu przeciwko tobie żadnej broni. Nie chcę żadnej broni. Chcę ciebie jako mój miecz. Co muszę zrobić?

Ibn Khairan uświadomił sobie, że to już trwa za długo. Było bolesne, a im bardziej się przeciągało, tym stawało się niebezpieczniejsze. Też nie miał przy sobie broni, oprócz sztyletu jak zwykle przemocowanego do lewego przedramienia. Bez względu na to, jak spokojny wydawał się Almalik, był człowiekiem, który łatwo popełniał nierozważne czyny, a gdyby Muwardyjczycy dowiedzieli się, że Ammar ibn Khairan z Aldzais nie żyje, zatańczyliby pod gwiazdami pustyni.

– Pozwól mi się nad tym zastanowić, Maliku – rzekł. – Mój kontrakt wygasa na początku jesieni. Może do tego czasu wywiążę się ze zobowiązań z honorem.

– Na początku jesieni? Przyrzekasz? Każę cię...

– Powiedziałem, żebyś dał mi się zastanowić. Nie powiem nic więcej.

– A co ja powinienem robić do tego czasu?

Usta ibn Khairana drgnęły z rozbawieniem. Nic nie mógł na to poradzić. Był człowiekiem, który znajdował niewymowną ironię w wielu rzeczach w życiu.

– Chcesz, żebym ci powiedział, jak rządzić Cartadą? Tu i teraz? W tym pokoju, podczas karnawału?

Almalik roześmiał się po chwili i pokręcił głową.

– Nie uwierzyłbyś, jakich mam złych doradców, Ammarze.

– To znajdź lepszych ludzi! Oni istnieją. W całym Al-Rassanie. Przyłóż się do tego.

– I do czego jeszcze?

Ibn Khairan się zawahał. Trudno było wykorzenić stare nawyki.

– Prawdopodobnie masz rację: Fezana jest zagrożona. Bez względu na to, czy dzadycka armia wypłynie tej wiosny z Bachiary, czy nie, nastroje na północy się zmieniły. A jeśli stracisz Fezanę, to chyba nie utrzymasz się na podwyższeniu. Nie dopuszczają do tego wadzi.

– Albo Muwardyjczycy – rzekł Almalik, zerkając na strażników w pokoju. Zawoławani pozostawali niewzruszeni. – Już wykonałem jedno posunięcie w związku z tym. I to dzisiejszej nocy, tu, w Ragosie. Spodoba ci się.

To dziwne, dziwne i przerażające, jak instynkt ćwiczony przez całe życie potrafi tak

błyskawicznie postawić żołnierza w stan najwyższej czujności.

– Co mi się spodoba? – zapytał szczególnie spokojnym głosem. Później zdał sobie sprawę, że zanim jeszcze usłyszał odpowiedź króla Cartady, już ją znał.

– Jak ci mówiłem, przybyło tu ze mną jeszcze sześciu ludzi. Kazałem im znaleźć i zabić tego valledańskiego najemnika Belmontego. Jest zbyt niebezpieczny, by pozwolić mu na powrót z wygnania do króla Ramira. Wygląda na to, że dzisiejszej nocy nie opuścił swego pokoju; moi ludzie wiedzą, gdzie on jest, a przy drzwiach wychodzących na ulicę stoi tylko jeden strażnik. – Almalik z Cartady się uśmiechnął. – To przydatny cios, Ammarze. Odbierając Badirowi i Ramirowi tego człowieka, wyrządzam im obu wielką krzywdę.

I mnie, pomyślał wtedy Ammar ibn Khairan, lecz tego nie powiedział. I mnie. Bardzo wielką krzywdę.

Zeszłej jesieni pokonali razem w pokazowej walce pięciu ludzi. Dzisiejszej nocy Rodrigo jest jednak zapewne sam i nie spodziewa się ataku. W całym mieście pełno było ludzi przebranych za Muwardyjczyków. Sześciu milczących zabójców, jeden niezadowolony strażnik przy drzwiach. Wyobrażał sobie, jak to się mogło odbyć. Teraz jest już pewnie po wszystkim.

Mimo to człowiek robi pewne rzeczy, kształtuje posunięcia bez poświęcania im myśli. Pęd do działania jako środek blokujący ból. Król Cartady jeszcze mówił, a ibn Khairan już rzucił się do drzwi swego pokoju i je otworzył. W tej samej chwili pochylił się nisko jednym płynnym ruchem, tak że nóż ciśnięty w kierunku jego pleców wbił się w ciemne drewno framugi.

A potem znalazł się na zewnątrz; pędził korytarzem, przeskakiwał po trzy i cztery stopnie, wiedząc, że jeśli Almalik mu o tym powiedział, jest już za późno, ale biegł, biegł.

Nawet w tym pośpiechu pamiętał, by zrobić pewną rzecz, zanim wypadnie na ulicę.

– Głupcze! – Dzehana usłyszała krzyk króla Cartady. – Co ci przyszło do głowy z tym nożem? Chcę go mieć po naszej stronie, ty gnido!

– Nie przejdzie na nią.

Muwardyjczyk miał pustynny akcent i głos głęboki jak pradawny grób. Nie widziała żadnego z mężczyzn. Stojąc tuż poza zasięgiem ich wzroku na podwójnym balkonie, Dzehana poczuła żal, ciężący jej na sercu niczym żelazne kowadło. Zaciśnęła pięści, raniąc dłonie paznokciami. Nie mogła nic zrobić. Musiała poczekać, aż wyjdą. Chciała krzyknąć.

– Wróci – powiedział ochryplym głosem młody król. – Zdenerwował się z powodu tego Valledanina, swego towarzysza broni. Myślałem, że może tak być, ale ibn Khairan nie podejmuje decyzji na podstawie takich rzeczy. Pierwszy powiedziałby mi, żebym zaplanował takie posunięcie.

– Nie przyłącz się do ciebie. – Znow słyszała ten drugi spokojny, pewny siebie głos.

Na chwilę zapadła cisza.

– Zabij tego człowieka – rzekł spokojnie Almalik II z Cartady. – To rozkaz. Mielście nie

robić krzywdy ibn Khairanowi. Ten nóż pogwałcił moje polecenie. Zabij go. Już.

Dżehana wstrzymała oddech. A potem, szybciej niż mogłaby to sobie wyobrazić, usłyszała stęknienie. Ktoś upadł.

– Dobrze – odezwał się po chwili król Cartady. – Przynajmniej niektórzy z was są lojalni. Zostaw ciało. Chcę, żeby Ammar wiedział, że kazałem go zabić. – Dżehana usłyszała odgłos kroków. Głos króla dobiegł z większej odległości. – Chodź. Czas wyjechać z Ragosy. Zrobiłem, co mogłem. Teraz możemy na Ammara tylko czekać.

– Możesz go zabić – odezwał się drugi Muwardyjczyk miękkiem, bezbarwnym głosem. – Skoro ci odmawia, dlaczego wolno mu pozostać przy życiu?.

Król Cartady nie odpowiedział.

W chwilę później Dżehana usłyszała, jak wychodzą z pokoju, a potem idą na dół po schodach.

Zaczekała, aż frontowe drzwi otworzą się i zamkną, a potem wybiegła na korytarz przez drugą sypialnię. Rzuciła jedno spojrzenie do pokoju Ammara. Na podłodze leżał człowiek. Tkwiący w niej medyk nakazał jej się zatrzymać; to było instynktowne działanie zakorzenione od zbyt wielu lat. Wbiegła do środka, uklękła przy mężczyźnie, poszukała pulsu. Oczywiście nie żył, został ugodzony w szyję. Muwardyjczycy potrafią zabijać.

Rodrigo zapewne siedział przy biurku. Pisał list do domu. Jeśli rozległo się pukanie, spodziewał się podchmielonych przyjaciół.

Dżehana zerwała się na nogi i zbiegła po schodach. Poszukała wzrokiem swojej maski na stoliku. Nie było jej tam. Dżehana zamarła.

A potem zrozumiała. Zabrał ją Ammar, żeby Cartadanie nie zobaczyli sowej maski i nie domyślili się obecności kobiety. Z tego, co wiedziała, król Almalik mógłby nawet zrozumieć, co oznacza symbol sowy – był przecież uczniem Ammara, prawda?

Stanowiło to część żalu, który tkwił teraz niczym kamień w środku wirującej nocy. Pchnęła drzwi i wybiegła, już bez maski, na zatłoczoną ulicę. Zaczęła się przepychać przez tłum w stronę koszar. Chwycił ją jakiś rozbawiony mężczyzna. Dżehana wyrwała mu się i szła dalej. Było to trudne w tłumie ludzi z pochodniami, spowitym dymem. Długo się przedzierała. Potem uświadomiła sobie, że ostrzegła ją cisza.

Kiedy znalazła się na placu przed koszarami, spostrzegła, że ogromny tłum jest nienaturalnie spokojny i że cofnął się na skraj placu, z dala od miejsca, gdzie ktoś leży na ziemi.

Przy świetle jednego księżyca zobaczyła Ammara, który stał bez maski, z pobladłą twarzą, w towarzystwie kilku innych doskonale jej znanych mężczyzn. Przepchnęła się przez szepczących gapiów i uklękła przy rannym leżącym na kocich łbach. Wystarczyło jej jedno spojrzenie. Było już za późno na sztukę lekarską. Zrozpaczona, zbyt wstrząśnięta, by coś powiedzieć, zaczęła bezradnie szlochać.

– Dzehano – szepnął umierający. Otworzył oczy i utkwiał wzrok w jej źrenicach. – Dzehano... tak bardzo...

Położyła mu delikatnie palce na wargach, a potem przyłożyła dłoń do jego policzka. W piersi rannego tkwił muwardyjski nóż, a ze straszliwej, głębokiej rany od ciosu miecza w obojczyk, która miała sprowadzić na niego śmierć, tryskała krew.

W chwilę później już nie żył. Patrzyła, jak robi ostatni, niewystarczający oddech, a potem zamyka oczy, jakby ze zmęczenia. To był jeden ze sposobów umierania ludzi. Widziała to wiele razy. Kiedy odszedł od nich wszystkich do tego, co czeka za ciemnością, wciąż dotykała palcami jego policzka.

– Mój drogi – powiedziała łamiącym się głosem. – Och, mój drogi. Czy zawsze tak jest? Że zbyt późno myśli się o tych wszystkich sprawach, o których tak bardzo chciało się powiedzieć?

Otoczający ją krąg żołnierzy rozstał się. Ktoś przeszedł między nimi i opadł na kolana z drugiej strony ciała, nie zważając na ciemną krew powlekającą kocie łby. Oddychał szybko, jakby biegł. Dzehana nie podniosła na niego wzroku, ale zobaczyła, jak mężczyzna bierze zmarłego za rękę.

– Niech czeka na ciebie światło – usłyszała wypowiedziane bardzo cicho słowa. – Niech będzie go więcej i niech będzie łagodniejsze, niż ktokolwiek z nas potrafi sobie wymarzyć albo wyobrazić.

Wtedy jednak spojrzała na niego, przez łzy.

– Och, Dzehano – rzekł Rodrigo Belmonte. – Tak mi przykro. To nie powinno się wydarzyć. On uratował mi życie.

W pewnej chwili, przez to całe niez mieszane wino, które wypił, uderzający do głowy zapach kadzidła palącego się w pokoju, przez wszędzie stojące barwne świece i pożyteczne poduszki rozrzucone na łóżku i tkanym dywanie oraz przez niezwykle sposoby, na jakie można było używać cienkiej złotej smyczy, Alvar stracił poczucie czasu i miejsca.

Poruszał się wraz z tą nieznaną kobietą, i na niej, a czasami pod jej natarczywością. Kiedy weszli do domu, zdjęli maski. To nie miało znaczenia – bez względu na to, kim była za dnia w ciągu roku, tej nocy wciąż pozostawała polującą kocią. Jakby na dowód tego, Alvar miał na ciele długie zadrapania. Z niejakim niepokojem odkrył, że ona też. Nie pamiętał, żeby je zostawił. A potem, nieco później, uświadomił sobie, że znowu to robi. Stali wtedy złączeni, pochyleni nad łóżkiem.

– Nawet nie znam twego imienia – wydyszał później, leżąc na dywanie przed kominkiem.

– A dlaczego miałoby to mieć dzisiejszej nocy jakiegokolwiek znaczenie? – odpowiedziała.

Jej palce były długie, a pomalowane paznokcie ostre. Między innymi miała cudownie zręczne ręce. Oraz zielone oczy i szerokie usta. Po rozmaitych jej reakcjach zorientował się, że on sam nie tylko czerpie przyjemność, ale i ją daje.

W jakiś czas później postanowiła zdmuchnąć wszystkie świece i wziąć go na smycz w szczególnie intymny sposób. Wyszli razem na balkon, nadzy, poznaczeni śladami miłości i stanęli w ciemności nad placem rojącym się od ludzi.

Pochyliła się nad sięgającą jej do talii balustradą i wprowadziła go w siebie od tyłu. Alvar był wtedy niemal przekonany, że dodała mu czegoś do wina. Powinien być już wyczerpany.

Nocny wiatr był chłodny. Alvar miał rozpaloną, nienaturalnie wrażliwą skórę. Widział za głową kobiety tłum na dole. Dochodziła stamtąd muzyka, okrzyki i śmiech i Alvarowi wydawało się, że unoszą się w powietrzu, a ich ruchy splatają się z poruszeniami roztańczonego, zataczającego się tłumu. Nigdy sobie nie wyobrażał, że uprawianie miłości w tak jawny sposób może być aż tak porywające. Gdyby zaprzeczył, że jest, byłby kłamcą. Pomyślał nagle, że jutro być może będzie chciał zaprzeczyć wielu rzeczom, ale teraz nie był w stanie tego zrobić.

– Tylko pomyśl – szepnęła, odchylając głowę daleko do tyłu. – Gdyby ktokolwiek z nich spojrzał w górę... ale miałby widok.

Poczuł, że delikatnie pociągnęła za smycz. Nałożył ją przedtem kobiecie, ale teraz znów sam miał ją na sobie. O, tak – miał ją na sobie. Jego dłonie, które zaciskał na balustradzie po obu stronach kobiety, uniosły się i objęły jej drobne piersi. Tuż pod balkonem ktoś grał na pięciostrunnej lutni. Otaczał go krąg tańczących postaci. W środku kręgu tańczył paw. Pawiem był Husari ibn Musa.

– Jak myślisz? – usłyszał Alvar. Przy uchu czuł jej język, ponieważ wygięła do tyłu szyję. Zupełnie jak kot. – Wyniesiemy tu pochodnię i będziemy kontynuować w jej blasku?

Pomyślał o tym, że Husari mógłby spojrzeć w górę, i skrzywił się. Nie sądził jednak, że tej nocy byłby w stanie odmówić tej kobiecie czegokolwiek. I wiedział, choć jeszcze nie wypróbował wszystkich granic, że ona nie odmówiłaby niczego, o co by ją poprosił między tą chwilą i świtem. Nie wiedział, która myśl podnieca go lub przeraża bardziej. Wiedział natomiast, ponieważ w końcu to zrozumiał, że to jest właśnie ta mroczna, niebezpieczna prawda, spoczywająca w samym sercu karnawału. Na tę jedną noc zmieniały się wszystkie zasady zataczającego krąg roku.

Zanim odpowiedział, zaczerpnął głęboko tchu. Oderwał wzrok od tłumu i podniósł go na nocne niebo – tylko jeden księżyc, błękitniejszy wśród gwiazd.

Wciąż w niej, poruszając się miarowo w ich wspólnym rytmie, Alvar znów spojrzał w dół, przenosząc wzrok z odległych światła na niebie na te najbliższe, zapalone przez śmiertelnych mężczyzn i kobiety, by odpędzić mrok.

Po drugiej stronie placu, między pochodniami zatkniętymi w ścianę koszar, spadał Rodrigo Belmonte.

Rzeczywiście siedział przy biurku; przed sobą miał pergamin, inkaust i pióra, pod ręką

kielich ciemnoczerwonego wina, i usiłował pomyśleć, co jeszcze jest do powiedzenia – o wieściach, radach, niepokojach, potrzebie.

Nie był człowiekiem, który potrafi pisać do żony o tym, jak bardzo pragnie ją mieć przy sobie w tym pokoju. Jak rozpuściłby jej włosy, pasmo po paśmie, objął ją i przyciągnął do siebie po tak długim czasie. Jak przesuwałby dłonie, a potem, kiedy byłby już rozebrany, jak mogliby...

Nie potrafił pisać o takich sprawach. Potrafił jednak o nich myśleć, karząc się niejako w ten sposób. Potrafił siedzieć samotnie w nocy w wysoko położonym pokoju, słuchać wpływających przez otwarte okno odgłosów hulanki i widzieć w myślach Mirandę, a potem wyobrażać ją sobie razem z nim i czuć się osłabłym z pożądania.

Złożył przed laty obietnicę i wciąż ją odnawiał – wobec niej, ale bardziej wobec siebie. Nie był człowiekiem, który by łamał obietnice. W dużym stopniu sam się przez to określał. Rodrigo Belmonte uważał, że mężczyzna znajduje honor – a także szacunek dla samego siebie, a z pewnością dumę – na wielu rodzajach pól bitewnych. Tej nocy w Ragosie znajdował się na jednym z nich albo raczej się nad nim unosił. O tym też nie napisał do Mirandy.

Znów ujął pióro, zanurzył je w czarnym atramencie i przygotował się do dalszego pisania; pomyślał, że napisze coś do chłopców, żeby oderwać umysł od tych niepokojących rozważań.

Chłopcy. Miłość ostra jak miecz, a także strach i duma. To już niemal mężczyźni. Za wcześnie. Brać ich ze sobą? Czy to byłoby najlepsze? Pomyślał o starym zbójcy, Tarifie ibn Hassanie, w tamtej rozbrzmiewającej echem dolinie. Przebiegły, dziki olbrzym. Od tamtego dnia w Emin ha'Nazar często o nim myślał. Też miał dwóch synów. Trzymał ich przy sobie. Obaj byli wspaniałymi mężczyznami, zdolnymi i porządnymi, chociaż jeden z nich stracił, niestety, nogę. Dzięki Dzehanie jednak przeżył. Żaden z nich nie był już młody. I było widać, że żaden z nich nigdy się nie wyrwie z szeroko rozpostartego cienia ojca, by rzucać własny cień. Nawet po śmierci Tarifa. To było widać.

Chciałby zrobić coś takiego Fernanowi i Diegowi?

Uświadomił sobie, że od dłuższego czasu trzyma pióro nad gładkim, bladym pergaminem. Niczego nie pisząc. Ścigając myśli. Inkaust wysechł. Rodrigo odłożył pióro.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Później, odtwarzając wydarzenia wstecz, zda sobie sprawę, co wzbudziło – bardzo nieznacznie – jego czujność.

Nie słyszał kroków. Każdy członek jego oddziału, który by przyszedł z wizytą – jak wielu z nich obiecało lub zagroziło – ostrzegłby go tupotem na schodach i w korytarzu. Muwardycjycy byli za dobrze nauczeni zachowywać ciszę. Bezruch pustyni nocą pod gwiazdami.

Mimo to było to tylko częściowe ostrzeżenie, ponieważ naprawdę się spodziewał, że niektórzy z jego ludzi przyjdą tej nocy na górę z winem i opowieściami przyniesionymi z ulic.

Zastanawiał się nawet, lekko uzalając się nad sobą, dlaczego tak długo ich nie ma.

Wykrzyknął więc coś na powitanie i odsunął krzesło, by wstać i wpuścić ich do środka.

Drzwi rozwarły się z trzaskiem.

Nie miał pod ręką żadnej broni – miecz i bicz hacjendera leżały po drugiej stronie pokoju obok łóżka, gdzie zawsze je zostawiał. Powodowany najczystszy instynkt, obudzony przez tę połowiczną wątpliwość czającą się w zakamarkach umysłu, uniknął, wykonując rozpaczliwy skręt ciała, pierwszego rzuconego sztyletu. Poczul, jak drasnął go w ramię. Tym samym ruchem chwycił świecę z biurka i cisnął ją w twarz pierwszego mężczyzny, który wpadł do pokoju.

Zdażył zauważyć, że za nim jest dwóch kolejnych. Nie miał co marzyć o dotarciu do miecza.

Usłyszał okrzyk bólu, ale już był odwrócony. Przeskoczywszy przez biurko, spodziewając się w każdej chwili noża w plecach, Rodrigo Belmonte wyskoczył przez otwarte okno.

Okno na trzecim piętrze. O wiele za wysoko nad ziemią, by człowiek przeżył upadek na ulicę.

Nie miał zamiaru spaść.

Przed wielu laty Lain nauczył go pewnej sztuczki. Ilekroć spędzał noc w pomieszczeniu znajdującym się dość wysoko nad ziemią – w zamku, pałacu czy koszarowej sali – Rodrigo wbijał w ścianę na zewnątrz swego okna szpikulec, do którego przywiązywał linę. Droga odwrotu. Zawsze chciał mieć drogę odwrotu. Ocalała mu życie dwa razy. Raz tutaj, w Al-Rassanie, z Raimundem podczas wygnania, a drugi w trakcie kampanii dżalońskiej.

Chwycił się w locie występu pod oknem i użył tego chwytu, by przekreślić ciało w kierunku zwisającej liny. Puścił się występu i sięgnął po nią.

Liny nie było.

Rodrigo spadł, szorując kolanami o ścianę. Walcząc ze ślełą paniką, uświadomił sobie, że musieli wcześniej się zorientować, gdzie jest jego pokój, zapewne wtedy, gdy jadł kolację ze swoim oddziałem. Ktoś z doskonałym wzrokiem i pewną ręką zestrzelił z łuku zwój liny.

Rozgryzienie tego jednak nie przerwało spadania.

Sprawiło to co innego: fakt, że Lain Nunez – dzięki przywilejom wieku i rangi – zajął pokój narożny tuż poniżej i zrobił z liną to samo pod swoim oknem.

Nie zadali sobie trudu, by zestrzelić tę niższą linę. Spadając między księżycem i pochodniami, Rodrigo wyciągnął rękę ku pędzącemu mu na spotkanie oknu Laina, znalazł linę przywiązaną do szpikulca i zacisnął na niej dłoń.

Przeszorowała między nimi, rozdzierając skórę. Wytrzymała jednak, a on utrzymał się na jej końcu, chociaż ramiona niemal wyskoczyły mu ze stawów. Huśtał się tam i z powrotem między dwiema pochodniami na ścianie koszar, na wysokości jednego piętra nad zatłoczonym placem. Wydawało się, że nikt go nawet nie zauważył.

Albo nikt, kto go nie wypatrywał z dołu.

Rzucony z ulicy nóż wbił mu się w lewą rękę. Nie miał szans, by cicho wśliznąć się do pokoju na pierwszym piętrze. Puścił linę i kiedy spadał, wyszarpnął z rany muwardyjski nóż. Wylądował na bruku i natychmiast się przetoczył, dzięki czemu miecz świsnął mu nad głową.

Przetoczył się dalej i kończąc obrót, zerwał się na nogi. Przed nim wyrósł zawołany Muwardyjczyk z uniesionym mieczem. Rodrigo zamarkował cios w lewo, a następnie zamachnął się w drugą stronę. Opadająca klinga nie trafiła w niego, krzesząc iskry na kocich łbach. Rodrigo okręcił się w miejscu i uderzył nożem w kark Muwardyjczyka. Napastnik stęknął i zwałił się na ziemię. Rodrigo sięgnął po jego miecz.

Powinien był w tym momencie zginąć.

Mimo całej swej słynnej sprawności, waleczności i doświadczenia, powinien był zginąć i opuścić świat ludzi, by spotkać swego boga za słońcem.

Był uzbrojony tylko w nóż, ranny i bez zbroi. Skrytobójcy na placu zostali starannie wybrani spośród pustynnych wojowników w Cartadzie tylko po to, by go zabić.

Zginałby w Ragoście tej nocy, gdyby jeden z ludzi obecnych na placu nie spojrzął w górę i nie zobaczył, jak Rodrigo spada, nie rozpoznał go i nie zareagował na widok ciśniętego w górę sztyletu.

Kiedy Belmonte sięgnął po ten życiodajny miecz, podbiegł do niego trzeci Muwardyjczyk z dobytą bronią i zamachnął się do morderczego ciosu.

Jego klingę odbił drewniany kij. Muwardyjczyk zaklął, wyprostował się i otrzymał mocne uderzenie kijem w goleń. Obrócił się w miejscu, jak przystało na wojownika nie zwracając uwagi na ból, i uniósłszy miecz wysoko ku świętym gwiazdom, spuścił go z rozmachem na przekłętego intruza.

Mężczyzna, czujny i pewnie stojący na nogach, sparował cios. Poderwał kij ukosem do góry, dokładnie tak, jak należy. Było to jednak lekkie drewno, część karnawałowego kostiumu, a spadający z góry muwardyjski miecz był prawdziwy jak śmierć. Klinga przecięła kij, jakby w ogóle nie istniał, i wbiła się głęboko w obojczyk napastnika. W tej samej chwili w jego piersi utkwiał sztylet ciśnięty przez trzeciego ze skrytobójców.

Bliższy Muwardyjczyk chrząknął z zadowoleniem, oswobodził brutalnie miecz i zginął.

Dzięki chwilowemu wychnieniu – była to jedna z tych chwil, które precyzyjnie określają wąską przestrzeń między byciem żywym i leżeniem bez życia na kamieniach – Rodrigo Belmonte miał w ręce muwardyjski miecz, a w sercu czarną wściekłość.

Wbił miecz prosto w pierś Muwardyjczyka, wyrwał go i odwrócił się, by stawić czoło trzeciemu mężczyźnie. Nie uciekł on ani nie struchlał, choć teraz istniały powody, by zrobić obie te rzeczy. To jednak byli odważni ludzie. Cokolwiek innego można by o nich powiedzieć, wojownicy piasków byli w walce najodważniejszymi ludźmi, jacy stąpali po ziemi. Za śmierć z bronią w rękę mieli obiecany Raj.

Dwa miecze starły się ze zgrzytem, a potem z szybko powtarzającym się szczękiem. Nagle krzyknęła jakaś kobieta, a potem zawtórował jej mężczyzna. Tłum zaczął się gorączkowo cofać od rozgorzałej walki na śmierć i życie.

Nie trwała długo. Muwardyjczyk został wybrany ze względu na umiejętność zadawania śmierci, lecz stał naprzeciwko Rodriga Belmontego na równych warunkach na wolnej przestrzeni, a od czasu, kiedy przestał być chłopcem, Belmonte nie został pokonany w pojedynku.

Brzęk metalu – to Belmonte wymierzył mocny cios w kolana przeciwnika. Muwardyjczyk go sparował i się cofnął. Belmonte zamarkował wysokie uderzenie znad głowy, robiąc długi krok do przodu, a następnie szybko, niespodziewanie opadł na jedno kolano i wbił miecz w udo Muwardyjczyka. Mężczyzna krzyknął, zachwiał się i umarł od czystego ciosu mieczem w szyję.

Rodrigo odwrócił się, nie tracąc rytmu. Zobaczył to, co spodziewał się zobaczyć – z drzwi koszar wybiegało tyralierą trzech pozostałych napastników, tych którzy wtargnęli do jego pokoju. Wiedział, że żołnierz z jego oddziału, który wylosował krótką słomkę, leży w tych drzwiach martwy. Nie wiedział, kto to był.

Śmierć jego ludzi budziła w nim niewypowiedzianą wściekłość.

Ruszył do przodu, by samotnie stawić czoło tym trzem Muwardyjczykom, złagodzić wściekłość karą, żal zdecydowanym, zabójczym ruchem. Wiedział, kto zginął: za nim na placu, ratując mu życie. Wściekłość, wielki żal. Szedł na spotkanie skrytobójców.

Inni dotarli do nich przed nim.

Nagi mężczyzna z czymś wlokącym się po ziemi i zwisającym z okolic pasa miał w ręku miecz jednego z zabitych Muwardyjczyków. Już atakował pierwszego z nowo przybyłych na plac. Z drugiej strony rozgrywało się widowisko z udziałem pawia dzierżącego zakrzywiony kij pastuszy. Rodrigo zobaczył w biegu, jak paw uderza z tyłu tym kijem jednego z Muwardyjczyków w głowę. Pustynny wojownik padł na bruk jak szmaciana lalka. Paw się nie zawahał i ponownie bezlitośnie uderzył leżącego kijem w głowę.

Nagi mężczyzna – teraz Rodrigo zdał sobie sprawę, że to Alvar de Pellino i że wlokący się za nim przedmiot wcale nie jest przywiązany do jego pasa – stawił czoło Muwardyjczykowi, zderzając się z nim ciałem i wrzeszcząc na całe gardło. Odepchnął przeciwnika, a potem zaczął zadawać i parować ciosy mieczem, niepomny na swoją nagość. Mijając ich w biegu ku ostatniemu z napastników, Rodrigo szybkim ruchem ciął przeciwnika Alvara w łydkę. To była walka, a nie dworski pokaz. Mężczyzna krzyknął wysokim głosem, upadł, a Alvar zabił go jednym uderzeniem miecza.

Ostatni Muwardyjczyk należał do Rodriga.

On też był odważny, nie wykazywał najmniejszej chęci do poddania się czy ucieczki. On też był doskonałym szermierzem, wyzywającym i agresywnym w starciu z człowiekiem, którego

przybył zabić. Żadna z tych cech nie przedłużyła mu życia pod błękitnym księżycem, pochodniami czy gwiazdami, którym oddawał cześć. Belmonte kipiał z wściekłości, a jego wściekłość była zawsze zimna i kierowała walką. Szósty Muwardyjczyk padł od mocnego ciosu w obojczyk – bardzo podobnego do uderzenia, które zabiło mężczyznę z pasterskim kijem.

Walka się skończyła. Tak jak kończyło się wiele podobnych walk w ciągu tych wszystkich lat – pozornie równie szybko, jak się zaczęła. Belmonte miał niezwykłą zdolność rozgrywania takich starć; ta umiejętność określała go w oczach świata, w którym żył. W którym wciąż żył, chociaż tej nocy powinien był zginąć.

Rodrigo odwrócił się, oddychając szybko, i spojrzał w stronę Alvara i pawia, który – co nieprawdopodobne – okazał się Husarim. Ibn Musa zdał swoją maskę i stał poblaski nad ciałem człowieka, którego właśnie zatłukł na śmierć. Pierwsze zabójstwo. Nowe doświadczenie dla niego.

W bezruchu po walce Alvar najwyraźniej uświadomił sobie swój stan – oraz pojedynczą złotą ozdobę. W każdej innej sytuacji Rodrigo roześmiałby się z zachwytem.

Nie było w nim chęci do śmiechu. W żadnym z nich. Śpieszyło ku nim kilku ludzi z oddziału. Jeden bez słowa rzucił Alvarowi własny płaszcz. Młodzieniec owinał się nim i odwiązał smycz.

– Nic ci nie jest? – zapytał Rodriga Martin, uważnie mu się przyglądając.

Belmonte pokręcił głową.

– Nic wartego wzmianki.

Nie powiedział nic więcej; minął ich wszystkich, sześciu martwych Muwardyjczyków, członków swego oddziału i przestraszonych ludzi kłębiących się na placu.

Podszedł do Laina Nuneza, który kuczał przy drobnej postaci leżącej na kamieniach. Mężczyzna oddychał płytko, a jego życie wyciekało z głębokiej rany szyi. Lain podłożył mu pod głowę swój złożony płaszcz. Ludus trzymał nad nimi pochodnię. Ktoś inny przyniósł jeszcze jedną.

Rodrigo spojrzał i na chwilę musiał zamknąć oczy. Widział to wiele razy; to powinno już stać się łatwiejsze. Nie stało się. Nie w przypadku znajomych. Ukląkł na zboczonych krwią kocich łbach i delikatnie zdjął umierającemu maseczkę na oczy, która stanowiła jego ustępstwo na rzecz obyczajów ragoskiego karnawału.

– Velazie – rzekł.

I przekonał się, że nie potrafi powiedzieć nic więcej. To nie był – absolutnie nie był – właściwy koniec dla takiego człowieka. Nie powinien tu umierać z nożem w piersi i tą straszliwą, tryskającą krwią raną. Niewłaściwość tego wszystkiego była przerażająca.

– Oni... martwi?

Umierający miał otwarte oczy; po ich czystym, przenikliwym spojrzeniu było widać, że

walczy z bólem.

– Wszyscy. Uratowałeś mi życie. Cóż mogę ci powiedzieć?

Velaz przełknął ślinę, spróbował coś powiedzieć, ale musiał poczekać, załapała go bowiem fala ostrego bólu.

– Opiekuj... nią – szepnął. – Proszę.

Rodrigo poczuł, jak ogarnia go przemożny smutek. Ten najstarszy, niekończący się smutek ludzkości, za każdym razem nowy. Oczywiście, że właśnie o to musiał poprosić Velaz z Fezany przed śmiercią. Jakim sposobem świat, w którym żyli, dopuszczał do czegoś takiego? Dlaczego, kiedy Rodrigo spadł na ziemię między wrogów, najbliżej niego nie znalazł się Lain albo Ludus, Martin... którykolwiek z kilkunastu żołnierzy... Jeden z wielu mężczyzn, którzy byliby gorzko opłakiwani, lecz śmierć których poniesiona w ten sposób mogłaby zostać uznana za coś na stałe związanego – za znane i prowokowane ryzyko – z wybranym przez nich życiem?

– Będziemy się nią opiekować – rzekł cicho. – Przysięgam. Będzie hołubiona tak, jak ty ją hołubiłeś.

Velaz skinął głową. Nawet ten drobny ruch spowodował gwałtowny wypływ krwi z jego rany.

Znów zamknął oczy. Twarz miał całkowicie pozbawioną koloru.

– Możesz... znaleźć? – poprosił, nie otwierając oczu.

To też Rodrigo zrozumiał.

– Znajdę ją. Znajdę ją dla ciebie.

Wstał, nie zważając na ubranie przesiąknięte krwią, i odszedł szybkim krokiem spróbować dokonać tego, co właściwie tej nocy było niewykonalne: znaleźć w szalonej ciemności karnawału jedną zamaskowaną kobietę.

I dlatego nie było go na placu – walił w drzwi jej domu, a potem puścił się biegiem ulicami, wykrzykując na całe gardło jej imię w świetle gwaru i śmiechu – kiedy nadbiegł najpierw Ammar, a potem sama Dzehana, bojąc się, że znajdą martwego Rodriga, a odkrywając zamiast tego, że na bruku w świetle pochodni trzymany przez milczących żołnierzy leży Velaz.

Dzehana nie zdawała sobie sprawy, ile sympatii zyskał sobie w oddziale valledańskich żołnierzy drobny mężczyzna, który przez wiele lat służył jej ojcu, a potem jej samej. Może to nie powinno być taką niespodzianką. Żołnierze potrafili dostrzec kwalifikacje, wewnętrzną siłę i lojalność, a Velaz uosabiał je wszystkie.

Szczególnie Alvar przyjął tę śmierć z wielkim trudem, niemal winiąc za nią siebie. Wyglądało na to, że kiedy został zaatakowany Rodrigo, Alvar przybył na miejsce jako drugi. Dzehana domyślała się, że był niedaleko z jakąś kobietą.

Właściwie nie myślała jasno. Noc dobiegała kresu. Na niebie wisiał cienki sierp białego

księżycy, lecz w otwartych oknach wychodzących na wschód już było widać zapowiedź szarości. Znajdowali się w koszarach, w jadalni na parterze. Na ulice powracał spokój, ale mogło to być złudzenie spowodowane grubością ścian. Dzehana chciała powiedzieć Alvarowi, że nie ma nic niewłaściwego w spędzeniu karnawału z kobietą, ale nie mogła jeszcze wydobyć ani słowa.

Ktoś – chyba Husari – przyniósł jej kubek czegoś ciepłego. Drżąc, ścisnęła go obiema dłońmi. Ktoś otulił ją płaszczem. Inny płaszcz okrywał Velaza, leżącego nieopodal na jednym ze stołów. Trzeci posłużył za całun żołnierzowi, który zginął w drzwiach, kiedy Muwardyjczycy wtargnęli do koszar. Drzwi nie były zaryglowane. Wygląda na to, że strażnik obserwował ludzi tańczących na placu.

Plakała z przerwami przez długi czas. Czuła się odrętwiała, pusta, kręciło jej się w głowie. Było jej bardzo zimno, nawet pod płaszczem. W myślach próbowała układać list do rodziców... ale przestała. Konstruowanie tych zdań groziło nowymi łzami.

Przez całe życie Dzehany Velaz stanowił część jej świata; jeśli nie znajdował się w jego centrum, to w każdym razie nigdy nie był odeń daleko. O ile wiedziała, nigdy nie skrzywdził żadnego mężczyzny ani kobiety – aż do tej nocy, kiedy zaatakował muwardyjskiego wojownika i ocalił życie Rodrigowi.

To jej poniewczasie o czymś przypomniało. Obejrzała się i spostrzegła, że rany Rodriga przemywa i opatruje Lain Nunez. Ja się powinnam tym zająć, pomyślała, ale wiedziała, że nie potrafiłaby tego zrobić. Nie tej nocy.

Zdała sobie sprawę, że podszedł do niej Ammar i przykucnął obok. Zdała sobie też sprawę, że to jego płaszcz ma na sobie. Spojrzał na nią badawczo, po czym bez słowa ujął jej rękę. Jak zrozumieć, że jeszcze tej samej nocy się całowali? I że on powiedział pewne rzeczy, które otworzyły przed nią nowe horyzonty.

Potem był król Cartady.

A potem Velaz na bruku.

Nikom nie powiedziała o Almaliku. Był tu mężczyzna, którego kocha – teraz mogła używać w myślach tego słowa, przyznać to przed samą sobą – i do niego należało opowiedzenie o tej części mrocznych wydarzeń minionej nocy lub jej przemilczenie.

Usłyszała na balkonie dość, by zrozumieć to, co się rozegrało między Ammarem i młodym, przestraszonym królem Cartady, na tyle wyrachowanym, by wysłać za Rodrigiem Belmontem zabójców z pustyni. Wydał także rozkaz wykonania egzekucji na wojowniku, który rzucił nożem w Ammara. Tkwiło w tym coś złożonego i bolesnego.

Nie mogła poszukiwać zemsty za Velaza, naprowadzając ich na ślad cartadzkiego króla. Usiłował przecież zabić Rodriga, a najemni żołnierze, raz po raz przekraczający *tagrę* oraz granice ustalone przez Dżada i Aszara, prowadzili życie czyniące taki zamach prawdopodobnym, a nawet możliwym.

Velaz żył inaczej. Velaz ben Iszak – kiedy przyjął kindathijską wiarę, przyjął także imię ojca Dzehany – prowadził życie, które powinno się zakończyć spokojną starością. Nie na stole w koszarowej sali z raną od miecza, w szyi.

Dzehanie przyszło wtedy do głowy – w ten senny sposób, w jaki teraz nachodziły ją myśli – że w najbliższych dniach ona też musi podjąć pewne decyzje. Nie tylko Ammar czy Rodrigo doświadczali podzielenia lojalności. Była lekarką w oddziale valledańskich najemników oraz na dworze Ragosy. Była także mieszkanką Fezany na ziemiach Cartady. Tam znajdował się jej dom i rodzina. W gruncie rzeczy to jej król odjeżdżał tej nocy spod murów miasta, mając w niebezpiecznej drodze do domu tylko jednego towarzysza. Człowiek, którego rozkazał zabić, był Valledaninem, dzadyckim wrogiem, Biczem Al-Rassanu.

Kimś, kto dołączyłby do Ramira, a gdyby atak na Fezanę doszedł do skutku, mógłby dzięki męstwu swojemu i swoich ludzi zdobyć miasto będące jej domem. Dzadyci Esperanii palili Kindathów lub czynili z nich niewolników. Grobowiec królowej Vaski na wyspie pozostawał celem najświętszych pielgrzymek.

Ammar trzymał ją za rękę. Wrócił Husari. Wokół oczu miał czerwone obwódki. Uniosła wolną rękę, a on ją ujął. W tym pomieszczeniu miała wokół siebie dobrych ludzi; przyzwoitych, troskliwych ludzi. Lecz ten najprzyzwoitszy, najtroskliwszy, który kochał ją od dnia jej narodzin, leżał martwy na stole pod żołnierskim płaszczem.

I wtedy gdzieś w głębi zbołałej duszy Dzehana poczuła drżenie, zapowiedź przyszłego bólu. Wydało jej się, że świat Esperanii, świat Al-Rassanu pędzi na łeb, na szyję ku czemuś ogromnemu i straszному, a śmierć Velaza i żołnierza z oddziału Rodriga, a nawet siedmiu pustynnych wojowników, jest tylko wstępem do czegoś o wiele gorszego.

Rozejrzała się po sali, ujrzała w świetle pochodni ludzi, których lubiła i podziwiała, albo kochała, i zadała sobie pytanie – w tym dziwnym, pustym nastroju, w jakim się znalazła – ilu z nich dożyje następnego karnawału w Ragosie.

Albo czy za rok karnawał się odbędzie.

Podszedł Rodrigo. Był bez koszuli, a jego najpoważniejsza rana została starannie zabandażowana. Tors i ramiona miał twarde, umięśnione, poznaczone siatką blizn. Kiedy ta rana się wygoi, przybędzie mu jeszcze jedna. Dzehana pomyślała, że obejrzy ją później. Czasami praca stanowiła jedyną barierę między życiem i czyhającą poza nim pustką.

Rodrigo miał dziwny wyraz twarzy. Nie widziała u niego takiej miny od czasu... od kiedy go poznała i razem patrzyli na pożar osady leżącej na północ od Fezany. Widziała teraz u niego ten sam gniew i poczucie krzywdy, które nie bardzo pasowało do jego profesji. A może to nieprawda? Może Rodrigo był dobry w tym, co robi, dlatego że znał cenę, jaką niosą ze sobą czyny żołnierzy na wojnie?

Dziwne, jak błędziły jej myśli. Pytania, na które nie ma odpowiedzi. Zupełnie jak śmierć. Ta

puszka. Nieprzejednany wróg lekarza. Głęboka rana od miecza w obojczyku. Na to nie było odpowiedzi.

Odchrząknęła.

– Oczyszczył ją... nim założył opatrunek? – spytała.

Belmonte skinął głową.

– Całą butelką wina. Nie słyszałaś mnie?

Pokręciła głową.

– Wygląda na porządny opatrunek.

– Lain robi to od lat.

– Wiem.

Przez chwilę milczeli. Ukląkł przed nią obok Ammara.

– W ostatnich słowach prosił, żebyśmy się tobą opiekowali. Przyrzekłem mu, że to zrobimy,

Dzehano.

Zagryzła wargę.

– Myślałam, że to ja zostałam wynajęta, by się opiekować wami wszystkimi – rzekła.

– To działa w obie strony, moja droga.

To powiedział Husari. Ammar milczał i tylko patrzył. Obejmował jej dłoń chłodnymi palcami.

Rodrigo spojrział na niego, zauważył połączone ręce i powiedział:

– Muwardyjscy skrytobójcy wskazują na Cartadę.

Wstał.

– Też tak sądzę – zgodził się Ammar. – Właściwie ja wiem, kto to był. Odnalazł mnie wysłannik. Inny rodzaj misji.

Rodrigo powoli skinął głową.

– Chce, żebyś wrócił?

– Tak.

– Zakładaliśmy to, prawda?

– Almalik chyba chciał mieć pewność, że jestem tego świadom.

– Co stanowiło ofertę?

– Wszystko, czego można by się spodziewać – odparł chłodno. Rodrigo zauważył i to.

– Przepraszam. Nie powinienem pytać.

– Możliwe. Ale zapytałeś. Zadasz następne pytanie?

Ammar puścił jej rękę. Wstał.

Obaj mężczyźni patrzyli na siebie; szare i niebieskie oczy. Rodrigo skinął głową, jakby przyjmując wyzwanie.

– Dobrze. Co im powiedziałeś?

– Że nie znam odpowiedzi na pytanie, czy chcę wrócić, czy nie.

– Rozumiem. To była prawda?

– Wtedy.

Milczenie.

– Nie tak dawno temu, jeśli słowa te padły dzisiejszej nocy.

– Tak. Nastąpiły pewne wydarzenia.

– Rozumiem. I co byś odpowiedział, gdyby to samo pytanie zadano ci teraz?

Drobne, rozmyślne wahanie.

– Że jestem zadowolony z towarzystwa, w jakim się znajduję. – Dżehana uświadomiła sobie, że kryje się tu pewien niuans. W chwilę później spostrzegła, że Rodrigo również go wychwyił. Pokazał ręką na salę.

– My jesteśmy tym towarzystwem?

Ibn Khairan pochylił głowę.

– Częściowo.

Obaj byli jednakowego wzrostu; Valledanin miał szersze bary i pierś.

– Rozumiem.

– A ty? – zapytał Ammar i teraz Dżehana pojęła, dlaczego pozwolił zadawać sobie te pytania, a nawet do tego zachęcał. – Gdzie będą tego lata służyć ludzie Rodriga Belmontego?

– Wkrótce wyprawiamy się przeciwko Cartadzie. Z armią Ragosy.

– A jeśli wyprawi się też król Ramiro? Na Fezanę? Co wtedy, Biczu Al-Rassanu? Stracimy cię? Dożyjemy dni, kiedy znów będziemy się bać widoku twego sztandaru?

Niektórzy członkowie oddziału podeszli i słuchali. Niebo na wschodzie pojaśniało. Wkrótce wszędzie słońce. Rodrigo milczał długi czas.

– Ja też jestem zadowolony z miejsca, w którym się znajduję – rzekł w końcu.

– Ale?

Gniew zniknął z oczu Belmontego. To drugie uczucie wciąż się w nich malowało.

– Ale jeśli wojska Esperanii przekroczą *tagrę*, chyba będę musiał do nich dołączyć.

Dżehana wypuściła ustami powietrze. Dotąd nie zdawała sobie sprawy, że je wstrzymuje.

– Oczywiście – stwierdził Ammar. – Po to żyjesz.

Po raz pierwszy Rodrigo odwrócił wzrok, ale zaraz spojrzął z powrotem na Ammara.

– Co chcesz, żebym powiedział?

– Och, cóż... może: „Gińcie, aszaryckie psy! Kindathijskie świnię!” – Głos Ammara stał się nagle twardy, bezlitosny. – Coś w tym rodzaju?

Wśród żołnierzy rozległ się pomruk. Rodrigo skrzywił się i pokręcił głową.

– Ja tego nie zrobię, Ammarze. Ani ci, którzy są ze mną.

– A ci, którzy będą wszędzie wokół?

Rodrigo znów pokręcił głową.

– Cóż ci mogę powiedzieć? Pewnie będą się zachowywać bardzo podobnie do Muwardyczyków. Pokieruje nimi nienawiść i świętość. – Zrobił dziwny gest, otwierając i zaraz zamykając dłonie. – Ty mi powiedz. Co podczas takiej wojny powinni robić dobrzy ludzie, Ammarze?

Zapytany odpowiedział tak, jak się tego bała i spodziewała Džehana.

– Zabijać się nawzajem, aż coś się w świecie skończy.

Alvar i Husari zaprowadzili ją do domu w świetle słońca wschodzącego nad zaśmieconymi, pustymi ulicami. Wszyscy bardzo potrzebowali snu.

Alvar zajął swój dawny pokój na parterze, ten w którym mieszkał, kiedy razem z Džehaną i Velazem przybył przez przełęcz do Ragosy. Husari położył się w łóżku Velaza w pokoju obok pomieszczenia, w którym Džehana przyjmowała pacjentów.

Życzyła im dobrej nocy, choć noc już się skończyła. Poszła po schodach do swego pokoju. Otworzyła okno i patrzyła, jak nad dachami domów jaśniejnie niebo na wschodzie.

Zapowiadał się piękny poranek. Lekki wiatr przyniósł z ogrodu po drugiej stronie ulicy zapach drzewek migdałowych. Było cicho. Ulice opustoszały. Velaz już nie zobaczy tego poranka.

Jeszcze raz spróbowała pomyśleć, jak mogłaby o tym powiedzieć swoim rodzicom, i jeszcze raz cofnęła się przed tym zadaniem. Pomyślała o czymś innym: trzeba będzie urządzić kindathijski pogrzeb. Avren pomoże. Może poprosi go, by to zrobił? Żeby znalazł kogoś, kto odśpiewa pradawne słowa liturgii: „Jedno słońce dla boga. Dwa księżycy dla jego umiłowanych sióstr. Niepoliczone gwiazdy, by świeciły nocą. O, mężczyzno i kobieto, urodzeni, by stąpać po mrocznej ścieżce, tylko spójrzcie w górę, a światła zaprowadzą was do domu”.

Znów się rozplakała. Łzy ciekły jej po policzkach i spadały na parapet.

Po pewnym czasie wytarła twarz grzbietami dłoni i położyła się na łóżku, nie zawracając sobie głowy rozbieraniem się, chociaż miała na ubraniu krew. Łzy wyschły. Ich miejsce zajęła pustka wydobywająca się z jej serca. Leżała, lecz nie mogła zasnąć.

Niedługo potem usłyszała jakiś dźwięk dochodzący z zewnątrz. Czekwała na niego.

Ammar podciągnął się na parapecie. Pozostał na nim bez ruchu, przyglądając się jej.

– Wybaczysz mi? – zapytał w końcu. – Musiałem przyjść.

– Nigdy bym ci nie wybaczyła, gdybyś nie przyszedł – odparła. – Przytul mnie.

Zeskoczył na podłogę i podszedł do łóżka. Położył się obok Džehany, a ona oparła mu głowę na piersi. Czują, jak bije mu serce. Zamknęła oczy. Dotknął ręką jej włosów.

– Och, moja miłości – rzekł miękko. – Džehano.

Znów zaczęła płakać.

To też minęło, chociaż nie szybko. Po długiej chwili milczenia odezwał się ponownie:

– Możemy tak leżeć, jak długo chcesz. Tak jest dobrze.

Była w niej jednak pustka, a przecież już nie musiało tak być.

– Nie, nie możemy – odparła.

Uniosła głowę i pocałowała go. Sól. Jej własne łzy. Splotła dłonie w jego włosach i pocałowała go jeszcze raz.

O wiele później, kiedy oboje byli nadzy, ułożyła się w jego ramionach i zapadła w rozpaczliwie potrzebny sen.

On nie. Był zbyt świadom tego, co miało nadejść tego dnia. Musi opuścić Ragosę przed zapadnięciem nocy. Będzie namawiał Dzehanę, by tu pozostała. A ona odmówi. Wiedział nawet, kto będzie chciał z nimi wyjechać. Na zachodzie majaczyła ciemność niczym wypiętrzona chmura burzowa. Nad Fezaną. Tam gdzie się poznali.

Leżąc tak z Dzehaną w ramionach, dostrzegł ogromną ironię w tym, jak blask słońca wlewa się przez wschodnie okno i pada na nich oboje, jakby ktoś, albo coś, zapragnął osłonić ich błogosławieństwem utkanym ze światła.

CZEŚĆ V

NAWET SŁOŃCE ZACHODZI

ROZDZIAŁ 15

Zarządca Fezany był człowiekiem czujnym i ostrożnym. Jeśli czasem pamiętał, że król Almalik I, Lew z Cartady, zaczął swój marsz ku chwale właśnie od rządzenia tym miastem dla kalifów z Silvenes, to częściej przypominał sobie o swoim niezwykłym szczęściu, dzięki któremu był jedynym ważnym zarządcą miasta, który przeżył wymianę ojca na syna w Cartadzie.

Kiedy niepokoili go marzenia o wyższej pozycji, nauczył się pozwalać sobie na wieczór rozrywki: dzadyckie wino, tancerki, zbliżenia – obserwowanie lub uczestnictwo w nich – z udziałem niewolników obu płci w rozmaitych kombinacjach. Przekonał się, że uczucie ulgi spowodowane przez takie zajęcia tłumi na jakiś czas niepokoje wywołane nieodpowiednimi marzeniami.

Szczerze mówiąc, przetrwania na stanowisku zarządcy Fezany nie zawdzięczał jedynie szczęściu. Za ostatnich lat panowania starszego Almalika zarządca zadał sobie dyskretnie trud nawiązania serdecznych stosunków z jego synem. Mimo że napięcie między królem i księciem było wyraźne, zarządca Fezany ocenił, że młodzieniec ma szansę przeżyć i zastąpić swego ojca. Jego rozumowanie było nadzwyczaj proste – alternatywa jest nie do obrony, a opiekunem księcia był Ammar ibn Khairan.

Zarządca Fezany urodził się w Aldzais.

Znał ibn Khairana od czasów dzieciństwa poety w tym mieście. Znał z pierwszej ręki kilka opowieści przekazywanych z tamtych zuchwałych, niezbyt odległych czasów. Po zastanowieniu uznał, że roztropny administrator powinien podtrzymywać znajomość z każdym księciem korzystającym z rad tego mężczyzny.

Oczywiście okazało się, że miał rację, chociaż wiadomość o tym, że młody król natychmiast wygnał ibn Khairana, wytrąciła go z równowagi. Kiedy się dowiedział, że wygnany dworzanin znajduje się w Ragosie, wysłał mu tam przez pośredników pozdrowienia. Jednocześnie służył młodszemu Almalikowi z gorliwością, z jaką zajmował się interesami jego ojca. Człowiek zachowuje stanowisko – a także bogactwo i życie – nie tylko dzięki takim umiejętnościom, ale i szczęściu czy wyczuwaniu, skąd może powiać wiatr. Zarządca kradł bardzo niewiele i ostrożnie.

Starał się także nie stawiać hipotez. Kiedy więc wczesną wiosną królewski herold przywiózł nieoczekiwane, a właściwie zaskakujące żądanie zapłaty *parias* dla Ruendy, zarządca przesłał pieniądze do Cartady bez żadnych uwag.

Mógłby formułować przypuszczenia, w jaki sposób pojawiło się to żądanie i nawet podziwiać subtelność, której było owocem, lecz nie do niego należało wygłaszanie opinii na ten temat – chyba że poprosiłby go o to sam król.

Wypełniał bardziej pragmatyczne zadania. Mając do dyspozycji zniechęconych

mieszkańców, ufortyfikował i odbudował mury Fezany najlepiej, jak potrafił. Po wielu latach radzenia sobie z niebezpiecznie buntowniczym miastem, zarządca ocenił, że przez jakiś czas da sobie radę z osłabieniem i przygnębieniem. Dodatkowym Muwardyjczykom z nowego skrzydła zamku niezbyt dobrze szła budowa murów – trudno się było tego spodziewać po pustynnych wojownikach – ale byli dobrze opłacani i zarządca bez skrupułów dawał im pracę.

Wiedział o pisemnych atakach religijnych, rozmieszczanych tej zimy w mieście, tak jak wiedział o większości rozgrywających się w nim wydarzeń. Uznał, że nowy król daje cartadzkim wadżim w pojedynczym geście nieco swobody i że rozszerza się to na inne miasta królestwa. Poleciał nękać prostytutki trochę bardziej niż zazwyczaj. Zamknięto kilka dzadyckich gospód. Dzięki towarzyszącym temu konfiskatom zarządca po cichu uzupełnił własne zapasy wina. W przeciwieństwie do czasów takie działania były normalne.

Kindathom złorzeczono zdecydowanie bardziej niż zwykle. To go zbyt nie martwiło. Nie lubił Kindathów. Zawsze sprawiali wrażenie – nawet kobiety – że wiedzą coś, czego nie wie on. Tajemnice świata. Przyszłość wytyczona przez ich wędrujące księżycy. To go niepokoiło.

Jeśli wadzi postanowili grzmieć przeciwko Wędrowcom z większą zajadłością niż w niedawnej przeszłości, to najwyraźniej robili to za zgodą czy aprobatą króla i zarządca na pewno nie zamierzał interweniować.

Tego roku miał poważniejsze zmartwienia.

Fezana nie umacniała murów i nie powiększała muwardyjskiego garnizonu tylko po to, by żołnierze mieli jakieś zajęcie. Tego roku na północy panowała atmosfera źle wróżąca na przyszłość, bez względu na to, czy była ona wytyczona przez kindathijskie księżycy, czy nie.

Mimo to zarządca, jako człowiek z natury wielce ostrożny, nie bardzo wierzył, że Ramiro z Valledo będzie na tyle głupi, by najechać te ziemie i oblegać miasto leżące tak daleko od jego kraju. Fezana płaciła Valledo *parias* dwa razy do roku. Dlaczego jakkolwiek racjonalnie myślący człowiek miałby ryzykować życie i stabilność swego królestwa, by zdobyć miasto, które i tak napelnia jego kufry złotem? Poza wszystkim innym przeprowadzenie valledańskiej armii przez *tagrę* oznaczało bezbronność na północy wobec Dżalonii albo Ruendy.

Z drugiej strony, zarządca tak jak wszyscy inni słyszał wieści o dzadyckiej armii zbierającej się w Bachiarze i mającej wypłynąć tej wiosny na wschód, do Ammuzu i Soriyyi. Zarządca Fezany uważał, że coś takiego może dać bardzo zły przykład.

Nadeszła wiosna. Tavares wezbrała i opadła, nie wywołując nadmiernej powodzi. W świątyniach złożono za to rytualne podziękowania Aszarowi i świętym gwiazdom boga. Pola użyźnione przez rzekę zostały zaorane i obsiane. W ogrodach Fezany i za jej murami zakwitły kwiaty. Na targu i na stole zarządcy pojawiły się melony i czereśnie. Zarządca lubił melony.

Zza *tagry* nadeszła wiadomość o spotkaniu trzech dzadyckich królów w Carcazji.

To żadną miarą nie było nic dobrego. Zarządca przekazał informację do Cartady. Niemal

natychmiast przysły dalsze wieści, że po próbie zamachu na życie albo króla, albo królowej, a może konetabla Valledo, spotkanie skończyło się rozlewem krwi.

Informacje z północy rzadko były jasne, czasami niemal bezużyteczne. Także i tym razem. Zarządca nie wiedział, kto, jeśli w ogóle, został ranny lub zabity ani kto za tym stał. Mimo to przekazał i tę informację, bez względu na jej znaczenie.

Szybko otrzymał z Cartady polecenia: kontynuować prace na murach, gromadzić żywność i napoje. Dawać wadżim powody do zadowolenia, a Muwardyjczyków utrzymywać w ryzach. Umieścić strażników w pobliżu *tagry*. Zachowywać nieustanną czujność w imię Aszara i królestwa.

Te rozkazy budziły niepokój. Zarządca sprawnie wykonał wszystkie polecenia w coraz bardziej niespokojnym mieście. Odkrył, że poranny melon nie smakuje mu już tak bardzo, jak niegdyś. Najwyraźniej nie służył jego żołądkowi.

Wtedy w garbarni zginęło dziecko.

Tego samego dnia nadeszła wiadomość, że widziano valledańską armię. Na południe od *tagry*, w Al-Rassanie, pod powiewającymi sztandarami.

Armię. Bardzo dużą, szybko zbliżającą się armię. Po raz pierwszy od setek lat ku temu miastu pędzili Jeźdźcy Dżada. To szaleństwo, pomyślał wzburzony zarządca. Najczystsze szaleństwo! Co ten król Ramiro robi?

A co może zrobić roztropny i sumienny urzędnik, kiedy królowie tego świata tracą rozum?

Albo kiedy tego samego dnia traci rozum jego własny lud?

Niekiedy wydarzenia rozgrywające się w odległych miejscach przemawiają pojedynczym głosem zmienionej atmosfery, zwrotu świata ku ciemności lub światłu. Przez długie lata pamiętano, że masakry Kindathów w Sorenice i Fezanie nastąpiły w odstępach pół roku. Jednej dokonali zdziczali z nudy dżadyccy żołnierze, drugiej aszaryccy mieszkańcy miasta oszaleli ze strachu. Skutki były podobne.

W Fezanie wszystko zaczęło się od gorączki dziecka. Tej wiosny zachorowała córka garbarza, niejakiego ibn Szapura. Biedniejsi robotnicy mieszkali najbliżej rzeki i w okresie powodzi szerzyły się tam choroby, szczególnie wśród dzieci i starców.

Rodzice dziecka, nie mogąc lub nie chcąc płacić za usługi lekarza, uciekli się do pradawnej metody umieszczenia dziewczynki na posłaniu w samej garbarni. Uważano, że śmierdzące opary odpędzają złą obecność choroby. Tę metodę leczenia stosowano od wieków.

Tak się złożyło, że tego dnia przyszedł do garbarni kindathijski kupiec, niejaki ben Mores. Kupował skóry na eksport na wschód; wysyłał je do Salos, a potem wzdłuż wybrzeża i przez cieśninę.

Oceniając ze znanstwem gotowe i nie gotowe skóry na podwórku, usłyszał płacz dziecka.

Zorientowawszy się w sytuacji, kindathijski kupiec zaczął głośno rzucać bluźniercze oszczerstwa na rodziców dziecka, po czym wkroczył do garbarni i dotknął dziewczynki – co było zabronione. Nie zważając na protesty, wyniósł ją z pomieszczenia na chłód wiosennego powietrza.

Nadal miotał przekleństwa, kiedy ibn Szapur, widząc, że Kindath zhańbił i porwał jego małą córeczkę, oraz wiedząc, że ten nikczemny lud używa w swoich ohydnych obrzędach krwi dzieci, podbiegł i uderzył kupca w tył głowy garbarskim hakiem, zabijając go na miejscu. Później powszechnie się zgadzano, że ibn Szapur nigdy nie uchodził za gwałtownego człowieka.

Dziecko upadło na ziemię, płacząc żałośnie. Ojciec podniósł dziewczynkę, przyjął posępne gratulacje swoich towarzyszy i zaniósł ją z powrotem do garbarni. Przez resztę dnia ciało kindathijskiego kupca leżało tam, gdzie padło na ziemię. W słońcu gromadziły się na nim muchy i przychodziły psy, by lizać jego krew.

Dziecko zmarło tuż przed zachodem słońca.

Pracownicy garbarni, którzy po pracy gniewnie omawiali sprawę na podwórku, zgodzili się, że dotyk Kindatha rzucił na dziewczynkę klątwę. Przedtem z pewnością wracała do zdrowia. Przecież wiadomo, że dzieci umierają od dotyku Kindathów. Na podwórko przybył wadzi; później nikt nie pamiętał, kto go wezwał. Usłyszawszy, co się stało, pobożny mąż wyrzucił w górę ręce w geście przerażenia.

Mniej więcej wtedy ktoś zauważył, przypominając pewien wiersz wszędzie rozklejany i recytowany na początku roku, że w Dniu Fosy nie zginął ani jeden Kindath. Tylko dobrzy aszaryci. „To trucizna wśród nas”, zawołał ten sam człowiek. „Zabijają nasze dzieci i naszych przywódców”.

Ciało zabitego kupca zostało wyciągnięte na środek podwórka, okaleczone i zmaltrretowane. Obserwujący to wadzi się nie sprzeciwiał. Ktoś wpadł na pomysł obcięcia trupowi głowy i wrzucenia ciała do fosy. Zatem odcięto mu głowę. Tłum garbarzy wyszedł z podwórka, niosąc ciało, i ruszył ku bramie położonej najbliżej fosy.

Po drodze garbarze – wtedy było ich już sporo – natknęli się na dwie Kindathijki, kupujące pod koniec dnia szale na Ulicy Tkaczy. Jedną z nich uderzył w twarz mężczyzna, który wyrecytował wiersz. Druga kobieta miała czelność odpłacić mu tym samym.

Niewierna, kobieta, dotykająca jednego ze Zrodzonych z Gwiazd Aszara? To było nie do zniesienia.

Obie Kindathijki zostały zatłuczone na śmierć przed sklepem, gdzie jeszcze pakowano ich sprawunki. Tkaczka spokojnie odłożyła szale pod ladę i schowała otrzymane pieniądze. Następnie zamknęła warsztat na resztę dnia. Zebrał się już wielki tłum. Po krótkim wahaniu obie kobiety zostały pozbawione głów. Później nikt nie pamiętał, kto właściwie trzymał ostrza.

Gniewny, cały czas rosnący tłum, zaczął się przemieszczać w stronę Bramy Fosy, niosąc trzy bezgłowe, krwawiące ciała.

Po drodze spotkali jeszcze większą cizbę. Wypełniała targowisko niemal po brzegi. Nie był to dzień targowy.

Właśnie dotarły wieści z północy. Dostrzeżono dżadytów. Już tu prawie są. Armia z Valledo, mająca złupić i spalić Fezanę.

Chociaż nikt niczego nie zaproponował – jak później usiłowano sobie przypomnieć – oba tłumy zwały się w jeden, przyciągnęły ku sobie innych ludzi i w godzinie przed zachodem słońca i wzejściem białego księżyca zawróciły w stronę bram Dzielnicy Kindathów.

Zarządca Fezany otrzymał informacje o jakimś powstaniu wśród garbarzy i użyciu przemocy niemal w tej samej chwili, kiedy dotarła do niego od dawna ze strachem wyczekiwana wieść, że Jeźdźcy pędzą na południe i już przebyli *tagrę*. Wolałby, żeby o obu tych sprawach wiedział przez jakiś czas tylko on, lecz okazało się to niemożliwe. Depcząc po piętach dwóm poprzednim, pojawił się trzeci posłaniec z wiadomością, że na targu zebrał się tłum i że już słyszał wieści z północy.

Tak więc zarządca musiał szybko podjąć kilka decyzji. Natychmiast wysłał dwóch oddzielnych posłańców do Cartady i Lonzy. Uzgodniono, że gdyby rzeczywiście zaczęło się oblężenie Fezany, część lonzańskieg garnizonu zostanie skierowana na północ, ku stokom Gór Tavares, by chociaż częściowo powstrzymać dżadyckie wypadki na południe od rzeki. Żywność dla oblężniczej armii lub jej brak często była kluczem do powodzenia oblężenia.

Zarządca wysłał także adiutanta po pewne od dawna dla niego przygotowane dokumenty. Przed ponad trzema laty Almalik I z Cartady, który, zanim został monarchą, był zarządcą (myśl ta wciąż nie dawała zarządcy Fezany spokoju), sporządził wraz ze swoimi generałami i doradcami plany na wypadek oblężenia miasta. Czytając te pisemne instrukcje, które nie zostały zastąpione żadnymi innymi, zarządca zauważył z niepokojem ich najśmielszy element. Zawahał się, a następnie postanowił zaufać mądrości nieżyjącego króla. Najstarszy rangą Muwardyjczyk w pomieszczeniu otrzymał rozkazy. Jego zawoalowana twarz oczywiście niczego nie zdradziła. Natychmiast wyszedł, by zebrać ludzi.

Wszystko to, oraz wydanie innych drobniejszych rozkazów, zajęło trochę czasu. Dlatego, kiedy przybył jeszcze jeden posłaniec z wiadomością, że w stronę Bramy Kindathów zmierza ogromna rzesza ludzi z pochodniami, zarządca jak rzadko pozostawał w tyle wydarzeń rozgrywających się w jego mieście. Widok pochodni pobudził go jednak do działania. Nie było jeszcze ciemno; pochodnie nie miały czego oświetlać. Po co bronić się przed Valledanami, jeśli mieszkańcy sami spalą swoje miasto? Jeden Aszar i gwiazdy wiedziały, że zarządca nie kochał Kindathów, ale jeśli zostanie podpalona ich dzielnica, to może spłonąć całe miasto. Drewniane ściany nie mają pojęcia o granicach wiary. Zarządca rozkazał rozpędzić tłum.

Było to właściwe posunięcie i gdyby rozkaz nadszedł wcześniej, mogłoby nawet zakończyć

się powodzeniem.

Alvar zapamiętał ten wieczór i noc do końca życia.

Budził się z przerażeniem ze snu, że znów jest w Fezanie o zachodzie słońca i patrzy na zbliżającą się tłuszcę. To wspomnienie naznaczyło Alvara i trzymało się go jak nic innego w życiu, oprócz jednej chwili nieco później, także o zachodzie słońca.

Przybyli tego popołudnia, uciekając przed chmurą pyłu wzbijanego przez dzadytów wraz z przestraszoną chmurą wieśniaków. Całą piątką pędzili na złamanie karku przez wiosenne wzgórza i łąki od samej Ragosy. Wyruszyli w dzień po karnawale, natychmiast po pochowaniu Velaza wedle kindathijskiego obrządku, a zabitego żołnierza wedle obrządku dzadyckiego.

Nie było czasu na żałobę. Ibn Khairan dał to jasno do zrozumienia na podstawie tego, czego się dowiedział, i Dżehana, oszalała ze strachu o rodziców, nie chciała zostać w mieście ani chwili dłużej. Wyjechali z Ragosy niedługo po południu: Alvar, Husari, Dżehana, ibn Khairan i Rodrigo Belmonte. Wszyscy wyczerpani po minionej nocy, wszyscy świadomi, że w atmosferze tej wiosny może się wydarzyć coś potwornego.

Dziesięciodniową podróż odbyli w sześć dni, jadąc nawet po zapadnięciu zmroku; pewnego popołudnia przybyli do miejsca, z którego dostrzegli mury Fezany. Wcześniej zauważyli chmurę pyłu oznaczającą valledańskie wojsko.

Pierwszy spostrzegł ją Rodrigo. Pokazał ręką, a potem wymienił z ibn Khairanem długie spojrzenie, którego Alvar nie umiał zinterpretować. Dżehana patrzyła na północ, przygryzając wargę. Husari mruczał coś pod nosem, możliwe że słowa modlitwy.

Jeśli chodzi o Alvara, to mimo znużenia i niepokoju widok chmury kurzu, wzbijanego przez Jeźdźców Valledo w Al-Rassanie, głęboko go poruszył. A potem znów spojrzął na Dżehanę, Husarię i ibn Khairana, i ponownie poczuł zamęt w głowie. Jak to się stało, że coś, czego pragnęło się całe życie, powoduje zwątpienie i lęk?

– Poruszają się bardzo szybko – powiedział w końcu ibn Khairan.

– Zbyt szybko – mruknął Rodrigo. – Przegonią niektórych z uciekających wieśniaków. Nie rozumiem. Przecież chcą mieć w mieście jak najwięcej gąb do wyżywienia.

– Chyba że to nie ma być oblężenie.

– A cóż innego mogłoby to być? Przecież nie zaatakują tych murów. – Ibn Khairan jeszcze raz spojrzął ku północy. Znajdowali się w dogodnym miejscu, wysoko na wzgórzu po wschodniej stronie miasta.

– Może tak gna tylko straż przednia – rzekł. – Z jakiegoś powodu.

– To też nie miałyby sensu – odpowiedział Rodrigo, marszcząc brwi.

Alvarowi wydał się podenerwowany, a nie rozradowany.

– Czy to ma znaczenie? – spytała ostro Dżehana. – Jedźmy!

Przez całą drogę jechała w żołnierskim tempie. Czasami nawet Rodrigo albo ibn Khairan musieli ją powstrzymywać, by nie zajeździć koni.

Od czasu karnawału jej stosunki z ibn Khairanem uległy zmianie. Starali się nie okazywać tego zbyt wyraźnie, lecz było to widać, zarówno po nim, jak i po niej. Alvar usiłował nie zwracać na nich uwagi. Udało mu się to tylko częściowo. Wyglądało na to, że życie potrafi mieszać człowiekowi w głowie i sprawiać mu ból na wiele sposobów.

Zjechali ze wzgórza, przekroczyli fosę i znaleźli się w mieście. Alvar był tu po raz pierwszy, Dżehana i Husari wracali do domu, a ibn Khairan do miejsca, gdzie Almalik I spróbował zniszczyć jego reputację i ukrócić władzę.

A Rodrigo?

Alvar rozumiał, że Komendant, przebrany za aszarytę – zgolił wąsy, przyciemnił włosy i skórę – jest z nimi, ponieważ przysiągł Velazowi ben Iszakowi bronić towarzyszącej im kobiety. Nie był człowiekiem, który łamał przysięgi.

Mieli wydostać z Fezany rodziców Dżehany i ostrzec innych Kindathów. Taki był ich najbliższy cel. Potem muszą się zająć uporządkowaniem kwestii lojalności i dalszymi krokami. O ile Alvar rozumiał, gdzieś na zachód od Lonzy wszyscy mieli dołączyć do idącej na Cartadę armii Ragosy.

Chmura kurzu unosząca się na północ od nich zapewne zmieniła te plany.

Jeśli dżadyci wkraczają do Al-Rassanu, to czy Ragosa nadal będzie wojować z Cartadą? Aszaryci przeciwko aszarytom, kiedy Jeźdźcy przebyli *tagrę*? I czy w takim czasie najslynniejszy przywódca dżadyckich żołnierzy na półwyspie będzie walczył dla Ragosy?

Alvar, jeden z owych dżadyckich żołnierzy, nie miał pojęcia. W drodze na zachód wyczuwał rosnący dystans między ibn Khairanem i don Rodrigiem. Nie był to chłód i na pewno nie wrogość. Bardziej coś jak... przygotowywanie się do obrony. Każdy z nich umacniał się przed tym, co mogło nadejść.

Husari, zwykle elokwentny i spostrzegawczy, w ogóle nie pomagał tego wszystkiego zrozumieć. Przez całą drogę chował swoje zdanie dla siebie.

Na placu podczas karnawału po raz pierwszy zabił człowieka. Podczas jednej z nielicznych rozmów z Alvarem Dżehana powiedziała, że według niej w tym może tkwić problem. Husari był kupcem, a nie wojownikiem. Człowiekiem łagodnym, leniwym, a nawet miękkim. Tamtej nocy zabił jednak muwardyjskiego skrytobójcę, rozbijając mu czaszkę, z której trysnęły na kamienie mózg i krew.

Alvar pomyślał, że coś takiego może wstrząsnąć człowiekiem. Nie wszyscy są stworzeni do żołnierskiego życia i tego, co ono ze sobą niesie.

Szczerze mówiąc – chociaż nikomu tego nie powiedział – Alvar już wcale nie był pewien, czy on sam został stworzony do takiego życia. To było przerażające. Jeśli nie jest żołnierzem, to

kim? Wyglądało na to, że żołnierz musi umieć postrzegać wszystko w bardzo prostych kategoriach, a Alvar uświadomił sobie, że nie jest w tym szczególnie dobry.

Czwartego ranka poruszył nieśmiało ten temat z Komendantem. Rodrigo długo jechał w milczeniu. Śpiewały ptaki, a wiosenny dzień był pogodny.

– Być może jesteś zbyt inteligentny, żeby zostać dobrym żołnierzem – odpowiedział w końcu.

To nie było całkiem to, co Alvar chciał usłyszeć. Te słowa brzmiały jak odrzucenie.

– A ty? – zapytał. – Ty zawsze byłeś inteligentny. Rodrigo znów się zawahał, starannie dobierając słowa. – Wychowałem się w innej epoce, Alvarze, chociaż niewiele starszej od twojej. Kiedy Al-Rassanem rządili kalifowie, na północy żyliśmy w strachu o nasze życie. Byliśmy atakowani raz, czasem dwa razy do roku. Co roku. Nawet kiedy ataki zaczęły ustawać, nas, dzieci, zapędzano wieczorem do łóżka strasznymi opowieściami o tym, że jak będziemy niegrzeczni, to przyjdą po nas niewierni. Marzyliśmy o cudach, odmianie fortuny. O powrocie.

– Ja też!

– Ale teraz możesz to zrobić, nie rozumiesz? To już nie jest marzenie. Świat się zmienił. Kiedy można robić to, o czym się marzyło, czasami nie jest to... już takie proste. – Rodrigo spojrzał na Alvara. – Nie wiem, czy ma to jakikolwiek sens.

– Ja też – odparł pośpiesznie młodzieniec.

Usta Komendanta drgnęły i Alvar uwiadomił sobie, że nie zachowuje się ze zbytnim szacunkiem.

– Przepraszam – rzekł szybko.

Przypomniał sobie dzień – wydawał się on niewiarygodnie odległy w czasie – kiedy tuż za Esterenem za taką impertynencję Rodrigo zrzucił go z konia.

Teraz Komendant tylko pokręcił głową. Świat się zmienił.

– Spróbuj tego, jeśli ci to pomoże – powiedział. – Z jaką łatwością potrafisz pomyśleć o trojgu ludzi, z którymi jedziesz, jako o niewiernych, hołdujących haniebnym obyczajom i oddających cześć nienawistnemu bogu?

Alvar zamrugął.

– Ale my zawsze wiedzieliśmy, że w Al-Rassanie istnieje honor.

Rodrigo pokręcił głową.

– Nie. Bądź uczciwy. Pomyśl o tym. Wiedzieli o tym niektórzy z nas, Alvarze. Duchowni zaprzeczają temu po dziś dzień. Mam wrażenie, że podobnie postąpiłaby twoja matka. Pomyśl o Wyspie Vaski. Przeczy temu sama idea świętej wojny: aszaryci i Kindathowie to atak na Dżada. Ich istnienie rani naszego boga. Tego uczono nas wszystkich od wieków. Nie było miejsca na zauważanie u wroga honoru, nie mówiąc już o dostojeństwie. Nie podczas wojny napędzanej takimi przekonaniem. To właśnie usiłuję – niezdarnie – powiedzieć. Toczenie wojny

za swój kraj, za rodzinę, nawet w pogoni za chwałą to jedno. Zupełnie czymś innym jest przekonanie, że ludzie, z którymi się walczy, są uosobieniem zła i za to trzeba ich zniszczyć. Chcę odzyskać ten półwysep. Chcę, by Esperania znów była wielka, ale nie będę udawał, że jeśli zniszczymy Al-Rassan i wszystko, co zbudował, to wykonamy wolę jakiegokolwiek znanego mi boga.

To było takie trudne. Zdumiewająco trudne. Alvar długo jechał w milczeniu.

– Myślisz, że król Ramiro też tak myśli?

– Nie mam pojęcia, co myśli król Ramiro.

Odpowiedź padła zbyt szybko. Alvar zdał sobie sprawę, że zadał niewłaściwe pytanie. Zakończyło ono rozmowę. Żaden z nich nie kwapił się do jej podjęcia.

Mimo wszystko wciąż o niej myślał. Miał czas na rozmyślenia, jadąc na zachód. Nie dochodził do żadnych wyraźnych wniosków.

Co się stało ze skąpanym w słońcu światem, o którym marzyło się w dzieciństwie, kiedy największym pragnieniem było zdobycie cząstki chwały, o jakiej mówił Rodrigo, odegranie zaszczytnej roli w walce lwów i udział w zwycięstwie?

Walka lwów. Dziecięce marzenia. Jak to się ma do tego, co zeszłego lata zrobili w Orvilli Valledanie? Albo z Velazem ben Iszakiem – najlepszym człowiekiem, jakiego Alvar znał – martwym na bruku Ragosy? Albo do tego, co oni sami zrobili z oddziałem Dżalonów w dolinie na północnym wschodzie od Fibazu? Czy była w tym jakaś chwała? Czy można było w jakikolwiek sposób powiedzieć, że była?

Wciąż miał na sobie chłodny, luźny strój Al-Rassanu. Husari nie zdjął swego skórzanego valledańskiego kapelusza, kamizeli ani ochraniaczy na spodnie. Alvar nie wiedział dlaczego, ale miało to dla niego jakieś znaczenie. Może z braku rzeczywistych odpowiedzi ludzie bardziej potrzebują symboli?

A może rzeczywiście spędzał zbyt wiele czasu na takich rozmyśleniach, by kiedykolwiek zostać prawdziwym żołnierzem. Pomagała mu nieco świadomość, że Komendant się z tym zmaga. To jednak niczego nie rozwiązywało.

Stojąc na szczycie wzgórza na wschód od Fezany w Al-Rassanie, obserwując chmurę kurzu wzniesioną przez konie swoich rodaków, tuż zanim całą piątką zjechali ku miastu, Alvar de Pellino uznał, że w gruncie rzeczy bardzo trudno jest znaleźć chwałę, jej dziką, jasną czystość.

A potem, tego samego wieczoru, mimo wszystko ją znalazł, a także swoje przeznaczenie, jakby wypalone na płonącym niebie.

Kiedy zbliżyli się do Bramy Fosy, dowodzenie przejął Ammar. Dżehana już to widziała, podczas kampanii pod Fibazem, jak razem z Rodrigiem bez problemu przekazywali sobie władzę

w zależności od sytuacji. Wiedziała już, że jest to jeden ze smutków, które w sobie nosi: bez względu na to, jaka powstała między nimi więź, jaką milczącą świadomość dzielą poprzez dwa światy, teraz zostanie to przerwane.

Doprowadzi do tego obecność dzadyckiego wojska w Al-Rassanie. Obaj o tym wiedzieli. Na wzgórzu, z którego obserwowali chmurę pyłu, nie padły żadne słowa, lecz było to jasne. Przybyli tu, by uratować jej rodziców przed niebezpieczeństwem, a potem...? Potem, cokolwiek się zaczęło tej jesieni w Ragosie podczas symbolicznej walki pod murami miasta, znajdzie swój koniec.

Chciała porozmawiać z Ammarem. Musiała z nim porozmawiać; o tym i o tak wielu innych sprawach. O miłości i o tym, czy w czas śmierci może się cokolwiek prawdziwie zacząć, kiedy wszędzie wokół wszystko się kończy.

Ale nie podczas tej drogi. Porozumiewali się za pomocą spojrzeń i niewielu słów. Cokolwiek miało się rozwiązać, jakiegokolwiek zmniejszone lub zwiększone możliwości mogła zawrzeć przyszłość w splątanych znakach ich gwiazd i księżyców, będzie musiało zostać rozważone później. Jeśli pozwoli na to czas i świat.

Nie zwątpiła w Ammara. W pewien sposób było to zdumiewające, lecz nie miała żadnych wątpliwości od owych pierwszych chwil na ulicy podczas karnawału. Czasami strzała serca znajduje drogę do pewności mimo przestróg ostrożnego charakteru.

Był kim był, a ona coś o tym wiedziała. Zrobił co zrobił, a opowieści o tym obiegały cały półwysep.

A on powiedział, że ją kocha, i ona mu uwierzyła. Nie trzeba było się bać. Nie jego. Może świata; ciemności, krwi, ognia; lecz nie tego człowieka, który, jak się wydawało, był, co zdumiewające, przeznaczeniem jej duszy... Wjechali do Fezany wśród kłębiącego się tłumu przerażonych ludzi uciekających przed dzadycką armią. Drogę do miasta i most przed murem wypełniały wozy i ręczne wózki, blokując bramę. Zewsząd otaczały ich płaczące dzieci, szczekające psy, muły, kurczęta, krzyżący mężczyźni i kobiety; Dżehana widziała wszelkie oznaki ogólnej paniki.

Ammar spojrzał na Rodriga.

– Możliwe, że przybyliśmy akurat na czas. Wieczorem może dojść do zamieszek.

Powiedział to cicho. Dżehana poczuła pulsowanie strachu.

– Wjedźmy do środka – rzekł Belmonte.

Ammar się zawahał.

– Możesz zostać uwięziony w mieście, które będzie oblegać twoja armia, Rodrigo.

– Moja armia jest w Ragosie i przygotowuje się do wymarszu na Cartadę, pamiętasz? – odparł Rodrigo ponurym głosem. – Zajmę się zmianami w miarę ich powstawania.

Ibn Khairan znów się zawahał, jakby chciał coś dodać, ale tylko skinął głową.

– Okryj się więc płaszczem. Jeśli zostaniesz rozpoznany jako Valledanin, zginiesz na miejscu. – Obejrzał się na Alvara i błysnął zaskakująco uśmiechem, który wszyscy znali. – Natomiast ty bardziej wyglądasz na miejscowego niż ja.

Alvar odpowiedział mu uśmiechem.

– Martw się o Husariego – odparł płynnym aszaryckim. – Ten jego kapelusz sprowadzi na nas wszystkich śmierć. – Spojrzał na Džehanę i uśmiechnął się jeszcze raz. – Wydostaniemy ich.

Udało jej się skinąć głową. To nadzwyczajne, jak bardzo się zmienił w ciągu niecałego roku. A może nie: Alvar de Pellino miał w sobie stal i inteligencję od początku, a większość tego roku spędził w towarzystwie dwóch najbardziej niezwykłych ludzi ich świata. Džehana pomyślała nagle, że sam znajduje się na najlepszej drodze do zostania kimś niezwykłym.

Prowadzili ich Husari i Ammar, przebijając się końmi przez tłum. Ludzie, potykając się, schodzili im z drogi i przeklinali ich, lecz niezbyt głośno. Byli uzbrojeni i jechali konno, i to wystarczyło.

Przy bramie stali strażnicy, lecz w hałasie i chaosie nie dawali sobie rady. Nikt nie zauważył przyjezdnych, nikt ich nie zatrzymał. Późnym... popołudniem, w dniu w którym przybyli Valledanie, Džehana wróciła do miasta, w którym się urodziła i wychowała.

Dotarli do Dzielnicy Kindathów tuż przed tłumem niosącym broń i płonące pochodnie.

Od kiedy Iszak znów zaczął mówić, Eliana odkryła, że mąż ma nadzwyczaj dobry słuch. To on pierwszy usłyszał hałas dochodzący spoza dzielnicy i zwrócił na niego jej uwagę. Teraz rozumiała go niemal doskonale: okaleczone słowa, ponieważ wypowiadał je on, były dla niej niczym woda podczas suszy.

Odłożyła list, który mu czytała – Rezzoni ben Corli napisał z Padrino, gdzie teraz mieszkał z rodziną. Przysłał wieści z Bachiary po masakrze w Sorenice.

Później miała pamiętać, że kiedy Iszak powiedział, że słyszy na zewnątrz jakiś hałas, czytała właśnie ten list. Podeszła do okna, otworzyła je i zaczęła nasłuchiwać. Gniewny pomruk, tłum na odległych ulicach.

Okno gabinetu Iszaka wychodziło na wspólny dziedziniec kilkunastu większych domów dzielnicy. Eliana ujrzała na nim parę osób; rozmawiały nerwowo i gestykulowały. Ktoś wbiegł na dziedziniec – spostrzegła, że to młodszy syn jej przyjaciółki, Nasreh bet Rivek.

– Nadchodzą! – wrzasnął. – Zabili Mezirę ben Moresa! Idą po nas z ogniem!

Ktoś krzyknął w przeciwległym oknie. Eliana zamknęła oczy, ściskając parapet. Przez chwilę bała się, że wypadnie. Ostrzegano ją przed tym, i to wyraźnie. Chociaż w ich wieku trudno im było opuścić dom, planowali to zrobić. Chyba czekali zbyt długo.

Zgrzytnęło krzesło, z którego wstał Iszak. Eliana otworzyła oczy i spojrzała w dół,

oddychając nierówno. W oknach pojawiły się twarze, ludzie wbiegali na dziedziniec. Słońce chyliło się ku zachodowi, przecinając kocie łby ukośną linią cienia. Co chwila przekraczali ją przestraszeni mężczyźni i kobiety. Pojawił się ktoś z włócznią – starszy syn Nasreh. Gorączkowy ruch w niegdyś cichym zakątku, gwar głosów. Potężny hałas się przybliżał. Czy tak zatem kończy się świat?

Iszak wypowiedział jej imię. Zaczęła się ku niemu odwracać, lecz w tej chwili, mrugając z niedowierzaniem, uświadomiła sobie, że jedną z osób wbiegających na dziedziniec jest jej córka.

Dzehana знаła strażników przy żelaznej bramie dzielnicy. Pozwolili jej wejść z towarzyszącymi jej mężczyznami. Słyszeli i widzieli tłum zbierający się przy placu targowym. Kindathijscy strażnicy byli uzbrojeni – wbrew przepisom – i spokojni. Alvar nie widział żadnych oznak paniki. Wiedzieli, co się zbliża. Wiedzieli też o dżadytach.. Tuż za bramą Dzehana się zawahała. Alvar zobaczył, że lekarka patrzy na Ammara ibn Khairana. I dopiero w tej chwili w końcu coś zrozumiał. Poczul krótki, ostry ból, zupełnie jak pchnięcie klingą, który zaraz zniknął. Pozostało inne uczucie, bliższe smutkowi.

Tak naprawdę nigdy sobie nie wyobrażał, że mogłaby chcieć być z nim.

– Don Rodrigo, zaprowadź ją do środka – rzekł szybko ibn Khairan. – Jeśli ktoś cię zobaczy, grozi ci niebezpieczeństwo. Husari, Alvar i ja pomożemy przy tej bramie. Być może uda nam się coś zdziałać. Możemy zdobyć dla was czas, jeśli nic innego.

„Jeśli nic innego”. Alvar wiedział, co to znaczy.

– Ammarze, tu już nie chodzi tylko o moich rodziców – powiedziała Dzehana.

– Wiem. Zrobimy wszystko co w naszej mocy. Idź po nich. Znam dom. Czekaście na dole. Jeśli zdołamy, przyjdziemy do was. – Zwrócił się do Rodriga: – Gdybyś usłyszał, że zostaliśmy pokonani, wyprowadź ich. – Przerwał; w świetle późnego popołudnia spojrzenie niebieskich oczu zetknęło się ze spojrzeniem szarych. – Powierzam ci to – rzekł.

Belmonte nic nie powiedział. Tylko skinął głową.

Dzehana odeszła z Komendantem. Nie było czasu na więcej słów, czy to pożegnania, czy jakichkolwiek innych. Świat najwyraźniej nie przewidywał niczego takiego. Hałas dobiegający z ulic był coraz głośniejszy. Alvar poczuł wtedy ukłucie strachu, jakby tuż pod skórą dotknął go czyjś palec. Nigdy nie miał do czynienia z tłumem, nigdy tłumowi nawet nie widział.

– Zabili już troje naszych – rzekł ponuro jeden z kindathijskich strażników.

Brama dzielnicy Kindathów znajdowała się w wąskiej uliczce. Kiedy tłum tu przybędzie, zostanie ujęty w ramy domów i nie dotrze do bramy. Alvar uświadomił sobie, że ta zabudowa była zapewne celowa. Kindathowie mieli doświadczenie w takich sprawach. Straszliwa prawda. Przyszło mu do głowy, że nadchodzących ludzi mogłaby zachęcać królowa Vasca, którą jego matka czci jako świętą.

Nie spuszczać wzroku z otwartej przestrzeni przed bramą, Alvar zdjął z pleców okrągłą tarczę, przełożył rękę przez ramię i dobył miecza. Ammar ibn Khairan zrobił to samo. Husari dotknął swojej broni, ale opuścił rękę.

– Dajcie mi najpierw chwilę – powiedział cicho, ledwie słyszalnie w rosnącym hałasie, po czym wystąpił na otwartą przestrzeń.

Na ten widok Alvar instynktownie poszedł za jego przykładem – w tej samej chwili, kiedy Ammar ibn Khairan także postąpił do przodu.

– Zamknijcie bramę – polecił przez ramię ibn Khairan.

Strażnicy nie potrzebowali instrukcji. Alvar usłyszał szczęknięcie żelaza i obracający się klucz. Spojrzał w górę za siebie: na podeście za bramą stało dodatkowych czterech kindathijskich strażników. Trzymali łuki ze strzałami nałożonymi na cięciwy. Kindathowie mieli zakaz noszenia broni w Al-Rassanie. Nie sądził, by w tej chwili bardzo się przejmowali takimi prawami.

Stał z Husarim i Ammarem ibn Khairanem, odsłonięty i osamotniony w wąskiej uliczce. Brama za nimi została zamknięta; nie mieli dokąd uciekać. Ibn Khairan zerknął na Husariego, a potem na Alvara.

– Być może – odezwał się lekkim tonem – nie jest to najinteligentniejsza rzecz, jaką zrobiliśmy w życiu.

Pomruk zmienił się w ryk i pojawił się tłum.

Najpierw Alvar zauważył z uczuciem mdłości trzy głowy zatknięte na włóczniach. Potężny hałas tworzył ścianę dźwięku, co sprawiało wrażenie, że nie wydają go ludzie. Wyjąca, wrzeszcząca masa ludzi wylała się zza rogu na przestrzeń przed bramą, a kiedy idący na przodzie zobaczyli trzech stojących tam mężczyzn, gwałtownie się zatrzymali, napierając na tych, którzy szli za nimi.

Było pół setki pochodni. Alvar dostrzegł miecze i piki, drewniane pałki, noże. Ludzie mieli powykrzywiane twarze, pełne nienawiści, lecz Alvar wyczuwał bardziej strach niż wściekłość. Wciąż wracał wzrokiem do tych odciętych głów ze skapującą krwią. Przerazenie czy gniew – nie miało to większego znaczenia, prawda? Ten tłum już zabił. Po pierwszych zabójstwach następne przyjdą łatwo.

W tej chwili wystąpił do przodu Husari ibn Musa, wysuwając się z cienia bramy na resztki popołudniowego słońca. Uniósł dłonie, pokazując, że są puste. Wciąż miał na głowie ten swój dżadycki kapelusz.

Stopniowo tłum się uciszył. Wyglądało na to, że pozwoli Husariemu przemówić. Wtem Alvar dostrzegł błysk słońca na poruszającej się klindze. Zadziałał odruchowo.

Jego tarcza, którą zasłonił Husariego, powstrzymała rzucony ciężki rzeźnicki nóż. Zadźwięczał na bruku. Alvar spostrzegł, że na ostrzu jest krew. Rozległo się kilka okrzyków, a potem znów zapadła cisza.

– Jesteś kompletnym durniem, Mutafo ibn Baszirze?

Głos Husariego był ostry, wyraźny, szyderczy i wypełnił całą przestrzeń przed bramą.

– To z ibn Abazim, który stoi tuż obok ciebie, sypia twoja żona, a nie ze mną!

W całkowitej ciszy, zapadłej po tych słowach, ktoś się roześmiał nerwowo.

– Kim jesteś?! – zawołał ktoś inny. – Dlaczego stoisz przed bramą tych, co zabijają dzieci?

– Kim jestem?! – odpowiedział Husari, szeroko rozkładając ramiona. – Jestem urażony i obrażony. Między innymi jesteś mi winien pieniądze, ibn Dinazie. Jak śmiesz udawać, że mnie nie znasz!

Kolejna przerwa, kolejna subtelna zmiana nastroju. Alvar widział, jak stojący na przodzie przekazują do tyłu szybkie wyjaśnienia. Większość wielkiego tłumu wciąż znajdowała się za rogiem i nic nie widziała.

– To Husari! – ktoś wykrzyknął. – To Husari ibn Musa!

Husari natychmiast zdjął zamaszystym ruchem kapelusz i złożył wyszukany ukłon.

– Jutro rano znajdzie się u ciebie bela dobrego materiału, ibn Zhani. Tak się zmieniłem, że nie poznają mnie nawet moi przyjaciele? Nie mówiąc już o dłużnikach?

Oczywiście, że się zmienił. Bardzo się zmienił. A ponadto, co uświadomił sobie Alvar, zyskiwał dla nich na czasie. Stojący obok Alvara Ammar ibn Khairan mruknął półgębkiem:

– Opuść miecz, wyglądaj swobodnie. Jeśli przetrzyma ich wystarczająco długo, zarządca przyśle tu żołnierzy. Nie może sobie dzisiaj pozwolić na pożar.

Alvar posłuchał, usiłując znaleźć równowagę między czujnością i pozorami spokoju. Trudno było udawać swobodę, mając przed sobą te odcięte, chwiejące się wraz z włóczniami głowy. Dwie z nich należały niegdyś do kobiet.

– Husari! – zawołał ktoś. – Słyszałeś? Nadchodzą dzadyci!

– Owszem – zgodził się trzeźwo ibn Musa. – W swoim czasie nasze mury wytrzymały gorsze rzeczy. Ale na święte imię Aszara, czy jesteśmy szaleńcami, by wywoływać zamieszki we własnym mieście, kiedy zbliża się wróg?

– Kindathowie są z nimi w zмовie! – To mówił mężczyzna, który cisnął nożem. Wokół niego rozległ się pomruk aprobaty.

Husari się wtedy roześmiał.

– Ibn Baszirze, dziękuj gwiazdom swoich narodzin, że rzeźnikowi nie trzeba więcej rozumu, niż ma go mięso, które on kroi. Kindathowie boją się dzadytów bardziej niż my! Na północy są niewolnikami! Tu żyją wolno, płacą za nas połowę podatków i kupują od ciebie włókniste ochłapy, nawet mimo twojego grubego kciuka na wadze!

Alvar spostrzegł, że ktoś się na te słowa uśmiechnął.

– W Dniu Fosy nie zginął żaden z nich!

Jeszcze jeden głos, chrapliwy jak rzeźnika. Alvar poczuł koło siebie jakiś ruch, po czym

uświadomił sobie, że stoi samotnie.

– A jaki to miałyby sens? – rzekł Ammar ibn Khairan, wychodząc na słoneczny blask.

Ostentacyjnie schował swój wspaniały miecz, dając wszystkim czas, by na niego spojrzeli.

Został rozpoznany. Natychmiast. Alvar to widział. Zobaczył zaskoczenie, zmieszanie, znów strach, nieco podziwu. Do tyłu pobiegły szepty niczym woda spływająca ze wzgórza.

Ibn Khairan niespiesznie popatrzył na tłum zapelniający uliczkę.

– W zeszłym roku ostatni król Cartady pragnął wyeliminować wybitnych mieszkańców tego miasta, traktując to jako przesłanie dla was wszystkich. Kto z was nazwałby tym mianem któregoś z Kindathów? Wybitny mieszkaniec? Kindath? Zabawna myśl – stwierdził Ammar ibn Khairan.

– Zostałeś wygnany! – krzyknął ktoś odważny. – Zostało to ogłoszone zeszłego lata!

– I odwołane tej wiosny – rzekł spokojnie ibn Musa. – Stojący obok mnie człowiek – widzę, że go znacie – został wysłany przez króla Almalika II, by objął dowództwo nad naszą obroną przeciwko tym szumowinom z północy.

Ktoś krzyknął radośnie, dołączyli do niego inni. Twarze wyraźnie się rozjaśniły, nastąpiła kolejna zmiana nastroju. Alvar zaczerpnął tchu.

– To dlaczego on jest tutaj, a nie z zarządcą?

– Z tym nadętym kotлетem wieprzowym? – odezwał się z oburzeniem ibn Khairan.

Kolejna fala śmiechu. Zarządca na pewno nie był lubiany; zarządców rzadko się lubi. Ammar pokręcił głową.

– Darujcie mi, błagam! Jeśli chcecie znać prawdę, to o wiele bardziej wolałbym być z żoną Baszira. Ale jeśli powierzono mi obronę was, to raczej nie mogę pozwolić na spalenie miasta, prawda?

– Och! Och! Moje serce! Tu jestem, panie! Jestem tutaj!

Mniej więcej w połowie uliczki było widać energicznie machające nad tłumem kobiece ręce. Rzeźnik ibn Baszir odwrócił się, by tam popatrzeć; poczerwieniał na twarzy. Teraz już śmiali się wszyscy.

– Na pewno wiecie – rzekł poważnie Ammar, gdy śmiech przycichł – że kiedy tak rozmawiamy, idą tu Muwardycy. Mają rozkazy stłumienia wszelkich niepokojów. Obawiam się, że jeszcze nad nimi w pełni nie panuje. Dopiero przybyłem. Nie chcę, by tego popołudnia ktokolwiek tu zginął. Mogłoby to zepsuć mi przyjemność czerpaną z tego, co zaplanowałem na wieczór.

Uśmiechnął się chytrze.

– Tutaj, panie! Po co czekać do wieczora?

Tym razem odezwała się inna kobieta. I nagle w całym tłumie rozległo się kilkanaście błagalnych kobiecych głosów oraz pojawiło się kilkanaście machających rąk.

Ibn Khairan odrzucił do tyłu głowę i się roześmiał.

– Jestem zaszczycony – rzekł – i wyczerpany na samą myśl. – Kolejna fala rozbawienia, dalsze rozluźnienie atmosfery. Zachodzące słońce pogrążyło już większość uliczki w cieniu. Ton ibn Khairana się zmienił.

– Idźcie do swoich domów, dobrzy ludzie, zanim pojawią się tu zawołowani. Zgaście pochodnie. Nie wolno nam wykonywać za dzadytów ich pracy. Nasze mury są mocne, król Cartady wysłał do was mnie, a inni są już w drodze. Mamy mnóstwo żywności i wody, a Valledanie znajdują się w nieznanym kraju, z dala od swoich domów. Musimy się bać jedynie słabości w nas samych – albo szaleństwa. To zgromadzenie jest szaleństwem. Czas do domu. Widzicie, słońce zachodzi, wkrótce rozlegną się dzwony wzywające na modlitwę. To wieczór dobry na modlitwę, przyjaciele, wieczór, kiedy należy być tak czystym, jak tylko się da w oczach Aszara, pod jego gwiazdami, gdy się pojawiają.

Jego piękny głos stał się liryczny, melodyjny, uspokajający. Alvar zobaczył, jak jeden z mężczyzn trzymających włócznie z odciętymi głowami patrzy w górę na to, co niesie, a po jego twarzy przemyka wyraz odrazy i przerażenia. To byli przestraszeni, a nie źli ludzie. Pozbawieni przywódcy i atakowani, chcąc uwolnić się od przerażenia, zwrócili się przeciwko najbliższemu, najłatwiej osiągalnym celom. Wydawało się, że ten silny, wyraźny głos odebrał im impet.

Powinno tak być.

Rzeczywiście mogło się tak stać, lecz Ammara ibn Khairana ujrzeni i wysłuchali tylko ludzie znajdujący się na czele tłumu, a Dzielnica Kindathów w Fezanie została zbudowana, by zatrzymać w niej Kindathów nocą, a nie w jakikolwiek sposób ich chronić.

Przeniknąć do niej inaczej niż wejść przez bramę nie było szczególnie trudno. Kilka prowizorycznych drabin, wybite okna w zewnętrznych domach i ktoś wystarczająco rozgniewany i zdeterminowany mógł się znaleźć między tymi zdradzieckimi, mordującymi dziećmi...

– Pożar!

Ten dziki okrzyk wydał jeden ze strażników, którzy stali na podeście za nimi. Alvar obrócił się na pięcie, zobaczył czarny dym. Usłyszał płacz dziecka i wtedy zaczęły się wrzaski. Ogień był prawdziwym postrachem. Ogień niszczył miasta.

Alvar zarzucił tarczę na plecy, pokonał biegiem trzy kroki dzielące go od bramy i skoczył. Jeden ze strażników wyciągnął rękę, chwycił Alvara za przegub i wciągnął go na górę. Tuż obok niego znaleźli się Ammar i Husari, zwinniejszy niż kiedykolwiek w życiu.

Ibn Khairan odwrócił się do nagle zaniepokojonego tłumu zapelniającego uliczkę.

– Do domów! – krzyknął rozkazującym tonem. – Rozkażę Muwardyjczykom zabić każdego mężczyznę czy kobietę, którzy wejdą do tej dzielnicy. Nie możemy dopuścić do pożaru miasta!

Miasto jednak już płonęło, a w dzielnicy Kindatliów na pewno ginęli ludzie. Alvar nie czekał, by zobaczyć, co się stanie pod bramą. Zeskoczył z podestu, z resztek słonecznego blasku.

Potknął się i upadł na kocie łby, ale zaraz wstał i dobył miecza.

Jak się gasi pożary, kiedy atakujący, oszaleli z nienawiści i strachu, wlewają się na ulice i wszystkich zabijają? To jedno z tych pytań, pomyślał Alvar, pędząc w stronę dymu i krzyków, na które nie ma odpowiedzi, są tylko wirujące obrazy z koszmaru.

Kindathowie biegli ku tej części swojej dzielnicy, w której wznosiły się bliźniacze kopuły sanktuarium. Wydawało się, że wszystkie kręte, wąskie uliczki prowadzą w tamtą stronę. Pożary wybuchły w domach położonych najbliżej ulic poza bramą. Aszaryci przedostali się przez zewnętrzne okna i podpalili domy, przez które przechodzili.

Biegąc pod prąd śpieszących się ludzi, Alvar zobaczył, jak jakiś aszaryta z sierpem tnie po nogach pędzącego chłopca. Starannie naostrzone narzędzie przecięło nogi dziecka, jakby to były łodygi zboża. Chłopiec padł z krzykiem na ziemię. Alvar skręcił, nie zwalniając kroku, i wrzeszcząc coś niezrozumiale, z całej siły ciał mieczem, zabijając na miejscu człowieka z sierpem.

Tuż przed nim zatrzymało się raptownie kilku aszarytów. Alvar zdał sobie sprawę, że pewnie wygląda jak szaleniec; na ich twarzach malował się pełen niedowierzania niepokój. Ściganie bezbronnych dzieci to jedno; stawianie czoła mężczyźnie z mieczem i takim spojrzeniem było czymś zupełnie innym.

– Czyście wszyscy poszaleli?! – krzyknął na współmieszkańców nadbiegający Husari. – Fezana płonie! Przynieście wodę! Już! Zniszczymy własne miasto!

– Zniszczymy Kindathów! – odkrzyknął któryś z mężczyzn. – Potem zajmiemy się pożarami. Prowadzimy święte dzieło Aszara!

– To dzieło zła! – wrzasnął Husari z twarzą wykrzywioną bólem i żalem. I wtedy Alvar zobaczył, jak ibn Musa robi krok do przodu i wbija miecz w brzuch mężczyzny, do którego mówił. Alvar instynktownie osłonił Husariego tarczą. Aszaryci się cofnęli.

– Idźcie! – wrzasnął chrapliwie Husari. – Albo, jeśli zostanieie, przynieście wody, i to już! Jeśli to będzie trwało, oddamy nasze miasto Jeźdźcom!

Alvar obejrzał się przez ramię. Obok niego przebiegali Kindathowie obojga płci; niektórzy mężczyźni zatrzymali się w miejscu, gdzie płatanina ulic docierała do placu, by tam stoczyć walkę. W przyćmionym świetle i w czarnym dymie trudno było się zorientować w powstałym chaosie.

Na oczach Alvara czerwona ściana ognia ogarnęła kolejny dom. Nagle owładnęło nim straszliwe wspomnienie Orvilli. Tutaj było gorzej. To miasto było zabudowane niemal całkowicie domami z drewna i jeśli zajęła się jedna jego część, to mogła spłonąć cała Fezana. Musieli się z niej wydostać.

Stracił z oczu ibn Khairana, a nie miał pojęcia, gdzie może być dom Dzehany i jej rodziny. Na pewno wiedział to Husari. Chwytał przyjaciela za ramię.

– Chodź! – wrzasnął, przekrzykując trzask płomieni i krzyki ludzi. – Musimy znaleźć Dzehanę!

Husari odwrócił się, potknąwszy się o ciało zabitego przez siebie człowieka. Wyglądał na oszołomionego i przerażonego; trzymał miecz, jakby nie wiedział, co to jest. U wylotu ulicy pojawiły się płomienie. Już. Alvar, wciąż ściskając Husarię za ramię, odwrócił się. Oczy piekły go od dymu.

W drzwiach domu stojącego po drugiej stronie ulicy zobaczył dziewczynkę z kijem, broniącą dostępu dwóm mężczyznom z nożami. Do jej nóg przywarł z tyłu mały chłopczyk. Płakał rozpaczliwie. W domu nad nimi szalał pożar. Mężczyźni z nożami się śmiali.

Miarękę przebrał ten ich śmiech. Zanim Alvar uświadomił sobie, że podjął jakąś decyzję, już puścił Husarię i rzucił się biegiem.

Zbyt wielu ludzi po drodze. Zatłoczona ulica, kłębiący się tłum. Tylko dziesięć kroków, ale to i tak za daleko. Dziewczynka stała w kłębach dymu, broniąc płonącego domu i braciszka przed dwoma mężczyznami uzbrojonymi w noże.

Najwyraźniej nie zauważył ich nikt inny; wokół panował zbyt wielki chaos. Bliższy z napastników zamarkował cios, a potem cofnął rękę, by uderzyć zdeorientowaną dziewczynkę.

– Nie! – wrzasnął Alvar ze środka ulicy, przebijając się przez falę uciekających ludzi. – Nie!!!

I wtedy ujrzał poprzez cienie i ogień, jak ręka mężczyzny trzymająca nóż odfruva do tyłu. Aszaryta krzyknął i upuścił broń.

Bicz, który go trafił, natychmiast wystrzelił ponownie, owijając się wokół szyi drugiego mężczyzny i otwierając w niej czerwoną ranę. Alvar podniósł wzrok i zobaczył w oknie powyżej Rodriga, wychylającego się z biczem. Alvar nie zwolnił kroku. Dopadł napastników i z wściekłością w sercu ściął ich jak zwierzęta.

Stał, usiłując się opanować, i patrzył na dziewczynkę. Przyglądała mu się z przerażeniem. Mogła mieć dwanaście, trzynaście lat.

– Gdzie są twoi rodzice? – wydyszał, starając się zapanować nad głosem.

– Nie żyją – odparła bezbarwnym tonem. – Na górze. Przyszli ludzie z pochodniami i włócznią.

Oczy miała rozwarłe zbyt szeroko, patrząc na świat opanowany przez potworność. Żadnych łez.

Powinna płakać, pomyślał Alvar. Rodrigo coś krzyczał, pokazując na sąsiednie drzwi, Alvar nie słyszał słów. Dziecko za dziewczynką miało nie więcej niż cztery lata. Chłopczyk zachłystywał się płaczem, ledwie łapiąc oddech.

– Chodźcie ze mną – warknął Alvar nagłaco.

Pochylił się raptownie, podniósł chłopczyka, a potem wypchnął dziewczynkę z drzwi.

Podbiegła do nich jakaś przysadzista postać z uniesionym toporem. Nie puszczając dziecka, Alvar uchylił się przed ciosem, obrócił się i wbił szczerwieniałą klingę w pierś mężczyzny.

Za nim rozległ się huk. Spojrzał w górę. Dom dziewczynki płonął; ogień pojawił się we wszystkich górnych oknach. Paliła się cała Dzielnica Kindathów. Niosąc przerażone dziecko, Alvar poprowadził dziewczynkę do drzwi, które wskazał mu z góry Rodrigo.

Kiedy tam dotarł, westchnął z ulgą. W drzwiach stała Dzehana z dwojgiem ludzi, zapewne swoimi rodzicami. Rodrigo zbiegł ze schodów.

– Gdzie Ammar? – zapytała szybko Dzehana.

Alvar nie pamiętał, by kiedykolwiek ją widział tak przestraszoną.

– Nie wiem. Chyba broni bramy ze strażnikami.

– Tam jest Husari – rzekł Rodrigo.

Alvar obejrzał się. Ibn Musa znów dzierżył miecz i powoli cofał się ulicą, osłaniając Kindathów, którzy przebiegali obok niego, uciekając w stronę placu.

– Musimy się wydostać. Wszystko płonie – wydyszał Alvar. Wciąż trzymał na ręku chłopczyka. Podał go najbliższej osobie, która okazała się matką Dzehany. – Jest stąd jakieś wyjście?

– Jest – odparła Dzehana. – Ale daleko i... och, dzięki bogu i księżycom!

Podbiegł do nich Ammar ibn Khairan, krwawiąc z rany na rękę.

– Są tu Muwardyjczycy – warknął. – To się wkrótce skończy, ale musimy zniknąć, zanim spędzą wszystkich w jedno miejsce!

Dzień wcześniej, pół dnia wcześniej, Alvar nie umiałby sobie wyobrazić, że wiadomość o przybyciu zawołowanych mogłaby mu przynieść ulgę.

– Którędy, Dzehano? – zapytał Rodrigo. – Obok sanktuarium?

– Nie. W drugą stronę! Jest przejście przez mur, ale po przeciwnej stronie dzielnicy.

Pokazała ręką za miejsce, przez które wciąż się wlewali aszaryci w pogoni za jej pobratymcami. Na oczach Alvara jakaś biegnąca kobieta została powalona uderzeniem pałki od tyłu. Mężczyzna, który to zrobił, zatrzymał się i zaczął okładać leżącą. Alvar postąpił krok ku nim, ale Rodrigo chwycił go za rękę.

– Nie ocalimy ich wszystkich. Musimy zrobić to co możemy. To po co tu przybyliśmy.

Komendant miał ponury wzrok.

– Chodźmy – powiedział Ammar ibn Khairan.

– Ta dwójka idzie z nami – stwierdził beznamytnie Alvar, pokazując na dzieci.

– Ależ oczywiście – odparła Eliana bet Danel. – Dacie radę nas przeprowadzić?

– Tak – rzekł Alvar, odzywając się przed ibn Khairanem, przed Komendantem. – Nikt nas nie powstrzyma. – Spojrzał na obu przywódców. – Pójdę pierwszy, z waszym pozwoleniem.

Zerknęli na siebie. Ujrzał w obu twarzach rodzaj uznania.

– Ty idziesz pierwszy – rzekł ibn Khairan. – Dżehana wskazuje drogę. Ruszamy.

Alvar wyszedł z drzwi w kierunku wskazanym przez Dżehanę. Musieli wejść w sam środek rzeki napastników – ludzi, którzy chcieli brutalnie mordować małe dzieci, ludzi niosących sierpy, topory i pałki. Usiłował się napomnieć, że aszaryci sami są przerażeni. Do murów ich miasta zbliżają się najeźdźcy.

Nie miało to znaczenia.

Tego wieczoru nie było miejsca na niuanse. W płonącej Dzielnicy Kindathów w Fezanie zapadł zmierzch; Alvar de Pellino ruszył z tarczą, mieczem i pewnością w sercu, i nic nie mogło go powstrzymać.

Wyrzuciwszy z myśli wszelkie wątpliwości, wszystko oprócz potrzeby bycia szybkim, zabójczym i pewnym siebie, poprowadził swoją grupkę przeciwko tłumowi, wycinając w nim drogę mieczem.

Uświadomił sobie, że dołączył do nich Husari, że kupiec schował miecz i prowadzi niewidomego lekarza, który jest ojcem Dżehany. Kiedy dotarli do końca ulicy, Alvar wyczuł, że ma obok siebie w gryzącym dymie Komendanta. Nie musiał się odwracać, by wiedzieć, że ibn Khairan osłania im tyły.

Poradzili sobie z nagłym atakiem aszarytów na otwartej przestrzeni. Alvar zablokował cios, uderzył mieczem w czyjeś kolana. Odwrócił się i ciął na odlew z drugiej strony, a w tym czasie pierwszy napastnik już padał na ziemię. Alvar nigdy w życiu nie ruszał się tak szybko.

Rozległ się potężny rumor; po drugiej stronie ulicy zawałił się cały budynek w snopach iskier i fontannach ognia. Poczuli falę gorąca.

– Tamtędy! – krzyknęła Dżehana.

Alvar zobaczył, gdzie pokazuje. Poprowadził ich, tnąc mieczem. Przeszedł przez gęsty dym i ścianę gorąca, mijając biegnących Kindathów i ich prześladowców, wyrabując przejście pod prąd ludzkiej rzeki. Dżehana znów dała znak, potem jeszcze dwa razy i w końcu znaleźli się po drugiej stronie dzielnicy, w ślepych zaułku prowadzącym do murów.

Alvar się obejrzał, by sprawdzić, czy nikt za nimi nie idzie. W oczach miał krew. Nie była chyba jego. Wytał ją przedramieniem.

Obok niego stał Rodrigo; Komendant oddychał szybko, ale jak zwykle zachowywał spokój. Spojrzał na niego badawczo.

– Wykazałeś się odwagą – rzekł cicho. – Nie zrobiłbym tego lepiej. To prawda, nie pochlebstwo.

– Ani ja – dodał ibn Khairan, podchodząc do nich. – Wiedziałem, że jesteś żołnierzem. Nie wiedziałem do jakiego stopnia. Wybacz mi.

– Nie jestem – zaprotestował Alvar, ale cicho i pod nosem. Nie sądził, by go usłyszeli.

Minęła gorączka i wściekłość i stopniowo zaczął sobie uświadamiać, ilu przerażonych ludzi

właśnie wysłał do ich boga. Spojrzał na swój miecz. Pokrywała go krzepnąca krew.

Tutaj było spokojniej. W dali słyszeli nowe dźwięki, zmianę we wrzawie. Przybyli Muwardycjycy. Nie obejdą ich zabici Kindathowie, ale bezlitośnie zdławią przemoc. Trzeba będzie zgasić pożary, bo inaczej Fezana znajdzie się na łasce zbierających się pod jej murami dzadytów.

Ale ja jestem dzadytą, pomyślał Alvar. Ukląkł i zaczął wycierać miecz o kępę chwastów pod murem. To jest dla nas korzystne.

Wstał i schował broń. Spojrzał na pozostałych. Chłopczyk ucichł i ścisnął matkę Dzehany za szyję. Niosła go całą drogę. Jego siostra stała obok, z pobladłą twarzą, z wciąż szeroko rozwartymi oczyma, wciąż nie roniąc ani łzy. Ojciec Dzehany stał w milczeniu z kamienną twarzą, trzymając rękę na ramieniu Husarięgo.

To Husari szlochał.

Alvar poczuł, jak serce mu się kraje. To było miasto jego przyjaciela, on znał wielu z tych oszalałych ludzi, prawdopodobnie zabijał tych, których znał całe życie. Alvar otworzył usta, ale zaraz je zamknął. Nie potrafiłby nic powiedzieć. Niektórych emocji nie mogą złagodzić żadne słowa. Nie takie słowa, które znał. I Dzehana klęczała i darła palcami kamień w murze. Obluzował się i wyszedł. Sięgnęła ręką, zakłęła, kiedy umknął spod niej skorpion, i wyjęła klucz. Wstała.

– Tam – wydyszała.

Podbiegła wzdłuż muru do kępy malin. Wśliznęła się za nie, znów uklękła, włożyła klucz i mocno pociągnęła.

Na zewnątrz wysunął się niski fragment kamiennego muru. Pozwalający na to mechanizm był pomysłowy, ale nie mieli czasu go podziwiać.

– Czy to jedno z wyjść, które wyjawily ci twoje znajome? – zapytała Eliana.

Dzehana zerknęła na matkę.

– Skąd o nich wiesz?

– Ostrzegły mnie – odpowiedziała z goryczą Eliana. – Działaliśmy zbyt wolno.

– A zatem teraz musimy działać szybko – rzekł Ammar ibn Khairan. – Chodźmy.

– Ja pójdę – zaproponował Alvar. – Zaczekajcie na mój znak.

Kto wie, co się kryje w ciemnościach na zewnątrz? Cokolwiek to było, Alvar chciał się z tym spotkać pierwszy.

– W środku jest jeszcze jeden klucz – powiedziała Dzehana. – Będiesz go potrzebował, żeby wypchnąć zewnętrzny fragment.

Wszedł za krzaki i wśliznął się w wydrążoną przestrzeń w grubych miejskich murach. Wymacał w ciemności drugi klucz, a potem dziurkę. Włożył go do niej, przekręcił, pchnął. Zewnętrzny fragment muru się wysunął i Alvar wypelzł na trawę. Wstał i rozejrzał się, szybko

chwyając za miecz.

Ujrzał tylko zmrok, wilgotną ziemię nad rzeką, pierwsze gwiazdy i wschodzący biały księżyc. Tuż przed nim marszczyła się woda, w której odbijał się jego blady blask.

– Chodźcie – powiedział, odwracając się do tyłu.

Pojawili się kolejno pozostali. Pomógł im wyjść i stanąć między murem i ciemną wodą. Rodrigo, który przeszedł ostatni, wrzucił klucz do otworu i zamknął go.

Od razu przekroczyli rzekę; ci, którzy umieli pływać, pomagali innym. O tak wczesnej porze roku woda była bardzo zimna. Wyszli na przeciwległy brzeg w ciemności. Alvar padł w wysoką trawę i szuwały, głęboko oddychając czystym powietrzem. Piekła go twarz; miał wrażenie, że jest poparzona.

Coś wyczuł. Powoli wstał. Rodrigo odszedł od nich kilka kroków i wpatrywał się w ciemność. W rękę trzymał miecz.

– Kto tu?! – zawołał Komendant.

Odpowiedziała mu cisza. Ammar ibn Khairan też wstał.

– Przyjaciel – nadeszła odpowiedź. – Jest tu ktoś, kto chce cię powitać, don Rodrigo.

Mówiący te słowa miał głęboki, spokojny głos. Lecz to nie ton, a język sprawił, że Alvar stanął u boku Rodriga z mocno bijącym sercem.

Znalazł się na tyle blisko, że usłyszał, jak Komendant nabiera tchu.

– A zatem zapal pochodnię – rzekł Rodrigo. – Ciemność nie sprzyja prawdziwemu powitaniu.

Usłyszeli rozkaz. Trzasnął krzemień, buchnęło światło.

– Witaj z powrotem – rzekł bardzo wysoki, brodaty mężczyzna oświetlony tą pochodnią. Alvar widział go dwa razy w życiu. Zapomniał oddychać.

– Panie mój – odezwał się po chwili Rodrigo. – Nie spodziewałem się tego.

Król Ramiro z Valledo, otoczony oddziałem żołnierzy, uśmiechnął się z zadowoleniem..

– Taką miałem nadzieję. Rzadko komukolwiek z nas udaje się ciebie zaskoczyć.

– Skąd się tu wziąłeś? – zapytał Rodrigo.

Panował nad głosem, lecz Alvar stał dość blisko, by wiedzieć, że robi to z wysiłkiem. Usłyszał, jak cicho podchodzi do nich ibn Khairan.

Uśmiech Ramira rozszerzył się. Machnął ręką i z grupy ludzi za nim wystąpiła jakaś postać.

– Witaj, tato – powiedział młody chłopiec, stając obok króla.

Rodrigo wciągnął szybko powietrze; jego opanowanie zniknęło.

– Fernan? W imię Dżada, co...

– To zasługa Diega – przerwał mu chłopak, nieco zbyt wesoło. Miał lekką zbroję i miecz. – Zobaczył tego ranka, gdzie jesteś, i powiedział nam, gdzie mamy czekać wieczorem. – Rodrigo milczał. – Czasami wie, gdzie jesteś, pamiętasz? – W głosie chłopca pojawiła się niepewność. –

Nie cieszysz się, że mnie widzisz, tato?

– Och, Dżadzie! – usłyszał Alvar słowa Komendanta. – Coś ty uczynił? – Rodrigo zwrócił się do króla. – Dlaczego moi synowie są z tą armią?

– Przyjdzie czas na wyjaśnienia – odparł spokojnie Ramiro. – To nie jest odpowiednie miejsce. Pójdiesz z nami? Możemy ci dać suche ubranie i jedzenie.

– A ci, którzy są ze mną? – spytał lodowatym tonem Rodrigo.

– Jeśli za nich zaręczysz, będą moimi gośćmi, kimkolwiek są. No, dalej, don Rodrigo, przywitaj się z synem. Marzył o tej chwili.

Rodrigo szybko otworzył usta, lecz zaraz je zamknął. Powoli schował miecz do pochwy.

– Chodź do mnie – powiedział do chłopca i Fernan Belmonte wpadł w mocne ramiona ojca.

Alvar zobaczył, że Komendant, ściskając syna, zamknął oczy.

– Twoja matka – stwierdził Rodrigo, kiedy w końcu oderwał się od syna – zabije za to nas wszystkich, z czego zapewne zdajesz sobie sprawę. Zaczynając ode mnie.

– Mama jest z królową, tato. Jeszcze się z nią nie widzieliśmy, ale była wiadomość, że przyjechała na południe i dołączyła do królowej Ines z resztą idącej za nami armii. Usiłowaliśmy ci przeciąć drogę, zanim dotrzesz do miasta. Dlatego przybyliśmy tak szybko. Dlaczego tu jesteś, tato? Co się stało z twoimi wężami?

– Moim przyjaciółom groziło niebezpieczeństwo. Przybyłem, żeby ich z niego wydostać. Gdzie jest Diego?

– Bardzo dobrze się nim opiekują – odparł Fernan. – Złości się na to. Nie pozwolili mu tu przyjechać. Zmusili go do zostania z zapasami żywności, w jakiejś wiosce nad rzeką na zachód stąd.

– Na Aszara, nie! Tylko nie tam!

Alvar do końca życia będzie pamiętał te słowa i wyraz twarzy wykrzykującego je Ammara ibn Khairana. Rodrigo obrócił się błyskawicznie do niego.

– O co chodzi? Mów!

– Zasadzka! – warknął zapytany, już w ruchu. – Muwardyjczycy. Zaplanował ją przed laty Almalik. Módl się do swojego boga i jedź!

Rodrigo już biegł w stronę koni.

I tak kilka chwil później, drugi raz w niecały rok, Alvar de Pellino – mokry, poparzony i zmarznięty, niezważający na wycieńczenie i kilka drobnych ran – cwałował na złamanie karku przez ciemność po równinie na północ od Fezany w stronę wioski zwanej Orvillą.

Obok siebie miał Ammara ibn Khairana, wbrew wszelkim zasadom lojalności, a z drugiej strony króla Valledo; za nimi jechała Dżehana z rodzicami, Husari, dwoje dzieci oraz pięćdziesięcioosobowy oddział królewskiej straży.

Przed nimi wszystkimi pędził w zawody z czasem i obracającym się niebem ojciec,

chłoscząc swego wierzchowca jak szalony, by zdążyć do syna.

ROZDZIAŁ 16

Aż do chwili, kiedy pod gwiazdami i białym księżycem Al-Rassanu niewiernych wypadli z ciemniejącej równiny zawołowani, duchowny Ibero był przekonany, że na jego ramieniu jednak spoczywa ręka Dżada i nim kieruje.

Ułożył swój plan tego pierwszego ranka, kiedy oddalał się w deszczu od Hacjendy Belmonte na zachód. Istniała możliwość – został zmuszony do uznania tego – że Miranda ma rację. Że zaspokajając wymagania świętej wiary, Ibero zawiódł rodzinę, którą tak gorąco kocha. Przyrzekł sobie tego szarego, zimnego ranka, że jeśli tak jest, to zrobi wszystko, co w jego mocy, by zło zostało powstrzymane i naprawione. Miranda Belmonte mogła go odprawić, wygnać z domu, ale on nie odwróci się plecami ani do niej, ani do jej rodziny.

Przyłączył się do grupy żołnierzy z krainy hacjend, zdążających do Carcazji na wezwanie króla, na to samo wezwanie, które odebrało Mirandzie chłopców. Była to święta wojna, przynajmniej z nazwy, i duchowni byli mile widziani, jeśli potrafili dotrzymać tempa jazdy. Ibero umiał jeździć konno. Zapewniły mu to lata spędzone z rodziną Belmonte.

Fernana i Diega znalazł w orszaku króla siedem dni później na równinie na południe od Carcazji, wśród namiotów i sztandarów wojennego obozu. Synowie Rodriga byli traktowani z wyraźnym szacunkiem, chociaż badawcze spojrzenia posyłane Diegowi przez tych, którzy wiedzieli, dlaczego się tu znalazł, sprawiały, że Ibero czuł się nieswojo. Mimowolnie przypomniał sobie słowa Mirandy: obdarzeni dalekowidzeniem, czy jak to nazywano, rzeczywiście w przeszłości byli paleni. W nie tak odległej przeszłości. Teraz, powiedział sobie Ibero, nastąpiła bardziej oświecona epoka.

Chłopcy niezbyt się ucieszyli na jego widok, ale Ibero potrafił być uparty i dał jasno do zrozumienia wszystkim zainteresowanym, łącznie z eleganckim najwyższym duchownym Ferrieres, że tam, dokąd podążają synowie Rodriga Belmontego, podąża także Ibero. Nie powiedział chłopcom, że ich matka wygoniła go z hacjendy; może powinien to zrobić, ale nie potrafił się do tego zmusić. To oznaczało, że pozostanie u ich boku wiązało się z oszustwem, lecz Ibero wierzył, że bóg mu je wybaczy. Chciał dobrze. Zawsze chciał dobrze.

Fernan i Diego najwyraźniej już zdążyli coś spocić po drodze i po przybyciu na miejsce. Byli pełni życia i czasami okazywali się aż nadto sprytni. Uznano, że ich nauczyciel pomoże narzucić im dyscyplinę. Obóz obiegała opowieść o wyładowanych kamieniami jukach jednego z żołnierzy, którzy ich tu sprowadzili. Była to dość zabawna opowieść, ale Ibero umiał nie okazywać rozbawienia, by nie zachęcać swoich podopiecznych do dalszych psot.

Wkrótce potem jechali na południe przez ziemię niczyją z wojskiem rekonkwisty; właściwie z jego strażą przednią, ponieważ na prośbę króla Diego i Fernan zawsze przebywali w jego pobliżu.

Ibero nigdy przedtem nie widział swego króla. Ramiro z Valledo był przystojnym, robiącym wrażenie mężczyzną. Wartym, pomyślał pokornie drobny duchowny, zostania narzędziem rekonkwisty Esperanii. Jeśli bóg dopuści. Ibero miał dojmującą świadomość, że wszyscy żołnierze tej armii uczestniczą w czymś doniosłym. Król wciąż mówił o ograniczonej kampanii, o taktycznym zajęciu Fezany, lecz nawet duchowny Ibero wiedział, że kiedy tylko Valledo pojawi się w Al-Rassanie, kształt i wydźwięk ich epoki zmieni się na zawsze.

Cały czas w trakcie podróży na południe wokół chłopców krążył niepokojąco blisko szczupły, elegancki konetabl, hrabia Gonzalez de Rada. Ibero wiedział, że don Rodrigo i ten człowiek się nienawidzą, ale i pamiętał, że kiedy Rodrigo został wygnany, de Rada przysiągł chronić jego rodzinę. Ibero miał nadzieję – i modlił się każdego ranka oraz o zachodzie słońca – że bliskość sardonicznego konetabla jest wyrazem tej przysięgi i niczym więcej.

Znalazszy się na południe od dwóch niewielkich fortów w *tagrze*, królewska straż przednia zaczęła powiększać odległość od reszty wojska; zwiadowcy galopowali tam i z powrotem, by utrzymać łączność.

W ten sposób Ibero dowiedział się, że w armii znajduje się także Miranda Belmonte d'Alveda, która dołączyła do świty królowej Ines, chcącej razem z mężem wkroczyć na ziemie niewiernych. Kiedy powiedział o tym chłopcom, nie wyglądali na zaskoczonych. Ibero był tym zaniepokojony, dopóki nie przypomniał sobie tego co oczywiste.

Czasami trudno było sobie dać radę z darem Diega. Ibero zdał sobie sprawę, że chłopiec na pewno wiedział o wszystkim przed przybyciem posłańców. Skarcił go z niejaką niechęcią.

– Jeśli... coś widzisz, powinieneś nam o tym mówić. To może być coś ważnego. Przecież po to tu jesteśmy.

Diego zrobił zabawną minę.

– Moja matka? – zapytał. – Ibero, przybycie mojej matki jest ważne dla losów wojny?

Formułując to w taki sposób, rzeczywiście miał rację. Co było do przewidzenia, Fernan widział to zupełnie inaczej.

– Czy to nie cudowne?! – zawołał z oburzeniem. – Nasza pierwsza kampania i wybierają się na nią wszyscy domownicy. Kogo jeszcze mamy się spodziewać? Kucharki albo niańki? To śmieszne! Jesteś tu po to, by pilnować, żeby nam było ciepło w nocy?

Diego się roześmiał. Ibero za bardzo się niepokoił wieściami o Mirandzie, by mu zawtórować albo skarcić chłopca. Słowom Fernana brakło szacunku, ale Ibero rozumiał, jak może się czuć młody człowiek podczas swojej pierwszej kampanii... przytłoczony przybyciem nauczyciela, a teraz matki.

Nie było wyjścia. Jeśli chłopcy źle się poczują albo zaczną im dokuczać żołnierze, to będą musieli sobie z tym poradzić sami. Prawda tkwiła w tym, że naprawdę byli za mali, żeby się tu znaleźć, a stało się tak tylko dzięki darowi Diega. A także dlatego że Ibero wysłał do Esterenu

pewien list.

Wysłał jeszcze jeden – oficjalną wiadomość do Mirandy przez jednego ze zwiadowców. Pisał o swojej obecności u boku chłopców oraz o tym, że są zdrowi i traktowani z szacunkiem. Nie otrzymał odpowiedzi.

Natomiast dowiedzieli się okreźną drogą, że królowa całkowicie odzyskała siły po niefortunnym wypadku i że pokłada wielkie zaufanie w swoim nowym lekarzu, medyku z jednego z fortów w *tagrze*.

Opowiadano, że uratował życie królowej Ines, gdy znajdowała się na samej krawędzi śmierci. Zafascynowało to szczególnie Diega, który wypytywał o szczegóły wszystkich obecnych podczas tamtego spotkania trzech królów. Fernana bardziej interesowały zbliżające się wydarzenia. Udało mu się wejść do świty króla, a w gruncie rzeczy trzymać się blisko hrabiego Gonzaleza. To Fernan wytłumaczył pozostałej dwójce, dlaczego zostawiają mijane aszaryckie gospodarstwa i osady nietknięte.

Od opuszczenia *tagry* minęli ich kilka. Wieśniacy i rolnicy uciekli na wzgórza z większością swego dobytku, ale podczas wojen Aszara i Dżada zwyczajowo podpalano domy i pola.

Tym razem było inaczej.

Mimo widocznej dezaprobaty emanującej z Gerauda de Chervallesa, król Ramiro okazał w tej sprawie stanowczość. Fernan powtórzył słowa króla, że to nie jest łupieżczy wypad. Zdążyli na południe, by na stałe zająć Fezanę. A jeśli to zrobią, aszaryci będą im potrzebni do zasiedlenia tych wiosek i domostw, do płacenia podatków i uprawy ziemi. Król oznajmił, że Dżada do Al-Rassanu sprowadzą z powrotem czas i spokojne rządy, a nie pożary i zniszczenie. Ibero nie był pewien, jak to pasuje do świętej doktryny, lecz w obecności mądrzejszych od siebie zachowywał milczenie.

Czas po wieczornych modlitwach, a przed zapadnięciem zmroku i ułożeniem się do snu, Fernan spędzał na rysowaniu map dla swego brata i duchownego i wyjaśnianiu im, co może się stać po dotarciu do Fezany i później. Ibero nieco cierpko zauważył, że chłopiec teraz doskonale zna położenie – oraz prawidłową pisownię – wszystkich głównych miast i rzek w Al-Rassanie.

Minęły jeszcze cztery dni. Wiosenna pogoda nadal była łagodna; posuwali się równomiernie do przodu przez trawiaste równiny Al-Rassanu z tętentem kopyt i chmurą pyłu, wzbijaną przez przemieszczającą się armię.

A potem pewnego ranka na krótko przed zwinięciem obozu Diego oznajmił, że widział, jak jego ojciec jedzie na zachód.

Król, konetabl i ten wysoki duchowny z Ferrieres zadawali mnóstwo pytań, na które nie umiał odpowiedzieć.

Kiedyś takie pytania sprawiały, że Diego doznawał uczucia, że nie staje na wysokości

zadania i nie umie udzielić odpowiedzi, zawodzi pytających. Nie lubił rozczarowywać ludzi. Później pytania – nawet jego rodziców – zaczęły go irytować, jako że zdradzały brak zrozumienia dla granic jego umiejętności. Diego zmuszał się w takich sytuacjach do cierpliwości.

Ludzie nie rozumieli jego ograniczeń, żadną miarą nie mogli ich rozumieć, ponieważ w ogóle nie pojmowali, jak robi to, co robił. Sam Diego tak naprawdę nie rozumiał swego daru, nie wiedział, skąd pochodzi, dlaczego go ma i co to oznacza. Pewne rzeczy oczywiście wiedział. Wiedział, że to, co potrafi, piętnuje go jako odmiennego od innych. Wiedział – dawno temu powiedziała mu to matka – że z taką odmiennością wiąże się jakieś niesprecyzowane zagrożenie i że on sam ma nie mówić ludziom, co potrafi.

Wszystko to oczywiście się teraz zmieniło. Od króla Valledo przybyli Jeźdźcy i zabrali go na wojnę. Naturalnie Fernan też na nią pojechał. To Fernan tak naprawdę chciał wojować, ale kiedy dotarli do obozu pod murami Carcazji, stało się jasne – podczas pierwszego onieśmielającego spotkania z królem i duchownym zza gór – że potrzebny im jest Diego. Musiał nieśmiało wyjaśnić, co takiego potrafi.

Właściwie nie było tego wiele. Widział ich rozczarowanie. Czasami przez te wszystkie lata zastanawiał się nad tą całą tajemniczością i niepokojem. To nie był skomplikowany dar: czasami potrafił powiedzieć, gdzie się znajdują członkowie jego rodziny, nawet jeśli byli daleko. Ojciec, matka, brat, chociaż Fernan nigdy się od niego nie oddalał, a matka bardzo rzadko.

Poza tym umiał czasami wyczuć niebezpieczeństwo zagrażające któremukolwiek z ich trojga. Jeśli o to chodzi, niemal zawsze dotyczyło to jego ojca. Życie ojca wiązało się ze sporą dozą niebezpieczeństwa.

Fernan chciał być dokładnie taki sam, jak ojciec. Marzył o tym, ćwiczył się w tym celu, przeżył pośpiesznie swoje dzieciństwo, spragniony męskiej broni i wojny.

Fernan był silniejszy i szybszy, chociaż urodzili się identyczni. Czasami Diego sądził, że ojciec woli Fernana, lecz kiedy indziej miał inne wrażenie. Kochał ojca bez zastrzeżeń. Wiedział, że innych ludzi Rodrigo onieśmiela. Diego uważał, że to zabawne. Fernan przeciwnie; według niego było to pożyteczne. Różnili się w takich drobiazgach.

Tak naprawdę nie miało to wielkiego znaczenia. Nic nie mogło rozdzielić synów Rodriga Belmontego, z czego nieodwołalnie zdali sobie sprawę, kiedy byli bardzo mali.

Fernanowi podobało się niemal wszystko w kampanii, w której brali udział. Diego uznał, że to interesujące przedsięwzięcie, na pewno lepsze od kolejnego lata spędzonego w hacjendzie, ale kiedy zaczęło wyglądać na to, że rozczarowuje tych, którzy go tu sprowadzili do pomocy, wrócił dawny niepokój. Podczas tego pierwszego spotkania odpowiadał na ostre pytania najwyższego duchownego najlepiej, jak umiał, podobnie jak na nieliczne pytania konetabla i króla. Najbardziej podobał mu się król, chociaż przypuszczał, że tak naprawdę to, czy król mu się podoba, czy nie, nie jest ważne.

W każdym razie nie mógł im wiele pomóc i zrobić, co w jego mocy, by im to uświadomić. Przed paroma dniami wyczuł, że do trzonu armii, podążającego o pół dnia za nimi, dotarła jego matka. Oczywiście powiedział o tym Femanowi. Zastanawiał się, czyby nie powiedzieć też królowi i temu duchownemu z Ferrieres, ale myśl o matce sprawiła, że milczał. Jej przedsięwzięcia na pewno nie miały znaczenia dla tej kampanii. Mówienie o niej wydało się Diegowi rodzajem zdrady, więc nie mówił nic. Poza tym wiedział, po co przybyła. Podobnie jak Fernan, którego to rozdrażniło i zirytowało; Diega tylko zasmuciło. Zapewne tamtego dnia przed odjazdem powinni poczekać na jej powrót do domu. Cały czas zastanawiał się nad tym z poczuciem winy.

Wiedział, że gdyby była w hacjendzie, kiedy przybyli żołnierze, nie pozwoliłaby swoim synom przyłączyć się do tej armii. Gdy Diego o tym wspomniał, Fernan go wykpił, zauważając, że chociaż ich matka jest stanowcza, raczej nie sprzeciwiłaby się bezpośredniemu wezwaniu króla.

Diego nie był tego taki pewien. Stwierdził, że tęskni za matką. Traktowała go łagodniej niż większość ludzi. Wiedział, że Fernan też za nią tęskni, lecz zaprzeczyłby, gdyby Diego o tym wspomniał. Zamiast tego rozmawiali o ojcu. Wedle poglądu Fernana na świat za ojcem można było tęsknić.

A potem pewnego ranka Diego obudził się z obrazem Rodriga w głowie. Był zamazany, ponieważ ojciec jechał bardzo szybko i krajobraz zmieniał się zbyt gwałtownie, by Diego mógł go ujrzeć wyraźnie. Zbliżał się jednak ku nim od wschodu i nie był daleko.

Diego leżał jeszcze chwilę pod kocem z zamkniętymi oczyma, skupiając się. Usłyszał, jak leżący obok Fernan się budzi i zaczyna coś mówić. Potem zamilkł. Zwykle wiedział, kiedy Diego sięga w dal lub w siebie.

Krajobraz nie stawał się wyraźniejszy. Diego zobaczył, że ojciec ma wokół siebie tylko kilka osób, a nie duży oddział, i wyglądało na to, że za nim jest rzeka. To, jeśli Diego dobrze pamiętał mapy, miało sens. Rodrigo zapewne jechałby wzdłuż rzeki Tavares. Sprawiał wrażenie wzburzonego, lecz Diego nie miał poczucia bezpośredniego zagrożenia. Spróbował nieco oddalić się myślami od ojca, by umiejscowić go dokładniej. Zobaczył rzekę, trawiastą równinę, wzgórze.

A potem bardzo wyraźnie obraz, miasta i jego murów. To musiała być Fezana.

Jego ojciec zdążył do Fezany.

Diego otworzył oczy. Fernan go obserwował. Bez słowa podał mu już podzieloną pomarańczę.

– Dlaczego tata miałby jechać do Fezany? – zapytał cicho. Fernan zmarszczył czoło. Nie mam pojęcia – odparł w końcu. – A jedzie? Zamierzasz powiedzieć królowi?

– Chyba tak. Przecież po to tu jesteśmy, prawda?

Diego wiedział, że Fernan nie lubi o tym myśleć w ten sposób, ale tak było. Najpierw

powiedzieli Iberowi. A potem Diego wraz z bratem i nauczycielem poszedł szukać króla Ramira.

Nadzwyczaj szybko po tej rozmowie pędzili z królem, konetabłem i setką najlepszych Jeźdźców Valledo w kierunku Fezany, odległej o pełen dzień szybkiej jazdy.

– To bardzo ważne – oznajmił król Diegowi. – Uzasadniłeś swoją obecność w armii. Dziękujemy ci.

– Ale tata nie ma kłopotów, prawda? – zapytał ostro Fernan. Nie był już nieśmiały w tym towarzystwie. – Nie jest wygnany stąd, prawda? Tylko z Valledo.

Krół Ramiro zawahał się na chwilę i spojrzał na chłopców. Jego twarz przybrała łagodniejszy wyraz.

– Tego się boicie? Waszemu ojcu nie grożą żadne kłopoty z mojej strony. Ja tylko muszę go zatrzymać, nim dotrze do Fezany. Nie mam pojęcia, po co tam jedzie, ale chcę go zatrzymać i zakończyć jego wygnanie. Bardzo go w tej kampanii potrzebuję. Nie mogę pozwolić, by mój najlepszy dowódca został uwięziony w mieście, które zamierzam oblegać, prawda?

Fernan skinął poważnie głową, jakby myślał o tym samym. Może myślał. Diego, który miał odmienny charakter i odmiennie reagował, zerknął na hrabiego Gonzaleza, kiedy król nazwał Rodriga swoim najlepszym dowódcą, ale nie potrafił nic wyczytać z twarzy konetabla.

Cały ranek jechali tak szybko, że minęli kilka grup rolników i wieśniaków uciekających przed nimi do Fezany. Kiedy przejeżdżali obok uciekinierów, ludzie zaczęli krzyczeć, ale król rozkazał zabić grupę aszarytów dopiero około południa. To był pierwszy akt zabijania w tej wojnie.

Diegowi dano do zrozumienia, że to było ważne. Ludzie zmierzający do Fezany oraz ci już czekający w mieście musieli się ich straszliwie bać – musieli zwątpić w sens oporu. Otoczonych murami miast tak dobrze bronionych jak Fezana nie można było zdobyć szturmem, trzeba je oblegać, a krytyczną rolę podczas oblężenia odgrywa morale obleżonych. Musiała zginąć pewna liczba ludzi, by wieść o ich śmierci dotarła do miasta przed wojskami oblegających.

Ani Diego, ani Fernan nie należeli do oddziału, który odłączył się od ich szeregów i zaczął wycinać sobie drogę we wskazanej przez króla grupie ludzi. Diego był ogromnie zadowolony, że nie bierze w tym udziału. Zobaczył, że Fernan ogląda się przez ramię i obserwuje rzeź. Po tym pierwszym spojrzeniu Diego już tam nie patrzył. Sądził, że brat też odczuwa skrycie ulgę, że nie należy do owego oddziału. Oczywiście tego nie powiedział. Bitwy, w które się bawił Fernan, zawsze toczyły się przeciwko zawołanym Muwardyjczykom, a chociaż wróg miał straszliwą przewagę liczebną, panom Fernanowi i Diegowi Belmontom oraz ich walecznym jeźdźcom zawsze udawało się zwyciężyć, przedrzeć przez szeregi pomiotów pustyni i uratować schwytanego ojca i króla oraz zasłużyć na wielką pochwałę.

Wycinanie rolników i małych dzieci na zakurzonej drodze było czymś zupełnie innym. Oddział króla galopował dalej, zostawiając krzyki z tyłu. Żołnierze wyznaczeni do tego

niewdzięcznego zadania dogonili go później. Geraud de Chervalles, który wyglądał na podekscytowanego i zadowolonego, pobłogosławił ich oraz ich broń. Dźwięcznym głosem, który Diego uznał za zbyt głośny, nazwał ich dzieło dumnym momentem w historii Esperanii.

Potem król zarządził popas i ludzie zeskoczyli z koni, by się napić i coś zjeść. Słońce stało wysoko, lecz pora roku była jeszcze wczesna i nie zrobiło się gorąco. Diego odszedł nieco dalej, znalazł jakieś krzaki, w cieniu których mógł usiąść, zamknął oczy i poszukał ojca. Takie miał zadanie. Dlatego tu się znajdowali. W jego darze nie było już nic prywatnego czy osobistego. Później będzie musiał się nad tym lepiej zastanowić.

Tym razem znalazł Rodriga szybko i od razu coś sobie uświadomił. Razem z ojcem widział miasto. Było coś jeszcze, aura, którą Diego pamiętał z wielu poprzednich sytuacji.

Poczuł lekki zawrót głowy, co mu się czasami zdarzało. Poszukał króla. Fernan zobaczył brata i wstał, by pójść za nim. Diego zaczekał na niego i dalej ruszyli już razem. Król siedział na czapraku i trzymał jedzenie na kolanach, jak żołnierz, a wino pił z bukłaka. Kiedy zobaczył nadchodzącego Diega, podał bukłak i talerz służącemu. Wstał.

– O co chodzi, chłopcze?

– Kiedy dojedziemy do Fezany, panie?

– O zachodzie słońca. Może trochę wcześniej, jeśli będziemy jechać bardzo szybko. Dlaczego pytasz?

– Mój ojciec już tam jest. Na wzgórzu, na wschód od murów. Chyba do niego nie dotrzemy. I myślę... kiedy dostanie się do środka, chyba będzie mu grozić jakieś niebezpieczeństwo.

Król Ramiro spojrzał na niego z namysłem.

– Wyrażaj się dokładniej, w imię Dżada! – odezwał się duchowny z Ferrieres.

– Zrobiłby to, gdyby mógł, de Chervallesie. Chyba to rozumiesz. – Wydawało się, że król niezbyt lubi najwyższego duchownego. Ponownie zwrócił się do Diega: – Potrafisz nie tylko widzieć niebezpieczeństwo, ale i je przewidywać?

– Tak, jeśli grozi ojcu, ale nie zawsze, panie.

– Wciąż nie wiesz, po co jedzie do Fezany?

Diego pokręcił głową.

– Nie ma ze sobą swego oddziału? Jakaś mała grupka, powiadasz?

Diego kiwnął głową.

Rozległo się nerwowe kasznięcie. Wszyscy odwrócili się do Ibera. Diego nie słyszał, jak podszedł.

– Być może mógłbym podzielić się pewną myślą, panie – rzekł z najwyższym skrepowaniem drobny duchowny.

– A zatem się podziel. – Geraud de Chervalles odezwał się, zanim zrobił to król.

Ramiro spojrzał na niego, lecz nic nie powiedział.

– W swoich listach do domu don Rodrigo pisał, że jego oddział nadal korzysta z usług lekarki. Kindathijki z Fezany. Chyba Džehany bet Iszak. Może...?

Król energicznie kiwał głową.

– To miałoby sens. Rodrigo wiedział, że możemy nadciągnąć. Jeśli lekarka należy do jego oddziału, kierowałby się lojalnością. Czy ta kobieta może mieć jakąś rodzinę w Fezanie?

– Nie wiem, panie.

– Ja wiem – odezwał się pewnym siebie głosem Fernan. – Pisał o tym do mojej matki. Ojciec tej lekarki też był lekarzem i nadal mieszka w Fezanie.

Król szybko uniósł dłoń.

– Iszak z Fezany? To jest jej ojciec? Ten, którego oślepił Almalik?

Fernan zamrugał.

– Nic nie wiem o...

– To musi być on! To człowiek, którego traktat przeczytał medyk królowej! Dzięki niemu ocalił jej życie! – Oczy króla Ramira lśniły. – Na Dżada, teraz rozumiem. Wiem, co się dzieje. Don Rodrigo zdąży do miasta, ale za wszelką cenę będzie się starał ich z niego wyprowadzić. Trzeba mu czasu, zanim się pojawimy.

– Mam nadzieję, panie, że podzielisz się z nami swoimi myślami? – Wyraz twarzy Gerauda de Chervallesa plasował się gdzieś między irytacją i ciekawością.

– W takim stopniu, w jakim będzie ci to potrzebne – rzekł miłym tonem król Valledo.

Duchowny poczerwieniał. Król, który najwyraźniej tego nie zauważył, zwrócił się do Gonzaleza de Rady:

– Konetablu, oto moje rozkazy. Mają zostać wykonane szybko...

O ile Diego potrafił to ocenić, król Ramiro był bardzo dobry w wydawaniu rozkazów. Chłopiec uznał, że król spędza większość czasu na mówieniu ludziom, co mają robić. Wkrótce potem widziano, jak grupa ludzi jedzie z powrotem w stronę trzonu armii. Diego i Fernan zostali przy straży króla.

Zwolnili jednak tempo. Pod koniec dnia zatrzymali się w miejscu, do którego przyprowadził ich jeden ze zwiadowców; był to zagajnik z widokiem na rzekę i miejskie mury, lecz położony w pewnej odległości od nich.

Do Diega, Fernana i Ibera, którzy poili konie, podszedł król Ramiro. W rękę trzymał rękawice do konnej jazdy i, co niespodziewane, był sam. Na gest jego dłoni Diego szybko podał wodze bratu i poszedł za królem. Fernan zrobił ruch, jakby chciał iść z nim, ale król uniósł palec i pokręcił głową. Fernan zatrzymał się, zawiedziony.

Diego po raz pierwszy znalazł się sam na sam z królem. Pomyślał, że królowie nie są zbyt często sami.

Przeszli przez zagajnik; rosły w nim buki i dęby, a na skraju trzymało straż kilka cyprysów.

Wszędzie kwitły drobne białe kwiatki, tworząc pod drzewami dywan. Diego zastanawiał się, jak może ich być tak dużo w tym ciemnym, chłodnym miejscu. Król zatrzymał się przy wschodnim skraju lasu. Odwrócił się, by popatrzeć na południe, i Diego poszedł za jego przykładem.

W świetle zachodzącego słońca widzieli lśniące wody rzeki Tavares. Za nią leżała Fezana. Kiedyś i rzeka, i miasto były dla Diega tylko nazwami na mapie, zadaniem wyznaczonym przez nauczyciela: „Wymieńcie miasta, które są winne posłuszeństwo królowi Cartady. Podajcie jego imię. A teraz napiszcie te nazwy bez błędów”.

Tavares. Fezana. Almalik. Teraz już nie były tylko nazwami. Znajdował się w Al-Rassanie, krainie strachu i legend. Razem z mającym ją podbić wojskiem Valledo. A raczej odbić, ponieważ wszystko to należało niegdyś do nich, dawno temu, kiedy Esperania była jedną z potęg świata.

Szczerze mówiąc, kiedy Diego Belmonte patrzył na te potężne kamienne mury, przybierające w ukośnym świetle kolor miodu, zastanawiał się, jak nawet ten król i ta armia śmiały myśleć o zajęciu takiego miasta. Nic w jego doświadczeniu – Esteren widział tylko raz, a potem Carcazję – nie mogło się równać z tą wspaniałością. I kiedy tak patrzył ku południu, jego obraz Valledo zmalął.

Za murami Diego widział wyniosłe kopuły, lśniące w ostatnich promieniach słońca. Wiedział, że to miejsca oddawania czci. Sanktuaria wiary, którą duchowni Dżada nazywali ohydną i złą.

Diegowi wydały się jednak piękne.

Jakby czytając w jego myślach, a może podążając za jego wzrokiem, król odezwał się cicho:

– Te dwie najbliższe kopuły, niebieska i biała, wieńczą sanktuarium Kindathów. Te srebrne, błyszczące i większe to świątynie Aszara. O zachodzie słońca, już niedługo, powinniśmy usłyszeć dzwony wzywające na modły, nawet stąd. Pamiętam, że uwielbiałem ich dźwięk.

Diego wiedział, że król spędził rok na wygnaniu w Al-Rassanie. Tak jak wcześniej Raimundo i ojciec Diega zostali wygnani przez króla Sancza Otyłego do miast niewiernych. Ten epizod stanowił część historii ich rodziny, splątana z powodami, dla których Rodrigo nie był już konetablem Valledo.

– Ojciec powinien znać to miasto dość dobrze – mruknął Diego. – Kiedyś już tu był.

– Wiem o tym, Diego. Jak myślisz, będziesz umiał mi powiedzieć, kiedy i gdzie wyjdzie? Musi być jakieś przejście przez mury. Bramy na pewno są już zamknięte.

Diego podniósł wzrok na swego króla.

– Spróbuję.

– Musimy to wiedzieć zawczasu. Chcę się znaleźć w miejscu, w którym twój ojciec wyjdzie z miasta. Będziesz wiedział, dokąd idzie? W której jest dzielnicy?

– Czasami potrafię zrobić coś takiego. Nie zawsze. – Diego znów poczuł się winny. –

Przepraszam, panie. Nie... nie potrafię dobrze określić, co widzę. Czasami nie widzę nic. Obawiam się, że nie jestem zbyt...

Król położył mu rękę na ramieniu.

– Już nam pomogłeś, a jeśli Dżad uzna, że obaj jesteśmy tego godni, pomożesz nam znowu. Uwierz mi. Nie mówię tego, by cię uspokoić.

– Ale w jaki sposób, panie?

Diego wiedział, że prawdopodobnie nie powinien o to pytać, ale zastanawiał się nad tym od opuszczenia domu.

Król patrzył na niego przez chwilę.

– To nietrudne, jeśli rozumie się wojnę. – Zmarszczył brwi, szukając słów. – Pomyśl o tym w ten sposób, Diego: wiesz, że ludzie nie widzą dobrze w nocy. Pomyśl o wojnie, jakby cała rozgrywała się w ciemnościach. Podczas bitwy albo przed bitwą dowódca albo król wie tylko o tym, co się dzieje tuż obok niego, i to też niezbyt dokładnie. Ale jeśli miałbym cię przy sobie, a twój ojciec dowodziłby skrzydłem armii – a, na Dżada, mam nadzieję, że wkrótce tak będzie – to mógłbyś mi powiedzieć, co się dzieje tam, gdzie on jest. Cokolwiek mi dasz, to będzie więcej, niż mógłbym zdobyć inaczej. Diego, możesz być moim promieniem światła, jak dar od boga, przy którym mógłbym widzieć w ciemności.

Obudził się wiatr, zaszeleściły liście. Diego spojrzał na króla i z wysiłkiem przełknął ślinę. To dziwne, ale w tej chwili poczuł się i większy, i mniejszy, niż był naprawdę. Odwrócił wzrok, speszony. Spojrzał jeszcze raz na potężne mury i lśniące kopuły Fezany i nie znalazł tam pocięchy.

Zamknął oczy. Pojawiło się znajome wirowanie. Wyciągnął rękę i oparł się o drzewo.

A potem znalazł się obok ojca i w tej samej chwili uświadomił sobie coś jeszcze. W ciszy na skraju lasu Diego Belmonte sięgnął ku ojcu, starając się usłużyć swemu krajowi i królowi, i zagubił się wśród ulic Fezany. Poczuł niebezpieczeństwo, otaczające ojca niczym krąg ognia.

Zdał sobie sprawę, że to jest ogień.

Z mocno bijącym sercem, nie otwierając oczu i skupiając się najbardziej, jak umiał, powiedział:

– Są pochodnie i wielki tłum. Biegną ludzie. Płoną domy, panie. Z moim ojcem jest jakiś starzec.

– Jest niewidomy? – zapytał szybko król.

– Tego nie umiem powiedzieć. Wszystko się pali.

– Masz rację! Teraz widzę dym. W imię Dżada, co oni tam robią? Dokąd idzie twój ojciec?

– Nie potrafię, panie... chwileczkę.

Diego usiłował umiejscowić wydarzenia. Nigdy w ten sposób nie widział twarzy, odczuwał jedynie obecność, aurę, świadomość ludzi będących z ojcem – albo matką czy bratem. Wyczuwał

wysokie domy, mury, fontannę. Tłum biegnących postaci. Potem dwie kopuły, niebieską i białą.

Za ojcem. Na wschodzie. Otworzył oczy, chwilę się zmagał z zawrotem głowy, patrząc na południe. Pokazał ręką.

– Idą w kierunku miejsca w murze po tej stronie miasta. Jak mówiłeś, musi tu być jakieś wyjście. Dlaczego tam się toczy walka, panie?

Podniósł z niepokojem wzrok na króla. Ramiro miał ponurą minę.

– Nie wiem. Mogę się tylko domyślać. Jeśli twój ojciec jest z ben Jonannonem i walczy, to być może aszaryci atakują Kindathów. Dlaczego, nie potrafię powiedzieć. Ale działa to na naszą korzyść – jeśli Rodrigo się wydostanie z miasta.

Nie stanowiło to żadnej pociechy.

– Chodź! Znów mi pomogłeś – rzekł król. – Jesteś moim promieniem światła, Diego Belmonte, naprawdę.

Kiedy to mówił, zaszło słońce. Równinę leżącą na północ od Fezany szybko ogarnął piękny zmierzch. Na zachodzie niebo przesycił ostatni blask czerwieni. Kopuły przestały lśnić. Biegając z powrotem do pozostałych i patrząc na południe, Diego widział unoszący się nad miastem dym.

Nie pozwolono mu pojechać i zobaczyć, czy ojciec się wydostanie za mury, i go powitać.

Król pozwolił Fernanowi pojechać ze sobą, lecz Diegowi tego zakazał. Uznano, że w pobliżu murów będzie zbyt niebezpiecznie; król podkładał się w ciemności do rzeki i fosy tylko z pięćdziesięcioma ludźmi.

Diego był oburzony. To dzięki niemu król wiedział, dokąd zmierza Rodrigo, tylko dzięki niemu Ramiro mógł to zrobić, a on nie dostał szansy dołączenia do oddziału. Okazywało się, że przydatność dla króla Valledo niesie ze sobą pewne niedogodności.

Fernan był uszczęśliwiony, lecz współczuł bratu na tyle, by starać się to zadowolenie ukryć. Diego nie dał się nabrać. – Patrzył, jak brat odjeżdża z oddziałem króla, a potem w ponurym milczeniu dołączył do drugiej połowy straży przedniej. Oczywiście był z nim Ibero i – ku zaskoczeniu Diega – hrabia Gonzalez de Rada.

Jadąc na zachód wzdłuż rzeki, uznał, że możliwe, iż konetabl nie pragnie spotkać się z Rodrigiem w tak nieoczekiwany sposób. Było także możliwe, że konetabl bardzo poważnie traktuje swoją przysięgę strzeżenia rodziny Rodriga. Fernan był z królem, więc Gonzalez musiał zostać z Diegiem. Chłopiec spojrział z namysłem w stronę konetabla, lecz wtedy zrobiło się już prawie ciemno, a jechali bez pochodni.

Nie trwało to długo. Zobaczyli ogniska obozu. Kiedy podjechali do osady, w której po południu zaczęły się gromadzić wozy z żywnością, wschodził za nimi biały księżyc. Diegowi dano do zrozumienia, że jest to oczywiste miejsce do umieszczenia zapasów na czas oblężenia. Postanowili tak dawno temu ci, którzy znali tutejszą okolicę.

Diego i pozostali wjechali do maleńkiej wioski – aszaryci już ją opuścili. Leżała nad rzeką. Miała młyn wodny. Niemal wszystkie domy wyglądały na nowe, co było zaskakujące. Do Diega dotarł zapach gotującej się stawy. W tym momencie odkrył, że jest głodny jak wilk. Nie był to odpowiedni czas do myślenia o jedzeniu. Z drugiej strony, zadał sobie pytanie, co można teraz zrobić oprócz czekania?

Zsiadł z konia i stanął między Iberem i konetabłem. Podbiegło parę osób, by odebrać od nich wierzchowce. Diego odwrócił się i spojrzał ku wschodowi, ku księżycowi stojącemu nisko na niebie. Fernan jest już zapewne nad rzeką, przy murach, i czeka, by zaskoczyć ojca. Diego uznał, że to bardzo niesprawiedliwe.

Rozejrzał się. Ta osada oczywiście miała jakąś nazwę – Fernan zaznaczył ją na jednej ze swoich map – ale Diego zapomniał jaką. Niemal się spodziewał, że Ibero zażąda, by ją podał. Gdyby do tego doszło, był gotów wykazać się nadzwyczajnym sarkazmem.

Skupisko szop i domów nie leżało daleko od Fezany, lecz nocą pod gwiazdami miasto było zwykle niewidoczne. Teraz Diego widział na wschodzie czerwony poblask i wiedział, że Fezana płonie. Był tam jego ojciec.

Odsunął gniew wywołany tą myślą i zamknął oczy, zapominając o głodzie.

Dotknął obecności Rodriga, poznał, że jest przy murach miasta, lecz wciąż po ich wewnętrznej stronie. Na drugim brzegu rzeki odnalazł Fernana. Uświadomił sobie z ulgą, że nie ma poczucia bezpośredniego zagrożenia. W pobliżu żadnego z nich nie toczyła się walka. Powodowany impulsem Diego sięgnął ku północy i odnalazł matkę – bliżej niż się spodziewał.

Świadomość tego, gdzie ona jest, dodała mu otuchy. Świadomość, że wszyscy na razie są bezpieczni. Wyglądało nawet na to, że wkrótce znów mogą być razem, tu, z armią króla w Al-Rassanie. Byłoby cudownie. Diego otworzył oczy, wrócił myślami do osady i, uspokojony, znów pozwolił sobie pomyśleć o jedzeniu.

W tej chwili usłyszał głucho, twarde dudnienie i pierwszy urwany okrzyk. Potem zobaczył Muwardyjczyków.

W końcu wszystko okazało się tak łatwe, jak można się było spodziewać. Co prawda, dla urodzonych na pustyni nie miało to znaczenia. Jeśli już, to było powodem rozdrażnienia: kiedy wojna jest zbyt łatwa, niesie ze sobą mniej chwały.

Na początku tego samego dnia Aziz ibn Dabir z plemienia Zuhritów, wysłany na służbę do Fezany przez króla Cartady – przy którym początkowo umieścił go jego własny pan, Jazir ibn Q'arif, władca całej pustyni – wyprowadził z miasta na zachód setkę swoich ludzi. Trzymali się południowego brzegu Tavares, a potem przekroczyli rzekę w miejscu, gdzie zakręcała i zwalniała biegu.

O zmierzchu zmówili modlitwy, a potem, poruszając się z najwyższą ostrożnością, zawrócili

na wschód w stronę osady Orvilla.

Ostatni król Cartady i jego doradcy uznali przed laty, że jeśli przekłęci czciciele słońca kiedykolwiek odważą się zapaść na południe z zamiarem zajęcia Fezany, to zapewne na bazę zaopatrzeniową podczas oblężenia wybiorą Orville. Było to oczywiste miejsce i z tego powodu Aziz musiał przyznać, że plan Almalika I jest sprytny. Było to prawdą, mimo że został ułożony przez wielbicieli wina w Al-Rassanie, a nie członków plemion wykonujących wolę Aszara.

Poza tym to wojownicy Madżritu zostali poproszeni o przeprowadzenie ataku. Oczywiście, pomyślał Aziz. Kto spośród zniewieściałych mężczyzn, jacy pozostali w Fezanie, mógłby tego dokonać?

Podczas milczącego powrotu na wschód Aziz oraz jego dwaj najlepsi zwiadowcy przesunęli się na czoło oddziału. Ukryli konie i przyczołgali się przez trawę, by spojrzeć na Orville.

Wszystko odbywało się całkowicie zgodnie z przewidywaniami.

Dzadyci, głupi w swojej przewidywalności, rzeczywiście przysłali tu swoje wozy. Te z ich kobiet, które wybrały się na południe, prawie na pewno przybędą do Orvilli nazajutrz. Zadowoleni, że wieśniacy uciekli do miasta, wyznaczyli minimalne siły do obrony ludzi przygotowujących obóz.

Aziz usłyszał beztroski śmiech, zobaczył rozbijane namioty, poczuł zapach piekącego się już na ogniu mięsa. Wychwycił urywki rozmów prowadzonych w syczącej mowie Esperanii. Nie rozumiał ich. Nie miało to znaczenia. Znaczenie miało to, że jego współplemieńcy dokonają tu rzezi. Rzezi, która powinna wstrząsnąć napastnikami z północy do głębi ich bezbożnych dusz. Aziz miał parę pomysłów, jak zwiększyć ten efekt. Szkoda, że nie ma tu jeszcze kobiet: wtedy sytuacja byłaby idealna. Aziz nie miał kobiety od jakiegoś czasu.

Nieświadomie pogłaskał główkę młota wiszącego u pasa – jego ulubionej broni. Miał go jego ojciec podczas legendarnej pierwszej wyprawy Zuhritów z najdalszego zachodu. Pewnego dnia przekaze go najstarszemu synowi, jeśli taka będzie wola gwiazd Aszara.

Wydawało się, że dzisiaj Aszar mu sprzyja. W chwili, kiedy Aziz miał się zsunąć ze swego punktu obserwacyjnego i wydać rozkaz ataku, coś ostrzegło go przed niebezpieczeństwem. Dał swoim dwóm towarzyszom znak uniesioną dłonią i przyłożył ucho do ziemi. Tętent. Zwiadowcy, którzy zrobili to samo, spojrzeli w ciemności na Aziza.

Zaczekali. W parę chwil później pojawił się oddział żołnierzy na dumnych ogierach z Valledo. Aziz pragnął tych koni niemal tak bardzo, jak chciał obciąć głowy i organy płciowe ich jeźdźcom. Oczywiście było ciemno, ale w Orvilli paliły się ogniska, a Aziz dobrze widział w nocy. Naliczył pięćdziesięciu jeźdźców, nie więcej. Poradzą sobie z nimi, właściwie chciał sobie z nimi poradzić. Teraz był to atak, który mógł przynieść chwałę.

Duże znaczenie miało dobre wyliczenie czasu. Otrzymali rozkaz zaatakowania i szybkiego wycofania się, by nie ryzykować schwytania w pułapkę poza murami miasta. Zobaczył, że nowi

Jeźdźcy wkraczają do Orvilli przez bramę w niskim płocie odbudowanym po pożarze z zeszłego lata. Pochylił głowę ku jednemu ze swoich ludzi i szeptem wydał mu rozkazy. Nic skomplikowanego. Nie było potrzeby komplikacji.

– Zapewne ci ludzie są teraz głodni i bezbronni. Wracajcie do pozostałych. Powiedzcie, że atakujemy w imię Aszara.

Gwiazdy boga wisiały nieruchomo na niebie. Nowi dzadyci zsiadali z koni, które odprowadzali służący. Aziz wiedział, że to są wojownicy, ale pieszo? Przeciwno setce najlepiej wyszkolonych Muwardyjczyków w Al-Rassanie?

W chwilę później Aziz usłyszał tętent. Wstał i obejrzał się. Zobaczył zbliżającą się, zakrzywioną linię swoich współplemieńców. Jeden z nich podjechał do niego, prowadząc jedną ręką konia Aziza. Aziz wskoczył na niego w biegu. Wyciągnął zza pasa młot.

Usłyszał krzyk dobiegający od jednego z ognisk. Urwał się raptownie. Ktoś wypuścił strzałę. Rozległy się kolejne krzyki, rozpaczliwe wołania całkowicie zaskoczonych ludzi.

Dotarli do niskiego płotu i go przeskoczyli. Wtedy Aziz sam podniósł głos, wykrzykując tryumfalnie imię Aszara pod widzącymi wszystko, świętymi gwiazdami.

Zrobili w mroku nocy to, po co tu przyjechali z Fezany. Zabijali i nie tylko zabijali. Trzeba było zostawić wiadomość i nie można było dopuścić, by przybysze z północy jej nie zauważyli.

Napotkali nieco oporu, co sprawiło im niejaką przyjemność. Pięćdziesięciu nowo przybyłych było żołnierzami, lecz było ich znacznie mniej niż ludzi Aziza i nie mieli koni, a Muwardyjczycy dokładnie wiedzieli, co robią.

Aziz już zidentyfikował przywódcę żołnierzy i wybrał go dla siebie, jak musi robić dowódca plemion, jeśli chce zachować honor i pozycję. Przygalopował do niego, kręcąc młynka młotem – i musiał błyskawicznie się uchylić w siodle, by uniknąć ciosu miecza przybysza z północy. Nie był to już młodzieniec, ale poruszał się szybko i o mały włos nie zabił Aziza. Minąwszy go i zawróciwszy konia, Aziz zobaczył, jak jadący za nim jego współplemieniec pada pod drugim ciosem tego samego miecza. Dowódca dzadytów, ciemny, wysoki mężczyzna, zepchnął przeciwnika z konia i tym samym ruchem wskoczył na puste siodło. Dwaj przywódcy spojrzeli na siebie. Aziz się uśmiechnął. To jest życie, po to się żyje.

Nagle Valledanin coś zawołał i wysoko uniósł miecz. To było zbyt demonstracyjne, znajdował się za daleko. A zatem odwrócenie uwagi.

Aziz odwrócił się instynktownie i zobaczył zbliżającego się z tyłu chłopca z mieczem. Gdyby został ugodzony koń, Aziz mógłby się znaleźć w niebezpieczeństwie, lecz chłopiec gardził taką taktyką, mierząc w górę, w żebra Muwardyjczyka. Aziz zablokował uderzenie – robił to przynajmniej sto razy – i spuścił młot na ukos w dół, pokonując słabą zasłonę. Rozbił czaszkę chłopca, poczuł, jak pęka niczym skorupka jajka.

– Diego! – wrzasnął valledański przywódca.

Aziz się roześmiał. Valledanin pchnął swego zagarniętego wierzchowca do przodu i ciął konia Aziza w szyję. Miecz wszedł głęboko. Zwierzę zakwiczało, stając na tylnych nogach. Aziz nie zdołał utrzymać się w siodle, poczuł, że się zsuwa, i zobaczył zbliżający się długi miecz przybysza z północy.

Gdyby Aziz ibn Dabir był zwykłym człowiekiem, straciłby wtedy życie. Był jednak Muwardyjczykiem z plemienia Zuhritów, starannie wybranym do misji w Al-Rassanie. Rzucił się w bok, z dala od spadającej klingi, i znalazł się na ziemi z drugiej strony konia.

Wstał z bolącym lewym ramieniem, ale z młotem trzymany w pogotowiu. Nie musiał. Aziz zobaczył, że Valledanina zabili od tyłu dwaj Muwardyjczycy. Jeden z mieczy wbił się tak głęboko, że wyszedł przez pierś powalonego mężczyzny.

Świadom, że w tym starciu stracił coś więcej niż godność, Aziz podszedł wielkimi krokami i zabrał miecz drugiemu współplemieńcowi, po czym, rozwścieczony, jednym ciosem odciął trupowi głowę. Zadyszany głosem wydał rozkaz. Jeden z mężczyzn zeskoczył z konia i ściągnął zabitemu dolny przyodziewek. Aziz, nie dbając o precyzję, wykastrował Valledanina. Następnie chwycił martwego chłopca, przewrócił go na brzuch i naciągnął na niego bezgłowe, wykastrowane ciało, jakby byli kochankami zabitymi podczas zbliżenia.

Chodziło o przesłanie. O brutalnie uświadomienie dzadytom, czemu stawia czoło, jeśli pozostaną na ziemiach Aszara tak daleko od swoich pastwisk na północy.

Aziz podniósł wzrok. Od wschodniego skraju osady pędził ku nim zwiadowca.

– Jadą następni! – krzyknął. – Z Fezany.

– Ilu?

– Pięćdziesięciu. Może więcej.

Aziz zmarszczył brwi. Bardzo chciał zostać i pokonać także tych żołnierzy, szczególnie po zaznaniu takiej hańby, lecz zniknął już element zaskoczenia, a ci nowi Valledanie mają konie i są gotowi do walki. Otrzymał jasne rozkazy i rozumiał je zbyt dobrze, żeby się im sprzeciwić, bez względu na dumę.

Zarządził odwrót. Po całym obozie były rozrzucone ciała Valledan. Żywność i wozy płonęły. Wyjechali ku północy i przekroczyli rzekę po wąskim moście. Ostatni jeźdźcy go zrąbali, tak na wszelki wypadek.

Wrócili galopem do Fezany bez żadnych przeszkód, zostali rozpoznani i wpuszczeni przez południową bramę. Aziz złożył raport zarządcy, a następnie wraz z całym oddziałem został przydzielony do pomocy przy gaszeniu pożarów, które wybuchły pod jego nieobecność. Okazało się, że ktoś wybrał niewłaściwy moment do dokonania zdecydowanie właściwego czynu – uporania się z mieszkającymi w mieście Kindathami.

Aziz ibn Dabir padł wycieńczony do łóżka dopiero przed południem. Podczas długiego nocnego mozołu ramię zaczęło go porządnie boleć. Mimo zmęczenia drzemał niespokojnie,

wiedząc, że wiadomość zbyt szybko wyruszy na południe przez Al-Rassan, a potem przez cieśninę.

Wiadomość, jak to Aziz ibn Dabir znalazł się na krawędzi porażki w walce z pojedynczym Valledaninem i uratował się jedynie dzięki interwencji swoich podwładnych. Aziz miał bolesną świadomość, że jego wkładem w zasadzkę w Orvilli było zabicie dziecka oraz okaleczenie mężczyzny, którego inni zabili za niego – co, wśród plemion, należało do kobiet. Jazir mógłby przymknąć oko na coś takiego u doświadczonego dowódcy, ale jego brat Ghalib, który dowodził wojskami Madżritu, raczej by tego nie zrobił.

A tak się składało, że Aziz należał do osób znających pochodzenie niezwykle rzemienia, który Ghalib ibn Q'arif nosił na szyi.

Nie pamiętał, by kiedykolwiek w życiu odczuwał tak straszliwe przerażenie. Pędził przez równinę z walącym szaleńczo sercem; myślał, że straci panowanie nad sobą, spadnie z konia i zostanie stratowany przez jadących jego śladem.

Rodrigo Belmonte pomyślał, że mogłoby się to okazać błogosławieństwem, tak jak aktem miłosierdzia jest zastrzelenie konia czy psa myśliwskiego ze złamaną nogą.

Był właśnie takim koniem albo psem.

Był ojcem, usiłującym prześcignąć czas w drodze do syna. Przepelniało go przerażenie, określało go i pozbawiało myśli.

Nigdy przedtem nie odczuwał nic podobnego. Owszem, strach. Żaden uczciwy żołnierz nie mógł szczerze powiedzieć, że nigdy nie zaznał strachu. Odwaga leży w zwalczeniu go, w przebiciu się przezeń, we wzniesieniu się ponad niego, by zrobić to, co musi się zrobić. Wiele razy stał twarzą w twarz ze śmiercią, bał się jej i poradził sobie z tym strachem. Nigdy nie czuł tego, czego doświadczał teraz, tej nocy w Al-Rassanie, pędząc do Orvilli po raz drugi w tym samym roku.

I z tą myślą Rodrigo ujrzał przed sobą ogień i zrozumiał – był żołnierzem, doświadczonym żołnierzem – że się spóźnił.

Usłyszał w ciemności jakiś dźwięk. Imię, wykrzykiwane bez końca przez swój własny głos, jedno imię. Imię jego dziecka. Było ciemno. Było ciemno pod gwiazdami, a przed sobą widział ogień.

Zanim przygalopował do niskiej palisady, przesadził ją i zeskoczył z konia między płonące wozy, namioty oraz martwych, okaleczonych ludzi, których znał. Muwardyjczycy – to oczywiście musieli być muwardyjscy wojownicy – już odjechali.

Najpierw znalazł Ibera. Nie rozumiał, skąd on się tu wziął. Drobny duchowny leżał w kałuży własnej krwi, czarnej w blasku pożarów. Miał odcięte dłonie i stopy. Były rozrzucone w pewnej odległości od jego ciała jak kawałki rozerwanej lalki.

Rodrigo poczuł swąd palonego mięsa. Niektóre ciała zostały ciśnięte do ognisk. Ruszył chwiejnym krokiem do leżącego pośrodku osady placyku, pamiętając go z poprzedniego lata. Pozbawiony nadziei, lecz nie potrafiąc się już przed tym obronić, zobaczył odciętą głowę Gonzaleza de Rady, a obok niej ciało konetabla ze zdartymi spodniami, rozciągnięte nieprzyzwoicie na drobnej postaci chłopca leżącego twarzą do ziemi.

Rodrigo znów usłyszał swój głos.

Ciche błaganie. O łaskę, o litość, o czas, by się cofnąć i przybyć na czas. Na czas, by uratować swoje dziecko albo umrzeć z Diegiem, gdyby nie mogło się stać nic innego.

Dźwięki, obrazy, smród palonego mięsa zniknęły w dali. Podszedł do obu ciał.

Jak we śnie, poruszając się niemożliwie wolno, ukląkł i odtoczył ciało Gonzaleza de Rady z leżącego na brzuchu syna. Zobaczył wtedy – jak we śnie, z niedowierzaniem – co jeszcze zrobiono z konetabłem Valledo.

A potem delikatnie, delikatnie jak we śnie, obrócił Diega na skrwawionej ziemi i zobaczył jego rozbitą głowę. Zaczął wtedy szlochać, kołyszając się w tył i w przód, nad trzymanym w ramionach dzieckiem, które odeszło.

Usłyszał, że zbliżają się pozostali. Konie. Kroki. Ktoś biegł, potem szedł. Zatrzymał się. Jakimś sposobem przyszła mu do głowy myśl. Nie podnosząc wzroku, nie mogąc podnieć wzroku, powiedział:

– Fernan. Zatrzymajcie Fernana. Nie pozwólcie mu tego zobaczyć.

– To ja, tato. Och, tato, czy on nie żyje?

Wtedy uniósł głowę. Zmusił się do tego. Miał żywe dziecko. Brata bliźniaka syna trzymanego w ramionach. Spojone dusze. Różniący się od siebie całe życie, ale mający jedne narodziny, jedną twarz. Razem, zawsze, przeciwko temu, co sprowadził na nich świat. Już nie. Rodrigo pomyślał, że Fernan będzie się teraz czuł jak nagi, a w miejscu, gdzie był jego brat, będzie przez niego wiał lodowaty wicher.

Zobaczył twarz Fernana w świetle płonących wozów. I w tej chwili Rodrigo Belmonte zrozumiał, że chłopiec nigdy nie pozbędzie się tego obrazu martwego brata w ramionach ojca. Ukształtuje on i określi jego przyszłe życie, a Rodrigo nie będzie mógł zrobić niczego, by to zmienić.

Musiał jednak przestać płakać. Musiał spróbować.

Tuż za Fernanem stał Ammar ibn Khairan. To on ich ostrzegł, natychmiast, lecz za późno. On też zapewne widział już takie rzezie. Zabójstwa i bezczeszczenie zwłok miały przekazać wiadomość, ostrzeżenie. Rodrigo przypomniał sobie nagle Dzień Fosy i to, co potem ibn Khairan zrobił królowi Cartady. Zabójstwo. Swego rodzaju odpowiedź.

Poczuł, że jest bliski utraty panowania nad sobą.

– Ammarze, proszę cię, odprowadź go gdzieś – szepnął. – Nie powinien tego widzieć. Idź

z tym człowiekiem, Fernanie. Proszę cię.

– Czy on nie żyje? – znów zapytał Fernan, nie zwracając uwagi na niemy, straszliwy dowód w postaci strzaskanej i krwawiącej czaszki, albo nie potrafiąc przyjąć go do wiadomości.

– Chodź, Fernanie – powiedział łagodnie ibn Khairan głosem poety. – Pójdziemy nad rzekę i posiedzimy tam chwilę. Może będziemy mogli się pomodlić, każdy na swój sposób. Zrobisz to razem ze mną?

W tym odległym, wyciszonym miejscu, w którym się znalazł, Rodrigo patrzył, jak jego syn odchodzi z Ammarem ibn Khairanem z Aldzais. Z aszarytą. Wrogiem. Strzeż go, chciał zawołać do Ammara, ale nie było takiej potrzeby i było za późno. Krzywda została wyrządzona.

Spojrzał na trzymane w ramionach dziecko. Diego. Mały. Wszyscy poeci pisali o sercach pękających z miłości. Zadał sobie pytanie, czy naprawdę coś o tym wiedzieli. On absurdalnie czuł, jak przez jego własne serce biegnie pęknięcie, które nigdy nie zostanie naprawione, nigdy nie zostanie zaleczone. Wkroczył świat i nieodwracalnie je zniszczył.

Razem z królem była tu armia. Armia w Al-Rassanie. Zastanawiał się mętnie, zabicia ilu ludzi powinien się podjąć, by – co od początku wydawało się beznadziejne – uśmierzyć i pomścić tę chwilę. Tę drobną, wiotką postać w jego ramionach. Diega.

Zadawał sobie pytanie, czy jeszcze uda mu się jasno myśleć.

– Och, słodki Dżadzie – usłyszał czyjś ostry głos. Ramira, króla Valledo. – Och, nie to, w imię wszystkiego, co jest święte!

Rodrigo obejrzał się. Coś w głosie króla.

Świeże pochodnie, kolejni jeźdźcy. Z północy. To nie oddział króla, który spotkał ich nad rzeką przy murach. Z przeciwnego kierunku. Valledańskie sztandary, oświetlone płomieniami.

Podjechali bliżej i się zatrzymali. Zobaczył królową Valledo, Ines.

Zobaczył, jak jego żona zsiada z konia i stoi bez ruchu, patrząc wprost na niego. Bezbronna.

Nie miał pojęcia, dlaczego Miranda znalazła się w tym miejscu. Dlaczego znalazł się w tym miejscu ktokolwiek z nich. Musiał się jednak poruszyć, spróbować oszczędzić jej przynajmniej drobnej cząsteczki tego wszystkiego. Jeśli zdoła.

Delikatnie położył Diega z powrotem na zimnej ziemi, wstał chwiejnie i ruszył ku Mirandzie między płomieniami i zabitymi ludźmi. Jego ubranie było przesiąknięte krwią.

Przetarł oczy, twarz. Miał wrażenie, że jego dłonie należą do kogoś innego. Potrzebował teraz słów, ale mu ich brakowało. To był sen. Nigdy się z niego nie obudzi.

– Proszę, powiedz mi, że jest tylko ranny – powiedziała bardzo cicho jego żona. – Rodrigo, proszę, powiedz, że jest tylko ranny.

Otworzył usta i je zamknął. Pokręcił głową.

Wtedy Miranda krzyknęła. Imię. Tylko imię. Tak samo, jak przedtem on. Przebiło go niczym włócznia.

Wyciągnął ręce, by ją przytulić. Minęła go, biegnąc do Diega. Rodrigo odwrócił się i zobaczył, że teraz otaczają go ludzie. Podeszła Dżehana. Klęczała przy jego synu. Z drugiej strony klęczał ktoś z oddziału królowej, mężczyzna, którego nie znał. Miranda zatrzymała się przy nich.

– Och, proszę... – powiedziała słabym głosem, jakiego nigdy przedtem u niej nie słyszał. – Proszę...

Uklękła obok Dżehany i ujęła Diega za ręce.

Rodrigo zobaczył, że znad rzeki wracają Fernan i ibn Khairan. Na pewno usłyszał krzyk matki. Fernan teraz płakał, wykrzywiając twarz.

Jeszcze tego ranka, jadąc do Fezany, Rodrigo Belmonte powiedziałby, gdyby ktoś go zapytał, że świat jest trudnym, lecz interesującym miejscem, a siebie samego nazwałby człowiekiem obdarowanym nad swoje zasługi przez boga miłością, braterstwem i zadaniami godnymi mężczyzny.

Ale tego ranka miał dwóch synów.

Wrócił do Diega. Ktoś – chyba król – okrył leżące w pobliżu, okaleczone ciało Gonzaleza de Rady własnym płaszczem. Fernan stał za matką. Rodrigo zauważył, że nie prosi o pociechę. Stał bardzo spokojnie i płakał z ręką na ramieniu Mirandy, patrząc na swego brata. Miał trzynaście lat.

Dżehana skończyła oględziny i podniosła wzrok na Rodriga.

– Nie jest martwy, ale obawiam się, że umiera. – Miała pobladłą twarz. Zobaczył, że ubranie wciąż ma mokre. To wszystko było tak podobne do snu. – Rodrigo, tak mi przykro. Uderzenie roztrzaskało mu głowę, o, tutaj. Nacisk jest za wielki. Nie obudzi się. To nie potrwa długo. – Spojrzała na kobietę obok siebie, trzymającą w swoich dłoniach dłoń dziecka. – On... on nie cierpi bólu, pani.

Kiedyś w Ragosie miał sen, taki dziwny sen, w którym obie – Miranda i Dżehana – stały gdzieś o zachodzie słońca. Nie rozmawiały, nie widział szczegółów, tylko tak stały razem pod koniec dnia.

Tu jednak było ciemno i klęczały na ziemi. Miranda nic nie mówiła, utkwivszy spojrzenie w swoim dziecku. Potem jednak się poruszyła; uwolniła jedną rękę i delikatnie położyła ją na rozbitej głowie Diega.

Dżehana znów na niego spojrzała i Rodrigo zobaczył w jej oczach smutek i wściekłość. Wściekłość lekarki na to, czego nie mogą pokonać, na to, co zbyt szybko odbiera ludzkie życie, czyniąc lekarzy bezradnymi. Spojrzała nad ciałem Diega na tego drugiego mężczyznę.

– Jesteś lekarzem? – zapytała.

Kiwnął głową.

– Królowej, a poprzednio wojskowym.

– A zatem pomogę ci tutaj – powiedziała cicho. – Naszej pomocy mogą potrzebować inni. Na pewno nie wszyscy są martwi. Może będziemy mogli kogoś uratować.

– Zrobiłabyś to? – zapytał mężczyzna. – Dla dżadyckiej armii?

Po twarzy Dzehany przebiegł grymas zniecierpliwienia.

– Jeśli o to chodzi, to jestem lekarką oddziału Rodriga Belmontego. Po dzisiejszej nocy nie wiem, co będzie dalej, ale na razie jestem na twoje rozkazy.

– Mogę go potrzymać? – wyszeptała Miranda.

Rodrigo postąpił bezradnie do przodu jeszcze jeden krok.

– Nie możesz mu wyrządzić żadnej krzywdy, pani. – Nigdy jeszcze nie słyszał u Dzehany tak łagodnego głosu. – Oczywiście, że możesz go potrzymać. – Zawahała się i powtórzyła: – Nie cierpi bólu.

Zrobiła ruch, jakby chciała wstać.

– Zaczekaj, Dzehano – rozległ się z tyłu głos. Głos kobiety. Rodrigo odwrócił się bardzo powoli. – Twój ojciec pragnie zbadać chłopca – rzekła Eliana bet Danel.

W Al-Rassanie, w Esperanii, Ferrieres, Karchu, Bachiarze – nawet, z czasem, w odległych ziemiach ojczystych aszarytów na wschodzie – to, co się wydarzyło tamtej nocy w płonącej osadzie pod Fezaną, stało się legendą, opowiadaną tak często wśród lekarzy, na dworach, w wojskowych oddziałach, na uniwersytetach, w gospodach, miejscach kultu, że nabrała otoczki magii i czegoś nadprzyrodzonego.

Oczywiście nie było w tym nic nadprzyrodzonego. To, co zrobił Iszak ben Jonannon – niewidomy lekarz pracujący pod białym księżycem, gwiazdami i pochodniami przyniesionymi przez tych, którzy mu pomagali – było tak dokładne i starannie zaplanowane, jak to, czego dokonał przed pięciu laty w Cartadzie, przyjmując poród ostatniego dziecka Almalika I, i równie niezwykle.

Właściwie było to coś więcej. Pozbawiony wzroku, porozumiewający się tylko za pośrednictwem żony, która rozumiała każdą wypowiedzaną przez niego okaleczoną sylabę, trzymając narzędzia chirurgiczne po raz pierwszy od czasu, kiedy został oślepiony, kierując się dotykiem, pamięcią i instynktem, ben Jonannon dokonał czegoś, o czym nawet Galinus tylko wspominał, że być może dałoby się to zrobić.

Wokół miejsca, w którym cios Muwardyjczyka rozbił głowę chłopca, Iszak wyciął otwór i wyciągnął strzaskaną kość wepchniętą w to, co zostało wstrząsająco odsłonięte pod odciągniętą skórą i otworzoną czaszką Diega Belmontego. Kawałek kości, który zabiłby syna Rodriga, zanim błękitny księżyc zdążyłby dołączyć na niebie do białego.

W tekście Galina nazywało się to trepanacją. Dzehana wiedziała o tym, podobnie jak chyba wiedział Bernart d'Inigo, dżadycki lekarz, który im pomagał. I oboje wiedzieli, że nikt tego

wcześniej nie robił.

Przez cały czas Dzehana miała świadomość, że ona by tego nawet nie spróbowała zrobić. Nawet się jej nie śniło, że to możliwe. Przez cały czas walcząc z chęcią płaczu, patrzyła z podziwem, jak pewne, spokojne ręce jej ojca badają ranę, a potem ujmują małą piłę i dłuto, którymi następnie wycięły dziurę w głowie Diega Belmontego.

Wydawał im polecenia w miarę potrzeby; matka Dzehany, stojąca nad nimi w świetle pochodni trzymanej przez samego króla Valledo, tłumaczyła jego słowa. Dzehana albo Bernart podawali nóż, piłę, kłamerę, wycierali krew obficie płynącą z miejsca, w którym Iszak odwinął skórę z głowy chłopca. Diego był podtrzymywany w pozycji siedzącej, by krew mogła spływać w dół, a nie do rany.

Trzymał go jego ojciec.

Przez większość czasu Rodrigo miał zamknięte oczy; koncentrował się na zachowaniu całkowitego bezruchu, co, jak przekazał Iszak przez Elianę, było absolutnie konieczne. Może się modlił. Dzehana tego nie wiedziała. Wiedziała jednak, niewymownie wzruszona, że Komendant ani drgnął. Przez cały czas trwania tej niemożliwej, na oślep prowadzonej na równinie operacji Rodrigo ani razu nie zmienił pozycji.

W pewnej chwili Dzehana doznała dziwnego wrażenia, że gdyby zaistniała taka potrzeba, Rodrigo mógłby tak siedzieć ze swoim dzieckiem w ramionach bez końca. Skąpa, posąg, ojciec robiący jedyną rzecz, jaka mu pozostała.

Strzaskana kość czaszki wyszła w jednym paskudnym, wyszczerbionym kawałku. Iszak kazał Dzehanie obmacać otwartą ranę, chcąc uzyskać pewność, że to wszystko. Znalazła dwa małe fragmenty i wyjęła je szczypczykami, które jej podał d'Inigo. Następnie razem z valledańskim lekarzem zszyli płaty skóry i zabandażowali ranę. Potem już tylko klęczeli z obu stron chłopca.

Położyli Diega; Rodrigo stanął w milczeniu obok Mirandy. Bliźniak – Fernan – stał za matką. Według Dzehany wyraźnie potrzebował jakiegoś środka nasennego. Wątpiła, by chciał go przyjąć.

Biały księżyc znalazł się już wtedy nad ich głowami, a błękitny wspinał się na wschodnie niebo. Zgaszono pożary. Przybyli inni lekarze, wezwani z trzonu armii znajdującego się na północ od Orvilli. Nie było ich zbyt wielu.

Dzehana uświadomiła sobie, że minęło chyba bardzo dużo czasu. Iszak, prowadzony przez Elianę i Ammara, oddalił się do ustawionego dla niego rozkładanego stołka.

Dzehana i dzadycki lekarz, d'Inigo, popatrzyli na siebie ponad ciałem chłopca. Dzehana pomyślała, że d'Inigo ma nieciekawą twarz, lecz miłe spojrzenie. Przez cały czas wykazywał się spokojną kompetencją. Nie spodziewała się tego po valledańskim medyku.

Odchrząknął, zmagając się ze zmęczeniem i emocjami.

– Cokolwiek... – zaczął. Przełknął ślinę. – Cokolwiek się ze mną stanie, cokolwiek jeszcze zrobię, to zawsze będzie najwspanialsza chwila mojego życia jako lekarza. Dlatego że miałem w tym swój mały udział. Z twoim ojcem, który jest moim... którego darzę wielkim szacunkiem. W jego dziełach i...

Zamilkł, wzruszony.

Dżehana stwierdziła, że jest straszliwie zmęczona. Jej ojciec musiał być wyczerpany. Nie okazywał tego. Jeśli nie będzie uważać, zacznie sobie przypominać, co się stało w Fezanie przed tym wszystkim, a to zda się na nic. Jeszcze nie teraz. Musi zachować panowanie nad sobą.

– Może nie przeżyć. Wiesz o tym – rzekła.

D’Inigo pokręcił głową.

– Przeżyje. I to jest właśnie cudowne. Tak samo jak ja, widziałaś, co zostało zrobione. Kość wyszła! Operacja była bezbłędna.

– A my nie mamy najmniejszego pojęcia, czy można przeżyć takie otwarcie czaszki.

– Galinus powiedział...

– Galinus nigdy tego nie robił! Dla niego to było świętokradztwo. Dla aszarytów, dla Kindathów. Dla nas wszystkich. Wiesz o tym!

Nie chciała podnosić głosu. Patrzyli na nich ludzie.

Dżehana spojrzała na nieprzytomnego chłopca. Leżał na pościeli z poduszką, przykryty kocami. Z powodu utraty tak wielkiej ilości krwi był bardzo blady. Przyłożyła mu palce do szyi. Puls był równy, choć za szybki. Jednakże, robiąc to i przyglądając się twarzy Diega, zdała sobie sprawę, że ona też ma pewność, iż chłopiec będzie żył. To było nieprofesjonalne, całkowicie emocjonalne.

Była to absolutna pewność.

Podniosła wzrok na Rodriga i kobietę, którą kochał, matkę tego dziecka, i skinęła głową.

– Odzyskuje siły. Zgodnie z naszymi nadziejami – rzekła.

A potem wstała i podeszła do rodziców. Był z nimi Ammar. To dobrze. Bardzo dobrze.

Uklękła u stóp Iszaka; położyła mu głowę na kolanach, tak jak robiła to w dzieciństwie, i poczuła, jak ręce ojca – jego silne, spokojne ręce – nieruchomieją na jej włosach.

Po pewnym czasie wstała – ponieważ tak naprawdę nie była już małą dziewczynką mieszkającą w domu rodziców – i odwróciła się do mężczyzny, którego ukochała spośród wszystkich innych na świecie, a Ammar otworzył ramiona; pozwoliła, by swoim dotykiem wyciągnął z niej choć odrobinę tego, co się stało tej nocy z jej ludem w mieście.

ROZDZIAŁ 17

Odłożywszy pochodnię, którą trzymał nad Diegiem Belmontem w mroku tej nocy, Alvar de Pellino zobaczył, jak ojciec Dzehany idzie ze swoją żoną znużonym krokiem na skraj osady, a potem już sam wychodzi chwiejnie na trawę przez wschodnią bramę. Tam ukląkł i, kołysząc się powoli w tył i w przód, zaczął się modlić.

– To kindathijski lament – mruknął cicho Husari, który podszedł do Alvara. Podobnie jak on, był poplamiony krwią, popiołem i potem. – Pod oboma księżycami. Na zmarłych.

– W Fezanie?

– Oczywiście. Ale jeśli znam tego człowieka, to w części ten lament jest poświęcony Velazowi.

Alvar się skrzywił. Jeszcze raz spojrzął na sylwetkę mężczyzny klęczącego w ciemnościach. To wstyd, ale on sam zapomniał o Velazie. Rodzice Dzehany usłyszeli tę wiadomość dopiero tej nocy. Patrząc na kiwającego się starego lekarza, Alvar poczuł nieoczekiwany ponowny przypływ spokojnej i pewnej świadomości tego, co zaczął rozumieć podczas drogi na zachód: mimo wszystko nie będzie żołnierzem.

Potrafił zabijać, i to, jak się wydawało, dość dobrze, jako że nie brakło mu ani odwagi, ani spokoju czy umiejętności, ale nie miał serca do wojennej rzezi. Nie potrafił jej nazwać za śpiewakami wielką galą, zawodami, polem chwały, na którym mężczyźni mogą znaleźć honor.

Nie znał żadnej alternatywy, ale wiedział, że nie jest to noc na takie rozmyślania. Usłyszał za sobą jakiś dźwięk i się odwrócił. Podszedł do niego Rodrigo.

– Alvarze, byłbym wdzięczny, gdybyś zechciał udać się ze mną. – Mówił poważnym tonem, za którym kryło się ogromne znużenie. Diego wciąż był nieprzytomny; Dzehana powiedziała, że prawdopodobnie tak będzie przez całą noc aż do rana. – Chyba potrzebuję świadka na to, co się zaraz wydarzy. Dobrze się czujesz?

– Oczywiście – odparł szybko Alvar. – Ale o co...?

– Król poprosił mnie o rozmowę.

Alvar przełknął ślinę.

– I chcesz, żebym ja...

– Tak. Potrzebuję jednego z moich ludzi. – Po twarzy Rodriga przemknął słaby cień uśmiechu. – Chyba że odczuwasz potrzebę oddania moczu?

Wspomnienie, żywe niczym snop światła.

Podszedł z Rodrigiem do króla, który naradzał się ze zwiadowcami. Ramiro spostrzegł ich obu i na chwilę uniósł brwi na widok Alvara.

– Chcesz, żeby był z nami ktoś trzeci? – zapytał.

– Jeśli nie masz nic przeciwko temu, panie. Znasz syna Pellina de Damona? To jeden

z moich najbardziej zaufanych ludzi.

Alvar słyszał teraz w głosie Rodriga ostry ton.

– Nie znam – odparł król – ale jeśli cenisz go tak wysoko, to mam nadzieję, że dobrze go poznam w przyszłości.

Alvar się skłonił.

– Dziękuję, panie.

Miał świadomość, że przedstawia sobą przerażający widok. Jak wojownik.

Ramiro odprawił zwiadowców; podeszli we trójkę do północnego ogrodzenia osady, a kiedy Alvar otworzył bramę, wyszli na równinę.

Wiał wiatr. Nie mieli pochodni. Ognie pozostawili za sobą, ale w większości już wygasły. Nad rozpościerającą się wokół nich ziemią świeciły księżycy i gwiazdy. Było za ciemno, by Alvar mógł cokolwiek odczytać z twarzy swoich towarzyszy. Milczał. Był świadkiem. Nie wiedział tylko czego.

– Cieszę się, że wróciłeś. Zapewne masz pytania, więc pytaj – rzekł Ramiro z Valledo. – A potem powiem ci o pewnych innych sprawach, o których nie wiesz.

– Dobrze – powiedział chłodno Rodrigo. – Zaczynj od moich synów. Skąd się tu wzięli? Być może nie będziesz się długo cieszył moją obecnością, królu, zależnie od odpowiedzi.

– Twój duchowny napisał list do Gerauda de Chervallesa, najwyższego duchownego z Ferrieres, spędzającego u nas zimę po drodze na Wyspę Vaski. Razem ze swoimi braćmi w Eschalou i Orvedo głosił świętą wojnę. Wiesz, że wojsko wypłynęło z Bachiary?

– Tak. Jaki list?

– Wyjaśniający dar twojego syna. Sugerujący, że może nam pomóc w wojnie z niewiernymi.

– Ibero zrobił coś takiego?

– Pokażę ci ten list, don Rodrigo. Czy to była zdrada?

– Tak.

– Został ukarany – rzekł król.

– Nie przeze mnie.

– Czy to ma znaczenie? Był świętym człowiekiem. Osądzi go Dżad.

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

– Mów dalej. List przybył do Esterenu?

– I de Chervalles poprosił mnie o pozwolenie posłania po chłopca. To było po wydarzeniach w Carcazi. Słyszałeś o tym? Rodrigo skinął głową.

– Trochę.

– W ślad za tymi wydarzeniami rozkazałem zebrać się armii i wysłałem ludzi po twego syna. Jego brat uparł się, że będzie mu towarzyszył. Twoja żona pojechała za nimi i przyłączyła się do królowej. Czy ja też mam zostać ukarany, don Rodrigo?

Obaj mówili zimnym tonem. Stojąc w ciemności, na przenikliwym wietrze, Alvar miał wrażenie, że słucha pierwszych zdań rozmowy, która od dawna czekała na przeprowadzenie.

– Jeszcze nie wiem – rzekł bezbarwnym tonem Rodrigo Belmonte. Alvar zamrugał. Komendant mówił do swego namaszczonego monarchy. – Co się stało w Carcazji? Lepiej mi o tym powiedz.

– Zamierzałem. Almalik II posłużył się szpiegiem na dworze mojego brata w Ruendzie, usiłując zabić królową. Jego plan był subtelny i niemal się powiódł. Gdyby królowa umarła, a ja obwiniłbym za to Sanczeza, rozbiłoby to jakikolwiek sojusz i wywołało między nami wojnę. Niemal wyprawilem się na Ruendę. Zrobiłbym to, gdyby umarła.

– Ale?

– Ten lekarz, d’Inigo – który pomagał dziś przy twoim chłopcu – uratował królową, chociaż jej lekarze nie umieli tego dokonać. Z charakteru rany wywnioskował, że strzała była zatruta, i sporządził odpowiedni lek.

– A zatem wiele mu zawdzięczamy – rzekł Rodrigo.

– Owszem. Powiedział, że dowiedział się o tej truciznie z pism pewnego kindathijskiego lekarza z Fezany.

Kolejna chwila milczenia. Alvar zobaczył, jak zachodnie niebo przecina spadająca gwiazda. Narodziny, śmierć. Jedno albo drugie w ludowych opowieściach w domu. Był daleko od domu.

– Rozumiem. Zamierzałem cię prosić – rzekł Rodrigo – żebyś bez względu na przyszłe wydarzenia zapewnił pomyślność don Iszakowi i jego rodzinie.

– Nie musisz prosić – odparł król. – Zgoda. Ze względu na królową i twego syna. Bez względu na przyszłe wydarzenia.

Alvar ujrzał w księżycowym blasku, że Rodrigo pochyla głowę. Przed tarczą białego księżyca przesunęła się chmura, pogłębiając ciemność.

– d’Inigo powiedział mi coś jeszcze – dodał cicho król. – Powiedział, że zastosowana trucizna jest znana tylko w Al-Rassanie. Ruendanie nie mogli mieć do niej łatwego dostępu ani o niej wiedzieć.

– Rozumiem. – Ton Rodriga się zmienił. – Napisałeś do swojego brata w Ruendzie?

– Tak. Powiedziałem mu, czego się dowiedzieliśmy. Uciekł ze spotkania, bojąc się, że moglibyśmy ich zaatakować. Jak powiedziałem, niemal do tego doszło, don Rodrigo. Gdyby królowa umarła...

– Sądzę, że potrafię to zrozumieć, panie.

– Sanczez odpisał. Zdemaskowali cartadzkiego szpiega, a w jego domu znaleźli strzały z tą samą trucizną. Mój brat był wdzięczny.

– Oczywiście. Tak jak potrafi – rzekł oschle Rodrigo.

– Jego wdzięczność posunęła się dość daleko. Zgodził się wyprawić na południe w tym

samym czasie, co ja. W tej chwili zmierza do Salos.

To była nowina. Alvar widział, jak Rodrigo ją analizuje.

– A Dżalonia? – zapytał cicho. – Twój wuj?

– Zdąża ku Ragosie i Fibazowi. Zaczęło się. Duchowni jednak mają swoją świętą wojnę, don Rodrigo.

Rodrigo pokręcił głową.

– Raczej trzy wojny zaborcze.

– Oczywiście. – Teraz król mówił cierpkim tonem. – Ale jadą z nami duchowni, i to dzięki nim wierzę mojemu wujowi i bratu, że nie zawrócą i nie zaatakują Valledo.

– I to dzięki nim został tu sprowadzony mój syn?

– Został wezwany, ponieważ w gniewie pozwoliłem, by sprowadzono do mnie proponowaną mi broń.

– On jest dzieckiem, a nie bronią, panie.

– Jest i jednym, i drugim, don Rodrigo. Z całym szacunkiem. A nasz kraj prowadzi wojnę. Ile miałeś lat, kiedy po raz pierwszy wyruszyłeś z wojskiem mojego ojca u boku Raimunda?

Żadnej odpowiedzi. Wiatr w wysokiej trawie.

– Oto moja opowieść. Czy nadal uważasz, że mam ponieść karę? – zapytał cicho król Ramiro. – Mam nadzieję, że nie. Potrzebuję cię, don Rodrigo. Valledo nie ma konetabla, nie ma przywódcy wojennego, a znajdujemy się w Al-Rassanie.

Alvar wciągnął ze świstem powietrze. Żaden z rozmówców nawet na niego nie zerknął. Zupełnie jakby go tu z nimi nie było.

– Wspomniałeś imię – rzekł Rodrigo głosem zniżonym nagle do szeptu – swego zmarłego brata.

Alvar nagle zadrżał. Był bardzo zmęczony, nocny wiatr robił się coraz zimniejszy, a on sam zaczynał odczuwać swoje rany, lecz to nie one wywołały dreszcz.

– Zawsze myślałem – stwierdził król Ramiro – że w końcu będziemy musieli do tego dojść.

Przerwał i po chwili Alvar zdał sobie sprawę, że król patrzy na niego szacującym wzrokiem. Zrozumiał, że to dlatego Komendant chciał go mieć przy sobie.

W końcu król się odezwał zupełnie innym tonem.

– Prawdziwie go kochałeś, prawda? Nie potrafiłem... nigdy nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego wszyscy tak bardzo kochają Raimunda. Nawet nasz ojciec. Najwyraźniej. Nawet jego uwiódł mój brat. Dostał Valledo. Powiedz mi, don Rodrigo, odpowiedz tym razem na moje pytanie: naprawdę sądzisz, że gdyby Raimundo żył, byłby lepszym królem ode mnie?

– To nie ma znaczenia – odparł Rodrigo tym samym sztywnym, zduszonym szeptem.

– Ma. Odpowiedz.

Milczenie. Wiatr i szybkie chmury na niebie. Alvar usłyszał wołanie jakiegoś zwierzęcia

daleko na równinie. Spojrzał na Komendanta. Boi się, pomyślał.

– Nie mogę odpowiedzieć na to pytanie – rzekł Rodrigo. – Umarł zbyt młodo. Nie wiemy, na kogo by wyrósł. Wiem, co chcesz ode mnie usłyszeć. Że miał więcej uroku niż siły. Że był samolubny, lekkomyślny, a nawet okrutny. Był. Ale, jak Dżad osądzi moje życie, kiedy dobiegnie ono końca, znam tylko jednego innego człowieka, który choć trochę się zbliżył do uczynienia... życia tak bogatym i zachwycającym. Jesteś dalekowzrocznym i silnym królem, panie. Chętnie to przyznaję. Ale owszem, kochałem twego brata. Byliśmy młodzi – zostaliśmy razem wygnani i razem wróciliśmy tryumfalnie do domu – i zawsze uważałem, że został zamordowany.

– Został – rzekł król Ramiro.

Alvar przełknął z trudem ślinę.

Rodrigo uniósł mimowolnie dłoń i dotknął nią czoła. Stał tak przez chwilę, po czym opuścił rękę.

– A kto go zabił?

Na tym pytaniu głos mu się załamał.

– Garcia de Rada – odparł król bezbarwnym tonem. – Zawsze tak myślałeś, prawda?

Wtedy Alvarowi przypomniał się pewien obraz. Blask pochodni. Ta sama osada. Strzelający bicz Rodriga, rozcięty policzek Garcii de Rady. Lain Nunez usiłujący uspokoić rozwścieczonego Komendanta. Zimne, zawzięte słowa – oskarżenie o zamordowanie króla.

Usłyszał, jak Rodrigo powoli wypuszcza powietrze z płuc. Nie widział wyraźnie jego twarzy, ale zobaczył, że Komendant krzyżuje ramiona na piersi, jakby coś mocno przytrzymał.

– Garcia miał wtedy – ile? – siedemnaście, osiemnaście lat? – powiedział. – Działał z rozkazu brata?

Ramiro się zawahał.

– Mówię prawdę, don Rodrigo, uwierz mi. Nie wiem. Nawet dzisiaj, kiedy Gonzalez nie żyje, nie wiem tego na pewno. Zawsze uważałem, że Garcia działał samodzielnie. Sądzę, że hrabia Gonzalez jest niewinny krwi mojego brata.

– Obawiam się, że nie podzielam tego przekonania. Czy osiemnastolatek zabiłby z własnej woli swego króla?

– Nie wiem – powtórzył król Ramiro. Po chwili dodał: – Powinienem zwrócić twoją uwagę na fakt, że Gonzalez de Rada poniósł dzisiaj straszliwą śmierć, ponieważ od czasu, gdy twoi chłopcy przyłączyli się do armii, nie odstępował Diega na krok.

Rodrigo był nieporuszony.

– W zeszłym roku złożył mi przysięgę. Cenił honor swojej rodziny.

– Czy zatem zamordowałby swego króla?

– Cenił wiele innych rzeczy, panie. Między innymi władzę i bogactwo. On też był wtedy

młodszy. Mógł to zrobić, owszem. Myślałem, że mi to powiesz.

– Powiedziałem ci, co o tym sądzę.

– Owszem. A to pozostawia nam tylko ostatnie pytanie, prawda? Wiesz, co to za pytanie.

Teraz Alvar też już wiedział. „Ostatnie pytanie”. Co następuje po ostatnim pytaniu? Chciał się znaleźć gdzie indziej.

– Nie kochałem Raimunda – powiedział cicho król. – Ani Sanczeza, skoro już o tym mówimy. Oni mnie też nie kochali. Dżad jeden wie, że nie była to żadna tajemnica. Nasz ojciec postanowił wychować swoich trzech synów w określony sposób. Ja jednak wiedziałem, że mogę zrobić więcej dla Valledo, a może pewnego dnia dla Esperanii, niż którykolwiek z moich braci. Wiedziałem to. Nie zaprzeczę, że podczas mojego wygnania tu, w Al-Rassanie, kiedy przybywali na południe ludzie, by ze mną rozmawiać, wyrażałem gniew, że po śmierci naszego ojca Valledo zapewne dostanie się Raimundowi. I tak się oczywiście stało.

Król przerwał. Alvar znów usłyszał w dali wołanie zwierzęcia.

– Jest... bardzo możliwe... że ktoś słuchający mnie tu w jakiejś gospodzie czy winiarni mógł dojść do wniosku, że gdyby Raimundo umarł... nieoczekiwanie, nie byłbym niezadowolony – powiedział król Ramiro.

Chmury odsłoniły biały księżyc. Alvar zobaczył w podwójnym blasku, że król patrzy na Rodriga.

– Nie byłbym niezadowolony. Jak się okazało, nie byłem. Nie zamierzam kłamać w tej sprawie. Ale przysięgam przed Dżadem oraz na życie mojej królowej i na wszystko, na co chciałbyś, żebym przysięgł, że nie rozkazałem go zamordować ani nie wiem, jak doszło do tego morderstwa.

– A zatem skąd wiesz, że to był Garcia? – zapytał nieprzejednany Rodrigo.

– Powiedział mi. Chciał powiedzieć mi więcej. Nie pozwoliłem mu.

Rodrigo zacisnął dłonie w pięści.

– I zrobiłeś tylko tyle? Nie pozwoliłeś mu powiedzieć? Mam w to uwierzyć? Żadnej kary, żadnego ujawnienia? Za zabójstwo króla? Mianowałeś jego brata konetabłem Valledo. Pozwoliłeś Garcii żyć, jak chciał, robić przez te wszystkie lata, co chciał, aż o mało nie zabił mojej żony i moich chłopców?

– Tak – odparł cicho Ramiro. – Pozwoliłem mu prowadzić własne życie. Gonzalez de Rada został konetabłem, ponieważ był godzien tego stanowiska – nie zaprzeczaj – i ponieważ po śmierci Raimunda ty nie chciałbyś mi służyć.

– Po tym, jak został zamordowany!

Król wzruszył ramionami, wykonując przy tym drobny gest dłońmi.

– Po tym, jak został zamordowany. Garcia nigdy nie otrzymał żadnej szarży, pozycji, urzędu, władzy... Żadnej z tych rzeczy. Mógłbyś się nad tym chwilę zastanowić, biorąc pod uwagę, czego

mógł się spodziewać po swoim urodzeniu. Szczerze mówiąc, myślałem, czyby nie kazać go zgładzić, bo stanowił ryzyko i powód zakłopotania, a poza tym go nie znosiłem. Ale... miałem świadomość, że zamordował Raimunda, ponieważ sądził, że to pochwałę i ponieważ miał... dość powodów, by tak sądzić. Nikogo bym za to nie zabił. Tak, pozwoliłem mu żyć. Dochowałem tajemnicy. Pozwoliłem, by Gonzalez służył mnie i Valledo. Z honorem. Byłeś człowiekiem mego brata. Nie chciałem błagać cię o pomoc czy aprobatę, don Rodrigo, ani kiedy wstępowałem na tron, ani później. Nie zrobię tego teraz. Myślę, że byłeś jednym z tych, którzy nie widzieli, jaki naprawdę był Raimundo, i że wtedy usprawiedliwiła cię twoja młodość.

Alvar usłyszał zmianę w głosie króla.

– Teraz nie stanowi już usprawiedliwienia. Nie jesteśmy już młodzi, Rodrigo Belmonte, a wszystkie te wydarzenia są już przeszłością. I chociaż nie będę błagał, poproszę. Powiedziałem ci prawdę. To wszystko jest prawdą. Zostaniesz moim konetabłem? Będziesz dowodzić dla mnie moją armią?

Alvar już dawno temu zauważył, że Rodrigo Belmonte potrafi całkowicie i niepokojąco zniechęcić. Zrobił to teraz.

– Nie sądzę – mruknął w końcu – że przeszłość nie ma na nas wpływu. – Po chwili zapytał mocniejszym głosem: – Dowodzić armią w jakim celu, panie?

– Aby zająć Fezanę. I Cartadę. I Silvenes. Lonzę. Aldzais. Elvirę. Wszystko, co zdołam.

Odpowiedź była stanowcza. Alvar przekonał się, że znów drży.

– A potem?

– A potem – rzekł król Ramiro równie otwarcie – zamierzam okupować królestwo mojego wuja. A potem mojego brata. Jak powiedziałeś, ta kampania jest świętą wojną jedynie z nazwy. Chcę odzyskać Esperanię, don Rodrigo, i to nie tylko ziemię, którą rządził mój ojciec z łaski kalifów. Chcę całego półwyspu. Zamierzam przed śmiercią wjechać na koniu do mórz na południu, zachodzie i północy, i wysoko w góry, by spojrzeć w dół na Ferrieres – ze świadomością, że wszystkie ziemie, przez które przejechałem, to Esperania.

– A potem?

– A potem – odparł król Ramiro ciszej, niemal z rozbawieniem – prawdopodobnie odpocznę. I spróbuję poniewczasie pogodzić się z Dżadem za moje wszelkie grzechy popełnione pod jego światłem.

Alvar de Pellino, który przez cały długi rok oraz straszliwy dzień i noc z trudem zyskiwał nową świadomość, zdał sobie sprawę, że jest tym niewymownie, szaleńczo poruszony. Mrowiła go skóra, wstały mu włoski na karku.

To przez czystą wspaniałość tej wizji. Utracona i pokonana Esperania znów zjednoczona, jedno dzadyckie królestwo na całym szerokim półwyspie z Valledo i jego Jeźdźcami w jej sercu. Alvar pragnął być częścią tej wizji, ujrzeć jej ziszczenie, samemu wjechać konno do tych

oceanów i w te góry ze swoim królem. Jednakże, mimo że jego serce usłyszało wezwanie do chwały, Alvar miał świadomość rzezi ściśle związanej z marzeniem króla i unoszącej się nad nim jak żywiące się padliną ptaki, gromadzące się nad polami bitew.

– Czy kiedykolwiek się z tym pogodzę? – pomyślał z ukłuciem rozpacz.

Wtedy usłyszał bardzo spokojny głos Rodriga Belmontego:

– Mogłeś mi powiedzieć o Garcii dawno temu, panie. Chybabym ci uwierzył. Teraz ci wierzę. Skoro mnie chcesz, należę do ciebie.

Z tymi słowami ukląkł przed królem, składając dłonie jak do modlitwy. Ramiro spojrzał na niego i przez chwilę nic nie mówił.

– Nie uwierzyłyś – rzekł. – Zawsze byś wątpił. Obu nam musiało przybyć lat, żebym ja to powiedział, a ty to usłyszał. Zastanawiam się, czy twój młody żołnierz jest w stanie to zrozumieć.

Alvar poczerwieniał w ciemności.

– Zdziwiłyś się, panie – stwierdził Komendant. – Jest kimś więcej niż żołnierzem, chociaż później ci opowiem, co zrobił tego wieczoru w Fezanie. Jeśli mam być twoim konetabłem, mam pierwszą prośbę: chciałbym, żeby Alvar de Pellino został mianowany moim heroldem, by dzierżył łaskę Valledo i zaniósł nasze słowa Zrodzonym z Gwiazd.

– To zaszczyt – stwierdził król. – On jest bardzo młody. To także niebezpieczne stanowisko w tej wojnie. – Machnął ręką w stronę znajdującej się za nimi osady. – Być może aszaryci nie będą się stosować do praw heroldów i ich kodeksów. Rodrigo pokręcił głową.

– Będą. Tyle wiem. Cenią sobie własny honor tak samo, jak my swój. Nawet Muwardyjczycy. W pewien sposób szczególnie Muwardyjczycy. A Alvar dobrze się spisze.

Ramiro spojrzał na niego taksująco.

– Pragniesz tego? – zapytał. – Jest w tym mniej chwały, niż mógłby jej znaleźć w bitwie odważny młodzieniec.

Alvar ukląkł obok Rodriga Belmontego i uniósł połączone dłonie.

– Pragnę tego – odparł, odkrywając, że mówi prawdę; że pragnie właśnie tego. – Ja też zaprzysięgnę ci wierność, jeśli zechcesz mnie przyjąć, panie.

Król objął dłonie Rodriga, a potem w taki sam sposób dotknął Alvara.

– Zaczniemy odzyskiwać naszą utraconą ziemię – powiedział.

Przez chwilę sprawiał wrażenie, jakby chciał powiedzieć coś więcej. Wstali i ruszyli z powrotem do Orvilli. Lecz Alvar, nie potrafiąc powstrzymać tej myśli – nawet teraz – zadał sobie pytanie: A czyja ziemia zostanie zniszczona i utracona w trakcie tego odzyskiwania?

Znał odpowiedź. Nie było to prawdziwe pytanie. U nowo mianowanego królewskiego herolda Valledo starły się w walce o dominację duma i przejmujący niepokój.

A potem, zbliżając się do osady, zobaczył Dżehanę. Czekwała na nich przy północnej bramie z Ammarem ibn Khairanem u boku. I patrząc w zmieszonym blasku księżyców na jej drobną,

wyprostowaną postać, Alvar poczuł, jak wraca do niego miłość, zaprawiona wśród broni i przelanej krwi kroplą goryczy.

Zobaczyła, że klękają obaj: najpierw Rodrigo, a potem Alvar.

– Zostaje mianowany konetablen – odezwał się cicho obok niej Ammar. A kiedy poderwała ku niemu wzrok, dodał: – Tak jest najlepiej dla nich obu, Rodriga i króla. Powinien być konetablen przez te wszystkie lata.

Ujęła go za rękę. Za nimi unosił się dym, choć większość pożarów ugaszono. Husari był przy jej rodzicach i dwojgu dzieciach, które uratowali z Dzielnicy Kindathów. Przyszła też do nich królowa Valledo.

Powiedziała, że Iszak i jego rodzina są jej gośćmi i mogą nimi zostać, jak długo zechcą. Zachowywała się uprzejmie i wyrażała poprawnie, lecz było oczywiste – przynajmniej dla Dzehany – że królowa Ines nigdy przedtem nie spotkała żadnego Kindatha ani z żadnym nie rozmawiała, nie bardzo więc wie, jak sobie z tym poradzić.

Być może Dzehany nie powinno to niepokoić, ale tej nocy niepokoiło. Niemal chciała zapytać Ines z Valledo, czy są tu gdzieś w pobliżu jakieś pulchne niemowlęta, by mogła przyrządzić typowe kindathijskie śniadanie, ale tego wieczoru zginęło zbyt wiele dzieci, a Dzehana nie miała już sił na prawdziwy gniew. Była bardzo zmęczona.

Domyślała się, że do tej uprzejmości przyczynił się Bernart d’Inigo, medyk z fortów w *tagrze*. Zdaje się, że dzięki wiedzy zyskanej z pism Iszaka uratował życie królowej. Wyznał Dzehanie, że nauczył się aszaryckiego i kindathijskiego przed wielu laty. Nie dało się zaprzeczyć, że ten chudy człowiek o smutnej twarzy jest dobrym lekarzem.

A dlaczego nie miałby nim być? – zapytała się w duchu Dzehana. Skoro zadał sobie trud uczenia się od nas...

Nie była to szczególnie sprawiedliwa myśl, lecz tej nocy Dzehana kładła niewielki nacisk na sprawiedliwość. D’Inigo zgłosił się do wzięcia pierwszej zmiany przy synu Rodriga. Razem z nim czuwali matka Diega i jego brat. Dzehana nie była potrzebna. Garstką ludzi, którzy przeżyli atak, zajmowali się valledańscy lekarze. Tylko garstką; reszta nie żyła, straszliwie zmasakrowana.

„Oni pochodzą z pustyni”, przypomniała sobie Dzehana, widząc porąbane trupy, czując zapach zwęglonego ludzkiego ciała. Słowa te wypowiedział dawno temu jej ojciec. „Gdybyś zrozumiała Zrodzonych z Gwiazd Aszara...”.

– Kim są moi wrogowie? – zapytała, rozglądając się po osadzie.

Jej głos musiał zdradzać możliwość utraty panowania nad sobą. Ammar bez słowa objął ją ramieniem i odprowadził. Obeszli całą Orville, ale Dzehana, która nie potrafiła się uspokoić, wciąż oglądała się na dogasające pożary i je wspominała.

„Kim są moi wrogowie?”. Mieszkańcy Fezany? Muwardyjczycy? Żołnierze świętej dżadyckiej armii, która przetoczyła się przez Sorenikę? Valledanie, którzy zeszłego lata spalili tę osadę? Chciało jej się płakać, ale bała się sobie na to pozwolić.

Ammar miał rozcięte ramię; zbadła ranę przy świetle pochodni i okazało się, że to nic poważnego. Mówił, że czuje się dobrze, ale Dżehana musiała ją obejrzeć. Zaprowadziła go nad rzekę, oczyściła rozcięcie i je zabandażowała. Coś do zrobienia. Uklękła, zanurzyła w zimnej wodzie kawałek szmatki i umyła sobie twarz, patrząc na pofałdowane odbicie księżycowego światła w Tavares. Odetchnęła głęboko nocnym powietrzem.

Jeszcze raz okrążyli palisadę, kierując się na północ. Zobaczyli wtedy wśród traw króla Ramira z Rodrigiem i Alvarem, a za nimi ciemną, szeroką pustkę. W pewnej chwili Dżehana zauważyła, że Rodrigo ciasno krzyżuje ramiona na piersi. Było bardzo późno. Wiał nocny wiatr.

„Nieważne, w którą stronę wieje wiatr”.

A potem zobaczyli, jak Rodrigo i Alvar klękają na chwilę przed królem.

– Kim są moi wrogowie? – zapytała w końcu Dżehana.

– Mam nadzieję, że moimi wrogami – rzekł Ammar.

– A są nimi...?

– Wkrótce się tego dowiemy, miłości moja. Obserwuj i słuchaj. Prawdopodobnie niedługo otrzymam hojną propozycję.

Jego głos był teraz chłodny, ale Dżehana wiedziała, że w ten sposób Ammar się broni. Może bardziej niż ktokolwiek na świecie wyczuwała, co związało, choć to bardzo nieprawdopodobne, Ammara ibn Khairana i Rodriga Belmontego.

Dżehana uświadomiła sobie, że spodziewa się rozstań: tej nocy zawisły nad nimi pożegnania. I między innymi z tego powodu chciało jej się płakać.

Czekali przy bramie. Trzej mężczyźni podeszli do nich, brodząc w ciemnej trawie. Zobaczyła, że Alvar też jest ranny. Miał na ramieniu krew. Bez słowa zaczęła ostrożnie rozdzierać mu luźną koszulę, by odsłonić rozcięcie. Spojrzał na nią, a potem odwrócił wzrok, spokojnie poddając się badaniu.

– Ammarze. Miałem nadzieję, że cię odnajdę – powiedział cicho Rodrigo. – Masz chwilkę na rozmowę?

Mówił po esperańsku.

– Z tobą zawsze – odparł poważnie ibn Khairan w tym samym języku.

– Król Valledo uczynił mi zaszczyt i poprosił, bym został jego konetablem.

Dżehana spojrzała na niego. Ammar skłonił głowę.

– Jest równie zaszczycony, jeśli się zgodziłeś.

– Zgodziłem się.

Ammar uśmiechnął się blado.

- Badir z Ragosy będzie zrozpaczony.
- Zapewne. Niestety, zamierzam dać mu jeszcze większy powód do żalu.
- Jakże to?

Džehana pomyślała, że ta oficjalność skrywająca rzeczy, które leżą głębiej, niż mogą dotrzeć słowa, jest jak taniec. Stała obok młodego Alvara, słuchając, i przestała nawet udawać, że bada jego ramię. I tak było tu za ciemno.

– Sądzę, że dysponuję wystarczającą władzą, by złożyć ci propozycję w imieniu króla Valledo.

Ammar miał rację, pomyślała Džehana. Skąd wiedział? Nie było na to odpowiedzi oprócz tego, że należało pamiętać, kim i czym jest. Kim obaj są. W wietrze wiejącym z północy czuła, jak coś szybko zmierza ku końcowi.

– Propozycje zawsze mnie interesują – rzekł Ammar. – A twoje zawsze były intrygujące.

Rodrigo się zawahał, dobierając słowa.

– Kiedy my tu stoimy, król Sanchez z Ruendy zmierza ku Salos, a wojska Dżalonii zbliżają się do Ragosy.

– Ach! Dżalonia wyruszyła! Królowa Fruela przybywa z zemstą za swego zabitego dowódcę?

Na te słowa królowi Ramirowi drgnął kącik ust.

– Coś w tym rodzaju – powiedział bez uśmiechu Rodrigo. – Przez te wszystkie lata zabito wielu dowódców.

– To prawda, niestety. „Wojna jak zdziczały pies żywi się sercami odważnych ludzi”.

– Znam to – odezwał się nagle król Valledo. – Napisał to Ammar ibn Khairan z Aldzais.

Ammar odwrócił się do niego i Džehana spostrzegła, że jest zaskoczony, mimo że bardzo starał się to ukryć.

– Do usług, panie. Po aszarycku ma to lepszy rytm.

Tym razem król zdradził oznaki zaskoczenia. Spojrzał ostro na Rodriga, a potem znów na Ammara.

– Nie miałem... to ty jesteś...?

Znów odwrócił się do Rodriga, zmarszczywszy brwi.

– W zeszłym roku znaleźliśmy się w tym samym czasie na wygnaniu w Ragosie – powiedział spokojnie Rodrigo. – Od tamtej pory jesteśmy towarzyszami. Przyjechał tu mimo wyroku śmierci ciężącego na nim na ziemiach Cartady, by wydostać z Fezany Iszaka ben Jonannona i jego żonę. Stojąca tu Džehana bet Iszak jest lekarką mojego oddziału. Gdyby Muwardyjczycy się dowiedzieli, że ibn Khairan jest w mieście, zabiliby go.

– Powiedziałbym, że nie ma między wami miłości – mruknął król Ramiro. Był wysokim, przystojnym mężczyzną. Rozpoznał także wers z wiersza napisanego przez Ammara. – A między

nami? – zapytał.

– Usiłuję się tego dowiedzieć – rzekł Rodrigo. – Ammarze, zawsze sądziliśmy, że jeśli ta armia oraz dwie pozostałe wyruszą na południe, Jazir ibn Q’arif prawdopodobnie znajdzie się na półwyspie przed końcem lata albo następczej wiosny. Al-Rassan taki, jaki jest, dobiega końca.

– Takie jest moje smutne przekonanie. – Dżehana usłyszała ciche słowa ukochanego mężczyzny. – Powiedz mi, kto będzie w przyszłości pamiętał ogrody Al-Fontiny? Albo kość słoniową w świętych przybytkach Ragosy?

– Nie znam na to odpowiedzi – odparł Rodrigo. – Może ty pomożesz pamiętać nam wszystkim, nie wiem. Mam pilniejsze troski. Król poinformował mnie, że ma to być valledańska kampania zdobywcza, a nie święta wojna, chociaż są z nami duchowni i mogłoby się wydawać, że jest inaczej.

– O, to dobrze! – powiedział Ammar zbyt radosnym tonem. – Czy to oznacza, że do wtóru peanów na cześć Dżada, śpiewanych przez duchownych, zostaną rozkrzyżowani na belkach albo spaleni żywcem tylko ci, którzy się wam przeciwstawiają?

– Coś w tym rodzaju – stwierdził spokojnie Rodrigo.

– Almalik z Cartady – przerwał cicho król Ramiro – jest już martwy za to, co próbował zrobić królowej. A Muwardyjczycy, kiedy ich znajdziemy, nie spotkają się z mojej strony z życzliwością. Nie po dzisiejszej nocy. Nie marzę jednak o rzezi, ani dla niej samej, ani po to, by zadowolić duchownych.

– Ach – powiedział Ammar swoim najbardziej sardonycznym tonem – łagodny podbój, jeźdźcy Dżada machający po drodze do szczęśliwych aszaryckich rolników. A co zrobisz, by utrzymać zadowolenie wśród swoich odważnych żołnierzy? Usieczesz kilku przypadkowych Kindathów? Nikomu ich nie będzie brakować, prawda?

Rodrigo nie dał się sprowokować.

– To jest wojna, Ammarze. Żaden z nas nie jest dzieckiem. Tu wciąż chodzi o Aszara i Dżada, i na pewno dojdzie do paskudnych czynów. Po kilkuset latach i przy tej drugiej armii płynącej do Soriyyi dojdzie do czegoś gorszego niż paskudne czyny.

– Zastanawiam się, co jest od nich gorsze?

– Nie mówisz poważnie – stwierdził Rodrigo. – Mam jednak częściową odpowiedź na twoje pytanie. Gorsze jest to, kiedy ta odrobina przestrzeni, którą mają ludzie na poruszanie się między światami, znika, ponieważ światy ogarnia nienawiść. To może się jeszcze nam przytrafić. – Zawahał się. – Zapewne tak się stanie, Ammarze. Nie mam co do tego większych złudzeń niż ty. Tam, gdzie przeciągnie ta armia, nie będzie szczęśliwych rolników. Podbijemy te ziemie, jeśli nam się uda, i zrobimy to, co będziemy musieli zrobić, a potem będziemy się starać tu rządzić, tak jak kalifowie i władcy miast rządzą dzadytami i Kindathami wśród was.

– Jakie to... pragmatyczne z waszej strony – rzekł Ammar z lodowatym uśmiechem.

Dzehana zobaczyła, że jest zły i że nie próbuje tego ukryć. Rodrigo też to spostrzegł.

– Czy jesteśmy właściwym celem twoich obecnych uczuć? – zapytał.

– Z braku czegoś lepszego wystarczającym.

– Co chciałbyś, żebyśmy zrobił?! – zawołał nagle Rodrigo.

Dzehana miała wrażenie, jak kiedyś w Ragosie, że dla tych dwóch mężczyzn, wpatrujących się w siebie nieruchomym wzrokiem, w tej chwili nie istnieje nikt inny na świecie.

Chwila nadeszła, na krótko się zatrzymała, i odeszła. Dzehana czuła się, jakby to niemal widziała: coś się od tych dwóch oddaliło w ciemność, szybciej niż mógłby pobiec jakikolwiek koń.

– Co chciałbym, żebyś zrobił? – głos Ammara zmiękł. Mówił teraz po aszarycku. – Chyba to, czego nie możesz zrobić. Żebyś wrócił do domu. Hodował konie, wychowywał synów, kochał żonę. – Zwrócił się do króla Valledo: – Stwórz ze swego kraju – z całej Esperanii, jeśli zdołasz ją zjednoczyć – ziemię, która rozumie coś więcej niż tylko wojnę i słuszną pobożność. Znajdź w waszym życiu miejsce na coś więcej niż pieśni bojowe dodające ducha żołnierzom. Naucz swój lud... rozumieć ogród, powód istnienia fontanny, muzyki.

Wiał wiatr. Ibn Khairan pokręcił głową.

– Wybacz mi. Jestem nadzwyczaj niemądry. Jestem zmęczony i wiem, że ty też. Wieści, które przynosisz, nie są niespodziewane, lecz oznaczają śmierć czegoś, co... uważam za drogie memu sercu.

– Wiem. – Głos Rodriga był niewzruszony. – Chciałbym, żebyś pomógł utrzymać przy życiu jakąś część Al-Rassanu. Powiedziałem, że mam propozycję. Jeśli król nie jest temu przeciwny, chcę ci zaproponować pewne stanowiska w Al-Rassanie, a w końcu urząd konetabla Valledo, dzielony ze mną.

Dzehana usłyszała westchnienie Alvara de Pellino i zobaczyła, że król gwałtownie drgnął. Rodrigo właśnie zaproponował podzielenie własnego stanowiska i oddanie jego połowy aszarycie.

Ammar roześmiał się cicho. Spojrzał na króla, a potem znów na Rodriga.

– Lubisz zaskakiwać ludzi, prawda? Myślałem, że to moja przywara.

I znów Rodrigo się nie uśmiechnął.

– Wydaje mi się to dość proste. Nie mamy wystarczająco dużo ludzi, by zająć i zasiedlić Al-Rassan. Zrodzeni z Gwiazd – oraz Kindathowie – są nam potrzebni do uprawy ziemi, prowadzenia swoich warsztatów, płacenia podatków... może kiedyś staną się oni dzadymi w taki sam sposób, jak nasi pobratymcy zwrócili się tu na przestrzeni wieków do Aszara. Jeśli ta kampania zakończy się sukcesem, to staniemy się bardzo nielicznym narodem na rozległej ziemi. Do zapewnienia spokoju wśród synów i córek Aszara i dobrego nimi rządzenia będziemy potrzebować ludzi ich własnej wiary. Z biegiem czasu będziemy ich potrzebować coraz więcej,

lecz w tej chwili jest tylko jeden człowiek, któremu zawierzyłbym tyle władzy i dążenie do tej równowagi, i jesteś nim ty. Pomożesz nam rządzić Al-Rassanem? Tą jego częścią, która znajdzie się pod naszą kontrolą?

Ammar ponownie zwrócił się do króla:

– Kiedy chce, potrafi być przekonujący, prawda? Przekonał ciebie? – W jego głosie znów pojawiła się ostra nuta ironii. – Czy w twoich uszach brzmi to „dość prosto”?

Konie odbiegały w noc. Ich obraz był dla Dzehany tak wyraźny, że niemal je widziała: grzywy rozwiane w galopie pod księżycami i chmurami pędzącymi po niebie.

– Zaskoczył mnie – przyznał ostrożnie król Ramiro. – Chociaż nie bardziej, niż zaskoczyło mnie odkrycie twojej obecności w moim obozie. Ale tak, don Rodrigo mówi o prostych prawdach i mam nadzieję, że dostrzegam je jak każdy inny człowiek. Jeśli o mnie chodzi, to ja też wolę pałac albo kaplicę, która nie tylko chroni przed wiatrem i deszczem, ale i jest piękna. Wiem, czym jest Al-Rassan. Czytałem wiersze twoje oraz innych tamtejszych poetów. Są wśród nas tacy, którzy być może mają nadzieję na zostawianie na naszym szlaku płonących stosów. Wolałbym zawieść ich oczekiwania.

– A twój brat? I wuj?

Usta króla Ramira znów drgnęły.

– Wolałbym – mruknął – zawieść także ich oczekiwania.

Ammar się roześmiał. I znowu Rodrigo się nie uśmiechnął. Dzehana pojęła, że, zamknięty w sobie, czeka na odpowiedź na swoje pytanie. I bardzo jej pragnie. Pomyślała, że to też pojmuje. Tej nocy niemal umarł jego syn. Jeszcze może umrzeć. Rodrigo Belmonte nie chciał teraz znosić jeszcze jednej straty.

Ammar zamilkł i nieoczekiwanie spojrział na Dzehanę. Wytrzymała jego wzrok, lecz w blasku księżyców trudno było wyczytać coś z ludzkich twarzy. Odwrócił się z powrotem do Rodriga.

– Nie mogę – stwierdził stanowczo.

Konie, które widziała w myślach Dzehana, zniknęły.

– Nadejdą Muwardyjczycy – rzekł szybko Rodrigo. – Wiesz o tym, Ammarze! Ragosa nie oprze się Dżalonii, skoro połowa jej najmniejszej armii to dżadyci. Kiedy pod murami pojawią się najwyżsi duchowni i zaczną mówić o świętej wojnie...

– Wiem o tym!

– A Fezana dostanie się nam. O tym też wiesz! Zanim skończy się lato.

– Znam to miasto – wtrącił spokojnie król Ramiro. – Byłem tu w młodości na wygnaniu. Obserwowałem pewne rzeczy. Jeśli obrona nie została znacznie zmieniona, to sądzę, że uda mi się zająć Fezanę, nawet przy jej nowym garnizonie.

– To możliwe.

– A potem Jazir i Ghalib pokonają cieśninę, by się z nami spotkać – ciągnął Rodrigo. – Al-Rassan będzie ich albo nasz, Ammarze. I na mojego, i na twojego boga, musisz to rozumieć! Cartada, Ragosa, twoje wspomnienie Silvenes... nie można ich uratować. Nawet tobie nie uda się ten taniec między pożarami. I na pewno, Ammarze, na pewno wiesz...

– Muszę spróbować.

– Co?

– Muszę spróbować, Rodrigo. Zatańczyć ten taniec.

Rodrigo zamilkł, ciężko oddychając, jak zbyt ostro ściągnięty koń.

– Twoja wiara tyle dla ciebie znaczy? – zapytał król Ramiro z namysłem. – Słyszałem o tobie inne opowieści. Tyle znaczy, że chcesz służyć zawołanym z pustyni, znając ich metody i wiedząc, co przyniosą twej ziemi?

– Moja wiara? Ja bym to ujął inaczej, panie. Powiedziałbym, że moja historia. Nie tylko Al-Rassan, ale Ammuz, Soriyya... Aszar na pustyni ziem ojczystych pod gwiazdami. Nasi mędrcy, nasi śpiewacy, kalifowie wschodniego świata. – Ammar wzruszył ramionami. – Muwardyjczycy? Są tego częścią. Każdy naród ma swoich fanatyków. Pojawiają się, zmieniają i znów wracają w innym przebraniu, wybac, że to mówię, ale jeśli król Valledo może być tak refleksyjny, jak ty, panie – potomek królowej Vaski błogosławionego imienia! – to czy mam zaprzeczyć możliwości zstąpienia podobnej łaski na zawołanego syna piasków? Może wśród kuszących fontann, rzek Al-Rassanu...?

– Wolałbyś być z nimi.

Dzehana usłyszała w głosie Rodriga gorycz.

Ammar spojrzał na niego.

– Jako moimi towarzyszami? Przyjaciółmi? Czy ja jestem szalony? Czy ja wyglądam na szalonego, Rodrigo? – Pokręcił głową. – Lecz jacy są Muwardyjczycy? Dokładnie tacy sami, jaka była królowa Vasca, i jaka nadal jest większość ludzi twojej północy. Przekonani o słuszności swego postępowania, pewni siebie, bezwzględni. Przerażeni wszystkim, co wykracza poza ich rozumienie świata. Plemiona są niecywilizowane? Tak sędzę. Wyznaję jednak, że niezbyt sobie cenię miasta Esperanii. Na pustyni trudno się żyje, trudniej nawet niż na twoich północnych ziemiach w zimie. Jeden Aszar wie, że nie jestem związany duchowo z zawołanymi, ale jeszcze mniej łączy mnie z tymi, którzy pielgrzymują na kolanach na Wyspę Vaski. Czy wolałbym być z członkami plemion? Powiem jeszcze raz, ujmij to nieco inaczej, a potem już tego nie roztrząsaj, Rodrigo, jako moich ostatnich słów, żebyśmy się nie pokłócili przed rozstaniem. Myślę, że jeśli Al-Rassan ma zostać utracony, to wolałbym przeganiać wielbłądy w Madżricie niż być pasterzem w Esperanii.

– Nie! To nie może być ostatnie słowo, Ammarze! – Rodrigo gwałtownie kręcił głową. – Jak mam ci pozwolić do nich odjechać? Wiesz, co ci zrobią?

Ammar znów się uśmiechnął, tym razem cierpko.

– Co zrobią? Odbiorą mi inkaust i papier? Na początek Almalik II niemal na pewno mianuje mnie kaidem wszystkich wojsk Cartady. Spodziewam się, że kiedyś dojdzie do sprzeczki między Ghalibem ibn Q'arifem i mną o dowództwo naszych połączonych sił, a ja grzecznie mu ustąpię. Mam informację z wiarygodnego źródła, że nosi na szyi rzemień spleciony z napletków tych, którzy mu nie ustępują. – Z jego twarzy zniknął uśmiech. – A potem naprawdę nie wiem. Może jednak dojdzie do przeganiania wielbłądów. Nie roztrząsaj tego, Rodrigo, proszę cię. – Przerwał. – Istnieje jednak kwestia Dzehany.

– Nie, nie istnieje...

W gruncie rzeczy spodziewała się tego i była przygotowana, że te słowa padną. Wszyscy czterej mężczyźni odwrócili się do niej.

– Ammarze, jeśli otrzymam zapewnienie, że moi rodzice pozostaną bezpieczni przy Rodrigu i królu, to obawiam się, że będziesz musiał pozwolić mi pojechać z tobą – albo cię zabiję, zanim opuścisz ten obóz.

Zobaczyła wtedy, jak Rodrigo Belmonte po raz pierwszy tej nocy się uśmiecha; rozpogodziła się.

– Ach. Zatem poznałaś moją żonę – powiedział.

Dzehana zwróciła się do niego.

– Tak. Pani Miranda jest tak uprzejma i piękna, jak słyszałam od innych. Czy w takich okolicznościach pozwoliłaby ci odjechać bez niej, don Rodrigo?

– To nie jest... – zaczął Ammar.

– To jest to samo. Na tyle, by nie sprawiało to różnicy – warknęła Dzehana.

Bała się, że ze zmęczenia znów zacznie płakać, a tego nie chciała.

– Cóż – odezwał się król Valledo – naprawdę z żalem włączam się do spraw serca, ale muszę się dowiedzieć, dlaczego powinienem pozwolić odjechać samozwańczemu przyszłemu ka'idowi moich wrogów.

Dzehana gwałtownie przełknęła ślinę. Serce zabiło jej mocno. Nawet o tym nie pomyślała.

– Musisz mu na to pozwolić – powiedział cicho Rodrigo.

Król Ramiro spojrzał na niego ostro i Dzehana spostrzegła, że trzyma gniew na wodzy. To, co przed chwilą usłyszała, przeraziło ją. Szczerze powiedziawszy, biorąc pod uwagę rozpoczętą wojnę, nie widziała powodu, dla którego miałby pozwolić im odjechać. Ammar otrzymał szansę, tę zdumiewającą propozycję, a teraz...

– Muszę? – zapytał Ramiro z Valledo. – Bardzo nie lubię tego słowa, don Rodrigo.

– Wybacz mi, panie – odparł spokojnie Rodrigo – ale mam – mamy – w armii Ragosy stu pięćdziesięciu ludzi. Są tam uwięzieni. Kiedy przyjdzie wiadomość, że wkroczyłeś do Al-Rassanu, że ja jestem z tobą i że król Dżalonii też wyprawił się na południe, sądzę, że Badir

z Ragosy otrzyma radę, by wyeliminować mój oddział, zanim zostanie wykorzystany przeciwko niemu.

Ammar przypatrywał się Rodrigowi.

– Sądzisz, że Masur zaproponuje coś takiego?

– Ben Avren albo któryś z pozostałych doradców – odparł Rodrigo. – Pamiętasz? Zeszłej jesieni? Badir uznał, że jesteś wart wymienionej przez ciebie ceny – ty sam jeden tyle samo, co ja i cały mój oddział. Wedle tej miary uczyni mniejszą rzecz, niszcząc moich ludzi, niż uczynilibyśmy my, zabijając ciebie.

– Bawisz się słowami. To nie jest prawdziwa miara, Rodrigo.

– A co nią jest? W czasie wojny? Oni są w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Muszę spróbować temu zaradzić. Jesteś dla mnie najlepszym... w tej chwili jedynym wyjściem. Cena twojej wolności jest taka: sprawisz, pod przysięgą i pod słowem honoru, że moi ludzie otrzymają pozwolenie opuszczenia tamtej armii i przybycia tutaj.

– A jeśli mi się to nie uda?

– Zgadzasz się wrócić, pod przysięgą i pod słowem honoru, i poddać się mojemu osądowi – odpowiedział król. Jego gniew minął. – Czy jest to prawdziwa miara, czy nie, jeśli król Badir przyjął taką wartość za twoje usługi, to ja też to zrobię.

To potworne, pomyślała Dzehana, potworne i w jakiś sposób nieuniknione, jakby niefrasobliwe przekomarżanie się na temat płacy dla najemników w tamten pogodny, jesienny dzień w Ragosie doprowadziło prosto do tej chwili na ciemnej równinie. Słyszała odgłosy dobiegające z obozu za nimi i świst wiatru.

– Zgoda – rzekł spokojnie Ammar.

– Możesz ich uwolnić i wrócić – dodał szybko Rodrigo.

Dzehana uświadomiła sobie, że to nie jest człowiek, który łatwo się poddaje, jeśli w ogóle się poddawał. I że schowa dumę do kieszeni.

W jego głosie było słycać błaganie.

Zauważyła, że Ammar też to usłyszał. Musiał usłyszeć. Ponownie spojrzeli na siebie, ale konie dawno już zniknęły w dali, rozproszone w zbyt rozległej, zbyt ciemnej nocy. Skończyło się.

– Wtedy w Ragosie nie chcieliśmy ze sobą walczyć – powiedział miękko Ammar.

– Pamiętam.

– Zaproponowali to jako rozrywkę. Świat jest teraz inny – stwierdził ibn Khairan z niezwykłą jak na siebie niezręcznością. – Głęboko żałuję, że muszę to powiedzieć. Bardziej niż potrafię wyrazić słowami. Rodrigo, mógłbym chcieć...

Przez chwilę się zastanawiał, a potem rozłożył ręce i zamilkł.

– Masz wybór – powiedział Rodrigo. – Tej nocy dokonujesz wyboru. Otrzymałeś od nas

propozycję.

Ammar pokręcił głową, a kiedy się odezwał, w jego głosie po raz pierwszy pojawiła się nuta rozpacz.

– To nie jest prawdziwy wybór. Nie w tej kwestii. Nie mogę się odwrócić plecami do tej ziemi w chwili, kiedy znalazła się w opałach. Nie rozumiesz? Rodrigo, akurat ty na pewno rozumiesz. – Usłyszeli jego cichy, dobrze znany, autoironiczny śmiech. – Jestem człowiekiem, który zabił ostatniego kalifa Al-Rassanu.

I, słysząc te słowa, Rodrigo Belmonte pochylił głowę, jakby miał przyjąć cios mieczem. Džehana zobaczyła, że Ammar unosi rękę, jakby chciał dotknąć Valledanina, ale ją opuścił.

Uświadomiła sobie, że stojący obok niej Alvar de Pellino szlocha. Będzie to później pamiętała i kochała go za to.

Jej rodzice i dwoje dzieci spali w namiotach udostępnionych przez królową. Džehana zajrzała do nich na chwilę, a potem wyszła, by zgodnie z obietnicą zastąpić Bernarta d’Inigo u boku ich pacjenta. Powinna przez ten czas spać, ale najwyraźniej nie miała to być noc przeznaczona na sen. Nie dla niej.

Była do tego przyzwyczajona. Lekarze często musieli spędzać noc na czuwaniu przy łóżku tych, którzy polegali na nich w walce z nadejściem ostatecznej ciemności. Jednak pod innym względem ta noc nie była podobna do pozostałych. Oznaczała koniec, w prawdziwym sensie, wszystkiego, co Džehana dotąd знаła w swoim życiu.

Bernart d’Inigo uśmiechnął się ze znużeniem na jej widok. Przytknął palec do ust. Džehana ujrzała, że na ziemi obok brata zasnął Fernan. Podobnie jak jego matka, która spała z głową na poduszce, przykryta niedużym kocem.

– Odpocznij trochę – szepnęła Džehana do dżadyckiego lekarza. – Ja przesiedzę tu resztę nocy.

d’Inigo skinął głową i wstał. Po drodze parę razy się potknął. Wszyscy byli straszliwie zmęczeni.

Spojrzała na Diega. Leżał na plecach z głową wspartą na złożonych kocach. Tkwiąca w niej lekarka znów zaczęła przejmować kontrolę. Ukłękła i ujęła go za nadgarstek, od razu nabierając otuchy. Puls zwolnił i był silniejszy.

Podniosła wzrok i dała znak ręką. Stojący nieopodal żołnierz podszedł z pochodnią.

– Przysuń ją bliżej – szepnęła.

Uniosła zamknięte powieki chłopca i zobaczyła, że źrenice kurczą się w blasku ognia. Znów dobry znak. Diego był nadzwyczaj błydy, ale tego można się było spodziewać. Nie miał gorączki. Opatrunek trzymał się mocno.

Był w niezwykle dobrej formie. Wbrew wszystkim innym wydarzeniom Džehana nie mogła

stłumić kolejnego dreszczu dumy i niedowierzania. Wedle wszelkich kryteriów, wedle całej wiedzy ten chłopiec powinien być martwy.

I byłby, gdyby leczyła go Dzehana. Gdyby leczył go d'Inigo albo jakikolwiek lekarz, którego mogłaby wymienić. Żył, miał mocny puls i równy oddech, ponieważ Iszak ben Jonannon wciąż był – po pięciu latach spędzonych w ciemności – najodważniejszym i najzdolniejszym chirurgiem na świecie. Któż by temu zaprzeczył po dzisiejszej nocy? Któż by śmiał?

Dzehana pokręciła głową. Fałszywa duma. Czy takie rzeczy mają teraz aż takie znaczenie? Nie mają i zarazem mają. W obliczu wojny, na krawędzi tyłu przyszłych zgonów Iszak odzyskał utracone życie. Żaden lekarz – a już z pewnością jego córka – nie mógłby się oprzeć poczuciu drobnego, cennego zwycięstwa wydartego ciemności.

Kiwnęła głową i żołnierz odsunął pochodnię. Dzehana usiadła wygodnie obok nieprzytomnego chłopca. Kazała Ammarowi choć trochę odpocząć, nim nastanie świt; właściwie mogłaby i sobie pozwolić na drzemkę.

– Dobrze się czuje?

To odezwała się matka. Żona Rodriga. Patrząc na nią w ciemności ponad jej synem, Dzehana pomyślała o wszystkich wymyślnie makabrycznych opowieściach, jakie o niej snuł. A oto na zimnej ziemi obok swego dziecka leżała drobna, bardzo piękna kobieta i mówiła ze strachem w głosie.

– Jest w dobrym stanie. Rano może się obudzi. Teraz potrzebuje snu. Jej oczy ponownie przyzwyczajają się do ciemności. Widziała Mirandę nieco wyraźniej.

– D'Inigo powiedział mi... że jeszcze nikt nie robił takiej operacji.

– To prawda.

– Twój ojciec... został oślepiony za uratowanie komuś życia?

– Matki i niemowlęcia. Podczas porodu. Aby tego dokonać, dotknął aszaryckiej kobiety.

Miranda Belmonte pokręciła głową.

– Jak to możliwe, że robimy sobie nawzajem takie rzeczy?

– Nie znam na to odpowiedzi, pani.

Nastąpiła chwila milczenia.

– Rodrigo wspominał o tobie wiele razy – rzekła miękko Miranda. – W swoich listach. Miał dla ciebie wyłącznie słowa pochwały. Jego kindathijska lekarka. – Dzehanie wydało się, że widzi cień uśmiechu. – Byłam zazdrosna.

Dzehana pokręciła głową.

– Żadna osoba tak bardzo kochana jak ty nigdy nie powinna być zazdrosna.

– Właściwie wiem o tym – odparła Miranda Belmonte. – To wielki dar mojego życia. Jeśli Diego przeżyje, dzięki twemu ojcu, będzie to drugi taki dar. To za wiele. Nie jestem tego warta. Przeraza mnie to.

Zapadła cisza. W chwilę później Dzehana zdała sobie sprawę, że kobieta znów zapadła w sen.

Siedziała obok śpiącego chłopca, opierając się o ciężki worek z suszonymi zapasami, który ustawił w pobliżu ktoś życzliwy. Myślała o śmierci i narodzinach, wzroku i ślepcie, księżycach, słońcu i gwiazdach. O Aszarze i Dżadzie prowadzących wojnę, o deszczu padającym na Kindathów wędrujących po świecie. Myślała o miłości i o tym, że pewnego dnia sama urodzi dziecko.

Usłyszała zbliżające się kroki. Poznała je. Właściwie gdzieś w głębi ducha była pewna, że tej nocy czeka ją jeszcze ta ostatnia rozmowa.

– Jak on się czuje? – zapytał cicho Rodrigo, kucając obok niej. Patrzył na syna. Twarz skrywała mu ciemność.

– Zgodnie z naszymi nadziejami. Powiedziałam twojej żonie, że może rano się obudzi.

– Chcę tu być.

– Oczywiście. – Rodrigo wstał.

– Przejdiesz się ze mną?

Wiedziała. Skąd wiedziała? Jak serce widzi to, co widzi?

– Tylko nie za daleko od niego – mruknęła, ale wstała.

Ruszyli w pewnej odległości od siebie, minęli żołnierza z pochodnią. Zatrzymali się nad rzeką, w pobliżu chatki, którą pamiętała Dzehana. Jako jedna z nielicznych nie spłonęła w zeszłym roku. Kuzyn Garcii de Rady zabił tu kobietę i nienarodzone dziecko. Wydawało się, że życie Dzehany zatoczyło krąg i wróciło do tego miejsca. Tamtej nocy poznała Rodriga, a tamtego dnia Ammara. Ich obu.

Było bardzo cicho. Słuchali rzeki.

– Wiesz, że przy nas twoi rodzice są bezpieczni – odezwał się Rodrigo. – To jest... w tej chwili dla nich najlepsze miejsce.

– Jestem o tym przekonana.

– Dzehano. To jest... prawdopodobnie także najlepsze miejsce dla ciebie.

Wiedziała, że to powie. Pokręciła głową.

– Może najbezpieczniejsze. Nie najlepsze.

Nie wypowiedziała tych głębszych słów, lecz przy Rodrigu nie trzeba było ich wypowiadać.

Kolejna chwila milczenia. Księżyc przesunął się ku zachodowi, i powolne gwiazdy też.

– Poprosiłem Husarię, by został ze mną. Zgodził się. Dzisiejszej nocy trochę nakłamałem królowi.

– Domyśliłam się. Tak naprawdę chyba nie sądzisz, że Lain i Martin nie będą w stanie wy dostać oddziału, prawda?

– Nie. A Husari może być na swój sposób równie dobrym zarządcą – w Fezanie czy gdzie

indziej – jak Ammar.

– Zrobi to?

– Tak sędę. Nie chce służyć Muwardyjczykom. I przynajmniej mi ufa, w przeciwieństwie do Ammara. – Usłyszała w jego słowach gorycz.

– To nie jest kwestia zaufania. Wiesz o tym.

– Chyba tak. – Spojrzał na nią. – Chciałem mieć pewność, że, jeśli nie da się przekonać, będzie mógł odjechać, dlatego wymyśliłem tę bajeczkę o moim oddziale uwięzionym w Ragosie.

– Wiem, Rodrigo.

– Nie chciałem, żeby odjechał.

– To też wiem.

– Nie chcę, żebyś ty odjechała, Dzehano. Kiedy przybędą Muwardyjczycy, w Al-Rassanie nie będzie dla ciebie miejsca, nie będzie miejsca dla żadnego z was.

– Będziemy musieli spróbować je stworzyć – powiedziała.

Cisza. Uświadomiła sobie, że Rodrigo czeka na jej słowa, więc w końcu to powiedziała:.

– Nie opuszczę go, Rodrigo. – Usłyszała, że odetchnął głęboko.

W ciemności nad spokojnym, szemrzącym nurtem rzeki Dzehana, patrząc na wodę, a nie na stojącego obok niej mężczyznę, powiedziała:

– Byłam pod twoim oknem podczas karnawału. Stałam tam długi czas, patrząc na światło w twoim pokoju. – Przełknęła ślinę. – Prawie do ciebie poszłam.

Wyczuła, że odwraca się do niej. Nie odrywała wzroku od rzeki.

– Dlaczego tego nie zrobiłaś? Głos mu się zmienił.

– Z powodu tego, co mi powiedziałeś tamtego popołudnia.

– Pamiętam, że kupowałem papier. Co ci powiedziałem, Dzehano? – Wtedy na niego spojrzała. Choć panowały ciemności, to i tak znała jego rysy na pamięć. Zeszłego lata odjechali z tej osady na jednym koniu. To było tak niedawno, naprawdę.

– Powiedziałeś mi, jak bardzo kochasz żonę.

– Rozumiem.

Dzehana odwróciła wzrok. Musiała to zrobić. Znaleźli się w zbyt trudnym punkcie, by na siebie patrzeć.

– Czy to coś złego albo niemożliwego, jeśli kobieta kocha dwóch mężczyzn? – zapytała cicho rzekę, ciemność.

Po, wydawało się, bardzo długim czasie Rodrigo Belmonte powiedział:

– Nie bardziej niż w przypadku mężczyzny. – Dzehana zamknęła oczy.

– Dziękuję – powiedziała. A potem, po kolejnej chwili, trzymając się jak najmocniej tego, co unosiło się między nimi, dodała: – Do widzenia.

Wraz z jej słowami minęła ta chwila, świat potoczył się dalej: czas, płynąca rzeka, księżyc.

A to delikatne coś, co było zawieszona między nimi w powietrzu – jakkolwiek można by to nazwać – opadło miękko, jak pomyślała sobie Dżehana, na trawę nad wodą.

– Do widzenia – odpowiedział. – Niech zawsze ci sprzyja szczęście, na wszystkich ścieżkach twego życia. Moja droga.

A potem wypowiedział jej imię.

Nie dotknęli się. Wrócili, idąc obok siebie, do miejsca, gdzie spali Diego, Fernan i Miranda Belmonte, a kiedy Rodrigo już się napatrzył na swoją rodzinę, ruszył w stronę królewskiego namiotu, gdzie powstawały strategie wojny.

Patrzyła za nim. Widziała, jak unosi klapę namiotu, jak na krótko oświetlają go płonące wewnątrz lampy, a potem jak znika w środku.

Do widzenia. Do widzenia. Do widzenia.

W szarości przed wschodem słońca Dżehana zobaczyła, jak Diego otwiera oczy.

Był słaby i cierpiał znaczny ból, ale rozpoznał ojca i matkę i spróbował się uśmiechnąć. To jednak Fernan przy nim klęczał, ściskając obie jego dłonie. Za nimi wszystkimi stał Bernart d’Inigo, ukazując zęby w straszliwym uśmiechu, a potem przyszedł do swego pacjenta Iszak, by zmierzyć mu puls i obmacać ranę.

Dżehana wykorzystała tę chwilę, by odejść kawałek z matką i powiedzieć jej, co zamierza zrobić i dlaczego. Nie była wielce zaskoczona, odkrywszy, że Eliana i Iszak już dowiedzieli się niemal wszystkiego od Ammara.

Najwyraźniej czekał przed ich namiotem, kiedy się obudzili. Pamiętała, jak zeszłego lata klęczał przed Iszakiem. Uświadomiła sobie tamtego dnia, że znają się od dawna, a Ammar ibn Khairan nie był człowiekiem, który odjechałby z ich córką bez wyjaśnienia.

Zastanawiała się, co zostało powiedziane. Zaskoczyło ją to, że nie napotkała oporu. Jej matka nigdy nie wahała się wyrażać sprzeciwu. Jednakże teraz Dżehana miała odjechać przez kraj ogarnięty wojną, z aszarytą, ku przyszłości, którą znają tylko księżycy – a jej matka to przyjmuje. Dżehana pomyślała, że to kolejna miara, jak wiele się zmieniło.

Matka i córka objęły się. Żadna z nich nie szlochała, ale Dżehana się rozplakała, kiedy ojciec wziął ją w ramiona tuż przedtem, zanim wsiadła na przyprowadzonego dla niej konia.

Spojrzała na Alvara de Pellino stojącego w milczeniu nieopodal i jak zwykle mającego w oczach całe serce. Spojrzała na Husarię. Na Rodriga.

Spojrzeła na Ammara ibn Khairana, siedzącego obok na swoim wierzchowcu, kiwnęła głową i ruszyła razem z nim w drogę. Na wschód, w stronę Fezany i dalej, na północ od rzeki; cały czas widzieli pióropusze dymu wciąż unoszące się kłębammi z miasta w jaśniejące niebo.

Obejrzała się tylko raz, ale Orvilla była już poza zasięgiem wzroku, a ona sama przestała płakać. Wyruszyła tą samą ścieżką minionego lata, jadąc z Alvarem i Velazem. Teraz miała obok

siebie tylko jednego mężczyznę, lecz wedle jednej z miar był on wart stu pięćdziesięciu innych.

Wedle miary jej serca był wart nieskończenie więcej.

Podjechała bliżej do niego i wyciągnęła rękę; zdjął rękawicę i splótł palce z jej palcami. Przejechali tak większość poranka; chmury przed nimi powoli się podniosły i szarość stała się błękitem.

W pewnej chwili przerwała długie milczenie, pytając żartobliwie:

– Poganiacz wielbłądów w Madżricie?

Została nagrodzona jego śmiechem, który wypełnił otaczające ich przestrzenie.

Później zapytała innym tonem:

– Co powiedziałeś mojemu ojcu? Poprosiłeś go o błogosławieństwo? – Pokręcił głową.

– Prosiłbym o zbyt wiele. Powiedziałem im, że cię kocham, a potem poprosiłem o wybaczenie.

Jechała w milczeniu, usiłując dać sobie z tym radę. W końcu powiedziała bardzo cicho:

– Ile czasu dostaniemy?

– Naprawdę nie wiem, miłości moja – odpowiedział z powagą. – Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by dać go nam wystarczająco wiele.

– Nigdy nie będzie go wystarczająco wiele, Ammarze. Zrozum to. Zawsze będę potrzebować więcej czasu.

Ich miłość co noc, po rozbiciu obozu, była przepełniona niecierpliwością, jakiej Dzehana nie zaznała nigdy przedtem.

Po dziesięciu dniach jazdy natknęli się na armię Ragosy, zdążającą w stronę Cartady, i w Ukochanym Al-Rassanie czas zaczął biec ku swemu końcowi tak szybko jak pędzące konie.

ROZDZIAŁ 18

W odpowiedzi na przedłużające się oblężenie miasta król Badir z Ragosy rozkazał usunąć ze swoich prywatnych komnat w pałacu drewniane krzesła wykonane w północnym stylu. Zostały zastąpione dodatkowymi poduszkami. Król właśnie usiadł – uważając na swój kielich z winem – na ich stercie przy kominku.

Masur ben Avren, jego kanclerz, zrobił to samo, nie zadając sobie trudu, by ukryć grymas bólu. Osobiście uważał wyrzeczenie się przez króla północnych mebli za całkowicie niepotrzebny gest. Zniżanie się do poziomu podłogi, by wygodnie się ułożyć, wydawało mu się za każdym razem coraz trudniejszym ćwiczeniem.

Badir obserwował go z rozbawieniem.

– Jesteś młodszy ode mnie, przyjacielu. Straciłeś formę. Jak to możliwe podczas oblężenia?

Masur skrzywił się, szukając wygodniejszej pozycji.

– Odrobina... czegoś w moim biodrze, panie. Będzie lepiej, gdy ustaną deszcze.

– Deszcze są korzystne. Musi im tam być w namiotach bardzo nieprzyjemnie.

– Żywię głęboką nadzieję – odparł ben Avren żarliwie. Krążyły plotki o chorobach w dżalońskim obozie.

Uniósł dłoń i najbliższy służący przyniósł mu pośpiesznie kielich wina. Ben Avren z wielką ulgą przyjął fakt, że odrzucenie przez jego monarchę wszystkiego, co pochodzi z północy, nie obejmowało co lepszych dżadyckich win. Wzniósł kielich w geście pozdrowienia, wciąż usiłując znaleźć jakąś wygodną pozycję. Obaj przez jakiś czas milczeli.

Nastąpiła jesień i wschodnie deszcze nadeszły z wyprzedzeniem. Ragosa była trzymana w oblężeniu od początku lata. Nie padła ani nie zostały naruszone jej mury. W obecnej sytuacji było to niezwykle.

Fezana została zajęta przez valledańską armię w środku lata, a niedawno gołąb przyniósł wieści, że król Ruendy przedarł się przez mury Salos u ujścia rzeki Tavares i wyciął w pień wszystkich mężczyzn. Kobiety i dzieci spalono, w imię Dzada, lecz samo miasto nie zostało wydane na pastwę ognia: król Sanchez z Ruendy najwyraźniej zamierzał spędzić w nim zimę. To był zły znak i Badir oraz jego kanclerz o tym wiedzieli.

Armia valledańska, bardziej zuchwała, już przedarła się przez wzgórza na południowy wschód w stronę Lonzy. Rodrigo Belmonte, niegdyś dowódca w armii Badira, najwyraźniej nie chciał się zadowolić zajęciem tylko jednego dużego miasta przed zimą. Valledanie podobno napotykali opór w okolicach wzgórz, lecz w oblężonej Ragosie było z oczywistych względów trudno o szczegóły.

Biorąc pod uwagę rozwój wypadków na zachodzie oraz to, że musieli rozpuścić niemal połowę własnego wojska, by nie narazić się na ryzyko buntu – wielu dżadyckich najemników

natychmiast przyłączyło się do Dżalonów po drugiej stronie murów – opór Ragosy był sporym osiągnięciem. Miarą roztropnego zgromadzenia zapasów żywności przez kanclerza oraz sympatii i zaufania, jakie mieszkańcy miasta pokładali w swoim królu.

Istniały jednak granice. Granice żywności i innych zapasów. Granice wsparcia dla obleżonego monarchy i jego doradcy. Jego kindathijskiego doradcy.

Gdyby udało im się dotrzeć do zimy, mogliby przeżyć. Albo gdyby przybył Jazir. Nie było żadnych wieści z Madżritu. Czekali. Tej jesieni czekali wszyscy w Al-Rassanie – dżadyci, aszaryci, Kindathowie. Gdyby plemiona przekroczyły cieśninę, cała sytuacja na półwyspie uległaby zmianie.

Co prawda wszystko już się zmieniło i obaj o tym wiedzieli. Miasto, które razem zbudowali – mniejsza, spokojniejsza skarbnica tych samych zalet, które ucieleśniało Silvenes pod rządami kalifów – już się skończyło; już minął jego krótki rozkwit. Bez względu na wynik inwazji miasto muzyki i kości słoniowej, stworzone przez Badira, zostało utracone.

Dżaloni albo Muwardyjczycy. Z jednej strony straszliwa pożoga, a z drugiej...?

Zrobiło się bardzo późno. Padał deszcz, monotonnie uderzając w okna i liście. Obaj mężczyźni wciąż mieli zwyczaj wspólnego picia ostatniego kielicha; głębia i trwałość ich przyjaźni była równie widoczna w ich milczeniu, jak i w słowach.

– Rano przyszedł raport, że budują małe łodzie – rzekł Badir. Upił tyk wina.

– Też o tym słyszałem. – Masur wzruszył ramionami. – Nie przedostaną się do środka od strony jeziora. Nie udałoby im się skonstruować na tyle dużej łodzi, by pomieściła wystarczająco wielu ludzi. Unicestwilibyśmy ich z wież portu.

– Mogliby nie pozwolić wypływać naszym łodziom rybackim. Obleżenie nie było skuteczne częściowo dlatego, że niewielkie łodzie Ragosy mogły wypływać na jezioro, zachowując ostrożność; kiedy wracały, osłaniali je łuczniczy z murów portu.

– Chciałbym zobaczyć, jak dżadyci blokują port podczas jesiennych wiatrów. Mam pływaków mogących zatopić każdą łódź, którą by wysłali. Mam nadzieję, że spróbują.

– Pływacy? Na jesieni? Wysłałbyś kogoś ze świdrem? – Masur napił się wina.

– Zgłaszaliby się na ochotnika jeden przez drugiego, panie. Miło mi powiedzieć, że mamy miasto niechętne poddaniu się.

Pomagało to, że kapitulacja raczej nie wchodziła w rachubę. Jeszcze przed rozpoczęciem obleżenia zabili króla Dżalonii i jednego z najwyższych duchownych z Ferrieres.

To była sprawka ibn Khairana; jego ostatni czyn na usługach Ragosy, tuż zanim odjechał do Cartady.

Zebrał tuzin najlepszych ludzi w mieście i pewnej bezksiężycowej nocy wymknął się na dwóch małych łodziach, kierując się na wschód, a potem na północ wzdłuż brzegu jeziora. Dżaloni, z entuzjazmem pałacy wioski i gospodarstwa po drodze na południe wokół Jeziora

Serrana, byli zbyt pewni siebie i zapłacili za to.

Ibn Khairan i jego ludzie zaskoczyli oddział napastników. Szczęśliwym zrzędzeniem losu – zawsze mówiono o nim, że ma szczęście – w trzydziestoosobowym dżalońskim oddziale był król Bermudo i ten duchowny. Ludzie ibn Khairana natknęli się na nich w wiosce rybackiej o zmierzchu pewnego wiosennego dnia. Czekali na plaży, ukryci wśród łodzi. Musieli oglądać palenie wieśniaków żywcem i słyszeć krzyki ludzi przybijanych do belek. Kiedy wśród najeźdźców zaczęły krążyć bukłaki z winem, ogarnęło ich szaleństwo i dżadyci zajęli się kobietami i dziewczętami.

Z plaży wychylnęło w ciemności trzynastu ludzi z Ragosy, działających z zimną wściekłością i z wyraźnie określonym zamiarem. Wrogów było więcej, lecz nie miało to znaczenia. Jego ludzie mówili później, że ibn Khairan przeszedł przez tę płonąca wioskę jak ciemna błyskawica, siejąc po drodze śmierć.

Zabili wszystkich trzydziestu członków tego oddziału.

Król Dżalonii został powalony przez jednego z Ragosan, zanim poznano jego tożsamość. Chcieli go wrzucić do najbliższego ogniska, ale ibn Khairan, klnąc jak rybak, kiedy zobaczył, kto to jest, zmusił ich, by zanieśli ciało króla Bermuda do miasta. Bardziej użyteczny byłby żywy, ale i tak można było wykorzystać jego trupa.

Duchowny z Ferrieres został przybity do jednej z belek, do ustawienia której walcie się przyczynił. Wtedy stało się już jasne, że cała Esperania podąża na południe i duchowni z Ferrieres gromko nawołują do świętej wojny. Nie był to czas na okupy czy uprzejmości zwykle czynione pobożnym mężom.

W Ragosie zatliła się na krótko nadzieja, że szokujące zniknięcie króla może doprowadzić do wycofania się jego armii. Miało się stać inaczej.

Królowa Fruela, która uparła się towarzyszyć armii najeźdźców, objęła kontrolę nad dżalońskimi siłami wraz ze swoim najstarszym synem, Beniedem. Kiedy armia ta dotarła pod mury Ragosy, prowadziła ze sobą mnóstwo rolników i rybaków, schwytanych po drodze. Nie zostali oni zabici, za to żołnierze zabrali się do okaleczania ich jednego po drugim, w zasięgu wzroku mieszkańców obleganego miasta, o wschodzie i zachodzie słońca, kiedy to dżadyci zanosili modły do swego złocistego boga światła.

Po czterech dniach czegoś takiego to król Badir podjął decyzję o wystawieniu ciała króla Bermuda na miejskich murach. Dał także do zrozumienia poprzez herolda, że jeśli tortury nie zostaną przerwane, trup zostanie zbezczeszczony. Królowa Fruela, płonąca świętym zapalem, sprawiała wrażenie, że mimo wszystko nadal zamierza prowadzić swoje dzieło, ale w tej sprawie przeważało zdanie jej młodego syna, nowego króla Dżalonii. Następnego ranka wszyscy więźniowie zostali zabici. Ciało króla Bermuda spalono w Ragosie. Dżadyci, patrzący na dym wznoszący się ze stosu pogrzebowego, czerpali pociechę z wiedzy, że ponieważ ich król zginął

w trakcie wojny z niewiernymi, jego dusza już przebywa z bogiem w świetle.

W następstwie tego wszystkiego od początku oblężenia Ragosy było wiadomo, że poddanie jej w wyniku negocjacji nie wchodzi w rachubę. Gdyby miasto padło, nikt znajdujący się w jego murach nie pozostałby przy życiu. Pod pewnym względem upraszczało to sytuację oblężonych. Usuwało pewną interesującą możliwość.

W gruncie rzeczy przepowiedział to ibn Khairan.

– Jeśli dojdzie do ostateczności – powiedział Masurowi ben Avrenowi w wiosenny poranek, kiedy wyruszał z powrotem na zachód z Dżehaną bet Iszak – na wszelkie sposoby starajcie się poddać Valledo.

Nieoczekiwane słowa, i za takie też zostały uznane przez króla i jego kanclerza, lecz po bardzo odmiennej okupacji Fezany i Salos, do której doszło później tego samego lata, słowa te stały się zdecydowanie bardziej wytłumaczalne.

Niestety, najwyraźniej nie było oczywistego sposobu na wynegocjowanie takiej kapitulacji, a sam ibn Khairan – teraz kaid wojsk Cartady – był zajęty utrudnianiem życia Valledanom, którzy zbliżali się do Lonzy. Jeśli król Ramiro rozpoczął tę inwazję z tolerancyjnym nastawieniem, to teraz zapewne od niego odchodził pod zabójczymi, niszczącymi morale atakami błyskotliwego cartadzkiego dowódcy. Poza tym zbliżała się jesień, a wraz z nią deszcze.

Służący króla Badira dołożył do ognia i napełnił kielichy obu mężczyzn. Słuchając padającego deszczu, zatopili się w kojącym milczeniu.

Myśli kanclerza błądziły. Przyglądał się wyposażeniu pokoju, najbardziej osobistej komnaty króla. Spojrzał, jakby czynił to po raz pierwszy, na gzyms kominka rzeźbiony we wzór składający się z winogron i liści. Popatrzył na wino i przepięknie wykonane kielichy, na białe świece w złotych kinkietach, na gobeliny z Elviry, figurki wyrzeźbione z kości słoniowej, stojące na kredensie i gzysie kominka. Wciągnął w nozdrza zapach kadzidła sprowadzonego z Soriyyi, palącego się w miedzianej misie, zauważył wytrawione okna wychodzące na ogród, misternie tkane dywany...

W pewien sposób, pomyślał Masur ben Avren, wszystkie te delikatne przedmioty stanowią zapórę, najgłębszą obronę cywilizowanego człowieka przed deszczem i ciemnością, i ignorancją.

Dzadyci po zewnętrznej stronie murów nie rozumieli tego. W jeszcze większym stopniu było to nie do pojęcia dla zawołowanych wojowników z pustyni – wytęsknionych wybawców wymienianych przez wszystkich w modłach.

Była to prawda zbyt gorzka nawet na ironię. Te przedmioty w pokoju Badira – dowody na dążenie do piękna w świetle i na cenie go – mieszkańcy północy i południa postrzegali jako oznaki zepsucia, dekadencji, braku powagi. Bezbożności. Niebezpieczne światowe przeszkody w odpowiednio pokornym, uniżonym czczeniu płonącego boga słońca albo odległego, zimnego bóstwa za gwiazdami.

– Pani Zabira – powiedział, zmieniając pozycję, by ulżyć swemu biodru – zaproponowała, że odda się młodemu królowi Dżalonii jako podarunek.

Badir podniósł wzrok. Patrzył przedtem w ogień.

– Sądzi, że mogłoby jej się udać go zabić – dodał ben Avren tytułem wyjaśnienia.

Król Badir pokręcił głową.

– Nie ma sensu. Odważna propozycja, ale ten młody człowiek niewiele znaczy dla swojej armii. Ile on ma lat, szesnaście? A jego matka kazałaby rozerwać Zabirę na strzepy, zanimby się do niego zbliżyła.

– Też tak uważam, panie. Podziękowałem i odmówiłem w twoim imieniu. – Uśmiechnął się.

– Powiedziałem jej, że zamiast tego mogłaby się oddać tobie i że mając na uwadze zbliżającą się zimę, potrzebuję jej bardziej od ciebie.

Król oddał mu uśmiech.

– Przetrywamy do zimy? – zapytał.

Ben Avren napił się wina. Miał nadzieję, że to pytanie nie padnie.

– Szczerze mówiąc, wołałbym, żebyśmy nie musieli tego robić. To będzie ryzykowne. Przydałoby się, żeby armia z pustyni przynajmniej wylądowała w Al-Rassanie, co uświadomiłoby Dżalonom, że ryzykują schwytanie w pułapkę na zewnątrz murów, bez schronienia. Mogliby się wtedy wycofać.

– Przed oblężeniem Ragosy powinni byli zająć Fibaz.

– Oczywiście. Podziękuj Aszarowi, a ja złożę ofiarę z wina księżynom. Tym razem król się nie uśmiechnął.

– A jeśli Muwardyjczycy nie wylądują? – Ben Avren wzruszył ramionami.

– Cóż mogę powiedzieć, panie? Żadne miasto nie jest odporne na zdradę. Szczególnie kiedy zaczynają się zmniejszać zapasy. A twoim głównym doradcą jest przedstawiciel znieprawdzonej, złych Kindatliów. Gdyby Dżaloni zaproponowali choć odrobinę łaski...

– Nie proponują.

– Ale gdyby? Gdybyśmy wtedy mogli zaproponować im coś w zamian, jako częściowe zadośćuczynienie za śmierć ich króla...?

Badir zmarszczył brwi.

– Już o tym mówiliśmy. Nie drażnij mnie od nowa. Nie przyjmę twojej rezygnacji, twego odejścia, twojej ofiary... żadnej z tych rzeczy. Czego ja się trzymam tak rozpaczliwie, że nie chcę sobie pozwolić na utratę ciebie?

– Życia? Życia twego ludu? – Badir pokręcił głową.

– Jestem za stary, by chwytać się tego tak kurczowo. Jeśli nadejdą zawałowani, mój lud może przeżyje. To miasto, takie jakim je wybudowaliśmy, nie.

Zatoczył ręką łuk.

– Zrobiliśmy to razem, przyjacielu. Jeśli tak czy owak zginie, znajdę koniec, pijąc z tobą wino. Nie mów już o tym. Uważam ten temat za... zdradę.

Ben Avren miał poważną minę.

– Nie jest nią, panie.

– Jest. Znajdziemy wyjście razem albo go nie znajdziemy w ogóle. Nie jesteś dumny z tego, co we dwóch osiągnęliśmy? Czy to, co teraz mówisz, nie jest wyparciem się naszego życia? Nie zamierzam trzymać się kurczowo jakiejś nędznej formy istnienia za cenę wszystkiego, czym jesteśmy.

Kanclerz milczał.

– Masurze, czy niektóre z rzeczy, które tu stworzyliśmy, których tu dokonaliśmy, nie są warte Silvenes, nawet w złotym wieku? – zapytał król po chwili.

A Masur ben Avren odpowiedział ze wzruszeniem:

– Jest tu co najmniej król, panie, który w owych świetlanych czasach byłby więcej niż godny zostać kalifem w Al-Fontinie.

Kolejna chwila milczenia. W końcu król Badir powiedział bardzo cicho: – A zatem nie mów już, stary przyjacielu, o tym, że mam cię stracić. Nie mogę tego zrobić.

Ben Avren pochylił głowę.

– Nie będę już o tym mówił – obiecał. – Panie.

Dokończyli wino. Kanclerz wstał z niejakim trudem i złożył swemu królowi życzenia dobrej nocy. Ruszył długimi pałacowymi korytarzami, stąpając bezgłośnie w swoich pantoflach po marmurowej posadzce, mijając pochodnie i gobeliny, słuchając deszczu.

Zabira, spała. Zostawiła na stole pałacą się świecę, karafkę z winem i drugą z wodą, oraz pełen kielich. Uśmiechnął się, patrząc na nią – równie piękną we śnie, jak wtedy, gdy nie spała.

Przybysze z północy, pomyślał, pustynne plemiona: jak mogą choćby pojąć miejsce i czas – świat – z których zrodziła się taka kobieta? Dla jednych i drugich będzie symbolem zepsucia. Wiedział, że ją zabiją albo poniżą. Nie będą mieli pojęcia, co innego mogliby zrobić z Zabirą z Cartady czy jej muzyką.

Usiadł z westchnieniem na rzeźbionym, wyłożonym miękkimi poduszkami drewnianym krześle, które zamówił w mieście u dzadyckiego rzemieślnika. Pogrążony w myślach, wypił kielich wina, a potem drugi; wcale nie chciało mu się spać.

Nie żałuję niczego, powiedział sobie w duchu. I zdał sobie sprawę, że to prawda.

Zanim rozebrał się do snu, podszedł do wewnętrznego okna, otworzył je i wyjrzał, oddychając nocnym powietrzem. Deszcz przestał padać. Z liści drzew skapywała woda do rozpościerającego się poniżej ogrodu.

Tej samej nocy, pod bardzo odmiennym niebem, daleko na południowym zachodzie nie spał

też inny człowiek.

Za szczytami Gór Serrana; za Lonżą, skuloną i przestraszoną za swoimi murami, czekającą na przybycie Valledan; za Ronizzą, której koronki były znane na całym świecie; za arogancką Cartadą, leżącą w dolinie dającej jej potęgę, gdzie wytwarzano czerwony barwnik; za Aldżais i kanałami Elviry, i za Silvenes, gdzie podobno wśród ruin wciąż jeszcze unosiły się duchy i upiorna muzyka; nawet za Tudeską u ujścia Guadiary, gdzie na morze wypływały statki z bogactwami Al-Rassanu i dokąd wracały ze wschodnimi skarbami.

Za tymi wszystkimi miastami i za wodami cieśniny, pod murami Abirabu na północnym skraju piasków Madżritu, Jazir ibn Q'arif, władca plemion pustyni, Miecz Aszara na Zachodzie, wdychał słone powietrze znad morza i, siedząc samotnie na rozłożonym płaszczu, patrzył na czyste niebo usiane gwiazdami jego boga.

Mędrzec, który przybył do Zuhritów, nauczył ich, że jest tyle gwiazd, ile ziaren piasku na pustyni. Dwadzieścia lat temu, kiedy wiara była dla niego nowością, Jazir próbował zrozumieć, co to znaczy. Patrząc w niebo, przesypywał ziarna piasku przez palce.

Teraz był ponad takie próby. Zrozumienia boga mógł dostąpić tylko ktoś taki, jak Aszar, godzien daru wizji. Cóż mógł zrobić prosty wojownik poza pochyleniem głowy i oddaniem czci tak niewyobrażalnemu bezkresowi?

Gwiazdy nieba jak piasek pustyni? Cóż mógł zrobić człowiek, jak nie ukorzyć się i służyć, modląc się dniem i nocą o miłosierdzie i łaskę, rozumiejąc, że stanowi tylko część – mniejszą od ziarna piasku w przesypujących się wydmach – większego, niesłyszanego zamiaru boga?

Jak ludzie mogą pęcznieć z dumy, pielęgnować złudzenia swojej wartości albo wartości kruchych, próżnych przedmiotów, które wytwarzają, jeśli naprawdę wierzą w Aszara i gwiazdy? Jazir ibn Q'arif pomyślał, że to jest pytanie, które chciałby zadać królom Al-Rassanu.

Noc była ciepła, choć Jazir wyczuwał w wietrze od morza powiew zimy. Już niedługo. Między gwiazdami unosiły się dwa księżycy; błękitnego przybywało, a cieniutki sierp białego widniał na zachodzie, gdzie kończył się ląd.

Tak się składało, że patrząc na księżycy, myślał o Kindathach.

W całym swoim życiu poznał tylko jednego z nich, bosonogiego wędrowca w przepasanej szacie, który przed laty zszedł na brzeg w faktorii na wschód od Abeneven. Poprosił o spotkanie z przywódcą plemion i został w końcu przyprowordzony do Jazira.

Kindath nie był człowiekiem jak większość innych ludzi; nie był nawet typowym przedstawicielem własnego ludu. Powiedział to Jazirowi podczas pierwszego spotkania na piaskach. Zahartowany przez lata wędrówek, ze skórą spaloną słońcem i wysmaganą wiatrem, najbardziej przypominał Jazirowi ibn Raszida, wadziego, który dawno temu przybył do Zuhritów – choć taka myśl mogła być dość heretycka. Miał taką samą długą, skołtunioną siwą brodę, takie same przejrzyste oczy, które zdawały się patrzeć na coś, czego nie dostrzegają inni ludzie.

Kindath powiedział, że podróżuje przez wiele krain, pisząc o swoich podróżach, opisując cudowne dzieła stworzenia, rozmawiając z ludźmi wszystkich wyznań i poglądów. Nie po to, by głosić kazania lub przymilać się jak wadzi, ale po to, by pogłębiać własne poczucie zadziwienia wspaniałością świata. Często się śmiał ten kindathijski wędrowiec, nierzadko z samego siebie, opowiadając o własnej niewiedzy i bezradności w krajach, których nazw Jazir nawet nie znał.

Podczas pobytu u plemienia Jazira mówił, że świat został stworzony przez więcej niż jednego boga i że jest tylko jednym z licznych miejsc zamieszkania dla dzieci stworzenia. To była herezja, wykraczająca poza zdolność rozumienia. Jazir pamiętał, jak się zastanawiał, czy samo słuchanie takich rzeczy skazuje go na ciemność daleką od raj, kiedy umrze.

Wydawało się że istnieje sekta Kindathów, jakieś dawne plemię, które naucza o tych innych światach rozrzuconych wśród gwiazd, daleko za księżycami wędrującymi po nocnym niebie.

Podróżnik zwierzył się Jazirowi, że gwiazdziste wizje Aszara były słuszne, lecz że rację mieli także co mądrzejsi prorocy Dżada oraz kindathijscy mędrcy, widzący w księżycach boginie. Wszystkie te nauki odsłaniały część – ale jedynie część – tajemnicy.

Istnieją inne bóstwa, inne światy. Nad nimi wszystkimi jest jeden bóg, władca gwiazd, słońca i księżyców, wszystkich światów. Nikt nie zna imienia tego najwyższego pana. Jest ono znane i wymawiane tylko w świecie, który został uczyniony jako pierwszy, w świecie, śladem którego wszystkie inne – łącznie z ich własnym – wyruszyły w Czas. Tylko tam Najwyższy pozwala się poznać i tam bogowie składają mu hołd.

Przez kilka poranków i wieczorów łamali się chlebem i rozmawiali o wielu sprawach. A potem kindathijski podróżnik poprosił o pozwolenie odejścia z obozu Jazira na wędrowkę po rozległej i potężnej pustyni Madżritu, by mógł uczcić jej wspaniałość.

Ghalib, który trochę słuchał tego, co mówił Kindath przez minione dni, poprosił Jazira o pozwolenie – co było u niego niezwykle – udania się za starcem i zabicia go za jego bezbożne słowa. Jazir, rozdarty między obowiązkami gospodarza i duchowymi powinnościami przywódcy wobec swego ludu, dał bratu zgodę, acz niechętnie. Jeszcze jeden grzech, który Aszar będzie musiał mu wybaczyć, kiedy nadejdzie czas osądzenia Jazira.

Ten dziwny człowiek był jedynym Kindathem, jakiego poznał w życiu.

Przed dwoma dniami przyszedł list, dostarczony przez członka plemienia, wracającego na pustynię z Tudeski. Przedtem nieśli go posłańcy przez niemal cały Al-Rassan. Podróż zaczęła jako kartka przywiązana do nóżki gołębia, wysłana z obleżonej Ragosy.

Pochodził od samego czarnoksiężnika, Masura ben Avrena.

Po tym, jak skryba odczytał mu list trzy razy, Jazir wyszedł z namiotu, wsiadł na wielbłąda i pojechał samotnie na pustynię, by się zastanowić.

Tej nocy, pod gwiazdami, wciąż się zastanawiał. Musiał podjąć decyzję, która mogła

ukształtować przeznaczenie jego ludu, i nie miał już czasu do stracenia. Dalsza zwłoka oznaczała podjęcie decyzji.

Jazir wiedział, że Ghalib jest gotów przekroczyć cieśninę. Ghalib chciał się znaleźć tam, gdzie już toczy się wojna, by poddać próbie samego siebie i swoich ludzi. By umrzeć, gdyby do tego doszło, z zakrwawionym mieczem w ręce, walcząc w imię Aszara. Najpewniejsza ścieżka do Raju.

Kindathijski wędrowiec sprzed lat nie wymienił nazwy tego pierwszego świata, gdzie panuje jedyny prawdziwy bóg. Powiedział, że ta nazwa to kolejna tajemnica. Jazir żałował, że w ogóle usłyszał tę opowieść. Wciąż nie dawała mu spokoju.

„W obecnej sytuacji Ragosa nie dotrwa do zimy”, napisał Masur ben Avren. „Gdybyś jednak choć wylądował w Tudesce i doszedł tej jesieni zaledwie do Aldzais i Cartady, oblegających nas Dżalonów ogarnie wielki strach, a nasz lud nabierze otuchy. Sądzę, że gdyby do tego doszło, moglibyśmy wytrzymać i wiosną ich odepchnąć”.

Ghalib mówił to samo. Chciał wylądować przed zimą, by dżadyci przestraszyli się jego obecności i już nie parli dalej. Jazir wolałby poczekać – na więcej statków, więcej ludzi i, przede wszystkim, na wiadomości z Soriyyi, do której w tej chwili płynęła dżadycka armia.

Co ma robić pobożny człowiek, poproszony z rozpaczą o pomoc na dwóch różnych polach bitwy świętej wojny?

„Przyszło mi na myśl”, pisał dalej Masur ben Avren, „że jednym z powodów, dla których wahasz się przed uwolnieniem nas od tego zagrożenia, jest moja obecność w Ragosie. Król Badir to dobry człowiek i mądry król, kochany przez jego lud. Jeśli zmniejszy to ciężar spoczywającej na tobie decyzji, wiedz, że na jedno twoje słowo jestem gotów opuścić miasto”.

Opuścić miasto? Nie opuszcza się obleganych miast. Chyba że...

„Wejść do obozu dżadytów, gdy tylko nadejdzie od ciebie wiadomość, że postanowiłeś przepłynąć cieśninę i oczyścić Al-Rassan z tych, których trzeba odepchnąć, by Aszar i Zrodzeni z Gwiazd nie utracili tej ziemi”.

Mówił to, proponował, Kindath.

Jazir wyobraził sobie, jak jego wiadomość wędruje na północ i wschód, niesiona przez kolejnych jeźdźców z miasta do miasta, a potem ptaka wypuszczonego ze wzgórz w pobliżu Ragosy. Wyobraził sobie, jak ptak ląduje w mieście, jak jego list napisany przez skrybę jest niesiony do czarnoksiężnika. Jazir zobaczył oczyma duszy, jak czarnoksiężnik czyta.

Co dziwne, co najdziwniejsze ze wszystkiego, ani przez chwilę nie wątpił, że Kindath dotrzyma słowa.

„Król nie będzie zadowolony, że pozwoliłem sobie wysłać ten list, i błagam cię o wybaczenie mi tej zuchwałości. Gdybyś się zgodził z moimi niegodnymi myślami, Mieczu Aszara, przywódco wszystkich plemion, wyślij tylko słowa »Stanie się tak, jak zostało napisane«.

a zrozumieć to tylko ja, podziękuję ci i uczynię, jak powiedziałem. Kiedy wyjdę, niech wszelkie grzechy, jakie popełniła Ragosa w oczach Aszara i twoich, spoczną na moich barkach. Mój własny naród w tym mieście szanuje swego aszaryckiego króla i zna swoje miejsce. Jakakolwiek arogancja i bezczelność jest moją winą i jestem gotów odprawić za nie pokutę”.

Sierp białego księżyca niemal leżał na morzu. Jazir patrzył, jak znika w falach. Niebo było usiane niezliczonymi gwiazdami, a wokół niego były niezliczone ziarna piasku.

Usłyszał kroki i poznał je.

– Prosiłeś, bym przyszedł o zachodzie białego księżyca – odezwał się cicho jego brat, kucając obok rozpostartego płaszcza Jazira. – Przekraczamy cieśninę? Czekamy? Płyniemy do ziem ojczystych?

Jazir zaczerpnął tchu. Będzie wiele śmierci. Człowiek przychodzi na ten świat, by umrzeć. Najlepiej uczynić to w służbie Aszara, podejmując się tego, co naprawę można zrobić.

– Soriyya jest za daleko – odrzekł. – Nie sądzę, by któremukolwiek z nas było przeznaczone ujrzeć ziemie ojczyste, bracie.

Ghalib milczał, czekając.

– Byłbym bardziej zadowolony na wiosnę – ciągnął Jazir. W mroku zaśniły zęby jego brata.

– Nigdy nie jesteś zadowolony – stwierdził Ghalib.

Jazir odwrócił wzrok. Ostatnio to była prawda. Kiedyś był zadowolony, jako młody człowiek, kiedy nie miał większych trosk, na ziemiach Zuhritów na południe stąd. Zanim postawił stopę na ścieżce prawości, wytyczonej we krwi.

– Przepełniemy cieśninę – oznajmił. – Wyruszamy jutro. Nie pozwolimy, by Synowie Dżada palili jeszcze Zrodzonych z Gwiazd albo zajmowali jakiekolwiek miasta, bez względu na to, jak daleko nasi pobratymcy odeszli od wskazań Aszara. Sprowadzimy ich z powrotem na jego ścieżkę.

Wydaje mi się, że gdyby królewiczka straciła Al-Rassan na rzecz dżadytów, to przed bogiem odpowiemy za to my.

Ghalib wstał.

– Jestem zadowolony – rzekł.

Jazir zauważył, że oczy jego brata lśnią jak u kota.

– A ten kindathijski czarnoksiężnik? – zapytał Ghalib. – Jego list?

– Idź do mojego skryby – polecił Jazir. – Obudź go. Każ mu napisać odpowiedź i wyślij do Al-Rassanu, jeszcze tej nocy, zanim wyruszy reszta z nas.

– Jaką odpowiedź, bracie? Jazir podniósł na niego wzrok.

– „Stanie się tak, jak zostało napisane”.

– To wszystko?

– To wszystko.

Ghalib odszedł do swego wielbłąda. Zmusił go do ukłęknięcia, wspiał się na siodło i odjechał. Jazir nie ruszył się ze swego miejsca. Tyle gwiazd, tyle ziaren piasku, błękitny księżyc wysoko na pogodnym niebie.

Widział, jak jego wiadomość przekracza cieśninę, widział jeźdźców w galopie, ptaka w locie. Ukrytą furtkę w murach Ragosy, może o szarej godzinie przedświt. Widział, jak wychodzi z niej samotny człowiek i idzie w stronę ognisk swoich wrogów.

Powoli skinął głową, wyobrażając sobie to wszystko. Taka jest wola Aszara, jego prawo: żaden Kindath nie może mieć władzy nad Zrodzonymi z Gwiazd. Tak zostało zapisane. A ten czarnoksiężnik z Ragosy nie będzie pierwszym ani ostatnim człowiekiem – odważnym lub nie – który zginie w nadchodzącej krwawej przyszłości.

Jesienne morze było łagodne i łaskawe następnego ranka i jeszcze następnego, kiedy dzieci pustyni, zawołane wobec cudu boskiego dzieła stworzenia, ukłękły w świętej modlitwie, a potem popłynęły po obcym żywiole, by ocalić Al-Rassan.

W niecały rok później pod koniec wietrznego letniego dnia na szczycie wzgórza nieopodal smutnych ruin Silvenes stały dwie kobiety. Nadeszła chwila, kiedy miał się skończyć świat, jaki obie znały.

Po niebie pędziły białe chmury, zdobiąc zachodni horyzont, ku któremu zniżało się słońce. Na północ od bystro płynącej, lśniącej Guadiary stały pod trzepoczącymi na wietrze sztandarami dwie armie.

Siły Aszara i Dżada w końcu się zeszyły po trwających całe lato, jesień, a potem wiosnę oblężeniach i potyczkach, przedzielonych z konieczności ostrą zimą. Zmarło wtedy z głodu, zimna i chorób, wywołanych przez trudy i wojnę, wielu ludzi. Śnieg dotarł na południe aż do Lonzy i Ronizy, a na zachodzie do Ardenio.

Wszystkie te trzy miasta należały teraz do dżadytów.

Rodrigo Belmonte, głównodowodzący połączonych armii Ruendy, Valledo i Dżalonii, zajął je tej wiosny. Pod Ardenio – które upadło jako pierwsze z trzech – w pierwszej potyczce z członkami plemion osobiście dowodził zachodnią częścią esparańskiej armii i zabił Ghaliba ibn Q'arifa.

Od kiedy przed ponad dwudziestu laty Ghalib wyruszył na wschód u boku swego brata, nikt nawet go nie zranił w walce. Ludzie stracili rachubę, ile razy przed bitwą reprezentował Zuhritów i wizje Aszara w rytualnej walce z najlepszym przedstawicielem innego plemienia. Pod Ardenio nie było żadnych takich rytuałów. Jednakże Rodrigo Belmonte wybrał go na trudnym spadzistym terenie na wschód od miasta, jednym ciosem strzaskał mu hełm oraz tarczę i zrzucił go z konia, a potem sam zeskoczył na ziemię, rozciął mu udo do kości, niemal obciął rękę i zabił ciosem miecza zadany z góry w szyję i obojczyk.

Nikt w obu armiach nigdy nie widział, by ktoś tak walczył.

Wiedziano, że zeszłego lata syn don Rodriga o mało co nie zginął w muwardyjskiej zasadzce. Pod Ardenio nowy konetabl Valledo mógł po raz pierwszy stawić czoło wojsku zawoalowanych na otwartej przestrzeni.

Zostawiając na razie mieszkańców Ardenio swojemu losowi, Muwardyjczycy wycofali się na południe, chociaż w zwartym szyku i zadając straty tym, którzy zbyt pochopnie rzucili się za nimi w pościg.

Wycofali się w stronę Silvenes, gdzie pod wodzą Jazira zbierały się jego główne siły, zarówno te z Al-Rassanu, jak i nowo przybyli członkowie plemion.

Rodrigo Belmonte zostawił zadanie przytrzymania tam aszarytów królowi Ruendy i zachodniej armii, a sam ze swoim własnym stuściu osobowym oddziałem popędził na wschód, w kierunku Lonzy i króla Ramira.

Mury miasta zostały zdobyte w piętnaście dni po jego przybyciu. Leżąca dalej na wschód Ronizza nad rzeką Larios, oblegana przez siły Dżalonii, które ominęły wciąż niepokonaną Ragosę, poddała się natychmiast po otrzymaniu wieści o upadku Lonzy. Bramy Ronizy zostały jednak otwarte dopiero wtedy, gdy przyjechał pod nie herold don Rodriga z oddziałem Valledan, by przyjąć kapitulację. Wyciągnięto naukę z zeszłorocznej okupacji Fezany i Salos.

Północne armie zostawiły w każdym mieście garnizon i zarządę. W imię zachowania porządku wykonano wyroki śmierci na pewnej liczbie ludzi, lecz na razie przejmowanie władzy odbywało się spokojnie. Nie było żadnych pożarów i stosów. Król Ramiro i jego konetabl panowali teraz całkowicie nad północnymi siłami. Wojska Dżalonii i Ruendy połączyły się i zawróciły na zachód, by dołączyć do Ruendan na północ od Silvenes.

To znaczy do niedobitków Ruendan.

Silna armia, którą zostawił Belmonte, została rozbita w puch przez pokonanego przeciwnika.

Jazir ibn Q'arif – wyraźnie wstrząśnięty śmiercią brata i noszący szarą żałobną zasłonę – natychmiast mianował nowego przywódcę aszaryckich sił w Al-Rassanie. Członkowie plemion nie byli zbyt zadowoleni z tego wyboru, lecz Jazir miał całą zimę i wiosnę, by zorientować się w sytuacji na półwyspie – jak dowodzić, komu można ufać, kogo trzeba obserwować – i kiedy tylko zostały odprawione obrzędy ku czci jego brata, nie wahał się ani chwili.

Ammar ibn Khairan, nowo mianowany ka'id, przegrupował Muwardyjczyków, dołączył do nich świeży kontyngent żołnierzy z Cartady i zaskoczył Ruendan jednoczesnym atakiem z południa i wschodu. Koordynacja w czasie na tak trudnym terenie musiała przebiegać bez zarzutu – i przebiegła. Kaid ścigał przybyszy z północy aż do samego Ardenio.

Podczas pościgu nie udało mu się zapanować nad Muwardyjczycami, pogrążonymi w żałobie po Ghalibie. W trakcie tej wojny nigdzie nie brano jeńców, schwytanych Ruendan nieludzko maltretowano przed i po zadaniu im śmierci. Kiedy ocalali dzadyci znaleźli się

bezpiecznie za murami Ardenio, natychmiast zaczęli w odwecie przybijać mężczyzn i kobiety do belek i palić ich.

Rodrigo Belmonte wrócił na zachód. Aszaryci ponownie wycofali się w stronę Silvenes i tam też przybyły do nich posiłki z Cartady, Tudeski i leżącej na wybrzeżu Elviry.

Przybyło także pięciuset wojowników z fortecy Arbastro pod wodzą samego Tarifa ibn Hassana. Rozbójnik i jego syn zatrzymali się po drodze w Cartadzie, by otrzymać oficjalne ułaskawienie od nowego króla.

Almalik II, ojcobójca, został stracony przez Jazira; był to jeden z jego pierwszych czynów po przybyciu zeszłej jesieni do Al-Rassanu. Tron Cartady objął brat Almalika, Hazem, zwany Jednorękim.

Ruendańskie wojsko, a raczej to, co z niego zostało, znów wyruszyło z Ardenio i ostrożnie skierowało się na południe, łącząc się z resztą esparańskich sił pod Silvenes.

Silvenes. Wyglądało na to, że tutaj zakończy się wojna. Albo Jazir i jego ratunkowa armia, która znalazła się tu w odpowiedzi na natarczywe prośby uciekających królewiatek i ogarniętych paniką wadzich, tryumfalnie przywróci na tej ziemi wiarę w Aszara, albo... albo upadek kalifatu, który nastąpił o jedno pokolenie wstecz, będzie niczym w porównaniu z tym, co nadejdzie teraz. Wtedy naszyjnik Al-Rassanu został rozerwany, a perły się rozsypały. Teraz mogły zostać utracone.

W połowie odległości między obiema armiami spotkali się heroldowie.

Jazir ibn Q'arif rozważył różne możliwości i, nawykły do szybkiego podejmowania decyzji, polecił swojemu heroldowi, by złożył pewną propozycję. Przedstawiciel króla Ramira, żołnierz wyraźnie zbyt młody, by pełnić tę funkcję – pobladł, usłyszawszy przesłanie – zaniósł je Ramirowi i jego konetablowi.

Niedługo potem ten sam młodzieniec, ponury i skrupulatny, wrócił z wiadomością dla swego odpowiednika.

Tego się spodziewano.

W gruncie rzeczy odmowa nie wchodziła w rachubę. Ze względu, na honor, dumę i na bitwę, jaka miała się rozegrać. Nad wydarzeniami zaciążyły wieki.

Obudziwszy się rano wcześniej niż Ammar, Dzehana leżała spokojnie, patrząc na niego i usiłując zrozumieć, w jaki sposób czas i bogowie doprowadzili do tej sytuacji. Z obozu dochodziły odgłosy porannej krzątaniny; wkrótce zaczną się pierwsze poranne modły.

Przed samym przebudzeniem śnił jej się Masur. Książę Kindathów. Nieżyjący od pół roku. Wciąż nie mogła przestać sobie wyobrażać, jak wyłania się z murów Ragosy i idzie do dżadyckiego obozu. Skąd ludzie biorą siłę, by robić takie rzeczy?

Muwardyjczycy wylądowali w Al-Rassanie jeszcze jesienią. Później, w zimie, stało się jasne,

w jaki sposób te dwie podróże – ben Avrena przez mury ku śmierci i Jazira ibn Q’arifa przez cieśninę – były ze sobą powiązane. Linie ruchu, tak dalekie od siebie, łączyły się u swego źródła. Ostatni dar Masura dla jego króla i Ragosy.

Krażyły straszliwe opowieści o tym, co królowa Fruela kazała zrobić z siwowłosym kindathijskim kanclerzem, kiedy wszedł bez broni do jej obozu. Dzehana wiedziała, że nawet najgorsze z nich są prawdziwe. Wiedziała też, przepełniona goryczą i bólem, że gdyby pod murami Ragosy znajdowali się Muwardyjczcy, postąpiliby bardzo podobnie.

„Kim są moi wrogowie?”

Jak w takich czasach można się wznieść ponad nienawiść?

Ammar spał spokojnie. Była zdumiona, że to potrafi. Chciała obwieść dłonią jego twarz – oczy, usta, uszy, prosty nos – jak niewidoma, by go zapamiętać. Pokręciła głową, odpychając od siebie tę myśl. Oddychał cicho i powoli. Jedną rękę przerzucił przez pierś w dziwnie dziecinnym geście.

Mógł tego dnia zginąć. A jeśli nie on, to Rodrigo.

Doszło do tego. Czy śmiertelnicy są jedynie zabawkami czczonych przez siebie bogów, którym można zadawać katusze w chwili śmierci?

Heroldowie Aszara i Dżada ustalili, że przed bitwą stoczą walkę przywódcy obu armii, by poznać wolę i potęgę swoich bogów. Jeden z najstarszych rytuałów wojujących ze sobą ludzi.

Czy ci dwaj w jakiś sposób przewidzieli, że może nadejść taki dzień? Czy ta straszna świadomość kryła się za ostatnimi słowami, które wypowiedzieli w mroku Orvilli? Albo nawet wcześniej, w Ragosie, patrząc na siebie tego pierwszego ranka w jasności królewskiego ogrodu z płynącym przezeń strumieniem? Nie chcieli ze sobą walczyć. Tam mogli odmówić. Tam mogli walczyć tylko ramię w ramię.

Dzehana obiecała sobie w tej chwili, patrząc na śpiącego kochanka, słysząc budzący się obóz, że z całych sił postara się nie płakać. Łzy to łatwe schronienie. To, co miało się stać tego dnia, wymagało od niej czegoś więcej.

Ammar nagle otworzył oczy, żywe i niebieskie jak jej własne. Spojrzał na nią. Obserwowała, jak zaczyna sobie zdawać sprawę, co to za dzień, co to za ranek.

– Dzehano, jeśli polegnę, musisz odjechać z Alvarem – powiedział bez wstępów. – On może cię zawieźć do twoich rodziców. To będzie jedyne miejsce dla ciebie, miłości moja.

Kiwnęła głową. Bała się cokolwiek powiedzieć. Pochyliła się i pocałowała go w usta. A potem położyła mu głowę na piersi, słuchając bicia jego serca. Później, już na dworze, rozmawiali o błahostkach. Bez sensu udawali, że tego dnia świat jest normalnym miejscem. „To będzie jedyne miejsce dla ciebie, miłości moja”.

Czując na przemian gorąco i zimno w miarę tego, jak słońce to się chowało za szybko

pędzącymi chmurami na zachodzie, to się przez nie przedzierało, Dzehana stała na smaganym wiatrem wzgórzu obok Mirandy Belmonte d'Alveda i patrzyła na równinę leżącą pomiędzy armiami.

Towarzyszył im jako eskorta Mirandy. Alvar de Pellino, herold Valledo, odziany w biel i złoto. Był też z nimi Husari, któremu król Ramiro pozwolił udać się z Alvarem.

Husari był teraz zarządcą Fezany w służbie Valledo. Dzehana nie miała mu tego za złe. Przedłożył Ramira nad Muwardyjczyków, wybierając mniejsze zło w czasie, który zmuszał ich wszystkich do dokonywania takich wyborów. Ziri, jak się zdaje, postanowił inaczej. Nie opuścił Ragosy z ludźmi Rodriga. Dzehana go rozumiała. Nie chciał walczyć pod sztandarami boga, którego wyznawcy zabili jego rodziców. Nie miała pojęcia, co się z nim stało. Na wojnie traci się ludzi z oczu.

Spojrzała w dół. Wojska były niemal równe, a teren płaski. Gdyby było inaczej, nie znajdowałby się tu ze swoimi siłami żaden z przywódców.

Czasowo zjednoczone oddziały dzadytów nie mogły zostać w polu przez jeszcze jedną zimę, a członkowie plemion nie mieli ochoty na prowadzenie wojny pozycyjnej tak daleko od swoich piasków. Jutro rozegra się bitwa w otwartym polu. To rzadkość. Może nawet dojdzie do decydującego rozstrzygnięcia, bo inaczej mogłoby się to ciągnąć w nieskończoność. Wolno płynące, pełne goryczy lata ognia i miecza, choroby, głodu i zimna, rozpad świata.

Zanim jednak będzie mógł nadejść jutrzejszy dzień z armiami walczącymi na tej równinie pod błękitno-złocistymi lub srebrzysto-czarnymi sztandarami, najpierw musi nastąpić zachód słońca. Dzehana napomniała się, że przysięgła nie płakać.

Ceremonialne walki między Aszarem i Dżadem odbywały się o świcie lub pod koniec dnia, w chwilach równowagi między słońcem i gwiazdami. Na wschodnim niebie wisiał jeden księżyc – biały, niemal w pełni. Dzehana pomyślała z goryczą, że to jest bez znaczenia dla dwoistości tak harmonijnie ukształtowanej i orzeczonej.

Po przeciwnych stronach leżącego poniżej zbocza znajdowały się grupki żołnierzy z każdej armii. Znała dzadytów. Ludzie Rodriga: Lain, Martin, Ludus. Właściwie nie byli potrzebni jako strażnicy, ponieważ na wzgórzu był Alvar, a w tej kampanii honorowano tradycje heroldów.

Nie potrafiąc powstrzymać kolejnej fali goryczy, Dzehana pomyślała, że ludzie już tacy są. Działania wojenne prowadzono z okrucieństwem, jakie trudno było sobie wyobrazić, lecz żołnierze – nawet Muwardyjczycy – szanowali sztandar i laszkę herolda.

I będą teraz jak chłopcy – zachwyceni, nieśmieleni pradawną symboliką – oglądali to, co się ma rozegrać na równinie pomiędzy armiami. Walka bogów! Każda wiara mająca swego wspaniałego obrońcę, jej święty lew na polu walki! Poeci napiszą wiersze i pieśni, będą je śpiewać podczas uczt albo w gospodach, albo w ciemności pod gwiazdami pustyni.

– Czy nadejdzie kiedyś taki czas, kiedy urodzenie się jako kobieta nie będzie

przekleństwem? – odezwała się Miranda, nie odwracając głowy. – Kiedy będziemy mogli robić coś więcej – dodała, patrząc w dół na równinę – niż stać z boku, być dzielne i patrzeć, jak oni umierają?

Dżehana nic nie powiedziała. Nie potrafiła znaleźć zadowolającej odpowiedzi. Przed tym dniem nie nazwałaby swojej kobiecości ciężarem, świadoma, że ma więcej szczęścia od innych, jeśli chodzi o rodzinę, przyjaciół, zajęcie. Tego dnia nie czuła się uprzywilejowana. Tego dnia sądziła, że mogłaby się zgodzić z Mirandą Belmonte. Stojąc na tym smaganym wiatrem wzgórzu, łatwo się było z nią zgodzić.

Z dołu dobiegł jakiś nowy odgłos. Obie armie na coś reagowały. Głośne okrzyki, uderzanie mieczami o tarcze.

Z dwóch przeciwnych kierunków, z północy i południa, jechało ku sobie dwóch mężczyzn.

Nikt im nie towarzyszył, więc nikt nie wiedział, co Rodrigo Belmonte i Ammar ibn Khairan powiedzieli, kiedy zatrzymali konie w pewnej odległości od siebie, sami na świecie.

Po chwili jednak obaj zsiadli i odesłali konie, które wróciły galopem tą samą drogą. Następnie znów stanęli naprzeciwko siebie i Dżehana zobaczyła, jak Ammar coś mówi, a Rodrigo mu odpowiada. A potem opuścili hełmy.

Na tym wzgórzu pod koniec wietrznego dnia zobaczyła, jak każdy z nich zdejmuje z pleców okrągłą tarczę, a potem każdy z nich dobywa miecza.

Na hełmie Rodriga na pewno jest orzeł; hełm Ammara miał wzór z liści winorośli. Pewne rzeczy wiedziała, choć ich nie widziała: wzgórze było za daleko i przeszkadzało jej słońce, które zachodziło za nimi. Na tle jego niknącego blasku stanowili niemal samotne sylwetki. Odbiegły od nich nawet konie.

„Czy to coś złego, jeśli kobieta kocha dwóch mężczyzn?” – zapytała zeszłego lata w ciemności nad rzeką.

Nie odrywając wzroku od równiny, Miranda skrzyżowała ręce na piersi, jakby mocno coś tam przytrzymała. Dżehana widziała, jak Rodrigo robi dokładnie to samo przed rokiem w oświetlonej księżycowym blaskiem Orvilli. Zadała sobie pytanie, czy gdyby jej i Ammarowi dano dość czasu, to czy też zaczęliby robić takie same gesty? I czy kiedykolwiek doczekaliby się dziecka, które byłoby kochane tak bardzo, jak stojąca obok niej kobieta i mężczyzna na równinie kochali swoich synów?

„Nigdy nie będzie dość czasu” – powiedziała Ammarowi.

Patrząc pod słońce, ujrzała, jak Rodrigo wykonuje fintę, a potem mocno zamierza się klingą z drugiej strony; Ammar sparował cios ruchem miecza gładkim jak jedwab Husariego, jak linijka wiersza, jak dobre wino smakowane pod koniec dnia. Płynnie zmienił zasłonę w niskie, mocne pchnięcie, i Rodrigo – szybko niczym sen o polującym kocie – opuścił tarczę i je zablokował.

Odstąpili od siebie. Stali bez ruchu, obserwując się nawzajem spod hełmów. Zaczęło się.

Džehana zamknęła oczy.

W obu armiach zerwał się potężny ryk głodu, potrzeby, zachwytu.

Kiedy Džehana otworzyła oczy, spostrzegła, że podszedł do niej Husari. Otwarcie i bez udawania płakał.

Popatrzyła na niego, a potem bez słowa odwróciła wzrok. Bała się spróbować cokolwiek powiedzieć. Przysięgła coś sobie. Przysięgła, że nie będzie płakać. Dopóki się to nie skończy. Dopóki czas nie odbiegnie od nich jak tamte konie na równinie.

Byli godnymi siebie przeciwnikami. Obaj zawsze o tym wiedzieli. W pewnym sensie rozpaczliwe wymogi, które trzeba było spełnić, by pozostać przy życiu, były korzystne – utrudniały interwencję sercu, które mogło sparaliżować smutkiem.

Istniały powody, by pozostać przy życiu. Kobieta stojąca na wzgórzu na wschód od nich. Miłość. Z trudem zablokował nisko wyprowadzone pchnięcie; tym samym ruchem – co było trudne – ciął do przodu i natknął się na elegancką zasłonę. Nigdy przedtem nie spotkał takiego szermierza. Nigdy nie spotkał kogoś równego sobie. Można to było nazwać tańcem? Powinni się objąć? A czy się nie obejmują?

W takiej sytuacji pozwalało się rządzić ciału, szybciej niż myśl; rozmazane smugi, kiedy spotykały się klingi. Umysł unoszący się tuż powyżej, by nie przeszkadzać, chyba że coś zauważył. Słabość, wahanie.

Żadnego wahania tu, o czerwonym zachodzie słońca. Nie spodziewał się wahania.

Na tym wzgórzu na wschodzie stała miłość.

Kiedyś, podczas ich kampanii na rzecz Ragosa, kiedy wmanewrowali tego starego bandytę ibn Hassana w zastawienie za nich pułapki na oddział wiozący *parias*, pewnego wieczoru Džehana dołączyła do kompanii przy ognisku i zaśpiewała kindathijską piosenkę.

Kto zna miłość?

Kto mówi, że zna miłość?

Powiedz mi, co to jest miłość.

„Ja znam miłość”,

Mówi to najmniejsze.

„Miłość jest jak wysoki dąb”.

„Dlaczego miłość to wysoki dąb?”

Powiedz mi, maleństwo”.

*„Miłość to drzewo,
Bo daje schronienie
W słońcu czy burzy”.*

Potknął się niespodzianie, odepchnięty nagłym atakiem; zaklął, czując, że pada na ziemię. Zbyt nieuważny, rozproszony. Widział przecież ten kamień, chciał go wykorzystać.

Obracając się rozpaczliwie, wypuścił tarczę – do tyłu, uchwytem do góry – i powstrzymał upadek uwolnioną lewą ręką, mocno wspierając się dłonią na trawie, a mieczem blokując spadającą klingę przeciwnika i odbijając jego cios.

Wykorzystując siłę tego uderzenia, przetoczył się, chwycił tarczę i zerwał się na nogi – wszystko jednym płynnym ruchem. Zdażył sparować szybkie drugie uderzenie. Padł na kolano i ciął ukosem, szybciej niż powinno mu się to udać. Niemal mu się udało; miecz niemal się zagłębił. Nie zagłębił się. Byli godnymi siebie przeciwnikami. Obaj to wiedzieli. Od pierwszego spotkania w Ragosie. W tamtym ogrodzie ze strumieniem.

*Kto zna miłość?
Kto mówi, że zna miłość?
Powiedz mi, co to jest miłość.*

*„Ja znam miłość”,
Mówi to najmniejsze.
„Miłość jest jak kwiat”.*

*„Dlaczego miłość to kwiat?
Powiedz mi, maleństwo”.*

*„Miłość to kwiat,
Bo daje słodycz,
Zanim zginie”.*

Przyszło mu do głowy, że miło by było, gdyby mogli odłożyć broń na ciemniejącą trawę. Odejść z tego miejsca, od tego, do czego byli zmuszani, minąć ruiny, przejść kawałek wzdłuż rzeki i wejść do lasu. Znaleźć leśny staw, przemyć rany i napić się chłodnej wody, a potem usiąść pod drzewami chroniącymi od wiatru i w milczeniu obserwować nadejście letniej nocy.

Nie w tym życiu.

Pomyślał wtedy, do czego mógłby użyć tarczy.

Byłoby o wiele lepiej, gdyby mogła nienawidzić człowieka usiłującego zabić Rodriga. To był jednak człowiek, którego ostrzeżenie ocaliło życie Diega. Nie musiał tego robić. Był aszarytą. Teraz był głównodowodzącym ich armii, ka'idem.

Lecz nigdy nie słyszała, by Rodrigo mówił o kimś innym – nawet o Raimundzie, który umarł tak dawno temu – tak, jak mówił o Ammarze ibn Khairanie podczas dopiero co minionej, długiej zimy. O tym, jak siedział na koniu, jak dzierżył miecz, łuk, planował strategię, żartował, o tym, jak mówił o historii, geografii, o cechach dobrego wina. Nawet o tym, jak pisał poezje.

– Poezje? – zapytała wtedy Miranda głosem, jaki rezerwowała dla swego najbardziej miażdżącego sarkazmu.

Rodrigo lubił wiersze, rozumiał poezję. Ona nie i miała tego świadomość. Kiedyś dręczył ją w łóżku lirycznymi urywkami. Przykrywała sobie wtedy głowę poduszką.

– Czyż ty się w tym człowieku zakochała? – zapytała raz męża tej zimy w Fezanie, właściwie na wpeł zazdrosna.

– W pewnym sensie chyba tak – odparł Rodrigo po chwili. – Czyż to nie dziwne?

Tak naprawdę to nie, pomyślała Miranda na tym wzgórzu pod Silvenes. Niskie słońce utrudniało obserwację. Chwilami nie potrafiła ich odróżnić. Mogłaby pomyśleć, że pozna Rodriga obok każdego mężczyzny na świecie, lecz teraz był w zbroi, daleko, jak ruchomy cień na tle czerwonego światła; schodzili się, krążyli i odwracali się, bardzo blisko siebie. Łatwo było ich pomylić w tych ruchach prowadzących do śmierci.

Nie była gotowa na jego utratę. Na samotność.

Łzy wyciskał jej z oczu wiatr. Wytarła je wierzchem dłoni, zerkając spod oka na tę drugą kobietę. Džehana bet Iszak stała z suchymi oczyma, pobladła, nie odrywając wzroku od sceny rozgrywającej się w dole. Mieliśmy nasze lata, pomyślała nagle Miranda. Wiem, co stracę. Ona nie miała czasu nawet na to, by zebrać wspomnienia do obrony przed mrokiem.

Którą stratę jest trudniej znieść? Czy takie rzeczy można mierzyć? Czy to ma znaczenie?

– Och, ukochany – szepnęła. A potem dodała: – Nie opuszczaj mnie teraz.

W tym momencie ujrzała, jak jeden z nich rzuca tarczę.

Nigdy by nie pomyślała, że w czymś tak bez reszty przerażającym może tkwić piękno, lecz powinna to wiedzieć, pamiętając, co potrafią zrobić. Obaj.

Widziała, jak walczą – podczas tych zawodów w Ragosie, w Emin ha'Nazar, w dzielnicy Kindathów w Fezanie. Powinna się była tego spodziewać.

Przez większość czasu Džehana potrafiła ich odróżnić, mrużąc oczy w promieniach nisko stojącego słońca. Chociaż nie zawsze, kiedy ich sylwetki nakładały się na siebie, zlewały i rozdzielały. Teraz naprawdę stanowili sylwetki, tylko tyle na tle resztek czerwonego dysku światła.

Nagle przypomniała sobie, jakby ktoś podsunął jej w jakiś sposób tę myśl, pewną zimną noc

podczas kampanii prowadzonej na wschodzie dla Masura i króla Badira. Usłyszała wtedy śpiew dochodzący od jednego z ognisk i dźwięki gitary Martina. Wyszła z namiotu, na wpół śpiąca, owinięta płaszczem. Zrobili jej miejsce przy ogniu. W końcu zaśpiewała piosenkę, którą nuciła jej w dzieciństwie matka, tak jak Elianie jej matka. To była stara piosenka.

Dzehana pamiętała, że tamtej nocy obaj patrzyli na nią nad ogniem. Dziwne wspomnienie w tej chwili. Pamiętała tamtą noc, ognisko, piosenkę.

*„Miłość to kwiat,
Bo daje słodycz,
Zanim zginie”.*

Słońce, czerwone jak płomień, opadło poniżej ławicy chmur, podświetlając je, wisząc na krawędzi świata. Walczący byli cieniami na jego tle. Obeszli się wzajemnie, starli, znów obeszli. Naprawdę nie umiała ich teraz odróżnić, tak bardzo podobne były ich ruchy.

Jeden z nich rzucił tarczą.

Cisnął ją płasko jak dysk, niewłaściwą ręką, prosto w kolana przeciwnika. Ten odskoczył, niemal udało mu się jej uniknąć, został trafiony, upadł ciężko. Dzehana wstrzymała oddech. Atakujący rzucił się susem do przodu i znów się splegli.

– Rodrigo – rzekła nagle Miranda.

Mężczyzna bez tarczy znajdował się nad tym drugim, któremu udało się unieść na kolana. Zablockował spadający miecz, poleciał w tył. Padł plecami na trawę, wypuszczając przy tym z ręki własną tarczę. Starli się, już nie mając niczego do obrony, w wirze kling. Niemal jedno ciało. Mityczna istota, jakiś zaginiony, bajeczny zwierz z zamierzchłej przeszłości. Odskoczyli od siebie. Znowu dwie postacie na tle słonecznego dysku.

Dłonie Dzehany powędrowały do ust. Jeden z mężczyzn znów rzucił się na przeciwnika. Połowa słońca już zniknęła, na końcu świata. Widziała tarcze tam gdzie upadły.

Któryś uderzył potężnie z góry, ale cios został sparowany. Walczący wyrwał się, zamarkował pchnięcie, ciął na ukos.

Nie natknął się na zasłonę. Nie tym razem.

Długa klinga zatopila się w ciele. Było to widać ze wzgórza. Dzehana się rozplakała. Rannemu udało się oderwać, cofnąć, jakimś sposobem odeprzeć następne uderzenie. Wtem obrócił się, mocno przyciskając jedną rękę do żeber. Dzehana zobaczyła, jak robi szybki krok w bok i ujmuje miecz obiema dłońmi. Nadszedł czas.

Kto zna miłość?

*Kto mówi, że zna miłość?
Powiedz mi, co to jest miłość.*

Stara piosenka. Piosenka dla dzieci.

I tak, na koniec, z daleka, na tle czerwonego, gasnącego światła, zobaczyła, jak dobry człowiek unosi miecz i zobaczyła, jak dobry człowiek pada.

Nad obiema armiami poniósł się potężny ryk. Choć była go świadoma, Džehanie już się wydawał daleki i coraz bardziej odległy, jakby na świat opuszczała się zasłona ciszy.

Mężczyzna, który jeszcze stał na równinie wyprostowany, odwrócił się w stronę wzgórza, na którym stały kobiety. Upuścił miecz na ciemną, zdeptaną trawę. Przyciskając dłoń do zranionego boku, wolną ręką wykonał gest – drobny, bezradny ruch.

A potem odwrócił się do człowieka leżącego na ziemi i osunął się przy nim na kolana. Słońce schowało się za horyzontem.

Wkrótce z zachodu zaczęły się nasuwać kłęby chmur, zakrywając niebo.

Żadnego słońca, żadnego księżyca, żadnych gwiazd nad Al-Rassanem.

EPILOG

Szybkie odrodzenie się kindathijskiej społeczności w Sorenice w Bachiarze można było oceniać na różne sposoby. Spalona do cna przed niemal dwudziestu laty, w przeddzień katastrofalnej dzadyckiej kampanii przeciwko aszaryckim ziemiom ojczystym na wschodzie, Sorenika została odbudowana i znów prosperowała.

Niektórzy uważali to za smutną manifestację rozpaczliwej tęsknoty Kindathów za korzeniami i domem – jakimkolwiek domem, choćby i niepewnym. Inni widzieli w szybkiej odbudowie zniszczonego miasta symbol wytrwałości w obliczu ciężkich doświadczeń, które zniszczyłyby każdy inny lud, niemający tak wielkiego dziedzictwa.

Kindathijski lekarz Alvar ben Pellino, który w młodości osiedlił się tu jako jeden z pierwszych – dokończył studia w świeżo przywróconym uniwersytecie – miał na ten temat inne i bardziej pragmatyczne zdanie niż większość ludzi.

Mężczyźni i kobiety wszystkich wyznań usiłowali znaleźć różne sposoby na kształtowanie życia dla siebie i swoich dzieci. Chwyтали nadarzające się możliwości. Odrodzenie Soreniki było taką schwytaną możliwością.

W następstwie zniszczenia ich armii przed dwudziestu laty dzadyccy książęta z kilku królestw zostali poinformowani przez swoich doradców duchowych, że bóg nie był zadowolony z brutalnego ataku na Sorenikę przed wypłynięciem floty. Duchowni uroczyście oznajmili, że prawdziwym celem tej świętej wojny nie byli Kindathowie, zrzęcznie zapominając o swojej własnej roli w masakrze. Uznali, że zniszczenie Soreniki świadczyło o niedostatku pobożności, o zachwianiu świadomości świętej misji.

Dżad zesłał kary: sztormowe wiatry na morzu, choroby, morderstwa wśród książąt, śmierć w walce w dalekich, niegościnnych krajach.

Przywódcy i ich zwolennicy, którzy w końcu wrócili do domu po dwóch długich latach, ze znużeniem zgodzili się odprawić pokutę za masakrę Soreniki. Zaproszono Kindathów do powrotu do miasta i wyasygnowano królewskie fundusze na odbudowę ich sanktuariów, placów targowych, domów, uniwersytetu, portu, magazynów, miejskich murów. Umorzono podatki wszystkim, którzy zgodzili się tam osiedlić w owych pierwszych latach. Najwyżsi władcy Bachiary – z których wielu było synami ludzi zmarłych na aszaryckich ziemiach ojczystych – przyłożyli swoje pieczęcie do długiego urzędowego dokumentu poświadczającego bezpieczeństwo Soreniki i jej mieszkańców.

Nie trzeba wierzyć w takie rzeczy, pomyślał Alvar ben Pellino, mijając szybkim krokiem stragany targowe w drodze do portu, by uznać, że w niepewnym, pełnym przemocy świecie Sorenika nie jest bardziej niebezpieczna od innych miast i że ma kilka zalet właściwych tylko sobie.

W jego przypadku więcej niż kilka, szczególnie w owym dawno minionym roku, kiedy uciekli przed okrucieństwami wojny pożerającej Esperanię i Al-Rassan, dzielącej półwysp na kawały, niczym dzikie zwierzęta rozdzierające padlinę.

Ben Pellino był dobrze znany i kochany w Sorenice. Choć bardzo się śpieszył, do portu szedł długo. Co kilka kroków musiał się zatrzymywać i wymieniać uprzejmości z tym czy owym. Zaskakująco wiele mężczyzn i kobiet życzyło mu błogosławieństwa księżyców z okazji czterdziestej rocznicy urodzin. Kindathowie, mający swoje wykresy urodzin, zwracali na takie dni więcej uwagi niż jego własny lud – drobna modyfikacja wśród wielu większych.

Alvar stopniowo pojął, że to jego córki poinformowały wszystkich. Ze smutnym uśmiechem przyjmował te życzenia, zgadzając się z radosnymi stwierdzeniami, że minęła już jego młodość.

We wczesnych latach życia miał wiele dramatycznych doświadczeń i ludzie co nieco o tym wiedzieli. Zanim wyjechał z półwyspu, przyjął kindathijską wiarę i rozpoczął naukę medycyny, był Jeźdźcem, a nawet królewskim heroldem w Valledo.

Był wziętym i cenionym lekarzem – spokojnym, uczonym, umiejącym dodać otuchy. Podczas operacji miał pewną rękę i oko. Niegdyś jego usług pożądały najemne wojska Bachiary, lecz on nigdy nie wyprawiał się z żołnierzami. Przyjmował okresowe posady na książęcych dworach – by odbierać porody, leczyć podagrę, spychać zaćmę – ale żadnego stanowiska przy armii w polu. „Gdybym chciał kroczyć lub jeździć po polach bitew”, mówił spokojnie Ben Pellino wszystkim zainteresowanym, „nadal byłbym Jeźdźcem w armii Ramira Wielkiego z Esperanii”.

Mówił, że jest lekarzem, a jego praca polega na zachowywaniu i ułatwianiu życia. Mając wybór, nigdy dobrowolnie nie zapuścił się w domenę śmierci, jaką jest wojna.

Robiła to jednak jego żona. Także lekarka – według niektórych nawet lepsza od niego, ponieważ od dzieciństwa uczył ją jej słynny ojciec – nie miała nic przeciwko spędzeniu kilku kampanii z wojskiem. W polu ma się do czynienia z obrażeniami i dolegliwościami, które mogą tylko służyć poszerzeniu i pogłębieniu lekarskiej wiedzy. Jej ojciec w swoim czasie robił to samo.

Alvar uwolnił się od kolejnego życzliwego nieznajomego i postanowił po powrocie do domu skarcić córki. Nie powinny ogłaszać całej społeczności, że posuwa się w latach! Nie wyglądał na czterdziestkę; wszyscy to mówili. Nie był jeszcze gotów zostać czcigodnym i mądrym; chyba że pomagało to dyscyplinować dwie córki chwiejące się niepewnie na progu kobiecości. Choć Alvar wątpił, by cokolwiek pomogło w ich przypadku.

Z drugiej strony to one postanowiły urządzić tego dnia uroczystość i przez cały tydzień pracownicy ją przygotowywały. Wyprosiły kucharkę z kuchni. Same robiły ciasteczka. Żona Alvara, pełna zrozumienia dla jego chęci skromnego spędzenia tego dnia, próbowała je bezskutecznie powstrzymać. Kiedy dziewczęta działały wspólnie, pomysł powstrzymywania ich

od czegokolwiek był naiwny.

Wiedząc, że już powinien znaleźć się w domu, Alvar pośpiesznie szedł wzdłuż nabrzeża, gdzie statki z całego świata załadowywały lub wyładowywały towary. Szukał okrętu z flagą Esperanii: złotego słońca na bladobłękitnym polu, a nad nim korony królowej Vaski. Znalazł go.

Chłopiec z portu przyniósł wiadomość do pomieszczeń, w których przyjmowali pacjentów, że kapitan ma dla niego list. Alvar najpierw skończył pracę, a potem poszedł po list.

Nie znał kapitana, który pozwolił mu wejść na pokład. Wymienili uprzejmości.

Znał jednak charakter pisma i pieczęć i kiedy przyjmował od kapitana poplamioną solą paczuszkę, odetchnął głęboko. Była zaadresowana do niego i do Dzehany, kiedy więc już podziękował kapitanowi, dał mu srebrną monetę i zszedł na deski nabrzeża, po czym otworzył list. Zwykle dawał Dzehanie pocztę z Esperanii, by przeczytała ją pierwsza, ale tego dnia miał przecież urodziny, więc pozwolił sobie na ów przywilej. Natychmiast tego pożałował.

„Moja droga Dzehano, mój drogi Alvarze”, przeczytał. „Niech bóg i jego siostry strzegą i zachowają was i wszystkich, których kochacie. Mamy się dobrze, chociaż, jak zapewne już słyszeliście od innych, lato tego roku było burzliwe...”

Alvar przestał czytać; serce waliło mu jak młotem. Nie słyszeli niczego od innych. Zawrócił do statku. Zawołał. Stojący przy relingu kapitan odwrócił się do niego.

– Co się stało na półwyspie?! – krzyknął Alvar po esparańsku. W jego stronę zwróciło się kilka głów.

– Nie wiesz?! – odkrzyknął z góry kapitan.

– Jesteście pierwszym esparańskim statkiem od miesiąca.

– A zatem mogę wszystko opowiedzieć – rzekł kapitan, wyraźnie zadowolony. Zetknął dłonie nad oczyma, czyniąc znak boskiego dysku. – Tego lata Belmonte zajął Cartadę i Aldzais, a potem poddała mu się Tudeska! Ramiro Wielki wjechał na swoim karym koniu do morza u ujścia Guadiary. Dżad odzyskał Al-Rassan! Półwysep znów należy do Esperanii!

W całym porcie rozległ się gwar. Jeśli Alvar się nie pośpieszy, to wiadomość rozejdzie się po całej Sorenice, zanim on dotrze do domu.

Ruszył szybko, niemal biegiem, ledwie zdążywszy rzucić podziękowanie przez ramię. Nie chciał, by ta nowina dotarła do jego żony z ulicy. W jego domu byli dziś ludzie, których trzeba będzie uprzedzić, jakoś na to przygotować, osłonić.

Szczerze mówiąc, sam tego potrzebował.

Spiesząc tak z powrotem przez plac targowy, Alvar wspominał dawno minioną noc na północ od Fezany, kiedy król Ramiro powiedział jemu i don Rodrigowi o stanowczym zamiarze wjechania do mórz otaczających Al-Rassan i ogłoszenia wszystkich omywanych przez nie ziem za swoje.

Teraz tego dokonał. Ramiro Wielki. Niemal dwadzieścia lat później, ale dokonał tego. Był

królem Esperanii. Valledo, Ruendy, Dżalonii. Al-Rassanu, chociaż teraz nazwa ta przestanie istnieć. Poczynając od tego lata, nazwa ta stanie się słowem dla poetów i historyków.

Ściskając list, Alvar ruszył biegiem. Ludzie patrzyli na niego z zaciekawieniem, ale ulicą biegli teraz i inni, niosąc te same wieści. Przeciął zaułek i minął pomieszczenia przyjęć pacjentów. Zamknięte. Wszyscy już się na pewno zebrali w jego domu. Na uroczystość. Na radosną ucztę.

Alvar miał świadomość, że przed końcem dnia będzie musiał zapłakać. Nie jako jedyny.

Zewnętrzne drzwi domu stały otworem. Wszedł do środka. Nikogo. Pewnie wszyscy czekają na niego na dziedzińcu. Zatrzymał się przed zwierciadłem, zaskoczony własnym odbiciem. Mężczyzna o kasztanowych włosach z niemodną brodą, zaczynający siwieć. W tej chwili poblady. Tak bardzo, że gdyby był swoim pacjentem, Alvar nakazałby natychmiastowy odpoczynek. Przyjął cios. Potężny.

Usłyszał jakieś dźwięki dobiegające z kuchni i zawrócił w tamtą stronę. Stał w drzwiach. Była tam jego żona, wciąż ubrana jak do pracy, i sprawdzała ciasteczka oraz paszteciki zrobione przez dziewczynki. Mimo tego, co właśnie przeżył, Alvar zmówił modlitwę dziękczynną do boga i księżyców, że tak niespodziewanie i całkowicie niezasłużenie został zaszczycony tym darem miłości.

Odchrząknął. Odwróciła się do niego.

– Spóźniłeś się – stwierdziła lekkim tonem. – Dina, twoja ukochana córeczka, grozi, że... – Przerwała. – Co się stało?

Jak się mówi coś takiego?

– Al-Rassan padł. – Usłyszał własne słowa jakby roznosiły się echem, jak w dolinie Emin ha’Nazar. – Tego lata. Cały półwysep jest teraz dżadycki.

Jego żona odchyliła się do tyłu, opierając się rękoma o stół przy kominku. A potem postąpiła trzy kroki po kamiennej posadzce i objęła Alvara, opierając mu głowę na piersi.

– Och, mój kochany – powiedziała. – Och, Alvarze, to musi być dla ciebie takie trudne. Cóż mogę powiedzieć?

– Czy wszyscy już są?

– Prawie. Ojej – rzekła Marisa bet Rezzoni, jego żona, koleżanka jego i Dżehany, córka jego nauczyciela, matka jego dzieci, światło jego dni i nocy. – Och, Alvarze, jak im to powiesz?

– Co im powiesz? – zapytała Dżehana, wchodząc do kuchni. – O co chodzi? O któreś z dzieci?

– Nie. Nie o to – odparł Alvar i zamilkł.

Spojrzał na pierwszą kobietę, jaką kiedyś pokochał. Wiedział, że będzie ją kochał, i to nie tylko w przenośni, do końca życia. Mimo siwych pasm we włosach i niejakiej miękkości rysów wciąż była tą samą zdumiewającą, dzielną kobietą, z którą tyle lat temu przejechał przez Góry

Serrana w drodze do Ragosy króla Badira.

Jeszcze jedne znajome kroki na korytarzu na zewnątrz.

– Tu jesteśmy – powiedział Alvar, podnosząc głos. – W kuchni. W pewnym sensie tak było lepiej.

Ammar, tego dnia prawie nie posługując się laską, zatrzymał się w drzwiach, a potem stanął obok żony. Spojrzał na Dżehanę, na Marisę, na Alvara. Objął Dżehanę ramieniem i powiedział swoim pięknym głosem:

– Alvar otrzymał tę samą wiadomość, co ja. Stara się wymyślić, jak nas osłonić. Głównie mnie, jak sądzę.

– Głównie ciebie – zgodził się Alvar. – Tak mi przykro, Ammarze.

– Proszę was! – rzekła Dżehana. – O co chodzi? – Jej mąż puścił ją, odwróciła się więc do niego.

– Chciałem poczekać, aż skończy się uroczystość Alvara, ale teraz nie ma to sensu. Przybył statek z Esperanii, miłości moja. Fernan Belmonte zajął Cartadę, a tego lata moje własne Aldzais słowików. Zaraz potem otworzyła swoje bramy Tudeska. To były trzy ostatnie miasta.

Alvar zobaczył, że jego żona, która jako jedyna z ich czworga nigdy nie była na tym ukochanym, umęczonym półwyspie, płacze. Marisa potrafiła współczuć w bólu, potrafiła go niemal przyjąć w siebie. Stanowiło to część jej medycznego daru i czasami przerażało Alvara.

Dżehana pobjadła, tak bardzo, jak on sam. Nie płakała.

– Musiało do tego dojść – odezwała się po chwili. – Nie było nikogo, kto mógłby odwrócić bieg wypadków, a Fernan...

– Najwyraźniej stał się bardzo podobny do ojca – dokończył za nią Ammar. – Tak, musiało do tego dojść. – Na jego twarzy pojawił się uśmiech, który wszyscy poznali i którego potrzebowali przez te wszystkie lata w Sorenice. – Czyż przez cały ten czas nie usiłowałem napisać historii i elegii dla Al-Rassanu? Czyż nie byłby to wobec mnie okrutny żart, gdyby...

– Przestań! – rzekła z mocą Dżehana i objęła męża. Ammar zamilkł. Zamknął oczy.

Alvar przełknął ślinę, bliski łez z powodów zbyt złożonych, by je wyrazić słowami. Zrodzeni z Gwiazd nie byli jego ludem. On sam był dzadytą z urodzenia, Kindathem z wyboru – jeszcze zanim poznał najmłodszą córkę don Rezzoniego i zaczął zabiegać o jej względy. Podjął tę decyzję wraz z postanowieniem zostania lekarzem, zanim jeszcze opuścił Esteren, kiedy w imieniu króla i królowej Valledo odprowadzał Iszaka ben Jonannona i jego żonę do ich córki.

Dżehana już znajdowała się w Sorenice, do której przybyła z ibn Khairanem, kiedy muwardyjscy członkowie plemion znajdujący się w Al-Rassanie zagrozili buntem, jeżeli Ammar nadal będzie przewodził ich wojskom. Jazir ibn Q'arif był naciskany, by go stracić – „człowieka”, wołali wadzi, „który zabił kalifa”. Człowieka nawet bardziej odrażającego w oczach Aszara niż dzadyci.

Jazir ugiął się pod pierwszym naciskiem, lecz, co zaskakujące, oparł się drugiemu. Wygnął ibn Khairana, lecz darował mu życie. Częściowo za jego osiągnięcia w roli ka'ida, lecz najbardziej za wieczorny pojedynek w roli świętej prawicy Aszara. Czyż nie pokonał człowieka, którego nie mógł nikt pokonać? Czyż nie zapewnił im zwycięstwa pod Silvenes, zabijając Rodriga Belmontego, Bicz Al-Rassanu?

I czyż – przede wszystkim – nie wziął krwawej pomsty za Ghaliba? Jazir ibn Q'arif, który przez ostatnie dwadzieścia lat przemierzał piaski z bratem u swego boku, nie zamierzał niszczyć człowieka, który to dla niego zrobił. Ibn Khairan otrzymał pozwolenie odejścia ze swoją kindathijską konkubiną.

– Dostaliśmy list od Mirandy – rzekł Alvar, odchrząknąwszy. Dzehana spojrzała na ibn Khairana i uspokojona tym, co zobaczyła, wypuściła go z objęć.

– Przeczytałeś go? – zapytała Alvara.

– Zacząłem. Ty to zrób. – Podał jej kopertę.

Dzehana rozłożyła papier i zaczęła czytać. Alvar podszedł do kredensu i nalał sobie kielich wina. Zerknął na Marisę, która pokręciła głową, i na Ammara, który kiwnął swoją. Nalał wina bez wody i podał je swemu najdroższemu przyjacielowi.

– „...tego roku było burzliwe” – czytała na głos Dzehana. – „Fernan i król zajęli trzy ostatnie miasta Al-Rassanu. Nie znam szczegółów, nigdy nie pytam, ale wydaje się, że w dwóch z nich rzeź była straszna. Wiem, że nie może wam to sprawić radości, nawet Alvarowi, i wiem, że będzie to wielki cios dla Ammara. Czy wierzy, że nawet teraz nie żywię do niego żadnej urazy? Czy przyjmie, że rozumiem jego smutek i że zrozumiałby go też Rodrigo?”

Nie sądzę, by tak było w wypadku Fernana, chociaż mógłby go zrozumieć Diego. Nie jestem pewna. Oczywiście nie widuję się już z nimi tak często. Diegowi i jego żonie urodził się z łaski Dżada syn, mój pierwszy wnuk, a jego matka czuje się dobrze. Chłopiec ma na imię Rodrigo, ale to na pewno dla was nie nowina. Diego został zaszczycony przez króla nowym stanowiskiem, stworzonym dla niego: jest pierwszym kanclerzem zjednoczonej Esperanii. Ludzie mówią, że Fernan będzie wygrywał nasze wojny, a Diego będzie nami kierował w czasie pokoju. Oczywiście jestem dumna z nich obu, chociaż jako matka mogłabym pragnąć większej łagodności u Fernana. Chyba wszyscy wiemy, gdzie ją stracił, lecz ja mogę być jedyną osobą, która pamięta, kiedy ją miał.

Sprawiam wrażenie starej, prawda? Mam wnuka. Jestem stara. Zwykle nie sądzę, że tak bardzo się zmieniłam, ale zapewne tak się stało. Skoro już o tym mowa, nie poznalibyście króla – straszliwie się roztył, jak jego ojciec.

Tej wiosny, zanim rozpoczęła się letnia kampania, przeniesiono szczątki Rodriga. Nie chciałam, żeby opuścił hacjendę, ale obaj chłopcy i król uznali, że powinien zostać uhonorowany w Esterenie, a ja nie miałam serca spierać się z nimi wszystkimi. Kiedyś lepiej umiałam forsować

swoje zdanie. Uparłam się jednak przy jednym i ku mojemu zdumieniu Diego oraz król Ramiro na to przystali. Spoczywa pod słowami wyjętymi z wiersza, który tak dawno temu przysłał mi Ammar.

Myślałam, że tylko ja jedna będę uważała to za właściwe, lecz się myliłam. Udałam się tam na uroczystości. Esteren oczywiście ogromnie się zmienił – w ogóle byś go nie poznał, Alvarze. Rodrigo spoczywa teraz w królewskiej kaplicy w niszy z boku bożego dysku. Jeden z nowych rzeźbiarzy Ramira wykuł z marmuru posąg. Oczywiście nie jest to Rodrigo – ten człowiek go nie znał. Dali mu orli hełm jego ojca, bicz i miecz. Wygląda straszliwie srogo. U podstawy posągu wyryli słowa Ammara. Niestety, po esparańsku, ale król sam dokonał przekładu, więc to chyba o czymś świadczy, prawda?

Zrobił to tak:

*Wiedźcie wszyscy, co widzicie te słowa,
Że ten człek dzięki swej żądzy honoru,
Dzięki niezłomności,
Dzięki umiłowaniu swego kraju,
Dzięki swej odwadze
Był jednym z cudów boga”.*

Dzehana przerwała czytanie, wyraźnie walcząc ze sobą. Czasami Alvar uważał, że lepiej by było, gdyby pozwoliła sobie na łzy. Marisa też to mówiła kilka razy. Dzehana płakała, kiedy umarł jej ojciec i kiedy jej trzecie dziecko – córeczka – urodziło się martwe, ale od czasu tamtego wzgórza pod Silvenes o zmierzchu Alvar nie pamiętał żadnego innego razu.

Nawet teraz się opanowała, odłożyła list i powiedziała słabym głosem:

– Może powinnam skończyć po uroczystości?

Jakby na poparcie tych słów z dziedzinca dobiegł niecierpliwy dziewczęcy głos:

– Może wreszcie przyjdziecie! Wszyscy czekamy!

– Chodźmy – rzekł Alvar, pozwalając sobie na przejęcie inicjatywy. – Jeśli każę Dinie jeszcze trochę czekać, to chyba mnie zabije.

Wyszli na dziedziniec. Byli tam jego przyjaciele – całkiem spora grupka. Przybyła uczyć go Eliana bet Danel, matka Dzehany, i z nią przywitał się najpierw. Jego córki biegały wśród gości niczym para długonogich żrebiąt, sadzając wszystkich na właściwych miejscach, po czym z chichotem umknęły do kuchni.

– Wszyscy jesteście związani słowem honoru – rzekła Marisa, gdy tylko znalazły się poza zasięgiem słuchu – że ani słowem nie wspomnicie, że ciasteczka są spalone.

Rozległ się śmiech. Alvar rozejrzał się za ibn Khairanem. Usiadł na krześle w rogu ogrodu,

gdzie mógł wyprostować nogę.

Wróciły Dina i Razela, już z większą godnością, niosąc swoje dzieło na srebrnych tacach. Nikt nie powiedział ani słowa o ciasteczkach. Alvar, który uważał, że jego córki są ucieleśnieniem wszystkich wdzięków obu księżyców, uznał wypieki za przepyszne i to powiedział. Marisa pilnowała, by jego kielich był cały czas pełen wina.

Wzniesiono kilka toastów na jego cześć. W przemowie, której zażądali od niego goście, Alvar cierpko zażartował, mówiąc, że teraz jest gotów zasiąść przy ogniu, ale że nie może tego zrobić, dopóki nie wyda porządnie za mąż swoich słodkich ciężarów. Dziewczęta wykrzywiły się do niego.

Ammar oświadczył ze swego kąta, że on i Eliana żadną miarą nie są gotowi oddać swoich miejsc przy ogniu. Alvar będzie musiał zaczekać na swoją kolej.

Popołudnie minęło. Kiedy goście szykowali się do wyjścia, Alvar był wzruszony i nieco zaskoczony ciepłem, z jakim go obejmowali. Wciąż go dziwiło, że jest mężczyzną mającym niemal dorosłe córki i kochającą żonę i że tak wielu ludzi żywi do niego sympatię. Zwykle wciąż uważał się za tego samego człowieka, który, ledwie osiągnąwszy wiek męski, pewnego dawno minionego poranka wyjechał z Carcazji z Rodrigiem Belmontem z komicznie wysoko podciągniętymi strzemionami.

Wyglądało na to, że dużo wypił, o wiele więcej niż zazwyczaj. Sprawka Marisy. Najwyraźniej uznała, że dobrze mu to dzisiaj zrobi. Pamiętał, że ucałował Elianę na dobranoc, tuląc ją delikatnie, gdy sięgnęła i poklepała go po policzku. To też go zdziwiło przed laty, gdy zdał sobie sprawę, że matka Dzehany go akceptuje. Rozejrzał się. Dziewczynki zniknęły, podobnie jak bliźnięta Dzehany i Ammara. Są gdzieś na górze, prawie na pewno szykując jakąś psotę. Prawdopodobnie we właściwym czasie rozlegnie się czyjś wrzask.

Na dziedzińcu zrobiło się cicho i chłodnawo. Marisa wyniosła szale dla siebie i Dzehany, która wróciła, odprowadziwszy matkę do domu. Teraz zapalała świece. Alvar zrobił ruch, jakby chciał wstać z krzesła i jej pomóc, ale powstrzymała go gestem.

Usiadł posłusznie, lecz po chwili coś kazało mu wstać i podejść z kielichem i flaszką do Ammara. Usiadł obok niego; ibn Khairan sączył ostatnie krople wina. Alvar napełnił mu kielich.

– Miej się dobrze w bogu, stary druhu – rzekł do niego Ammar z poważnym uśmiechem. – Przyjmij moją miłość i dobre życzenia, dzisiaj i zawsze.

Alvar skinął głową.

– Zrobisz coś dla mnie? – zapytał. – Wiem, że to jest uroczystość. Że była. Ale dziewczęta są na górze z waszymi chłopcami i nie musimy się martwić, że ich rozczarujemy.

– To dobrze – odparł Ammar z poważną miną.

Alvar prychnął. Wszyscy się z nim drażnili na temat jego córek.

– Ale tak naprawdę dla mnie ten dzień będzie miał w sobie coś niewłaściwego, jeśli

będziemy udawać, że nic się nie wydarzyło albo nie zmieniło. Ja nie mogę udawać. Ammarze, improwizowałeś dla królów i kalifów, czy zechcesz uczcić rocznicę moich urodzin improwizacją dla mnie? A może proszę o zbyt wiele?

Wyraz twarzy Ammara się zmienił. Ibn Khairan odstawił kielich.

– Będę zaszczycony – odparł. – Masz jakiś temat?

– Znasz go.

Obie kobiety podeszły bliżej, a teraz usiadły obok siebie, owinięte szalami, na kamiennej ławie.

Zapadła cisza. Patrzyli na ibn Khairana i czekali. Z góry dobiegał przez otwarte okno śmiech ich dzieci. Ammar powiedział:

*Zapytajcie Fezanę, co się stało z Fibazem
I gdzie jest Ardenio albo Lonza?
Gdzie jest Ragosa, siedziba wielkiej wiedzy,
Ilu zostało tam mędrców?
Gdzie jest Cartada, miasto wież,
W czerwonej dolinie jej potęgi?
Albo Seria, gdzie przędzono jedwab?
Gdzie jest Tudeska, Ehira, Aldzais
I gdzie w tym zmroku jest Silvenes?
Strumienie, doskonałe ogrody,
Dziedzińce Al-Fontiny o wielu łukach?
Studnie i fontanny płaczą ze smutku,
Jak kochanek, gdy nadchodzi świt,
By odciągnąć go od jego pragnienia.
Oplakują przeminięcie Lwów,
Koniec Ukochanego Al-Rassanu,
Którego już nie ma.*

Odmierzony, piękny głos zamilkł.

Alvar spojrział w niebo. Zabłyśły pierwsze gwiazdy. Wkrótce nad Soreniką wszędzie biały księżyc. Czy zaświeci nad leżącym na zachód od nich półwyspem?

Ciążył mu czas. Dwaj synowie Rodriga byli dorosłymi mężczyznami, konetablem i kanclerzem Esperanii. Służyli królowi Ramirowi Wielkiemu. A Rodrigo spoczywał w Esterenie, pod posągiem, pod kamieniem.

Alvar dopełnił swój kielich i odstawił go nietknięty, jak ofiarę, na ławę obok siebie. Wstał

i wyciągnął rękę do Ammara, którego noga od tamtego innego zmierzchu pod Silvenes nie była sprawna jak dawniej.

– Chodź – powiedział. – Jest ciemno i zimno. Chyba wszyscy potrzebujemy światła i dzieci.

Zobaczył, że Dżehana, podobnie jak on, odstawia swój kielich na stół obok siebie. Marisa zaprowadziła ich do środka. Zamieniła kilka cichych słów ze służącymi. Zjedli razem kolację w jasnym pokoju z dwoma kominkami wśród śmiechu ich synów i córek. Było bardzo późno, kiedy Ammar, Dżehana i dzieci pożegnali się i poszli do swego nieodległego domu.

Alvar słuchał, jak Marisa i niania przygotowują do snu dwie nadmiernie pobudzone młode kobiety. Poszedł na górę ucałować córki na noc, a potem razem z żoną ruszyli korytarzem do własnej sypialni, zamknęli drzwi i zaciągnęli zasłony.

Na zewnątrz blask białego księżyca padał na dziedziniec, gdzie odbyła się urodzinowa uroczystość. Padał na wodę i śmigające w niej drobne rybki. Posrebrzał drzewka oliwkowe i figowe, wysoki cyprys przy murze porośniętym bluszczem i krzewy. I kładł się bladą poświatą na trzy kielichy wina, z których każdy, napęczniony po brzegi, został celowo zostawiony, na kamiennym stole, na kamiennej ławie, na krawędzi fontanny.